

SPIS TREŚCI

Robert Traba | Wszyscy jesteśmy migrantami. I co z tego! 3

HOMO VIATOR – HOMO MIGRANT. Z ODDALI

Ewa Klekot | *Homo viator, homo ambulans* 9
Anna Augustyniak | kłloshar, imigranci. wyspa Lesbos, ksenos 16
Wojciech Józef Burszta | Odpomnieć IMMIGRARE 18
Wojciech Marek Darski | Ludzie z łodzi 28
Grażyna Banaszkiewicz | *Wot, eto nasz Arbat!* 29
Romuald Rapcewicz | Dobrze życie toczy się dalej 57
Gintaras Bleizgys | *** [słońce runęło na mnie...], *** [śniłaś mi się...],
*** [potem śniła mi się...], plac przyjaźni 83

HOMO VIATOR – HOMO MIGRANT. Z BLISKA

Kazimierz Brakoniecki | Kosmopolak, światolog: egzystencjalna praktyka
poezji świata otwartego 91
Robert Traba | Archipelagi miejsc odzyskiwanych 96
Dorota Borodaj, Jan Mencwel | Białe plamy na mapie: odzyskiwanie tożsamości 101
Jacek Poniedziałek | *** [trzeba wszystko starannie zaplanować...],
*** [kiedy siedzę w poplamionym fotelu...], *** [budzę się jak co rano...] 109
Agnieszka Karpowicz | „Miasto z wyrokiem”. Treningi obcości 113
Anna Matysiak | Sauerteig 124
Ewa Kozłowska | Społeczność żydowska w Marggrabowej – Treuburgu – Olecku 128
Lech Mróz | Cygańskie ślady na ziemi Warmii i Mazur 142
Marek Bernacki | Stanisławów – powrót do źródeł. Duchom moich przodków 160

ARCHIWUM LITERACKIE

Alfons Mańkowski | „Z nad jezior mazurskich. Wspomnienie z wycieczki krajo-
i ludoznawczej” 175

IV FORUM OTWARTEGO REGIONALIZMU. CZAS PRZEKRACZANIA GRANIC. 25+10

Anna Wolff-Powęska | [list na 25-lecie] 191
Andrzej Mencwel | [list na 25-lecie] 192

Robert Traba Czas przekraczania granic, czyli o drodze do Europy etycznych ojczyzn	193
DYSKUSJA – Kazimierz Brakoniecki, Krzysztof Czyżewski, Andreas Lawaty, Iwona Liżewska, Wacław Radziwinowicz, Ewa Romanowska, moderacja – Robert Traba	196
Hubert Orłowski Otwarty regionalizm a pułapki refleksji alternatywnej	223
ROZMOWA „BORUSSII”	
Ambasador. Wschód potrzebuje modernizacji. Z Jerzym Bahrem rozmawiają Elżbieta Traba i Robert Traba	237
RECENZJE	
Kazimierz Brakoniecki Widnoksiąż [Boualem Sansal, 2084. Koniec świata, Katowice 2016; Emmanuel Carrère, <i>Królestwo</i> , Kraków 2016; Jean-Louis Vullierme, <i>Lustro Zachodu. Nazizm i cywilizacja zachodnia</i> , Warszawa 2016; Stefan Knapp, <i>Kwadratowe słońce</i> , Olsztyn 2016; Jerzy Pietrkiewicz, <i>Na szali losu. Autobiografia</i> , Warszawa 2016]	253
Zaulek Leszka Szarugi Stan rzeczy [Henryk Waniek, <i>Jak Johannes Kepler, jadąc do Żagania na Śląsku, zahaczył o księżyc</i> , Kotórz Mały; Opole 2015; Alan Sasinowski, <i>Szczery facet</i> , Szczecin 2016; Jacek Inglot, <i>Polska 2.0</i> , Warszawa 2016]	266
Rafał Żytyniec Literatura polska i narracje polskiego Okcydentu [Joanna Szydłowska, <i>Narracje pojałtańskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945-1989)</i> , Olsztyn 2013]	272

Wszyscy jesteśmy migrantami I co z tego!

Ee, u nas to nic nie ma. Wy to macie szczęście: Krzyżacy, Mazurzy, tajemnicze lasy i jeziora, no i ci migranci z całej Europy... A u nas? – tak w 1998 roku w Szydłowie, powitał mnie młody pedagog kulturalny, stojąc plecami odwrócony do XVI-wiecznej synagogi, wzrokiem zawieszony w dalekim horyzoncie, jakby nie zauważając XIV-wiecznych murów obronnych, zwanych dziś dumnie polskim Carcassonne. Nie wiem, czy Warmia i Mazury mają więcej atrakcji historycznych niż Świętokrzyskie, więcej jezior niż Pomorze Zachodnie czy Meklemburgia. Z pewnością nie mają swojego Carcassonne. Nie jesteśmy tak wyjątkowi, jak często się kreujemy i jak nas postrzegają!

A jednak to Warmia i Mazury ciągle przyciągają magią „niezwykłej krainy”, w której tajemniczość jezior i lasów miesza się z wielokulturowością, azyłem dla tych, którzy zmuszeni byli uciekać przed prześladowaniami albo po prostu szukali lepszego życia z dala od swojej ziemi rodzinnej. Historie o losach Prusów, średniowiecznych osadników z Dolnego Śląska, Mazowsza, ziemi chełmińskiej, uciekinierach katolickich z elżbietańskiej Szkocji, Holendrach osuszających bagna nad Pasłęką, protestantach z okolic Salzburga i braciach polskich uciekających przed prześladowaniami katolickich władców, rosyjskich starowier-

cach znajdujących schronienie w Prusach po uznaniu ich za heretyków prawosławnej wiary w Rosji czy wreszcie wędrowni Cyganów pojawiających się na mazurskich bezdrożach jako egzotyczni goście zza kordonu tworzą z Warmii i Mazur obraz mitycznej krainy Nod, Atlantydy Północy, a może ziemi Ulro...

Te dawne wędrowni ludów miały swój dramatyczny finał w połowie XX wieku, gdy po zakończeniu II wojny światowej zmuszona była odejść miejscowa ludność niemiecka, ogromna większość Mazurów i Warmiaków, a na ich miejsce przyszli mieszkańcy pobliskiego Mazowsza, Białostocczyzny, przymusowi przesiedleńcy z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, zwani repatriantami. Opowieść o cierpieniach odejścia i trudach pozostania znalazła swoje miejsce na kartach literatury, w prozie Siegfrieda Lenza, Arno Surminkiego, poezji Erwina Kruka. Zmagania z trudnym przyjściem zlały się z propagandą i do dziś nie trafiły do zbiorowej wyobraźni. Fakt, że wszyscy jesteśmy wędrowcami – *homo viator*, i migrantami z woli losu – *homo migrant*, ale to nie weszło do kanonu opowieści o naszym regionie.

Mitologizujemy to, co było, chwalimy się wielokulturową spuścizną i jednocześnie nie radzimy sobie z własną, rodzinną opowieścią o skutkach migracji dla naszej współczesnej kondycji, widzenia i oceny zjawisk tak bliskich geograficznie i tak odległych mentalnie, jakby się działy poza naszą świadomością. Jerzy Bahr trafnie zauważył, że dziś powroty do własnych wielokulturowych losów, do zmitologizowanej, utraconej ziemi ojczystej właściwie nic nie kosztują, dodałbym: stają się wręcz modą. Trudniej spotkać się z realnym Innym, uświadomić sobie obcość własnych przodków w miejscu, gdzie jesteśmy od dwóch czy trzech pokoleń zadomowieni tak głęboko, że wydaje się to stanem prawie wiecznym. **Projektujemy zagrożenie, strach przed Obcym, bo sami wyparliśmy z rodzinnej pamięci komunikacyjnej doświadczenie obcości.** Tu, w Europie Środkowej, dotkniętej w ostatnim stuleciu szczególnie przemieszczaniem granic i ludzi, wszyscy w rodzinnym, wielopokoleniowym doświadczeniu jesteśmy migrantami... tyle że nic z tego nie wynika dla współczesności. Jerzy Bahr w naszej rozmowie sprzed dwóch lat, a więc jeszcze przed tzw. kryzysem migracyjnym w Europie, powiedział:

Ktoś, kto się boi, zamyka się. Tak się też dzieje z narodami. W tej chwili [sierpień 2014] nie wiedząc, jaki będzie nasz wspólny europejski los, wybraliśmy drogę odwrotu od idei europejskiej, chowając się w naszości: polskości, węgierskości, czeskości, itd. Okazuje się, że mając obiektywnie większe możliwości poznania się, rezygnujemy z tego i zaczynamy zamykać się na zasadzie klein aber mein. To jest oczywiście droga donikąd.

Czy jest sposób wyjścia z tej fazy egzystencjalnego kryzysu w realnym horyzoncie czasowym? Na to pytanie odpowiedzialnie nikt nie może odpowiedzieć. Warto podejmować debatę, by nie zapomnieć, skąd jesteśmy, i swoje losy wplatać we współczesne problemy tak, by kultywować *inteligentną gościnność* (J-L. Bazán), której sensem jest rozumienie przez Europejczyków własnej przeszłości i tożsamości. Przemieszczanie się, wędrowni i przymusowe

poszukiwanie nowego szczęścia na ziemi jest częścią egzystencjalnego doświadczenia i tradycji nie tylko w Europie.

Prawie 8% mieszkańców naszego województwa wyjechało za granicę na dłużej niż 3 miesiące. Zajmujemy wysokie 4 miejsce w rankingu województw z największą emigracją zarobkową. W 2004 roku mieszkało w archidiecezji warmińskiej około 700 tys. mieszkańców. Po przeprowadzeniu obliczeń przez wszystkich proboszczów z archidiecezji okazało się, że obecnie mieszka tam zaledwie około 556 tys. osób. Co się stało ze 150 tys. ludzi? Odpowiedź jest prosta – wyjechali za granicę. Aż 85% z tych, co opuścili Warmię i Mazury, przeniosła się do Wielkiej Brytanii, Irlandii, Niemiec, Holandii, Norwegii i in. Pozostałe 15% wyjechało do większych ośrodków w Polsce.

[<http://expresselblog.pl/wydarzenia/dramatyczne-dane-polacy-nie-chca-wracac-i-nadal-wyjezdza/>, 18.02.2016]

Na Warmii i Mazurach odnaleźć można kilka klasycznych archetypów wędrowania. Uchodźcy polityczni i religijni znajdowali tu przez wieki „ziemię obiecaną” – rodzaj Kanaanu, do którego wiódł swój lud biblijny Abram/Abraham. „Wygnanie z raju”, czyli przymusowe opuszczenie ziemi rodzinnej, stało się doświadczeniem setek tysięcy Niemców naznaczonych odpowiedzialnością za wybuch i niepoliczalne straty, jakie wyrządzili ich współrodacy w czasie II wojny światowej. Bliskie jest mi nawiązanie do mitu Antajosa (Anteusza), syna Posejdona i Gai, giganta, który swą siłę czerpał z przywiązania do Ziemi, swojej matki. Reprezentuje on archetyp powracania do ziemi znanej od urodzenia, ale – mówiąc słowami Katarzyny Szkaradnik – niepokojącej nieredukowalnym Innym, by stawać się bardziej sobą w swej inności, a zarazem zmieniać rzeczywistość, promując inność jako funkcję krytyczną. Przez przypadek ten los dotknął moją rodzinę. A życie dopisało przed kilkoma miesiącami puentę. Kulturoznawczyni, redaktorka kwartalnika „Anthropos” Aleksandra Kunce w e-mailowej rozmowie napisała zdanie pośrednio nawiązujące do metafory Antajosa-wędrowca: *Życzę czasu na bycie w miejscu, bo „ludzie miejsca” tak mają, nawet gdy wędrują, to wloką ze/za sobą swój dom. **Wszystko jest powrotem.** Tym bardziej życzę Panu i Bliskim powrotu!* Po 22 latach wracam na Warmię. Powrót uruchamia uczucie spełnienia. Dlatego w imieniu redakcji życzę Państwu powrotów i kultywowania inteligentnej gościnności.

Robert Traba

JAPAN IMMIGRATION INSPECTOR

陸 許 可
LANDING PERMISSION

許可年月日 -7. MAR. 2013

Date of permit:

在留期限 -5. JUN. 2013

Unit:

在留資格 短期滞在

Status: Temporary Visitor

在留期間

Duration: 90days

NARITA(1)

/ visas

IMMIGRATION
出 国
DEPARTED
入国検査官-日本国
NARITA(1)
15. MAR. 2013
IMMIGRATION

1002876905



UI 4348551

1787



0014985571

\$25

wizy / visas / visas

HOMO VIATOR

HOMO MIGRANT

Z ODDALI

Ewa KLEKOT

Homo viator homo ambulans

EWA KLEKOT

antropolożka sztuki, tłumaczka, absolwentka archeologii i etnografii. Pracuje jako adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego.

Współcześnie nasze przemieszczanie się w przestrzeni najczęściej wcale nie oznacza fizycznego ruchu ludzkiego ciała. Ruch wykonują zawierające człowieka kapsuły różnej wielkości, napędzane w rozmaity sposób. Podróżujący w kapsule najczęściej przyjmuje pozycję siedzącą, choć czasem też stoi, a czasem leży. W ciągu ostatnich 200 lat – napisał brytyjski antropolog Tim Ingold – staliśmy się członkami *sitting society*¹. Angielskie *sitting society* to po polsku nie tylko „siedzące społeczeństwo”, ale też „towarzystwo, które siedzi”: siedzenie można więc rozumieć nie tylko jako rozpowszechnioną praktykę kulturową, ale jako społeczny przywilej określonej klasy czy warstwy. Ekspat podróżuje, siedząc w kapsule samolotu; migranci w najlepszym wypadku kucają stłoczeni w kapsule przeciążonej łodzi lub kontenera ciężarówki; w najgorszym wiszą pod nią, trzymając się podwozia, żeby ujść uwadze strażników rozmaitych przejść do lepszego, bezpieczniejszego świata.

9

Zakapsułowanie na czas podróży wydaje się wynikać wyłącznie ze względów praktycznych: kapsuła chroni człowieka przed niebezpieczeństwami pędu, z jakim sama się przemieszcza. Jednak, jak się okazuje,

.....
¹ T. Ingold, *Culture on the Ground: The World Perceived through the Feet*, *Journal of Material Culture*, 2004, nr 9(3), s. 323.

pozycja siedząca rozumiana jako spoczynek ciała, skonstrastowana z ciałem wykonującym fizyczny ruch zaczęła w pewnym momencie historycznym łączyć się z konkretną – i wysoko wartościowaną – postawą intelektualną. XVIII-wieczni intelektualiści byli przekonani, że

umysł może odpowiednio funkcjonować tylko w stanie spoczynku, gdy nie targa nim i nie wstrząsa fizyczny ruch jego cielesnej osłony. Dopóki jest w ruchu, znajdując się między jednym punktem obserwacyjnym a drugim, w istocie pozostaje nie w pełni sprawny².

Nowoczesny umysł, realizujący kartezjańską metodę docierania do wiedzy pewnej, działa najlepiej, gdy ciało pozostaje w bezruchu, ponieważ tylko wówczas może bezkarnie ulegać złudzeniu („błędowi Kartezjusza”), że nie jest częścią tego ciała. Nowoczesna, zachodnia koncepcja prawdziwej wiedzy i sposobu docierania do niej jest więc osadzona w osiadłości nowoczesnej nauki praktykowanej w laboratoriach, a także nowoczesnego sposobu podróżowania, który polega na transporcie nieruchomo siedzącego pasażera.

Poznanie i ruch

Tymczasem, jak uważają psychologowie o ekologicznym nastawieniu, ludzka percepcja – także z powodów ewolucyjnych – nie opiera się na postrzeganiu rzeczy z jednej, uprzywilejowanej i statycznej perspektywy. Bardziej przypomina ścieżkę, tak jakby postrzegający chodził wokół przedmiotu swego zainteresowania.

Nie postrzegamy w nieruchomej perspektywie, lecz wzdłuż ścieżki obserwacji, trasy naszego bezustannego ruchu [...], poznania nie można oddzielać od ruchu³.

Właśnie tym, co umyka siedzącemu w kapsule podróżnemu – nawet jeśli patrzy przez okno – jest bezustanna zmiana perspektywy i postrzeganie innymi zmysłami niż wzrok. Umyka mu także ważny element mechanizmu zapamiętywania zdobytej wiedzy, czyli jej ucieleśnienie. Fizyczne doświadczenie marszu, dzięki ucieleśnieniu przestrzeni, w której człowiek się porusza, wytwarza poczucie związku z tą przestrzenią. Człowiek idący uczestniczy w otaczającym go świecie, przestaje być wyobcowanym widzem zamkniętym w kapsule pojazdu. W tym sensie współczesny CEO [Chief Executive Officer] wielkiej korporacji przemieszczający się odrzutowcem między trzema kontynentami konstruuje swój świat bardzo statycznie, patrząc zawsze z jednej, wybranej przez siebie perspektywy, którą gwarantuje nieruchome ciało przenoszone z miejsca na miejsce w bezpiecznej kapsule. Ta nieruchomość jest jednak warunkiem intelektualnym nowoczesności i:

² Tamże, s. 321-322.

³ James Gibson za: tamże, s. 331.

najbardziej zagorzali perypatetycy, nawet kiedy sławili fizyczne i intelektualne pożytki chodzenia, czynili to z wygodnej perspektywy, jaką zapewnia społeczeństwo całkowicie przywykłe do krzeseł⁴.

Człowiek podróżujący w kapsule samochodu czy autokaru dociera na miejsce znudzony podróżą, nieco ogłupiały od jej monotonii, czekając tylko, by u celu dać upust swej ciekawości i aktywności: *coś zobaczyć i rozprostować nogi*. Natomiast idący pieszo, który podczas marszu musi cały czas uważać na otoczenie, a w pokonywanie przestrzeni wkłada wysiłek własnego ciała, przyjmuje inną postawę. Postawę, którą można określić mianem uważności i która znacząco różni się od zachłannej ciekawości podróżnego dowiedzionego na miejsce. Dwie postawy poznawcze, ciekawość i uważność, generują inne strategie rozróżniania i sądzenia, inaczej też konstruują wartości. Chodzenie może więc być także sposobem rozumienia: dzięki chodzeniu otoczenie człowieka staje się splotem ścieżek i zadań, a nie serią przesuwających się widoków. Krajobraz zmienia się w „zadaniobraz” (taskspace), jak nazywa go brytyjski antropolog Chris Tilley⁵, przestrzeń, w której tożsamości są pochodną konkretnych form działania. Staje się miejscem, *bo miejsca są w istocie ustanawiane przez ruch ku nim, od nich i wokół nich*⁶.

Chodzenie to ruch, który pozwala nam być w ciele i w świecie w taki sposób, że nas zbytnio nie absorbują, stwierdza w książce „Wanderlust” Rebecca Solnit⁷. Oczywiście pod warunkiem, że nie but nie obciera. Mechanika chodzenia uległa radykalnej zmianie od czasu, gdy stopy straciły bezpośredni kontakt z podłożem. Zmieniają ją nawet sandały, a co dopiero buty do turystyki pieszej. Chodzenie w butach z cholewką – jak słusznie zauważa Tim Ingold⁸ – oznacza dla ciała podobny układ i mechanizmy poruszania nogami jak chodzenie na szczudłach. Stopa nie odczuwa kontaktu z podłożem, a ruchy stawu skokowego i kolanowego są relatywnie nieznaczące i pozostają drugorzędne w stosunku do ruchów w stawie biodrowym. Podobnie wygląda ruch nóg w klasycznym tańcu baletowym: nogi tancerzy to sztywne, długie szczudła, które unoszą ciało jak najwyżej nad ziemię. Balerina ze wszystkich sił stara się wyglądać tak, jakby bez najmniejszego wysiłku płynęła w powietrzu, niemal nie dotykając ziemi, którą zaledwie muska czubkami palców stóp uwięzionych w pointach. Ingold porównuje ruchy zachodniego baletu z tradycyjnym tańcem japońskim w teatrze Nô i zwraca uwagę, że ten drugi opiera się na całkowicie odmiennej relacji stóp tancerza i podłoża, na którym tańczy. Posuwiste ruchy nóg biorą początek w stawie kolanowym, a całe stopy pozostają stale w kontakcie z podłożem. *Mechanizacja pracy nóg*, będąca następstwem coraz częstszego używania nowoczesnego obuwia,

4 T. Ingold, *Culture on the Ground...*, s. 323.

5 Ch. Tilley, *Introduction. Identity, Place, Landscape and Heritage*, *Journal of Material Culture*, 2006, nr 11 (1-2), s. 26.

6 T. Ingold & J. Lee, *Fieldwork on Foot: Perceiving, Rooting, Socializing*, [w:] S. Coleman & P. Collins (eds.), *Locating the Field. Space, Place and Context in Anthropology*, Oxford: Berg, 2006, s. 76.

7 R. Solnit, *Wanderlust. A History of Walking*, London: Verso, 2001.

8 T. Ingold, *Culture on the Ground...*, s. 324-325.

stała się nieodłącznym elementem całego zespołu zmian towarzyszących początkom nowoczesności: obejmowały one tryb podróżowania i transportu, edukację w zakresie postawy ciała i jego gestów, inne wartościowanie zmysłów, oraz przekształcenia architektonicznego otoczenia człowieka. A wszystkie one sprysięgły się, by przełożyć na sferę praktyki i doświadczenia wyobrażone oddzielnie umysłu, który działa w spoczynku od funkcjonowania ciała, które się porusza; oddzielenie poznania od ruchu⁹.

Pieszę wędrowki romantyków można więc także uznać za chęć odbudowania związku między ruchem i poznaniem. Ze względu jednak na obuwie nowoczesne doświadczenie chodzenia jest pozbawione poznawczych walorów dotyku stopą, a do specyficznych właściwości tego dotyku, które różnią go od dotyku dłonią, późnonowoczesny człowiek może zyskać dostęp tylko marginalnie: na plaży, w ogrodzie czy podczas uprawiania jogi albo tańca nowoczesnego, które w założeniu ćwiczy się boso.

Kolejne doświadczenie, do którego współczesny mieszkaniec Zachodu nie ma dostępu, choćby i chodził pieszo, to możliwość dostrzeżenia śladów, które pozostawił poprzedni przechodzień. Na ulicach miast przechodzący nie pozostawiają śladów – i o to chodzi. Ich powierzchnia ma pozostać nienaruszona i żaden znak nie powinien wskazywać, że ktoś tędy przechodził. Chyba że spadnie śnieg... Chodzenie osadza w zmienności, nawet jeśli wędrowka – jak w wielu tradycjach mistycznych – ma swój cel, którym jest to, co niezmiennie i wieczne. Kiedy zaczynamy wspinać się na szczyt, przeważnie tracimy go z oczu; i nawet jeśli wchodzimy po raz kolejny, za każdym razem droga jest nieco inna, nawet jeśli idziemy po własnych śladach. Wędrowka to także sposób bycia z innymi; od innych form wspólnego spędzania czasu różni się ona tym, że przeważnie rzadko łączy się z bezpośrednim kontaktem wzrokowym: kiedy się razem idzie, patrzy się w tym samym kierunku i tylko od czasu do czasu wymienia krótkie spojrzenia. Dzięki temu spacer to zdecydowanie mniej konfrontacyjna forma rozmowy o trudnych i drażliwych sprawach niż spotkanie przy wspólnym, nawet okrągłym stole.

Pieszę wędrowka i nowoczesność

Na nowoczesnym Zachodzie podróżowanie zaczęło oznaczać co innego niż pieszę wędrowkę w XVIII stuleciu. Można powiedzieć, że choć większość populacji nadal chodziła na długie dystanse, to piechurzy przestali podróżować, a podróżujący przestali przemieszczać się pieszo czy też raczej przemieszczali się pieszo jak najmniej i kiedy tylko było możliwe, wybierali podróż w siodle lub powozie, choć nie były to wcale sposoby szybsze ani też wygodniejsze niż marsz. Podróżowanie było bowiem zajęciem ludzi zamożnych, którzy chodzenie uważali za czynność banalną, nudną, uciążliwą i nieprzynoszącą żadnych korzyści. Fizyczny ruch cielesnej osłony umysłu osłabiał ostrość tego ostatniego i ograniczał jego zdolności poznawcze. Rozwój środków transportu i ich coraz większa dostępność sprzyjały rozwojowi podróżowa-

9 Tamże, s. 321.

nia, które miało służyć poznaniu, coraz bardziej ograniczając związek chodzenia z pokonywaniem przestrzeni. W ten sposób uznano, że człowiek zdobywa wiedzę dzięki podróżom, lecz nie dzięki chodzeniu. Zdobywa ją, patrząc, podczas gdy jego ciało trwa w bezruchu. Wartość miała wiedza zdobywana po przybyciu na miejsce dzięki oglądaniu – czy to szacownych zabytków antyku podczas Grand Tour, czy też cudów ojczyznej przyrody i innych godnych zainteresowania starożytności krajowych. Chodzenie jako praktyka kulturowa mająca na celu nie tyle komunikację, co stworzenie specyficznej relacji z otoczeniem, pojawiło się jako produkt uboczny konstruującego wiedzę oglądania. Tak przynajmniej sądzi Rebecca Solnit, autorka książki „Wanderlust” poświęconej właśnie historii tych praktyk: trzeba było przejść się po okolicy, żeby znaleźć najlepszy punkt widokowy¹⁰.

Pod koniec XVIII wieku, kiedy angielska Kraina Jezior była już uznanym terenem pieszych wycieczek, zaczęły pojawiać się pierwsze książkowe przewodniki turystyczne, z których przedstawiciele klasy średniej mogli dowiedzieć się, co i gdzie można zobaczyć, a przede wszystkim – jak na to patrzeć. To właśnie autor jednego z najpopularniejszych XVIII-wiecznych przewodników turystycznych William Gilpin odpowiada za karierę określenia *malowniczy*, które stało się podstawą dobrego gustu, jeśli chodzi o krajobraz¹¹. Dzięki pieszym wycieczkom na łono przyrody klasa średnia zyskiwała zastrzeżony do tej pory dla arystokracji dostęp do estetycznego wartościowania krajobrazu. Park angielski był luksusem, na którego posiadanie czy użytkowanie niewielu mogło sobie pozwolić, natomiast „dzika” i „nieskażona” przyroda była potencjalnie dostępna dla wszystkich. Podążając za przykładem Rousseau i angielskich poetów jezior, a zwłaszcza Wordswortha, który w roku pierwszym Rewolucji Francuskiej wyruszył na piechotę z Cambridge do Francji, u początków XIX wieku zaczęto w samym chodzeniu widzieć poetycki potencjał zerwania z codziennością i cel sam w sobie¹².

Od tego czasu piesze wędrówki stały się istotnym składnikiem procesu wytwarzania nowoczesnych i późnonowoczesnych podmiotowości i tożsamości, a także wytwarzania miejsc. Chodzenie, związane z uważną obserwacją szczegółów otoczenia, tradycja romantyczna łączyła z bliskością natury, którą nowoczesność utraciła. Rebecca Solnit w takim właśnie romantycznym duchu idealizuje wędrowanie, gdy pisze, że

*pobrzmiewa w nim subtelna równowaga między pracą a lenistwem, między „być” i „robić”. To fizyczna praca, z której nie rodzi się nic oprócz myśli, doświadczeń, docierania gdzieś, gdzie nas nie było [...] to stan, w którym umysł, ciało i świat są na równych prawach*¹³.

10 R. Solnit, dz. cyt., s. 96.

11 D. Brett, *The Construction of Heritage*, Cork: Cork University Press, 1996, s. 40.

12 M. Edmonds, *Who Said Romance Was Dead?*, *Journal of Material Culture*, 2006, nr 11(1-2), s. 167-188; T. Ingold, *Culture on the Ground...*, s. 322.

13 R. Solnit, dz. cyt., s. 5.

Lubię chodzić – pisze dalej Solnit – bo chodzenie jest powolne, a podejrzewam, że umysł, tak jak nogi, działa z szybkością trzech mil na godzinę. Jeśli tak jest, to nowoczesność oznacza życie szybsze od prędkości myśli czy refleksyjności¹⁴.

Chodzenie może więc być przejawem oporu wobec nowoczesności¹⁵ albo lekarstwem na jej bolączki. Egzystencjalny związek idącego z otaczającym go światem i poczucie zadowolenia w świecie konstruowane poprzez wędrówkę na łonie przyrody znalazło też nowoczesne przełożenie na politykę tożsamości. Krajobraz, który stając się dla wędrującego zadaniobrazem i umożliwiając mu ustanowienie znaczących relacji z otoczeniem, zostaje podporządkowany zadaniu ustanowienia ojczystości. Przyroda – rozumiana jako wiejska okolica albo jako dziki krajobraz leśny czy górski – staje się małą ojczyzną, miejscem w przestrzeni, w którym człowiek nowoczesny może przeżyć doświadczenie dezalienacji, w którym *czuje się u siebie w zgodzie ze sobą samym i światem*¹⁶. W ojczystości – pisze Peter Blickle w książce poświęconej analizie pojęcia *Heimat* – dzięki połączeniu pojęć wsi, wędrówki, natury i rodziny pojawił się rodzaj religijnego zjednoczenia, który wniósł ożywczą siłę w nowoczesność opartą na wyobcowaniu refleksyjnego podmiotu czyniącego się przedmiotem własnej refleksji.

Jednak uczynił to neutralizując niemal wszystko to, na czym się kultura refleksji opiera. Heimat to dzieciństwo w dorosłości, kobiecość w męskości, rozum bez świadomości czy alienacji (jeżeli można sobie taki irracjonalny rozum wyobrazić), natura bez śmierci [...] ani ja, ani percepcja, ani rozum przebywając w swoim Heimat nie mogą uruchomić właściwej im władzy rozróżniania¹⁷.

Heimat to pojęcie niemieckie, właściwie nieprzetłumaczalne w pełni na żaden inny język, na polski najczęściej tłumaczone jako „mała ojczyzna”. Romantyczne w swej genezie, wyraża – jak twierdzi jego badacz Peter Blickle – niechęć w stosunku do wszystkiego co nowoczesne: kapitalizmu, industrializacji, polityzacji życia społecznego. Choć sprzeczne z nowoczesną ideologią narodową, chętnie przez nią było wykorzystywane ze względu na potężny ładunek emocjonalny i wspomnianą przed chwilą niemoc krytycznego rozróżniania. *Heimat* jest pojęciem z gruntu nowoczesnym, którego funkcją miało być zaradzenie wszelkim bolączkom modernizacji i dostarczenie

pociechy i obietnicy szczęścia tym, którzy nie chcieli już być uczestnikami (złudzenia) dialektycznego parcia naprzód ku temu, co ciągle nowe. Jednak odmawiając uczestnictwa nadal pozostają zarówno częścią tego, co nowe, jak i samej dialektyki¹⁸.

14 Tamże, s. 10.

15 Zob. T. Ingold & J. Lee, *Fieldwork on Foot...*, s. 69.

16 P. Blickle, *Heimat. A Critical Theory of the German Idea of Homeland*, Rochester: Camden House, 2002, s. 17-19.

17 P. Blickle, dz. cyt., s. 37, 39.

18 Tamże, s. 32 [podkreśl. oryg.].

Heimat to przestrzenny wymiar romantycznej strony nowoczesności, to wyraz pozytywnych emocji, jakie pochodzący z miasta *Wandervogel* kierował ku wsi, gdzie odkrywał swe korzenie, i ku przyrodzie, która dzięki takim praktykom kulturowym jak piesza wędrówka umożliwia mu powrót do uczestnictwa w świecie. *Ojczystość* łączy się wyraźnie z romantyczną ideą natury, zgodnie z którą „lud wiejski” był tej natury częścią. Oczywiście powraca w tym pojęciu także sentymentalny i romantyczny topos stabilności i niezmienności wiejskiego życia; jednak jego utopijny charakter idzie dalej i *Heimat* staje się miejscem, gdzie

*to, co wyobrażone i to, co rzeczywiste pozostaje nierozdzielne, a przedmiot i podmiot wreszcie się ze sobą godzą*¹⁹.

Chodzić i zamieszkiwać

Heimat to zdaniem Blicklego niebezpieczna utopia, która oferuje złudzenie desalienacji przez obietnicę rzekomej możliwości powrotu do czasów sprzed alienacji. Piesza wędrówka w ojczystym krajobrazie ma być powrotem do korzeni. W ujęciu Ingolda, który czerpie zarówno z psychologii ekologicznej, jak i fenomenologii, piesza wędrówka – choć także ma przełamywać alienację człowieka wobec świata (a historycznie jest to również świat nowoczesny) – czyni to poprzez zniesienie alienującego poznający podmiot oddzielenia poruszania się od poznania. Człowiek doświadcza świata i go postrzega, ponieważ jego życie jest w świat nierozzerwalnie wplecione; człowiek jest częścią świata, a świat częścią człowieka. U Ingolda człowiek zanurzony jest w świecie poprzez samo doświadczenie istnienia. Dosłownie rzecz ujmując – pisze Ingold – świat nie ma powierzchni; ludzie nie żyją *na* świecie, lecz *w* świecie.

*Formy krajobrazu, podobnie jak tożsamość i możliwości jego mieszkańców, nie są nałożone na substrat materialny, lecz wyłaniają się jako skupienia działań w obrębie pola relacji [...] krajobrazy są wplecione w życie, a życie ludzi jest wplecione w krajobraz i jest to proces, który ciągle trwa i nie ma końca*²⁰.

W ten sposób *homo ambulans* można tłumaczyć jako człowiek w świecie.

Ewa Klekot

19 Tamże, s. 40.

20 T. Ingold, *Culture on the Ground...*, s. 333.

Anna **AUGUSTYNIAK**

klloshar¹

lubię deszcz i patriotyczne bieganie po kałużach
chcę przez to powiedzieć o swoistej autonomii
choć na granicach coraz smutniej
przez pętlce kolczastych drutów
ojciec przepycha dziecko
idźże krzyczy wyrywając korzenie ze swojego ciała
potomkowi dało to kiedyś początek
krzyczy idźże dając mu początek
jeśli przeżyje będzie pierwszą w rodzinie osobą
módlmy się za mnie i za dziecko
na powierzchni waszej i naszej wolności
pomiędzy bardzo odległymi
przyległymi do siebie światami
z płotów z samych płotów

¹ Z albańskiego: człowiek wiecznie na przegranej pozycji.

imigranci. wyspa Lesbos

precz od naszych granic obcych tu nie chcemy
 szarpia słowa wiatr pcha w morze
 ona jeszcze nie wie
 jeszcze nie wie wypatruje trójki dzieci
 oglądając się sprawdziłeś że nie płacze
 jak słup stoi wypatruje duchów
 kilkadziesiąt metrów dalej
 nieruchomo leżą wyłowieni

ksenos

wzniosą się i zaczerpną te o oczach bezczelnych
 z fryzurami co kipią spod chusty kokami
 wykwinie ułożonymi i te skromne
 łakomie patrzące
 wszystkie które ubierają się na czarno
 wszystkie które chcą przekroczyć granice
 tutaj można trochę więcej
 zwłaszcza w cielesnym zjednoczeniu
 wystarczy nieco rozchylić usta
 a mowa napełni się duchem trójcy świętej
 a żądza teologiczną interpretacją orgazmu
 pukajcie jeśli akurat tego chcecie
 tutaj nie kładzie się obrusa na ziemi

Anna Augustyniak ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, Wyższą Szkołę Dziennikarską im. Melchiora Wańkowicza oraz studia doktoranckie w Instytucie Badań Literackich PAN. Dziennikarka i realizatorka reportaży dla Polskiego Radia oraz redaktorka wydania telewizyjnych programów dokumentalnych. Autorka książek: „Hrabia, literat, dandys. Rzecz o Antonim Sobańskim” (2009), „Kochałam, kiedy odeszła” (2013), „Bez ciebie” (tom wierszy, 2014). Drukowała m.in. w „Więzi”, „Twórczości”, „Zeszytach Literackich”, serbskiej „Gradinie”, „Politici” i „Koraci”, tureckim „Bachibouzouck”, rumuńskim kwartalniku „Poezia” i po rosyjsku w „Поэтическом глобусе”. Jej reportaże i wiersze tłumaczone były również na ukraiński, angielski, niemiecki, hiszpański. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Mieszka w Warszawie.

Wojciech Józef **BURSZA**

Odpomnieć *immigrare*

WOJCIECH JÓZEF BURSZA

ur. w 1957 roku, antropolog kultury, kulturoznawca, eseista i krytyk kultury; współautor m.in.: „Kultura pragnień i horyzonty neoliberalizmu” (Poznań 2015).

Wszyscy wiemy, że świat od zarania dziejów był wielokulturowy, jawił się więc jako analogon – powiedzmy – dzisiejszej politycznej mapy świata, gdzie każdy kolor oznacza odrębną formę życia, odmienne konwencje postępowania i lokalnie zakorzenione normy i wartości. Ale ów analogon mapy wielce jest przy tym złudny, przedstawiając obraz statyczny, sugerujący wręcz, że odmienność kulturowa wiąże się li tylko z osiadłością i kultywowaniem własnego terytorium. To taki rodzaj wielokulturowości, który jednocześnie zakłada, że „wewnątrz” danej formy życia panuje powszechna zgoda, iż wszyscyśmy tacy sami, zawsze „tutaj” i „stąd” od wieków, a tym samym monokulturowi. A do tego najczęściej usytuowani w centrum świata, wobec którego wszelkie zewnętrzne jawi się jako peryferyjne, zasiedlone innymi, konkurencyjnymi formami życia. Za granicami naszego oswojonego *orbis interior* czai się *orbis exterior*, jacyś inni ludzie, języki i obyczaje.

Takie postrzeganie kulturowego zróżnicowania przez lata umacniały antropologia i socjologia, skupione na pokazywaniu, jak różne, terytorialnie wyodrębnione wspólnoty realizują charakterystyczne dla siebie wzory kultury i/lub prawa struktury społecznej, dążąc zawsze do jednego celu, jakim było zachowanie

homeostazy systemu. Obie te szacowne dyscypliny wiedzy promowały zatem stałość, zmienność i harmonię, mając kłopoty poznawcze zawsze wówczas, kiedy uwzględniały ruch, zmienność i przypadkowość. A przecież to, jak wygląda świat kulturowych konwencji, choćby sprawiał wrażenie jak najbardziej „zasiedziałego”, wynika z uprzedniego przemieszczania się ludzi i ich, dobrowolnych bądź nie, decyzji o zajęciu danego skrawka ziemi jako swojego *orbis interior*. Nie wszystkim dany jest nawet i taki komfort, i to nie tylko tym, którzy noma-dyzm uczynili formą życia, ale i tym, którym już szczęśliwie osiedleni nie dają przyzwolenia na traktowanie tego obszaru jako przynależnego im na równi z monokulturą większości. Świetnie wiedzieli o tym Rzymianie, stosując trzy podobne do siebie rzeczowniki na oznaczenie, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, niedającej się przewyciężyć dialektyki stałości i zmiany, osiadłości i wędrowności. *Emigrare* znaczyło w łacinie tyle co „wyruszać”, opuścić jedno miejsce, by zamieszkać w drugim – na stałe albo na czas jakiś. Ale *emigrare* skutkuje *immigrare*, osiedlaniem się tam, gdzie powiodły nas emigranckie szlaki: wyjazd zakłada przyjazd dokądś i decyzję, czy to już kres podróży, czy jedynie etap w dalszych peregrynacjach, co nie zawsze jest decyzją dobrowolną, racjonalną nawet, a niekiedy tragiczną w skutkach.

Znali wreszcie Rzymianie słowo i pojęcie *migrare*, kojarzone z kolei z przesiedlaniem się, przemieszczaniem i przenoszeniem, które nie ograniczają się jedynie do ludzi, ale dotyczą zwierząt, kamieni i roślin. Przesiedlać się można spontanicznie, w sposób zaplanowany, wymuszony, sezonowo, z powodów religijnych, w konsekwencji wojen...¹. Historia ludzkiej kultury i tworzenie się wielokulturowego świata to nic innego, jak cechująca ludzi dążność do nieustannego ruchu, przemieszczania się i poszukiwania własnego miejsca na ziemi. Tak rodzą się plemiona, grupy etniczne i narody, w ten sposób buduje się tożsamości zbiorowe, a te ostatnie promują zasiedziałość i homeostazę, dając komfort „bycia u siebie”, swoją formę zapomnienia, iż wzięła się ona z *migrare*, a nie z zastoju i niezmienności.

Dzisiejsi specjaliści w kwestii migracji starają się usystematyzować ruchy ludności ze względu na czynniki je powodujące, czas trwania oraz ich charakter. Ze względu na czas, na który opuszcza się miejsce zamieszkania, wyróżniamy migracje: stałe, okresowe, sezonowe oraz wahadłowe. Te pierwsze wiążą się z chęcią pozostania w miejscu emigracji na stałe bądź bez zamiaru powrotu do poprzedniego miejsca zamieszkania w możliwym do przewidzenia czasie. Typ okresowy często wiąże się z wyjazdami w celach zarobkowych. Ważne jest, że emigrant przejawia chęć powrotu do miejsca wcześniejszego zamieszkania w przybliżeniu określonym czasie lub po wykonaniu zamierzonego działania. Migracje sezonowe zazwyczaj trwają nie dłużej niż kilka tygodni lub miesięcy. Najczęściej są powiązane z celami zarobkowymi. Przykładem może być zagraniczny wyjazd w celu wykonywania pracy przy zbiorach owoców sezonowych. Rodzajem przemieszczeń ludności, który przewiduje najkrótszy pobyt poza miej-

1 Zob. S. Castles, M. J. Miller, *Migracje we współczesnym świecie*, tłum. A. Gąsior-Niemiec, Warszawa: PWN, 2011.

scem zamieszkania, są migracje wahadłowe. Mogą być one powiązane na przykład z regularnymi dojazdami do pracy lub młodzieży do szkoły oddalonej od miejsca, w którym mieszka. W fachowej literaturze możemy się spotkać także z innym sposobem podziału: migracje dobrowolne i przymusowe, indywidualne i grupowe (masowe), żywiołowe i organizowane, legalne i nielegalne, wewnętrzne (w obrębie danego państwa, np. wieś – miasto) i zewnętrzne, w tym wewnątrzkontynentalne (między państwowe) i międzykontynentalne. Na tym tle analizowane są m.in. zjawiska łańcuchów i sieci migracyjnych.

Powracającym motywem każdej tożsamości ufundowanej na kryteriach etnicznych i narodowych jest jej związek z „kultywowaniem” terytorium. O każdej z kultur zakłada się, że ma ona swoją lokalizację przestrzenną, że jest zawsze „skądś” i zawiera się „gdzieś”. Nawet klasyczna definicja kultury, sformułowana przez Edwarda B. Tylora, która określa ją jako „złożoną całość” składającą się z takich składników, jak wiedza, religia, sztuka, moralność, prawo czy obyczaje – *implicite* zakłada, że sposób, w jaki ludzie żyją i nadają sens światu, zależy także od świadomości własnej odrębności od innych „złożonych całości” zamieszkanych przez ograniczone terytorialnie wspólnoty. Granice mojej kultury są granicami mojego świata, zdaje się podpowiadać Tylor, a myśl ta stanowi ośną każdej ideologii nacjonalistycznej, której nieodmienną ambicją jest budowa tożsamości grupowej opartej na metonimicznych znakach określających relację „my” – „nasze terytorium”. Mój świat to system przekonań i wierzeń, które podzielam ze współziomkami, homogeniczna i zwarta całość gwarantowana dzięki wzajemnym więzom i kontaktom w określonych granicach.

Związek między wyobrażeniem miejsca i tworzeniem kulturowej tożsamości to także – jak wspomniałem – centralna kwestia tradycyjnego, konwencjonalnego rozumienia kultury. Jak pisze Nestor Garcia Canclini:

Mieć tożsamość znaczyło nade wszystko – posiadać kraj, miasto, okolicę; wyodrębnioną całość, w ramach której wszystko wspólne dla zamieszkujących dane miejsce było tożsame i niezmiennie. Ci, którzy nie podzielali z nami tego terytorium, którzy nie mieli ani tych samych przedmiotów i symboli, ani takich samych rytuałów i obyczajów, byli innymi – tymi, którzy są obcy².

Kultura wymaga odróżnień, odgraniczania ludzi i rzeczy, kultura nie jest porządkiem naturalnym, ale intencjonalnie uformowanym. W każdym takim środowisku obecne są granice wiążące jednych ludzi, ale eliminujące innych albo przynajmniej wskazujące im, jakich granic

2 Nestor Garcia Canclini, *Scenes Without Territory: The Aesthetics of Migrations and Identities in Transition*, [w:] Art. From Latin America: La Cita Transcultural, N. Richard, M. Murphy [eds], Sydney: Museum of Contemporary Art, 1993, s. 13.

przekraczać nie wolno. Jest to także granica między tzw. grupą odniesienia a grupą odróżnienia. Jak piszą Zygmunt Bauman i Tim May,

grupa odróżnienia to, mówiąc ściśle, wyimaginowana opozycja, której grupa przynależności potrzebuje dla własnej tożsamości, zwartości, wewnętrznej solidarności i emocjonalnego bezpieczeństwa. U podstaw gotowości do współpracy w ramach grupy musi zatem leżeć niezgoda na kooperację z jej adwersarzami, co sugeruje, że dla poczucia bezpieczeństwa potrzebny jest nam strach przed tym, co obce³.

Taksonomie określające przynależność do grupy kulturowej nadal – mimo wszystkich zmian, jakie zachodzą w świecie – funkcjonują na podstawie głównych, zasadniczych cech. Pod presją europejskiego pozytywnego waloryzowania kwestii własności (a i antropolodzy mają w tym swój udział) należy dziś „posiadać” kulturę, tak samo jak „posiadać” trzeba stały adres. Michael Herzfeld zauważa, że osoby bez przynależności państwowej stały się dziś nowym *wyklętym ludem ziemi*, sklasyfikowano je bowiem jako zawieszone poza społecznym istnieniem. To chyba właśnie w miastach i na przejściach granicznych – odpowiednio, w zapętleniach miejsc i zmaterializowanych punktach załamania taksonomii – owe dylematy dają się nam odczuć najpełniej. Obie przestrzenie traktowane są jako skażone, nieczyste, nieuporządkowane, dalekie – słowem – od dającego się przewidywać czytelnego układu „swoi”–„obcy”⁴. Tak dzieje się obecnie w Europie, a obóz w Calais egzemplifikuje owe zapętlenia dobitnie. Georg Simmel pisał przed przeszło stu laty, że wędrowanie oznacza brak związku z jakimkolwiek punktem przestrzeni, będąc przeciwieństwem trwałego przywiązania do danego, konkretnego punktu. Syntezą określeń „wędrowania” i „przywiązania” jest pojęcie obcości, jako że zjawisko za nim się kryjące ujawnia, iż *stosunek do przestrzeni jest, z jednej strony, warunkiem, z drugiej zaś – symbolem stosunku do człowieka*⁵. Wędrowiec nie należy od początku, definicyjnie, do stabilnego kręgu „swojskości”, wnosi do niego jakości niebędące i niemogące być rdzennymi właściwościami tego kręgu. Budzi lęk i niechęć, zaprzecza potocznemu poczuciu, że każdy powinien mieć swój adres, a tym adresem jest – w istocie – miejsce, z którego się wywodzi. Jeśli obcy tam żyje, nie stanowi problemu, jeśli jednak zdecyduje się na imigrację, zakłóca „naturalność” kulturowych granic.

Ludowe porzekadło głosi, że syty nie zrozumie głodnego; podobnie możemy rzec, iż żyjąc w sposób osiadły, dwa wieki po Simmelu nie rozumiemy wędrowców, nie ufamy ludziom *sans-papiers* i wypieramy z naszej świadomości nawet najświeższe wspomnienia o własnej historii wędrowek. Jesteśmy w takim myśleniu nadal XIX-wieczni. Zacytujmy Jürgena Osterhammela, który o ówczesnych realiach tak pisze:

3 Z. Bauman, T. May, *Socjologia*, tłum. J. Łoziński, Poznań: Zysk i S-ka, 2004, s. 52.

4 M. Herzfeld, *Antropologia. Praktykowanie teorii w kulturze i społeczeństwie*, tłum. M. M. Piechaczek, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2005.

5 G. Simmel, *Obcy*, [w:] tenże, *Most i drzwi. Wybór esejów*, tłum. M. Łukaszewicz, Warszawa: Oficyna Naukowa, 2006, s. 204.

„Ludność” bądź „społeczeństwo” chętnie sobie wyobrażamy jako coś trwałego, stacjonarnego, możliwego do odwzorowania na mapie i wyraźnie wyodrębnialnego. Na pierwszy rzut oka opis ten doskonale pasuje do XIX stulecia, w którym podstawą władzy stało się terytorium, a ludzie zakorzenili się w ziemi za pośrednictwem technicznej infrastruktury. Kładziono linie kolejowe, kopano kanały i drążono szyby kopalniane na niesłychane głębokości. Jednocześnie XIX wiek był epoką zwiększonej mobilności. Jej charakterystyczną formą była zamorska migracja, czyli długoterminowe bądź długotrwałe przenoszenie ośrodka życiowego na duże odległości, pokonując granice oddzielające różne ustroje społeczne. Należy ją odróżnić od migracji w rejonach frontier, to znaczy napływania pionierów jako forpocząty ekspansji w głąb „dziczy”. Migracja zamorska ogarnęła w XIX wieku większą część Europy oraz różne kraje azjatyckie. Wszędzie stanowiła ważny czynnik społeczny. Jej siłą napędową było zapotrzebowanie na siłę roboczą ekspansywnej kapitalistycznej gospodarki światowej. Migracja dotknęła wiele grup zawodowych, warstw społecznych, kobiety i mężczyzn, łącząc motywy materialne z niematerialnymi. Żaden obszar emigracji i żaden obszar imigracji nie pozostał niezmieniony⁶.

W tym samym czasie historie narodowe, towarzyszące budowaniu wyobrażeń tożsamościowych, kierowały się przekonaniem, że naród powstaje wówczas, kiedy jakiś proces migracyjny ulega zatrzymaniu. Podobnie jak mitologiczny Eneasza osiedlił się w Italii, wielka europejska wędrówka ludów skutkuje – po wiekach – upewnianiem się społeczeństw osiadłych co do swoich mobilnych początków. Tymczasem nowe społeczeństwa, dające początek państwom imigranckim, takim jak Australia, powstają jako wynik mobilności traktowanej jako gwarant nowego typu społeczeństwa – wspólnoty imigranckiej.

Z wielu możliwych definicji człowieczeństwa, z perspektywy nas tutaj interesującej, najbardziej adekwatna, poręczna i brzemenna w skutki wydaje się taka oto: człowiek to istota stadna, która posiada nogi. Potraktujmy ją zarówno dosłownie, jak i metaforycznie. W tym pierwszym sensie chodzi o zdolność i tendencję do przemieszczania się z miejsca na miejsce, którą możemy postrzegać jako część ludzkiej natury i istotny przywilej służący adaptacji i polepszeniu warunków życia. Najstarszy typ społeczeństwa, jaki dogorywa właśnie na naszych oczach jako odrębna forma życia – społeczności zbieracko-łowieckie – to ów dosłownie realizowany typ bytowania, polegający na użyciu własnych nóg i nieustannym przemieszczaniu się w poszukiwaniu dóbr, typ życia nieosiadłego, opartego na mobilności.

Mobilność wszakże to nade wszystko metafora nowoczesności, niezbywalna dla nowożytnej Europy w okresie rewolucji przemysłowej, a i dzisiaj traktowana jako warunek *sine qua non* neoliberalnej wersji kapitalizmu. Mitologia globalizacji to nic innego jak przyjęcie do świadomości, że świat jest w ruchu, że media transportowe i elektroniczne, eliminując tradycyjnie

6 J. Osterhammel, *Historia XIX wieku. Przeobrażenie świata*, tłum. I. Drozdowska-Broering, J. Kałężny, A. Peszke, K. Śliwińska, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 2013, s. 177.

aporie czasu i przestrzeni ułatwiają i towarzyszą rzekomo swobodnemu i nieskrępowanemu przepływowi ludzi, idei i towarów. Z kolei wzrastające powodzenie samego pojęcia nomadyczności wpisuje się dzisiaj w zmieniającą się strukturę świata, w ramach którego mamy dojmujące wrażenie rozpraszania się sensów – rozczłonkowany *topos* wymaga ruchliwości, a nie stabilności *chora*, żeby odwołać się do greckich terminów, oznaczających, odpowiednio – miejsce abstrakcyjne i miejsce egzystencjalne, ów *orbis interior*. Przywoływane jak mantra słowo „globalizacja” w swoim idealistycznym znaczeniu sugeruje, że świat staje się dzisiaj – pod względem ekonomicznym, ale także z punktu widzenia form życia społecznego – wspólną ekumeną, powiązaną siecią informacyjnych technologii, które pozwalają minimalizować znaczenie czasu i przestrzeni w ich euklidesowym rozumieniu. Bycie w miejscu ma już nie stylizować, jako że każdy może stać się nomadą – poszukiwaczem wrażeń, informacji i wiedzy o wszystkim, o czym tylko zapragnie się dowiedzieć. Wymaga to wszakże ruchliwości intelektu i świadomości, że zakorzenienie w *chora* to tylko jedna z form życia, że istotą globalnego zbioru *topos* jest zmienność i nietrwałość, że każdy pojedynczy punkt na wyobrażeniowej mapie świata to tylko miejsce w nieustającej wędrówce, jaką śledzić można, albo wieść, na wszelkie możliwe sposoby. Globalizacja to ideał kosmopolitycznej wspólnoty informacyjnej, która wie o poszczególnych swoich częściach coraz więcej.

Nomadyczność tedy jest poręcznym terminem, który ową zglobalizowaną świadomość wyraża. Jeśli uwzględnimy ponadto fakt, że indywidualne ludzkie losy wielce są dzisiaj niepewne, że planowanie trajektorii życia jest obarczone wielkim ryzykiem, bo ekonomiczne uwarunkowania zmuszają do nieustannej czujności i wymyślania siebie na nowo, także nasza tożsamość ma cechy nomadyczne. Rozpięci między tyranią codzienności (*doxa*) a dbaniem o ekonomiczny interes własny, szukamy ucieczki w złudnej wędrówce w środowisku multimedialnym. Cyfrowy nomada to rzeczywistość, ale potwierdza on jedynie, jak dalece pojęcie nomadyzmu odbiegło od swojego właściwego kontekstu. Owa globalna mobilność, opisana teoretycznie i zbadana empirycznie w najbardziej dogłębny sposób przez Anthony'ego D'Andreę⁷, widziana jest jako coś więcej niż fizyczna zmiana miejsca, gdyż stanowi komponent podmiotowych strategii ekonomicznych, a także element określania własnej tożsamości i budowania subiektywności, określanej mianem swoistej autometamorfozy. To w tym kontekście przywołuje się model nomadyzmu pasterskiego jako analityczne narzędzie służące przedstawianiu dzisiejszej hipermobilności, opartej na trzech hasłach naczelnym – sieć, diaspora, kosmopolityzm⁸.

Zauważmy jednak, że ten piękny fresk o zaletach globalizacji skrywa drugą, ciemną i przemilczaną stronę dzisiejszego świata, przesłania bowiem prawdę inną: że wędrówka, tułaczka i migracja to równie niezwykły element codzienności XXI wieku. I wielki problem. Fakt ten obrazują dane Organizacji Narodów Zjednoczonych, według których w 2010 roku globalny

7 A. D'Andrea, *Global Nomads. Techno and New Age as transnational countercultures in Ibiza and Goa*, London: Routledge, 2009.

8 Szerzej na ten temat w mojej książce *Preteksty*, Gdańsk: WN Katedra, 2015.

zasób migrantów międzynarodowych, czyli liczba osób urodzonych poza krajem obecnego zamieszkania, wynosiła ponad 213,9 miliona. Ponad połowa z nich mieszkała w Ameryce Północnej (50 mln) i Europie (69,8 mln), przy czym na drugim z kontynentów widać znaczące dysproporcje. 48,8 mln imigrantów przebywało w Europie Zachodniej, z czego najwięcej w Niemczech (10,8 mln), Francji (6,7 mln) i Wielkiej Brytanii (6,5 mln). Wschodnia część Starego Kontynentu odegrała mniejszą rolę w procesie przyjmowania imigrantów, ale w Rosji odnotowano aż 12,3 mln, a na Ukrainie 5,3 mln imigrantów. Skalę współczesnej migracji obrazuje porównanie przedstawiające, że w latach 1965-1990 liczba krajów o znaczącym udziale (wynoszącym ponad 15 procent) imigrantów w całej populacji wzrosła z 34 do 53. Mamy koniec roku 2017, dodajmy więc tych wszystkich, którzy tylko w Europie pojawili się od tego czasu, a zobaczymy, że Stary Ląd mierzy się obecnie z kryzysem spowodowanym masowym napływem imigrantów z Azji, Afryki i krajów bałkańskich (w tym zdecydowana większość pochodzi z Kosowa, Albanii, Serbii, Syrii, Afganistanu i Erytrei). To największa fala imigrantów od czasu II wojny światowej. Dzisiejsza retoryka antyimigracyjna, w kontekście której sytuuje się także los wielkich rzesz uchodźców, owego – jak się pisze – morza ludzkiego, które pragnie dostać się wszelkimi możliwymi drogami do bram Europy, całkowicie wypiera bardziej pogłębiony sposób spojrzenia na problem współistnienia różnych grup społecznych i systemów wierzeń oraz na fakt, że wszyscy kiedyś byliśmy gatunkiem wędrownym. W *logorei* słów i obrazów zapomina się już ze szczeniem o niedawnej historii europejskiej, a więc o czasach po II wojnie światowej, kiedy to współcześni zasiedziali w Twierdzy Europa narodowi tubylcy szukali dopiero własnego miejsca w świecie po tej wielkiej katastrofie cywilizacyjnej. To wówczas nasze *emigrare*, *immigrare* i *migrare* objawiło się w pełni. Jak w „Dzikim kontynencie” przejmująco pisze Keith Lowe, Europa powojenna jawiła się zewnętrznym obserwatorom jako nowy *Czarny Ląd*, na którym między 1945 a 1947

*dziesiątki milionów mężczyzn, kobiet i dzieci zostały wygnane z własnych krajów w trakcie największych czystek etnicznych, jakie widział świat. To temat rzadko podnoszony przez chwalców „europejskiego cudu”, a jeszcze rzadziej rozumiany: nawet ci, którzy są świadkami wypędzenia Niemców, niewiele wiedzą o podobnych wydaleniach innych mniejszości narodowych w całej Europie Wschodniej. Kulturowemu zróżnicowaniu, stanowiącemu integralny składnik europejskiego krajobrazu przed wojną, a nawet w jej trakcie, zadano śmiertelny cios dopiero wtedy, gdy Europa się skończyła*⁹.

Zrozumieć wędrowca może tylko ten, kto uświadomi sobie wprzód, że osiadłość i stabilizacja jednych jest zawsze rezultatem wygnania, emigracji czy wypędzenia innych. Polska historia powojenna najlepiej o tym zaświadcza i widzę potrzebę, by te wyparte dzisiaj epizody odpominać w taki sposób, jak czyni to Magdalena Grzebałkowska w przejmującym dziele „1945. Wojna i pokój”, a wprowadzając kontekst europejski Ben Shephard w „Powrocie”¹⁰.

9 K. Lowe, *Dziki kontynent. Europa po II wojnie światowej*, tłum. M. P. Jabłoński, Poznań: Rebis, 2013, s. 17.

10 M. Grzebałkowska, *1945. Wojna i pokój*, Warszawa: Agora, 2015; B. Shepard, *Powrót*, tłum. J. Dzierzgowski, Warszawa: Wielka Litera, 2016.

Żyjemy dzisiaj w czasach dualizmu nowoczesności i ponowoczesności, który wymaga dwójakiego rodzaju kompromisu z odmiennością. Pierwszy dotyczy owej nieusuwalnej relacji „my”–„oni” pojmowanej jako rywalizacja/współistnienie konkurencyjnych tożsamości zbiorowych, z których każda chce być zauważona, doceniona i chce znaleźć własne miejsce w pluralistycznym świecie. W tym kontekście Zachód obawia się i niechętnie toleruje przede wszystkim wyznawców islamu, a więc owych współczesnych barbarzyńców „u naszych bram”. Ale ów dawny sposób rozumienia odmienności, wiążący jednostki z ich suwerennymi grupami, powracający pod postacią wojny kultur, budzi sprzeciw tych wszystkich, którzy od podobnych identyfikacji pragną się wyzwolić. Odmiennność tedy – jak argumentuje Michael Walzer – musi być objęta dwójakiego rodzaju tolerancją, która dotyczy na równi ponowoczesnych dysydentów, jak i fundamentalistów kulturowych, wśród których najgłośniejszą grupą są integraliści religijni¹¹. Chodzi więc w istocie o rządy tolerancyjnego myślenia; zadanie, przed jakim stajemy, niełatwa próba przywrócenia pierwotnego sensu pojęciu *humanitas* w obrębie *integritas* XXI wieku.

Pojęcie deterytorializacji kultury odnosi się do będącego coraz powszechniejszym stanem poczucia przynależności jednostki do różnych wspólnot, pomimo faktu, iż wspólnot tych nie łączy żadne wspólne terytorium. Dotyczy ono także nowej sytuacji, w jakiej znalazły się kultury narodowe i regionalne, które przestają być źródłem i opoką trwałej i odrębnej tożsamości. W pewnym sensie kultury te spotyka los, który wcześniej dotknął samo pojęcie kultury jako autonomicznej i totalizującej całości. Terminem tym jako pierwsi posłużyli się Gilles Deleuze i Félix Guattari w odniesieniu do momentu alienacji językowej wynikającej z braku przynależności. Archetypową postacią podobnej zdeterytorializowanej, nomadycznej świadomości językowej był Franz Kafka. Sposób, w jaki używa on języka, służy wyrażeniu *innej potencjalnej wspólnoty, jest poszukiwaniem odmiennej świadomości i wrażliwości*¹². Szerzej rzecz ujmując, termin *deterytorializacja* odnosi się do literatury drugorzędnej, drobnej, „mniejszościowej”, ale nie w sensie statusu, ale krytycznego stanowiska wobec pisarstwa kanonicznego i subwersywnego stosowania dominującego w niej języka. W postaci maksymalnie uogólnionej zasada deterytorializacji w ujęciu tych autorów wygląda następująco:

Myślenie nie jest ani nicią rozpiętą między podmiotem a przedmiotem, ani obracaniem się jednego wokół drugiego. Myślenie dokonuje się raczej w relacji z terytorium i ziemią. [Ziemia] sama stapia się z ruchem tych, którzy masowo opuszczają swoje terytorium, langust przemieszczających się na dnie morza jedna za drugą, pielgrzymów lub rycerzy jadących konno wzdłuż niebiańskiej linii perspektywicznej. Ziemia nie jest jednym z elementów, lecz obejmuje wszystkie elementy naraz, posługuje się jednak jednym lub drugim, ażeby zdeterytorializować terytorium. Ruchy deterytorializacji nie dają się oddzielić od terytoriów otwierających się na jakieś „gdzie indziej”, a procesy reterytorializacji nie

11 M. Walzer, *O tolerancji*, tłum. M. Baszniak, Warszawa: PIW, 1999, s. 23.

12 G. Deleuze, F. Guattari, *Kafka: Towards a Minor Literature*, Minneapolis: University of Minnesota Press, 1986, s. 17.

*dają się oddzielić od ziemi przywracającej terytoria. Są to dwa składniki, terytorium i ziemia wraz z dwiema strefami nierozróżnialności (terytorium od ziemi)*¹³.

Deterytorializacja nie jest romantycznym gestem duchowego i fizycznego wyłączenia się ze świata albo kosmopolitycznym brakiem zakorzenienia. Ojczyzna filozofii jest zawsze nieznana, stracona lub zapomniana, pozostawiając filozofa w stanie zdeterytorializowania, który próbuje, dzięki krytycznej myśli, dokonać aktu ponownej terytorializacji. Ta ostatnia nigdy nie jest kompletna i ostateczna, jest raczej nieustającym oscylowaniem między różnymi stanami i postaciami świadomości. Sam akt poszukiwania terytorium zakłada uprzednią deterytorializację i własną reterytorializację w sferze mitów, marzeń albo wyobrażeniu ziemi i przedmiotów. Takie myślenie nie ma charakteru linearnego, ale jest zapętlaniem, uwikłaniem się w sprzeczności i aporie.

Koncepcja Deleuze'a i Guattariego wydaje się być użytecznym sposobem rozumienia szczelin i rys w odniesieniu do języka i tożsamości kulturowej, zwłaszcza tych, którzy – jak Kafka i Rushdie – żyją w imaginacyjnych ojczyznach (słowa) albo – jak wygnańcy, obcy, migranci i jednostki *sans papiers* – nigdy nie będą do końca *chez-soi*. Globalizacja w wymiarze kulturowym „produkuje” miliony takich właśnie podmiotów. Wbrew temu, co zwykło się sądzić o związku kultury, miejsca i tożsamości, radzą sobie oni w sytuacji, gdy te trzy, rzekomo nierozdzielne, wymiary egzystencji uległy rozszczepieniu. Tożsamości „poza terytorium” są wielkim wyzwaniem dla myślenia terytorialnego, jako że uznają, że rasa, narodowość, religia i język, a także płeć kulturowa ma na całość ludzkiego życia znacznie większy wpływ niż samo miejsce zamieszkania. Innymi słowy, autonomia różnorodności staje w sprzeczności z jednorodnością, jaką zakłada pojęcie całościowej kultury i władzy terytorialnej¹⁴.

Wśród wielu dzisiejszych „wojen kulturowych”, toczących się w kulturze i polityce, jedną z istotniejszych jest ta, której obiektem są tożsamości metonimiczne, terytorialnie określone, i tożsamości metaforyczne, hybrydyczne, imaginacyjne, będące w drodze, nieosiadłe. To, co Edward Said nazwał *uogólnionym stanem bezdomności w świecie*, a więc w świecie diaspory, ponadnarodowych przepływów kulturowych i masowych przemieszczeń ludności, dawne próby odwzorowywania świata jako zbioru kultur lub regionów kulturowych czy ojczyzn

*zderzają się z olśniewającą mnogością postkolonialnych symulakr, podwojeń i zwielokrotnień, tak jak Indie i Pakistan najwyraźniej pojawiają się na nowo w postkolonialnej symulacji w Londynie, przedrewolucyjny Teheran odradza się z popiołów w Los Angeles, a tysiąc podobnych kulturowych marzeń odgrywa się w scenerii miejskiej i wiejskiej na całym globie*¹⁵.

13 G. Deleuze, F. Guattari, *Co to jest filozofia?*, tłum. P. Pieniążek, Gdańsk: słowo/obraz terytoria, 2000, s. 97.

14 Na ten temat zob.: H. Donna, Th. M. Wilson, *Borders. Frontiers of Identity, Nation and State*, Oxford: Berg, 2001 oraz N. Papastergiadis, *The Turbulence of Migration*, London: Polity Press, 2000.

15 A. Gupta, J. Ferguson, *Poza „kulturę”: przestrzeń, tożsamość i polityka różnicy*, [w:] *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej. Kontynuacje*, M. Kempy, E. Nowicka [red.], Warszawa: WN PWN, 2004, s. 271.

Rzeczywistość kulturowa zaczyna przypominać globalną diasporę, w której znajome linie oddzielające „tu” od „tam”, centrum od peryferii, kolonie od metropolii ulegają zatarciu. Kontre-akcją jest bujny rozwój nacjonalizmów, także terytorialnych, i to one przede wszystkim idą na kulturową wojnę z diasporą, hybrydycznością i deterytorializacją, jak zwykle w imię przywrócenia porządku i granic oraz „właściwej” miary, jaka należy się pojęciu różnicy. Takie jest także oblicze wielokulturowości współczesnej i to ono właśnie wymaga przemyślenia, co oznacza: odpominanie *immigrare*.

Wojciech Józef Burszta

Wojciech Marek **DARSKI**

Ludzie z łodzi

Jeżeli między ostatnim dziennikiem a firanką
pojawi się w Brzegu siedmiometrowa dżonka
nie należy się denerwować wzywać boga lub policję.
To tylko okręt widmo którym dziesięcioletnia
La Kieu Kim steruje w wieczności (*wielokrotnie
zgwalcona przez piratów najprawdopodobniej utonęła*).
Ogień św. Elma nie naświetla sprawy jaśniej. Jedynie
świeczka palona przez siostrę w kościółku Ban Thod
rozgrzewa pamięć. Październik. The Sunday Times
donosi: Ludzie z łodzi wciąż płyną. Wiosłują zapamiętałe
trwożliwym snem w koronach wodorostów. Zasięki fal
kaleczą im skórę. Solone mięso puchnie w brzuchach
z głodu i pragnienia. Nie zawracają. Płyną dalej
(*i dalej małe żółwie ścigają się z mewami na plażach*)
cichsi od kornika w stępcy. Mniejsi od pcheł wodnych
które strząsnął rekin. Kiedy obcy dziób uderza w burtę
wyciągają z pochew skośne oczy. Kobiety rozkładają migdały
by słodką goryczą kupić los. Grudzień: Oni wciąż płyną.
Wiosłują dniem i nocą. Zwiertzałym banknotem gwiazdą
księżycem strachem. Wprost fruną po falach
nadzieją wylęglą z rozpacz.

Wojciech Marek Darski, poeta, dziennikarz, redaktor, animator kultury; współzałożyciel giżyckiego Stowarzyszenia „Wspólnota Mazurska”, związany ze środowiskiem WK „Borussia” i pismem „Borussia. Kultura. Historia. Literatura” od początku jego istnienia; autor kilkunastu pozycji książkowych, m.in.: „Mała Antologia Mazurska” (1985), „Listy do Qwertzuiop” (1989), „Nowe odkrycia geograficzne i inne wiersze” (1993), „Wiadomości z za świata” (2003), „Mała Antologia Mazurska. Pasja według mnie” (2013), oraz wydawnictw przewodnikowych, m.in.: „Giżycko od środka. Przewodnik po mieście” (2014), a także współautor kompendium wiedzy o Mazurach, publikacji „Mazury. Słownik stronniczy, ilustrowany” (2008).

Grażyna **BANASZKIEWICZ**

Wot, eto nasz Arbat!

GRAŻYNA BANASZKIEWICZ

dziennikarka, reżyserka filmów telewizyjnych, dokumentalnych, fotograficzka, poetka, działaczka społeczna. W latach 1979-2011 związana z TVP S.A., współtworzyła tygodnik „Wprost”.

Kiedy przyjechałam do Jerozolimy na początku XXI wieku. po dłuższej nieobecności w tym mieście i do Ben Yehuda dochodziłam nie jak zwykle od rechow¹ Jaffa, ale od Ha-Melekh George, to – w otoczeniu wtedy kilku nowych budów, a dalej obszaru z wykopami, z dźwigami – trudno mi było rozpoznać drogę do tego najpopularniejszego tam deptaku. Podeszłam do stojącej na krawężniku wysokiej, masywnej kobiety, w beżowym lodenowym płaszczu, kobiety o rysach Gołdy Tencer. Miała ostro umalowane oczy, wyraźną, w czerwieni pomadką wypełnione wydatne usta, gęste, kruczoczarne do ramion włosy.

Zapytałam, czy obrałam dobry kierunek do interesującego mnie miejsca. Zapytałam po angielsku, ona jednak od razu zaznaczyła: – Gawari so mnoj na ruskom jazykie. Wy nawierno iz Pribałtyjskich Sowietkich Respublik... Wot, smatritie, eto nasz Arbat!² – Tu wykonała krągły, rozległy ruch ręką od narożnika, na którym stałyśmy, ku gdzieś tam w głąb zatłoczonej jak zawsze ulicy.

29

.....
1 Rechow – w języku hebrajskim ulica.

2 Ulica w centrum Moskwy. Od jej nazwy pochodzi także nazwa części dzielnicy miasta znajdującej się w centralnym okręgu administracyjnym Moskwy.

Tak, stałam już w istocie na Ben Yehuda. Mimo chłodu (to był bodaj luty, a pamiętać trzeba, że Jerozolima położona jest na wzgórzach, na tej samej wysokości geograficznej co w Polsce Zakopane) nawet w letnie dni następują tu nagle porywy wiatru i silne zachmurzenia, pada deszcz, a zimą coraz częściej śnieg.

Po zdecydowanym wyjaśnieniu zagadniętej kobiecie skąd jestem, oraz wzajemnych życzeniach *wsjewe charoszewo*, wędrowałam między grającymi na czym się da, dla zarobku oczywiście, solistami i grupkami muzycznymi najróżniejszych nacji, między prezentującymi religijne najczęściej publikacje czy popisującymi się różnego typu ekwilibrystką, prestidigitatorstwem i czym tam jeszcze.

Zaintrygowały mnie szyldy. Obok tych w języku hebrajskim i angielskim (incydentalnie arabskim) pojawiły się informujące o działalności niektórych sklepików, zwłaszcza pamiątkarskich, restauracyjek, lodziarni, kantorów, punktów wywoływania zdjęć i innych takich, również w języku rosyjskim.

A przecież kiedy w latach 80. minionego wieku przypytywałam tu nielegalnie (nielegalnie, gdyż w 1968 roku na fali polskiego antysemityzmu rząd Władysława Gomułki zerwał stosunki dyplomatyczne z państwem Izrael) stateczkiem „Princess” z Cypru, z Limassolu do Hajfy, gdzie wizę wjazdową dostawałam poza paszportem, na niebieskiej karcie (wiza Izraela w paszporcie wydanym przez PRL po powrocie do kraju skutkowałaby odebraniem mi paszportu i za-blokowaniem wszelkich zagranicznych podróży na całe lata), dosłownie wszędzie rozmawiałam po polsku.

Język polski, choć nadal obecny w rodzinach żydowskich z korzeniami polskimi, używany zwłaszcza gdy goszczą kogoś z kraju ich pochodzenia, coraz bardziej staje się w Izraelu legendą, sentymentalnym wspomnieniem.

Pokolenie polskich Żydów przybywające w latach 30. XX wieku do wtedy jeszcze Palestyny, potem Żydzi zjeżdżający do Ziemi Obiecanej po Holokauście, także przybywający bojowym szlakiem z Armią Andersa z końcem II wojny światowej, a dalej ci wyposażeni po wspomnianym 1968 roku w tzw. paszport w jedną stronę albo powymierali, albo są ludźmi w mocno podeszłym wieku. Schorowani, psychicznie obolali snują opowieści o swoich marzeniach i konfrontacji tych oczekiwań, marzeń, pragnień z rzeczywistością wymarzonego państwa powstałego na biblijnej ziemi, krainie miodem i mlekiem płynącej, do której nie tylko oni pretendują.

Pamiętam rozmowy, gdy z dumą opowiadali mi o tym, jak to właśnie żołnierze armii Andersa odbudowywali, czy raczej budowali państwo Izrael, Jerozolimę. Jak kolejni napływający do portu Polacy zasilali rolnicze kibuce, tworzyli strukturę proklamowanego w maju 1948 roku państwa Izrael.

W skrupulatnie spisanych tomach „Wspomnienia architekta” Władysława Czarneckiego³ (1892-1983) napotykam na relację z przybycia Wojska Polskiego do Palestyny w 1941 roku:

3 W. Czarnecki, *Wspomnienia architekta*, Poznań: Wydawnictwo Miejskie Poznań, 2015 (wyd. 2 zm.).

W porcie odczuwało się skutki wojny. Życie zamarło. Nasza „Warszawa” wzbudziła zainteresowanie. Do statku podchodziły przekupki z owocami na wózkach, oferując pomarańcze, grejpfruty i banany za dowolną walutę. Zjawiali się też pierwsi czarnogeldziarze. [...] Formalności paszportowe załatwiano na statku przez trzy dni. Bądź co bądź wpuszczano na ląd palestyński ogromną grupę przybyszów ze strefy zakażonej wpływami hitlerowskimi i komunistycznymi. [...] Przedstawiciele konsulatu polskiego załatwiali sprawy naszego obywatelstwa. Otrzymywaliśmy tymczasowe zaświadczenia zastępujące dowody osobiste. [...] Na statku dokonywano podziału całego transportu na grupy. Żołnierze i młodzież w wieku poborowym pojechali wprost do Ośrodka Zapasowego Brygady Karpackiej w Latrun koło Jerozolimy. Cywilne rodziny i starszych rangą oficerów przeznaczono do Tel Avivu. Część oficerów pojechała do Jerozolimy, reszta pozostała w Hajfie. Wszyscy oficerowie musieli stanąć przed komisją weryfikacyjną, a następnie komisją lekarską, ażeby uzyskać odpowiedni przydział.

Ze swoich licznych po polsku rozmów pamiętam i dramatyczne, bolesne opowieści o prześiadkach na morzu z jednego na drugi, mniejszy statek, by w końcu zejść na upragniony ląd i... trafić do łaźni, pod prysznic, a potem do obozu przejściowego. Dla tych, którzy ocalili z niemieckich obozów, był to niewyobrażalny szok, trauma. Potęgowana przez osadzonych już w Palestynie Żydów, nieznających realiów wojennych na ziemiach polskich, stających twardo do walki o swoje w tym miejscu państwo. „Nowych” postrzegali jako słabeuszy, pokornie podających się okupantowi. Mówili o nich „mydło”, sobie nadając miano Sabrów⁴. W nieformalnym slangu hebrajskim termin ten pojawił się na początku 1930 roku, wprowadzony przez ruch syjonistyczny określający „starych Żydów”, urodzonych na ziemi Izraela, w podtekście zawierający odniesienie do pustynnej wytrwałej, ciernistej rośliny o grubej skórze (mowa prawdopodobnie o opuncji) skrywającej słodkie, miękkie wnętrze... Od razu nasuwa się ogólne pytanie o to, kim jest Żyd, kto jest Żydem.

Odwołam się do źródłosłowu, określenie *Żyd*, *Żydzi* pochodzi od słów *Juda*, *Judejczyk*, od imienia jednego z dwunastu synów biblijnego patriarchy Jakuba oraz późniejszej nazwy jednego z dwunastu pokoleń Izraela. Plemiona Judy oraz Symeona zamieszkały w południowej części Palestyny, gdzie znajdowała się też Jerozolima, późniejsza stolica całego Izraela, a następnie, po podziale państwa Salomona, stolica Królestwa Judy. Judejczycy uważali się za bardziej godnych potomków Izraela, gdyż posiadali starożytną stolicę Dawida, świątynię Jahwe oraz w większym stopniu niż ich pobratymcy z północy zachowywali przepisy prawa mojżeszowego. Encyklopedyczna formuła brzmi:

*Żydzi (dosł. „chwalcy Jahwe” lub „czciciele Jahwe”, z hebrajskiego *Jehudim*) – naród semicki zamieszkujący w starożytności Palestynę, określany wtedy jako Hebrajczycy albo Izraelici,*

⁴ W 2010 r. ponad 4 mln izraelskich Żydów (70%) stanowili Sabras, z jeszcze większym odsetkiem izraelskiej młodzieży żydowskiej należącej do tej kategorii. W 2015 r. ok. 75% ludności żydowskiej Izraela urodziło się w Izraelu.

posługujący się wówczas językiem hebrajskim, a w średniowieczu i czasach nowożytnych mieszkający w diasporze na całym świecie, posługujący się wieloma różnymi językami⁵.

Żydzi nie stanowią jednolitej grupy religijnej i etnicznej. Dla Żydów ortodoksyjnych Żydem jest tylko ta osoba, która ma ortodoksyjną matkę lub przeszła konwersję na judaizm. Za Żydów uważa się jednak i wiele osób, które nie są Żydami ortodoksyjnymi. Pytanie zatem się wzmacnia: kto jest Żydem? I nie ma w pełni jednoznacznej odpowiedzi, jako że może to być identyfikacja kulturowa, etniczna, religijna. Wiele osób, które uważają się z jakichś powodów za Żydów, nie jest za takie uznawanych przez inne grupy czy instytucje. Dotyczy to chociażby Żydów reformowanych, którzy pomimo etnicznego pochodzenia żydowskiego często przez Żydów ortodoksyjnych nie są akceptowani. Według prawa izraelskiego Żydem jest osoba, która ma ortodoksyjną żydowską matkę, jakkolwiek prawo do obywatelstwa, bez oficjalnego traktowania takiej osoby za Żyda, ma każda osoba, której przynajmniej jedno z dziadków jest (było) ortodoksyjnym Żydem.

Judith Hendel (1921-2014) urodzona w Warszawie w rodzinie chasydzkich rabinów izraelska pisarka i autorka scenariuszy filmowych, która wraz z rodzicami w 1930 roku przybyła do Palestyny pod Brytyjskim Mandatem, twierdziła, że Izraelu są dwie rasy. Rasę lepszych stanowią przybyli do Izraela przed wojną lub tam urodzeni i ci gorsi, godni pogardy Żydzi, przybyli do Ziemi Obiecanej po wojnie. Uważano ich za słabych, zamkniętych w sobie melancholików, na domiar złego nie posługiwali się biegle językiem hebrajskim. Oficerowie polityczni izraelskiej armii, a co trzeci żołnierz w niej był ocalałym z Zagłady Europejczykiem, uważali, że trzeba ich uczyć ludzkiej moralności...

Podobnie mówiła spotkana w szlifierni diamentów w Hajfie, wtedy, w 1988 roku, 50-letnia kobieta, pochodząca z Czerniowiec na obecnej Ukrainie. Do Izraela dostała się w 1960 roku przez Rumunię. Uciekła stamtąd ze swoim mężem dentystą. Ale podkreślała, że nie narzeka.

– Przeszłam przez wojsko – dodała. – Praca jest, w domu się układa. Resztę można przetrwać. Najtrudniej z klimatem, gdy nie ma czym oddychać. Widzi pani, jaką mam twarz? – Patrzyła na mnie zapadłymi, ale nadal mocnymi, ciemnymi oczyma. – Tylko zmarszczki – skinięła gestem ręki dającym do zrozumienia, że wyczerpała temat imigracji, że powraca do swoich zajęć.

32 Owe bolesne wątki pojawiają się choćby filmach Amosa Gitaia „Kedma” (2002, akcja rozgrywa się w maju 1948 roku) czy również u nas niedawno wyświetlanego poruszającego obrazu Natalie Portman na motywach autobiograficznej powieści Amosa Oza (jego rodzice, Arie Klausner i Fania Mussman, wyemigrowali z Wilna i Równego do Palestyny w latach 30. XX wieku) „O miłości i mroku”. Wiele tych bolesnych wątków można znaleźć w wydanej właśnie, uznawanej za kontrowersyjną, książce Piotra Zychowicza „Żydzi. Opowieści niepoprawne politycznie” (Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 2016).

.....
5 Za: <https://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%BBydzi>

Kiedy odwiedzałam malarkę Avivę Blum w jej w jej jerozolimskiej pracowni, niechętnie wracała pamięcią do swojego przyjazdu do Izraela w 1950 roku. Wiktorii Blum urodziła się w Warszawie w 1932 roku w rodzinie z wileńskimi korzeniami. Mama Wiktorii, Luba Bielicka-Blum, była pielęgniarką, równocześnie dyrektorką Szkoły Pielęgniarskiej przy ul. Kasprzaka w Warszawie. Ojciec, Abrasza Blum, był inżynierem, jednym z przywódców powstania w getcie warszawskim w 1943 roku, został zamordowany przez hitlerowców. Oboje byli aktywistami Bundu⁶. Matka przemyciła córkę na polską stronę getta. Dzięki polskim rodzinom ocalała. W Izraelu otrzymała imię Aviva. Przybywającym tam Żydom nadawano bowiem nowe, hebrajskie imiona i nazwiska.

Może dlatego – pozwalałam sobie na dygresję osobistą – po złożeniu w Yad Vashem listy z nazwiskami rodziny mojej matki, rodziny (na jej oczach, niespełna 13-letniej dziewczynki) wymordowanej w Zaleszczykach pod Buczaczem w 1941 roku. Zapewne dlatego pewien młody człowiek przesłał mi e-mail z uwagą, że podaję przecież też... polskie nazwiska.

– Tak – pod długiej chwili milczenia Aviva otwiera się. – W lutym 1950 roku zesłam ze statku w Hajfie. Trafiłam do kibucu Haszomer Hacair w Galilei. Później znalazłam się w kibucu bliżej Jerozolimy. Pracowałam przy kurach, uczyłam się hebrajskiego. Byliśmy wszyscy młodzi, był w nas entuzjizm. Długo by opowiadać...

Przydzielono jej męża, urodziła dwoje dzieci. Ale będąc jeszcze członkiem kibucu, ukończyła szkołę malarstwa w Tel Awiwie. Jej mistrzem był znany artysta malarz Yehezkel Streichman (ur. w Kownie w 1906, zmarły w 1993 roku).

Zresztą gdy idę przez salę malarstwa dawnego w nowoczesnym bardzo budynku (formą nawiązującym do kształtu Arki) Muzeum Sztuk Tel Awiwu, na wizytówkach przy eksponowanych rzeźbach i obrazach znajduję cały szereg nazwisk Żydów z Polski, z datami urodzenia, bywa, jeszcze w XIX wieku, w Warszawie, w Łodzi, w Goraju, Płocku, Ostrowi Mazowieckiej, w Biłgoraju, w Pińsku, w Buczaczu i wielu innych polskich miastach, miasteczkach.

W muzeum panowie z ochrony, ci, z którymi miałam kontakt, panie w kasie, osoby przy eksponatach mówią po rosyjsku. Ci ostatni, nie wiedząc czegoś o danym obrazie, ekspozycji, wskazują wywieszki: – Posmotri, zdjes wsjo napisano...

Moi przygodni rozmówcy napotkani w różnych miejscach Izraela przez lata zawsze żywo bardzo reagowali, słysząc – w odpowiedzi na ich pytanie, skąd jestem – że jestem z Polski. Nie miał wykrzykiwali:

.....
6 Bund – Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji, założony 7 października 1897 r. w Wilnie, celem było zjednoczenie wszystkich żydowskich robotników imperium rosyjskiego w jednej, socjalistycznej partii. W skład imperium rosyjskiego wchodziły wówczas tereny dzisiejszych państw takich jak Litwa, Łotwa, Białoruś, Ukraina i część terytorium Polski. Były to obszary, które zamieszkiwała większość wszystkich Żydów na świecie. Początkowo Bund dążył więc do tego, aby przyłączyć się do szerszego ruchu socjalistycznego i współtworzyć demokratyczną i socjalistyczną Rosję. Żyjący w takim państwie Żydzi mieli zostać oficjalnie uznani za naród i otrzymać status pełnoprawnej mniejszości narodowej.

– A czy wiesz, że Kneset tworzyli głównie Żydzi z Polski, że przez lata kłócili się w Knesecie po polsku?!

Rzeczywiście, większość premierów Izraela pochodzi z Polski:

– Dawid Ben Gurion (kadencje 1948-1954 i 1955-1963) urodził się 16 października 1886 roku w Polsce w Płońsku (wówczas znajdującego się na terenie Rosji) jako Dawid Grün. Kształcił się w szkole hebrajskiej założonej przez ojca, Avigdora Gruna, który był prawnikiem i liderem organizacji syjonistycznej Chowewej Zijon. Jego matka, Scheindel, zmarła, gdy Dawid miał 11 lat. Nazywany był „twórcą Izraela” i „ojcem narodu”. Uczestniczył w budowaniu instytucji państwowych, przewodniczył w kierowaniu licznymi projektami na rzecz rozwoju kraju. Stał na czele państwa do 1963 roku, kiedy to ustąpił z urzędu. Zmarł 1 grudnia 1973 roku. Pochowano go tam, gdzie chciał spocząć, w grobowcu w wiosce Midreszet Ben Gurion na pustyni Negew.

– Golda Meir (kadencja 1969-1974) urodziła się 3 maja 1898 roku w Kijowie na dzisiejszej Ukrainie jako Golda Mabowicz. Była córką Blume Naidicz i Mosze Mabowicza. Nazywano ją „matką narodu”. Zmarła 8 grudnia 1978 roku w Jerozolimie.

– Menachem Wolfowicz Begin (kadencja 1977-1983) urodził się 16 sierpnia 1913 roku w Brześciu Litewskim jako Mieczysław Biegun, zmarł 9 marca 1992 roku w Tel Awiwie.

– Icchak Szamir (kadencja 1983-1984) urodził się w 1915 roku w Różanej, w Polsce, dziś Ruzinoj na Białorusi, jako Icchak Jaziernicki, zmarł 30 czerwca 2012 roku w Tel Awiwie.

– Szymon Peres (kadencje 1984-1986 i 1995-1996), urodził się 2 sierpnia 1923 roku w Winiawie, obecnie Białoruś, jako Szymon Perske), zmarł 28 września 2016 roku w Ramat Gan. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 1994 roku za negocjacje, które prowadził jako minister spraw zagranicznych, ich skutkiem były tzw. porozumienia z Oslo (wzajemne uznanie Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny), nazwany ostatnim człowiekiem z „pokolenia wielkich”. Pochowany został w miejscu grobów prezydentów, premierów, przewodniczących Knesetu na Krajowym Cywilnym Cmentarzu Państwa Izrael (hebr. Helkat Gedolei Ha'Uma) na Wzgórzu Herzla w Jerozolimie.

– Ehud Olmert (2006-2009) urodził się 30 września 1945 roku w Binamina-Giwat Ada, ale jak sam wspomina, jego rodzice, Bellah i Mordechaj, uchodząc przed prześladowaniami, wyemigrowali do Chin z terenów dzisiejszej Ukrainy i Rosji, a dalej do Palestyny.

– Szewach Weiss urodził się 5 lipca 1935 roku w Borysławiu, dzisiejsza Ukraina – przewodnicząc Knesetu w latach 1992-1996, później ambasador Izraela w Polsce w latach 2001-2003, wspomina, że kiedy chciano go delegować w inne na świecie miejsce, on upomniał się o stanowisko, zamiast odpowiedzieć zapytał: – A twoja mamusia skąd pochodziła?...

Lista osób z terenów Polski – które wywodzą się z okresu przedwojennego i są znaczące nie tylko w parlamencie izraelskim – jest bardzo długa. Długa jest także półka książek izraelskich pisarzy, w których szeleszczą polskie nazwiska i – jak wcześniej już wspominałam – przywoływane są tamte lata, tamte życiorysy.

W mojej rozmowie z tłumaczem literatury Amosa Oza Leszkiem Kwiatkowskim (Kwartalnik Literacki „WYSPA”, nr IV/2015) znajduje się taki fragment:

GB – Bohaterowie powieści Oza, jak wielu obywateli państwa Izrael, przybyszów z różnych kierunków, wielu na świecie diaspor, to ludzie o rozbudzonych marzeniach, nierzadko ślepo za tymi marzeniami podążający.

LK – O marzeniach rozbudzonych, ale i niekiedy uśpionych. Tak jak główny bohater „Judasza”, Szmuel. Można powiedzieć, że w domu, do którego trafił po trudnych doświadczeniach życiowych związanych z porzuceniem przez dziewczynę, zerwaniem studiów oraz bankructwem rodziców – zapada w zimowy sen. Zresztą jest tam porównywany przez autora do niedźwiedzia. Jednakże ostatecznie z tego domu wychodzi... Sam dom pozostaje poza czasem. Trauma jego mieszkańców nie została przepracowana. Oni nią żyją.

Trzeba mieć jednakże świadomość, że Izrael, którego społeczność powstawała w efekcie imigracji, od samego zarania był i jest do dzisiaj niebywałym tygłem ludności różnych ras i wyznań. Między majem 1948 a końcem 1951 roku do Izraela przybyło 687 tys. Żydów, w tym niemal połowa z Europy (49,3 procent), 35,8 procent z Azji, 14,2 procent z Afryki i około 0,7 procent z Ameryki. Lata 1952-1954 przyniosły ograniczenie imigracji do 54,1 tys. osób (głównie z Azji i Afryki), kolejna fala imigracyjna, licząca 165 tys. osób, przybyła w latach 1955-1957 (30 procent z Europy, 63 procent z arabskich krajów Afryki). W latach 1958-1960 imigracja ponownie zmalała (76 tys. osób, większość z Europy), natomiast w latach 1961-1964 powiększyła się o 228 tys. (głównie z Afryki). Do 1961 roku Izrael wzrost liczby ludności w 69 procentach zawdzięczał imigrantom, a tylko w 31 procentach dzieciom urodzonym w kraju. Tendencja ta zaczęła się odwracać dopiero w następnym dziesięcioleciu⁷.

Taki melanz różnych nacji, kultur, wyznań, plemiennych uwarunkowań, a przede wszystkim oczekiwań wobec nowej ojczyzny musiał skutkować – i skutkował – wieloma trudnościami, przesileniami. A wszystko w miejscu o wyjątkowo niekorzystnych dla państwa wielkich nadziei uwarunkowaniach geopolitycznych.

W 1947 roku projektowane państwo żydowskie i projektowana strefa Jerozolimy to były obszary otoczone granicami z Syrią, Transjordanią i Egiptem, a w środku tego klina granicami z projektowanym państwem arabskim. Od zarania więc nowej państwowości Żydzi zostali bezpośrednio skonfrontowani z odwiecznymi swoimi wrogami – Arabami. (Motyw tych relacji znaleźć można na przykład w operze „Samson i Dalila” Camille’a Saint-Saënsa z librettem Ferdinanda Lemaire’a, opartej na starobiblijnej opowieści o Samsonie i Dalili z rozdziału 16. Księgi Sędziów).

Należało zdawać sobie sprawę z niemożności uniknięcia konfliktów. Tymczasem nowo przybywający do już proklamowanego (14 maja 1948 roku) państwa Izrael musieli gdzieś mieszkać, jeść, pracować. Część z nich zajęła domy porzucone przez Arabów, innych kwaterowano

7 A. Chojnowski, J. Tomaszewski, *Izrael*, Warszawa: Trio, 2001.

w barakach czy koszarach pozostawionych przez Brytyjczyków. Na mocy tajnego układu francusko-brytyjskiego od 1916 roku cały ten obszar podlegał Mandatowi Brytyjskiemu. Tzw. Brytyjski Mandat Palestyny ustanowiono 1 lipca 1920 roku, zawierając traktat pokojowy z Turcją. 29 listopada 1947 roku Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych przyjęło rezolucję nr 181 będącą decyzją w sprawie podziału Palestyny – państwo żydowskie miało liczyć 14 257 km kw. powierzchni i 935 tys. mieszkańców, a państwo arabskie miało liczyć 11 664 km kw. powierzchni i 814 tys. mieszkańców.

* * *

Agencja Żydowska importowała jednocześnie – kontynuując wątek zabezpieczania mieszkań dla osadników w Izraelu – skromne prefabrykowane domki ze Skandynawii. Powstały też osiedla namiotowe. Niemalym, a właściwie jeszcze większym problemem stawało się zatrudnienie tak rozmieszczonych imigrantów.

W 1950 roku zaczęto tworzyć obozy przejściowe na przedmieściach ośrodków przemysłowych. Mężczyzn w sile wieku kierowano często do prac przy wielkich przedsięwzięciach publicznych, zwłaszcza tam, gdzie można było osiągnąć szybkie efekty bez dużych nakładów kapitałowych. Na wielką skalę zaczęto zalesianie wzgórz, do tej pory pozbawionych roślinności i przez to poddanych erozji. Widoczne dziś w wielu okolicach Izraela gęste i dorodne lasy powstały dzięki wysiłkowi tychże pionierów⁸.

Przypomnę, że dzięki podobnemu wysiłkowi poprowadzono oddany w 1960 roku wodociąg Północ-Południe, i dzisiaj odwiedzających Izrael zdumiewają połącze foliowych namiotów na pustyniach wzdłuż drogi nr 60, w których uprawia się warzywa, owoce, zioła, rośliny ozdobne. *Á propos* tychże upraw. Opowiadała mi Tova Aran-Friedman – która urodziła się w Krakowie, miała 5 lat, gdy wybuchła wojna, z rodzicami uciekającymi przed Niemcami trafiła od obozów pracy na Syberii, a potem w Bucharze, w Uzbekistanie, natomiast na mocy porozumienia z 1946 roku między Wandą Wasilewską a Stalinem, stanowiącego o amnestii dla polskich Żydów na wygnaniu w Rosji, w 1947 roku przez Czechy, Austrię i Francję trafiła do Izraela – że dużym problemem były dla zróżnicowanych grup ludnościowych nowego państwa nawyki żywieniowe. Dominowały potrawy mączne, tłuste, słodkie, mało urozmaicone. I ona (blisko współpracująca z Goldą Meir, często przygotowująca menu jej oficjalnych oraz nieoficjalnych przyjęć) organizowała targi rolnicze, prowadziła telewizyjne programy o gotowaniu, wydała książki z przepisami kuchni żydowskiej, żeby upowszechnić dania właśnie z jarzynami, owocami, świeżymi ziołami.

* * *

Powracam nie tylko do swoich pierwszych wizyt w Izraelu, ale także do początków kształtowania się państwa Izrael (Medinat Israel), żeby pokazać, jak złożonym procesem było budowanie

.....
8 Tamże.

nowej państwowości, ale też jak zmieniająca się na naszych oczach mapa geopolityczna świata wpływa na przekształcanie się struktury ludności Izraela, jak determinuje jego współczesność. Państwo, w którym u jego zarania dominowała społeczność z więziami europejskimi (przybysze z Europy Zachodniej oraz Europy Wschodniej), zaczęło dość gwałtownie zmieniać swoje oblicze wskutek coraz intensywniejszej imigracji z krajów Azji i Afryki. Grupa Żydów „wschodnich” w latach 60. minionego stulecia z 15 procent w 1948 roku wzrosła do blisko 50 procent i była dość zróżnicowana⁹. Jej elita, bogata i wykształcona (w Wielkiej Brytanii i Francji), zamieszkiwała od dziesiątków lat Jerozolimę, zajmując tam silną pozycję w gospodarce, zwłaszcza w bankowości. Po powstaniu państwa integrowała się jednak szybko z wyższymi sferami aszkenazyjskiej inteligencji¹⁰, zasilając izraelskie sfery rządzące wieloma znanymi prawnikami, bankierami i przemysłowcami.

Ciekawą grupę stanowili Żydzi jemeńscy, którzy do Palestyny dotarli jeszcze przed I wojną światową, w końcu XIX wieku. Znajdowali się wśród niej zwłaszcza rzemieślnicy, często mistrzowie rękodzielnictwa. Łatwiej wtapiali się w życie jiszuwu¹¹ niż przybysze z Azji i Afryki. Osiedlali się na roli lub pozostawali w rzemiośle. Główna fala imigracji z Azji i Afryki (m.in. z Maroka, Egiptu, Iraku) osiadła w Jerozolimie, Tyberiadzie oraz wokół Tel Awiwu. Tworzyły ją masy w większości dawnych mieszkańców pustyni, niewykształconej (nieliczni tylko Żydzi marokańscy i iraccy mogli się poszczycić ukończeniem szkół francuskich i brytyjskich), ubogiej i tradycjonalistycznej religijnie ludności, żyjącej na zewnątrz skupisk i etosu syjonistycznego¹². Wystąpiły tu również różnice tak antropologiczne, jak i kulturowe, obyczajowe.

Wspomina się jeszcze dzisiaj ich zaskoczenie widokiem schodów, wodociągów czy innych nowinek technicznych. Problemem był niestety także brak u nich subordynacji i popędliwości. Zespoleniem społecznym, w jakimś stopniu i awansem cywilizacyjnym, obok tzw. szerzenia oświaty stawała się służba wojskowa. W Izraelu – ze względu na stałe zagrożenie zewnętrzne – obejmująca zarówno mężczyźni, jak i kobiety (3 lata – służba mężczyzn, 2 lata – lub 3, gdy idą do jednostek specjalnych – dla kobiet).

Zdecydowaną przeszkodę integracyjną, ugruntowywanie etnicznych odrębności stanowiło rozmieszczanie imigrantów zwykle w jednym miejscu, co przypominało zamknięte etniczne dzielnice niemalże na podobieństwo jerozolimskiej ortodoksyjnej Mea Shearim.

9 Tamże, zob. rozdz. *Naród izraelski*.

10 Żydzi zamieszkujący Europę Środkową, Wschodnią i częściowo Zachodnią, a od XVII w. również Amerykę. Nazwa „aszkenazi” wywodzi się od Aszkenaza, postaci biblijnej i pierworodnego syna Gomera (Księga Rodzaju X). W literaturze rabinicznej królestwo Aszkenaza pierwotnie związane było z ziemiami zamieszkałymi przez Scytów, następnie Słowian, natomiast od XI w. z Europą północną i Niemcami. Gdy w czasach późniejszych główne ośrodki żydowskiego nauczania skupiły się w Niemczech, Żydów zamieszkujących Europę Zachodnią i Środkową zaczęto nazywać *aszkenazim* (aszkenazyjczykami).

11 Z hebr. *le-jaszew* – osiedlić się, osiaść; słowo używane najczęściej na określenie żydowskiej społeczności w Palestynie przed powstaniem państwa Izrael, szczególnie w kontekście jej organów samorządowych oraz projektów zagospodarowania Palestyny.

12 Syjonizm (od nazwy wzgórza Syjon w Jerozolimie, na którym stała Świątynia Jerozolimska) – ruch polityczny i społeczny, dążący do odtworzenia żydowskiej siedziby narodowej na terenach starożytnego Izraela, będących w okresie międzywojennym mandatem Wielkiej Brytanii (Brytyjski Mandat Palestyny).

Przybyszów z Afryki Północnej na przykład ulokowano w Bet Szemesz, miejscowości znajdującej się między Tel Awiwem a Jerozolimą. Można więc w jakimś stopniu proces integracji, adaptacji przybywających na ziemię Izraela przyrównać do sytuacji w Stanach Zjednoczonych przełomu XIX i XX wieku, kiedy to zwłaszcza Włosi i Irlandczycy wchodzili w realia społeczno-polityczne swojej nowej ojczyzny.

Pozostanę jeszcze na stronach publikacji „Izrael”, jako że stanowi ona opracowanie dalekie od zwykłej doraźnej formuły przewodnikowej, wnikliwie i wielopłaszczyznowo analizuje procesy zachodzące od zarania w obrębie Erec Israel (ziemi Izraela). Dane statystyczne znacząco dopełniają słowne opisy, obrazy tamtego pionierskiego czasu. Czytam tam na przykład, że:

Na wyższych uczelniach studenci „wschodni” reprezentowali w 1960 r. tylko 5 proc. ogółu (w 1969 r. – 14 proc.), przy czym zaledwie 0,8 proc. tej młodzieży trafiło w ogóle na studia (w 1969 r. – 1,6 proc. – w skali całego kraju te odsetki wynosiły 4,1 i 6,4 procent). Dzięki temu imigranci z Europy wyróżniali się liczniejszą grupą osób z wyższym wykształceniem: w 1983 r. dyplomy uniwersyteckie miało 17,4 proc. mężczyzn i 12,8 proc. kobiet, podczas gdy Żydów z Afryki tylko 3 proc. mężczyzn i 2 proc. kobiet.

Porównałam procesy integracyjne Izraela z podobnymi procesami w USA, tak samo bowiem jak tam, tak i tu kulturę izraelską tworzyli imigranci z różnych stron świata. W wielu publikacjach przytacza się przykład pierwszego w Tel Awiwie teatru żydowskiego „Habima” (Scena). Powstał on w 1931 roku dzięki Konstantinowi Siergiejewiczowi Stanisławskiemu (twórca tzw. metody Stanisławskiego, techniki gry aktorskiej operującej nowymi środkami, opartymi na realizmie psychologicznym postaci, na uruchamianiu podświadomości) oraz dzięki przybyłej z Rosji Hannie Rowinie, przez lata pierwszej damie hebrajskiej sceny narodowej.

Imigrantami byli pionierzy żydowsko-palestyńskiej poezji: urodzony na Ukrainie Chaim Nachman Bialik, i prozy – pochodzący z Galicji Wschodniej Szmuel Josef Agnon, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1966 roku.

Efektom zróżnicowania poziomu dwóch światów etniczno-kulturowych stała się też niska aktywność grupy „wschodniej” w obszarze polityki, brak politycznych osobowości, tym samym brak przedstawicieli w gremium urzędników państwowych. W latach 1949-1973 liczba posłów pochodzenia afrykańskiego i azjatyckiego wzrosła (tylko czy aż ?) z 8 do 19.

Jaką drogę od tamtych chwil przeszło państwo Izrael, odczytujemy choćby w jednym z felietonów byłego ambasadora Izraela w Polsce Szewacha Weissa, pomieszczanych w „Rzeczpospolitej”. Tekst zatytułowany „Polityczne kasyno Izrael” pokazuje współczesną strukturę izraelskiego parlamentu.

Pejzaż polityczny Izraela zmieniają kolejne fale imigrantów z różnych stron świata. Obecnie [rok 2009 – przyp. GB] przebudowuje go 200-tysięczna rzesza Żydów z byłego Związku Sowieckiego. To oni zagłosowali na prawicowy i narodowy Nasz Dom Izrael Awigдора Libermana, umożliwiając jego sukces. Wybory pokazują także, że pogłębia się tendencja powrotu do etniczności. Arabowie głosują na partie arabskie, a religijni Żydzi – na swoje stronnictwa. Teraz szkodzi to głównie Partii Pracy – Awodzie, ale długofalowo odbije się niekorzystnie także na notowaniach prawicowego Likudu. Postępująca fragmentaryzacja Knesetu jest faktem. Przeksztalca się on stopniowo w polityczne kasyno, gdzie o zwycięstwie lub porażce poszczególnych, bardzo licznych graczy decyduje ślepy los. W dużej mierze odpowiada za to system wyborczy: skrajnie proporcjonalny, z bardzo niskimi 2-proc. progami wyborczymi¹³.

Oto obraz politycznej mozaiki Izraela, wykaz poszczególnych partii z listy ugrupowań biorących udział w ostatnich wyborach. Partie, które nie weszły do Knesetu, praktycznie wytraciły po wyborach swoją aktywność:¹⁴ Ale Jarok [Zielony Liść] – ultraliberalna partia polityczna; Am Echad [Jeden Naród] – ugrupowanie syjonistyczne; Ta'al (Arabski Ruch Odnowy); Balad – arabska partia nacjonalistyczna; Chajil – prawicowa izraelska partia polityczna; Da'am – radykalnie lewicowa, zrzesza głównie izraelskich Arabów; Geszer [Most], ostatecznie zjednoczona z Likudem; Gil [Wiek] – izraelska partia polityczna emerytów; Ha-Jerukim [Zieloni] – partia zielonych; Hadasz – skrajnie lewicowy front polityczny; Herut [Wolność], prawicowa partia założona w 1948 roku przez Menachema Begina; Hetz [Strzała] nazywana często też Hilonit Zionit [Świeccy Syjoniści]; Jisra'el ba-Alijja – ugrupowanie centrowe; Izraelska Unia Narodowa [Halchud HaLeumi] – izraelskie prawicowe ugrupowanie polityczne powstałe z połączenia trzech partii: Moledet [Ojczyzna], Tekuma [Odrodzenie] i Odnowionej Partii Religijnego Syjonizmu; Jisra'el Ahat [Jeden Izrael] – blok partii lewicowych: Partia Pracy, Meimad i Geszer; Kach i Kahane Chai – partia skrajnie nacjonalistyczna; Kadima – centrowa partia polityczna; Likud [Utrwalenie] – prawicowa partia polityczna; Meimad [Żydowskie Państwo] – lewicowa, religijno-syjonistyczna partia polityczna; Meretz [Witalność] – świecka lewicowa partia polityczna; Meretz-Jachad – partia polityczna o charakterze lewicowym i socjaldemokratycznym; Moledet [Ojczyzna] – prawicowa partia polityczna; Narodowa Partia Religijna (Ma'fal) – partia polityczna reprezentująca nurt religijnego syjonizmu; Partia Centrum Izrael (Mifletet Hamerkaz) – grupa rozłamowa złożona z członków Likudu i Partii Pracy; Izraelska Partia Pracy (Avoda) – centrowa, syjonistyczna partia polityczna; Jahadut Ha-Tora [Zjednoczony Judaizm Tory lub Partia Tory] – prawicowe ugrupowanie polityczne będące sojuszem dwóch ortodoksyjnych partii religijnych: Degel HaTorach [Sztandar Tory] i Agudat Israel; Szinui – syjonistyczna, świecka i antyklerykalna, liberalna partia polityczna; Szas [Sefardyjska Partia Strażników Tory] – partia polityczna, reprezentująca w większości ortodoksyjnych Żydów sefardyjskich; Comet [Skrzyżowanie] – prawicowa izraelska partia polityczna; Jisra'el Betanu [Nasz Dom Izrael] – prawicowa partia polityczna; Zjednoczona Lista Arabska.

13 Zob. Sz. Weiss, *Polityczne kasyno Izrael*, Rzeczpospolita, 4 grudnia 2009 r.

14 Portal Izrael.

Ponieważ wybory do Knesetu (wybory w 2015 roku odbywały się przy podwyższonym, 3-procentowym progu) opierają się na przedstawicielstwie proporcjonalnym, jedna partia na ogół nie ma szans na zdobycie pełni władzy. Drobne partie zmuszone są do podejmowania współpracy, a formowanie rządu opiera się na układzie koalicyjnym. Szczęólnego znaczenia nabierają za każdym razem partie religijne, które mają zdolność tworzenia koalicji z ugrupowaniami wiodącymi, z Likudem i z Partią Pracy.

* * *

Tak więc partie imigrantów oraz migrantów stają się nowym zjawiskiem na scenie politycznej Izraela, w którym przez lata ton polityce i życiu społecznemu nadawali głównie przedstawiciele Żydów aszkenazyjskich. Choć należy odnotować, że i wśród Żydów sefardyjskich zdarzały się kariery polityczne, by wspomnieć takich ludzi jak prezydent Mosze Kacaw (poseł do Knesetu w latach 1997-2000, w latach 2000-2007 prezydent Izraela) i minister obrony Szaul Mofaz – obaj pochodzący z Iranu, minister infrastruktury Benjamin Ben Eliezer – imigrant z Iraku czy minister transportu Meir Szetrit, urodzony w Maroku.

Trudno jednak dzisiaj nie zauważyć, że do głosu dochodzi trzecie pokolenie wspomnianych już grup długo etnicznie zamkniętych, pokolenie odważniejsze w zdobywaniu wykształcenia, formowane mentalnie zwłaszcza przez wszechobecne media rozbudzające chęć posiadania, wzmożonej konsumpcji oraz uczestniczenia w toku wszelkich spraw społecznych, publicznych na absolutnie równych wszystkim prawach. I to ich głównie widzimy w ulicznych demonstracjach, gdy domagają się właśnie równego statusu w obszarze struktur społecznych, praw obywatelskich.

* * *

Nie bez znaczenia w społecznych przemianach są też coraz częstsze małżeństwa mieszane, naruszające casus obyczaju, a nawet religii. Wiele dyskusji i oporów wywołała przed dwoma laty powieść „Żywopłót” Dorit Rabinyan izraelskiej pisarki, urodzonej w 1972 roku w rodzinie o irańskich korzeniach. Jest ona laureatką licznych nagród literackich w Izraelu i za granicą za dwie wcześniejsze powieści („Simtat Ha-Be-Oumrijan Shkediyyot” [Perskie żony], 1995, oraz „Ha-Chatunot Shelanu” [Nasze wesela], 1999). Jej książki stały się bestsellerami, są przełożone na kilkanaście języków. „Żywopłót” („Gader Haya”)¹⁵ jest pierwszą z książek Dorit Rabinyan przetłumaczoną na język polski. Pisarka była gościem „Literackiego Sopotu” w sierpniu 2016 roku. O swojej najnowszej książce w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówiła:

Oto na drodze Hilmiiego – charyzmatycznego, całkiem przystojnego, wykształconego młodego człowieka, staje Izraelka Liat, nie jakaś tam radykalnie lewicowa... Zaczynają rozmawiać, doświadczać siebie nawzajem. I nie tylko uczą się miłości do siebie, ale też dodają to, czego doświadcza ich wrażliwość, inteligencja, przecucie, do zamazanego obrazu tej drugiej osoby, wyniesionego z ich rodzinnych domów w Tel Awiwie i Hebronie. Liat zmie-

15 D. Rabinyan, *Żywopłót*, tłum. A. Olek, Sopot: Smak Słowa, 2016.

nia wroga w ukochanego. I to już z perspektywy izraelskiej rzeczywistości jest bardzo radykalne¹⁶.

W równym stopniu film izraelski dotyka owych nieprzekraczalnych przez lata granic. W 2006 roku powstał film Eytana Foxa „Bańka mydlana”, również o miłości izraelsko-palestyńskiej, w tym przypadku o miłości gejowskiej.

W literaturze traktującej o sytuacji Izraela podkreśla się trzy zasadnicze linie podziałów społecznych:

- silny antagonizm Żydów i Arabów izraelskich;
- różnice kulturowe i ekonomiczne między Żydami aszkenazyjskimi (wspomniani wcześniej przeze mnie emigranci z Europy i Stanów Zjednoczonych) – społeczność aszkenazyjska jest zamożniejsza i lepiej wykształcona – a Żydami sefardyjskimi (imigranci z państw arabskich i Afryki, szczególnie z Etiopii);
- podział między ortodoksyjnymi wyznawcami judaizmu a zlaicyzowaną częścią społeczeństwa.

Przypomnę obrazki z ortodoksyjnej dzielnicy Jerozolimy Mea Shearim.

W sobotnie popołudnia, po szabacie, mężczyźni, nierzadko ze swoimi synami, wychodzą poza obręb swojej dzielnicy i czasami mocno podochoćeni szabasowym winem domagają się zmiany statusu państwa Izrael, które powstało – tak uważają – jako państwo osadzone w żydowskiej religii. Jeżeli to dalej jest Medinat Israel (państwo Izrael), religia musi być powszechnie respektowana, bo według nich najwyższym prawem w państwie Izrael może być tylko Prawo Boże spisane w Torze! Awantury zdarzają się zresztą z tego tytułu i w innych miejscach Izraela, a nawet w Knesecie.

Izrael nie ma spisanej konstytucji jako takiej, lecz posługuje się Ustawą Zasadniczą Izraela, będącą zbiorem praw tego państwa. Ogłaszając Deklarację Niepodległości w 1948 roku, zapowiedziano, że najpóźniej do 1 października tego roku zostanie uchwalona konstytucja. Jednak spory pomiędzy częścią świecką i religijną sceny politycznej uniemożliwiły osiągnięcie porozumienia i nigdy nie uchwalono konstytucji w formie jednego aktu prawnego.

3 czerwca dwa lata później przyjęto tzw. uchwałę Hariego¹⁷ (nazwisko wnioskodawcy), mówiącą o tym, iż poszczególne elementy systemu konstytucyjnego regulowane będą przez osobne akty prawne, które następnie zostaną połączone w konstytucję. Lecz do tego też nie doszło ze względu właśnie na sprzeczności ugrupowań religijnych, tudzież niektórych polityków, którym rozczłonkowana konstytucja daje większą swobodę ruchów. Stąd wyróżnikiem programowym partii politycznych w Izraelu są bezwzględnie sprawy związane z konfliktem izraelsko-arabskim, no i kwestie polityki gospodarczej i społecznej.

¹⁶ P. Smoleński, *Romeo i Julia z Tel Awiwu*; rozmowa z Dorit Rabinyan izraelską pisarką, *Gazeta Wyborcza*, 2016, nr 227, s. 18.

¹⁷ Zob. *Systemy ustrojowe państw współczesnych*, red. nauk. S. Bożyk, M. Grzybowski, Białystok: Temida 2, 2012.

Jak chcecie rządzić krajem, który ma dwieście czterdzieści sześć gatunków sera, pytał swego czasu (dzisiaj tych serów jest niemalże dwukrotnie więcej!) przywódca Francuzów generał Charles de Gaulle.

Jak rządzić taką mozaiką narodowościową, jaką jest Izrael, do tego w specyficznym usytuowaniu – powracam do kwestii geopolitycznej – na obszarze zazębiającym się z Palestyną i okolonym mocno nieprzychylnymi sobie krajami? Od północy: Liban, Syria, Jordania, Egipt. Jednocześnie w tej strefie aktywnie działają organizacje terrorystyczne: Hamas, którego korzenie sięgają lat 20. XX wieku, kiedy powstało Bractwo Muzułmańskie. Organizację założono w Egipcie dla obrony wartości islamskich przed wpływami Zachodu, uznawanymi za demoralizujące.

Gdy w 1987 roku wybuchło palestyńskie powstanie Intifada, część członków Ruchu oraz radykalna frakcja OWP powołała wzmiankowany Hamas. Istnieje też druga organizacja, utworzona w 1982 roku przez libańską partię polityczną islamskich szuyitów – Hezbollah.

Pierwsze sekwencje filmu „Królowa pustyni” (2015) Wenera Herzoga, traktującego o Gertrude Bell – świetnie zagranej przez Nicole Kidman – podróżniczce, pisarce, archeolożce, kartografce i dyplomatce kształtującej politykę Imperium Brytyjskiego na Bliskim Wschodzie u schyłku XIX wieku, pokazują postać Winstona Churchilla. W otoczeniu rozmaitych doradców syczy szklaneczkę whisky. Przed nimi położyła mapa Bliskiego Wschodu. Churchill wytycza granice. Na uwagi, że tu pustynia, tylko piaski, że granica nie będzie czytelna, macha ręką. Podobnie reaguje, gdy uświadamia się mu, że te czy inne grupy etniczne należy rozdzielić, bo toczą ze sobą odwieczne krwawe wojny...

Czy to tylko fabuła filmowa? Otóż nie. Bo, jak napisał Adam Leszczyński w dodatku do „Gazety Wyborczej” w tekście „Jak Europa podzieliła Bliski Wschód”:

W maju 1916 r. Wielka Brytania i Francja podpisały [wzmiankowany już – GB] tajny układ, w którym podzieliły się terenami chylącego się ku upadkowi imperium otomańskiego. Jego autorzy nie przypuszczali, że arbitralnie i przypadkowo wytyczone wówczas granice ukształtują Bliski Wschód na następne 100 lat¹⁸.

42

Mandat Brytyjski nie funkcjonuje, niebywale dynamicznie na naszych oczach zmienia się mapa polityczna świata, zmienia się układ sił w świecie, a problemy pozostają, wręcz nawarstwiają się. W tym nawarstwieniu buzuje nigdy niewygaśły problem Bliskiego Wschodu.

Kolejne rządy Izraela w swojej taktyce wykazują daleko idący pragmatyzm. Dotyka to właściwie każdego, kto przechodzi odprawę wjazdową czy wyjazdową. Wiele miejsc zabezpieczają

18 A. Leszczyński, *Jak Europa podzieliła Bliski Wschód: historia arabska*, Ale Historia. Tygodnik Historyczny, 2015, nr 35, s. 10.

czujniki wejściowe. Po skończeniu szkoły średniej młodzież – i dziewczęta, i chłopcy – idą do wojska. A właściwie już w szkołach obserwuje się ich predyspozycje. Generalnie gros społeczeństwa zostaje psychicznie wyposażone w poczucie wartości swojego państwa i konieczność jego chronienia.

Wielokrotnie bywam pytana, czy to w rozmowach prywatnych, czy w trakcie prezentacji na wystawach zdjęć izraelskich, właśnie o poczucie bezpieczeństwa. Odpowiedź może być tylko jedna – w obecnym świecie chaosu, wszędzie każdego z nas musi cechować zdrowy rozsądek, odpowiedzialność oraz uwaga na zachowania otoczenia. Nie można dyskutować z wymogami, jakie nakłada się na nas po serii określonych, dramatycznych doświadczeń. Działamy wtedy przeciwko sobie. Nie dziwi mnie więc fakt żądania okazywania zawartości torebki, gdy wchodzę do mojego ulubionego w Jerozolimie baru Rahmo przy Yo'el Salamon, przejścia przez tzw. bramkę na dworcu autobusowym, w drzwiach pasażu handlowego czy w innych miejscach, nie mówiąc już o dojściu do Ściany Płaczu.

Nie wkraczam w obszary zamknięte, zabezpieczone. Nawet, albo także, legitymacja dziennikarska nie daje mi uprawnień do naruszania wymogów ogólnego bezpieczeństwa. I nie ma w tym nic z braku docieklivosti czy zwykłego konformizmu. Dostosowuję się do zachowań w określonym miejscu i momencie nakazanych do zachowań ludzi wokół. To jest tak naturalne jak zamykanie okien, gdy nadchodzi burza piaskowa. Powtarzam – dzisiaj, gdy świat stał się trudno przewidywalny.

* * *

Podczas, bodaj w 2008 roku, odprawy w terminalu „D” Portu Lotniczego Berlin Schönefeld (zwykle latam stamtąd EL-Alem) młody bardzo człowiek z obsługi zauważył u mnie w podręcznym bagażu pooklejany zakładkami podręcznik „Hebrajski. Kurs podstawowy” edytowany przez oficynę Edgard Języki Obce.

– Szto eto? Szto eto? – rozpromienił się. – Ja wyuczył iwrit iz tojże knigi! Ata jehudija? (Już po hebrajsku: Jesteś Żydówką?) – I nie czekając na odpowiedzi zaczął zadawać pytania o matkę. Gdy określiłam, skąd pochodzi, rozpromienił się jeszcze bardziej. On pochodził z Ukrainy, jego nieżyjąca już *babuszka* była *toże* iz Zaleszczyk.

Ale jeszcze większym zaskoczeniem stał się przylot na lotnisko Ben Guriona w Tel Awiwie. Naturalny tłok, jaki najczęściej tam bywa. Samoloty z różnych stron świata, oczywisty miks narodowościowy. Podchodzę do wyznaczonego przejścia po wizę wjazdową, witając się powszechnym: Szalom!

Urzędniczka schylona w poszukiwaniu jakichś papierów pod blatem pyta: – What language do you prefer?

Odpowiadam: – OK, we speak English...

Co ona ripostuje pytaniem: – A na ruskom językie gawarisz?

Uśmieciam się: – Da, możem gawarit *toże* na ruskom językie...

Ona wstaje z niemałym rumorem, całkiem głośno mówiąc: – Zuch małodec, na wszech językach goworit. Wchodi, wchodi! – I oddaje mi paszport z wizą.

Przyznam, że byłam nieco skonfundowana, szybko jednak rozpoznałam, że obecnie w Izraelu raczej będę szlifować zapomniany już nieco (jestem z tych roczników, które w szkole podstawowej i średniej uczyły się go obowiązkowo) język rosyjski niż uczyć się języka hebrajskiego. Nie ma właściwie miejsca, gdzie rosyjski nie byłby słyszalny. Pokojowa w hotelu – z Mołdawii. Manicurzystka u „mojej” kosmetyczki Jerozolimie – z Ukrainy. Fryzjer Misza – z Ukrainy. Dziewczyna w sklepiu przy Ben Jehuda oferującym kosmetyki na bazie minerałów z Morza Martwego – z Białorusi. Butik etniczny obsługuje dziewczyna z Kazachstanu.

Nadmienić należy, że produkty izraelskie mają obecnie na opakowaniach i ulotkach opisy najczęściej w trzech językach: hebrajskim, angielskim oraz rosyjskim.

Przy Yaffo (pisownie są różne: Jaffo, Jafo) w Jerozolimie późnym wieczorem otwiera podwoje bar Putin. Zespół w restauracyjce Beit Ticho¹⁹ grający rytmy typowo odeskie to trzech panów z Rosji. Włączam telewizor – programy redagowane przez społeczność rosyjską. Tak samo w radiu. Wychodzą naturalnie również rosyjskie tytuły prasowe. Można trafić do ich sklepików ze śledzikami czy kiszoną kapustą. W czasie słowiańskich świąt Bożego Narodzenia na zamieszkiwanych przez nich obszarach roi się od choinek...

Powszechnie szacuje się, że na blisko 8 mln mieszkańców Izraela ponad milion emigrantów pochodzi z byłego ZSRR. Przez wiele lat władze radzieckie zezwalały na wyjazd do Izraela tylko nielicznym osobom. Dopiero w 1989 roku Michaił Gorbaczow, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, otworzył granice dla emigracji Żydów. W Izraelu odnotowano gwałtowny wzrost liczby emigrantów z krajów Związku Radzieckiego: w 1990 roku przybyło ich 189,7 tysięcy. W sumie w latach 1989-1995 – 557,4 tysiące. Według izraelskiego ministerstwa zajmującego się imigrantami około 17 procent z nich nie było Żydami.

Poważny problem tej fali imigracji stanowił bardzo niewielki, w większości wypadków, związek z kulturą i religią żydowską. Przyjeżdżali Żydzi zupełnie zeświecczeni, często potomkowie związków mieszanych. Byli wśród nich tacy, którzy chcieli jedynie opuścić Związek Radziecki, a nie mieli wyraźnej żydowskiej tożsamości. Powszechna była nieznajomość języka hebrajskiego, jego nauczania w ZSRR zakazano. Wśród imigrantów znajdowało się wielu przedstawicieli zawodów inteligenckich: naukowcy, muzycy, lekarze, ludzie, których umiejętności bez znajomości języka nie miały żadnej wartości.

Imigrantami opiekowała się Agencja Żydowska, organizująca kursy języka hebrajskiego, starająca się o mieszkania i zapomogi. W 1996 roku Natan Szaranski założył partię Jisra'el ba-Alijja (Izrael dla Emigracji). Stała się ona reprezentantem interesów Żydów rosyjskich w ich nowej ojczyźnie²⁰.

Należy przypomnieć, że główne alije – z hebrajskiego: wstąpienie, unoszenie się w górę (imiigrantów określa się zwrotem „ola chadasza”, co znaczy właśnie „nowi przybysze”), Żydów z Rosji do Izraela odbywały się przez Polskę w ramach operacji o kryptonimie „MOST”, na którą

19 Dom Ticho – to zabytkowy dom z 1860 r. w Jerozolimie, jeden z pierwszych domów wybudowanych poza murami Starego Miasta. Obecnie mieści się w nim muzeum – jako część muzeum Izraela, centrum kultury i restauracja.

20 Portal Izrael.

w 1990 roku zgodę wydał ówczesny premier polskiego rządu Tadeusz Mazowiecki. Drogę tranzytu stanowiła Warszawa. Na Dworzec Gdański w lipcu wspomnianego roku przybywały pociągi z osobami podającymi się za Żydów radzieckich. Tu otrzymywały dokumenty potwierdzające ich tożsamość i dalej samolotami z Warszawy, i parokrotnie z Krakowa, transportowano ich do Izraela. Najczęściej byli to ludzie, którzy przyjechali tutaj dosłownie – jak zwykle się mawiać – tak jak stali. Jedna z osób obecnych przy transferze Żydów z Rosji do Izraela wspominała, gdy operacja stała się już jawna, że najbardziej wzruszyła ją starowinka z poharatanym drewnianym stołeczkiem. Nakłaniano ją, by zostawiła ten zbędny balast. Nie chciała, ponieważ stołeczek chociaż już marny, ocalał z całej jej dotychczasowej życiowej zawieruchy.

* * *

Podobną operację, choć oczywiście w innej skali i innych warunkach, służby Izraela przeprowadziły w marcu 2016 roku, a która, można powiedzieć – zapoczątkowana została w ramach operacji „Magic Carpet” [Magiczny Dywan]. De facto była to duża operacja wojskowa pod oficjalną nazwą „Operation on Wings of Eagles” [Operacja na Skrzydłach Orłów], trwała od czerwca 1949 do września 1950 roku, opisano ją w przytaczanej wcześniej książce Piotra Zychowicza „Żydzi. Opowieści niepoprawne politycznie”. Wtedy z powodu arabskich prześladowań ekonomicznych i mentalnych (w Adenie doszło do pogromu ludności żydowskiej – 82 osoby straciły życie, wiele dorobek swojego życia) wywieziono z Jemenu 49 tys. Żydów. Ogółem od tamtego czasu do Izraela z Jemenu wyemigrowało około 51 tys. Żydów. W marcu 2016 roku sprowadzono 200 Żydów uciekających przed toczącą się na tym terenie pod hasłami „Śmierć Ameryce”, „Śmierć Izraelowi” islamską wojną. Znalazł się wśród nich rabin przechowujący 500-letni zwój Tory!

Skoro przypominam izraelskie akcje ratowania Żydów z terenów zagrożonych, to taką akcją była i operacja „Mojesz” – wyprowadzenie Etiopczyków przez Sudan w 1984 roku. Samolotami przerzucono wtedy do Izraela 7 tys. ludzi.

Większość z nich [relacja dotyczy okresu po roku 2000 – GB], by dotrzeć do sudańskiej granicy, pieszo pokonała setki kilometrów przez pustynię – wielu zmarło podczas tej przeprawy. Jeszcze bardziej dramatyczny przebieg miała operacja „Salomon” w 1991 r., kiedy w ciągu 24 godzin wywieziono 14 tys. uciekinierów. Zbierali się oni w Addis Abebie przez ponad rok, jednak na wyjazd nie zgadzał się rządzący państwem komunistyczny reżim wojskowy. Izraelskie samoloty wojskowe błyskawicznie zabrały ich w chwili, gdy władze zostały obalone przez rebeliantów²¹.

45

Nie do końca jednak wiadomo, jakie jest właściwie pochodzenie etiopskich Żydów i gdzie dokładnie żyli w przeszłości. W bliższych nam czasach zamieszkiwali głównie dwa regiony Afryki. Ci, którzy dotarli do Izraela we wczesnych latach 80. XX wieku, pochodzili w większości z Tigraju, późniejsza fala – przede wszystkim z Gondaru. Chociaż obie grupy posługują się

21 *Izrael: przewodnik ilustrowany*, Warszawa: Langenscheidt Polska, 2008, wyd. II uakt.

tym samym alfabetem amharskim, mówią różnymi językami. W Etiopii żyli także Falasz Mura, czyli potomkowie Żydów, którzy w XIX stuleciu przeszli na chrześcijaństwo. Władze początkowo nie zgadzały się na ich przyjazd do Izraela, ale w ciągu ostatniej dekady zorganizowały transport dla 20 tys. z nich. Kilka tysięcy chętnych emigrantów oczekuje na wizy²².

* * *

Napomknęto wcześniej o mocno zróżnicowanych kwestiach językowych. Przybywający do Izraela z deklaracją obywatelstwa i stałego tam pobytu kierowani są na ULPAN. (Jest to Izraelowi potrzebne ze względów ludnościowych – populacja Arabów jest wszak znacznie wyższa. Jak głoszą demografowie, najintensywniej w świecie przyrasta populacja Beduinów, w Izraelu osadzonych głównie na pustyni Negev, z rodzinami liczącymi nierzadko po kilkanaścioro dzieci, podczas gdy kolejne pokolenia Izraelczyków myślą raczej zdecydowanie o lepszym statusie swojego życia niż o zaludnianiu państwa).

ULPAN (od hebrajskiego słowa oznaczającego pojęcia: studio, nauczanie lub instrukcja) jest utworzoną w 1948 roku szkołą intensywnego studiowania języka dla dorosłych imigrantów. Program ma dać im podstawowe umiejętności rozmowy, pisania, czytania, rozumienia. Obejmuje jednocześnie najważniejsze informacje dotyczące izraelskiej kultury, historii, geografii. Założenia ma stanowić pomoc dla nowo przybyłych w możliwie szybkie włączenie się w życie społeczne, kulturalne i gospodarcze ich nowego kraju. Niestety zdolności, predyspozycje i chęci ludzi są bardzo zróżnicowane, są bardzo zróżnicowane, a co za tym idzie, różnym więc poziomem przydatności szkoły owo założenie skutkuje.

W Izraelu kpi się z zaniechających naukę hebrajskiego, a duża grupa przybywających tu teraz Rosjan niezbyt kwapi się do nauki tego języka, mówiąc, że wolą zamiatać piasek na pustyni niż przyswoić sobie hebrajski...

* * *

Imigranci rosyjscy skupili się w jeszcze jednej partii – Yisrael Beitenu [Nasz Dom Izrael]. Partię tę założył Avigdor Lieberman z myślą o tym, by było to ugrupowanie reprezentujące Żydów imigrujących do Izraela z krajów rosyjskojęzycznych, postulujące utrzymanie twardej linii w negocjacjach z Autonomią Palestyńską.

Avigdor Lieberman urodził się w 1958 roku w Kiszyniowie w Mołdawii, wtedy części Związku Radzieckiego. W 1978 roku wyemigrował do Izraela. Służył w tamtejszym wojsku, studiował stosunki międzynarodowe i nauki polityczne na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. W latach 1983-1988 pomagał w tworzeniu Syjonistycznego Forum dla Żydów z Krajów Sowieckich. Był członkiem Zarządu Jerozolimskiej Korporacji Ekonomicznej i sekretarzem jerozolimskiej gałęzi związku zawodowego Histadrut. W latach 1993-1996 pełnił stanowisko dyrektora generalnego partii Likud, a w latach 1996-1997 dyrektora generalnego biura premiera²³. Jego decyzję dotyczącą założenia prawicowej partii w dużym stopniu spowodowało porozumienie zawarte przez lidera Likudu i premiera państwa Izrael Benjamina Netanjahu z Pales-

22 Tamże.

23 Zob. Haaretz, 5 maja 2005 r.

tyńczykami w Wye River w 1997 roku, w wyniku czego podzielono znajdujący się na Zachodnim Brzegu Jordanu Hebron – miasto mające duże znaczenie zarówno dla wyznawców judaizmu, jak i muzułmanów. Przed wyborami w 1999 roku ugrupowania Avigdora Liebermana i Natana Szaranskiego porozumiały się i stworzyły razem Yisrael Beitenu. Nowa partia uzyskała wówczas 4 miejsca w Knesecie. W 2001 roku Yisrael Beitenu wszedł do rządu, natomiast Avigdor Lieberman został ministrem narodowej infrastruktury. Po roku zrezygnował ze stanowiska, uważając, iż Ariel Szaron prowadził negocjacje z Palestyńczykami niewystarczająco nieustępliwie²⁴. 31 marca 2009 roku Lieberman został wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych w drugim rządzie Benjamina Netanjahu, 18 grudnia 2012 roku podał się jednak do dymisji ze względu na zarzuty korupcyjne. Po oczyszczeniu z nich (zdaniem sądu postąpił niewłaściwie, ale nie popełnił przestępstwa²⁵), 11 listopada 2013 roku ponownie został ministrem spraw zagranicznych Izraela²⁶.

* * *

Moje kolejne w tych latach wizyty w Izraelu oswoiły mnie z nowym jego obliczem. Po rosyjsku mówi się również w wielu tzw. mieszanych związkach.

Sara wyjechała w 1968 roku z Wrocławia, z mamą. Była już nastoletnią dziewczyną. Została pielęgniarką, wyszła za mąż za człowieka z korzeniami arabskimi, urodziła córkę. Rozwiodła się, mimo że jest osobą ortodoksyjną. Córkę wychowywała sama. Gdy Leyla wyszła za mąż, poczuła się osamotniona. Mamę już pochowała. Zamieszkała pod Tel Awiwem. W szpitalu dla dzieci z chorobami nowotworowymi, w którym pracowała, poznała Griszę z Białorusi. Przychodził do leczonej tam córki. Sarę wzruszało, z jakim oddaniem się nią opiekował. Wiedziała też, że Grisza dąży do założenia w Izraelu rodziny. Pomyślała: – To jest człowiek na życie! I rzeczywiście, ich znajomi mówią, że stanowią wzruszającą parę. Ona znacznie starsza, schorowana ma w nim wsparcie. Po przejściu na emeryturę pracowała jeszcze jakiś czas jako pielęgniarka w więzieniu dla zatrzymanych za różne przestępstwa Arabów.

– Musiałam – podkreśla, zaciskając dłoń – być mocną.

Nie pozwala Griszę pracować w szabat. Jego samochód, a jest kierowcą zatrudnianym przez firmy turystyczne, od zachodu słońca w piątek do sobotniego popołudnia musi stać przed domem. Z Griszą rozmawia się rzecz jasna po rosyjsku.

Na kultowym szuk pishpesim (pchlim targu) w Yaffo, gdy przeglądałam starocie i dopytywałam o menorę z mosiądzu, stojący obok 30-paroletni młodzien w ortodoksyjnym ubiorze, zareagował pytaniem, czy jestem z Polski? Spojrzałam na niego zaskoczona, ale on uprzedził ewentualne moje dociekania, poznał mnie po akcencie. On jest z Polski, z Płocka, z „regularnej polskiej rodziny”, ukończył szkołę gastronomiczną. Nie umie dookreślić, dlaczego chciał zostać Żydem. W Izraelu przeszedł konwersję, przyjął imię David, obrzezano go w szpitalu, trzyma – deklaruje – koszer. Chce się ożenić, ma jednak problem. Jego wybranka nie ma zamiaru wieść życia ortodoksyjnego. Ożywił się bardzo, opowiadając o sobie. Poprowadził mnie

.....
24 Tamże.

25 13 grudnia 2012 r. izraelski prokurator generalny podjął decyzję o postawieniu Liebermanowi zarzutu sprzeniewierzenia i nadużycia zaufania publicznego, wcześniej planowano oskarżyć go także o pranie brudnych pieniędzy i korupcję.

26 Zob. Haaretz, 5 maja 2005 r.

w boczną uliczkę starego miasta, po prawej stronie od wieży z zegarem, będącym tam punktem rozpoznawczym. Pod nim wszyscy w Yaffo się umawiają. Weszliśmy do sklepiku z kosmetykami. Powitała nas drobna blondynka Marina. Miała wtedy 22 lata, przyjechała z Mińska. To przed nią David chciał wypowiedzieć zawarte w żydowskiej przysiędze małżeńskiej słowa, że zapewni rodzinie byt i będzie kształcił dzieci. Dopytywała, skąd jestem, chociaż domyśliła się, że z Polski. Wyjęła spod lady czytana ukradkiem, pięknie, właściwie albumowo wręcz wydaną książkę „Niekorowannyje Koroljewy. Tajnyje Włastitieli Mira” [Niekoronowane królowe. Tajne władczynie świata].

– Eto moj ljubimyj gławnyj gieroj – otworzyła stronę z reprodukcją obrazu z wizerunkiem Napoleona Bonaparte. – Ja znaju toże madam Walewskoj. Oczen krasiwaja – przerzuciła kartki na rycinę przedstawiającą polską metresę cesarza...

Samuel mieszka z rodziną w Hajfie. Ma 50 kilka lat. Jest Gruzinem. Nie chce wspominać okresu spędzonego w gruzińskiej wiosce. Bieda, choroby. Ojciec zmarł po ciężkiej operacji brzucha. Nawet nie wiadomo, co mu było. Dzisiaj możemy przypuszczać, że rak. Nie było pieniędzy, tym bardziej na naukę. Macha ręką. Ale jest zaradny. Cały niemal czas gdzieś w świecie. Dom prowadzi jego mama wraz z jego żoną. Też Gruzinki. Kiedy uznał, że córka powinna wyjść za mąż, swatce zlecił znalezienie dla niej męża. Koniecznie Gruzina. Podobnie było kilka lat później z synem. Ta sama swatka szukała odpowiedniej dziewczyny na jego żonę, i też Gruzinki. Oba wesela były huczne, bogate. Z różnych stron świata zjechali rodacy. W Pałacu Ślubów w Lod pod Tel Awiwem bawiono się do świtu. Wszystko rejestrowało kilka kamer.

– W obu małżeństwach jest – śmieje się Samuel – jak to w małżeństwach, ale jest dobrze – mówi. Zięć rosły mężczyzna, protetyk stomatologiczny, dba o rodzinę, są wnuki (szuka w komórce zdjęć i filmików z ukochanymi urwisami), u córki dwójka, u syna na razie jeszcze tylko kilkumiesięczny syn. Jest i będzie dobrze! – powtarza. My, Gruzini, jesteśmy twardzi. Mówi po polsku, bo pracował z Polakami i szybko złapał język. Gdy rozmowa schodzi na politykę, na bieżące sprawy w kraju, unosi się, znowu powtarzając: – Jest dobrze, Netanjahu wie, co robić, już ty się nie martw...

Przedterminowe wybory w roku 2015 roku zmieniły nieco układ sił w Knesecie. Z końcem 2014 roku w rządzie Binjamina Netanjahu narastały napięcia między partnerami koalicyjnymi w sprawach dotyczących budżetu na nadchodzący rok, rosnących kosztów utrzymania, polityki wobec Palestyńczyków oraz zaproponowanej przez premiera kontrowersyjnej ustawy mającej określać Izrael jako „państwo narodowe” narodu żydowskiego. 2 grudnia 2014 roku premier Netanjahu zdymisjonował – zarzucając im podważanie jego pozycji – dwoje ministrów, liderów koalicyjnych centrowo-liberalnych ugrupowań: Ja’ira Lapida z partii Jest Przyszłość i Cippi Liwni stojącą na czele partii Ruch. Doszło więc do skrócenia mającej trwać do roku 2017 kadencji rządu. W wyniku wyborów parlamentarnych, przeprowadzonych 17 marca 2015 roku Jisra’el Betenu (który w 1999 miał 11 mandatów) wprowadził do parlamentu jedynie 6 deputowanych²⁷.

²⁷ Marek Połoński: *Nowy rząd Izraela zaprzysiężony po burzliwej debacie* (pol), Portal Spraw Zagranicznych.

* * *

Każde społeczeństwo, tym bardziej zróżnicowane, zawsze będzie budowało określoną swoją hierarchię i kipiało tak w kontaktach osobistych, jak i grupowych (narodowościowych, religijnych, partyjnych etc.). Czasami wszakże znajdowałam się nagle w sytuacjach, najdelikatniej mówiąc, niezręcznych.

W hotelu w Twerii, częściowo jeszcze w remoncie, sprawami technicznymi w moim pokoju zajmował się młody Etiopczyk. Żalił się na stosunki z panią menedżer hotelu, na to, że ciągle go pogania, że nie płaci regularnie i nie tyle co innym. Któregoś dnia zastałam kartkę z informacją, że nie dokończy swojej pracy z instalowaniem telefonu, którego kable przy remoncie przecięto, że został wyrzucony. Zesłam do recepcji z pytaniem o tę osobliwą korespondencję i ostateczny stan telefonu. Równie młoda pani menedżer wykrzyczała: – Nesermeterr!²⁸ (co raczej nie pozostawiało wątpliwości, że jest z Ukrainy...) – Let sleeping under the baobab! (Niech śpi pod baobabem!).

Innym razem usłyszałam rozmowę pań w średnim wieku, plotkujących przy sąsiednim kawiarnianym stoliku w pasażu Mamila w Jerozolimie, pań mówiących piskliwie po polsku: – No co ty, ona zadaje się z Bucharem? Przecież to niska kasta... Zastanawiałam się, skąd się te panie tu wzięły? Czy wiedzą, że na północ od Mea She'arim znajduje się dzielnica bucharska, założona pod koniec XIX wieku przez Żydów ze środkowoazjatyckiej Samarkandy i Buchary. Była to wówczas najbogatsza i najbardziej ekskluzywna dzielnica Jerozolimy. Nadal można podziwiać świetność licznych tam rezydencji, choć od pewnego czasu coraz więcej osiedla się w niej ultraortodoksów z Mea She'arim.

Innym znowu razem, zwiedzając Jerozolimę, trafiłam do kościoła koptyjskiego. Zastałam młodą parę biorącą w tym momencie ślub. Zapytałam, czy mogą robić zdjęcia. Dostałam zgodę. Już po ceremonii w świątyni, na dziedzińcu, nowożeńcy zmieniali rytualnie stroje z purpurowych na czarne. Jedna z druhen zagadnęła pannę młodą, czy wie, kim jestem, co rzeczywiście tu robię. Nagle kontakt mocno się zdystansował.

Itđ., itp. Mieszkańcy Izraela generalnie ciepłi, życzliwi, otwarci mają naturalną skłonność do nieoczekiwanych zmian nastroju, podnoszenia głosu, zadawania nierzadko obcesowych, dla nas wydających się nietaktownymi, pytań. Mają skłonność do nagłego znikania, milczenia, by za jakiś czas zadzwonić albo przysłać e-mail: To kiedy znowu tu będziesz? Możesz przywieźć maść końską?

* * *

Kim są dzisiaj mieszkańcy Izraela?

Na internetowej stronie Ambasady Izraela w Warszawie znajduję notę, którą podaję za zgodą ambasady:

Mieszkańcy Izraela pochodzą ze środowisk zróżnicowanych społecznie, etnicznie, religijnie i kulturowo. To nowe społeczeństwo o starożytnych korzeniach wciąż ewoluuje i unifikuje

.....
28 Nesermeterr – przekleństwo to pochodzi z języka ukraińskiego; zob. S. Kania, *Słownik argotyzmów*, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1995.

się. Spośród niemal 8 mln mieszkańców 75,4 procent stanowią Żydzi, 20,6 procent Arabowie (głównie muzułmanie), zaś na pozostałe 4 procent składają się Druzowie, Czerkiesi i inne wspólnoty, niewyodrębnione na podstawie religii. Społeczeństwo jest relatywnie młode, zaangażowane społecznie, religijnie i ideologicznie, przedsiębiorcze i kreatywne. Wszystko to nadaje impet ciągłemu rozwojowi.

Społeczność żydowska

Od czasów biblijnych Żydzi byli ludem religii monoteistycznej – judaizmu, obejmującego zarówno elementy religijne, jak i narodowe. W XVIII wieku większość Żydów mieszkała we wschodniej Europie, gdzie ograniczali się do życia w gettach, mając niewiele okazji do kontaktów ze światem zewnętrznym. W swoich wspólnotach rządzili się własnymi regułami, stosując kodeks żydowskiego prawa (Halacha), stworzony i rozwijany przez stulecia przez uczonych w piśmie.

Żydowskie społeczeństwo współczesnego Izraela składa się z Żydów praktykujących i niepraktykujących, reprezentujących szerokie spektrum postaw – od ultraortodoksyjnych po świeckie. Granice między nimi nie są wyraźne. Jeśli stopień ortodoksyjności mierzyć przestrzeganiem żydowskich praw i zwyczajów, to 20 procent stara się przestrzegać wszystkich nakazów religijnych, 60 procent dokonuje pewnej selekcji w oparciu o własne wybory i tradycje etniczne, zaś 20 procent w zasadzie nie praktykuje. Ponieważ jednak Izrael powstał jako państwo żydowskie, szabat i wszystkie żydowskie święta zostały ustanowione dniami wolnymi od pracy. W mniejszym lub większym stopniu obchodzi je i celebrytuje cała żydowska populacja Izraela.

Większość społeczeństwa jest laicka, preferuje nowoczesny styl życia, w różnym stopniu szanując i praktykując nakazy religijne. Wśród tej większości jest dużo takich, którzy przestrzegają tradycyjnego sposobu życia dostosowanego do współczesnych realiów. Niektórzy decydują się przyłączyć do jednego z liberalnych prądów religijnych. Wśród praktykującej mniejszości wielu Żydów, zarówno pochodzenia sefardyjskiego jak i aszkenazyjskiego, łączy przestrzeganie nakazów religii z uczestnictwem w życiu społecznym kraju. Postrzegają oni współczesne państwo żydowskie jako pierwszy krok na drodze do przyjścia Mesjasza i zbawienia Żydów w Ziemi Izraela.

Grupy mniejszościowe

Prawie 2 mln ludzi, czyli około 24 procent populacji Izraela, nie jest Żydami. Choć określa się ich wspólnie jako arabskich obywateli Izraela, to w rzeczywistości są to różne grupy, każda z wyraźnie indywidualnymi cechami, choć przeważnie posługują się językiem arabskim. Arabscy muzułmanie to ponad 1,2 mln ludzi, z których większość to sunnici, zamieszkujący głównie w małych miasteczkach i wsiach. Ponad połowa mieszka w północnej części kraju. Beduini, również wyznający islam, należą do około 30 plemion, głównie rozsianych na rozległych terenach południa, choć część zamieszkuje także północ. Szacuje się, że jest ich około 250 tys. Kiedyś wędrowni pasterze, teraz przechodzą stopniowo od społeczeństwa plemiennego do osiadłego trybu życia i w coraz większym stopniu

wchodzą na izraelski rynek pracy. Około 123 tys. arabskich chrześcijan żyje głównie w miastach, szczególnie w Nazarecie, Szfar'amie i Hajfie. Chociaż teoretycznie należą oni do wielu Kościołów, większość jest związana z Kościołami greckokatolickimi, prawosławnymi lub zachodnim Kościołem katolickim.

Druzowie, których jest 122 tys., zamieszkują w 22 wioskach w północnym Izraelu, tworząc odrębną grupę wyznaniową, etniczną, kulturową i społeczną. Posługują się językiem arabskim. Ich religia jest bardzo hermetyczna. Nowi wyznawcy nie są przyjmowani. Jednym ze znanych elementów ich filozofii jest takijja²⁹, która zobowiązuje do kompletnej lojalności w stosunku do rządu państwa, na terenie którego mieszkają.

Spółeczność czerkieska liczy 4 tys. ludzi zamieszkujących dwie wioski na północy kraju. Choć to sunnici, nie są Arabami, nie wywodzą się z tego samego kręgu kulturowego co szeroka społeczność muzułmańska. Uczestniczą w życiu gospodarczym i państwowym, zachowując wyraźną odrębność etniczną. Nie asymilują się ani ze środowiskiem żydowskim, ani ze społecznością muzułmańską.

Życie arabskiej społeczności

Większość populacji izraelskich Arabów zamieszkuje albo w jednorodnych etnicznie miastach i wioskach w Galilei, włączając miasto Nazaret, w rejonie między Haderą i Petah Tikwą oraz na pustyni Negew, lub w mieszanych ośrodkach miejskich takich jak Jerozolima, Akka, Hajfa, Lod i Ramla oraz Jafa. Społeczność arabska w Izraelu to klasa robotnicza w państwie opartym na klasie średniej, peryferyjna grupa w wysoce scentralizowanym kraju i mniejszościowa grupa językowa wśród większości posługującej się hebrajskim. Z zasady niepoddająca się asymilacji, wyraźnie odrębna tożsamość tej społeczności jest wspierana poprzez używanie arabskiego jako drugiego oficjalnego języka w Izraelu, odrębny system szkolny dla Arabów i Druzów, arabskie mass media, literaturę, teatr oraz utrzymywanie niezawisłych sądów wyznaniowych, które orzekają w sprawach z zakresu stanu cywilnego.

Dawne zwyczaje są ciągle częścią codziennego życia, jednak stopniowe osłabienie plemiennej i patriarchalnej władzy, obowiązkowa edukacja oraz udział w demokratycznym życiu kraju coraz szybciej wpływają na zmianę tradycyjnego światopoglądu i stylu życia. Równocześnie status arabskich kobiet w Izraelu został znacząco zliberalizowany przez prawo gwarantujące równe prawa dla kobiet, zakazujące poligamii i małżeństw dzieci.

Od powstania Izraela (1948) obywatele arabscy są zwolnieni z obowiązkowej służby wojskowej w Siłach Obronnych Izraela (Cahal³⁰) ze względu na ich rodzinne, religijne i kulturowe powiązania ze światem arabskim (który wystawiał Izrael na częste ataki), z uwagi na obawę ewentualnej podwójnej lojalności. Z drugiej strony wspierana jest dobrowolna służba wojskowa i co roku niektórzy członkowie społeczności arabskiej korzystają z takiej możliwości. Od 1957 roku, na żądanie starszyzny, służba wojskowa jest dostępna dla

29 Takijja – w j. arabskim „ostrożność”; taqiyya, kitman, zasada teologii muzułmanów, przyjęta w szyizmie, zgodnie z którą można złamać zakaz religijny lub udawać wyparcia się wiary w celu uniknięcia śmierci lub prześladowań.

30 Pełna nazwa – Cwa haganah LeJisra'el.

drużyjskich i czerkieskich mężczyzn. Stale rośnie również liczba Beduinów zaciągających się na służbę zawodową w armii.

Polityczne zaangażowanie społeczności arabskiej manifestuje się udziałem w wyborach powszechnych i samorządowych. Arabscy obywatele zajmują się sprawami politycznymi i zarządzaniem w ramach własnych samorządów. Poprzez wybranych przedstawicieli w Knesecie (parlamencie Izraela) ich interesy są reprezentowane na krajowej arenie politycznej, co daje im możliwość dbania o przywileje grup mniejszościowych i udział w systemie opieki społecznej³¹.

Dodam, że urzędowymi językami w Izraelu są hebrajski i arabski. Status specjalny mają jednakże języki angielski i rosyjski. Ze względu na duży procent imigrantów w populacji Izraela w użyciu są równocześnie języki diaspory żydowskiej jidysz i ladino³² oraz inne języki europejskie i azjatyckie jak: rumuński, polski, francuski, perski.

* * *

Zdecydowana większość Izraelczyków mieszka w miastach, najlichniesza grupa wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego. Żartobliwie opowiadają: – Wiesz, u nas jest tak: Hajfa pracuje, Jerozolima się modli, a Tel Awiw bawi się, nigdy nie zasypia... – Czasami dorzucają: – Natomiast Eliat wypoczywa!

Nie do końca to prawda, bo bardzo oryginalny kurort Eliat jest nie mniej gwarny, dudni dyskotekami do świtu, przytłacza gwarem z dominującymi głosami gości z Rosji. Choć rzeczywiście, to fakt absolutnie niezaprzeczalny – Tel Awiw jest aglomeracją najdynamiczniejszą na mapie Izraela, wręcz kosmopolityczną, największym miastem w Izraelu, a 17 co do wielkości w skali świata. W dużej mierze dlatego, że tu zlokalizowano Międzynarodowy Port Lotniczy Ben Guriona (ściślej w Lod na obrzeżu miasta), najgęstszą bodaj sieć hoteli, fantastycznie zagospodarowano brzeg – plaże Morza Śródziemnego, czemu towarzyszy dalsza oryginalna, niezbędna infrastruktura.

Mimo że stolicą proklamowaną przez Izrael pozostaje Jerozolima, to większość ambasad mieści się w Tel Awiwie. Tel Awiw uznawany jest za finansową stolicę państwa, centrum biznesu i główny ośrodek kultury. Zadziwia awangardową architekturą współczesną, uwodzi budownictwem bauhausu Białego Miasta (opisanego oczywiście we „Wspomnieniach architekta” Władysława Czarneckiego jako dzieło architektów – niemieckich Żydów, emigrujących pod brytyjski Mandat Palestyny w latach 30. XX wieku wskutek narastającej w Niemczech fali nazizmu).

31 Internetowa strona Ambasady Izraela w Warszawie.

32 Język żydowski, który powstał jako dialekt języka hiszpańskiego po wygnaniu Żydów sefardyjskich z Półwyspu Iberyjskiego w latach 1492-1497; zapisywany obecnie głównie alfabetem łacińskim.

* * *

Tak naprawdę wszystkie zakątki Izraela mają swój specyficzny klimat, znaczone różnorodną kulturą, wyznaniem i przedsiębiorczością mieszanek narodów latami tam zakorzenionych. Przewija się w moim tekście motyw czasu zdominowanego przez ludność przybyłą do Ziemi Obiecanej z powojennej Polski i obecna szeroka imigracja ludności z obszarów dawnego Związku Radzieckiego. Ale także oni przybywają do „swojego” Izraela. Dość wspomnieć chociażby Dzielnicę Rosyjską w Jerozolimie.

Jeżeli wyjdziemy od placu Zahał, w kierunku zachodnim poprowadzi rechow Yafo. Na północ od niej znajduje się teren zakupiony przez rosyjski Kościół prawosławny w 1860 roku. Centralny jego punkt stanowi katedra Trójcy Świętej. Kamień węgielny pod budowę soboru został położony 11 września 1860 roku natychmiast po zainaugurowaniu działalności rosyjskiej misji prawosławnej w Jerozolimie. Ceremonię przeprowadził jej pierwszy zwierzchnik Cyryl oraz metropolita patriarchatu jerozolimskiego Melecjusz. Początkowo patronem cerkwi miał być św. Aleksander Newski, patron Rusi oraz ówczesnego cara rosyjskiego Aleksandra II. Ostatecznie jednak postanowiono wyświęcić sobór na cześć Trójcy Świętej. Pół miliona rubli na budowę soboru przekazał sam car, dalsze 600 tys. napłynęło z dobrowolnych w całym kraju składek³³.

Na zboczach Góry Oliwnej w Jerozolimie złocą się kopuły cerkwi św. Marii Magdaleny, siedziby żeńskiego monasteru Zmartwychwstania Pańskiego, pozostającego w jurysdykcji rosyjskiego Kościoła prawosławnego poza granicami Rosji. Inicjatorem jej budowy był archimandryta Antonin (Kapustin), pragnący uczcić pamięć carycy Marii Aleksandrowny Romanowej. Działkę pod budowę cerkwi zakupiono w 1882 roku, ale dopiero trzy lata później, 21 stycznia 1885 roku, położono kamień węgielny. Car Aleksander III wsparł budowę kwotą 100 tys. rubli, jego bracia wpłacili po 15 tys. rubli, zaś wielka księżna Maria Aleksandrowna 5 tys. rubli. Cerkiew poświęcono w obecności wielkich książąt Sergiusza Aleksandrowicza i Pawła Aleksandrowicza oraz wielkiej księżnej Elżbiety Fiodorownej 13 października 1888 roku. Ceremonię sprawował patriarcha Jerozolimy Nikodem. Wielka księżna Elżbieta została pochowana w cerkwi w 1921 roku³⁴.

Naturalnie Rosjanie pochodzenia żydowskiego, Żydzi z Rosji, jeżeli wyznają judaizm, uczęszczają do bliskich sobie synagog.

* * *

Przez lata oczywistą w świecie sprawą było to, iż naturalnym najsilniejszym sojusznikiem Izraela są Stany Zjednoczone, toteż media wyraźnie podkreślą teraz częste wizyty premiera Benjamina Netanjahu w Moskwie. Portal spraw zagranicznych psz.pl [21 września 2015 roku] relacjonuje:

33 Na podstawie przewodników: J. Gać, *Ziemia Święta: kulturowy przewodnik śladami Jezusa*, Kraków: WAM, 2008; *Izrael: przewodnik ilustrowany*, dz. cyt.

34 Tamże.

Goszczący w Rosji premier Izraela Benjamin Netanjahu zapewnił na spotkaniu ze społecznością żydowską w Moskwie, że „Iran nie będzie mieć broni nuklearnej”. Przypomniiał słowa irańskiego przywódcy ajatollaha Ali Chameneia o „Izraelu skazanym na zagładę”.

Portal Dyplomacja [6 czerwca 2016 roku] donosi, że Izrael i Rosja zacieśniają współpracę w czasie przełomu na Bliskim Wschodzie i odnotowują trzecią w ciągu mijającego półrocza wizytę w Moskwie. Jedno z porozumień wtedy zawartych dotyczy Syrii. Konkretnie – czytamy – ustanowienia stałych kanałów komunikacji pomiędzy siłami rosyjskimi w Syrii a dowództwem izraelskiego lotnictwa. Ma to zapobiec wypadkom ostrzelania przez Rosjan izraelskich myśliwców krążących nad Syrią.

21 kwietnia 2016 roku w wiadomościach TVN24 przytoczono wypowiedź Benjamina Netanjahu podczas spotkania z prezydentem Rosji Władimirem Putinem dotyczącą Wzgórz Golan. Premier Izraela oświadczył, że jego kraj nigdy nie odda Syrii Wzgórz Golan, stwierdził, że: *Nie należy wracać do czasów, kiedy nasze osiedla i nasze dzieci były atakowane z tego terytorium*. Ważnym punktem tego spotkania było także podpisanie umowy o emeryturach dla byłych obywateli ZSRR, którzy przed 1992 rokiem emigrowali do Izraela, wskutek czego pozbawiono ich obywatelstwa państwa radzieckiego. Na mocy aktualnego porozumienia – po jego ratyfikacji – z budżetu Rosji blisko 30 tys. obecnych obywateli państwa Izrael będzie otrzymywało wypracowane w państwie sowieckim emerytury.

Na poznański Festiwal „Off Cinema” w 2015 roku wpłynął film reżysera Miki Polonskiego „1 Building and 40 people dancing”. Dla mnie niezmiernie przejmujący i oddający w dużym stopniu obraz zmian ludnościowych w Izraelu. Ten jeden otoczony młodymi jeszcze palmami dom na obrzeżach któregoś z miast wyrosłych w ostatnich latach na pustyniach, standardowo, by nie powiedzieć kontenerowy w swojej formie architektonicznej, zajmują imigranci z Rosji. W różnym wieku, choć przeważają ludzie starsi. Jest ich przechowalnia. Chodzą po korytarzu, głaszczą kota, przemawiają do papugi, zapalą z sąsiadką czy sąsiadem papierosa, wspominają *swoju bywuszju żyzn* (swoje wcześniejsze życie, życie w Rosji) i wracają do małego, wręcz ciasnego mieszkania. U jednych schludnego, u innych sprawiającego wrażenie, jakby jego lokator jeszcze się po przeprowadzce nie rozpakował. Jedna z kobiet, bez prawej ręki, myje schody. W tle z radia słychać głos Ałły Pugaczowej „...million, million białych roz...”. Po korytarzu chłopcy jeżdżą na rolkach, dziewczynka ślizga się po nim w swoich paputach. Sąsiedzi często zaglądają do siebie. A to przyniosą drugiemu coś, co upiekli, czy zupę, którą ugotowali, a to poszewkę, którą przeszyl na maszynie.

Do starszej pani, u niej są półki z książkami, zachodzi ta pani bez prawej ręki. Starsza pani opowiada jej o Dostojewskim, lubi jego nowele: *Nikto tak priekrasno nie pisał o lubwi...*, namawia swojego gościa do wybrania tej lektury. Starszy pan cały czas czeka na telefon, na listy. Wieczorami wpatruje się w ekran telewizora. Wzrusza się, gdy Muslim Magomajew śpiewa pieśń Arno Babajanina „Gałuboj Tajga” [Błękitna Tajga].

Syoma, Sandra, Valentina, Ania, Lena i Ruben dają temu filmowi swoje twarze, swoje emocje, niekiedy na najwyższej strunie, choć z zachowaniem powściągliwości. To miejsce jest w dużym stopniu ich zbawieniem, ale też i takim zwykłym po prostu trwaniem w czasie. Nie są już tam, gdzie była szeroka, rwąca rzeka, w której utopił się syn jednej z lokatorek opisywanego domu, gdzie siostra innej z nich tkła piękne gobeliny, gdzie jedna z nich o czwartej rano wstawała, szła do pracy, wracała wieczorem, kładła się spać, by o czwartej rano..., a nie są też tak naprawdę tu, zakwaterowani w tym niewielkim bloku, zdani wzajemnie na siebie. Mężczyzna oczekujący wiadomości z Rosji odbiera wreszcie upragniony telefon. Kobieta po drugiej stronie łączy, tłumaczy się zawile, on przytakuje, wszystko rozumie, żegna się słowami: *Sposibo tjebja za zwanok, nie zabywaj mienia.*

* * *

Taka jest specyfika bycia Żydem. Nie możesz uciec od swojego praźródła, akcentowała przywoływana już wcześniej Natalie Portman w rozmowie o jej filmie „Opowieść o miłości i mroku” w jednym z portali internetowych.

Wieczna tułaczka. Przypomina historię wielu żydowskich rodzin. Więcej, w ogóle rodzin imigranckich. Mnie najbardziej w „Opowieści...” interesowała postać matki imigrantki. To doświadczenie pokoleń kobiet mojej rodziny, sama też jestem imigrantką. To część mojej tożsamości. Pozostają obca wszędzie. Nie jestem prawdziwą Izraelką, prawdziwą Amerykanką ani prawdziwą Francuzką. Na swój sposób to ciekawe, bo widzę rzeczy z innej perspektywy niż ludzie, którzy się do nich przyzwyczaili. Amos [Oz, autor „Opowieści o miłości i mroku” – GB] był zaskoczony, kiedy książka okazała się światowym bestsellerem, ale znalazł wyjaśnienie, uważa, że to esencja losów tułaczy. Opowieść o tym, jak przenosisz się z miejsca na miejsce. Idealizujesz nową ojczyznę, dopóki się w niej nie znajdziesz. Rzeczywistość okazuje się nie tak doskonała, jak sobie wyobrażałeś. Wtedy zaczynasz upiększać kraj pochodzenia. Zapominasz, dlaczego go opuściłeś³⁵.

* * *

W trakcie ostatniego pobytu w Izraelu wybrałam się do Holon. Miasta na piaskach (*holon* po hebrajsku znaczy piasek). Miasta o ciekawej, odważnej zabudowie, z ogrodami na dachach, a nade wszystko ze znakomitym i w swojej bryle (pierwszy projekt jako architekta genialnego artysty wzornictwa Rona Arada), i ekspozycjach – Muzeum Designu. Mieszkalam w Tel Awiwie, przed hotelem przy renowacji Allenby miałam przystanek autobusowy, z którego w 40 minut dojeżdżam do Holon. Pojawiłam się tam o świcie. Allenby tętni życiem do czwartej rano, bary, dyskoteki pełne są najróżniejszych orientacji młodych ludzi na absolutnym luzie. Potem wjeżdżają na Allenby wozy sprzątające i o szóstej rano nie ma właściwie śladu totalnej nocnej balangi! Pod wiatą przystanku byłam sama. Ulica dopiero budziła się do życia. Jak spod ziemi wyrósł przede mną „zmęczony nocnym życiem” 30-paroletni „wieczny młodzieniec”.

35 M. I. Mieczysławska, *Natalie, wieczna tułaczka: Natalie Portman nakręciła film według Oza*, Gazeta Wyborcza, 26-28 marca 2016 r.

– Daj mnie kakije to diengi – potrząsał otwartą lewą dłonią. Cofnąłem się. – No, daj mnie kakije to diengi!

Cofałem się dalej, już na krawężnik chodnika.

– Daj mnie kakije to diengi – nie ustępował, wznosząc ręce jakby do nieba. Nadjechał autobus. Usłyszałam jeszcze za sobą: – Ja Hemingueja czytał!

A wracając do mojego spotkania na narożniku Ha-Melekh George i Ben Yehuda w Jerozolimie z postawną kobietą pochodzącą – co dość czytelne, skoro sentymentalnie widziała w tej przestrzeni Arbat z Moskwy. Dopytywałam, jak się jej tutaj, w Izraelu, wiedzie. Odpowiedziała słowami, które potem często słyszałam: *Truudno żyt, oczeń truudno, no łuczsze, czjem w Rassiji.*

Grażyna Banaszkiewicz

Dobre życie toczy się dalej

ROMUALD RAPCEWICZ

ur. w 1951 roku w Bartoszycach; studiował w WSR w Olsztynie, od 1982 roku w Kanadzie. Do czasu poważnej choroby często podróżował po Ameryce Północnej i Środkowej. Obecnie mieszka w Olsztynie i w Kichtner pod Toronto. Autor książki podróżniczej „A jednak Kanada pachnie żywicą” (Olsztyn 1996).

Minęła beczynna zima: spędziłem ją na łonie rodziny w Polsce, aż od fizycznej beczynności tu i ówdzie nagniotki mi się porobiły. Ale przetrwałem, bo bez przerwy planowałem nową wyprawę w okolice Zatoki Jamesa. Nazywałem ją Zatoką Hudsona, bo brzmiało lepiej, chociaż było to geograficznie nieco naciągane. Do Kanady wróciłem na początku kwietnia. Natychmiast przejrzałem swoją wierną toyotkę, a następnie szafki kampera wyładowałem tym, co potrzebne do życia, i wyruszyłem w drogę.

Północny wschód Kanady, ze względu na bliskość zatłoczonych miejscowości, dotychczas nie wzbudzał we mnie szczególnie pionierskich emocji, ale brak wyboru poparty ograniczonym funduszem jest ojcem nowych zainteresowań i radości – i słusznie.

Mając wielką wprawę w podróżowaniu po kontynencie amerykańskim, nie przewidywałem żadnych kłopotów, chociaż byłem trochę zaniepokojony sposobem porozumiewania się w Québecu: A jeżeli oni inaczej rozumieją język gestów, czyli mój? Może i w nim są jakieś akcenty, czyli nowe możliwości nieporozumienia? Ale zaraz się uspokoiłem. W końcu jestem stworzeniem nietowarzyskim, to i możliwości nieporozumienia nie będę miał. Mimo że bardzo nie chciałem, to jednak w sytuacji towarzyskiej kilka razy się znalazłem.

Za miejscowością Matagami, po przekroczeniu jakiejś dziwnej bramy na drodze, służącej najwyraźniej rejestracji podróżujących, obrałem kierunek wprost na północ. Myślałem: Jedyne cisza mnie czeka, no i może kilka białych niedźwiedzi i to widzianych z odległości. Nieco podmęczony emocjami, zatrzymałem się na krótki postój w odosobnionym miejscu... Chwilę później obok mnie stanął pomarańczowy pick-up. Miał dużo miejsca, a zaparkował tuż obok. Dlaczego? Już zbierałem się do ucieczki, gdy kierowca odezwał się. Uprzejmie uchyliłem okno, by go lepiej usłyszeć. Nic nie rozumiałem, ale wysłuchałem. Po jakimś czasie udało mi się poinformować faceta, że po francusku „ja nie parle”, ale to przyniosło efekt odwrotny. Człowiek się ucieszył. Gdy z wysiłkiem wytłumaczyłem swoje pochodzenie, gość o mały włos się nie przeprowadził do mojej szoferki: *Polone, katolik – bę.*

Wykazałem najszczerze chęci porozumienia się, co niestety nie wystarczyło. Tu strony musiały jeszcze coś pojmować. Facet gadał z lubością i rozwlekle; był drogowcem, więc miał czas, a ci, jak zauważyłem, ciągle siedzą w samochodach i jedzą kolejne śniadanie albo się śmiertelnie nudzą. Żabojad w raju. Coś tam wyjaśniał, gestykulował, wskazywał w rozmaitych kierunkach. Zamyśliłem się. Okolica była piękna. Falujące, pokryte zielonym kobiercem wzgórza zlewały się z horyzontem. Dzicz – jakże ją pokochałem, w przeciwieństwie do dziczy, która mnie otaczała jeszcze dwa dni temu, z której z ledwością się wyrwałem, z gęstego lasu... domów... A żabojad ciągle z zapalem „parła” i by mnie pewnie zagadał na śmierć, gdyby nie podjechał drugi drogowiec. Gdy z kabiny wylazł Indianin, zdziwiłem się: To oni pracują, a ja myślałem, że tylko walczą o swoje prawa? Well, ten pracował.

Indianin, jak to Indianin, był śniady i lekko okrutny na obliczu, ale wbrew pozorom komunikatywny. Mówił, i to po angielsku. Pochodził z plemienia Cree mającego swoje tereny myśliwskie w tej części świata. Co ciekawe, wszyscy Indianie, których tutaj spotkałem, mówili po angielsku; w przeciwieństwie do nich wszyscy biali albo nie mówili, albo robili to bardzo niewprawnie, co mi zresztą bardzo odpowiadało – w końcu ja też jestem mało wprawnym. Jeszcze raz potwierdziło się, że możliwość porozumiewania się jest niezwykle ważna. Dzięki niej z pomocą Indianina mogłem się grzecznie wykręcić od towarzystwa żabola. Szybko pożegnałem się, ucisnąłem spracowaną dłoń białego i gładziuchną tłumacza i oddaliłem się w siną dal – bo tak sobie wyobrażałem nadmorski horyzont – w końcu jechałem nad Zatokę Hudsona. Wkrótce pojawiły się chmury i sina dal zszarzała.

Jechałem ciągle na północ, mając zamiar dojechać tak daleko, jak się da. Od głównej asfaltowej drogi prowadzącej do Radisson, ostatniego przyczółka cywilizacji, skręciłem w lewo w zwirową do zatoki. Nie cierpię zwirowych dróg, chyba że prowadzą do miejsc, które bardzo chcę zobaczyć. Nastąpiła wiosna, zima na południu Ontario (skąd tym razem wyruszyłem) stała się już odległą przeszłością. Tutaj jednak była ona ciągle zauważalną terażniejszością. Kocham zimę, bo zimno. Ale śnieg, niestety, uniemożliwia poruszanie się po bocznych drózkach. Widząc brudnobiałe dachy, doznałem złych przeczuć. W krainie niewielu bocznych dróg trudno znaleźć legalne miejsca do stacjonowania. Na dodatek pojawiły się znaki informujące, że

znajduję się na terenie rezerwatu indiańskiego. Będąc podróżnikiem spontanicznym, spodziewałem się tego. Niestety, parki, rezerwaty i inne „zorganizowane regulaminem” miejsca przyrodnicze zabijały mój entuzjazm, bo stawały się niedostępne. Nic nie można. Nie tylko nie można spokojnie rozbić biwaku, ale nawet podnieść oczu, bo coś niepożądanego może wejść w pole widzenia. Mimo to rzucałem wokoło nieśmiało spojrzenia.

Przez sto kilometrów tłukłem się po niewdzięcznych wertepach. Jechałem przez tereny podmokłe. Tu i tam błyskały kałuże wody i równie liczne łachy śniegu. Iglaste drzewa jakby się skróciły, przypominając krzaki. Na mapie dopatrzyłem się słowa tajga. Ogarnęły mnie mieszane uczucia: gdy czytałem o tym w książkach Curwooda, byłem w raju, ale teraz gdy przypominałem sobie babcię, którą zesłano na Sybir, ciary mnie oblażyły. Piękne i okrutne.

Tymczasem dzicz pulsowała życiem. Jak duchy z mrocznych ostępów wyłazili Indianie. Początkowo myślałem, że przebywali tam za prywatną potrzebą, ale gdy powtarzało się to na przestrzeni dziesiątków kilometrów, zrozumiałem, że się ewakuują stamtąd po zimie. Zimowy sezon myśliwski dobiegł końca. Tu i tam widać było znikające w tajemniczym lesie nitki ubitego motosaniami śniegu. Przy tym wszędzie widoczny był zimowy sprzęt: motosanie, kanistry na benzynę, okryte niebieską plandeką pakunki czekające na transport do miejsca letniego spoczynku.

*

Ciągnąc jak kometa swój ogon w tumanach kurzu, parłem do przodu w kierunku bezkresnej wody, jak do cycka na piersi Zatoki Hudsona – do Zatoki Jamesa. W końcu dojechałem do Eastmain, które rozłożyło się w wygodnym, osłoniętym od wichrów wyspami, ujściu rzeki Eastmain. Jak wiele dotychczas poznanych miejscowości Eastmain było typowym indiańskim osiedlem: zbudowane według standardów białych, czasami ozdobione według standardów indiańskich. Składało się z domków z prefabrykatów ustawionych w nudnych, krzyżujących się szeregach. Niepochoowany letni sprzęt ogrodowy i różnego typu maszyny (działające i nie) cierpliwie krył się w zwałach zgrudzonego, topniejącego śniegu. Gdzieś w sercu miasteczka zajaśniała roślejsza budowla – centrum kultury pierwszego narodu.

Na ulicach pojawiły się ciemnoskóre postacie o obliczach krągłych jak księżyc w pełni, tylko trochę większych, może dlatego, że widziane z bliska... Ale nie ludzie mnie interesowali. Chciałem wody, chciałem się w końcu dorwać do tego cycka i zanurzyć palec w północnej wodzie. Miotalem się więc wzdłuż oblażonej jakimiś budami drogi z tym palcem wzniesionym jak autostopowicz po sezonie i tyle co on zyskując na opustoszałej drodze. Wody nie było. To znaczy może i była, ale gdzieś pod lodem. Dalekiego, okrutnego, północnego widoku też się nie dopatrzyłem. Przyjechałem za wcześnie, ale nie było czego żałować. Nie zdołałem poznać wszystkich sekretów, tym lepiej, dobrze jest zostawić coś na później. W końcu jest ograniczona liczba ciekawych miejsc i lepiej być na początku drogi niż na jej końcu. Zamiarów oczywiście nie zmieniłem, zaplanowałem gdzieś tutaj spędzić kilka tygodni..., no to je spędzę.

Ruszyłem z powrotem. Dopiero po przejechaniu około dwustu kilometrów znalazłem odpowiedni zjazd. Nie przyszło to z łatwością, ale kierowany doświadczeniem wiedziałem, że zawsze gdzieś czeka na mnie odpowiednie miejsce, tylko trzeba go poszukać. Niepokoila mnie rozmiękła roztopami nawierzchnia. Byłem stosownie wyekwipowany, ale ile razy rozchlapując błoto, zostawiałem głębokie koleiny, niepokoiłem się: znałem ból wygrzebywania się. Dróżka, w którą skręciłem, zapowiadała się dobrze. Pod kołami trochę chlupotało, ale włączywszy napęd na cztery koła, parłem przed siebie bez przeszkód.

Jadąc na południe, dostrzegałem coraz bardziej widoczne zmiany w roślinności. Drzewa wydłużyły się, pojawiły się jakieś krzaczki, a stare liście świadczyły o obecności drzew liściastych, takich sobie ciepłolubnych roślinnych pospolitaków. Nie znaczy to, że zrobiło się ciepło, wprost przeciwnie, zaczął się paskudny deszczyk ze śniegiem. Nie mogę powiedzieć, że bym cierpiał niewygodę. Mając ciepłą kabinę oraz wygodny, chociaż mały kamper z tyłu, czułem się jak zarozumiały ślimak ze swoją poręczną skorupką, domkiem na plecach. Jadąc przed siebie, mierzyłem odległość od głównej drogi. Im dalej, tym lepiej. Kilometr jest przeze mnie zalecanym minimum, niestety często bywa to też maksimum. Tym razem miałem szczęście. Przejechałem trzy kilometry, a droga wciąż zdawała się ciągnąć i to w nieskończoność.

O, rozkoszy poznawania! Tajemnicza mgielka przede mną kusiła jak grzesznica. Nie byłem z kamienia, dodałem gazu. Nagle szok. Przede mną zaszarzał samochód, stężałem jak wilk na widok myśliwego. Uderzyłem po hamulcach. Nadal czułem się jak wilk, do którego myśliwy wycelował swoją morderczą rurę. Ogarnęła mnie desperacja i gniew. Taki mały wybór i jeszcze mi się to odbiera? A niedoczekanie! Ruszyłem do przodu. Obcy samochód czał się obok jak podły kundel. Ślepił na mnie swoimi martwymi oczodołami. Odzyskałem oddech, to tylko porzucony wrak, mechaniczny trup, widok miłego opuszczenia, a przy okazji można nasycić męskie oko jakąś mechaniczną nagością. Maską była zadarta do góry i zazwyczaj ukryte detale przyciągały wzrok.

Zadowolony jechałem dalej. Przejechałem pomiędzy dwoma stawkami. Droga jak marzenie zdawała się w nich zanurzać: nietknięta jak dziewica w kąpieli, oby się tylko w niej nie pogryźć. Aż nagle łup, jak policzek w twarz, co tam, więcej, jak kopniak w męską słabość, huknęło, żwir zachrobotał o podwozie, koła bezradnie zawirowały – ugrzązłem. Siedziałem w kabinie z głupią miną, patrząc w tajemniczą, mglistą perspektywę i urągałem. Dziwka! Tak mnie nabrała. Puściłem w mgłę wiązkę relaksującą i się uspokoiłem.

Opuściłem kabinę i zadrzałem: O rany, wpadłem. Rozejrzałem się wokoło: Ale za to w jakiej scenerii! Właściwie całkiem nieźle ugrzązłem, bo równo ze wszystkich stron. Nie będę musiał wypoziomować kampera. Byłem daleko od drogi, więc cisza była zapewniona. Z wyjazdem też nie będę miał kłopotu. Rano zdarzają się przymrozki, ziemia nieco twardnieje i podsycha. No problem. Zbliżał się wieczór, więc wróciłem „do domu”. Od tej chwili samochód zamienia się w rezydencję mieszkalną. Włączyłem kuchenkę i zaraz zrobiło się ciepłutko. Wkrótce zro-

biłem szybki obiad, wymyłem, czyli wylizałem naczynie, i resztę wieczoru mogłem przeznaczyć na odpoczynek z książką. Radia nie dało się słuchać, bo żabojady więcej gadały, niż grały, a ja ciągle francuskiego ani w ząb. Anglojęzyczne stacje najwyraźniej były poza zasięgiem mojego radia.

W nocy się ochłodziło, co przyjąłem z przyjemnością. Do tej pory nie zdarzyło mi się zmarznąć nawet na Yukonie, więc raczej nie było obawy, że przytrafi mi się coś podobnego tutaj. Ranek przywitał mnie radosny i jasny, w nocy spadł śnieg. Siedząc przy oknie, chłonałem piękno odnowionej okolicy. Nagle kątem oka zarejestrowałem jakiś ruch, tuż obok przechodził lis. Zupełnie nieświadomy mojej obecności dziarsko dreptał trasą, którą prawdopodobnie przemierzał wiele razy.

W przeszłości podobnych sytuacji widziałem wiele. Używając bocznych lub opuszczonych dróg, przy czym nie manifestując swojej obecności przez palenie ognia i nie rozrzucając wokół sprzętu kaperskiego, wiedziałem, że przez kilka pierwszych dni mam szansę zobaczyć miejscowe zwierzątka używające drogi jako bardzo wygodnego przejścia między ich ulubionymi terenami myśliwskimi. Stojąc na samym środku takiej drogi, spodziewałem się być wprost omywany przez „dzikie fale”. Bez troski lisek zniknął za zakrętem. Zjadłem śniadanie i wyruszyłem na rozpoznanie terenu.

O, rozkoszy natury..., kto do licha wymyślił miasta?! Energicznie maszerowałem przed siebie. Powietrze pachniało wilgotną świeżością, radosne myśli pulsowały mi w głowie. Nagle spod nóg wystrzelił mi ptak, stężałem. Był to moment, kiedy zapasowe majtki i rolka papieru toaletowego stają się jedynym pożądaniem podróżnika. Na szczęście nic się nie stało. Co za sk..., ale nie wypowiedziałem tego na głos, nie byłem między ludźmi. Był to jakiś ptak „jadalny”. Nic dziwnego, że myśliwi się nad nim znęcają. Głupota musi być pokarana.

Wdrapałem się na wypolerowaną lodowcami skałę. Co za ulga, żadnych miast na horyzoncie. Ale ślad człowieka był widoczny. Nieco na południe zaczynały się kilometry i kilometry niby-lasów. Amerykanie nazywają to „shit woods”. Odetchnąłem z ulgą. Byłem otoczony starymi wyrębówiskami, czyli nawała turystów też była wykluczona. Dopóki drzewa nie odrosną, miałem ich z głowy. Wprawdzie turyści notorycznie jak Mister Jekyll w Mister Hyde'a przepoczwarzają się w myśliwych, ale to grozi dopiero jesienią.

Ciekawy jest fakt, że obrzydliwe poręby wcale nie są obrzydliwe dla zwierząt. Oddrzewione połacie porasta mnóstwo smakowitości. Świeże pędy, różnorodność jagodowych krzaków jest źródłem znakomitych przysmaków. Szkoda, że człowiek o tym nie wie i wraca po wypasione zwierzęce smakowitości, boć w końcu dziczyzna jest zdrowsza od hamburgera. Niech hamburgery jedzą ci, co strzelać nie potrafią albo są fanatycznymi obrońcami natury. Poza tym nie było nas, był las; teraz gdy szlag trafił las, jest dużo nas i o to chodzi – no nie?

Radosny jak koziołek miotalem się po ścieżkach. We wszystkich strategicznych miejscach widziałem ambony myśliwskie, to znaczy rodzaj rozrywkowych okopów nad powierzchnią ziemi. Niezłe salwy z broni palnej musiały tutaj rozbrzmiewać jesienią. To dobrze, w końcu ja też nie byłem jakimś niezbrojnym naturalistą. Lubilem strzelać – chociaż dziurawiłem tarczę, a nie zwierzynę – to znaczy, jak mi się udało w nią (tarczę) trafić. Tutaj muszę wyjaśnić, że właściwie zbyt wiele przeciw polowaniom nie mam. W końcu sam z lubością na Jukonie mordowałem króliki i gryzonie ziemne, ale wszystko zależy od tego, jak tę dyscyplinę się uprawia. Jesienią, jak wiem, uprawia się ją raczej dziwacznie.

Teraz byłem sam. Co chwilę z krzaków dochodziły mnie lubieżne gulgoty, łopotanie skrzydełkami i inne miłe myśliwskiemu uchu dźwięki. Co chwilę, jak już dobrze się zamyśliłem, jakiś pierzasty Romeo ze złości czerwony na dziobie, przyprawiając mnie o palpitacje serca, strzelał mi spod nóg i salwował się ucieczką – tak jakbym go gonił.

Jakiś czas później, utleniony i przyjemnie podmęczony, wracałem do kampera. Już mając domostwo na widoku, dostrzegłem jakiś ruch, jakaś skulona czarna sylwetka przemknęła przez drogę, chwyciłem za lornetkę i aż jęknąłem z rozkoszy. Wielki czarny basior – wilk. Po chwili jeszcze raz jęknąłem. Wilczysko czało się między mną a kamperem, odcinając mi drogę..., a ja byłem bezbronny jak niemowlę, jak goły w pokrzywach. Włosy zjeżyły mi się na głowie i wtedy wilk mnie dostrzegł. Popatrzył na mnie zgłodniałym wilczym wzrokiem, i na łeb na szyję zaczął uciekać, powiewając kłakami. Co za tchórz, wyszeptalem, rozcierając zdrętwiałą z przerażenia skórę na twarzy. Jak on ucieka, to nawet ja bym tak nie potrafił. Szybko, ale z godnością skryłem się w kamperze.

Wieczorem podczas kolacji gdzieś obok posłyszałem znajomy trzepot skrzydeł: coś spłoszyło kolejnego Romea w krzakach. Wyjrzałem przez okno. O, rozkoszy! Tuż obok, głęboko zamyślony, maszerował ryś. Znałem tego rodzaju sytuacje i miałem wyrobione metody postępowania. Najpierw w milczeniu, żeby zanotować to rzadkie wydarzenie bez pominięcia ani jednego szczegółu, wybałuszyłem oczy. Ryś jest rodzajem kota o nieco innych niż tygrysie proporcjach, i nie mam tu na myśli rozmiaru, a więc nie posądzam go o to, że jest kurduplem. Jest dosyć wysoki, choć krótki; bez ogona przypomina kota domowego, który wychodząc przez drzwi, nie pomyślał, że ktoś może go gwałtownie zatrzasać. Well, czyli ogon rysia jest krótki. Uszy są zakończone pędzelkami przypominającymi warkoczyki zalotnej nastolatki. Tylko te oczy nie pasują: są takie uważne, okrutne, głodne...

Drugim etapem pośpiesznego oglądania zwierza jest próba komunikacji. Gdy bestia ma już zniknąć z pola widzenia, zaczynam ją przywoływać. To znaczy, robię to, gdy jestem w bezpiecznym samochodzie. Jeżeli jestem na zewnątrz, jak w przypadku z wilkiem, zamieram w bezruchu, a następnie wprawiam się w ruch, czyli pospiesznie opuszczam okolicę. Teraz byłem niezwykle odważny. Zacząłem przywoływać „kiciusia”: Kici, kici, kici. Kocur znierucho-
miał. Wycelował na mnie te swoje okrutne i głodne oczy i przez moment wprost pożerał

mnie wzrokiem. Ponowiłem zaproszenie: Kici, kici, kici. Bestia zaciekała się na tyle, że postąpiła w moim kierunku, wzrok zobojętniał, nic wartego uwagi, to tylko człowiek. Zupełnie mnie ignorując, kocisko odwróciło się do mnie tyłem i podrygując z wielką godnością śmiesznym ogryzkiem ogona, poszło, dokąd wcześniej zmierzało.

Znałem to zachowanie, bo podobnego doświadczyłem w dwóch przypadkach z kugurami w Górach Skalistych, w kilku przypadkach z niedźwiedziami, w tym z jednym grizzly na Jukonie i z licznymi sarenkami i inną rogacizną. Zauważyłem, że kociska patrzą zawsze czujnie, niedźwiedzie mają wygląd raczej senno-głupawy, a sarenki zawsze zdziwione. Jednym słowem – zwierzęce zachowanie – miłe. Było mi dobrze. Byłem w swoich ukochanych krzakach, zapoznałem się z „sąsiadami”, teraz z optymizmem spojrzałem w przyszłość, żeby nie zapeszyć, bo się pojawią ludzie, a zwierzątka znikną.

Kilka dni później, po powrocie ze spaceru, dostrzegłem przy kamperze ślady człowieka, zadrżałem. Kto to był, czego chciał, jak z takim postępować, toż to człowiek, a nie wilk, jeszcze zaatakuję... A może to jest jakiś troskliwy. Tacy też są, łażą po świecie i ciągle komuś dobrze czynią. Żeby tylko mnie nie zaczął ratować! Z troską spoglądałem wzdłuż drogi, na której tak wygodnie tkwiłem. Dobrze, że przyszedł, a nie przyjechał. Nie daj Boże, jeszcze by się obok zakopał..., i miałbym sąsiada. Aż zadrżałem. Ileż to razy blokowałem swoje boczne drożki, żeby ktoś mnie nie rozjechał. Niewiele to pomagało. Przejeżdżali przez barykady, nawet o tym nie wiedząc. Teraz czekałem na niepożądane odwiedziny, ale po kilku dniach zapomniałem o wszystkim.

Wiosenne roztopy wypełniły wodą wszystkie depresje. Okolice upstrzyły się stawkami i jeziorami, szum wody i ryk gęsi wypełniły powietrze. Najwyraźniej znajdowałem się na trasie przelotu migrujących ptaków. Północ coraz wyraźniej pulsowała powracającym życiem. Gęsi swoimi wrzaskami trochę mi przeszkadzały, ale w nocy cichły, co nie znaczy, że robiło się cicho, oj nie. Dźwięki, które znam, natychmiast wpadają mi w ucho i albo je lubię, albo nie. Tym razem każdego wieczora, co przedłużało się do nocy, coś burczało mi pod boki, a im dalej, tym liczniej. Jak zwykle winiłem za to jakiegoś pierzastego Romea, których tu oczywiście nie brakowało, ale to było coś nowego. W ciągu dnia chciałem mieć absolutny spokój, bo jestem z istot myślących, a w huku nie myślę, tylko brzydko się wyrażam. W nocy, oczywiście jako istota śpiąca, chciałem spać, a tu masz, pod boki rozlokował się dom schadzek. Żeby ograniczyć tę rozpustę, codziennie na dachu kampera budowałem piramidkę z kamieni; jak coś zaczynało lubieżnie zgrzytać, gulgotać czy skrzeczeć, z pomocą piramidki przypominałem o nocy i dobrych manierach.

Niestety bombardowanie krzaków nie zawsze pomagało. Pewnego razu przypadkowy kamień plusnęła w kałużę, dając niespodziewanie zamierzony efekt. Zaciekałem się. Wyszedłem na zewnątrz, żeby sprawdzić podejrzenia. Tak jak myślałem, z wody łyptały na mnie liczne wybałuszone ślepie. Aż wy, ropuchy – wrzasnąłem – to ja ubliżam niewinnym ptakom, a nawet

ludziom (choć ci zawsze są czegoś tam winni), a te płazy rechoczą z mojego błędu i spać nie dają. Od tej chwili przed udaniem się na spoczynek bombardowałem okoliczne kałuże, łącznie z tą, która się koło mnie rozlała. I nareszcie miałem wszystko pod ścisłą kontrolą. Rano było cicho, a to dlatego, że w nocy woda zamarzała i wielka ochota i gorące serca żabom nie wystarczały, żeby roztopić lód. Tu pomagało tylko słońce.

Jak wspominałem, noce były chłodne i czyste. Pewnego wieczora, już po zachodzie słońca, chciałem poobserwować przez lunetę gwiazdy i księżyc. Ku mojemu zdziwieniu i radości niebo płonęło zorzami polarnymi. Zorze znałem z Jukonu, chociaż tam widywałem je w zimie. Tutaj na wiosnę i w „tropikalnych szerokościach” były nie na miejscu. Zaskoczenie przeszło w oszołomienie. Takiego spektaklu jeszcze nigdy nie widziałem. Jak w „Niebiańskiej dyskoteczce”. Jakieś wiry, fale i frany światła szalały po niebie. Ciągłe eksplozje czegoś nowego i dech zapierającego. Jak zwykle starałem się dosłyszeć szum, jaki podobno zorze wydają, tak twierdzili bohaterowie powieści Jacka Londona. Nigdy niczego się nie dosłuchałem na Jukonie, tutaj też mi się nie udało.

Wszystko, co żyło, wykorzystując trochę światła i wznecając echa, kochało się po krzakach. Najgłośniejsze były żaby. Te po prostu ryczały i nie byłem w stanie temu zapobiec. Kamienie już dawno mi się skończyły, a wyjść na zewnątrz w nocy... z pewnych względów nie miałem ochoty. Ta jedna noc była niezapomniana. A swoją drogą, jeżeli żaby są tak kochliwe, to musiały rozmnożyć się do astronomicznych ilości. Teraz pewnie są już na księżycu i tylko czekają, aż im się tamtejszy lód roztopi, by ruszyć dalej.

A gęsi, fala za falą, jak gęgające bombowce szły na północ. Kolejnego wieczora posłyszałem jakieś głosy, na pół umarłem, bo to były ludzkie głosy. Moja samotnia w wielkiej kałuży na środku drogi została odkryta i zaatakowana. Z sentymentem pomyślałem o żabach. Z tymi problemów nie ma: kilka kamyków i jest cicho. Posłyszałem nawoływania i troskliwe pytania. Pomyślałem – a żebyś ty rozwolnienia dostał – tylko trochę dalej! Wtedy też zrozumiałem, że rozumiem pytania, które brzmiały po angielsku. Zciekawiony wyjrzałem przez okno w dach. W pierwszym momencie w półmroku nie zauważyłem gości, po chwili jednak odróżniłem ich od przydrożnych krzaków.

64

Przedemną stały dwie postacie obleczone w maskujące stroje, przypominały mi żołnierzy na podchodach. I rzeczywiście mężczyźni uzbrojeni byli po zęby. Wszystko zdawało się z nich zwieszać: liczna broń, manierki, torby, plecaki... Śniade, zlewające się z tłem oblicza, Indianie na wojennej ścieżce! Nerwowo stopą namacałem karabin..., wtedy młodszy mężczyzna się odezwał i cała moja ogromna odwaga powróciła. Głos był łagodny, niemalże nieśmiały.

Jak wspominałem wcześniej, Indianin mówił po angielsku; skąd wiedział, że mogę znać ten język? Najwyraźniej domyślił się z mojej tablicy rejestracyjnej, ciągle posługiwałem się tą ze stanu Alberta. Po krótkiej wymianie zdań wiedziałem wszystko. Byłem w zasięgu terenów

myśliwskich Indian Cree. Mężczyźni uprzejmie zapytali, czy już skończyłem polować, bo teraz oni chcieliby ustrzelić jakiegoś gęgacza: *Gary puste, squaw wrzeszczy, dzieci płaczą, a brzuchy ryczą!* Ucieszyłem się, że nie będziemy sobie przeszkadzali. Ja nie poluję, powiedziałem z dumą, ja tu przeżywam naturę. Indianie spojrzeli na siebie zakłopotani. Z pewnością dla nich taki wrażliwy kojarzy się z kimś, kto siedzi w krzakach za nagłą potrzebą. Bardzo zażenowani pożegnali się ze mną i pośpiesznie oddalili, zupełnie jakby się bali, że zaczną postękiwać... Tak czy inaczej nikt nikomu w drogę wchodzić zamiaru nie miał, prywatność pozostała nietknięta.

Następnego dnia w okolicznych krzakach odkryłem kilka szałasów zrobionych z giętkich żerdek i bud z płyt październowych. Były to indiańskie zimowe obozy myśliwskie; teraz opuszczone i zaśmiecone, ale ciągle opowiadające każdym szczegółem o prawdziwych myśliwych. Jedynie Indian – ludzi natury – szanowałem jako myśliwych. U nich polowanie oraz przebywanie tutaj oznaczało życie, a nie dobrą zabawę, jak to bywa najczęściej w przypadku weekendowych myśliwych.

Pozostałem w tej okolicy przez jeszcze dwa tygodnie. Robiło się coraz cieplej, pojawiły się pierwsze insekty. Głodne, entuzjastycznie witały każdą strawę, z radością witały mnie. Najwyraźniej uważały człowieka za rzadki przysmak. Znałem to z poprzednich wypraw. Gdy robactwo ruszało się z przyspieszeniem zdolnym przebić siatkę w oknie kampera, mój czas w dziczy dobiegał końca. Do jesieni musiałem przetrwać w złowieszczej miejskiej dżungli.

Moja pierwsza wyprawa nad Zatokę Hudsona zakończyła się sukcesem, poznałem nowe miejsca, a nawet jej mieszkańców, choć tych pewnie nie do końca. Teraz nie tylko wiem, gdzie mogę wrócić, ale i po co..., i wróć.

*

Opuszczałem Calgary jak korek wypchnięty gazami z butelki szampana; w szampańskim też byłem nastroju. Kolejny raz podążałem tam, gdzie należałem ciałem i duszą. Samochód też buczał swoją pieśń wolności. Jakże inaczej ona brzmiała w porównaniu do zdyszanego i zbolanego mechanicznego jęku w mieście. Jakże podobnie sam czułem się i brzmiałem w hałaśliwym bezsensie zatłoczenia.

Początek podróży natychmiast przyniósł pierwszą przygodę z tym, który należał do rasy prawdziwych dzieci Matki Natury, z Indianinem. Wolny z natury i bez troski, a przecież i on popadł w cywilizowane, współczesne problemy. Tym razem doświadczył kryzysu paliwowego. „Niespodziewanie” jego pick-up doznał jednej z częstych, chociaż niegroźnych awarii – braku benzyny w baku.

A było to tak. Jechałem wolno, dając oczom możliwość pełnego absorbowania otaczającego mnie piękna. Góry Skaliste zbliżały się, rosły wzdłuż i wszerz, a wraz z nimi rosło moje ukontentowanie, aż nagle z przydrożnego rowu wyskoczył mężczyzna. Przejeżdżałem przez in-

diański rezerwat, więc nie zdziwił mnie wygląd człowieka, jego stroju i zachowania. Strój był typowy: pepegi, džinsy, także kurtka i szerokoskrzydły kapelusz ocinający śniade oblicze. To oblicze nieco mnie zaniepokoiło, ponieważ wyrażało stan jakiegoś nieznanego mi podeksytowania. Ileś tam dziesiątków lat temu z pewnością znamionowałoby to ochotę uczynienia czegoś szczególnego, jak chociażby oskalpowanie białej twarzy. Teraz, kto wie?

Indianin okazał się prawdziwym przedstawicielem klasy wojowników: urządził zasadzkę w jedynym stosownym miejscu na drodze, tuż przy głębokiej dziurze w asfalcie, dodatkowo wypełnionej mętną wodą. Poza tym zasadzka miała działanie wybiórcze: selekcionowała przejeżdżających. To znaczy oddzielała wrażliwych od niewrażliwych, a tym samym litościwych od bezlitosnych. Każdy, kto nie zmniejszył prędkości w celu ominięcia dziury, czyli okazywał bezdusność względem zawieszenia pojazdu, z pewnością nie okazałby hojności i nie odstąpiłby tej niewielkiej, a tak ważnej, jak się wkrótce okazało, odrobiny paliwa.

Oczywiście zwolniłem, jakkolwiek nie litościwość mi przyświecała. Nawet obawa o skalp mnie nie powstrzymała, dobro toyoty liczyło się nade wszystko. Kiedy zwolniłem i objeżdżając przeszkodę, zbliżyłem się do pobocza, Indianin natychmiast zerwał się z wygodnej kryjówki i wymachując wielkim czerwonym kanistrem, podbiegł do okna samochodu. Zdezorientowany zatrzymałem się. Okna uchyliłem tylko trochę, tyle, by słyszeć głos i okazać grzeczność, nie tyle, by zezwolić na łatwe skalpowanie... Posłyszałem głos, a wkrótce poczułem potężny, palący oddech człowieka w potrzebie. Aż mi oczy załzawiły.

– Benzyna – wydyszał Indianin. – Benzyna – jeszcze raz powtórzył. Zabrzmiało to jak oferta. Ludzka przedsiębiorczość wzięła we mnie górę.

– Czyżby dawali za darmo? – Przeleciało mi przez myśl. Całkiem prawdopodobne, toż to Alberta, kraina ropy naftowej. Już zaczynałem żałować, że byłem zatankowany po same korki, gdy tubylec zakończył:

– Benzyna mi wyszła...

Nieco rozczarowałem się. Czegoś żądają, a nie dają za darmo, ale zaraz mi przeszło. I tak bym nie skorzystał. Myślami wróciłem do nieszczęśnika.

– Cóż z tego – pomyślałem – że zabrakło ci benzyny, wystarczyłoby co trochę pooddychać w gaźnik, a z pewnością dojechałbyś do najbliższej stacji benzynowej i to na pisku opon. Taki oddech zawierał z pewnością wielką liczbę oktanów!...

Oczywiście myśli zachowałem dla siebie. Być może nieszczęśnik nie posiadał stosownej mechanicznej wiedzy o gaźnikach i temu podobnych urządzeniach i nie wiedział, gdzie chuchać. Poza tym w kraju o niezwyklej równości moje uwagi mogły być poczytane za próbę wywyższenia się lub zgoda za rasistowskie tendencje białego, w tej chwili bardzo białego, bo po-błađłego ze strachu nad konsekwencjami doradzania lub odmowy.

Moje niezdecydowanie Indianin przyjął jako odmowę i płacząco zaapelował do sumienia, do wrażliwości człowieczej.

– Syn mi zasłabł – wyjącał. – Wiozę go do szpitala. Serce mi drgnęło boleśnie. Wprawdzie nie znałem ojcowskich doznań, ale spróbuj nie pomóc, z benzyną czy bez, zawlecze się taki czy też zaholuje pod pal męczeństwa i jeszcze lakier porysuje... Jęknąłem, jakkolwiek jeszcze się wahałem. Trochę wątpiłem w prawdomówność mężczyzny. Ten oddech świadczył raczej o dobrym wydarzeniu niż o złym. W moim mniemaniu (wspartym pewnym doświadczeniem w tej dziedzinie) dolatywał mnie odór wielkiej ulgi i celebracji. Miałem silne wrażenie, że dziecko albo już nie żyło, czyli nie cierpiało, czego wrażliwy ojciec życzył swojemu dziecku, albo też szczęśliwie ozdrowiało i wprowadziło tym kochającego rodzica w znakomity humor.

Tak czy inaczej dla mnie problem nie ulegał rozwiązaniu. Indianin tkwił przy oknie, zionął palne gazy do szoferki i żeby nie ujrzeć groźnej zmarszczki na jego obliczu i wzroku ślącego ogniste, zapalające się błyskawice, a z tym wielkiej eksplozji, na drżących nogach opuściłem bezpieczną kabinę.

Indianin wyraźnie się odprężył, czknął i pobiegł do rowu po szlauch. Jeszcze raz ogarnęła mnie słabość. To, co przyniósł, mogło posłużyć do przepompowania mojego całego miesięcznego zapasu benzyny w ciągu sekund. Teraz ja z kolei nigdzie nie dojadę. Utkwię w tej zapowietrzonych okolicy, aż mnie rozrastające się miasto jeszcze raz dopadnie i wchłonie. Z rozpaczą patrzyłem na próby wyszania mnie na sucho i dopiero po chwili zrozumiałem, że dzieje się coś dziwnego, choć korzystnego. Poczytywane początkowo za nieudolność w obchodzeniu się ze sprzętem zmechanizowanym ruchy stały się zrozumiałe. Mimo ponawianych wysiłków rura nie chciała wejść w skromny, japońsko-ekonomiczny otwór baku toyoty.

Jak Indianie schną, to schną na całego, dlatego też jak już kogoś dopadną, to ssą na całego i do jakichś cienkich wężyków się nie ograniczają. Z amerykańskimi krążownikami szos z czasów dobrobytu, z bakami jak cysterny to przechodzi, natomiast z ekonomicznym produktem współczesności nie. Natychmiast odzyskałem pewność siebie. Wyraziłem żal, że jednak nie mogę pomóc, *choć tak chciałem*. Indianin jednak już mnie nie słuchał. Jego oczy utraciły tragiczny wyraz. Powróciło opanowanie i odezwała się typowa filozoficzna natura ludzi walczących z niekończącymi się przeciwnościami losu. Jak teraz nie udało się, uda się innym razem, zresztą ruch na drodze wzrastał. Poza tym miał jeszcze w żyłach wystarczająco „dobrego humoru” na dzień następny.

Odjeżdżałem zadowolony. Moja ucieczka z cywilizacji mogła przebiegać dalej. Dodatkowo widoczna wcześniej u Indianina wielka troska o swoje dziecko znacznie zmalała, a właściwie znikła, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że troskliwy ojciec nieco przesadził z tym zamartwianiem się i próbą natychmiastowego przetransportowania syna do źródła pomocy.

W porównaniu do przeciętnej pod wieloma względami wschodniej Kanady, nie wspominając o nudnej środkowej, preriowej, cała zachodnia część kraju jest skoncentrowaniem tego wszystkiego, gdzie przygoda się gnieździ. Góry, lasy, dziki zwierz, co krok coś nowego i innego.

Tutaj ciągle coś się dzieje, tutaj wielu żądnych przygody wiąże wielkie nadzieje z poszukiwaniem nowego życia. Tutaj wystarczy zanurzyć rękę w rwącym górskim strumieniu i już mamy to, o czym marzą ci w miastach, garść cennego kruszcu albo tłustą i zdrową rybę. Dla porównania: ci z prerii co grzebną w ziemi, to znajdują kartofel albo buraka, ci w miastach ze wschodu, na przykład z ci Toronto z żyłką do przygody, w ziemi nie grzebią, bo na to potrzebne jest pozwolenie z urzędu miasta, w rwącym strumieniu ręki też zanurzyć nie mogą, chyba że w zanadru mają papier toaletowy stosowny do tego, co tam pływa. Jedyne, co mnie niemile zaskoczyło, to ta ciągła jazda pod górę albo w dół, co wbrew pozorom nie jest wcale lżejsze. Jadąc do dziczy zachodu, spodziewałem się, że wszystkie reguły miast nie obowiązują, nie spotkam żadnych zakazów, obowiązywać będzie tylko traperska etyka, a zatrzymywać się będę tam, gdzie najpiękniej i oczywiście bezludnie.

Wjechałem do parku narodowego Banff i, o zgrozo, takiej ilości zakazów na tak krótkim odcinku drogi jeszcze w życiu nie widziałem, a najbardziej zakazywali posiadania broni. Zakaz posiadania broni dla trapera to jest jak zdarcie z niego spodni... albo nawet koszuli, a te, jak wiemy, raz włożone są tam tak długo, jak szwy na to pozwalają. Jechałem, ale się nie poddawałem. Przysmykałem to jedno oko, to drugie, żeby mi te zakazy siatkówki nie uszkodziły i czekałem aż znikną, tak jak zły sen.

Rzeczywiście, po jakimś czasie przestali przypominać i straszyć i zakazywać albo zmuszać... do podziwiania. Szybko o wszystkim zapomniałem, czułem się jak dziewica, która po raz pierwszy weszła „w krzaki”. To, czego się spodziewałem, to tylko romantyczne sytuacje..., na przykład spotkanie z niedźwiedziem grizzly albo odkrycie jakiejś zapomnianej czarującej kopalenki złota, nie do końca wyeksploatowanej, ze szkieletem trapera z kilofem w ręce. Ach, jak było pięknie. Zza każdego drzewa czy krzaka wyglądała ośnieżona góra. Tutaj nawet parkingowe kłozety miały widoki, o których właściciele milionowych posiadłości nawet nie mogli pomarzyć.

Wjechałem do miasteczka Banff, które trochę przypominało Zakopane, chociaż w moim mniemaniu brakowało tutaj zakopiańskiej atmosfery górskiego resortu (w Zakopanem byłem raz, dwadzieścia lat wcześniej). Upewniłem się, czy pierwsze wrażenie jest prawdziwe i szybko wyjechałem. Taki tłok i dziesiątki sklepów miałem za darmo na jakimkolwiek placu w Toronto. Ponieważ robiło się ciemno, zacząłem szukać miejsca na nocleg. Najpierw sprawdziłem kempingi, tak przez przekorę, natychmiast je odrzuciłem, nie przez przekorę, ale z braku miliona dolarów w kieszeni. Rozglądałem się za czymś, na co i ja mogłem sobie pozwolić. Od czasu do czasu widywałem drogi boczne, w niektóre wjeżdżałem, inne omijałem, w końcu zdecydowałem się na którąś. Znak wskazywał w prawo – Mount Norquay. Dotychczas

jechałem górską łatwizną, drogą wyciągniętą na wprost jak sznurek, dnem doliny, typową w tym młodym kraju. Trochę tym znudzony ucieszyłem się, gdy droga zagmatwała się: pierwszy ostry i stromy zakręt, po tym drugi i kolejne – serpentyna. Wkrótce przestałem się cieszyć. Czyżby Mont Norquey było na Księżycu? Benzyna mi się kończyła... Tak wysoko mogę nie dojechać. Na szczęście droga powrotna była w dół, do Lake Louise z pewnością dojadę, zjadę i to na pisku opon. W końcu „wdrapałem się” na wierzchołek góry albo gdzieś blisko.

Parking okazał się wielki, trochę dziki, zwirowy, dla mnie wręcz okazały. Cichutko stanąłem z boczku i zająłem się domowym życiem. Błogosławiona niewiedza pomogła mi zapomnieć o tych, co porządku pilnują, strażnikach parkowych, co niezależnych jak ja do płatnych parkingów zaganiają albo gdy okażą się oszczędni, jak ja, z parku wyganają. Spędziłem doskonałą noc, po zmroku ruch praktycznie zamarł, najwyraźniej turyści wiedzieli, że przytulności tutaj nie znajdują, nikt jeszcze plaży z butikami tutaj nie wybudował. Rano pomknąłem do Lake Louise, kolejnego słynnego resortu w Parku Banff.

Lake Louise sprawiło na mnie dużo lepsze wrażenie, wprowadzie to tylko odmiana Banff, ale na mniejszą skalę. Jakkolwiek potężny hotel wyglądał podobnie, ale mniejszy tłok, i jakoś bliżej do tych gór, co wprowadziło mnie w dobry nastrój, w końcu po to tu przyjechałem. Wyruszyłem na trasę, przemierzałem wyznaczone szlaki i podziwiałem... na początku, później już tylko przemierzałem. Dotychczas uważałem, że jestem w doskonałej formie i najprawdopodobniej byłem, tyle że była to forma nizinnego mieszczaucha. Od czasu do czasu pstrykałem zdjęcie, żeby później mieć dokument, gdzie byłem, tak dla siebie samego, przez ten pot zalewający mi oczy rzeczywiście mało widziałem. Na szczęście nie cierpiałem sam, właściwie każdy turysta sapał, rządził i pojękiwał w boleściach... albo w rozkoszy.

Co jakiś czas pojawiały się znaki ostrzegające przed niedźwiedziami grizzly, przed czarnymi misiami nie ostrzegali, domysliłem się, że nie było potrzeby. Turysta nastraszony obecnością niedźwiedzia grizzly przy najmniejszym szeleście w krzakach dostaje takiego przyspieszenia w stronę przeciwną, że gdyby nawet czarny misio w celu żebrzącym drogę mu zagroził, niewiele by zyskał, pęd powietrza od uciekającego turysty najwyżej rozwałby mu klaki.

Świadomy niebezpieczeństwa od czasu do czasu pohukiwałem i głośno do siebie mówiłem, nareszcie bez obawy, że pomyślą, że szalony. A szlaki aż huczały. Głośne ostrzegawcze gadania niosły się po okolicy, dzwoneczki obwieszczały potencjalnemu misiowi i światu, że tutaj idzie świadomy turysta. Każdy zakręt napawał mnie niepokojem, jednakże nic mnie nie atakowało, ostrzeganie straszło tylko mnie samego. Wkrótce się przyzwyczaiłem i zaprzestałem oznajmiania swojej obecności, co więcej, coraz częściej schodziłem z trasy.

Na jednym ze skrótów natknąłem się na martwe zwierzątko. Ucieszyłem się, że nareszcie będę mógł tego przeżuwać z bliska pooglądać. Obejrzałem z jednej strony, odważnie spojrzałem mu w oczy, nawet nogą go dotknąłem i wtedy zauważyłem, że przeżuwać nie jest

kompletny, brakowało mu tylnej części ciała. Dopatrzyłem się też ubitej trawy dookoła i śladu, którydy zwierzę tu przywleczono. W ułamkach sekund znalazłem się na głównym szlaku i w następnym ułamku pokonałem znaczną przestrzeń, na bezdechu i wtedy dopiero odechnąłem – jak ryba po powrocie do wody – powietrze wprost piłem. Sytuacja mogła być poważna, przeżuwacza zamordował grizzly, a jak wiadomo, misio nigdy nie opuszcza pełnej spiżarni, chyba że go wywiozą, co w parkach zdarza się nagminnie. Wróciłem do turystycznej normy. Teraz nie potrzebowałem ostrzeżeń i przypomnień, uzbroiłem się w dwa patyki i stukając, i głośno rozmawiając, pohukując i pokrzykując, kontynuowałem marsz.

Kilka godzin później półślepy ze zmęczenia wróciłem do samochodu. Obowiązkowe podziwianie zaliczyłem, czy z przyjemnością, okaże się, jak odpocznę, teraz nagłym stał się nolec. Po wyjeździe z parkingu przyhotelowego skierowałem się na północ, biorąc drogę A1, czyli alternatywną jedynkę, teraz ograniczoną do ruchu lokalnego i turystycznego. W niewielkiej odległości od miasteczka dostrzegłem mało używaną dróżkę w prawo. Cudów się nie spodziewałem, a raczej znaku „ostrzegawczo-wyprasającego”. Znak nie było, chyba że leżał w krzakach. Wyjechałem na otwartą przestrzeń, na jakieś stare żwirowisko, z widokiem za milion dolarów. Nie mogłem uwierzyć, jakkolwiek zdesperowany uwierzyłem. Inni, wietrząc podstęp, nie wierzyli do tego stopnia, że tutaj nie nocowali i dobrze dla mnie, niewiernych nikt w Górach Skalistych nie potrzebuje.

Następnego dnia ruszyłem w dalszą podróż. Jechałem przed siebie i podziwiałem, i zachłystywałem się pięknem. Zwiedziłem park Yoho, obszedłem okoliczne jezioro Emerald, podziwiałem je z dołu i z góry. Przejechałem park Kootenay. Kilka dni później wróciłem do parku Banff. Wjechałem w drogę 93, do parku Jasper, zwaną lodowcową promenadą. Widoki potężnych gór przypominały mi żywe pocztówki. Zapachu powietrza nie dawało się dokładnie opisać, „rajski nektar” w przybliżeniu oddawał woń i smak.

Wkrótce ogarnął mnie egoizm, nie chciałem się tym pięknem z nikim dzielić, ale nikt tego do wiadomości nie przyjmował, ludzi wcale nie ubywało. Zmęczyłem się życiem i światem turystów. Jeżeli ktoś kocha tłok we wspaniałej scenerii, z pewnością może go znaleźć właśnie tutaj. Nie zmęczyłem się pięknem, zapragnąłem normalnego życia w moim wydaniu, w końcu od podstaw wzwyż byłem traperem i pionierem, wolnym włóczęgą stawałem się, gdy wypoczynek zaczynał męczyć.

W połowie drogi między parkami Banff i Jasper dojechałem do drogi 11 – Thomson. Zaciekawiony tam skręciłem. Po kilku kilometrach wyjechałem z parku Banff, a z tym wyjechałem ze strefy regulowanej specjalnymi przepisami. Wjechałem w obszar regulowany normalnymi przepisami. Wyjechałem z parku, ale nie wyjechałem z gór. Jechałem doliną wzdłuż rzeki Saskatchewan, przez uroczne Kootenay Plains. Szczególny mikroklimat stworzył tutaj przyjemne dla człowieka warunki. Tutaj zanim pojawili się biali, Indianie stworzyli coś w rodzaju sanktuarium, obszar, gdzie ludzkie życie było pod ochroną. Tutaj spotykały się okoliczne plemiona

i zamiast łupać sobie łby, handlowały, wymieniały dobra materialne, a jednocześnie zaspokajały swoje duchowe potrzeby.

Teraz, lata później, okolica jest ciągle uznawana za świętą. Zauważyłem dziwne, przypominające namioty struktury. Z bliska okazało się, że są to wielkie szkielety zbudowane z żerdzi i u podłoża, ale już wewnątrz, okolone gęsto plecionym płótem. Całość była obwieszona kolorowymi kawałkami materiału, powiewające na wietrze sprawiały niepokojące wrażenie, jakiś czas później od strażnika leśnego dowiedziałem się, że uprawiano tutaj taniec słońca. Taniec słońca jest starym rytuałem, w moim mniemaniu doskonałym substytutem skalpowania i torturowania przy palu męczeństwa. O ile dobrze zrozumiałem, Indianie uwiązywali się jednym końcem rytualnego postronka do centralnego pala namiotu, drugi koniec przenicowywali przez mięśnie klatki piersiowej i z tym miotali się w kółko.

Dziwna rasa. Rytuał ten jest teraz zabroniony, co oczywiście tylko dodaje smaku całej imprezie. Co więcej, zyskuje ona coraz większą popularność, a właściwie odzyskuje. Zjeżdżają się tutaj Indianie z całej Ameryki i nielegalnie tańczą. Raz nawet byłem w pobliżu, gdy ten diabelski sabat się odbywał. W nocy słyszałem jakieś dudnienia, wrzaski, a nawet strzelanie z pistoletów. Dla przypomnienia dodam, że wszystko to odbywało się we wspaniałej górskiej scenerii, takiej jaką większość ludzi widuje tylko na westernach.

Szczegółowość tej okolicy zafascynowała mnie. Oszałamiające widoki, świeże powietrze, cisza i spokój. W mojej wyobraźni tak właśnie wygląda traperski raj. Faktem jest, że biali próbowali i tutaj traperstwa i rolnictwa oraz stosowniejszej dla tego klimatu hodowli bydła. Czyli nie byłem pierwszym naiwnym, zresztą entuzjazm nie jest naiwnością. Rozentuzjazmowałem się. W takiej okolicy postanowiłem osiąść. Znalazłem właściwą dróżkę i powolutku, na niskim biegu, „popelzłem” w góry. Wkrótce znalazłem stosowne miejsce, ponieważ było ono na zboczu góry, z zachowaniem właściwej wystawy do słońca wkopałem przód samochodu... i osiadłem.

Tutaj po raz pierwszy naprawdę zaspokoilem marzenia. I widok, i odizolowanie, a jednocześnie funkcjonalność miejsca były we właściwych proporcjach. Tutaj też zobaczyłem pierwszego kuguara i kolejnego czarnego misia. Wszystko sobie dobrze zaplanowałem: odległość od górniczej miejsciny Nordegg była praktyczna, około dziewięćdziesięciu kilometrów, tam mogłem zrobić zakupy i wysłać listy albo je odebrać. Na miejscu miałem wodę, huczący strumień pod boki. Jedyne, co mnie niepokoiło, to dojazd do mojego miejsca, już teraz karkołomny, a po śniegu raczej pod znakiem zapytania..., chyba że tu śnieg nie pada, co było do sprawdzenia.

Żyłem dobrze i wesoło, jakkolwiek pojawiały się też problemy. Zauważyłem, że moje strzeleckie popisy jakby straciły na jakości. Po niedługim czasie doszedłem do wniosku, że to nie ja jestem niedoskonały, ale mój karabinek. Po jakimś okresie intensywnego myślenia wykom-

binowałem, może dlatego, że nikt mi w tym nie przeszkadzał, że potrzebuję lepszej broni, a po jeszcze jakimś czasie, że najlepszą. Na dodatek z lunetą i jeszcze na dodatek ze specjalną amunicją. Koszt tego przedsięwzięcia mógł przerazić przeciętnego śmiertelnika, ale nie mnie, w końcu nie na darmo hartowałem swoją odwagę i silną wolę w Górach Skalistych. Wprawdzie poważnie uszczuplałem swoje zasoby pieniężne, ale przecież doskonalać życie, nie mogłem zaczynać od utraty jakości w dziedzinie tak poważnej jak strzelanie do celu, czyli robienie dziurek na odległość.

Kilka tygodni później mój wspaniący karabinek – dziurkacz na odległość i reszta sprzętu drogą pocztową nadeszły. O, radości z posiadania czegoś tak wyczekiwanego, tak pewnie musi się czuć małżeństwo, które najpierw dzieci mieć nie może, a potem je nareszcie ma. Karabinek sportowy, doskonałość w pudełku, niemiecki Anschütz kalibru 22. Natychmiast uważnie przestudiowałem instrukcję, złożyłem broń, ucpiłem lunetę, gdzie trzeba, załadowałem i wystrzeliłem pierwszy raz. Odtąd góry huczały tak, jak huczał mój karabinek. Doskonała broń, precyzyjna jak mikroskop. Nareszcie zaspokoilem swoją potrzebę, nareszcie wiedziałem, że to ja sam nie trafia do celu, a nie moja broń. W zupełności mi to wystarczało, w końcu wymienilem najsłabsze ogniwo – sprzęt, nad sobą muszę popracować. Jak zauważyłem wcześniej, jedynie ja byłem niewymienialny, a czasami – myślałem zarozumiale – niezastąpiony.

Wkrótce życie osiadłe mi się znudziło. O zgrozo, poczułem potrzebę życia wśród ludzi. Zwalczałem to szaleństwo, jak mogłem, często badałem temperaturę (macając czoło), płukałem usta i zjadałem aspiryny i nic, ciągle niedobrze, ale nie całkiem źle, na szczęście ciągnęło mnie do ludzi, ale nie do Toronto, do tego temperaturę miałem za niską. Kilka dni później, rozprawiwszy się z resztką ciągoty na osiadłe życie, ruszyłem w drogę i nie żałowałem. Moje przytępienie stacjonarnym życiem zmysły szybko się rozżarzyły.

Znowu otoczył mnie tłumek podekscytowanych turystów, nie niemiły, ponieważ poważnie przerzedzony, sezon dawno minął. Znowu zwiedzałem wspaniące miejsce. Zanurzałem się w dzikie szlaki, zdeptałem cofający się lodowiec Columbia, złamałem prawo, kempując, gdzie mi odpowiadało, moja wyzwolona osobowość nie zezwalała na nic innego. Byłem szczęśliwy i sobą. Wolny jak wiatr hulałem po górach, przemknąłem przez Jasper. Miły resort, jakkolwiek tory kolejowe w przerażającej ilości wypełniające środek miasteczka mnie zraziły, nie mogłem tu nawet spokojnie zasnąć.

Pomknąłem dalej na zachód do Kolumbii Brytyjskiej. Na jakiś czas zatrzymałem się u podnóża wspaniatego Mount Robson. Mount Robson jest górą zawierającą w sobie wszystkie cechy Gór Skalistych. Jego warstwową budowę, tak charakterystyczną dla tych gór, podkreślał teraz śnieg. Niezwykle romantyczny widok. Blisko cztery kilometry skały górowały wśród sąsiadów. Turyście z nizin ta góra najprawdopodobniej najdłużej pozostaje w pamięci.

Podróżujący, jadący z Alberty na zachód, natychmiast dostrzega różnice w klimacie. Kolumbia Brytyjska sprawia wrażenie zieleniejszej, zielen jest soczystsza, głębsza. Sprawia to większa wilgotność powietrza i nieco wyższe temperatury. Zauważyłem to za pierwszym razem, a powtarzało się za każdym następnym. Często mając dosyć deszczu i wilgoci w okolicach Mount Robson, przeprawiałem się przez góry na wschód i już miałem sucho i przyjemnie. W lecie ta różnica dotyczy również robactwa, wilgotne lasy Kolumbii aż wibrują od pracowitego brzęczenia. W zimie jest tu też więcej śniegu, a wiosną chcąc ukryć się gdzieś od cywilizowanego życia, musimy liczyć się z rozmiękłym gruntem i grząskimi bocznymi drózkami.

Kolumbia Brytyjska ma wiele wspaniałych parków, ale samotnikowi ma też do zaoferowania znakomite miejsca. Ta znakomitość polega na ich charakterze, są to liczne wyrębowiska. Jadący widzi ich setki, a tysiące są jeszcze poza zasięgiem wzroku. Początkowo widząc ten leśny rozbój, zatrzymałem się. Poznawszy lepiej kraj i jego ograniczoną liczbę dróg i niezaludnionych miejsc, zmieniłem zdanie. Tak jak i w Québec, tak i tutaj ogromna liczba wyrębowisk daje jedyną możliwość na prawdziwe odizolowanie się od świata zewnętrznego.

Z czasem nauczyłem się je rozróżniać. W zależności od czasu, kiedy las wycięto, ich użyteczność się wahała: najlepsze wyrębowisko miało około dwudziestu lat. Problem polegał na ich znajdowaniu. Do tego potrzebna była cierpliwość i spora doza szczęścia. Ja zaczynałem od podstaw, na wyczucie; wkrótce pojawiło się doświadczenie i z odrobiną szczęścia poznałem szereg doskonałych miejsc, jak również części kraju te miejsca zawierające. Zresztą dobry wólczyga i bez mostu pod mostem się znajdzie i spędzi przyjemnie czas. Osiągnąłem ten etap.

Jadąc Trans-Canada numer 16, czyli drogą zwaną Yellowhead, około trzydziestu kilometrów za McBride zjechałem z drogi. Ponieważ było późno, zapadał zmrok, nie zagłębiałem się w drózkę zbyt głęboko. Po kilkunastu minutach wspinaczki na niskim biegu zaparkowałem na poboczu. Wypoziomowałem pojazd, zabezpieczyłem, żeby nie sturlał się gdzieś w dolinę, w ciemność i nareszcie rozejrzałem się wokół. Otaczały mnie potężne drzewa, gdzieś w skotłowanym mchu wśród korzeni bulgotała woda, mam co pić, zanotowałem w pamięci. Wilgotne, przesycone zapachami lasu powietrze było wprost gęste. Jak zwykle ruszyłem na szybkie rozpoznanie najbliższego terenu.

Pierwsze chwile na nowym miejscu bywały bardzo napięte; spowodowane to było długą jazdą i zawsze obecną niepewnością, gdzie będę nocował, lub wiedząc gdzie, co zastanę na ulubionym miejscu, czy jeszcze droga istnieje albo czy nie zaczęli, korzystając ze starej drogi, nowego wyrębu.

Teraz, idąc, rozglądałem się uważnie, notowałem wszystkie zmiany. Czułem, jak balsamiczna atmosfera kołata moje roztrzęsione nerwy. Szybko odzyskiwałem równowagę. Wtem na środku dróżki dostrzegłem jakąś ruchomą plamę, to dziki zwierz. Ostrożnie się do niego zbliżyłem, z radością rozpoznałem jeżozwierza: O rany, jaki śmieszny! Zwierzątko mnie też dostrzegło

i zaczęło niezgrabnie uciekać. Szybko je dopadłem. Rozochociłem się, szturchnąłem je butem. Mały paskudnik najeżył się ostrzegawczo. Zawahałem się, przypomniałem sobie opinię, że jeżozwierz potrafi strzelać swoimi igłami. Szybko znalazłem długi patyk i powtórzyłem zaczepkę, na wszelki wypadek zasłaniając oczy ręką. Jeżozwierz sapnął i zaburczał. Odskokczyłem na bezpieczną odległość i też zaburczałem z ukontentowania. Chciałem powtórzyć zabawę, ale niewdzięcznik szybko przelaźł przez strumyk pobocza i sapiąc z pośpiechu, skrył się w kolczastych krzakach. Jeszcze przez chwilę słyszałem go tłukącego się gdzieś na stromym zboczu, a po chwili i to ucichło. Spokój i zadowolenie wprost mnie przepełniały. W ciemnościach potykając się na nierównościach, wróciłem do kampera. Dobry początek, jeden zwierz zapowiadał następne, poza tym stwierdziłem, że droga była niejeżdżona.

Następnego dnia ruszyłem dalej. W nocy spadł deszcz, wszystko ociekało wodą, było też śliśko. Dróżka cały czas prowadziła w górę, włączyłem napęd na cztery koła. Wkrótce dostrzegłem jakiś papier przybity do drzewa, zaciekawiony przeczytałem go. Ktoś marudził na nim o dezaktywacji drogi i o niebraniu odpowiedzialności za tych, co w nią wjadą. Ucieszyłem się, utrudnienie na miarę trapera. Cokolwiek ta dezaktywacja znaczyła, mnie najwyraźniej nie afektowała. Zaraz za znakiem pojawił się pierwszy wyryty spychaczem rów, niezbyt głęboki przecinał dróżkę w poprzek – teraz zrozumiałem, co dezaktywacja znaczy. Do listy utrudnień w poszukiwaniu bocznych dróg dorzuciłem rozrytą albo rozmytą nawierzchnię.

Teraz przypomniałem sobie, jak ogromne znaczenie ma właściwy pojazd. Mój pierwszy samochód w Kanadzie zaspokoił wszystkie moje potrzeby z wyjątkiem jednej – pioniersko-odkrywczej. Kilka razy próbowałem nim wjechać w boczne dróżki i kilka razy nieomal zostałem tam na zawsze. Albo zaczynałem o nierówności podłoża, albo grzęzłem w kałużce o pojemności łyżeczki od herbaty. Czasami miałem wrażenie, że i na asfalcie mogę wpaść po osie. Gdy kupiłem pick-upa, niezrównaną toyotę z napędem na cztery koła, wpadłem w kolejną niebezpieczną skrajność, miałem wrażenie, że i po wodzie bez większych problemów bym przejechał. Faktem jest, że wysokie zawieszenie, duże i „agresywne” opony przy odrobinie zdrowego rozsądku pozwalały pokonać większość przeszkód. Jeżeli rozsądek zawiódł, napęd na cztery koła pozwalał się z matni wykaraskać. Toyotę nigdy się nieodwracalnie nie zakopałem.

Jechałem dalej, pokonawszy kolejny rów, za zakrętem, na środku drogi zobaczyłem łosia. Oniemiałem, zawsze popadam w ten stan, gdy jakieś duże dzikie zwierzę pojawi się w polu widzenia. Łoś zaskakuje i przyciąga. Dla porównania misio grizzly też zaskakuje i przyciąga, jakkolwiek nogi stają się dziwnie nieposłuszne: najpierw się trzęsą, a potem wprawiają w błyskawiczny ruch w stronę przeciwną. Teraz wszystko działało w stronę właściwą, szczególnie że bezpiecznie siedziałem w szoferce.

Łoś był dziwacznie w tułowie wysoki, a w głowie płaski. Jak się zastanowiłem, zrozumiałem dlaczego. Długaśne nogi już znałem z poprzednich spotkań, ale pokaźne rogi-łopaty zobaczyłem po raz pierwszy, to one nadawały przeżuwaczowi ten charakterystyczny samczo-uparty

wygląd rodzaju: „wino, kobiety, śpiew”, albo raczej stosowne dla łosia: dzikie ryki, karczemne bijatyki..., może dziewczyny, żadnych pijatyk, bo to tylko woda z kałuży..., a wszystko dopóki rogi nie odpadną, wtedy serce i ta druga część ciała stygną, mózg się rozgrzewa i pała, życie jest łatwe i dostatnie, a woda z kałuży smakuje jak wino, ale to później. Teraz zwierz był rogaty, łypnął na mnie spode łba, odwrócił się z dezaprobatą i znieruchomiał w oczekiwaniu, aż sobie pójdę, ale się zawiódł. Zwolniłem do minimum, ale ciągle się do niego zbliżałem. Z niewyobrażalną pasją podziwiałem stworzenie, aż mi oczy mgłą zachodziły. Zbliżyłem się na tyle, że widziałem świeżą szramę na zadzie bestii. Zażartowałem: To przez to niemoralne prowadzenie się, chłopcze, gdybyś więcej używał głowy, a nie zadka, to... Bestia zwróciła łeb do mnie. Zobaczyłem pokancerowaną gębę, chyba wybite oko i ułamaną część łopaty. Stworzenie patrzyło na mnie z wyraźnym niesmakiem, tak jakby chciało powiedzieć: Próbowałem jednego i drugiego, i co... Gdybym ja i inni „chłopcy” używali tylko zadka, to nie miałbym pokiereszowanego przodu, czyli głowy i byłoby przyjemniej, i byłoby nas więcej ku radości takich naturalistów jak ty i myśliwych takich jak ten, co zastrzelił mi kuzyna w ubiegłym roku. Tutaj łos zaruszał wielkimi wargami, jakby chciał splunąć, i wolno odszedł. A ja za nim.

Trzeba przyznać, że jak na taki rozmiar poruszał się z gracją. Pokancerowany zad kołysał mu się miarowo, męskie przydatki, ten pod szyją i ten z dala od niej, bardziej z tyłu, kołysały się równie miarowo. Zwierz nie miał zamiaru z drogi schodzić, najwyraźniej właśnie na nią wszedł. Nie sprzyjały temu strome zbocza drogi. Przez ponad dwa kilometry miałem zabawę, przez cały ten czas, sprawiony moją nachalnością, łos musiał mieć ból w tylnej części ciała, tej do mnie najbliższej. Co jakiś czas odwracał głowę, zwalniał i przystawał. W końcu wykorzystując ukształtowanie terenu, skręcił w prawo i znikł w młodniaku.

Jechałem dalej, miejscami droga niemiłe się zwiężała. Liczne deszcze i spływająca z gór woda szczyrbiły nawierzchnię z bezlitosną niecierpliwością. Ciekawe, na jak długo jej wystarczy. Za każdym zakrętem pojawiały się nowe widoki, jak w albumie ze zdjęciami. Przejechałem blisko dziesięć kilometrów, a końca drogi nie widziałem. Uznałem, że taka odległość powinna mnie na razie zaspokoić. Zacząłem rozglądać się za stosownym do kempowania miejscem i tu jak zwykle w Kolumbii Brytyjskiej miałem kłopot. Z wciętej w strome zbocze drogi po prostu zjechać nie można, wziąłem pierwsze dogodne odgałęzienie w prawo i stromo wspinając się, po kolejnym kilometrze wysoko na zboczu, na samym końcu drogi zatrzymałem się.

Początkowo nie byłem zadowolony. Ogołocona z drzew góra sprawiała niemiłe wrażenie, zupełnie jak niedogolony tyłek pawiana. Po kilkunastu minutach dopatrzyłem się przyjemniejszych stron. Moja odkryta strona góry dawała rozległy widok na przeciwległe zbocze i właściwie na całą okolicę. Ciemna zieleń ostro odcinała się od intensywnego błękitu nieba. Daleko poniżej wiała się droga, ta, którą przejechałem. Rozejrzałem się po najbliższej okolicy. W pobliżu huczał strumień, czyli wodę miałem zapewnioną, na ścieżce dostrzegłem blade ślady jakiejś rogacizny i pokaźną, czarną kupę, wizytówkę pozostawioną przez misia, a gdy jeszcze spod nóg wystrzelił mi „jadalny” ptak, poczułem się jak w domu. Stosownie ustawiłem

samochód, w oknie musiałem mieć widok wart tej całej wspinaczki. Następnie jak zazwyczaj przemeblowałem wnętrze kampera, to znaczy powyciągałem na wierzch wszystkie luźne rzeczy, te, które w czasie jazdy mogły niekontrolowanie przemieszczać się po „meblach” i podłodze, i wyszedłem na rozpoznanie dalszej okolicy.

Nowe miejsce zawsze wprawia mnie w szczególny nastrój, staję się niezwykle ostrożny. Prawdopodobnie żadnego niebezpieczeństwa nie ma, ale kto wie? Wydobyłem karabin, załadowałem i wyruszyłem w drogę. Jeszcze raz uderzyła mnie irytująca charakterystyka górskiej drogi, w tym przypadku tym bardziej irytująca, bo stworzona specjalnie dla drwali. Stromo pod górę i w dół. Sapiąc jak miech, brnąłem do przodu. W pewnym momencie na niebie dostrzegłem jakiś ruch, zdążyłem zanotować: coś w płomieniach błyskawicznie przemieszczającego się pionowo w dół. Jak aparat fotograficzny zapisałem, co widziałem, dopiero później się nad tym zastanowiłem. W pierwszej wersji był to koniec świata, kara, niebo walące mi się w płomieniach na głowę. Szybko odrzuciłem tę wersję: ludzkość jest chroniona, przecież wiem, że nikt jeszcze za niszczenie i przestępstwa wobec naszej wspólnej Matki Ziemi nie był pokarany. To musiało być coś stworzonego przez człowieka, najwyraźniej jakiś kosmiczny czerep-smieć, reszta rakiety albo sztucznego satelity.

Cokolwiek to było, wprawiło mnie w szczególny stan psychicznego podekscytowania. Przez jakiś czas nasłuchiwałem, czy nie dotrze do mnie odległa eksplozja, może jakaś zwalająca z nóg fala sejsmiczna. Uważnie sprawdziłem okoliczne góry, czy jakiś szczyt się nie chwieje. Znałem uczucie niepewnej ziemi pod nogami, w końcu przeżyłem trzęsienie ziemi w styczniu 1994 roku w Los Angeles, poza tym widziałem w telewizji tyle kataklizmów, że w najdrobniejszych detalach mogłem sobie wyobrazić, co mnie czeka.

Dotarłem do strumienia. Woda z hukiem waliła w dół, zainteresowałem się, skąd się biorą strumienie. Ten teraz, z trudnością mieszczący się w swoim korycie, jeszcze rozumiałem, w nocy padało, ale widywałem podobne strumienie w środku lata, spływające z wyschniętego na pieprz niewysokiego pagóra..., skąd on się tam brał? Zatopiony w uczonych rozmyślaniach dopiero w ostatniej chwili zobaczyłem po drugiej stronie wody niedźwiedzia, okrągłego, jakby wytoczonego z lśniącego, czarnego futra. Misio wcale mnie nie widział ani tym bardziej nie słyszał, uważnie patrzył w wodę, zupełnie jakby zadawał sobie to samo pytanie: Skąd się ta woda bierze... i gdzie się podziały ryby? Oniemiały ani drgnąłem, wtedy misio mnie dostrzegł, małe oczka mu się zaokrągliły. Niemalże posłyszałem pytanie: A ten skąd się tu wziął? Następnie bez pośpiechu położył w górę strumienia. Ocknąłem się zachwycony. Ktoś z miasta mógłby pomyśleć, że lęze jak weekendowy rybak, ale po pierwszej wizycie w prawdziwej dzicy ten ktoś natychmiast zmieniłby zdanie... i bieliznę też. Leśne ostępy to nie Toronto, tutaj ciągle żyją dzikie, uczciwe stworzenia.

Okolica pulsowała dzikim życiem, co chwilę coś ruszało się w krzakach, co chwilę jakieś ptaszysko schodziło mi z drogi, dostrzegłem też liczne ślady kopytek. W takich momentach na-

prawdę trudno jest się dąsać na drwali, że stwarzają życiodajne przecinki. Gdyby wycinali lasy na małą skalę, uważałbym ich za dobrodziejstwo ostępów, a nie zarazę.

Wróciłem do kampera. W nocy, przed pójściem do łóżka, po zgaszeniu światła, zawsze przez jakiś czas wyglądam przez okno. Gdy noc jest bezchmurna, obserwuję niebo, czasami oglądam niebieskie cuda przez lunetę. Na niebo mogę też spoglądać, leżąc w łóżku. W tym między innymi celu zrobiłem okno w dachu. Gdy noc jest pochmurna, wyobraźnia pracuje na zdwojonych obrotach. Tak było i teraz, leżałem w małym, ale wygodnym i bezpiecznym kamperze i patrzyłem na zewnątrz, w ciemność.

Temperatura spadała, chłodne powietrze wpadało przez uchylone okno. Nagle absolutną ciszę rozdarł wrzask – kojoty. Eksplozja ujadania wypełniła dolinę, odbiła się od zboczy gór i uciekła w oddali. Po kilku minutach wycia się powtórzyły, bliżej mnie. Rozkoszny dreszczyk wstrząsnął mną od stóp do głów. Wyobraziłem sobie to wszystko, co może w ciemności na zewnątrz się kryć. Wytężyłem wzrok, dostrzegłem dwa czerwone punkciki... Czy to tylko wyobraźnia? Teraz pomyślałem o tym wszystkim, co się tu na przestrzeni wieków mogło wydarzyć... Przypomniałem sobie niedźwiedzia, po chwili jeszcze raz zawyły kojoty. Dwa czerwone punkciki chyba się poruszyły. Gdzieś blisko coś zatupało na kamieniach drogi, coś przechodziło obok kampera. Dreszcz emocji zmroził mi skórę na twarzy. Jednak niczego się nie bałem, byłem bezpieczny, w końcu od świata nocnych zmór dzieliła mnie ciepła kołdra.

Rano obudziłem się rześki i radosny, wyjrzałem przez okno. Tuż za mną zaczynało się strome zbocze, kilka metrów wyżej dostrzegłem jakiś ruch, jakieś zwierzątko stało na zboczu. Wyjrzałem przez okno w dachu i znieruchomiałem, patrzył na mnie zdziwiony, ale nie zaniepokojony jelonek. Postawione uszka, zadziorne różki – koziołek! Zagadałem do niego przyjaźnie, jelonek zaciekawiał się jeszcze bardziej, chciał się nawet zbliżyć o krok, ale strome zbocze uniemożliwiło mu to, mógłby się po prostu sturlać do kampera. Chwilę później jelonek wrócił do tego, po co tam się wspiął, do smacznej trawy, swojego śniadania. Schowałem głowę, nie chciałem niepokoić sąsiada.

Po moim śniadaniu wyszedłem na zewnątrz, na spacer. Na ścieżce, może trzydzieści metrów dalej, stało stadko jeleni. Zwierzęta oczywiście wiedziały o mojej obecności, przecież robiłem trochę hałasu, podśpiewywałem i jeżeli to ich nie wypłoszyło, mój widok już ich nie przerażał. Zagadałem do nich, zapewniłem, że tutaj są absolutnie bezpieczne, że mam karabin i mogę je obronić. Następnie spokojnie odwróciłem się i poszedłem na spacer. Chwilę później zerknąłem przez ramię, stadko ciągle tam było, niektóre stworzenia skubały trawę na poboczach, a jedno nawet wygodnie się ułożyło i odpoczywało.

Niezwykłe ujmujące, przypomniałem sobie opowiadania o samotnikach żyjących w doskonałej harmonii z naturą, zwierzęta jedzące z ręki, ptaszki siedzące na ramionach. Nie było w tym nic niemożliwego. Zwierzęta natychmiast wyczuwają drapieżne zamiary lub bezpieczne

warunki. Człowiek jest dużym zwierzęciem i jeżeli jest przyjazny, jest w stanie zapewnić ochronę łagodniejszym stworzonkom, a jeżeli jeszcze czasami podsunie mu pod nos coś smacznego, natychmiast pojawia się przyjaźń. W końcu i między ludźmi podobne zachowanie jest znane. Powiadają przez żołądek do serca – bardzo ludzkie... albo niezwykle zwierzęce.

Moja „dobrość” jest wprost proporcjonalna do wielkości zwierzęcia: im większe zwierzę, tym jej więcej, im mniejsze, tym mniej. Samochód w oczach zwierząt wygląda inaczej niż w naszych, szczególnie tych małych zwierząt. Te najwyraźniej widzą go jako rzecz jadalną, czasami niesmaczną, ale jadalną. Dodatkowo rozrywkową, zupełnie jak turyści znane miejsca, tak gryzoni pojazd traktują jako turystyczną atrakcję.

W środku nocy, wtedy gdy śpi się najsmaczniej, coś zaczęło chrobotać po podwoziu – myszy. Teraz sobie przypominałem, że zdarzyło się to też poprzedniej nocy, z tym że wtedy moje zabiegi pomogły. Podobnie jak poprzednio zakolysałem pojazdem, chroboty ucichły, zasnąłem, ale nie na długo. Jeszcze raz zachrobotало, tym razem wyżej, na szoferce tuż pod moją głową, przód kampera lekko przewieszał się nad kabiną. Jeszcze raz zakolysałem pojazdem, dorzuciłem kilka mocniejszych razów pięści w ścianę, potwierdziłem mocnym słowem i zasnąłem, ale na krótko, chroboty się powtórzyły.

Powtórzyłem zabiegi, wzbogaciłem słownictwo o kilka niezawodnych słów, tym razem z angielska, tak żeby mnie na pewno zrozumiano i jeszcze raz próbowałem zasnąć. Bezskutecznie, wybiłem się ze snu, zresztą moje zabiegi nie na wiele się zdały. To, co się zaczęło dziać pod moją głową, zakrawało na orgię. Tupania, piski, dobrze, że chociaż nie było karczemnych bójek. Co chwilę powtarzałem zabiegi uspokajające, jeżeli nawet dzikusów nie wystraszyłem, to przynajmniej im trochę przeszkadzałem, tu już nie chodziło o mnie, tu chodziło o mój kamper. Toż te bydlaki mi go zeżrą.

Wprawdzie nie spałem, ale czasu nie marnowałem, planowałem krwawą zemstę. Przetrwalem do rana i po śniadaniu wyszedłem na zewnątrz. Najpierw zajrzałem pod maskę samochodu, czerwone plany pojawiły mi się przed oczami. Najpierw wrzasnąłem: Chlew. Zaraz jednak poprawiłem: Toż to prawie Toronto. Rzeczywiście w i tak ciasnym przedziale silnikowym gryzoni budowały gniazdo. Wszędzie wałały się śmiecie, odchody i plamy uryny bezczęściły pokrywę silnika. Po chwili uspokoiłem się, właściwie to czekałem na taki moment. Myszy były wszędzie i zawsze szukały dobrego miejsca na gniazdo. Nie mogłem zmienić ich gustów, ale mogłem bronić swojego gniazda przed plagą.

Już od dłuższego czasu planowałem zemstę godną trapera. Natychmiast sięgnąłem pod siedzenie i wydobyłem trzy pułapki na myszy. Na przynętę użyłem tego, co jem sam – zdrowe płatki owsiane, do smaku dodałem maselka i tak podrasowane rozmieściłem w strategicznych punktach. Dwie na silniku i jedną na dachu szoferki. Niecierpliwie czekałem na noc, z ledwością zasnąłem. W nocy posłyszałem tupanie na dachu szoferki, a wkrótce trzask pułapki.

Zasnąłem jeszcze raz i do samego rana, jak prawdziwy traper, miałem tylko przyjemne sny. Rano sprawdziłem pułapki: wszystkie były zajęte.

Zabawa ekscytowała: tak z pewnością musi się czuć myśliwy polujący na grubego zwierza, z tym że on tylko marzy o zdobyczu, ja ją miałem. Kolejnego ranka dwóch pułapek nie było, znikły jak kamfora. Poczułem się okropnie, jak okradziony, obrabowany ze szlachetnej gry godnej najznakomitszego sportsmena. Czyżby zemsta gryzoni?... Odtąd pozostałą pułapkę zastawiałem na dachu szoferki, tuż pod głową, żeby sycić ucho rozkosznym trzaskiem. Nauczony smutnym doświadczeniem uwiązywałem ją sznurkiem do lusterka. Takie to były moje myśliwskie przygody.

Jesienna pogoda wprawiła mnie w doskonały humor, energia rozpierała. W takim stanie ducha życie osiadłe przytłacza: nowe plany wypełniły mi głowę, żeby mnie nie przytłoczyły, wyruszyłem w dalszą drogę. Na zachód, na zachód, na zachód, pulsowało serce, na zachód, na zachód, waliły opony po popękanych asfalcie. Do Prince George, stolicy regionu, Kolumbia Brytyjska wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażają. Resztki starożytnych lasów przypominają o czasach, gdy o wyrębie nikt sobie nawet nie marzył, liczne wyrębowniska z kolei przypominają o czasach, gdy już siekierę wynaleziono. Tu i tam wśród zieleni lśniły ośnieżone szczyty.

Prince George wita podróżnego kłębam dymu z potężnych kominów, atmosferą miasta pracowitego. Jest to szokujący przeskok do cywilizacji, ale wskazany, ponieważ kolejny dzień jazdy spędzimy w krainie opanowanej przez pracowitych ludzi. Wyrębowniska oddalają się od drogi, lasy zamieniają w krzaki, zanim ogarnie nas obrzydzenie i popadniemy w depresję, pojawiają się fermy, a te są jak codzienne życie człowieka, można je znieść, szczególnie że pojawiają się liczne stadka krów, a widok tych najszlachetniejszych ze stworzeń koegzystujących z człowiekiem koi umęczone zmysły i bawi podróżnika.

W okolicy New Hazelton zaczynamy zdawać sobie sprawę, że jesteśmy w krainie Indian. Na skrzyżowaniu dróg 16 – Yellowhead, i 37 na północ, na skraju wsi Kitwanga zatankowałem paliwa po same korki, przy okazji zetknąłem się tam z indiańskimi normami życia. Stacja benzynowa jest najwyraźniej w rękach Indian. Jak zwykle tubylcy poruszali się jak pszczoły w ulu – pracowicie... i jakby bez sensu. Gdy podjechałem do pomp i zobaczyłem cenę, ogarnęła mnie niechęć do wydawania pieniędzy, ale oszczędny nigdzie nie bywa. Trochę marudziłem, odwlekałem bolesny moment, w końcu gdy jakaś Indianka zatankowała wjechałem na opuszczone stanowisko.

Ku mojemu zdziwieniu zauważyłem, że ta pompa oferuje paliwo po innej cenie, dużo niższej. Nieufrnie, ale z nadzieją zatankowałem po te wspomniane korki i poszedłem zapłacić. Indianin przy kasie przyjął mnie z niechęcią, jakbym mu oskalpował ojca. Poirytowany tym wróciłem do samochodu, przypadkowo zerknąłem na moją pompę, na okienko z ceną paliwa. Ku mojemu zdziwieniu cena podskoczyła o kilka centów. Teraz zrozumiałem ponurą minę Indianina

przy kasie. Ja, blada twarz, przypadkowo załapałem się na jakąś machlojkę paliwową. Aż poróżwiałem z wrażenia, z błogim uśmiechem zadowolenia ruszyłem w dalszą drogę.

Zanim się rozpędziłem, jeszcze na sekundę wpadłem do wsi. Wieś Kiwanga – indiańskie miasteczko – nieco różniła się od innych. Lokalizacja też dodawała jej uroku. Zielone lasami góry Hazelton urozmaicał wspaniały szereg ośnieżonych szczytów – Siedem Sióstr, poniżej spokojnie płynęła obfita w wodę rzeka Skeena. Czuło się tu też wpływ Pacyfiku. Szczególnie wiosną, gdy zjeżdża się z Jukonu na południe, ta dolina sprawia niezwykle wrażenie, wprost koi zmysły. Wieś też sprawia sympatyczne wrażenie: zadbane, małe domki, niewielki ruch, cisza. Oryginalnym dodatkiem jest tutaj cały rząd słupów totemowych, najwyraźniej przywiezionych z innych miejsc. Dostrzegłem kościółek, podjechałem bliżej, anglikański, raczej mało uczęszczany. Z zainteresowaniem obejrzałem starą wieżę, pozostałość z czasów misjonarskich, wybudowaną w 1893 roku z pomocą miejscowych Indian z plemienia Gitksan. I dalej w drogę. Na chwilę oswojony z cywilizowanym życiem wstąpiłem do odległej o blisko trzydzieści kilometrów na północ następnej wsi Kiwancool. Wprawdzie mniejsza niż Kiwanga, ale też szczyta się swoimi słupami totemowymi, z tym że tutejsze były najwyraźniej nowsze.

Droga 37 łączy Yellowhead 16 z odległą o blisko siedemset kilometrów na północ Alaska Highway. Gdy jechałem nią po raz pierwszy, nie mogłem zrozumieć, w jakim celu położono tutaj tak doskonały asfalt. Wprost płynąłem po czarnej wstędze drogi. Wkrótce zrozumiałem. Tędy wyrąbane lasy przewożono na południe kontynentu albo do krajów Orientu, gdzie lasy drzew zastąpiono gęszczami ludzi. Znowu wyrębowiska i wyrębowiska. Aż sapałem z zadowolenia. Tyle wspaniałych terenów i większość mi dostępna, raj na ziemi, a wszystko to tylko dzięki drwalowi z siekierą i Azjacie z żądzą... Z drugiej strony powiadają, że lasy są płucami Ziemi, jak je człowiek wytnie, to czym ta planeta będzie oddychała... Zanim zacząłem się martwić, przypomniałem sobie naukowe wyliczenia i prognozy. Lasów wystarczy jeszcze na kilka dziesiątków lat, błyskawicznie przekalkulowałem i zrelaksowałem się, ja się jeszcze załapię, poza tym ludzi przybywa, a z tym mózgów, a z taką ilością przyszłego intelektu na pewno coś wykombinują, zastąpią lasy czymś innym, no i o te zielone płuca nie trzeba się będzie więcej martwić, w końcu wiemy, jak się do nich choróbka czepiają. Nie ma płuc, nie ma chorób, nie ma problemu... Na wszelki wypadek zrobiłem kilka głębokich oddechów i zapomniałem.

Jechałem i cieszyłem się drogą, dopóki mogłem. Wiedziałem, że wkrótce radość się skończy. Jakiś czas temu któryś polityk postanowił dogodzić drwalom jeszcze bardziej, zdecydował pokryć trzydziestkę siódmką asfaltem od końca do końca. Śpieszył się bardzo. Powiadają, że co nagle, to po diable, w przypadku dróg to jeszcze po wertepach. Prace się posuwały, asfaltu przybywało, niestety północne drogi wymagają szczególnej budowy, po pierwszej zimie droga stanęła dęba. Niskie temperatury, wieczne zmarzliny i wszystko inne zemściło się na politycznym dobroczyńcy i na mnie. Miejscami asfalt trzeba było zrywać. Wiedziałem, że mam przed sobą około stu dwudziestu kilometrów, teraz na liczniku miałem zaledwie sto, gdy asfalt się skończył. Huknęło, rąbnęło, błoto chlusnęło i piekło się zaczęło. Takie są drogi

północy. Czasami wspaniały asfalt, czasami żwir. Drogi żwirowe są łatwe do utrzymania, niestety wymagają ciągłej opieki. Po kilku tygodniach używania robią się na nich dziury i mordercze, poprzeczne rowki. Tak jak ja teraz, tak pewnie musi się czuć marchewka, gdy podróżuje po kuchennej tarce...

Jechałem wolno, czterdzieści, dwadzieścia na godzinę. Zamierzałem dojechać w jednym kawałku, byleby stąd wyjechać, szczególnie że przy drodze na wielu odcinkach nawet widoki są nieciekawe. Przepelziłem w pobliżu Spatsizi Plateau, Mont Edziza. Inni podróżnicy najwyraźniej mniej cierpliwi darli do przodu jak zwykle ponad limity. Aż im rysy twarzy od tych ciągłych wibracji się zamazywały. Do Alaska Highway, na Jukon i Alaskę, do rajy na dalekiej północy. W końcu wszyscy o nim czytaliśmy: Jack London, James Curwood i inni marzyciele nas tego uczyli.

Po dwóch dniach wjeżdżałem na Jukon. Czułem się jak wojak po bitwie, upaskudzony i utrudzony, ale zadowolony, wroga – drogę – pokonałem. Teraz życie zapowiadało się różowo, drogi też. Szczególnie Alaska Highway w ostatnim czasie się poprawiła, zupełnie jej nie poznałem. Dotychczas włosy mi się na głowie jeżyły, gdy słyszałem o tej drodze, teraz mi się wygładziły, po tym jeszcze raz zjeżyły, ponieważ dobra droga oznacza więcej turystów, na szczęście było po sezonie.

Ile razy tutaj przybywam, tyle razy stare marzenia odżywają i nowsze też, w końcu przeżyłem tutaj razem z żoną prawdziwą pionierską przygodę. Cztery wspaniałe lata, czasami piekielne, na szczęście ciężkie chwile łatwo się zapomina, pozostają tylko miłe wspomnienia i ogromne doświadczenie. Pewnych czynów dokonuje się tylko raz w życiu, a zdobyte doświadczenie jak wiedza szkolna służy nam w każdej sytuacji. Tak było i tutaj, romantyzm pionierskiego życia przeplatał się z rzeczywistością. Więcej na ten temat można znaleźć w mojej książce „A jednak Kanada pachnie żywicą”.

Większość Kanady, tak jak pewnie i Rosji, jest właściwie dosyć nudna. Parki z reguły są skondensowaniem piękna, ale przestrzeń pomiędzy nimi nie zawsze. Każdy podróżnik wie albo szybko się uczy, że na północy można żyć dwoma sposobami. Pierwszy sposób jest pospolicą, szybką formą, czyli turystyczną, to znaczy musimy szybko pokonywać przestrzeń, żeby uzyskać emocjonalną sytość. Zupełnie jak wieloryb z szeroko otwartą paszczą, tak turysta z szeroko otwartą gębą, wznecając tumany kurzu lub rozchlapując błoto, drze przed siebie, pstryka zdjęcia, zbiera je do aparatu i cedzi ten turystyczny plankton i się cieszy, i jest mu dobrze.

Drugi sposób jest pionierski lub traperski. Tutaj życie bazuje na jakości, a nie ilości. Tego dokonują prawdziwi konieserzy, artyści albo... zagubione dupki. Wiem o tym na pewno, w końcu spotkałem ich wszystkich, co więcej ja sam przeszedłem te niektóre stadia. Właściwie do zagubionych dupków zaliczyłbym głównie turystów, którzy z jakichś niejasnych im powodów zatrzymali się

na dłuższy postój i miotając się jak ubrany mężczyzna w stadku nagich kobiet, coś nieudolnie próbują zrobić. Po tym ruszają w drogę i opowiadają historie godne Casanovy północy.

10 października 1999 roku, Waterloo

Romuald Rapcewicz

Gintaras **BLEIZGYS**

* * *

słońce runęło na mnie i jestem sam
góra kwiatów na twoim grobie i chmury
kwitną stojąc nieruchomo
i mówię mamu koniec

koniec koniec koniec
widzisz – – – koniec
koniec teraz jest jakieś nowe
słowo w moim życiu

wiedziałem jak się skończy twoja choroba
wszystko dokładnie byłem przygotowany
lecz że będę tak stać smagany
grudniowym wiatrem pośród tyłu

kwiatów jak sierotka z baśni wypędzona zimą
po fiołki – tutaj mnóstwo lili chryzantem
gerber nawet róże i jeśli ktoś by chciał
to proszę sobie brać

gdyby ktoś czegoś potrzebował mówcie
pomogę bo koniec bo wszystko
przewidziałem
lecz nie to że będę stać taki samotny

przyleciał dzieciół zaczął stukać w sosnę tuż za mną
i słońce wyszło zza kwitnącej chmury – oto
świat próbuje mnie pocieszyć
przekonać do siebie

i rozglądam się jak głupi
patrzę gdzie teraz przyjdzie mi żyć widzisz
mówię ile rzeczy
ile rzeczy i jak dziwnie wyglądają
bez ciebie

po co mi teraz te rzeczy to słońce po co
ten dzieciół mnie pociesza czego się boją ci
co zostali ze mną tak strasznie samotnym – – –

tak strasznie niepotrzebne mi teraz to wszystko

27 grudnia 2008/6 stycznia 2009

* * *

śniłaś mi się
błada
z odrośniętymi włosami bez kroplówki
i sondy do żołądka
pytam mamę możesz już sama przełykać
wiesz w czasie choroby
miałaś przerzuty do mózgu kości
płuc nerek miednicy
bóg wie do czego jeszcze przestałem
wierzyć że wyzdrowiejesz nie

odpowiedziałaś nie jeszcze teraz
jest mi bardzo trudno przełykać

6 stycznia 2009

* * *

potem śniła mi się wielka góra
z rzeką u podnóża we śnie wiedziałem
że to druskienniki i jak w dzieciństwie
idę z ojcem nad niemen i schody
na dół z tej góry taka drabina
trzeba będzie po niej zejść ale przecież
ziemia jest tu sypka mówię bardzo strome
zbocze piasek jak w rozkopanym grobie
jak będę schodził to ta drabina
nie wytrzyma i spadnę naprawdę nie wytrzyma
i schodziłem i odczepiły się od rozkopanego grobu
schody podobne do drabiny i spadałem ale tak delikatnie
miętko i długo naprawdę nie wiedziałem
że tak miętko schodzi się do grobu że tam
na dole jest taka piękna rzeka i dzieciństwo i ojciec
i ty się uśmiechasz patrząc na mnie błada w tym
czarnym futrze które
po twojej śmierci wzięła i nosi ramunę

* * *

rozorane dróżki w kolonii wileńskiej
mięsista glina
pochyłe płoty

pełno wszelkiego żelastwa teraz
łąki w mojej duszy są
pełne śmieci i już
nie wrócę – –

być może zwariowałem
lub tylko we śnie
szedłem po schodach
przeszukując worki na śmiecie

zbierając puszki na łące

szczęśliwy i taki jasny
nadchodzi kwiecień wszystko
staje się czystsze jestem coraz dalej od łąki

od całej zewnętrznosci przecież
być może zwariowałem

zdaje mi się że jestem coraz lżejszy i

że już nie będę musiał spadać

plac przyjaźni

friedhof niemieckie słowo z dzieciństwa

po litewsku cmentarz lecz dosłownie
plac pokoju mamó mówiłem umarli
mieszkają na placu pokoju

nie prowadzą wojen donikąd nie wyruszają są
szczęśliwi na placu pokoju teraz i ty odeszłaś
na ten plac

a ja zostałem tutaj

teraz jednak nie ma dla mnie
tam lub tu
za życia lub świętej pamięci dzieciństwo albo kres
wiele rzeczy się złało
wyklarowało wchodzę
na plac dużo większy niż *friedhof*

wszyscy wyjechali pamiętasz
wspólne posiłki jak urządziliśmy
wielką uroczystość – nasza kuchnia jest teraz pusta
żywego ducha mógłbym powiedzieć
istny cmentarz kiedyś był to świat
pełen radości

potem odeszliśmy do nieba do lasu do kucian
wiesiei do wilna przez chmury może nawet
przez gwiazdy na półkach
zostało mnóstwo
książek mnóstwo istnień

książki to strzępy
okruchy kocie łby
po których idziemy na *friedhof*

dziś pisząc do ciebie poczułem
wielką bliskość z wszystkimi książkami
z wszystkimi którzy pisali z tym co minęło
zrozumiałem że żyję
na placu przyjaźni nie pokoju
w wielkiej nieskończonej plecionce
żywołów i książek jestem jedno z tobą aputisem
sigitasem gedą biblią strielkunasem ludzką
wyobraźnią której drobne odłamki
trafiły do książek z możliwościami
czasem przeszłym i końcem bo przecież końca
nie ma każdy z nas w drodze na plac przyjaźni
musi przejść przez *friedhof* latem na twoim
grobie wykuję zwrotkę z niemieckiej piosenki
którą przełożę na litewski
czy pamiętasz jak ją śpiewaliśmy:

*znikłaś mi z oczu
lecz z serca – nie znikniesz*

Gintaras Bleizgys
z języka litewskiego tłumaczyła Zuzanna Mrozikowa

WIZY VISAS ВИЗЫ

ANULOWANO

ANULOWANO

ANULOWANO

HOMO VIATOR

HOMO MIGRANT

Z BLISKA

Kazimierz BRAKONIECKI

Kosmopolak, światolog: egzystencjalna praktyka poezji świata otwartego

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

poeta, eseista, redaktor, tłumacz, animator kultury; ostatnio otrzymał Literacką Nagrodę im. Samuela Bogumiła Lindego Miast Partnerskich Getyngi i Torunia oraz opublikował „Zakład biograficzny Olsztyn” (Borussia 2016).

Świat i glosy – to wszystko

Stanisław Jerzy Lec

Z pewnych powodów chciałbym jeszcze raz powrócić w „Borussii” do przeanalizowania mojej drogi myślowo-poetyckiej, której rezultatem jest światologia jako po-etyka świadomego i empatycznego istnienia w przymierzu z realnym światem.

Na początku drogi poetyckiej pod koniec lat 70. minionego stulecia uprawiałem z różnym powodzeniem metaforyzację rzeczywistości. Moja dosyć gęsta metaforyka nie wynikała z prób upiększania świata za pomocą stylu ani też z wyboru gry lingwistycznej jako dominującego środka wypowiedzi. Pojawiała się ona w bardzo osobistych, ale zaszyfrowanych wierszach, nie tyle z powodu cenzorskich presji i autocenzury (choć tego zupełnie nie mogę wykluczyć), ile z nieumiejętności dotarcia odpowiednio klarowną mową poetycką do „istoty” życia (na to potrzebowałem czasu, życiowej mądrości, no i... wolności). Krótko mówiąc, była intymną, ale ekspresyjnie zmetaforyzowaną odpowiedzią na coraz bardziej rosnące we mnie poczucie nierealności życia w PRL-u.

Potrzebowałem wolnego, mocnego, własnego doświadczenia egzystencji, świata, rzeczywistości, a miałem problemy z zaakceptowaniem siebie i niesympatycznej epoki. Intensywnie jako młody i wykształcony człowiek odczuwałem upokorzenie na wszelkich polach mojego życia. Okres „Solidarności” był tylko krótką przerwą w tym kołowrocie upokorzeń: po prostu życie w PRL jawiło mi się jako więzienie dla duszy i ciała. Mój bunt jednak szarżał i więzienie poszerzało swoje „outsiderskie nisze”, więc osobisty punkt widzenia stawał się coraz bardziej prywatny i metafizyczny. Ponadto stopniowo zakorzeniałem się w olsztyńskiej, rodzinnej ojczyźnie genealogicznej, historycznej, pamięciowej. Sens (i cel) moich poszukiwań stawał się bardziej tożsamościowy niż rozrachunkowy. Chociaż wcale nie mniej bolesny (np. poemat „Tożsamość”). Drogę do wzmocnienia odczucia rzeczywistości oraz do odkrycia sensu życia odnajdować zacząłem w otwierającym się horyzoncie tożsamościowym, historycznym, regionalnym. Znalazłem zasadę wzbogacania swojego istnienia, zaczynając od wiwisekcji i eksploracji samego siebie i zarazem miejsca, w którym przypadkowo miałem dalej żyć (Warmia, Mazury, Polska, Europa bałtycka, Europa, Ziemia). To, co przypadkowe, uznałem za kierunek otwarcia namysłu nad kondycją ludzką w rzeczywistym czasie i przestrzeni. Bliski krajobraz, konkretna ziemia, konkretne, chociaż pospolite pochodzenie, wielki widnokrąg myślenia i widnokrąg czytania – oto były moje najbliższe kręgi wtajemniczania w „tu i teraz”, które miało łączyć to, co skończone, z tym, co nieskończone, objęte i nieobjęte, biologiczne i metafizyczne, nierzeczywiste i rzeczywiste. Poczucie nierealności, pobudzające stany agresji przeciwko niesprawiedliwemu, upokarzającemu (subiektywnie pojętemu) światu, zacząłem świadomie przemieniać (podmiot ludzki nadaje życiu sens, a nie odwrotnie) w dwustronną, dialogową relację twórczą, głęboką, empatyczną z realnym światem (rzeczy, ludzi, idei), którą nazwałem metafizyką doświadczeniową (ten fascynujący mnie wówczas termin zapożyczyłem od Edwarda Abramowskiego).

Powstała w ten sposób praktyka egzystencjalno-poetycka, której celem było doświadczenie iluminacji, ekstazy egzystencjalnej (wpierw na polu życiowym, a następnie tekstowym: odbiorczym i kreatywnym w planie autorskim i czytelnicznym): utwór poetycki miał być „skokowym” (wynikającym z dotarcia do głębin rzeczywistości) działaniem się świata.

Na przełomie lat 70. i 80. bardzo pomogła mi w ustosunkowaniu się do tego, co JEST, lektura esejów Martina Heideggera zatytułowana „Budować, mieszkać, myśleć” (1977). W tekstach tych znalazłem potrzebne mi słowa kluczowe, takie jak: „światoobraz”, „zamieszkiwanie śmiertelnych na Ziemi”, „zamieszkiwanie poetyckie”, „zamieszkiwanie to budowanie”, *Dasein* (jako nie tyle byt przytomny, jak sugerował w komentarzach Krzysztof Michalski, ale bardziej jako oświecony tu i teraz człowiek egzystencjalny na drodze ku śmierci – to było mi bliższe). Przykładowe cytaty: *Tylko wtedy, gdy jesteśmy zdolni do mieszkania, możemy budować; Zamieszkiwanie jest jednak podstawowym rysem bycia, zgodnie z którym są Śmiertelni*. Pozwoliło mi to osadzać się „mystycznie i poetycko” w moim codziennym horyzoncie doświadczenia egzystencjalno-tożsamościowego (kraina rodzinna, Rodzinna Europa, planeta Ziemia Człowieka, otwarcie na świat transcendencji jako odkrywanej i traconej przestrzeni olśnienia/epifanii). Niepokoiło mnie natomiast podkreślane przez Nietzschego i Heideggera przymierze z ziemią, które ro-

zumiane bardzo wąsko (nacionalistycznie i ksenofobicznie) doprowadziło do wielu zbrodni przeciwko ludzkości. Niepokoił mnie również jakby modlitewny (mimo że areligijny) patos oraz fakt przynależności Heideggera do partii hitlerowskiej (z której się nie wypisał do końca). Moje późniejsze radykalne odejście od filozofii Heideggera spowodowane zostało tym, że nie znalazłem w jego systemie żadnego miejsca dla myślenia etycznego, w ogóle zarysu etyki współczucia, odpowiedzialności i jedności gatunku ludzkiego, co uświadomiłem sobie, zapoznając się z filozofią moralną jego wybitnego ucznia pochodzenia żydowskiego (co jest znaczące!) Emmanuela Lévinasa.

Zawsze interesowałem się fenomenologią, gdyż intuicyjnie czułem, że oryginalna i autentyczna twórczość rodzi się z dwustronnej komunikacji, dialogu, relacji, spięcia podmiotu z przedmiotem, człowieka ze światem, idei z rzeczą. Czułem intuicyjnie, że rolą poety jest otwierać, wzmacniać związki ze światem naturalnym i wyobrażonym. Poglębiać jego wyglądy w celu wzmocnienia odczucia sensotwórczego istnienia. Filozofia spekulatywna była mi z gruntu obca. Mnie chodziło o wyjście poza abstrakcyjny podmiot, poza idealizowaną i osamotnioną świadomość (jaźń), o naturalną wymianę człowieka ze światem rzeczy, przyrody, ze światem społecznym. Szukałem takiej przestrzeni styku i takiego horyzontu komunikacji, w którym centralne miejsce tego spotkania-dialogu nie kończyło się powrotem do zamkniętej, solipsystycznej świadomości jednostki (symbol), ale do podmiotowej praktyki egzystencjalnej otwarcia na świat (konkret metafizyczny). Poezja jako praxis odczuwania i myślenia. Jako rodzaj czynu kulturowego w materii świata. Dlatego też powróciłem do lektur Stanisława Brzozowskiego, a szczególnie do esejów Alberta Camusa, w których odnajdywałem realne problemy, rzeczywiste uczucia i autentyczne zaangażowanie w najistotniejszą i bliską czującemu i myślącemu człowiekowi problematykę egzystencjalną i etyczną.

W latach 80. bliskie stało mi się pojęcie Kosmopolaka, którego autorem był emigracyjny pisarz Andrzej Bobkowski. Kosmopolak – w odróżnieniu od pospolitego kosmopolity, któremu wszędzie jest dobrze, jako że jest bezideowym oraz beztroskim turystą świata – to twórczo oraz krytycznie myślący Polak, który uwalnia się od szowinistycznych, rasowych, agresywnych uczuć, resentymentów, poglądów. Nie przecenia ani nie gardzi swoją partykularną tożsamością, posługując się nią w szlachetnej praktyce życiowej jako konieczne uzupełnienie (wzbogacenie) uniwersalnych wartości kulturowych i etycznych. W ten sposób buduje otwarty światobraz skomplikowanej i różnorodnej rzeczywistości, zachowując i poszerzając twórczo lokalne, narodowe, regionalne zakorzenienie w planetarną tożsamość ludzkiej wspólnoty należącej do bogatego (ale też przygodnego) świata przyrody/natury.

Bobkowskiemu, a po nim bardowi Jackowi Kaczmarskiemu, może bardziej chodziło o swobodną kreację losu polskiego emigranta, któremu przejadła się idea polskości i polactwa (ze zrozumiałych powodów historycznych i politycznych), ale mnie bardziej (poza oczywistym odrzuceniem „polactwa”) stała się bliższa idea Kosmopolaka jako etycznego projektu światologiczno-antropologicznego. Taki idealny Kosmopolak (Kosmoniemiec albo Kosmorośjanin)

jest symbolem wolnego, rozumnego, odpowiedzialnego obywatela świata, wyznającego wartości uznane powszechnie za etyczne, który znając i ceniąc swoje oraz innych pojedynczych ludzi czy całych społeczeństw nabyte cechy partykularne, osobowościowe, narodowe, włącza je w sposób twórczy i szlachetny w system uniwersalnej praktyki społecznej preferującej humanistyczne, oświeceniowe, ekologiczne, holistyczne, braterskie wartości wspólnotowe (!). Taki empatyczny Kosmopolak to w sumie miejscowy człowiek planetarny, czyli patriota Ziemi, co wzmacnia w jego (idealistycznym) portrecie wymiar kosmiczny.

Na początku III RP inspirujące myśli znalazłem w esejach Jolanty Brach-Czajny „Szczeliny istnienia”, w której pochwała codzienności przymierzyła się z heroicznym podejściem do światowego swej obecności w życiu istnienia, do pełnowymiarowej egzystencji w jej sytuacjach powszednich, elementarnych. Jej lektura spowodowała, że mocniej zainteresowałem się splotem tego, co niskie i wysokie, ważne i nieważne, świadome i nieświadome, peryferyjne i centralne, intelektualne i biologiczne, żywe i martwe, co tworzy nasze nietrwałe istnienie. Pojąłem, że głębia świata jest na jego powierzchni, że nadprzyrodzone życie jest w tym konkretnym momencie i miejscu, że zaświaty, wieczność itp. to alienujący (głównie z powodu lęku przed śmiercią) projekt antropologiczno-ideologiczny. Właściwie to dopiero w latach 90. odstąpiłem definitywnie od jakichkolwiek ukrytych i jawnych, dogmatycznych i hereetyckich (a te były mi najbliższe) form platonizmu, w tym platonizmu chrześcijańskiego. Pojąłem, że podmiotowe, czujące i myślące ciało (immanentne Ciało w horyzoncie transcendentnej Ciałości!) jest jedyną dostępną, żywą i sensotwórczą formą pełnego istnienia w realnym świecie (obiektywnym). Zachowałem jednak pojęcia Tajemnicy i Transcendencji jako pragmatyczne w moim romantycznym światopoglądzie określenia na brak satysfakcjonującej mnie odpowiedzi na pytania o początki oraz zasady życia, kosmosu, świadomości. Nie miało to nic wspólnego z zachowaniem jakichkolwiek resztek wiary (religijnej, teistyczno-antropologicznej). Wręcz przeciwnie. Immanentna transcendencja to synteza głębokiej jedności życia tu i teraz w strumieniu jego nieustannie przeobrażanej rzeczywistości.

W tych samych latach 90. zetknąłem się z literacką i filozoficzną twórczością szkockiego poety i myśliciela Kennetha White'a, który wychodząc od filozofii Nietzschego oraz głównie Heideggera (np. przymierze z ziemią, które ja oczywiście zamieniłem na przymierze ze światem), od fascynacji filozofiami i religiami dalekowschodnimi, doszedł do ciekawych koncepcji kosmopoetycznych opartych na conceptach geografii, przestrzeni, kosmosu, odchodząc w nich od antropocentryzmu na rzecz jedności świata organicznego i nieorganicznego. Jego głównym i najbardziej rozpowszechnionym pomysłem stało się pojęcie „geopoetyki”: doświadczenie i uprawianie (geografii realnej i wyobrażonej) świata w wyniku spotkania twórczego umysłu z zasadą Ziemi. Świat jako ożywcza przestrzeń do wszelakiej, sensotwórczej penetracji horyzontalnej (zmysłowej) i wertykalnej (umysłowej). Geopoetyka mocno zaważyła na mojej koncepcji światologii.

Światologia pojawiła się programowo w tytule mojego dziennika z pobytu na stypendium w Wiedniu w 1997 roku (przyznany przez fundację Janineum na wniosek... wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego: w muzeum zakonu zaprezentowałem wystawę fotografii o Prusach „Atlantyda Północy”), w którym zawarłem ideowe podstawy mojej filozofii egzystencji „otwartej” na świat (i „otwartego społeczeństwa”, bo jedno z drugim się wiąże). Światowanie po Warmii i Mazurach, światologia lokalno-universalna to słowa klucze mojej rodzącej się w latach 90. poezji epifanijno-reporterskiej, złożonej z elementów hybrydycznych, jak autobiografizm, eseistyczność, epifanijność, reporterskość. Celem podstawowym takiej światologii było zmierzenie się za pomocą poetyckiego (poszerzonego o świat) słowa z wizją etycznego bycia na ziemi. I tak „światoobraz” Heideggera oraz jego *Dasein*-oświecony byt w świecie zmierzający ku śmierci, Jaspersa szyfry egzystencji, Kosmo/geopoetyka White’a, szczeliny istnienia Brach-Czajny, Bobkowskiego Kosmopolak zsyntetyzowały się osobiście w mojej światologii pojmowanej jako twórcza filozofia otwartej egzystencji w otwartym świecie, jako dynamiczny, poetycko-myślowy kierunek praktycznej (doświadczalnej) jedności (wszech) istot i (wszech) świata.

Rilke, przytoczony przez Heideggera, pisał, że zwierzę jest w świecie, człowiek natomiast jest (postawiony) wobec świata. Bo jest samoświadomy. A więc bezbronny. Mamy dążyć do tego, co jest „Otwarte”, które jest pierwotnym prześwitem bycia. Tak czy owak w moim podejściu zawsze chodziło o samorealizację poetycką i egzystencjalną w wymiarze etycznym, a nie ontologicznym, a więc szukałem w stanach olśnień i iluminacji objawienia losu kondycji człowieczej w ekspresyjnej relacji ze światem pojętym jako doświadczenie najwyższe. Uznałem, że byt ludzki też jest światem, więc że nie jest jedynie wrzucony w obcy świat, lecz tworzy swój równoległy i równowartościowy świat, który jako sensotwórczy byt komunikuje się z innymi światami-kosmosami za pomocą odpowiednich, jeśli odnajdzie, sensotwórczych środków komunikacji/działania. Ja znalazłem taki środek ekspresji pełnego i realnego istnienia w mowie poetyckiej.

W takiej wizji jest miejsce dla Kosmopolaka (*Jak najwięcej człowieka w Polaku; Ojczyznę człowieka jest drugi człowiek*: etyczny i wolny obywatel świata/kosmosu w przeciwieństwie do terrorysty, konsumpcjonisty, ideologa, niewolnika) oraz dla geopoetyki (miejsce metafizycznego doświadczania świata natury i kultury, kreacja humanitarnego życia wspólnotowego, w tym projekt „Ciałości-Ciałości”); kreacja poczucia realności i sensowności istnienia dzięki po-etyce światologicznej pojmowanej jako egzystencjalna praktyka odpowiedzialności za świat; jest kosmoteizm – tworzenie holistycznego i realistycznego wymiaru życia w planie uniwersalnym.

Albo krócej i jeszcze bardziej patetycznie, co nie znaczy idealistycznie: Poezja światologiczna jest stanem ostatecznym każdej rzeczy, każdej egzystencji, każdego świata.

Archipelagi miejsc odzyskiwanych

ROBERT TRABA

historyk, kulturoznawca; na przełomie 2015/2016 zakończył w Berlinie edycję 9 tomów „Polsko-niemieckich miejsc pamięci”; w 2016 ukazały się „Fikcyjna rzeczywistość” (wspólnie z A. Wolff-Powęską i K. Woniak) oraz „Rok 1945: (nie-)powroty. Inne opowieści o historii Polski”. Niniejszy tekst jest fragmentem tej ostatniej książki.

Zacznę od „powrotu ziem odzyskanych do macierzy”. Ta propagandowa fraza lat 40. i 50. uległa zdeideologizowaniu, ale wciąż jej rdzeń jest bezradnie obecny w mediach i publicystyce. Bo jak nie „ziemie odzyskane” to co? Najczęściej alternatywą są od drugiej połowy lat 50. ziemie zachodnie i północne. Również w tym drugim wypadku sugerowana jest jakaś jedność kulturowa. Oba pojęcia są nietrafne i zużyte semantycznie. Uważam, że mamy do czynienia z oddzielnymi **archipelagami miejsc**, które od 1999 roku próbuje się kulturowo zdefiniować w granicach nowych województw. Nie łączą je dziś nic, poza wspólnym problemem „zagospodarowania” niemieckiego dziedzictwa kulturowego. Wróćmy jednak do roku 1945:

Komuniści wiedzieli, jak słaby jest w Polsce komunizm, i odwoływali się do nacjonalizmu. Stąd – jak pisał Norman Davies – powstał mit Ziem Odzyskanych. A przecież dla Rosjan polskie Kresy to także ich rosyjskie „ziemie odzyskane”! Krym zaś to od czasów Katarzyny Wielkiej odwieczne ziemie rosyjskie. Taki sam fałszywy mit¹.

1 N. Davies, *Pożyteczni idioci trzymają się mocno*, Gazeta Wyborcza, 10 października 2015. <http://wyborcza.pl/magazyn/1,148433,1895-5083,prof-norman-davies-pozyteczni-idioci-trzymaja-sie-mocno.html> [udostępnienie 10.02.15].

To prawda, takich „ziem odzyskanych”, „fałszywych” mitów narodowych jest w Europie więcej. Mają je Słowacy i Rumuni w stosunku do Węgrów, Ukraińcy, Białorusini i Litwini w stosunku do Polaków czy Słowacy i Chorwaci w stosunku do Włochów, by pozostać tylko przy wybranych przykładach środkowoeuropejskich. Czy jednak z perspektywy roku 1945, ówczesnego podziału Europy, istniała alternatywa innego scenariusza wpisania „nowych” terytoriów w kanon narodowej kultury? Tak bardzo jestem za tym, żeby nazwy „ziemie odzyskane” nie używać dziś, że będę jej bronił jako historycznego zjawiska **w procesie zadowalania w obcej przestrzeni kulturowej**.

Właśnie **proces zadowalania**, a nie legitymizacyjna polityka komunistów, nie narodowa ideologizacja czy odgórne strategie integracyjne, jest według mnie brakującym ogniwem w refleksji nad ziemiami zachodnimi w pierwszych latach powojennych. W centrum tego procesu znajduje się człowiek i jego tożsamość, często pod przymusem sytuacyjnym skonfrontowana z obcą, nieznaną przestrzenią kulturową i nowym system politycznym. Na państwowe procesy ideologizacji (tzw. odniemczanie), legitymizacji władzy i integracji nakładały się jego własne potrzeby, lęki i strategie obronne. Żeby zrozumieć człowieka w tej zupełnie nowej, nieoczekiwanej sytuacji, odwołam się do kategorii *mojowości*, wypracowanej przez wybitną polską filozofkę – Barbarę Skargę – w oparciu o koncepcję *Jemeinigkeit*, Heideggera. Otóż w każdej sytuacji ekstremalnej człowiek staje w konieczności obrony swojej tożsamości. Barbara Skarga formułuje to tak:

Zachowanie osobniczej tożsamości, również tożsamości grupy w sposób naturalny koncentruje się na tym, co własne, co rzeczywiście moje. To, co nie własne, obce, nie moje, rozbija tożsamość, powoduje upadanie².

Na terenach włączonych do państwa polskiego w 1945 roku wszystko prawie było „nie moje”. Co z tego faktu wynikało dla procesu zadowalania (umojenia) w nowej przestrzeni? Spróbujmy przyjrzeć się kilku ważnym faktom i odpowiedzieć na pytania: Kto przychodził na miejsce wysiedlonych Niemców? Skąd i z jakim bagażem kulturowym? Jaka była percepcja miejsc w inicjalnej fazie osadnictwa? Jakie stosowano (powstawały automatycznie?) strategie zadowalania?

W dzisiejszych dyskusjach o zachodnich i północnych ziemiach Polski najczęstszym bohaterem jest kresowiak, doświadczony losem wygnańca z ziemi rodzinnej, często po tułaczce na dalekiej Syberii bądź w sowieckich łagrach. Ta historia tak mocno wpisała się we współczesne dyskursy o powojennych przesiedleniach, że powstała nawet nowa metafora pojednania polsko-niemieckiego, wyrażana w publicystyce formułą o „wspólnym losie wypędzanych Polaków i Niemców”. Używał jej w najlepszej intencji nawet prezydent Niemiec Richard von Weizsäcker. Tymczasem w pierwszych latach powojennych na Ziemi Odzyskane, jak brzmiała ich

2 B. Skarga, *Tożsamość i ja*, [w:] *Tożsamość i różnica. Eseje metafizyczne*, Kraków: Znak, 1997, drugie wyd. 2009, s. 245.

oficjalna nazwa w latach 1945-1950, z ziem dawnych Rzeczypospolitej wcielonych do ZSRR przybyło 27,3 procent. Pozostała większość, czyli ponad 2/3 ludności, to głównie przesiedleńcy z województw centralnych Polski (Mazowsze, Wielkopolska), a także Podlasie, Małopolska czy również Pomorze Gdańskie (pomijam osadnictwo wojskowe, reemigrantów z Zachodu i później przymusowo przesiedlonych Ukraińców).

Po konferencji poczdamskiej przymusowo opuściła Polskę większość Niemców. Pozostali na miejscu Ślązacy, Warmiacy, Mazurzy i Kaszubi podlegali procedurze weryfikacji narodowej (1946). Ten mógł pozostać, kto zadeklarował, że jest Polakiem. W tym czasie więc północne i zachodnie ziemie Polski tworzyły obcą kulturowo, hybrydyczną przestrzeń geograficzną. Jej dominantą był **zdevastowany** działaniami wojennymi **krajobraz** (przypomnijmy tylko skutki walk o Wał Pomorski, forsowanie Odry, zniszczenia Elbląga czy wreszcie spustoszenia, których dokonywała Armia Czerwona już po przejściu frontu) oraz na ogromne obszary, głównie Pomorza Zachodniego, ziemi lubuskiej i Dolnego Śląska, o łącznej powierzchni 56 828 kilometrów kwadratowych, stanowiące w pierwszych latach po wojnie **pustkę demograficzną**. Ubytek ludności na tych terenach jeszcze w roku 1950 wynosił około 35 procent, a w okolicach Szczecina (ówczesne województwo szczecińskie) aż 46 procent w stosunku do stanu z 1933 roku³. Do dziś obszar między Szczecinem a Koszalinem jest najmniej zaludniony w Polsce. Na Warmii i Mazurach ubyla 1/3 ludności z i tak słabo również przed wojną zasiedlonego terenu o powierzchni około 25 tys. kilometrów kwadratowych. Z 689 tys. mieszkańców ponad 100 tys. stanowiła ludność rodzima – Warmiacy i Mazurzy zarówno niemieckiej, jak polskiej opcji narodowej (z czego dziś mieszka szacunkowo kilka do kilkunastu tysięcy). Najwięcej pozostało dawnych mieszkańców na Górnym Śląsku (na obszarze od Katowic do Opola), ubytek w porównaniu z okresem przedwojennym był tu najmniejszy i wahał się od 0,9 procent (Katowice) do 22 procent (Opole). Tak więc oprócz części Górnego Śląska, na obszarze około 80 tys. kilometrów kwadratowych ziem zachodnich i północnych (czyli większym niż dzisiejsze Czechy) istniał w pierwszych latach powojennych olbrzymi deficyt demograficzny.

Problem ludności miejscowej odzwierciedlają np. losy Warmiaków z południowej Warmii, przede wszystkim mężczyzn, którzy podobnie jak Ślązacy, Kaszubi i Mazurzy, niezależnie od postaw narodowych, byli wcielani do Wehrmachtu i „walczyli za III Rzeszę”. Wielu z nich zginęło na frontach II wojny światowej, inni trafiali do sowieckiej niewoli. Ci, co mieli szczęście i przeżyli trudy niewoli, wracali po roku 1955, ale najczęściej już nie do swoich rodzinnych stron, które przymusowo musiały opuścić ich żony, matki i dzieci, lecz do sowieckiej albo alianckich stref okupacyjnych. Wojna i powojnie, jak trafnie napisał Christian von Krockow, to *czas kobiet*, osamotnionych i tęskniących za swoimi mężami i braćmi. Dzisiejsi polscy Warmiacy bądź się rozmyśli „gdzieś w Polsce”, bądź pozostali w rodzinnej ziemi i tęsknią do lat młodości, integrują się ze swoimi rówieśnikami w organizacjach niemieckiej mniejszości narodowej. Inni przeżywają niezrozumienie i samotność. Te uczucia mogą mieć dla następnych

3 P. Eberhard, *Migracje polityczne na ziemiach polskich (1939-1950)*, Poznań: Instytut Zachodni, 2010, s. 232.

pokoleń wartość twórczą, o ile przeszłość będzie nie tylko nostalgicznie wspominiana, lecz kreatywnie odpominana (Hubert Orłowski), to znaczy, że do pokładów pamięci własnej i rodzinnej dodawana zostanie wiedza i próba zrozumienia siebie w minionym czasie i miejscu.

Generalnie na ziemiach zachodniej i północnej Polski przychodził człowiek strauumatyzowany wojną. Marcin Zaremba wymienia pięć czynników tworzących syndrom traumy wojennej w powojennej Polsce: wszechobecność śmierci, bieda, dezintegracja i atomizacja społeczna, rozpad świata instytucji, deformacja dotychczasowej hierarchii stratyfikacyjnej i – tu dodałbym za Kazimierzem Wyką – rozpad świata wartości⁴. Jedynym wspólnym doświadczeniem symbolicznym była w duchu przedwojennym zdefiniowana polskość. Nowi osadnicy spotykali nie tylko obcy (np. dla Kresowian i osadników z Małopolski) albo częściowo jedynie znany (dla sąsiadów z przygranicznych regionów, jak Mazowsze czy Wielkopolska) krajobraz, lecz także nielicznych Niemców oraz przede wszystkim „siebie samych”, czyli różne grupy nieznanymi Polakom, których wspólnym, niezmiernie żywym doświadczeniem fizycznym był czas okupacji niemieckiej albo sowieckiej i nakładające się na niego zupełnie różne światy/kultury lokalnej specyfiki ziem rodzinnych, skąd przybywali.

Zakładam, że nie sposób zrozumieć postawy człowieka przymusowo (bezpośrednio lub pośrednio) skonfrontowanego z obcą przestrzenią (fizyczną i symboliczną) bez próby zrekonstruowania jego dotychczasowych światów przeżywanych (*Lebenswelten*), świata wartości i doświadczeń, które stymulowały jego zachowania wobec nowej przestrzeni kulturowej. Proponuję, by na sytuację lat 1945-1950 spojrzeć z perspektywy **wymuszonego dramatu przyjsia** (przecież nikt realnie, z własnego wyboru nie planował sobie takiego scenariusza życiowego jeszcze pod koniec 1944 roku) i **życiowej konieczności zadomowienia się** w nieznanej rzeczywistości. Z tej perspektywy przyjsie na „ziemię odzyskaną” – mimo że fizycznie obce – dawało namiastkę poczucia „bycia u siebie”. Dewastacja najbliższego otoczenia nie była jedynie zwykłym ideologicznym odwetem na „niemieckość”, lecz przede wszystkim obroną własnej tożsamości w duchu, jaki proponowała Barbara Skarga.

Na zakończenie chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na sprawę prawie w ogóle w kontekście „odzyskiwania” niedyskutowaną, która jednocześnie wprowadza nas w przestrzeń pamięci. Jeżeli założymy, że generalnie „ziemię odzyskaną” to obszar pustki demograficznej po przymusowym odejściu jakiejś grupy ludności, to w Polsce w roku 1945 mieliśmy jeszcze jedną taką „pustkę”. Mam na myśli setki sztetli, które po niemieckim mordzie na Żydach – Holokauście, czyli już od 1943 roku – stały się wyludnione. Czytając przywołanego już raz Kazimierza Wykę, odnoszę wrażenie, że ta nowa sytuacja przez polską mniejszość w tych miasteczkach była oczekiwana i przyjęta została z ulgą. Można by cynicznie powiedzieć, że nagle „bez naszego udziału” powstały „nowe ziemie odzyskane”. Wyka w 1945 roku ten stan opisuje następująco:

4 Tamże, s. 93-105.

Skrót bowiem gospodarczo-moralnego stanowiska przeciętnego Polaka wobec tragedii Żydów wygląda tak: Niemcy mordując Żydów popełnili zbrodnię. My byśmy tego nie zrobili. Za tę zbrodnię Niemcy poniosą karę, Niemcy splamili swoje sumienie, ale my – my już teraz mamy same korzyści i w przyszłości będziemy mieli same korzyści nie brudząc sumienia, nie plamiąc dłoni krwią. Trudno o paskudniejszy przykład moralności [...] Tym razem spod miecza niemieckiego kata, dokonującego nie widzianej w dziejach zbrodni, sklepikarz polski wyciągnął klucze od kasy swego żydowskiego konkurenta i uważał, że postąpił jak najmoralniej. Na Niemców wina i zbrodnia, dla nas klucze i kasa. Sklepikarz zapomniał, że „prawne” wyniszczenie całego narodu jest fragmentem procesu tak niespotykane, że na pewno nie po to go historia zainscenizowała, by zmienić się sztyl na czyimś sklepiku. Formy, jakimi Niemcy likwidowali Żydów, spadają na ich sumienie. Reakcja na te formy spada jednak na nasze sumienie. Złoty ząb wydarty trupowi będzie zawsze krwawił, choćby już nikt nie pamiętał jego pochodzenia. Dlatego nie wolno pozwolić, by ta reakcja została zapomniana lub utrwalona, bo jest w niej tchnienie małostkowej nekrofilii⁵.

Przed ponad rokiem odbywałem intensywne podróże po pograniczu małopolsko-świętokrzyskim (między Tarnowem, Sandomierzem a Pińczowem). Muzeum Świętokrzyskiego Sztetla w Chmielniku uświadomiło mi (prawdę teoretycznie znaną), jak przez lata wycieraliśmy z pamięci obecność żydowskich sąsiadów. Nie pozostawili po sobie pałaców, dworów, gotyckich kościołów, jak Niemcy na Pomorzu czy Dolnym Śląsku. Przez kilkadziesiąt lat byli jednak naszymi najbliższymi sąsiadami. Przypomnę, że w okolicach Kielc istniało ponad 90 sztetli, czyli miasteczek, w których społeczność żydowska stanowiła od 60 do 80 procent ludności. Dziś ku mojemu dużemu zaskoczeniu powstają w dawnych synagogach centra dialogu kulturowego, często – jak w Chmielniku – w porozumieniu z dawnymi mieszkańcami. Ten nowy, pozytywny proces wypełniania pustki po sąsiadach ma jednak swój tragiczny epizod, który tylko z trudem, w atmosferze politycznych kłótni i „buchalterii ofiar” przebija się do publicznej świadomości. Chodzi o powroty nielicznych ocalałych Żydów w roku 1945/1946. W większości stali się niepożądanymi gośćmi we własnych domach, zajętych przez polskich sąsiadów. Najdramatyczniejszy, do dziś nie do końca wyjaśniony, przypadek odnalazłem w Klimontowie. Piękne miasteczko o bogatej historii, uwiecznione na kartach wielkiej literatury przez Stefana Żeromskiego. To właśnie tu autor „Ludzi bezdomnych” odnalazł prototyp doktora Judyma, w osobie ojca komunisty, wybitnego poety-futurysty Brunona Jasieńskiego. W 1945 roku pięcioosobowa rodzina (w tym jedna kobieta w ciąży), która chciała wrócić do własnego domu, została brutalnie zamordowana przez... do dziś nie wiadomo kogo. Ile takich wypadków zdarzyło się w innych sztetlach, nie wiemy. I prawdopodobnie – w myśl reguł psychologii pamiętania – dopóki żyją sprawcy i świadkowie, ta opowieść o roku 1945 nie stanie się podmiotem pamięci komunikacyjnej i nie wejdzie do pamięci (żywej) funkcjonalnej Polaków.

Robert Traba

.....
5 Tamże, s. 157.

Białe plamy na mapie: odzyskiwanie tożsamości

DOROTA BORODAJ

animatorka kultury, od wielu lat działa w Towarzystwie Inicjatyw Twórczych „ę”, współpracuje z młodymi twórcami z Polski i zagranicy, tworzy działania dotyczące lokalnej pamięci. Była koordynatorką programów „Dla Tolerancji”, „Instrukcja powrotu macewy” i „Tożsamości odzyskane”. Fascynuje ją pamięć miejsca – odkrywanie lokalnej historii i badanie, jak wpłynęła ona na tożsamość dzisiejszych mieszkańców.

JAN MENCWEL

ur. w 1983 roku; absolwent animacji kultury w Instytucie Kultury Polskiej UW. Pracuje jako animator kultury i badacz społeczny, współpracuje z organizacjami pozarządowymi. Publikuje teksty i zdjęcia m.in. w „Kulturze Liberalnej” i „ResPublice”.

Polska to kraj silnie narzucających się „polityk historycznych”, które zderzają się z pustką w tożsamości i często wypełniają w niej lukę. Są jednak takie obszary, gdzie nie działa ani jedno, ani drugie. Na ziemiach zachodnich i północnych, wcielonych do Polski po 1945 roku, nie ma dobrego sposobu na politykę historyczną, a lokalna tożsamość jest ciągle w fazie tworzenia się. W takim terenie zdecydowaliśmy się działać jako animatorzy kultury, grzebiąc w lokalnej historii i prowokując do pytań o tożsamość tych ziem.

Początki naszych działań animacyjnych wokół tematu powojennych przesiedleń na ziemie zachodnie i północne wzięły się z poczucia pustki i niedosytu. Dziesięć lat temu Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę” wspólnie z Fundacją Batorego realizowało program „Dla Tolerancji. To, co wspólne – to, co różne”. Polegał on na wspieraniu w całej Polsce animatorów, projektów i działań na rzecz lokalnej historii, wielokulturowości, tolerancji i dialogu międzykulturowego. W 2008 roku Towarzystwo „ę” przygotowało stronę i publikację podsumowującą program. Jej centralny punkt stanowiła mapa Polski, z zaznaczonymi miejscowościami, w których realizowane były działania. Uderzająca była dysproporcja pomiędzy Polską

wschodnią – tu gęsto było od kropek, a zachodnią, która na tej mapie pracy z lokalną pamięcią, historią i dziedzictwem była jak biała plama.

Zaczęliśmy się w Towarzystwie „ę” zastanawiać nad przyczynami tego stanu. Czy Polska zachodnia i północna nie mają swoich historii do opowiedzenia? Czy jej mieszkańcy – przedstawiciele lokalnych organizacji, instytucji kultury, animatorzy, nauczyciele, pasjonaci – nie znajdują we własnych wsiach i miastach miejsca na działania wokół lokalnej historii? Dlaczego tak się dzieje i czy mamy im coś do zaproponowania?

Jako animatorzy kultury cenimy takie wyzwania. Odpowiedzi na te pytania szukaliśmy nie w akademickim dyskursie, ale poprzez praktykę, zapraszając przedstawicieli środowisk animacyjnych z tych terenów. Stworzyliśmy program „Tożsamości Odzyskane” – cykl działań, warsztatów i interwencji, w których skupiliśmy się na terenach dotkniętych tużpowojennymi przesiedleniami (nie dyskryminując tu wschodniej i południowej Polski i obszarów, z których np. wysiedlano ludzi w ramach akcji „Wisła”).

Zaczęliśmy w 2011 roku od cyklu weekendowych seminariów, podczas których wspólnie z zaproszonymi animatorami przyglądaliśmy się działaniom już realizowanym na tych terenach, szukając klucza do przepracowywania lokalnej pamięci. Zastanawialiśmy się, dlaczego jako społeczeństwo jesteśmy już gotowi na przepracowywanie historii polsko-żydowskiej (był to czas, gdy oddolne inicjatywy przywracania pamięci o dawnych żydowskich mieszkańcach niezwykle dynamicznie rozwijały się w całej Polsce wschodniej i centralnej), a historia powojennych przesiedleń i ich społeczno-kulturowych skutków wciąż pozostaje w sferze pewnego tabu. Oczywiście znane nam były flagowe działania i publikacje z tego obszaru, jednocześnie wciąż tak mało widzieliśmy przykładów oddolnych, wykluwających się lokalnie inicjatyw, które świadomie wpisująby się w szerszy kontekst i dawały jakiś ogólny przyrost wiedzy i świadomości w tym obszarze. Wciąż jeszcze niedostatecznie opowiedziane były historie osadników, które nie byłyby przybrudzone postpropagandowym nalotem (jeden z wyjątków stanowiła książka „Sami swoi i obcy. Z Kresów na Kresy” Mirosława Maciorowskiego – wydany przez Agorę zbiór reportaży i wspomnień przesiedleńców z Kresów Wschodnich). Wciąż za mało mówiliśmy o społecznym przepracowywaniu poniemieckiej przestrzeni i wpływie, jaki obecność materialnych śladów przeszłości ma na kolejne pokolenia. Jeśli sięgało się do tużpowojennej historii ziem zachodnich i północnych, to najczęściej – podlewając je martyrologicznym sosem, wzmacniając mit kresowego raju utraconego i wreszcie – cały czas powielając, nawet na poziomie językowym, obraz tych terenów jako Ziemi Odzyskanych (pisanych tu celowo bez cudzysłowu).

W kolejnej edycji programu przeprowadziliśmy niewielkie, pilotażowe działania w trzech małych miejscowościach: Grochowicach i Srebrnej Górze na Dolnym Śląsku oraz Ochli w Lubuskim.

Ten ostatni przypadek był dla nas szczególny. W Ochli pracowaliśmy w partnerstwie z Muzeum Etnograficznym, którego zielonogórska filia mieści się w tej niewielkiej miejscowości. Muzeum zorganizowane jest wokół skansenu, w którym znajdują się domy i odtworzone gospodarstwa z Zachodniej Wielkopolski, Dolnego Śląska, wschodnich Łużyc, obszaru środkowo-lubuskiego oraz historycznej Bukowiny. W niektórych chałupach wykorzystano eksponaty pochodzące ze Wschodu, przywiezione tu przez powojennych przesiedleńców. Nasz pierwotny pomysł – by przyjrzeć się przestrzeni samej Ochli i wspólnie z lokalną młodzieżą wyszukać w niej elementy mogące odnosić nas do jej przedwojennej historii – nie powiódł się. Poniemiecki pałac, cmentarz z kilkoma niemieckimi nagrobkami, zachowany układ ulic i architektura – to wszystko przegrało wówczas z narracją skansenowo-etnograficzną, a od jednej z pracownic muzeum usłyszeliśmy dosłownie, że *przecież to są nasze „ziemie odzyskane”*.

Kolejną – jak na razie ostatnią – edycję programu Tożsamości Odzyskane przeprowadziliśmy w 2014 roku. Tym razem poszliśmy o krok dalej i pozwoliliśmy sobie nie tylko na miękkie działania, wspierające jak do tej pory lokalnych animatorów, ale na autorskie interwencje animacyjno-artystyczne. Zależało nam, by w wybranych przez nas miejscowościach w bezpieczny dla lokalnej pamięci, a jednocześnie wyraźny sposób wpłynąć na przestrzeń lub twórczo ją skomentować. Pojechaliśmy do czterech miejscowości – dwóch na wschodzie, dwóch na zachodzie Polski. Sięgnęliśmy do narzędzi animacji społecznej, a także – filmu, fotografii i sztuki społecznie zaangażowanej. Artystka Karolina Grzywnowicz pojechała do bieszczadzkiej wsi Terka i nieistniejącej już, przed wojną leżącej w jej bezpośrednim sąsiedztwie wsi Studenne. Artystka realizowała w tym czasie projekt „Chwasty”, opierający się na poszukiwaniu śladów nieistniejących bieszczadzskich wsi, kierując się rozmieszczeniem rosnących tam dziko roślin. Rośliny te wskazują dziś, gdzie był cmentarz, gdzie sad, gdzie obora, pomagają odnajdywać studnie, zarysy fundamentów, ujawniają topografię nieistniejących gospodarstw. Z opowieści najstarszych mieszkańców Terki, ze starych map i z układu roślin udało się odtworzyć układ Studennego, a mieszkańcy Terki zostali zaproszeni na spacer po nieistniejącej wsi ich wysiedlonych sąsiadów. Projekt „Chwasty” był kontynuowany przez Karolinę Grzywnowicz i zakończył się wystawą w Miejscu Projektów Zachęty w Warszawie – artystka przeniosła tam fragment bieszczadzkiej łąki.

Do Zanowinia w woj. lubelskim pojechała Agnieszka Pajączkowska. Po wojnie ta niewielka wieś została zasiedlona przez przybyłych zza Buga uciekinierów z rzezi wołyńskiej. Wieś, przed wojną niemal całkowicie ukraińska, została w tym czasie wysiedlona z dotychczasowych mieszkańców w ramach tzw. wymiany ludności między Polską a ZSRR. W Zanowiniu wciąż mocno żyje pamięć o przesiedleniu i ucieczce. W podtrzymaniu lokalnej pamięci swoją rolę ma zespół Nadbużański Klon Zielony, którego śpiewaczki kontynuują i przetwarzają zabużańskie tradycje muzyczne. Agnieszka Pajączkowska zbierała na miejscu materiały audiowizualne i stworzyła z nich autorski cykl 25 wideopocztówek – miniatur filmowych, w których odtwarza historie i emocje związane z czasami wojny i powojennego osvajania przestrzeni.

Animator i fotograf Jan Mencwel pojechał do Nowej Ameryki. To nazwa regionu w ujściu Warty (Lubuskie). W XVIII wieku tutejsze bagna i mokradła osuszono i powstał nowy łąd, gotowy teren. Przybywali tu m.in. osadnicy olęderscy, zaznajomieni z życiem w „wodnym” środowisku. Nowo powstającym wsiom nadawano nazwy miejsc znanych ze Stanów Zjednoczonych – Pennsylvania, Maryland, New York – aby nawiązać do mitu „pionierów” Dzikiego Zachodu. W 1945 roku amerykańskie nazwy miejscowości pozmieniano na bardziej „swojskie” – Pennsylvania to Polne, Maryland – Marianki. Po Nowym Jorku zostały tylko fundamenty. Na te tereny przybywali osadnicy z górzystych terenów południowo-wschodniej Polski, których czekało trudne zadanie poradzenia sobie w nieznanym im wcześniej klimacie. Dziś legenda i nazwa Nowej Ameryki wraca w te strony za sprawą grupy lokalnych aktywistów, zafascynowanych przyrodą i historią tego miejsca. Pracowaliśmy z nimi i z grupą lokalnych dzieciaków, wykorzystując do tego fotografię otworkową.

W Kotli w woj. dolnośląskim Dorota Borodaj, pochodząca z tej wsi animatorka kultury, przy współpracy z Urzędem Gminy rozebrała zbudowaną pod koniec lat 70. scenę, w której za budulec posłużyło kilkadziesiąt nagrobków z miejscowego cmentarza ewangelickiego. Scena stała nieużywana od blisko 20 lat, zbudowano ją na terenie przekształconym z cmentarza w park. Po latach znów włączono go w obszar nekropolii, łącząc pusty już zupełnie teren z przylegającym do niego cmentarzem katolickim. Wydobyte nagrobki wyeksponowano przy cmentarnym murze, w planach jest budowa trwałego lapidarium.

Na początku 2015 roku powołaliśmy do życia Towarzystwo Krajoznawcze „Krajobraz”. Staramy się przywracać bliską nam ideę krajoznawstwa i świadomego, pogłębianego poznawania Polski – zarówno miejsc na mapie geograficznej, jak i procesów, które wpływają na jej współczesny charakter.

To w ramach „Krajobrazu” realizujemy najnowszą odsłonę naszych działań wokół pamięci i tożsamości zachodnich i północnych ziem Polski. Muzeum Migracji powstało z połączenia naszych wieloletnich doświadczeń podróżowania po Polsce z potrzebą stworzenia czegoś, co będzie zachętą dla lokalnych środowisk do gromadzenia, przechowywania i przetwarzania elementów miejscowej pamięci. Za 300 zł kupiliśmy używaną przyczepę kempingową „Niewiadów”. Dzięki dotacji z Muzeum Historii Polski oraz publicznej zbiórce na portalu Odpał Projekt zebraliśmy środki na jej remont i podróż wzdłuż północno-zachodniej Polski. W każdej z wybranych miejscowości zatrzymujemy się na tydzień i we współpracy z lokalną instytucją, organizacją lub animatorem zajmujemy się tużpowojenną historią tego miejsca i jego mieszkańców. Przyczepa jest tak zaprojektowana, że może być miejscem przeprowadzenia niewielkich warsztatów, miejscem ekspozycji zdjęć lub dokumentów, miejscem projekcji filmu lub nagrań audio. W chwili, gdy piszemy ten tekst, muzeum jest na półmetku swojej podróży.



Muzeum w przyczepie. Fot. Jan Mencwel.

W miarę trwania projektu odkrywamy, jak szczególne znaczenie ma zaproponowana przez nas forma – z jednej strony lekka, mobilna przyczepa, z założenia pojawiająca się w danym miejscu tylko na chwilę, z drugiej nawiązanie do idei muzeum, a także otwartego, przyrastającego archiwum, prezentowanego w formie wystawy i omawianego w formie warsztatów prowokuje do stawiania nowych pytań o przestrzeń, w której się znajdujemy, o jej obecnych i dawnych mieszkańców. Idealem byłoby dla nas, gdyby nasze mobilne Muzeum Migracji z jednej strony zainicjowało pracę nad lokalnymi archiwami, z drugiej samo stało się takim wędrującym, rozrastającym się archiwum; jego elementy z założenia są animowane, ożywiane i stają się pretekstem do dyskusji, a nie martwymi eksponatami za szybą.

Odkrywamy też, jak bardzo brakuje w Polsce utrwalonego sposobu mówienia o czasach powojennych. Debata publiczna i spory historyków nie dostarczają tego języka – bo z całą pewnością nie jest nim język opowieści o „zdradzie”, „wrogach ojczyzny” i „walce o wolną Polskę”. W miejscach, do których jeździmy, odtwarzamy historie, które z tymi heroicznymi, eksponowanymi ostatnio wątkami nie mają właściwie nic wspólnego. Odtwarzana przez nas opowieść jest inna: przesiedlenie, osvajanie obcego miejsca; wieloletnia praca w szkole, na kolei czy w PGR-ze nie ma w sobie nic z heroizmu, a jednak jest powszechnym doświadczeniem ludzi, o którym chcą oni opowiadać. Te miejsca innej historii i innych bohaterów po prostu nie mają. A jednak czuć, że ten brak heroizmu uwiera, jest wstydlivy, sprawia, że to, co bliskie, wydaje się nieciekawe, jest spychane w nieświadomość. Nikt nie będzie przecież w dzisiejszej Polsce powtarzać PRL-owskiej narracji o heroizmie „pionierów Ziemi Odzyskanych”. Ten kontrast pomiędzy tym, co nas tak bardzo fascynuje w powojennej historii,

a jej ciągłym niedocenieniem wśród osób zamieszkujących tereny poprzemiesiedleńcze jest codzienną barierą w naszej pracy animacyjnej. Bolesnie przekonujemy się, że trafna jest tytułowa diagnoza z książki Andrzeja Ledera o „prześnionej rewolucji”. Tyle że to, co Leder diagnozuje jako wyrwę w pamięci zbiorowej narodu, my napotykaemy na poziomie małych społeczności, często także indywidualnym. W jednej z odwiedzonych przez nas miejscowości nagrywaliśmy wywiad z babcią jednej z uczennic. Była to historia jakby żywcem wyjęta z Ledera: powojenne przesiedlenie z biednej wsi, praca w PGR-ze oraz przyzwoite warunki mieszkaniowe jako przykład awansu społecznego, którym jednak nie wypada się chwalić. Co jednak najciekawsze, wnuczka kobiety, z którą rozmawialiśmy, choć przesiedziała z nami ponad godzinę, słuchając opowieści, na drugi dzień nie była w stanie nawet stwierdzić, czy babcia kiedykolwiek w życiu pracowała, czy nie. Czy to historia o relacjach wnuczki z babcią, czy może o relacjach mieszkańców terenów poprzemiesiedleńczych z własną historią?

Jeśli w ślad za Lederem zgodzimy się, że historia czasów powojennych jest „prześnioną rewolucją”, to nasze działania mają pomóc się z tego snu obudzić. Wychodzimy z założenia, że każde miejsce zasługuje na to, by jego historia stanowiła powód do dumy albo chociaż zwykłego zainteresowania ze strony członków społeczności. Ale czy nie jest na to za późno? Czy kolejne pokolenia nie chcą po prostu żyć w tych miejscach, nie zastanawiając się nad tym, jak to się stało, że ich dziadkowie czy rodzice tu przybyli i dlaczego byli w stanie tu zostać i się zadowolić? A może boją się, że prędzej czy później w tej historii pojawią się wywleczone ciała z rozkopanych niemieckich grobowców, o których w jednym z odwiedzonych przez nas miejsc słyszały już nawet dzieci z podstawówki?

Metoda naszego działania ma oddalić te przeszkody. Stawiając mieszkańców w roli „kustoszów” ich własnego muzeum, zmuszamy ich do postawienia sobie pytania, co z własnej historii jest godne utrwalenia i przeniesienia do takiej „izby pamięci”. Okazuje się, że ta metoda działa. Dzięki prostemu zabiegowi warsztatowemu – postawieniu uczestników w określonej roli, stworzeniu im z jednej strony ciasnych, z drugiej elastycznych ram, które są dla nich zrozumiałe i pobudzają ich wyobraźnię. Zaproszeni do zadania stworzenia w obwoźnym Muzeum wystawy o historii ich miejscowości siłą rzeczy muszą dokonać pewnej selekcji treści. Wystawę tworzymy ze zdjęć, przedmiotów pamiątkowych, wspomnień. W ten oto sposób wśród historii o ślubach, dzieciach, żniwach i kolei, która kiedyś tu jeszcze dojeżdżała, trafiamy na opowieści o niemieckich mieszkańcach, którzy po wojnie „jakoś tu zostali”. O niemieckiej dziewczynie, którą wszyscy podrywali, ale nikomu się nie udało, bo nie mówiła po polsku. O rybaku, który uczył Polaków rybołówstwa, gdy przybyli nad Zalew Szczeciński. Przedmioty – pamiątki po dawnych gospodarzach – trafiają do naszego muzeum i umieszczone w nim, odpowiednio opisane (*pęk kluczy z niemieckimi napisami z czasów przedwojennych*) zostają oswojone i wpisane w historię. Już nie trzeba próbować wyprzeć dawnych mieszkańców – wystarczy wpisać ich w historię jako jej zrozumiałą, wymagającą upamiętnienia element. W Muzeum nie można go pominąć, bo muzeum to miejsce, w którym oswajamy się z tym, że coś przeminęło.



Mieszkańcy współtworzą własne muzeum. Fot. Jan Mencwel.

Pozostaje jeszcze pytanie o oswojenie historii być może jeszcze ważniejszej – przyjścia Polaków na te ziemie. W jednej z miejscowości młodzież z gimnazjum namalowała sprejami wizerunki trzech seniorów, których wspomnienia nagrywaliśmy. Zrobili to w formie szablonów, w poetyce streetartu. Czy tylko nam te twarze kojarzyły się z wizerunkami z wczesnej propagandy PRL? W ten sposób „pionierzy” i ich losy zostali symbolicznie przywrócenie na swoje miejsce, bez tego niewygodnego nawiązania do propagandy. U nas byli to po prostu najstarsi mieszkańcy tej miejscowości, którym należy się szacunek ze względu na wiek i doświadczenie. Ale opowieści o przyjeździe nadal są ukryte. Czekają na właściwą metodę, która pozwoli na ich wydobyć.

Czy nasze działania coś zmieniają w miejscowościach, w których pracujemy? W jaki sposób ocenić, że to, co robimy, jest w ogóle potrzebne? Nie mamy sprawdzonych jednostek miary, którymi moglibyśmy potwierdzić lub zanegować słuszność kierunku, jaki obraliśmy. Ale odnotowujemy, podobnie zapewne jak przedstawiciele innych organizacji i instytucji pracujących w tym obszarze, drobne drgnięcia, momenty, gdy społeczności, w których pracujemy, często po raz pierwszy zagłębiają się, analizują i przepracowują swoją historię. Być może reprezentujemy to pokolenie, któremu jest łatwiej jako nieobciążonemu dotychczasową historyczną narracją „przywracania polskości”, „powrotu do macierzy”. Jesteśmy świadomi zagrożenia, którym jest neopatriotyczny dyskurs, próbujący historię znów sprowadzić do narzędzia propagandy. Operuje on atrakcyjnymi narzędziami, symbolami, a także potężnymi pieniędzmi, teraz również państwowymi. Zderzenie tych dwóch dyskursów będzie prawdziwym testem na to, na ile nasze działania i nasz sposób myślenia jest potrzebny na tych terenach.

Program Tożsamości Odzyskane był realizowany przez Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę” ze środków Muzeum Historii Polski. Program Muzeum Migracji realizowany jest przez Towarzystwo Krajoznawcze „Krajobraz” w partnerstwie z Towarzystwem Inicjatyw Twórczych „ę”, także ze środków MHP.

tozsamosciodzyskane.e.org.pl
facebook.com/muzeummigracji

Dorota Borodaj, Jan Mencwel

Jacek **PONIEDZIAŁEK**

* * *

trzeba wszystko starannie zaplanować
nie jest to takie trudne
jak by się mogło wydawać

plan powinno się zrealizować tak by nie rozdarła się zasłona świata
ani nie drżała jego bryła
to mogłoby wystraszyć
nie tylko wątpiących ale także tych już przekonanych

należy zaraz po przebudzeniu
zatemperowanym ołówkiem
w równych kolumnach
pomiędzy łykiem letniej kawy
a kęsem razowego chleba
opisać krok po kroku co należy robić

po pierwsze
strzały w potylicę muszą rozstrzygać wątpliwości
trzeba następnie rozpuścić guziki mundurów w kwasie
używamy takim sposobem pola
grzebiący w ziemi poszukiwacze wielu prawd nie mogą nam w niczym
przeszkadzać

po drugie
rozkładający się na atomy protest
przegrywa
na korzyść ukraińskich lasów i polan
a nawet pól uprawnych Rwandy
a może dna Morza Egejskiego
czy nawet lodowych boisk Syberii
lub pokoju egzekwowanych siłą boskich powinności żony
pozwala odsunąć nam odrobiny człowieka sączące się pod powieki
umożliwiając tym samym kroczenie prostą drogą ku realizacji planu

po trzecie
wyliczyć koniecznie
zadżumionych
zażydzonych
zawstydzonych
niedorośle dzieci
kochających mężczyzn
kochające kobiety
chcących chcieć kochać
niechcących nienawidzić
zrobić z tym co trzeba

po tym jak przebrzmiały wszystkie wrzaski
zasadzić kwiaty
zaśpiewać hymny
rozkazać wiatrom łopotać flagami

tak właśnie powinno się planować
powtórny Ogród
bez drzew których owoc każe patrzeć
na to wszystko wzrokiem człowieka o wielu oczach

* * *

kiedy siedzę w poplamionym fotelu
przyznam
mało dbam o bozony Higgsa
raczej
nie wznieci we mnie żaru odwaga Machabeuszy

nie obchodzi mnie również
to że rozpuszczam się w powietrzu
rozpływam
rozpadam w ogniu
zapadam się w ziemi

wtedy też nikogo nie proszę
by mnie strzegł

nie wstaję gwałtownie
nie rozpościeram z troską ramion
nie czytam codziennej gazety

nie interesuje mnie
jak oddzielić ziarno od plew
jak rozpoznać kto brat kto wróg
jak odpowiedzieć na wszystkie pytania

zapominam o dylematach hippońskiego biskupa

siedzę w poplamionym fotelu
i tyle

* * *

budzę się jak co rano
nie odklejając powiek od snu podchodzę pod okno
a tam za brudną szybą
za mżącym październikiem
za parkingiem na którym przywarował mój stary samochód
rozpościera się świat
ten sam co wczoraj
i kilka dni temu
dawno

marszczę brwi
zaciskam mocno szczęki
niech widzi moją złość

w południe
próbuję przebić się przez niezgodę na niego
gorącą łyżką zupy
ale to nie przyczółek spokoju który wszystkim zaleca brzuchaty doktor Budda
wszystko po to tylko
bym wytrwał do wieczora

wtedy
kładę się
zawinięty jak dziecko albo kot może
zapadam się w pomiędzy sen a niesen

proszę
o ten jeden jedyny ostatni cud
by kiedy się obudzę
zamiast tego co mam
były gaje oliwne
i wino w glinianych dzbanach

nie wzgardzę
scholastycznym
udowadnianiem już przecież udowodnionego

ani też
ponownym odkryciem
logiki ukrytej w dziejach

szczęście znów mogło by być na wyciągnięcie ręki

Jacek Poniedziałek, ur. w 1977 roku, dr socjologii, pracuje na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, regionalista, publicysta związany z WK „Borussia”; debiutuje jako poeta.

„Miasto z wyrokiem” Treningi obcości

AGNIESZKA KARPOWICZ

dr hab.; literaturoznawczyni, kulturoznawczyni, adiunkt w Zakładzie Antropologii Słowa IKP, członkini zespołu Pracowni Studiów Miejskich. Zajmuje się antropologią literatury, historią kultury XX wieku i badaniami miejskimi w perspektywie komunikacyjnej, a zwłaszcza (neo)awangardowymi praktykami artystycznymi, literaturą, sztuką i twórczością XX wieku oraz miejskimi gatunkami i praktykami językowymi tego okresu.

– Proszę o bilet II klasy do Rynu.

– Czy pan zwariował? Nie ma takiej stacji.

(Romantyk i kasjer na dworcu w Olsztynie)¹

*

Cóż Ryn? Mieścina mała z parterowymi domkami, które wielki niszczyciel – czas obdarł z dawnego uroku, pochylił ku ziemi i oszpecił plamami ich stare tynki. Spiczaste dachy. Niby zbakierowane, połatane czapy, pokrywają kamieniczki, pamiętające dni grozy i triumfu. Wybrukowane kocimi łebkami uliczki kręcą się zawile. Spokojne jeziorka, jedne z mniejszych na terenie Mazur, zrosły się z ogólnym, sennym krajobrazem. Ryn jest cichy, spokojny i jakby stale zamyślony².

1 T. Z. W., *Drzewko rośnie do słońca*, Archipelag. Dodatek Społeczno-Kulturalny Głosu Olsztyńskiego, 1959, 3-4, I, nr 1. Wycinek z prasy, [w:] A. Nowicki, *Kroniki Rynu (1958-1959)*, t. VII, s. 107. Ze zbiorów Biblioteki Publicznej w Rynie. Kwerenda prasowa, z której efektów korzystam w tekście, opiera się w całości na kronikach Albina Nowickiego i gromadzonych przez niego materiałach, dlatego cytaty lokalizuję, podając strony z kronik, na których pojawia się dany wycinek prasowy, oryginalne źródła i nazwiska autorów artykułów podaję jedynie w formie dostępnej w kronikach.

2 J. Olszewski, *Ryn – jego mieszkańcy i podstępne jezioro*, Trybuna Ludu, 6 maja 1963, nr 123. Wycinek z prasy, [w:] A. Nowicki, dz. cyt., t. XXXII, s. 67. Ze zbiorów Biblioteki Publicznej w Rynie.

W tym smętnym krajobrazie szkicowanym sugestywnie przez zatroskanego dziennikarza w 1963 roku doskonale rozpoznaję miasto, w którym urodziłam się 14 lat później. Nie ulegał on zmianie jeszcze długo po moim wyjeździe z Mazur pod koniec lat 90. Notatka wpisuje się też chyba w istniejącą od dawna tradycję, skoro miesięcznik „Warmia i Mazury” powołuje się na panujące już w 1935 roku przekonanie, że jest to „miasto z wyrokiem”, skazane na śmierć ze starości³. Pomijam to, czy czarna legenda faktycznie istniała, czy była w PRL wytwarzana jako element propagandowy i poniekąd wyjaśniający opłakany stan miasta spowodowany wojennymi zaniechaniami. Autor artykułu próbuje oczywiście zmotywować odbiorców, mieszkańców i władze do zrobienia, co w ich mocy, aby dać odpór temu niemieckiemu fatum. Losy miasteczka w XX wieku pozwalają jednak sądzić, że klątwa była silniejsza niż dobre chęci reportera. Podobne opisy odpowiadają całkowicie wszystkim moim wspomnieniom z Rynu, którym w latach 50. tak straszono w prasie:

W dni pogodne grupki mężczyzn siadają pod murem i bezmyślnie kopcą papierosy czekając na otwarcie kiosku z gazetami. Latem zawita czasami zbłąkany turysta i odstraszone niechlujstwem zamkowego dziedzińca odjeżdża. Często wybuchnie bójka i ludzie stojąc pod murem mają o czym pogwarzyć. Czasem jakiś zapal poderwie ludzi. Później znów siadają pod murem i czekają. PKS zatrzymuje się na rynku, przywozi kilku pasażerów i gazety. Jutrzejszy dzień zacznie się podobnie – czekaniem. Nawet przewodniczący MRN [Miejska Rada Narodowa – przyp. AK] zapytany o życie miasteczka odpowiada:

– Czekamy.

1850 mieszkańców Rynu czeka. W tym oczekiwaniu leży cała nadzieja na rozwój miasta i lepsze życie⁴.



Fragment zamku prze remontem. Fot. Janusz Pilecki

We fragmencie reportażu mowa o krzyżackim zamku z XIV wieku, głównym, ryńskim zabytku. To jego odbudowa jako atrakcji turystycznej miałaby zapewnić mieszkańcom rozwój i lepszy los. Faktycznie zrekonstruowano go dopiero w 2006 roku, aranżując podniesiony z ruin budynek na luksusowy hotel. Uderzający jest jednak fakt, że te prasowe artykuły z połowy XX wieku są znakomitą ilustracją moich wspomnień z Rynu z końca tamtego stulecia i początków następnego niezależnie od tego, czy dotyczą one dzieciństwa, wczesnych lat 80., czasów transformacji czy studenckich wakacji z prze-

³ Tamże, s. 180-182.

⁴ M. Szczepański, *Historia z precedensem*, Archipelag. Dodatek Społeczno-Kulturalny Głosu Olsztyńskiego, 17-18 stycznia 1959, nr 3. Wycinek z prasy, [w:] A. Nowicki, dz. cyt., t. VII, s. 114-115. Ze zbiorów Biblioteki Publicznej w Rynie.

łomu wieków. Ilustracja wydaje się trochę przekłamana w momencie, gdy reporter pisze o wyczekiwaniu pod zamkowym murem na gazety, ponieważ było to raczej tradycyjne miejsce „libacji alkoholowych”⁵ niż spotkań fanów czytelnictwa spragnionych nowości ze świata. Poza drobnymi szczegółami prasie regionalnej znakomicie udawało się wydobyć *genius loci* miasteczka, ten sam „duch miejsca” nieustannie wylania się z moich ryńskich wspomnień, ale też z historii krzyżackiej budowli. Zamek odziedziczono po 1945 roku wraz z długą historią niepowodzeń:

Podczas wojny polsko-krzyżackiej (pruskiej), w 1520 roku, wojska mazowieckie pustoszyły wsie w okolicach Rynu, nie oszczędzając nawet kobiet i dzieci. W 1. połowie XIX wieku zamek stał pusty i niszczał nie znajdując nabywcę⁶.

Dodać można spalenie krzyżackiej budowli w 1656 roku przez Tatarów, pożar z 1881 roku i przebudowę w stylu neogotyckim, następnie przeznaczenie zamku na magazyn wojskowy, a później na więzienie. Ryn jako zapadłe i upadłe miasteczko z wielką, niszczącą budowlą, straszącą mieszkańców z centralnie położonego wzgórza, uwodził zawsze melancholijnym urokiem jak każda ruina. Uwodzi oczywiście jeszcze bardziej od czasu, gdy stał się jedynie moim dziecięco-młodzieńczym wspomnieniem z odległej przeszłości, doskonałą skądinąd scenerią nie tyle poczytnych kryminałów, w których miejscem akcji coraz częściej staje się dziś ryński zamek, ile wszelkiego rodzaju nastoletnich *Weltschmerzów*. Co znamienne, nie jest już tym wszystkim miasto, które odwiedzam regularnie od drugiej dekady XXI wieku. Lepiej korespondują z nim lekko przesłodzone treści tekstów reklamowych:

*Tam, gdzie błękit jezior przeplata się z soczystą zielenią traw, a radosne trele ptaków współgrają z miarowym szumem drzew pachnących mchem i żywicą, wznosi się **Hotel ZAMEK RYN****** – miejsce, w którym bije serce Mazur, a wszechobecny duch historii sprawia, że czas staje w miejscu⁷.*

Jedynie „czas stający w miejscu” wydaje mi się trochę nieadekwatny, bo przecież dobrze wiem, że i zamek, i jego otoczenie są właśnie doskonałym przykładem na to, że czas tam nie zastyga, a zmiany, jakie przynosił, bywają dość spektakularne. Życzeniowe jest też nadal przypisywanie centralnej pozycji (bijące serce Mazur) miastu leżącemu jednak na uboczu szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, z dwoma czy trzema tawernami, wciśniętemu między mekki żeglarzy – Mikołajki i Giżycko – a Mrągowo z tłumnie odwiedzanym Piknikiem Country, ponadto wciąż pozbawionemu stacji kolejowej (najbliższa znajduje się w Giżycku odległym od Rynu o 20 kilometrów) czy dworca autobusowego:

5 R. Sulima, *Semantyka libacji alkoholowej*, [w:] *Antropologia codzienności*, Kraków: Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2000.

6 J. Bieszk, *Zamki państwa krzyżackiego w Polsce*, Warszawa: Bellona, 2010, s. 10. Zob. także *Dzieje zamku ryńskiego i okolic*, red. J. Gancewski, Olsztyn: Polskie Towarzystwo Historyczne w Olsztynie, 2014.

7 <http://www.zamekryn.pl/zamek-ryn/o-zamku/> [dostęp: 14.09.2016 (wyróżnienie oryginalne)].

Niezwykłe istotna jest również lokalizacja Zamku – w samym sercu Krainy Wielkich Jezior Mazurskich – to znakomita baza wypadowa dla wszystkich gości, którzy z łatwością mogą się stąd dostać do miejsc, gdzie znajdują się znane niekiedy na całym świecie atrakcje turystyczne⁸.

Dziś w najbliższym otoczeniu dawniej ponurej i syjącej się budowli na brak atrakcji nie można narzekać, turystów kusi się nurkowaniem, sportami wodnymi na Jeziorze Ryńskim (część Tałt), na którego nabrzeżu jest też od 2013 roku nowoczesna Ekomarina z eleganckim, ukwieconym deptakiem. W moich wspomnieniach to wybetonowany miejscami brzeg i podmokłe ścieżki, a także smutny, malutki i mocno zdezelowany pomost, przy którym czasem zdarzało się latem zobaczyć więcej niż jedną przycumowaną żaglówkę. Do dyspozycji letników są: plaża nad jeziorem Ołów (ta akurat zawsze była piękna, ale dawniej stanowiła naprawdę jedyną atrakcję Rynu) i urokliwa trasa spacerowa wokół niego (urządzona i zagospodarowana niedawno, kiedyś błoto i zarośla często broniły do niej dostępu). *Cuchnący staw młyński*⁹ – wcześniej wykorzystywano różnicę poziomów wody między dwoma jeziorami, między którymi leży miasto, do napędzania młyńskiego koła – zastępuje dziś odrestaurowany, ceglany budynek, w którym mieszczą się karczma otoczona uroczym, drewnianym płotem obsadzonym słonecznikami i sklep z delikatesowym asortymentem „bio” i „eko”. Jeśli to nie wystarcza, można napić się „lokalnego” wina – wrażenie jego autentyczności mają zapewne wspomagać mikre winogrona, którymi porasta dziś młyńskie wzgórze – lub wziąć udział w corocznym Festiwalu Kultury Średniowiecza Masuria, żeby obejrzeć konne i piesze turnieje rycerskie, spektakle i parady historyczne albo nauczyć się fechtunku czy tańców dawnych. Oczywiście, mówię tu o okresie wakacyjnym – od kilkunastu lat tylko wtedy tu bywam – kiedy Ryn, jak każde turystyczne miasteczko, nie czeka (głównie na początek sezonu wiosenno-letniego), lecz działa na pełnych obrotach.

Przyznaję, że moje opisy są trochę tendencyjne, jeszcze sporo zaułków i murków przypomina dawny klimat, rewitalizacja nie objęła najciemniejszych zakamarków, a grupki czekające na gazetę nadal przesiadują w pobliżu zamku, choć już nie muszą stać przy murze, odkąd mają do dyspozycji estetyczne, pachnące świeżością ławeczki. Zależało mi jednak na wydobyciu nowego „ducha miejsca”, kierunku eleganckiego kurortu – nadal cichego i spokojnego, ale jednak kurortu – w którym Ryn z powodzeniem zmierza. W obliczu tych zmian najbliższe moim wspomnieniom wydaje się więc już tylko „betonowe dziedzictwo”¹⁰, chyba najbardziej dziś kłopotliwe: blokowisko na podzamczu nieubłagane przypominające, że czas w Rynie nigdy nie zastygał, ośrodki letniskowe z pękającej miejscami wielkiej płyty kontrastującej z tradycyjnym kamieniem, pudełkowate budynki dawnego przedszkola czy zakładów produkcyjnych zamkniętych po transformacji, stanowiące kontrpunkt dla XIX-wiecznych, częściowo już odrestaurowanych i pełnych uroku, starych kamienic. W zasadzie to jedno z nie-

8 <http://www.zamekryn.pl/wyjatkowosc-hotelu> [dostęp: 13.09.2016].

9 A. Nowicki, dz. cyt., t. VII, s.100. Ze zbiorów Biblioteki Publicznej w Rynie.

10 Zob. A. Basista, *Betonowe dziedzictwo. Architektura w Polsce czasów komunizmu*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2001.



Ryn, widok na miasto od strony mariny. Fot. Janusz Pilecki

licznych, namacalnych śladów po Rynie z moich wspomnień i doświadczeń, dziś sporo z nich niszczeje, podobnie jak dawniej popadał w ruinę zaniedbany zamek, na którego remont i zagospodarowanie wciąż brakowało środków, a czasem też pomysłów (od szpitala psychiatrycznego przez siedzibę POM-u i innych instytucji, po schronisko PTTK w celach więziennych i unikatowy na tym tle projekt Albina Nowickiego stworzenia izby muzealnej). Abstrakcyjne wydaje mi się przypuszczenie, że za kilka dekad te betonowe zabytki będą pieczołowicie restaurowane, podobnie jak dziś w trakcie remontu starego budynku odsłania się na stałe niemiecki sztyl zakładu fryzjerskiego, skrzętnie ukryty pod kolejnymi warstwami farby kładzionymi w poprzednim stuleciu.

Z różnych powodów dobrze jest, gdy udaje się, że Ryn dekad lat 70.-90. w ogóle nie istniał. Jednak radosne miasteczko, które właśnie odradza się w odmalowanej i zrewitalizowanej postaci, lśniącej nową cegłą, właśnie dlatego jest mi dziś obce, czasem wręcz – paradoksalnie – nieznane i nigdy wcześniej przeze mnie niewidziane, jak w przypadku domu z niemieckim sztyldem. Jest ono pięknym, przyjemnym letniskiem, w jakie – przynajmniej na czas sezonu letniego – naprawdę tchnięto nowe życie. Ryn, który właśnie się rozpada i pęka, na razie pozostawiony sam sobie – ten betonowy, z czasów dynamicznej industrializacji i modernizacji, ale i ten wciąż jeszcze miejscami odrapany, ze specyficznym, kamienicznym zapachem zaniedbanych bram i klatek schodowych – to szczątki przestrzeni, z jaką zrosłam się na dobre, w pełni mojej i ważnej tożsamościowo. Potransformacyjny czas migracji, przedtransformacyjne doświadczenia związane z miastem i współczesny rozwój Rynu – wszystko to wzmocniło więc wrażenie obcości tego, do czego dziś czasem wracam. Migracja nie jest przecież zjawiskiem tylko przestrzennym, na sposób jej doświadczania wpływa całościowy chronotop, sprawiający w przypadku Rynu, że nie tylko ten, kto wyjeżdża, porusza się w przestrzeni, ale i przestrzeń dynamicznie zmieniając się w czasie, usuwa mu się spod nóg, a czasem zupełnie znika, bo migrując, jesteśmy przecież zrośnięci nie tyle z samym miejscem, ile z miejscem w konkretnym czasie.

Jeśli zaś szukać specyficznie ryńskiego chronotopu – rozumianego po Bachtinowsku jako żywa relacja (interakcje, ale i ich brak) między czasoprzestrzenią a przebywającym w niej na różne sposoby człowiekiem – jest on według mnie naznaczony poczuciem obcości w ogóle i w jej rozmaitych postaciach. Może o tym świadczyć nawet dzisiejsza pozycja centralnego obiektu – zamku, prawdziwego „serca miasta” w sensie geograficznym, ale i historycznym – który mimo swojej lokalizacji, ogromnego znaczenia dla historii dawnej osady i ożywienia współczesnej turystyki pozostaje dla ryńian ciałem obcym, zamkniętą enklawą dla bogatych wczasowiczów, w dużej mierze wyłączoną z życia mieszkańców. Jeśli uznać Ryn za *miasto z wyrokiem*, to fatum byłby według mnie właśnie unoszący się nad miastem, od kiedy pamiętam, aż do dziś „duch obcości”, wpisanej w miasto od 1945 roku, ale niedający się przepędzić i później. Doświadczanie wielowymiarowej obcości – niezależnie od tego, jak je wykorzystujemy, przełamujemy i co z nim robimy – jest równie mocno wpisane w biografię migrującą i w tym sensie dorastanie w Rynie (pod pewnymi względami stanowiące laboratorium doświadczeń mazurskich w mikroskali) można potraktować jako jej wypróbowywanie, trenowanie i codzienne uczenie się, bardzo przydatne dla każdego, kto potem wyjeżdża.

Dla kogoś, kto urodził się w Rynie i był z nim związany w latach 70.-90. XX wieku, ćwiczenia z obcości zaczynały się bardzo wcześnie, ale raczej nie od spektakularnych wydarzeń czy mocnych zderzeń czołowych z innością. Cezura lat 70. jest dla mnie ważna nie tylko ze względu na własną przynależność pokoleniową, lecz także dlatego, że na Mazurach rodziły się wtedy takie jak ja dzieci rodziców już urodzonych na polskich Mazurach niezależnie od przynależności narodowej i etnicznej ich przodków. „Ci nowi my”¹¹, parafrazując zgrabne określenie osadników użyte w innym kontekście przez Mirona Białoszewskiego, nie mieliśmy problemu z własną tożsamością geograficzną, narodową ani językową i byliśmy bezdyskusyjnie udanym efektem homogenizującego etnicznie projektu PRL, nie potrzebowaliśmy już i nie doświadczaliśmy zmasowanych akcji propagandowych przykrawających naszą tożsamość do „jedynie właściwych” rozmiarów. Jednak mieszkanie (po przeprowadzce do Giżycka były to cotygodniowe lub częstsze wizyty) w Rynie zawsze oznaczało nieoczywistość przynależności ludzi do miejsca i miejsca do ludzi. Jedynie drobne, dziecięce obserwacje i zdziwienia, nieproblematyzowane w szkole ani w domu, zapowiadały fascynującą przygodę z obcością.

Szybko więc okazywało się, że Ryn naprawdę nie nazywa się tak, jak się nazywa (jeszcze bardziej zdziwieni byli mali mieszkańcy Giżycka, bo alternatywnych nazw miało ono dużo więcej), a przecież nazwa ma nierozzerwalny związek z tożsamością miejsca, rozchwieanie relacji między nazwą a desygnatem sprawia zwykle, że rzeczy przestają być sobą. Gorzej, że nie do końca jasne było, skąd wziął się Rhein – w dziecięcej głowie stopniowo wszystko układało się dość prosto w historię o zagarnięciu go przez hitlerowców w 1939 roku i odzyskaniu po wojnie przez Polaków związane z powrotem do prawdziwej nazwy. Jednak pogodzenie tej

11 M. Białoszewski, *Chamowo*, rekonstrukcja i oprac. tekstu M. Sokołowska, Warszawa: PIW, 2009, s. 14.

samowiedzy z częstym widokiem niemieckojęzycznych staruszków wysiadających z błyszczących nowoczesnością autokarów nie było już takie łatwe. Wygląd autobusów, inny (o niebo lepszy od tego, do którego przywykłam) zapach ubrań, egzotyczne przekąski w rodzaju czekolady albo pomarańczy były jednymi z pierwszych, subtelnych mikropowiewów inności. Sprawę komplikowało dodatkowo to, że obcy nie zachowywali się jak obcy, czasami znali zakamarki Rynu i okolic lepiej niż miejscowi, pewnym krokiem wchodzili do zamieszkałych, naszych, klatek schodowych i podwórek-studni, witali się przyjacielsko z naszymi sąsiadami. Traktowani nieufnie przez niektórych miejscowych urastali jednak do rangi prawdziwych Obcych. W każdej chyba szanującej się rodzinie mówiono dzieciom, że nie wolno od tych ludzi brać słodyczy, owoców, a nawet donaldów, którymi dość chętnie nas częstowali. Byli oczywiście i tacy, którzy tej niemieckiej uprzejmości mocno nadużywali.

Ciąg zaskoczeń nie miał końca, zwłaszcza gdy udawało się ustalić, że mowa tymczasowych przybyszów z obcego świata dziwnie przypomina tę, jaką popołudniami słyszy się na ryńskich ulicach. W senne popołudnia dobiegała ona zawsze gdzieś z okien, docierała z ławeczek, czasem trzeba było przedzierać się przez jej ostre brzmienie w podwórku lub wejściu do kamienicy. To, dlaczego niektóre sąsiadki mojej babci – nazywane potocznie „niemrami”, „szwabkami”, z rzadka i raczej bez rozumienia znaczenia tego słowa „mazurkami” – „szprechają” między sobą, zamiast posługiwać się „normalnym” językiem, dziwiło chyba najbardziej, a dodatkowo stawało się przedmiotem typowo małomiasteczkowych niepokojów. Zakładano, że kobiety oplotkowują w niewybredny sposób wszystkich dookoła, chronione pancerzem języka niezrozumiałego dla obgadywanych. Nawet jeśli nie był to czysty niemiecki – w Rynie nikt nigdy nie potrafił mi tego wyjaśnić – gwarowe, mazurskie *apfelkuch* (jabłecznik), *ojropa* (Europa) czy *banhof* (dworzec, stacja kolejowa)¹² mogły robić swoje. Dodajmy dla podkreślenia demonicznych wymiarów tej obcości¹³, że wtedy w Polsce dla pokolenia moich dziadków i – jeszcze wciąż – rodziców nie było chyba bardziej obcego języka obcego niż niemiecki.

Irmgarda (na co dzień Irma), Trauta (jak zdrobniale mówiło się o Waltraut), Wolfi, Gretchen – te imiona sąsiadów początkowo wcale nie zaskakiwały, wydawało się, że z całą pewnością wśród takich osób dorastają też moi rówieśnicy w Krakowie czy pod Warszawą, w całej Polsce, a poza tym Stanisławy czy Władysławowie wydawali się wtedy nosicielami równie egzotycznych, przedwojennych imion z innej epoki, bardzo już niemodnych i po szczeniacku wykpiwanych. O niektórych ryńskich współmieszkańcy mawiali prześmiewczo „krzyżaki”, familiarnie „niemiaszki”, z niechęcią „helmuty”, a nawet obcesowo „heilhitlery”, ale dla czego, to nie do końca było jasne, chociaż argument z hitlerowskiej „szwabskości” przemawiał do wyobraźni. Ci prawdziwi Obcy nie musieli znikąd przyjeżdżać, żeby nie być u siebie, choć jako jedni z nielicznych mieszkańców Rynu byli naprawdę u siebie (niezręczności stylistyczne w tym zdaniu doskonale podkreślają paradoksalność ryńskiej sytuacji egzystencjalnej i trudności, jakie

¹² *Mały słownik gwary mazurskiej*, red. Erwin Kruk, Mazurskie Towarzystwo Ewangelickie, <http://diec.mazurska.luteranie.pl/pl/biuletyn/msgwarymazur.htm> [dostęp: 14.09.2016].

¹³ Zob. Z. Benedyktowicz, *Portrety „obcego”: Od stereotypu do symbolu*, Kraków: Wydaw. Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2000.

stwarza znalezienie adekwatnego sposobu mówienia o niej). Ich obcość na pewno dawało się odczuć bardziej przed latami 70., gdy moja mama z grupą ryńskiej dzieciarni ganiała po podwórku Estę, Lorę, Waldiego i Helmuta, obsadzając ich w roli Krzyżaków podczas zabawy w wojnę w okolicy zamku.

Po ostatniej fali wyjazdów ludności do RFN ryńska obcość zaczęła przybierać dużo przyjemniejszą postać. Mając wcześniej za sąsiada kogoś, kto właśnie emigrował lub czyja rodzina znalazła się już wcześniej za zachodnią granicą, można było liczyć na jej dobrotliwe przejawy w postaci soczystych cytrusów, niezapomnianej czekolady „z okienkiem”, która dziś, dostępna w większości marketów, nie smakuje już tak anielsko jak wtedy, aromatycznej kawy i równie pięknie pachnących środków piorących. Czasem paczki z Niemiec były wręcz pierwszymi *second-handami*, długo przed tym, zanim sklepy te rozgościły się na dobre w krajobrazie Rynu i innych, polskich prowincjonalnych miasteczek.

O „swojość” Rynu trzeba było wciąż ścierać się i z inną grupą najeżdżającą miasteczko może nie tak tłumnie, jak większe kurorty, ale jednak. „Stonka”, jak potocznie o niej mówiono, przyjeżdżała również z lepszego – bo wielkomiejskiego – świata, zmuszała do wczesnego wstawania w wakacje, żeby ją przechytrzyć i dostać jakiś towar w sklepie lub piekarni, zanim zostanie całkowicie wykupiony. Te rzesze turystów drażniły tym, że przyjeżdżały tu „jak do siebie” i zawłaszczwały nasze terytorium. Mam tu na myśli ten specyficzny, wakacyjny sposób zachowania, skłaniający do traktowania letnisk jedynie jako malowniczych scenografii urządzonych specjalnie i tylko dla dobrego wypoczynku i samopoczucia przyjezdnych, z pominięciem szczegółu, że mieszkają tu na co dzień ludzie. Sprawiali oni, że trudno było znaleźć miejsce na naszej plaży, przez nich rosły też kolejki do naszej budki z lodami, obsiadali nasze pomosty. Trzeba oczywiście pamiętać, że infrastruktura turystyczna poprawiła się już wtedy w stosunku do lat 50. czy 60., ale sposób myślenia o turystyce był inny niż dziś, a dostępność towarów wciąż niewystarczająca. Ze względu na budowane nad Jeziolem Ryńskim kąpalniane ośrodki wczasowe znaczna część letników drażniła też śmiesznie brzmiącym akcentem i dziwnym śląskim słownictwem, wzmacniając poczucie obcości i mnożąc pytania o różne etniczno-tożsamościowe nuanse.

Połączenie tych wszystkich doświadczanych odprysków obcości w jedną, spójną i logiczną całość nie było łatwe, ale poczucie bycia u siebie przy jednoczesnym byciu nie u siebie (ubogi styl tego zdania znów podkreśla trudność w klarownym wysławianiu mazurskich paradoksów) wydaje mi się z perspektywy czasu wszechogarniającym doświadczeniem „ryńskości”, bardzo bliskim skądinąd każdej migracyjnej biografii. Autochtoni mogli być obcymi w oczach zdomowionych tu już po wojnie Polaków, choć przecież byli najbardziej „swoi”, Polacy zaś, „tutejsi”, zasiedlający już co najmniej od drugiego pokolenia poniemieckie mieszkania, okazywać się mogli obcy dla miejscowej (w sensie ścisłym) ludności, a nawet dla siebie nawzajem.

* * *

W 1972 roku, kilka lat przed moim urodzeniem, zmarł Albin Nowicki – w zasadzie jedna z wielu osób w Rynie, która mogłaby mi tę dziwność jakoś klarownie objaśnić, ale nikt już wtedy nie kontynuował jego społecznej działalności, pracy z młodzieżą, służącej animowaniu kultury, historii i tradycji miasta i okolic. Istniał jedynie we wspomnieniach mieszkańców, często zresztą jako bohater legendy o niegroźnym szaleńcu-zapaleńcu. Zawsze wydawało mi się, że był prawdziwym Mazurem, że mieszkał w Rynie od początku, a poczucie to wzmacniało oryginalne, staromodne imię, bardzo bliskie, jak sądziłam, takim jak Horst czy Esta. Kolejny paradoks polega na tym, że Nowicki – krzewiciel pamięci o historii miasta, uczący tego, że ślady obcości rozsiane po mieście są ciekawe i warte zachowania, gromadzący mazurskie pamiątki, na poły muzealnik, na poły etnograf – był, jak się okazuje, w Rynie obcy. Organizacje, stowarzyszenia, Koło Regionalne Miłośników Rynu, Izba Regionalna, która dziś funkcjonuje już jako niewielkie muzeum, społeczne opiekowanie się zabytkami, budowanie lokalnej społeczności – wszystko to było dziełem migranta, który na Mazury trafił co prawda po raz pierwszy z powiatu chełmińskiego, kiedy został wcielony do pruskiej armii w 1914 roku, ale na stałe i z wyboru osiadł tu dopiero w 1952 roku, po ucieczce z niemieckiego więzienia i wstąpieniu na ochotnika do Armii Czerwonej w 1944 roku, późniejszej pracy na Śląsku i Pomorzu jako tłumacz, nauczyciel, kierownik szkół.

To ktoś z zewnątrz, obcy i niezadomowiony, z biografią migranta, który nie tylko po prostu zmieniał miejsca pobytu, lecz także poruszał się po bardzo ruchomym, pruskim gruncie zmieniającym przynależność państwową, ktoś niezwiązany z ryńską tradycją dostrzegł jej wyjątkowość i wartość, nawet jeśli będziemy koniecznie chcieli przypomnieć, że definiował ją jako rdzennie polską i następnie perfidnie zniemczoną. Chociaż wycinki z gazet zbierane przez Nowickiego w kronikach układają się w bardzo spójną narrację o słusznym powrocie Mazur „do Macierzy” i nieustanne dowodzenie ich polskości, paradoksalnie – znów, ale nie da się pisać o Rynie, nie mnożąc paradoksów – świadomość tożsamości regionalnej i konieczności chronienia dziedzictwa ziemi, na której się mieszka, autor wywodził wprost z niemieckiej kategorii *Heimatu*, tłumacząc:

*od żarliwego pokochania swego regionu do prawdziwej, gorącej i aktywnej miłości Ojczyzny – i wreszcie całej ludzkości – do prawdziwego, ludzkiego humanizmu, nie znającego wyższości i nienawiści rasowej*¹⁴.

121

Obcość właściwa doświadczeniom migracyjnym może uwrażliwiać, jak widać, w sposób szczególny, niekoniecznie kojarząc się tylko negatywnie z alienacją.

Kiedy zastanawiam się nad tym, dlaczego projekt Nowickiego nie znalazł wtedy w Rynie podatnego gruntu ani godnego kontynuatora, do głowy przychodzi mi tylko jedna odpowiedź.

.....
14 A. Nowicki, *Kronika ryńska. Teczka ryńska* (1970), s. 211-214. Ze zbiorów Biblioteki Publicznej w Rynie.

Musiałaby przecież istnieć zbiorowość, która o wymierającej mazurskości chciałaby pamiętać, a przecież trudno wymagać tego od tych, którzy przyjechali tu po wojnie spod Wilna lub Baligrodu¹⁵ i nie wiedzieli nawet, o czym mieliby pamiętać, a nawet gdy wiedzieli, nie widzieliby przecież żadnego sensu w kultywowaniu „krzyżacko-hitlerowskiej” przeszłości, zwłaszcza że pamięć podpowiada mi, że w potocznej świadomości rozgraniczenie między Mazurem a Niemcem w ogóle nie istniało. Ryn to jeszcze wiele piętér obcości, również tych nieodłącznie skojarzonych z wykorzenieniem lub po prostu poczuciem niezakorzenia. W przypadku roczników 70. było ono już dziedziczone, ale istniało, znów dając o sobie znać poprzez drobnostki i codzienne zdziwienia.

Dziadkowie mieszkający w Rynie nigdy nie potrafili zaspokoić mojej ciekawości dotyczącej okolicy, co wydawało mi się dość zastanawiające. Opowiadali dużo i chętnie, ale jeśli można było stamtąd czerpać wiedzę o jakiejś topografii, to raczej wielkopolskiej lub baligrodzkiej albo syberyjskiej, dowiadując się przy okazji o trudach pracy nie tylko na zmarzniętej ziemi, ale i w Baranowiczach pod Mińskiem. Wyjazdy do mazurskich lasów zawsze kończyły się lub zaczynały nostalgicznym westchnieniem babci na samą myśl o bieszczadzkich, największych i najsmaczniejszych na świecie grzybach, którym nie dorówna przecież żaden mazurski maślak. Wielkanoc na Mazurach nigdy nie dorównywała tej, którą obchodzono według obrządku greckokatolickiego (choć to określenie wtedy nie padało wprost, a pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że babcia wspominająca swoją baligrodzką młodość nie była Ukrainką, lecz Polką, ale do Rynu trafiła „klasycznie”, przetransportowana w akcji „Wisła”). Gdy przy stole zbierało się większe grono, można było zaznajomić się z tradycyjnymi specjałami kuchni wileńskiej, tak obcymi pozostałym członkom rodziny, jak bliny przygotowywane przez jedną z moich babć według odwiecznej procedury. Nikt nie miał jednak nic do powiedzenia na temat lokalnych, mazurskich potraw (dlatego współczesne, ryńskie, tradycyjne „smaki Mazur” wytwarzane w tym regionie od pokoleń, reklamowane tak w przemyśle turystycznym, bawią mnie w dwójasób). Potwierdzenie, że sytuacja nie była wtedy osobna na tych terenach, nie trudno znaleźć we wspomnieniach innych przedstawicieli mojego pokolenia, na przykład mieszkających wtedy w nieodległym od Rynu Ełku¹⁶. Jeśli dziadkowie odgrywali najważniejszą rolę w przekazywaniu i podtrzymywaniu historycznych aspektów tożsamości miejsca, to pewnie nie było rzadkością, że przenosili tymi opowieściami na Mazury tożsamość inną, mocno podkreślając, że są skądinąd. Poza tym sami te tereny dopiero wciąż poznawali, a zajęci pracą, domem i innymi, zwykłymi sprawami niekoniecznie mieli czas i ochotę na eskapady między „bajorami” czyjógś *Heimatu*.

W opowieściach przekazywano mi raczej doświadczenie zwielokrotnionej obcości: „bycie u siebie” czyniło Mazurów/Niemców (zapis odwołuje się do rekonstruowanej tu świadomości potocznej mieszkańców Rynu w czasach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości) obcymi

15 Statystyki na temat gwałtownej i gigantycznej zmiany struktury społecznej i etnicznej ludności w Rynie w pierwszych latach po II wojnie światowej zob. A. Szyfer, *Spółeczność i kultura małego miasta. Studium na przykładzie Rynu*, Olsztyn: Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, 1982.

16 M. Olszewski, *Zapiski na biletach*, Warszawa: W.A.B., 2009.

w oczach grupy napływowej, która z kolei u siebie czuła się „nie u siebie”, a nawet, jak sądzę na podstawie zasłyszanych wtedy rozmów, trochę zagrożona i niepewna, czy znajduje się w swoim ostatecznym miejscu pobytu z różnych powodów: tak nostalgii i tęsknoty za odległym domem, jak i wydarzeń geopolitycznych czy podejrzliwości w stosunku do celów i intencji corocznych wizyt „tutejszych” wczasowiczów z RFN.

Była to jednak zwykła obcość dnia codziennego, taka, z którą się po prostu żyje i z której nic specjalnego nie wynika, może poza głębokim przekonaniem, że istnienie ma faktycznie jakieś szczeliny¹⁷, a powszedniość bywa frapująca i zagadkowa. Ryński trening pozwalał w naturalny sposób rozbudzać „wyobraźnię antropologiczną”¹⁸, uczyć, że inność i obcość są czymś fascynującym, a już na pewno w żaden sposób nie strasznym czy przerażającym, że to „swojości” – tej z urodzenia czy tej wynikającej z mieszkania w danym miejscu w pewnych jasno określonych granicach państwowych – trzeba się krytycznie przyglądać, bo nie jest ona niczym naturalnym ani oczywistym.

W końcu też przyszedł czas na eksplorowanie tej obcoswojej okolicy na własną rękę, chociaż nie trwało to zbyt długo. Wyjazd, choćby na studia, zawsze czyni „swoje” trochę już obcym. Stopniowo zaczęłam po prostu zasilać rzesze „stonki”, przyznając też, że zwłaszcza od momentu gdy Ryn zmienił się w kuszący błogim spokojem i zielenią urokliwy kurort z wszelkimi udogodnieniami dla turystów z Warszawy. Mieszkanie w obcym mieście przyszło łatwo dzięki dorastaniu w miejscu, w którym większość z nas była obcymi, migrantami z urodzenia i przez dziedziczenie.

Agnieszka Karpowicz

17 J. Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia*, Kraków: eFKA, 1999.

18 A. Mencwel, *Wyobraźnia antropologiczna*, [w:] *Antropologia kultury. Zagadnienia i wybór tekstów*, red. A. Mencwel, Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2005.

Sauerteig

ANNA MATYSIAK

adiunkt na Wydziale Teatru Tańca w Bytomiu; prowadzi wydawnictwo Convivo; autorka poezji i prozy; publikowała na łamach „Borussii”

– Sauerteig – powiedziała Lisa. – U nas to się nazywało Sauerteig.

Maria-Klara postawiła nogę na ławeczce, by poprawić skarpetkę, która zwinęła się w miniwałeczek i uwierała nieco nad piętą.

Maria-Klara biegła parkową alejką.

Szczupła, jasnowłosa, czterdziestoletnia.

Jak każdego ranka, w świetle wschodzącego słońca, które z minuty na minutę grzało coraz mocniej.

Rodrigo pomylił się i zadzwonił z życzeniami wczoraj. A może nie pomylił się wcale, tylko chciał być pierwszy – pomyślała. To już tak dawno, już przestała jej przeszkadzać pamięć o spędzonych razem latach, które były jak staczanie się w przepaść po śliskim zboczu.

Z bardzo wysokiej góry. Na początku przecież skoczyliby za sobą w ogień, gotowi oboje tańczyć na ulicy i śpiewać o miłości. A potem..., potem jej mąż, coraz bardziej zapętlony między pretensjami swojej matki „kiedy w końcu”, ironicznymi spojrzeniami brata i jej, Marii-Klary, smutkiem, nie wytrzymał presji. Coraz więcej rzeczy zaczynało go drażnić, coraz częściej mówił słowa, których potem żałował, ale one nie chciały zniknąć, cofnąć się, i nie można było za-

czynać ciągle od nowa: uznajmy, że to się nie stało, nie słyszeliśmy tego, to przecież nie ja, nie ja prawdziwy.

Kiedy powiedziała, że odchodzi, przez parę dni budził się rano, próbując wierzyć, że to nie jest rzeczywistość, że wystarczy mocno potrząsnąć głową, ramionami, szarpnąć się w sobie i otworzyć oczy – i co wtedy? Co miało się okazać, jak daleko chciałby się cofnąć? Rok, dwa, może do dnia, kiedy się poznali, gdy powiedział jej, że ma słońce w oczach?

Na początku po rozwodzie myślała, że z nikim się nie zwiąże, bo po co, skoro nie może mieć dzieci. Był to dobry pretekst, żeby nie myśleć o chwilach, w których nie była pewna, co zaraz usłyszy – krzyk czy szept. By nie wspominać tego ucisku w klatce piersiowej, który ustępował tylko wtedy, gdy Rodrigo wyjeżdżał na dłużej niż dwa dni. Jeden jedyny powód, jej bezpłodność, pozwalał banalizować inne, bo wydawał się najbardziej bolesny.

Dlatego gdy poznała Johna, od razu mu powiedziała. Wspólne zadania w Instytucie Naukowym w Berkeley sprawiły jednak, że zaprzyjaźnili się i odkrywali coraz więcej wspólnych miejsc. Gdy zdała sobie sprawę, że go kocha, nie chciała o tym mówić.

Ale on i tak wiedział.

Gdy dziś rano wychodziła na poranne bieganie, pogłaskała śpiącego męża po krótko obciętych włosach, a on uśmiechnął się przez sen. Zajrzała do sypialni dziewczynek: Marion i Alice spały, jedna odkryta, druga zawinięta w kołderkę, jak zwykle. To cud, pomyślała. Sześć lat temu, gdy się urodziły, nie była pewna. Nie była pewna, czy to prawda; przez parę dni bała się, że gdy rano otworzy oczy, okaże się, że są tylko snem.

Biegając, miała słońce na ramionach. Lubiła je tak nieść, jak ciepły płaszcz.

* * *

– Sauerteig, to się nazywało Sauerteig – babcia Lisa przechowywała w pamięci wiele niemieckich słów, których od dawna nie używała.

* * *

Maria-Klara sięgnęła do kieszonki zamkniętej na rzep, by wyjąć telefon. Zawibrował sygnał mejla; nie chciała czekać, aż dotrze do domu. Zwolniła do szybkiego marszu.

Czterdzieści lat temu o 6.40 urodziłaś się, sprawiając nam ogromną radość – tata Jurgen.

Uśmiechnęła się, wzruszona, a potem roześmiała się głośno, płosząc wiewiórkę. Niezawodny, zawsze o tej samej porze, każdego roku. Stałość, pewność, gwarancja świata. Tego, że rzeczy istnieją, są obok, prawdziwe. To drzewo o ciepłej korze, kamyk, który uciekł spod buta, ptak. Dziś wieczorem spotkają się i będzie mogła posłuchać, jak zawsze, dawnych historii.

Od jakiegoś czasu tata pisał wspomnienia z dzieciństwa w Ostpreussen na północy Europy. Pierwsze lata znał tylko z opowieści, to jasne. Mieszkał z matką Lisą i jej rodzicami, wszyscy

zresztą trzymali się razem. Potem była wielka ucieczka nad Zalew Wiślany, w czasie której umarł dziadek.

I powrót. Tak samo długotrwały, męczący, choć paniczny niszczący strach zmienił się w niepokój i niepewność. Tego wszystkiego nie pamiętał; jego pierwsze wydobyte z pamięci wrażenia wiążą się z Lisą. Wydawała mu się jakoś niedostępna – owszem, przytulała go, sadzała na kolanach, ale było tak, jakby myślała o czym innym, spięta w oczekiwaniu i bólu.

W końcu zdał sobie sprawę, że nie ma ojca.

Że Lisa patrzy w okno z gasnącą nadzieją.

Latami.

Aż kiedyś ktoś zapukał do drzwi.

Miał wrażenie, że serce zatrzymało mu się na chwilę. Ciotki i kuzyni nie pukali, wchodzili jak do siebie, taki był zwyczaj. Sąsiedzi stukali w drzwi, ale tak sygmalnie, żeby dać znać, a potem od razu naciskali klamkę.

Lisa podeszła do drzwi i zatrzymała się na chwilę.

Zapukano ponownie.

Omiotła wzrokiem kuchnię, jakby szukając w poukładanych sprzętach odpowiedzi. A potem otworzyła.

Za progiem stał mężczyzna. Chudy, o włosach koloru lnu, z blizną biegnącą przez policzek i połowę szyi.

Lisa bez słowa nastawiła wodę na kawę zbożową i zaczęła podgrzewać zupę.

Wyjechali dwa miesiące później, najpierw do Hamburga, a po dwóch latach do Berkeley, do krewnych.

Dziadek F. – myślała Maria-Klara, wbiegając w alejkę prowadzącą w stronę ulicy.

Tak bardzo niewiele brakowało, dosłownie milimetr, i wtedy nigdy by nie wrócił. Kto wie, jak potoczyłyby się losy taty i babci Lisy, gdzie byłiby teraz.

Wówczas w Berkeley Jurgen poszedł do szkoły i w końcu na studia prawnicze, gdzie spotkał Miriam. Maria-Klara uwielbiała słuchać historii o tym, jak pierwszy raz zobaczył swoją przyszłą żonę: siedziała w parku uniwersyteckim na ławce. Drobniutka dziewczyna pochylała się nad książką, a on widział tylko jej plecy i długie, proste, ciemne włosy. I wtedy się w niej zakochał, po prostu.

– Sauerteig – powiedziała babcia Lisa. – Za każdym razem, kiedy robisz chleb, trzeba trochę zostawić, żeby mieć na następny raz. Inaczej wszystko przepadnie.

Dobiegła do schodów, zwalniając już kilkadziesiąt metrów wcześniej. Oparła prawą nogę o stopień i trochę się porzuciła. Potem lewą nogę. Podniosła się i spojrzała na słońce, na dwa wróble na znaku drogowym kierującym do centrum miasta.

Trzy stopnie schodów.
Zatrzymała się na chwilę.
Potem nacisnęła klamkę.

* * *

Jestem Anną. Córką Jurgena, wnuczką Lisy i Dziadka F.
Dziadek F. nigdy nie wrócił.
Nie wiem, ile milimetrów zabrakło.
Gdyby wrócił, być może nie byłoby mnie.
Może tata wyjechałby z rodzicami.
Na przykład do Berkeley.
Jaki byłby jego świat beze mnie?
A jaki jest jego świat bez Marii-Klary?

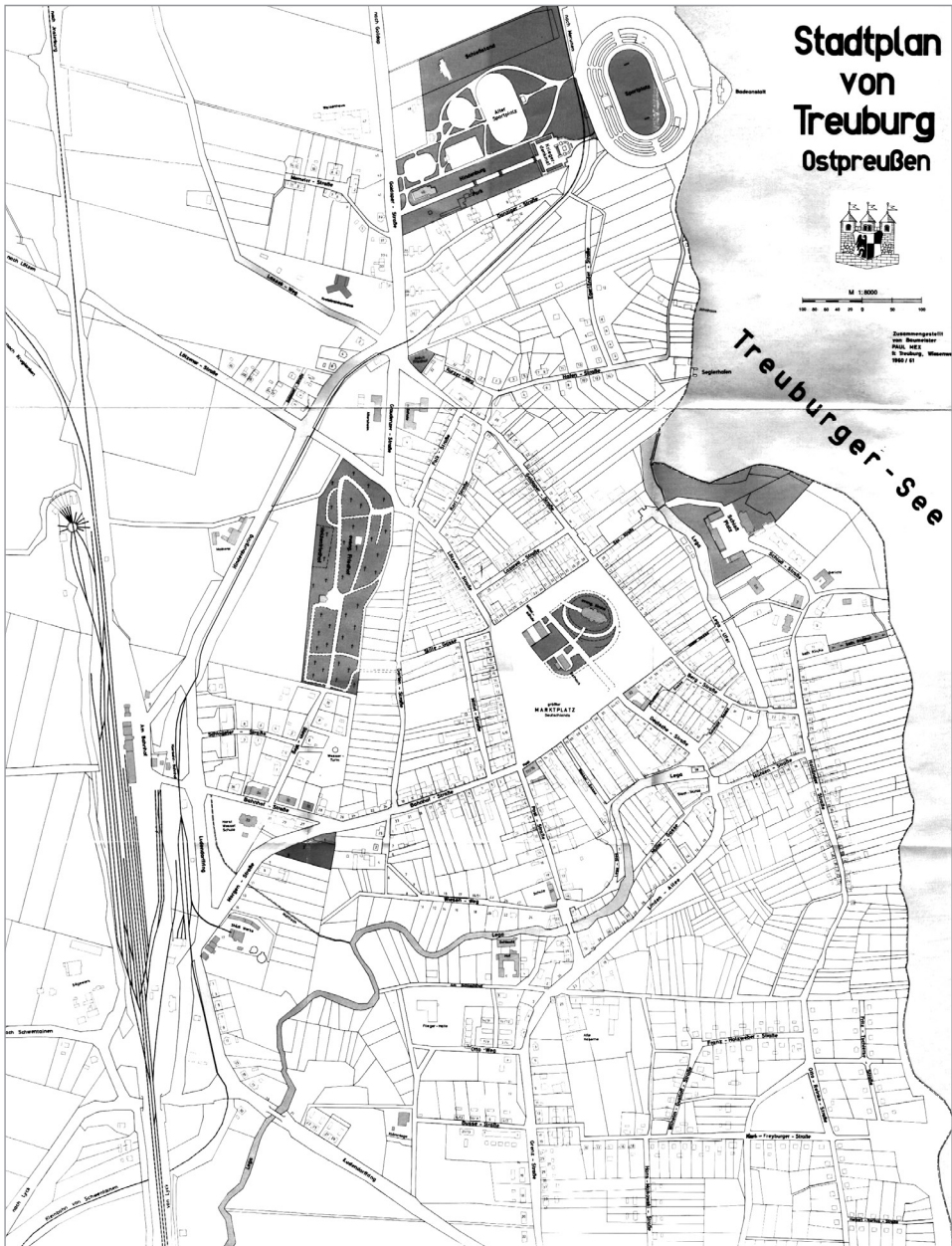
Anna Matysiak

Społeczność żydowska w Marggrabowej – Treuburgu – Olecku

EWA KOZŁOWSKA

romanistka, poetka, fotografik, tłumaczka, regionalistka, dużo podróżuje, mieszka w Olecku oraz Paryżu.

Wiele osób w Olecku przechodzi obok bloku tzw. złotówki czy też obok dawnej gorseciarni, myśląc o istniejącym tam kiedyś cmentarzu żydowskim. Ci, którzy przybyli do Olecka tuż po wojnie lub się w Olecku zaraz w latach powojennych urodzili, pamiętają jeszcze mur okalający niewielki cmentarz, kilka zapadających się już w ziemię nagrobków. Wiele osób mówi o powojennym szacunku do tego miejsca, ale fakty są takie, że cmentarz był i miejscem wypasu koni, jak i bawiły się tam dzieci, zaś niejeden chłopak na szkolnej przerwie zaciągnął się tam po raz pierwszy papierosem. Dziś z tęsknotą wspominane są piękne drzewa na cmentarzu, które rzuciły upragniony cień w upalne lato. Nieliczne źródła mówią o planach rewitalizacji (rychło zaniechanych, zgodnie z duchem czasów) oraz o budowie nowego bloku i rozjeżdżających wszystko koparkach, a jeszcze późniejsze, przekazywane półgębkiem, o macewach (o tych, które wylądowały na terenach podmokłych w okolicy dzisiejszej plaży zwanej Szyjką, albo o tych, które są w oleckich domach częścią utwardzającą deptaki do nich prowadzące). Ile z tego prawdy, to wciąż nie wiadomo, ale historia cmentarza odsłania zapomnianą historię żydowskiej społeczności mieszkającej w Olecku w czasach, kiedy miasto nazywało się Marggrabowa, jak i w czasach, kiedy zmieniono nazwę na Treuburg.



Mapa Treuburga – rekonstrukcja z 1960/1961 roku opracowana przez Paula Mexa na podstawie mapy z 1930 roku. Portal olecko.info



Synagoga w Treuburgu. Archiwum S. i H. Kaczor.

Początki społeczności żydowskiej w Marggrabowej sięgają bardzo wczesnych wieków, ale dzisiaj ślady odnajdujemy ledwie z czasów XIX i XX wieku. Wtedy to nowe dekrety z 1843 roku przyznające prawa i przywileje osobom wyznania mojżeszowego ściągnęły do Marggrabowej całkiem sporą społeczność żydowską, której zapewniono różnorodne prawa i przywileje. Wiele osób z tej okazji skorzystało. W tym małym mieście szukały one swego szczęścia i swego miejsca na ziemi, tu też się to i początkowo udało. Społeczność żydowska przez kilka pokoleń doskonale integrowała się z innymi mieszkańcami Marggrabowej, stała się ważną częścią miasta. Już w połowie XIX wieku gmina żydowska zakupiła od miasta 28 mórg tuż przy rynku i wybudowała tam synagogę (dziś mieści się tam blok), która była prostą, jednonawową budowlą z oknami łukowatymi i z witrażami. Jak podają przekazy przedwojennych mieszkańców, przed synagogą rosły dwa drzewa iglaste (prawdopodobnie cyprysy), a obok mieściły się: drogeria ze stacją benzynową Shell, rozgłośnią radiową, zakładem fotograficznym oraz piekarnia, jak i hotel „Königlicher Hof” ze stacją benzynową Esso i kinem. Gmina żydowska wybudowała też mykwę (rytualną łaźnię). Istniała także szkoła (nauczał niejaki Braude). Znanym żydowskim działaczem z Marggrabowej był Kurt Blumenfeld (1884-1963). Był prawnikiem i politykiem, przyjacielem Hannah Arendt, działaczem w Światowej Organizacji Syjonistycznej. W 1871 roku Marggrabowa była jednym z pierwszych miejsc w Prusach, gdzie osoba ze społeczności żydowskiej została powołana na stanowisko sędziego.

Z przejęciem władzy przez Hitlera w 1933 roku wszystko się zmieniło. Przeciwnicy polityczni zostali przez nazistów usunięci z piastowanych stanowisk, nastąpiły zmiany w urzędach, landratem został Walter Tubenthal, a Żydzi stali się obywatelami drugiej kategorii i wszelkie praktyki dyskryminacji stały się legalne. Bardzo szybko pierwsi Żydzi opuścili miasto, szu-

kając schronienia w innych krajach Europy lub w Palestynie. W nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku w całej III Rzeszy doszło do „nocy kryształowej” i nie inaczej stało się w Marggrabowej, przemianowanej już na Treuburg. Jednak wciąż niewiele wiadomo, co się tak naprawdę wówczas tutaj stało. Jedne przekazy informują, że synagoga uniknęła spalenia, gdyż w pobliżu stały inne budynki i stacje benzynowe, drugie, że jednak ogień został podłożony. Z pewnością prawda leży gdzieś pośrodku, gdyż po „nocy kryształowej” w synagodze mieściła się niemiecka firma dziewiarska (być może ta, która funkcjonowała już wcześniej na tyłach synagogi), zaś nieliczne fotografie powojenne przedstawiają synagogę już bez witraży, przebudowaną, w której notabene w czasach powojennych trzymany był olej napędowy i smary (znajdował się tam magazyn materiałów pędnych), aż do momentu zburzenia i wybudowania nowych bloków. Po „nocy kryształowej” nastąpiły też w Treuburgu deportacje. Według portalu Wirtualny Sztetl najprawdopodobniej w 1939 roku ostatni Żydzi pozbawieni zostali własnych majątków i wówczas w Treuburgu stworzono nieformalne getto (budynek przy ówczesnej Bergstrasse 13, dziś ul. 1 Maja, naprzeciwko ul. Wąskiej). Nikt do Olecka po wojnie nie powrócił. Przedwojennej społeczności żydowskiej już nie ma, warto jednak wybrać się jej śladami, odbyć pierwszy, mały spacer, zaczynając od cmentarza żydowskiego, w górę, aż do dzisiejszego placu Wolności, przyjrzeć się zapomnianej części miasta.

Cmentarz żydowski (zaznaczony na mapie opracowanej przez Paula Mexa z 1960/1961 roku) położony był niedaleko szpitala, przy skrzyżowaniu dróg Graundenzerstrasse (dziś ul. Słowiańska) i Goldaperstrasse (wcześniej Seedrankerstrasse, dziś również ul. Gołdapska i Armii Krajowej). Cmentarz był niewielki, 0,1 ha, dziś w zasadzie jego teren to fragment ul. Ludowej i kawałek wzgóрка z krzakami. Kiedy w latach 60. rozpoczęła się tam budowa bloku, prawdopodobnie dosyć nonszalancko postąpiono z pozostałościami, ale też i z tego powodu formalnie cmentarz wciąż istnieje. Po murze okalającym cmentarz nie ma już śladu, lecz tuż obok wciąż są budynki, na miejscu stolarni, do której przylegał wraz z cmentarzem. Właścicielem tej stolarni i budynku mieszkalnego obok był Jakielski (nr 32 Goldaperstrasse, później gorseciarnia, dziś budynek poddany przebudowie). Obok stały dwie hale magazynowe należące do Ländlichen Wirtschaftsverein, kierownikiem tam był niejaki Pogodda. Trochę dalej był dom, którego właścicielem był Podbielski. Była to (i wciąż jest) okazała willa, która przez przedwojennych mieszkańców była nazywana „Villa des Geldverleihers” (nr 26, dziś mieści się tam Środowiskowy Dom Samopomocy, według spisu numerów książki telefonicznej z 1942 roku mieściła się tam później Villa Frieden Augusta Mehla). Naprzeciwko willi znajdował się zakład mechaniki pojazdowej (nr 23 Goldaperstrasse), po wojnie były tam tylko gruz, później długo nic, a teraz na części parceli wybudowana jest nowa kamienica. Trochę dalej (nr 22 Goldaperstrasse) mieścił się Międzynarodowy Błękitny Krzyż (Christlichen Blaukreuzergemeinschaft), który był organizacją zapobiegającą i walczącą z problemami związanymi z alkoholem. Pod nr. 15 (lub 17) Goldaperstrasse mieścił się sklep rodziny Isidora i Salomona Czernińskich (handlowali słodyczami i wyrobami tytoniowymi). Pod nr. 11 Goldaperstrasse mieszkali Wessolowscy, a pod nr. 6 Goldaperstrasse mieściła się kuźnia, której właścicielem był Przyborowski. Od kuźni odchodziła Lazarette Strasse (dziś Składowa), prawdopodobnie

z przejściem do synagogi (po wojnie na tej ulicy mieściła się łaźnia publiczna, czy miała związek ze społecznością żydowską, nie wiadomo).

To tylko fragment spaceru. Losy społeczności żydowskiej były w Treuburgu dramatyczne. David Isaak Podbielski – ów kupiec, bankier i właściciel okazałej willi oraz mąż Tobiene Podbielski (z domu Narewczewitz) – ostatecznie wyjechał do Berlina, aby tam spróbować znaleźć anonimowość i spokój, lepsze, normalne życie. Niestety (jak wielu innych, wbrew nadziejom) 19 lutego 1943 roku został deportowany do Auschwitz. Taki sam los spotkał jego córkę Rose (ur. w 1900 roku). Rosa Podbielski została deportowana 19 lutego 1943 roku do Auschwitz. Oto inne, znane do dzisiaj, nazwiska związane z historią społeczności żydowskiej z Marggrabowej/Treuburga oraz z najbliższych okolic i urywane ślady ich losów:

1. Abrahamsohn Emil – urodzony 12 października 1875 roku w Jaśkach (Jaschken), przeniósł się do Berlina, skąd 29 stycznia 1943 roku był deportowany do Auschwitz.
2. Alexandrowitz Flora (urodzona 25 lutego 1926 roku, ojciec pochodzenia żydowskiego, matka nie), mieszkali przy Adolf Hitler Platz 51 (dziś stoi tam blok), umarła na tyfus w Insterburgu (dziś Czerniachowsk).
3. Alpert Jakob – urodzony 22 lutego 1879 roku w Plewkach (Plöwken), mieszkał w Ełku (Lyck), deportowany 24 października 1941 roku do getta w Łodzi, a następnie 15 maja 1942 roku do obozu w Chełmnie.
4. Basch Hulda – urodzona 11 września 1873 roku w Marggrabowej, z domu Leffkowitz, 17 czerwca 1907 roku w Berlinie poślubiła kupca Hermanna Bascha. Deportowana 3 października 1942 roku do obozu w Theresienstadt, zginęła 26 kwietnia 1944 roku. Hermann Basch zmarł 1 maja 1942 roku.
5. Behrendt Betty – urodzona się w 1880 roku w Marggrabowej, po mężu Michaelson, przed II wojną światową wyjechała do Berlina, deportowana 13 stycznia 1942 roku transportem 8 do getta w Rydze.
6. Blumenfeld Kurt – urodził się 27 maja 1884 roku w Marggrabowej, zmarł 21 maja 1963 roku w Jerozolimie. Jego ojciec Rudolf Blumenfeld (1840-1919) był sędzią w Insterburgu (dziś Czerniachowsk). Studiował w Berlinie i w Königsbergu.
7. Borstein Gela – urodziła się na Ukrainie (ojciec i matka: Yakov i Sara), żona Mordekhaia, przed i w czasie II wojny światowej żyła w Treuburgu.
8. Braude – małżeństwo, on był nauczycielem, opuścili Treuburg w 1934 roku i osiedlili się w Palestynie.
9. Buterfas Grete – urodzona 18 grudnia 1891 roku w Krupinie (Krupinnen), z domu Wilkowski, przeniósła się do Berlina, deportowana 1 marca 1943 roku do Auschwitz.
10. Caspary Alfred, od 1911 roku właściciel nieruchomości i cegielni w Kowalach Oleckich (Reimannswalde).
11. Cohn Gerhard – urodził się w 1918 roku w Marggrabowej, matka: Jenny. Podczas II wojny światowej przebywał w Berlinie, deportowany do Auschwitz.

רשות זכרון לשואה ולנבוכרה, ירושלים

דף י"ד

להענקת אזרחות זכרון לחללי השואה

ירושלים

ירושלים רח' בן יהודה 12

27/4
1074

 זוהי תמונת השואה והנבוכרה – י. ד. ש. מ. תש"ג 1953 קצת בסיסית תפקידו של י. ד. ש. מ. הוא ראשון אל הסדר לדח את זכרם של כל אלה שבני המס היהודי, שנפלו ונסדו את נפשם, ולחשו וסדרו באיח האנצ'י ובעתיד, ולהציב שם זכר להם וקצת, לארגונים ולמוסדות שנחברו בגלל השתייכותם לשם היהודי, ולמספרה זו יחא מוססר – ... (א) להעניק לבני העם היהודי שהושג סדר גופני בימי השואה והסרי אורחם זכרון של סדית ישראל לאח האספס אל שם. ישר מועדים על יד ידול מועדים 1953	Friedmann 1917 Arthur 1916 Israel 1915 Johanna 1916 14 October 1895 Margrabow, Posen 1916 Holland 1916 Deutschland 1916 Deutsch 1916 Heilmann 1916 Thermsienstadt 1916 Polibor Vargy 23.12.1916	1 שם המשפחה בעברית 2 שם פרטי בעברית 3 שם כנוי או שם מושאל 4 שם האב 5 שם האם 6 סגב משפחתי 7 תאריך הלידה 8 מקום וארץ הלידה 9 השתייכות לקהילה/ות 10 בארץ 11 התחילת בשנת 1939 12 המקצוע 13 המקום והזמן של מותו/ה 14 נסיבות המוות 15 שם האשה 16 שם משפחתה לפני הנשואין
	המקום והזמן שנפשו גיל שמות הילדים	17
	Thermsienstadt 1916 Amsterdam Holland 1916 new Post abgelehnt 1916	18
	אני 22/28 1916 קבוצה/מסדה 1916 מבחינה בזה כי העדות שמסרתי כאן על פרטי היא נכונה ואמינה, לפי מיטב ידיעתי והבחינה. אני מבקש/ת להעניק ליל אזרחות זכרון מטעם מדינת ישראל. מקום ותאריך 1916 חתימה 1916 חתימת המוקד 1916 הערות משרד י. ד. ש. מ.	19

12. Cohn Gerhard – urodził się w 1916 w Marggrabowej, podczas II wojny światowej mieszkał w Berlinie, deportowany transportem 23 do Auschwitz, zginął 29 listopada 1942 roku.
13. Cohn Ilse – urodziła się w 1920 roku w Marggrabowej, podczas II wojny światowej przebywała w Berlinie, deportowana.
14. Cohn Ilse – urodziła się w 1917 roku w Marggrabowej (po mężu Graetz).
15. Czarninski Isidor – oraz żona i dwaj synowie. Wraz z rodziną wyjechał do Polski, a stamtąd później do Palestyny.
16. Czerninski David – urodzony 18 maja 1893 roku na Mazurach (Masuhren). Żona Helena, z domu Schauffer, urodzona 23 stycznia 1896 roku w Kłajpedzie (Memel), syn Günter urodzony 4 maja 1924 roku w Marggrabowej, syn Horst urodzony 26 maja 1925 roku w Marggrabowej i syn Siegbert (brak danych). Rodzina mieszkała pod nr. 13 Bergstrasse (obecnie 1 Maja). David z żoną Heleną i synem Günterem został 6 grudnia 1939 roku deportowany do Białej Podlaskiej, później w 1940 dalej (inne źródła podają, że Günter zamieszkał w Berlinie, skąd został deportowany). Syn Horst wyemigrował do Berlina, skąd 19 grudnia 1942 roku został deportowany do Rygi (inne źródła podają, iż podczas wojny przebywał w Tylży (Tilsit), skąd został deportowany). Siegbert zdążył wyemigrować do Izraela.
17. Czerninski Artur – urodzony 24 lutego 1897 roku na Mazurach (Masuhren). Brat Davida Czerninski, przeniósł się do Berlina, skąd 3 lutego 1942 roku został deportowany do Auschwitz.
18. Czerninski Sally – urodzony 13 czerwca 1874 roku w Marggrabowej, żona Herta Anna (z domu Czerninski) urodzona 3 lutego 1878 roku w Mieruniskach (Mierunsken). Mieli troje dzieci: syna Alfreda – urodzonego 29 czerwca 1907 roku w Zalesiu (Salleschen) oraz jeszcze syna i córkę (prawdopodobnie Friedę Jeleniewski). Rodzina zajmowała się handlem w Marggrabowej, byli właścicielami kamienicy przy nr. 13 Bergstrasse (dziś 1 Maja, naprzeciwko ul. Wąskiej). Czerniński Sally i Herta Anna wraz z synem Alfredem zostali deportowani 6 grudnia 1939 roku do Białej Podlaskiej. Herta Anna deportowana była dalej w lutym 1940 roku. Losy pozostałych dzieci nie są znane.
19. Czerninski – zajmował się handlem tekstyliami w Świętajnie (Schwentainen) i wynajmem mieszkań.
20. Czerninski Leo – urodzony 14 listopada 1894 roku na Mazurach (Masuhren), przeniósł się i mieszkał we Frankfurcie nad Odrą oraz w Berlinie. Uwięziony od początku listopada 1938 roku do 26 listopada 1938 roku w obozie w Sachsenhausen, deportowany 2 kwietnia 1942 roku do getta w Warszawie.
21. Czerninski Lina – urodzona 3 października 1898 roku w Szarejkach (Schareyken), po mężu Rehfeld, podczas II wojny światowej mieszkała w Treuburgu, została 6 grudnia 1939 roku deportowana do Białej Podlaskiej.
22. Czerninski Eugen – urodzony w 1889 roku w Marggrabowej, żona Hela z domu Grunert, podczas wojny przebywał we Frankfurcie nad Odrą, deportowany.
23. Dantowitz Emma – urodziła się 24 września 1877 roku w Dąbrowskich (Dombrowsken), z domu Wohlgemuth, mieszkała w Königsbergu, deportowana 24/26 czerwca 1942 roku do obozu w Mińsku (Mały Trostinec).

24. Direktor Louis – urodzony 10 lutego 1888 roku w Sulejkach (Suleiken), mieszkał w Gołdapi, deportowany 9 grudnia 1942 roku do Auschwitz.
25. Dr Dyrenfurt – lekarz, który do 1920 roku miał prywatną praktykę w Marggrabowej. Miasto zawdzięcza mu pierwszy aparat rentgenowski.
26. Ewenstein Marcus – urodzony 21 maja 1880 roku w Kl. Franzdorf, Kreis Insterburg (dziś Czarniachowski), inwalida, żył w Treuburgu w Feierabendhaus.
27. Frankenstein Clara – urodzona 24 czerwca 1872 roku w Marggrabowej, z domu Hertfeld, zamieszkała w Berlinie, deportowana 16 czerwca 1942 roku do Theresienstadt, gdzie zginęła 18 września 1942 roku.
28. Friedmann Reinhold – urodzony 27 czerwca 1898 roku w Mieruniskach (Merun-sken), żona Hanna z domu Melnik, urodzona 5 lipca 1901 roku w Swidjan (na Litwie). Pro-wadzili handel tekstyliami w Marggrabowej przy rynku. W latach 30. opuścili Treuburg i zamieszkali w Berlinie. 1 marca 1943 roku zostali deportowani do Auschwitz. Córkom Ricie i Ilse udało się wyjechać do Palestyny. Ilse lata wojny spędziła w Szwecji.
29. Friedmann Arthur – urodzony 14 października 1895 roku w Marggrabowej (ojciec i matka: Ysrael i Yohana), kupiec, podczas II wojny światowej mieszkał w Amsterdamie, zgi-nął w obozie w Sobiborze.
30. Friedmann Walter – urodzony 30 maja 1897 roku w Marggrabowej, kupiec, podczas II wojny światowej mieszkał w Amsterdamie, zginął 23 kwietnia 1943 roku w Sobiborze.
31. Friedmann Albert – urodzony 13 października 1885 roku w Mieruniskach (Merun-sken), kupiec, przeniósł się do Berlina. 26 czerwca 1942 roku został deportowany na wschód (Mińsk, Mały Trostinec).
32. Friedmann Joseph – urodzony 26 czerwca 1870 roku w Nowej Wsi (Neuendorf). Przeniósł się do Berlina. 25 stycznia 1942 roku został deportowany do Rygi.
33. Friedmann-Mizel Marie – urodzona 7 sierpnia 1884 roku w Mieruniskach (Merun-sken), przeniosła się do Berlina. 9 grudnia 1942 roku została deportowana do Auschwitz.
34. Goldstrom Lina – urodzona 30 listopada 1889 roku w Plewkach (Plöwken), z domu Alpert, przeniosła się do Berlina, 12 marca 1943 roku deportowana do Auschwitz.
35. Groß Franziska – urodzona 21 listopada 1870 roku w Marggrabowej, z domu Lich-tenstein (ojciec i matka: David Isidor – urodzony w 1857 roku, i Khana), mieszkała w Szczecinie (Stettin), deportowana 12 lutego 1940 roku do getta w Głusku (woj. lubelskie).
36. Guth Ida – urodzona 1 stycznia 1893 roku w Świętajnie (Schwentainen), z domu Czer-ninski. Przeniosła się do Berlina, skąd 27 stycznia 1942 roku została deportowana do Auschwitz. Miała prawdopodobnie syna, o którym nic nie wiadomo.
37. Guthmann Adele – urodzona 29 września 1864 roku w Marggrabowej, z domu Lich-tenstein, zamieszkała w Königsbergu, deportowana 24/25 sierpnia 1942 roku do obozu w Theresienstadt.
38. Heidemann Johanna – urodzona w 1908 roku w Marggrabowej, z domu Rheinhard, przed II wojną światową przebywała w Berlinie, podczas wojny w Rydze, gdzie została de-portowana transportem 18.

39. Hertfeld Frieda – pierwsza żona dr. Ernsta Schwabe w Kowalach Oleckich (Reimannswalde), córka dr. Hertzfelda z Tylży (Tilsit), członka rady Sanitätsrates.
40. Heymann Martin – z żoną posiadał sklep, mieszkał przy rynku.
41. Heymann Clara – urodzona 4 grudnia 1866 roku w Marggrabowej, z domu Kaminski, przeniosła się do Berlina i transportem „Alterstransport” została 7 września 1942 roku deportowana do obozu w Theresienstadt, gdzie zmarła 8 maja 1944 roku.
42. Hirschwitz Leo – urodzony 23 września 1884 roku w Nowych Polaszkach (Neu Palleschen), żona Wilhelmine (nie była pochodzenia żydowskiego) z domu Czapla, urodzona 6 stycznia 1886 roku w Cimochach (Groß Czymochen), umarła 20 grudnia 1947 roku w Altentreptow. Pracował jako zegarmistrz w Cimochach (Reuß), umarł 20 czerwca 1973 roku w Flockeck koło Rensburga. Dzieci: Karl – urodzony 26 stycznia 1908 roku, poległ w kwietniu 1945 roku, Hermann – urodzony 1 sierpnia 1909 roku, poległ 1943 pod Stalingradem, Erna – urodzona 19 października 1913 roku, Robert – urodzony 26 marca 1920 roku (mieszkał w Hessisch-Lichtenau).
43. Hirsch Arno – urodzony w Marggrabowej w 1927 roku, przed II wojną światową wyjechał do Berlina, deportowany 29 listopada 1942 roku transportem 23 do Auschwitz.
44. Hirsch Günter – urodzony w Marggrabowej w 1929 roku, przed II wojną światową wyjechał do Berlina, deportowany 29 listopada 1942 roku transportem 23 do Auschwitz.
45. Hirsch Liselotte – urodzona w Marggrabowej w 1926 roku, przed II wojną światową wyjechała do Berlina, deportowana 29 listopada 1942 roku transportem 23 do Auschwitz.
46. Hirsch Norbert – urodzony w Marggrabowej w 1924 roku, przed II wojną światową wyjechał do Berlina, deportowany 29 listopada 1942 roku transportem 23 do Auschwitz.
47. Hohenstein Rose – urodzona w 1856 roku w Marggrabowej, przed II wojną światową wyjechała do Szczecina, deportowana do getta w Piaskach.
48. Isaak Henry – urodzony w 1930 roku w Treuburgu, przed II wojną światową mieszkał w Berlinie, deportowany do Auschwitz (w czerwcu 1942 roku transportem I/3 został przewieziony do Theresienstadt).
49. Jablonski Isaak – urodził się 15 maja 1891 roku w Mieruniskach (Merunsken), przeniósł się do Berlina, deportowany do Auschwitz, gdzie zginął 10 marca 1943 roku.
50. Jeleniewski Frieda – urodzona 5 stycznia 1901 roku w Zalesiu koło Wroniek (Salle-schen (Tannau)), z domu Czerninski. Mieszkała w Pisu (Johannisburg). Deportowana 4 marca 1943 roku do Auschwitz.
51. Kaminski Isaak i Leo – wynajmowali mieszkanie przy Deutsche Strasse (dziś Grunwaldzka).
52. Kaminski Anna – urodzona 21 listopada 1884 roku w Marggrabowej (po mężu Kaiser), przeniosła się do Berlina, skąd 3 września 1942 roku została deportowana do obozu w Theresienstadt, a później, 3 września 1944 roku do obozu zagłady w Auschwitz.
53. Kaminski Betti – urodzona w 1873 roku w Marggrabowej (po mężu Konschewski), przed II wojną światową zamieszkała w Berlinie, deportowana transportem I/28 22 lipca 1942 roku do Theresienstadt.

54. Kaminski Ida – urodzona w 1880 roku w Marggrabowej (po mężu Ladendorf), przed II wojną światową mieszkała w Königsbergu, deportowana do Treblinki, transportem I/28 22 lipca 1942 roku do Theresienstadt.
55. Kowalewski Betty, z domu Wessolowski, urodzona 13 maja 1902 roku w Rogojnach (Rogonnen), fryzjerka, jej mąż Erich (nie był pochodzenia żydowskiego) zmarł w Treuburgu 13 marca 1943 roku (dzieci: Günter i Gerda). Mieszkali przy nr. 7 Bahnhofstrasse (dziś ul. Kolejowa).
56. Krawnitzki Anna (Khana) urodziła się w 1863 roku w Suwałkach, po mężu Menchelowitz, podczas II wojny światowej przebywała w Treuburgu, później w Polsce, deportowana.
57. Kronheim – właściciel młyna w Kowalach Oleckich (Reimannswalde), posiadacz nieruchomości.
58. Lapidus Egon Julius – urodzony 13 stycznia 1924 roku w Marggrabowej, mieszkał w Pisz (Johannisburg), później w Berlinie, deportowany 24 października 1942 roku do getta w Łodzi.
59. Laser Adolf – urodzony 29 sierpnia 1877 roku w Marggrabowej, zamieszkał w Berlinie, 25 kwietnia 1941 roku tamże popełnił samobójstwo.
60. Laser Hermann – urodzony 26 stycznia 1872 roku w Marggrabowej, mieszkał w Berlinie, 17 sierpnia 1942 roku deportowany transportem I/46 do Theresienstadt, gdzie zginął 29 listopada 1942 roku.
61. Leffkowitz Moritz – urodził się około 1907 roku w Marggrabowej, zajmował się handlem alkoholem, prowadził wyszynk, był producentem octu, właściciel nieruchomości przy rynku. Cóрка: Hulda Leffkowitz (po mężu Basch). Żona: Berta Rosenthal – urodzona około 1907 roku.
62. Leffkowitz Denny – właściciel cegielni w Rogówku (Roggenfelde), mieszkał w Treuburgu.
63. Lichtenstein Selmar – urodzony 5 sierpnia 1874 roku w Marggrabowej, ojciec David, matka Johanna z domu Fromberg, żona: Thea z domu Fränkel. Przed II wojną światową mieszkał w Szczecinie (Stettin), deportowany 28 maja 1943 roku do obozu w Theresienstadt. Syn: Henry D. Lynn wyemigrował do USA.
64. Lindenstrauss Elfriede – urodziła się w Marggrabowej, po mężu Reinhardt, przebywała przed i w czasie wojny w Kłajpedzie, zmarła w Kownie.
65. Löwensohn – kantor, prawdopodobnie w 1937 roku aresztowany.
66. Lublin Berta – urodzona 30 listopada 1893 roku w Mieruniskach (Mierunskén), z domu Jablonski, zamieszkała we Wrocławiu (Breslau), deportowana 13 kwietnia 1942 roku do getta tranzytowego w Izbicy.
67. Mendelowicz Isaac i Salomon – kupcy z Cimoch (Reuß), prowadzili swoje sklepy jeszcze przed I wojną światową.
68. Michalowitz Hanna – z domu Krawnitzki, urodzona 23 listopada 1863 roku w Suwałkach. Przeniosła się do Treuburga, mieszkała pod nr. 23 Bergstrasse (dziś 1 Maja). 6 grudnia 1939 roku wywieziona do Białej Podlaskiej. Dzieci: Max, Martha i Rosel.

69. Michalowitz Max – mąż Sonii Ponimonski, syn Hanny Michalowitz, właściciel nieruchomości przy Karlstrasse (dziś ul. Kopernika), handlował futrami i tekstyliami. Dzieci: Herbert, Erika i Erwin. Wyemigrował z rodziną w 1938 roku do Paragwaju.
70. Michalowitz Rosel, córka Anny (Khany) Michalowitz, jako Soshana Nevo prawdopodobnie wciąż żyje i mieszka w Jerozolimie, miejsce jej pobytu nie jest dokładnie znane.
71. Michalowitz Khana – urodzona w Marggrabowej, żona Yitzhaka, przed wojną wyjechała z Treuburga, podczas wojny przebywała w Treuburgu, ostatni adres: 13 Bergstrasse.
72. Moses Susi – urodzona 18 stycznia 1896 roku w Mieruniskach (Merunskén), z domu Kaulbars, zamieszkała w Berlinie, 24/26 czerwca 1942 roku została deportowana do obozu w Mińsku (Mały Trostiniec). 6 maja 2015 kamienie pamięci (Stolperstein) dla Susi i Hendricha upamiętniły ich śmierć.
73. Motulski Bernard – urodzony 11 stycznia 1873 roku w Marggrabowej, mieszkał w Lipsku (Leipzig), deportowany 20 września 1942 roku do Theresienstadt, gdzie zginął 4 września 1942 roku.
74. Müller Maximilian – urodził się 9 stycznia 1879 roku w Kostrzynie nad Odrą (Küstrin). Żona Charlotte, z domu Jürgens (nie była pochodzenia żydowskiego). Był doktorem medycyny i prowadził od mniej więcej 1911 do 1939 roku praktykę lekarską w Świątyni (Schwentainen). Dzieci: Hans-Georg, Rose Marie Luise (po mężu Fischer). W 1941 roku przeniósł się z rodziną do Berlina.
75. Podbielski – od 1912 roku był kupcem w Marggrabowej i Fischereipächter (posiadacz łowisk) w Rogojnach (Rogonnen). Mieszkał we wspomnianej już wcześniej willi na Goldaperstrasse.
76. Podbielski Grete – zaręczyła się w Berlinie w 1922 roku z Ludwigiem Haase.
77. Podbielski Leo – syn Pamielskiego z Marggrabowej, do której powrócił z Palestyny ożenił się w maju 1922 roku z Ermą Kanowitz.
78. Pyko Fritz Emil – urodzony 19 czerwca 1908 roku w Szczecinkach (Eichhorn), ochrzczony 19 lipca 1908 w Marggrabowej, wyznania ewangelickiego, zginął 1 stycznia 1945 roku w getcie w Łodzi.
79. Ratschkowski – koleje losu nieznane.
80. Rawraway, żona kupca z Cimoch (Reuß), zmarła około 1930 roku.
81. Rehfeld Max – urodzony 21 grudnia 1888 roku w Elku (Lyck), żona Lina z domu Czerński urodzona 3 października 1898 roku w Szarejkach (Schareiken). Zajmował się handlem drobiem. Ostatni adres: nr 13 Bergstrasse (dziś 1 Maja, naprzeciwko ul. Wąskiej). Zostali deportowani 6 grudnia 1939 roku do Białej Podlaskiej. Max i Lina mieli wtedy dorastającą córkę: Hannę – urodzoną w Treuburgu, deportowaną do Breslau (Wrocław).
82. Reinhardt Ephraim – urodzony 13 listopada 1879 roku w Plaschken, powiat Tylża (Tilsit), ojciec i matka: Lew i Rosa. Zajmował się handlem, właściciel nieruchomości przy rynku w Marggrabowej. Żona Franziska urodzona 5 lipca 1880 roku w Pisz (Johannisburg), z domu Kaulbars. Mieszkali przy nr. 2 Bergstrasse. Podczas wojny przebywali w Treuburgu. Zostali deportowani 6 grudnia 1939 roku do Białej Podlaskiej, później do Lublina.

83. Reiß Aron – zajmował się handlem tekstyliami (moda męska i chłopięca, obuwie, bielizna). Mieszkał przy rynku nr 47.
84. Rosenthal Henriette – urodzona 18 kwietnia 1859 roku w Marggrabowej, z domu Freyer, mieszkała w Königsbergu, deportowana 24/25 sierpnia 1942 roku do Theresienstadt, gdzie zginęła 8 września 1942 roku.
85. Rubinstein – zajmował się handlem tekstyliami, mieszkał przy rynku.
86. Salomon, zajmował się handlem, mieszkał przy Goldaperstrasse (dziś Armii Krajowej). Cäsar Salomon – urodzony 27 stycznia 1880 roku we wsi Ciche (Czychen), podczas II wojny światowej przebywał w Bottrop (i Halle), 1 czerwca 1942 roku deportowany z Kasel do Lublina i tam zmarł 3 czerwca 1942 roku. Żona Adele z domu Rautenberg, szwagier Jakob Rautenberg i szwagierka Käthe Rautenberg zginęli w obozach koncentracyjnych. Szwagierka Regina Lewin (z domu Rautenberg) mieszkała w Plauen, siostrzeniec Siegfried Rautenberg przeniósł się do Sydney, siostrzenica Gerda Kirby (z domu Rautenberg) do USA.
87. Salomonsohn Manfred – urodził się w 1932 roku w Marggrabowej. Przed II wojną światową wyjechał do Berlina, 29 listopada 1942 roku transportem 23 deportowany do Auschwitz. Margot Salomonsohn deportowana do Auschwitz.
88. Scheinmann Emil – bankier, mieszkał przy rynku.
89. Scheinmann Anna – z domu Hertsfeld, urodzona 28 sierpnia 1865 roku w Marggrabowej, przeniosła się do Berlina. Wywieziona tzw. Alterstransport 17 sierpnia 1942 roku do obozu w Theresienstadt, gdzie straciła życie 6 września 1942 roku.
90. Seidenstedt – Fischereipächter (posiadacz łowisk) w Rogojnach (Rogonnen), został wywłaszczony.
91. Slotowski Walter Helmuth – urodzony w 1896 roku w Marggrabowej, ojciec i matka: Adolf i Klara, był kupcem, żona Ibolika z domu Feher. Podczas II wojny światowej mieszkał w Elku (Lyck), deportowany do obozu w Szanghaju w Chinach.
92. Sokolowski Louis Lewin – urodził się 3 marca 1884 roku w Borawskich (Borawskén), miał sklep z tekstyliami przy rynku. Żona Martha, z domu Michalowitz, urodzona 9 marca 1890 roku w Cimochach (Reuß). Matka Louisa-Esther, z domu Ratschkowski, urodziła się 25 października 1856 roku w Filipowie. Zostali deportowani 6 grudnia 1939 roku do Białej Podlaskiej. Cóрка Louisa i Marthy – Margot, urodzona w 1926 roku w Marggrabowej, wyjechała do Berlina, później zamieszkała w Tylży (Tilsit), pod nr. 13 Schulstrasse, została 19 lutego 1943 roku deportowana do Auschwitz. Ostatni adres 13 Bergstrasse w Treuburgu. Syn Louisa i Marty wyemigrował w sierpniu 1939 roku i żyje jako Yitzhak Oron w Jerozolimie.
93. Solowijczyk Margot – urodzona w Marggrabowej w 1907 roku, podczas wojny deportowana do obozu w Bergen-Belsen.
94. Stroetzel Ella – urodzona 18 lutego 1902 roku w Stallupönen (dziś Niestierow w obwodzie kaliningradzkim), umarła 11 maja 1986 roku w Kalifornii/USA. Jej mąż (niebędący pochodzenia żydowskiego) Paul urodził się 12 lutego 1896 roku, zmarł w 1945 roku, pełniąc samobójstwo. Cóрка Sigrid urodziła się 8 lutego 1927 roku w Cimochach (Reuß), zmarła w 2001 roku. Syn Gert urodził się w listopadzie 1930 roku w Cimochach (Reuß).

Dalsza rodzina wyemigrowała najpierw do Danii, później do Kanady, a następnie do USA.

95. Tropa Israel ur. w 1904 roku w Solcu, w Polsce, gdzie przebywał przed II wojną światową. W czasie wojny przebywał w Treuburgu.

96. Ungvary Regine – urodzona w 1873 we wsi Ciche (Czychen).

97. Wessolowski Taube – urodzona 10 maja 1869 roku w Filipowie, z domu Sieniewski. Mieszkała w Treuburgu pod nr. 11 Goldaperstrasse. Ostatni adres: 13 Bergstrasse, 6 grudnia 1939 roku deportowana z Treuburga do Białej Podlaskiej.

98. Wessolowski Lisbeth – urodzona 15 stycznia 1894 roku w Rogojnach (Rogonnen), prawdopodobnie córka Taube Wessolowski, ostatni adres: 11 Goldaperstrasse, 6 grudnia 1939 roku deportowana z Treuburga do Białej Podlaskiej, tak jak i Lore Margot Janny Salomonson – urodzona 4 grudnia 1932 roku w Treuburgu, prawdopodobnie była to córka Lisbeth ze związku z Salomonsonem.

99. Wessolowski Abraham – zajmował się handlem, posiadał dom i 6 ha ziemi. Wraz z czterema synami wyemigrował do Argentyny, jedna córka przeniosła się później do Izraela.

100. Wilkowski Nathan – urodzony 4 marca 1896 roku w Urbankach (Urbanek), przeniósł się do Berlina, deportowany 12 stycznia 1943 roku do Auschwitz, zmarł 4 lutego 1943 roku.

101. Winter Myriam – urodzona w 1912 roku w Marggrabowej, zajmowała się handlem, przed II wojną przebywała w Słupcy, deportowana 12 marca 1941 roku transportem 16 z Konina do Lublina.

102. Wolf Else – urodzona 13 maja 1890 roku we wsi Ciche (Czichem), mąż: Jacob, po mężu Moses, matka: Mina Leberehkt, ojciec: Louis, przed II wojną światową wyjechała do Berlina, deportowana 29 listopada 1942 roku transportem 23 do Auschwitz.

103. Wolf Erich – urodzony 26 grudnia 1886 roku we wsi Ciche (Czychen), matka Mina Leberehkt, ojciec Louis, żona Anna (z domu Bondy), przed II wojną światową zamieszkał w Berlinie, deportowany do Theresienstadt, zmarł w 1943 roku w Auschwitz.

104. Wolf Arno – urodzony 26 grudnia 1888 roku we wsi Ciche (Czychen), przebywał w Berlinie, deportowany do getta w Łodzi.

Według portalu Wirtualny Sztetl adres Bergstrasse 13 (obecnie ul. 1 Maja, naprzeciwko ul. Wąskiej) figuruje jako miejsce ostatniego pobytu w czasie II wojny światowej w danych personalnych osób pochodzenia żydowskiego z Treuburga. Część społeczności z konieczności (np. wywłaszczenie) już wcześniej wyemigrowała (najczęściej do Berlina), nie uniknęła jednak w ten sposób i tak okrutnego losu. Osoby te były więzione i mordowane w gettach w Theresienstadt, Rydze, Mińsku, Kownie, Litzmannstadt (Łódź), Piaskach, Lublinie i Szanghaju oraz obozach w Auschwitz i Sobiborze. Ostatni Żydzi mieli zostać wywiezieni z Treuburga do obozów zagłady w 1941 lub 1942 roku. Śledząc wojenną historię, można przypuszczać, iż grupa Einsatzkommando 9, która dotarła z Warszawy 29 czerwca 1941 roku w pobliże Treuburga (dowodził wtedy SS-Obersturmbannführer Alfred Filbert (od czerwca 1941 do 20 października 1941 roku), gdzie żołnierze urządzili sobie biwak, nie odegrała chyba już żadnej roli w Treuburgu, nic o tym przynajmniej nie wiadomo. 1 lipca 1941 roku spod Treuburga grupa ta ruszyła w kierunku Wilna, gdzie rozpoczęła eksterminację Żydów, a dalej do Grodna, Mińska...

Nazistowski landrat z Treuburga Walter Tubenthal był w 1945 roku widziany na statku wraz z Eichmannem. Ktoś zrobił im wspólne zdjęcie. Umarł w pełni chwały w 1987 roku.

Zagładę przeżyło niewiele osób z Marggrabowej/Treuburga. Pamięć kolejnych osadników w małym mieście, które nazywało się już Olecko, także była i jest wybiórcza. Społeczności żydowskiej po prostu nigdy w zasadzie nie było w tym małym mieście, pomimo widocznych jeszcze śladów jej istnienia. W momencie kiedy udało mi się spójnie zebrać liczne informacje (efekt pracy i starań wielu ludzi), społeczność żydowska ponownie pojawiła się w Olecku. W mojej pamięci już na zawsze rozgościły się te odzyskane nazwiska, konkretne osoby, które stały się mi bardzo bliskie. Czasem w nocy śnią mi się jeszcze ci wszyscy odzy-skani ludzie, jak spacerują po głównym placu. Spacerują po raz pierwszy od dłuższego czasu. Widać, że są szczęśliwi.

Ewa Kozłowska

Źródła informacji m.in.: *Yad Vashem – Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu, IKHR, OFB.DE, Treuburger Heimatbrief – Achim Tutlies, Hans Ulrich Brink, Wirtualny Sztetl.*

Mein geliebter Mann, unser verehrter Vater, Großvater und Urgroßvater

Walter Tubenthal

ist am 28. Juni 1987 im 87. Lebensjahr in Hamburg verstorben.
 Er war der letzte Landrat des Kreises Treuburg, Ostpreußen, in der Zeit von 1934—1945.
 Aufrecht und unbeirrbar ging er durch die schicksalsschweren Zeiten. Er ist seinem Glauben an Deutschland und seiner Liebe zur Heimat Ostpreußen treu geblieben.

Charlotte Tubenthal, geb. Camplair
 Marlene Seifert, geb. Tubenthal
 und Familie, Buenos Aires
 Hansgeorg Tubenthal
 und Familie, Kaltenkirchen
 Rolf Tubenthal
 und Familie, Kaltenkirchen
 Erika Damann, geb. Tubenthal
 und Familie, Neckargemünd
 Brigitte Buchholz, geb. Tubenthal
 und Familie, Bottrop

Busbrookhöhe 92, 2000 Hamburg 72
 Die Trauerfeier hat im Familienkreise stattgefunden.

Cygańskie ślady na ziemi Warmii i Mazur

LECH MRÓZ

ur. w 1939 roku; cyganolog, prowadzi badania w Bieszczadach, w Mongolii, wśród koczowników w Indiach, Czarnogórze, na Bałkanach; autor hasła 'Cyganie' Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN; napisał m.in.: *Dzieje Cyganów-Romów w Rzeczypospolitej XV-XVIII w.* (2001), *Od Cyganów do Romów. Z Indii do Unii Europejskiej* (2007).

Pierwsze wiadomości

Nie jest pewne, kiedy pojawiły się pierwsze grupy cygańskie na terenie dzisiejszej Warmii i Mazur. Najdawniejsze wiadomości z terenu Rzeczypospolitej pochodzą z początków wieku XV z Kazimierza (dzielnicy Krakowa) i ze Lwowa i dotyczą osób i rodzin prowadzących życie osiadłe. Wędrowcy pojawiają się dopiero sto lat później, a pierwsze ich grupy przybywają od zachodu. Bowiem w krajach niemieckich wędrujące cygańskie gromady odnotowywane są już na początku drugiej dekady XV wieku. Najpierw na zachodzie, w Hesji, w roku 1414; dwa lata później kroniki odnotowują ich przybycie do Miśni, w Saksonii, w tym samym 1416 roku pojawiają się na północy, w Lubece, skąd kierują się ku wschodowi, bowiem jeszcze w 1416 roku odnotowane jest pojawienie się cygańskich wędrowców w miastach Meklemburgii, w Wismarze, Stralsundzie i w Rostocku. Nie są jeszcze wystarczająco wnikliwie przebadane akta archiwalne, nie wiemy więc, dokąd skierowali się ci, których odnotowano w miastach Meklemburgii i Saksonii. Jest bardzo prawdopodobne, że ku wschodowi, w dialekcie żyjących obecnie w Polsce tzw. Polska Roma jest bowiem wiele zapożyczeń z języka niemieckiego.

W Berlinie znajdują się zbiory dawnego archiwum z Królewca, wywiezione i uratowane przed pojawieniem się tam wojsk radzieckich. Jest pośród akt wiele dokumentów dotyczących Cyganów. W tym niezwykle interesujący, unikatowy zbiór dokumentów związanych z imieniem Piotra z Rotembergu, rycerza, hrabiego, Filistyna z Małego Egiptu – jak jest określany w dokumentach. Ów zbiór liczy 25 listów; pochodzą one z okresu 1542-1561 – obejmują ponad 19 lat. W zasadzie wszystkie są listami przewodnimi, ale wiele też dowiadujemy się z nich na temat organizacji i funkcjonowania samej grupy Piotra Rotemberga. Daty i miejsca wystawienia pozwalają zorientować się w rozmiarze cygańskich wędrówek. Przybysze legitymowali się listem przewodnim wystawionym jakoby przez kardynała Lyonu w 1507 roku. Analiza tego dokumentu pozwala stwierdzić, że jest to falsyfikat, lecz zapewne służył jako wiarygodne potwierdzenie zasadności wędrówki i prośby o wsparcie.

Z tym pismem przewodnim pojawili się na Pomorzu, w Prusach, a potem i na ziemiach Rzeczypospolitej. Najstarszy zachowany list dotyczący Piotra z Rotembergu pochodzi z 1542 roku i wystawiony został w Janiszkach¹ (w pobliżu dzisiejszej granicy litewsko-łotewskiej), a to oznacza, że grupa przybyła do tej części Europy znacznie wcześniej i że zanim rozpoczęli wędrować po ziemiach Rzeczypospolitej, wcześniej przebywali w Prusach i to niedługo po zakończeniu wojen polsko-krzyżackich.

Wprawdzie pierwszy znany list przewodni otrzymał Piotr z Rotembergu w 1542 r., ale nazwisko Rotenberg (lub bardzo podobnie brzmiące) pojawia się w źródłach wcześniej. Czy ma to związek z Piotrem – nie sposób dziś odpowiedzieć, uważam jednak, że warto o tym wspomnieć, gdyż możliwość taka istnieje. Otóż w 1512 roku książę szczecińsko-pomorski Bogusław X wystawił w Szczecinie glejt dla hrabiego Małego Egiptu Ludwika von Rothenburga, zezwalający na przejście kompanii Cyganów przez ziemie jemu podległe i udanie się w kierunku Gdańska. Glejt Bogusława zezwala im na przebywanie w jego ziemiach i przemieszczenie się ku Gdańskowi. Zwraca się też Bogusław do władz świeckich i kościelnych o życzliwość, udzielanie schronienia i pomocy okazicielowi listu i wzmiankowanym Cyganom, aby mogli spokojnie przebyć zamierzoną drogę². Obecnie nie ma możliwości odwołania się do oryginału i do wzmiankowanej księgi. W latach 1942–1944 zbiory dawnego archiwum szczecińskiego zostały rozproszone po różnych miejscowościach, w obawie przed alianckimi nalotami; nie wszystkie przetrwały wojnę i powróciły do Szczecina, wiele uległo zniszczeniu; pośród braków jest księga glejtów Bogusława X. Nie wiemy, czy ów Ludwik von Rothenburg ma jakiś związek z Piotrem, jednakże warto zwrócić uwagę, że droga Ludwika wiodła ku obszarom, gdzie Piotr spędził większość czasu – jak zdają się świadczyć zachowane listy.

Pierwszy dokument mówiący o Piotrze z Rotembergu wystawiony został w Janiszkach 20 marca 1542 roku. Jest to list przewodni, wystawiony przez namiestnika biskupa łuckiego (Janiszki stanowiły dobra biskupie). Jan Żyliński – ów namiestnik – stwierdza, że Filistyn z Małego Egip-

.....
1 Obecna nazwa Joniškis.

2 G. von Bülow, *Zigeuner in Pommern*, Batlische Studien, Stettin, 1884, s. 68.

tu Piotr Rotemberg: *dobrze, skromnie, szczerze oraz cnotliwie między mieszkańcami i poddany-
mi zachowywał się*. Żyliński prosi o przyjęcie, jeżeli się zjawią, chronienie ich przed krzywdami, bowiem: *za odstępstwo przodków swych pokutę odprawiają i abyście zechcieli we wszystkim im nieść pomoc*³. To najprawdopodobniej ów podrobiony dokument kardynała Lyonu, w którym mowa jest o pokutnym charakterze wędrówki tej grupy, skłonił wystawcę listu, Żylińskiego, do wzmianki o intencji wędrówki Piotra i jego grupy.

Nie sposób także wypowiadać się, jaka była przyczyna pojawienia się grupy Piotra w Janiszkach. Miejscowość ta sławna była niegdyś z jarmarków, na które z dala pędzono konie. Z całą pewnością jarmarki i terminy, kiedy się one odbywały, miały wpływ na obiór drogi przez grupę Piotra z Rotembergu (potwierdza to kilka innych dokumentów z tego zbioru).

Niecałe dwa miesiące później znalazł się Piotr Rotemberg wraz ze swoją grupą w Jaziorasach⁴. 12 maja tego samego roku (1542) otrzymał tam kolejny list przewodni, wystawił go Marcin Stanisławycz, namiestnik biskupa wileńskiego Pawła Holszańskiego. Odległość Jazioras od Janiszek wynosi w linii prostej ok. 200 km, jednakże lasy i jeziora drogę taką wykluczały. Dalsza droga grupy Piotra Rotemberga wiodła na południe, na Podole, a potem w stronę Krakowa.

Nie wiemy, jaką trasą podążali Cyganie z grupy Piotra Rotemberga z Małopolski, gdzie przebywali jakiś czas, udając się ku północy i ziemiom pruskim, ale kolejny ślad ich bytności pochodzi z miejscowości leżącej dzisiaj w obrębie Gdańska. 5 września 1553 roku sołtys Stolzenbergu (Chełma), miejscowości będącej wówczas własnością biskupów włocławskich, wystawił rodzaj przepustki: *zezwoilem Piotrowi Cyganowi z towarzyszami przejść w kierunku Subkowych* (także będących własnością biskupów włocławskich). Sołtys stwierdza dalej w liście, że: *nikt nie został skrzywdzony i nie przyszło do żadnej skargi przeciwko tym Cyganom*⁵. Miejsca wystawienia kolejnych listów pozwalają prześledzić trasę wędrówki tej grupy. Miejscem wystawienia kolejnego listu jest Malbork. *Stawili się przede mną pewni Cyganie, którzy przybyli i zezwoilem im, aby wyżej wspomniani razem ze swoimi żonami, mianowicie sześć par, mogli przejść przez moje starostwo w Pucku swobodnie i bezpiecznie* – stwierdza w wystawionym 16 października 1553 roku w Malborku dokumencie Stanisław Kostka, wojewoda chełmiński⁶. (Sześć par, czyli prawdopodobnie sześć małżeństw, to licząc z dziećmi 25 do 30 osób; gromada nie była mała, ale zapewne wędrówanie w większej utrudniałoby uzyskanie zgody na postój, nie mówiąc o zdobyciu środków do życia. Mniejsza zaś gromada nie dawała, być może, wystarczającego zabezpieczenia przed ewentualnymi napadami czy w konflikcie z ludnością miejscową. Podobnie jak poprzedni, także ten dokument pisany jest w języku niemieckim. Przy okazji też coraz bardziej nabieramy pewności, że wędrówka grupy Piotra nie była przypad-

3 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin; Etats-Ministerium, 110 b, nr 3, s. 17.

4 Obecnie Zarasai – w północno-wschodniej Litwie.

5 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin; Etats-Ministerium, 110 b, nr 3, s. 13.

6 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin; Etats-Ministerium, 110 b, nr 3, s. 9.

kowym błędzeniem; musiał on i jego ludzie nieźle orientować się w geografii, skoro byli w stanie dość precyzyjnie zaplanować szlak swojego wędrowania. Dokumenty z późniejszych lat zdają się świadczyć, że w grupie Piotra zaczęło dochodzić do konfliktów, między innymi do ucieczki Marcina-Thaika z Anną-Pulaną. Piotr Rotemberg, zwierzchnik grupy (o tym świadczy to, że listy są wystawiane na jego imię), próbuje zatrzymać ich przy pomocy władz miejscowych.

Ostatni list znajdujący się w tym zbiorze został wystawiony przez wojewodę chełmińskiego i pana na Bratianie Jana Działyńskiego, nosi datę 15 sierpnia 1561 roku. Więcej niż zazwyczaj w takich listach mówi on o zachowaniu Cyganów, o przestrzeganiu powinności i zgodnym ułożeniu stosunków z innymi; świadectwem jest brak skarg na Cyganów⁷.

Akta dotyczące grupy Piotra liczą 25 dokumentów, pochodzą z okresu niemal 20 lat i obszaru sięgającego od morza i Gdańska po dzisiejszą granicę litewsko-łotewską, a na południu aż po Zbrucz na Ukrainie. Nie są znane dalsze losy Piotra Rotemberga, może zmarł, a grupa się rozperszyła lub powędrowała w inne strony. Nie ma jednak wątpliwości, że tereny Prus były tym obszarem, gdzie najwięcej czasu spędzali i najdłużej wędrowali. Jest wiele intrygujących informacji zawartych w tych listach; to, co od razu zwraca uwagę, to fakt, że nie ma w nich skarg na konflikty z miejscowymi, są świadectwa dobrego kontaktu z miejscowymi władzami, czego przykładem jest pomoc okazana Piotrowi w złapaniu zbiegów z grupy⁸.

W zasobach archiwum królewieckiego jest jeszcze też wiele dokumentów z XVII wieku, nie omawiam ich tutaj, dotyczą one bowiem niemal wyłącznie terenów dzisiejszej Litwy i Białorusi. Dopiero te z lat późniejszych, mniej więcej od połowy wieku XVIII, dotyczą obszaru dzisiejszej Warmii i Mazur. W tym czasie dominuje już zupełnie inny stosunek do Cyganów, zwłaszcza wędrowców. Właśnie w państwach niemieckich wydano najwięcej w całej Europie dokumentów skierowanych przeciwko nim. Surowe restrykcje groziły też lokalnym władzom w przypadku niedostatecznej czujności czy pobłażliwości okazywanej wędrowcom.

Niepożądani przybysze

Pruska polityka wewnętrzna w stosunku do Cyganów w XVIII i XIX stuleciu wzorowana była w znacznym stopniu na austriackiej, ale chyba znacznie skuteczniej i bardziej konsekwentnie ją realizowano. Wyrażało się to m.in. różnorodnością i wielością działań podejmowanych w stosunku do włóczęgów, domokrażców, a także Cyganów. Na przestrzeni lat 1710-1793 władze pruskie wydały kilkanaście ogólnopaństwowych aktów, skierowanych przeciwko Cyganom. O wadze, jaką przykładły władze i panujący do zlikwidowania żebractwa, kradzieży i cygańskiego koczowania, świadczą wydawane w krótkich odstępach czasu kolejne dokumenty.

⁷ Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin; Etats-Ministerium, 110 b, nr 3, s. 12.

⁸ Pełne omówienie tego zbioru listów, zob. Lech Mróz, *Dzieje Cyganów – Romów w Rzeczypospolitej. XV-XVIII*, Warszawa 2001, rozdział 3: s. 90-120.

Przypomina o tym dokument króla pruskiego:

Deklaracja wydana z powodu dawniej wydanego Edyktu przeciwko żebrakom, biedocie, także Cyganom i innym uznanym złodziejom. [...] My, Fryderyk Wilhelm, z Bożej łaski król pruski, etc. oznajmujemy i do wiadomości podajemy: otóż przez różne nasze sądy, przy tej okazji przeciwko żebrakom, biedocie i Cyganom wydane Edykta, które pod datą 26 czerwca 1715 i 10 grudnia 1720, a mianowicie po raz trzeci ten pierwszy i po raz czwarty ten drugi, została wyrażona wątpliwość stąd też koniecznym stało się to nasze kolejne oświadczenie [...] w Berlinie, dnia 14 lipca 1721 r.⁹

20 listopada 1750 wydana zostaje „Instrukcja o tym, jak wykonać wizytacje i aresztowania band złodziei, żebraków i Cyganów lub innego podobnego autoramentu hultajów w miastach i na wsi”¹⁰.

Wiele jest tego rodzaju rozporządzeń wydanych w kolejnych latach. Szczególnie interesujące wydają się te dokumenty, które świadczą o podejmowaniu przez władze działań innych niż uwięzienie lub wypędzenie. Mówią o tym np. akta z 1783 roku. w sprawie propozycji wybudowania wielkiego domu pracy celem umieszczenia tam *tułających się żebraków, różnej hołoty a przede wszystkim Cyganów*¹¹. W kwietniu 1792 roku „Komora Królewska Wojskowa i Ekonomiczna Prus Wschodnich” ogłosiła „Publicandum wedle Domu Korrekcyjnego w Taplewie”; jest tam mowa o tym, że

*Król Jego Mość w takowym postanowieniu tak pożytecznym iako potrzebnym, nie tylko ma zamiar naymiłościwszy, Inwalidow kraiowych Woyska swojego, pomocą poddanych swoich wiernych, iak tylko być można, od żebractwa z niedostatku pochodzącego ubronić, ale też ląd od Żebraków, Błakacow, Cyganow, y inszych zuchwałych Swawolnikow, ktoromi do tego czasu tak bardzo dręcony y owszem niebezpiecznym był wyczyścić, y takowy od wszelakiego nieporządku zabezpieczyć*¹².

Król i władze postanowiły za jednym zamachem pozbyć się z dróg i w ogóle przestrzeni publicznej zarówno żebraków, ubogich, wędrowców i Cyganów, jak też tych, którzy *służąc w wojsku, jedynie inwalidztwa się dosłużyli* – w ich przypadku ów dom pełniłby rolę przytułku.

146

Kwestia utworzenia specjalnej placówki w Taplewie, niedaleko Olsztyna, a przy tym uporania się z wędrującymi po kraju Cyganami na tyle stała się ważna dla władz, że 22 stycznia 1793 roku król pruski Fryderyk Wilhelm podpisał w Berlinie kolejny dokument skierowany przeciwko Cyganom; w wersji językowej niemieckiej, polskiej i litewskiej został wkrótce wydany drukiem

9 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 5469, 1106, nr 4, s. 41-43.

10 WAP w Suwałkach – Oddział w Elku (Zbiór dokumentów drukowanych).

11 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 110 b, nr 105.

12 WAP w Suwałkach – Oddział w Elku (Zbiór dokumentów drukowanych).

i upowszechniony. Dokument ów nosi tytuł: „Ustanowienie naprzeciw wkradaniu się y tułaniu po Kraiu Cyganow w Wschodnich y Zachodnich Prusach”. Dokument przypomina, że już w 1727 i 1739 wydane zostały postanowienia przeciwko pojawiającym się Cyganom, dalej zaś stwierdza:

wkradanie się po Kraiu y włożenie się po nim Cyganow z sąsiedzkich Cudzych Kraiow bardzo się wzmogło, a takowych wypędzanie za granicę po wycierpianey karze, nie zawstrzymało ich od powrócenia się nazad. Dalej szczegółowo powiedziane jest, jakie powinności wynikają z postanowień władz i jakie kary grożą za brak należytego wykonywania królewskiego rozporządzenia. [...] mają Sądowe Zwierzchności w Kraiu, osobliwie na granicach, a woytowie i Społeczeństwo po wsiach, Cyganow, którzy się w ich Sądowym Dystrykcie, Wsiach, polach y lasach, postrzedz dać wraz chwytać, lecz kiedy się takowi w wielkich kupach dadzą znaleźć, tak, iż ich pojmanie bez niebezpieczeństwa uskuteczniom być nie może, tedy natychmiast Landratowi Dystryktu o tym ma się dać uwiadomienie, a przy tym też, nim takowych można wziąć w poymanie, na ich dalsze obroty powinno mieć baczenie; po którym uwiadomieniu Landrat wraz z dostateczną pomocą, a ieśli też tego potrzeba, y z żołnierską pomocą z najbliższego Garnizonu, którą iemu Komendant takowego, na iego rekwizyt nieodwłocznie dać ma, takowy Cyganow spisek znieść y do bezpiecznego zachowania przywieść powinien. Gdyby Patrimonialna Sądowa Zwierzchność naumyślnie Cyganowi bawienie się w ich Sądowym Cyrkule pozwoliła, a takowego, skoro tylko można, nie dała zawstrzymać y wziąć w poymanie; tedy takowa utratą Jurysdykcji, albo zaplaceniem kary tysiąca Talarow ukarana bydź ma; też krolewscy do Justycyi, Policyi, iako też y do Magistratu przynależący Urzędnicy, mają równą karę albo Kassacyą, Woyci też y Społeczeństwa, którzy przy tym opieszałemi albo swoim Sądowym Zwierzchności y Przełożonym na żądanie pomocy nie dać; dotkliwą karą na ciele y podług uznania okoliczności karą w Fortecy albo Festunkową na dwa aż do trzech miesięcy mieć bydź ukaranemi¹³.

31 października tego samego roku opublikowany został „Regulament Instytutu Ubogich Kraiowych i Poprawy w Waplewie¹⁴, dla prowincyi Wschodnich Prus, Warmii, Litwy i powiatow tak Kwiedzinskiego iako i Prabutskiego”. „Regulament” skrupulatnie na 20 stronach wylicza, kogo należy osadzać w tym „Instytucie”, jak winni być ubrani przebywający w nim, jaki rodzaj pomieszczeń przewidziany jest dla dorosłych, dla matek z dziećmi, osób starych itd., jak mają być karani za rozmaite wykroczenia. Nawet o takim szczególe nie zapomniał prawodawca, jak:

są częste przypadki, iż wieśniacy w osobnych samotnych domkach, folwarkach ec. mieszkający iednego albo więcey wagabundow osobliwie Cyganow z różnych przyczyn łapać się boją. W takich przypadkach dać się im ta informacja: aby oni najbliższy Garnizon na

13 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 5469, 1106, nr 27, s. 76-78.

14 Jedyń w tym dokumencie występuje nazwa Waplewo, w pozostałych jest Taplewo; Waplewo – wieś w pow. olsztyńskim, woj. warmińsko-mazurskie, Taplewa nie udało mi się precyzyjnie zlokalizować.

*schwywanie takowej roty i kupy potajemnie wezwali; lecz w ten czas zapłacą oni 15 prusk. groszy Komendzie za każdego ułapanego, które pieniądze wyłożone Instytut, kiedy cała rota albo zgola więcej niż dwie osoby złapane będą, znowu nagrodzi. Dzieci pod dwunastym rokiem zostające nie będą w zapłaceniu rachowane*¹⁵.

Sprawę „Domu Korrekcyjnego w Taplewie” traktowano jako pilną i ważną, skoro jeszcze w tym samym roku, 20 grudnia 1793 roku, podaje się „Do ogłoszenia publiczności” decyzję królewską, powołującą taki dom. Wzmiankowane ogłoszenie otwiera formuła:

*Gdy Najjaśniejszy Król Jego Mość Pruski z najusilniejszego Oycowskiego starania o dobro Kraiowe osobiłwy Dom roboczy dla utrzymania Ubogich w Taplewie w Wschodnich Prusach pobudować kazał [...] więc Publiczności do wiadomości się podaie, że ten dom dnia 1 Marca 1794 Roku dla osób niżej opisanych otworzony będzie. Od tego dnia więcej żaden Tułacz, Biegus y swywolny Żebak w Wschodnich Prusach, w Warmii w Litwie; oraz w Kwiczinskim y Prabuckim okręgach które teraz do Zachodnich Prus przyłączone, dłużey nie ma bydz cierpiany*¹⁶.

Bardzo szczegółowo – podobnie jak w prezentowanym wyżej „Regulamencie” – wymienia dokument kategorie osób, które winny być kierowane do „Domu Korrekcyjnego”, w tym także Cyganów, określa sposób mieszkania, powinności i kary, zwłaszcza w przypadku ucieczki.

Ponieważ dokumenty powyższe pochodzą z ostatnich lat XVIII w., wdrażanie zatem zawartych tam postanowień musiało najpewniej trwać jakiś czas. Nie jest wiadome, jak długo funkcjonował dom taplewski, ale sądząc po niektórych raportach policyjnych z pierwszej połowy XIX wieku przynajmniej kilkanaście lat. Należy też pamiętać, że granica Prus po trzecim rozbiórze sięgała aż po Niemen, po Grodno, Warszawę; w zasięgu praw pruskich i reguł polityki wewnętrznej tego państwa znalazło się zatem wiele ziem polskich, w tym takich, gdzie Cyganie byli liczną społecznością.

W marcu 1802 roku został wydany w Królewcu kolejny dokument; Fryderyk Wilhelm przypomina w nim o edyktie z 22 stycznia 1793 roku *przeciwko wkradaniu się i włóczeniu. Cyganów we Wschodnich i Zachodnich Prusach* i nakazuje: *należy je rozwiesić w miejscach publicznych, jako też rozesłać do urzędów*¹⁷. Ten akt – podobnie jak niektóre wcześniejsze – został wydany nie tylko w języku niemieckim, także po litewsku i polsku; to zwiększało skuteczność prawa i możliwość jego egzekwowania, a też oddalało ewentualne tłumaczenia, że na terenach przyłączonych do Prus ludność wiejska i sołtysi czy wójtowie mogli nie znać języka niemieckiego. Niektóre z tych aktów są tylko powtórzeniem lub dodatkowym obostrzeniem poprzedniego,

15 WAP w Suwałkach – Oddział w Elku (Zbiór dokumentów drukowanych) – „Regulament”, § 30, s. 11.

16 Dokument w wersji językowej niemieckiej i polskiej, [w:] WAP w Suwałkach – Oddział w Elku (Zbiór dokumentów drukowanych).

17 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 5469, 1106, nr 27, s. 76-78.

ale wszystko to świadczy, że stale byli Cyganie w zasięgu wzroku panującego i jego aparatu policyjnego. W odróżnieniu od wielu austriackich dokumentów, a nawet rosyjskich, pruskie dokumenty z tego okresu – wieku XVIII, zwłaszcza drugiej jego połowy, i wieku XIX – jednoznacznie pokazują, że Cyganie traktowani byli jako element przestępczy z samego faktu bycia Cyganem. Ta optyka pozwala lepiej zrozumieć także dużo późniejsze działania wobec Cyganów podejmowane przez władze pruskie.

W zachowanym zbiorze dokumentów dotyczących Cyganów z dawnego archiwum w Królewcu (obecnie: Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin) znajduje się znaczna liczba doniesień wójtów i wioskowych przedstawicieli władz, a także dzierżawców, informujących o pojawieniu się Cyganów; zazwyczaj szybko przybywała żandarmeria i aresztowała ich. Zaniechanie doniesienia, niewystarczająca skrupulatność w przestrzeganiu postanowień władz skutkowały nałożeniem kary finansowej nie tylko na wójta czy sołtysa, lecz na całą wioskową społeczność. To bardzo skutecznie wpływało na respektowanie prawa i postanowień w sprawie Cyganów. Dlatego znacznie więcej o Cyganach dowiadujemy się z akt austriackiej czy rosyjskiej administracji, w państwie pruskim znacznie szybciej i skuteczniej realizowano zaś zmuszenie Cyganów do osiedlenia lub oddalenia się – często za granicę.

Poświęciłem tyle uwagi tym kilku dokumentom dotyczącym polityki i działania pruskich władz w stosunku do Cyganów, a szczególnie aktom o utworzeniu „Domu Korrekcyjnego w Taplewie”, ponieważ w żadnym z krajów, które dokonały rozbioru Rzeczypospolitej i także podejmowały rozmaite działania, jakich celem było przeciwdziałanie cygańskiemu wędrowaniu i zmuszenie ich do osiedlenia się lub opuszczenia granic państwa, nie ustanowiono tak precyzyjnego zbioru przepisów określających szczegółowo sposób funkcjonowania takiego „Domu” i jego pensjonariuszy. Konsekwentne realizowanie polityki wewnętrznej państwa, nie tylko w stosunku do Cyganów, lecz również w odniesieniu do mieszkańców, zwłaszcza wiosek (łącznie z systemem kar), wsparte aparatem policyjnym, pobudzało Cyganów do ucieczki, ale i wymuszało także osiedlanie się. Nigdzie też w dokumentach pruskich nie znajdujemy takich relacji o cygańskich występkach, kradzieżach, napadach, obozowiskach liczących kilkadziesiąt, a nawet ponad sto osób, i zagrożeniach, jakie stanowili dla mieszkańców osad, zwłaszcza wiejskich, co możemy znaleźć w dokumentach odnoszących się do ziem leżących niedaleko, na Wileńszczyźnie czy w Suwalskiem. Dokumenty XIX-wieczne dotyczące Cyganów to w przewadze raporty policyjne, protokoły, rozporządzenia odwołujące się do wcześniejszych postanowień prawnych z końca wieku XVIII. Zachowane akta z dawnego archiwum w Królewcu zawierają dziesiątki rozmaitych dokumentów policyjnych, nie tylko z terenów dawnych Prus Wschodnich, ale także przyłączonych ziem Rzeczypospolitej. Pokazują one, że coraz skuteczniej przeciwdziałano cygańskiej ruchliwości, a przy tym że stopień zdyscyplinowania społecznego był tak znaczny (i przestrzeganie urzędowych rozporządzeń), że nawet niewielkie grupy cygańskie były natychmiast aresztowane, a policja mogła liczyć na współpracę miejscowej ludności. Jeżeli schwytani Cyganie byli przybyszami z innych części ziem polskich (najczęściej nieodległych, wchodzących w skład Cesarstwa Rosyjskiego), odsta-

wiano ich do granicy, wydalając z Królestwa Pruskiego. Korzystanie z tych dokumentów, ich odczytanie i analiza są dosyć trudne. Znaczna ich część nie jest uporządkowana chronologicznie, wymieszane są także dokumenty należące do różnych powiatów i tak też zostały zmikrofilmowane (uwaga ta dotyczy akt mówiących o Cyganach). Prócz rozmaitych rozporządzeń władz centralnych znaczna część dokumentów pochodzi z kancelarii władz powiatowych Olsztyna, Mrągowa, Szczytna, Elku, Ostródy, Nidzicy. Podobnie jest z dokumentami z okresu międzywojennego z archiwum królewieckiego.

Należy pamiętać, że z zajęciem części ziem polskich i litewskich wiązało się i to, że w granicach Prus znalazła się pewna liczba Cyganów, którzy żyli wcześniej w innym obszarze politycznym, kulturowym i językowym. Między grupami nowymi a tymi, które od dawna żyły w państwie pruskim, istniały znaczne różnice kulturowe, były to najprawdopodobniej grupy względem siebie obce, dystansujące się; po części także prowadzące odmienny tryb życia. Raporty policyjne pokazują, że wśród Cyganów Prus Wschodnich byli względnie dobrze zaadaptowani, trudniący się rzemiosłem, osiedleni i tacy, którzy wędrowali, których ścigano i którzy kryli się, uciekając przed represjami; ta sytuacja stała się jeszcze bardziej złożona po zajęciu części ziem Rzeczypospolitej. Mimo istnienia granic pomiędzy Królestwem Pruskim a Cesarstwem Rosyjskim i mimo kontroli policyjnej Cyganie przemieszczali się poprzez granicę, występowanie zaś w dokumentach legitymowanych Cyganów, nazwisk polskich zdaje się świadczyć, że byli to Cyganie wcześniej wędrujący po ziemiach polskich i tam żyjący. W pruskich dokumentach późniejszych, XX-wiecznych tych nazwisk jest znacznie mniej.

Dokumenty pochodzące z wieku XX (w porównaniu z XIX-wiecznymi), nawet te z początku wieku zdają się świadczyć, że system kontroli grup cygańskich jeszcze skrupulatniej był realizowany, regulowały to wcześniejsze rozporządzenia, lecz ich liczba i szczegółowość wyraźnie nasiliły się w XX wieku. Regulowały one system nadzoru policyjnego i kontroli, jak też możliwości uzyskania przez Cyganów zgody na przemieszczanie, postoje, zarobkowanie. W dokumentach z tego wieku więcej uwagi zwraca się na to, czy dzieci Cyganów podlegają obowiązkowi szkolnemu. Dokumenty pokazują też, że w przypadku braku znamion wykroczenia Cyganie nie byli represjonowani. Poza tym liczebność tych XX-wiecznych dokumentów pozwala znacznie wzbogacić wiedzę o sposobie życia i zarobkowania; nade wszystko zdają się świadczyć o daleko zaawansowanym stopniu adaptacji – pośrednio potwierdzają to nazwiska i niemieckie imiona. Przytaczam wybór kilku dokumentów ilustrujących sytuację Cyganów w Prusach w tym czasie.

1.

*Pismo do Pana starosty w Osterode [Ostróda]**Magistrat i zarząd policji Hohenstein [Olsztynek] 15 grudzień, 1906**Zwalczanie występów cygańskich*

Pojawiające się tutaj bandy Cyganów poddane zostały natychmiast surowej kontroli, jeśli Cyganie nie potrafili wylegitymować się dostatecznie byli zatrzymywani i doprowadzani do tutejszego królewskiego sądu rejonowego. W wielu przypadkach zostały zasądzone kary co skutkowało tym że na ostatnich dwóch jarmarkach nie zauważono Cyganów. Dzięki zastosowaniu ostrych środków plaga cygańska jeśli nie całkowicie to w znacznym stopniu uległa ograniczeniu. Fakt ten powitano z ogólnym zadowoleniem. Wskazania spełniły tu bardzo dobrze swoje zadanie¹⁸.

Podpis nieczytelny

2.

*Zarząd policji Hohenstein [Olsztynek]**8 marzec 1907**Starosta powiatu Osterode Ostp. [Ostróda Pr. Wsch.]**Odnosnie rozporządzenia z 7 lutego 07 J.nr. 2231 II*

Nie zauważa się na tutejszym terenie Cyganów wędrujących z miejsca na miejsce. Jednakże 4 i 5 kwietnia zeszłego roku na jarmarku zwierząt gospodarskich, koni i towarów kramarskich, pojawiła się rodzina Larze w liczbie 3 osób i rodzina Brozinski także w liczbie 3 osób, wszyscy z Alt Sachoros [Stary Suchoros], powiat Ortelsburg [Szczytno]. Przywódcy rodzin, zatrzymani i doprowadzeni do urzędu przez odkomenderowanego na targ żandarma, są tu od lat znani jako nieszkodliwi. Byli też w posiadaniu ważnych na rok 1906 pozwoleń, na uprawianie rzemiosła wędrownego, oraz legitymacji. Zostali puszczeni wolno, z wyjątkiem, jednego z synów Larza, niemogącego się zadawałajco wylegitymować. Larze został doprowadzony przed sąd i następnie, po potwierdzeniu tożsamości przez naczelnika urzędu w Alt. Sachoros [Stary Suchoros] uwolniony [...]¹⁹.

.....
 18 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 10415C16 – film 5, s. 6.

19 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 10315C16 – film 4, s. 8.

3.

Brygada żandarmerii Dystrykt Allenstein [Olsztyn]

Starosta Osterode Ostpr.

Buchwalde [Kajkowo] 7 czerwiec 1911

Odnosząc się do rozporządzenia z 10.04.06 donoszę, że w Kraplau [Kraplewo] napotkani zostali przeze mnie, podróżujący każdy swoim wozem:

1. Cygan Louis Franz z żoną i niepodlegającymi obowiązkowi szkolnemu dziećmi, z Ohra koło Danzig [Orunia koło Gdańska].

2. Hugo Schroeder z żoną i niepodlegającymi obowiązkowi szkolnemu dziećmi z Czarnowski koło Koeslin.

Franz i małżonek Schroeder posiadali zezwolenia na uprawianie wędrownej działalności jako lalkarze, a żona Schroedera pozwolenie na handel mydłem. Pozostawiali oni pod moją kontrolą od Kraplau do Reichenau [Rychnowo]. Z Reichenau wyruszyli już w godzinach wieczornych w kierunku Geierswalde [Gierzwałd]. Ponieważ napotkali tam posterunek żandarmerii, moja kontrola skończyła się w Reichenau [Rychnowo]. Z powodu godz. wieczornych niemożliwe było zawiadomienie telegraficzne. Należy nadmienić, że w Reichenau Cyganie mówili, że nigdy więcej nie przyjadą do Prus Wschodnich.

żandarm Litsche²⁰

4.

Brygada żandarmerii Dystrykt Allenstein [Olsztyn]

Oddział konnicy Osterode [Ostróda]

Buchwalde [Kajkowo] 14 czerwiec 1911

Starosta powiatu Ostróda Prusy Wsch.

Wczorajszego popołudnia otrzymałem wiadomość, że w lasu lindenberskim obozują Cyganie i palą ogniska. Natychmiast udałem się tam. Jak przybyłem Cyganów, którzy otrzymali wiadomość, że jestem w drodze, już nie było. Pościg został podjęty w towarzystwie syna właściciela, Konrada z Freiwalde [Leśnica]. Cygani, dwóch mężczyzn i dwie kobiety przemykali się wqwozami i lasem, krążyli przez Freiwalde [Leśnica], Groeben [Grabinek], do Lichteinen [Lichtajny] i lasu kraplewskiego [Kraplau / Kraplewo], ostatnio byli widziani jak szli polami Kraplewa i lasem Doehring [Durąg], (za kolejją).

Z powodu zapadających ciemności pościg musiał zostać przerwany. W lesie Lindenberg Cyganie łamali gałęzie na ognisko, Konrad, syn właściciela doniósł, że kobiety żebrały przed południem w Freiwalde [Leśnica]. Żona nauczyciela z Ostródy, Rautena, spotkała około godz. 2 po południu obcego mężczyznę z rozzochraną brodą, w brązowym ubraniu (garniturze), jak schodził ze strychu z woreczkiem bielizny i pościeli. Udało mu się, po-

zostawiwszy łup, zbiec. Nie można wykluczyć, że był to jeden z Cyganów. Dopiero później Rauten stwierdził, że zniknął damski złoty zegarek. Jeden z Cyganów miał rower i możliwe, że i rower mógł być skradziony. Jest możliwym, że dzisiaj poruszają się w okolicy Doebringen [Durąg] i Rhein [Ryn]. Zwraca uwagę, że Cyganie wędrują teraz częściej pieszo ponieważ tak bardziej mogą się ukryć niż z wozem

Podpis Litsche
...żandarm...²¹

5.

Brygada Żandarmerii Dystrykt oficerski Lyck [Elk]
Oddział konny Mrągowo

...gien 25 grudzień 1910

Meldunek

W moim rejonie służbowym, wieś Machowen, osiadły na stałe następujące rodziny cygańskie.

Rodzina 1) Thomas Birozinski, Florentine Birozinski, żona, Ludwig, syn (areszt sądowy Sensburg [Mrągowo], Carl, syn, Anna, córka, Minna, córka, Amanda, córka.

Rodzina 2. Wdowa Amanda Birozinski, Hermann, syn (areszt sądowy Sensburg) [Mrągowo], Amanda, córka.

Lemie
wachmistrz żandarmerii.²²

6.

Brygada żandarmerii Dystrykt oficerski Olsztyn
Rewir konny Ostróda
Muehlen Prusy Wschodnie 1 grudzień 1912

Do Pana Landrata w Ostródzie

30 listopada br. napotkałem w Grunwaldzie dwie rodziny cygańskie podróżujące wozami. Jeden wóz należał do handlarza koni Heinricha Krause lat 47 z Hischlewitz powiat Briesen Prusy Zachodnie, towarzyszyła mu żona Berta Krause lat 39 i dzieci Hugo Krause lat 17, Herman Krause lat 15, Emilie Krause lat 7, Josef Krause lat 5, Alwine Krause lat 4 i Adalbert Krause 1 ½ roku.

Drugi wóz należał do artysty cygańskiego Hermana Gruenholza lat 42 z Rehfelde powiat Briosz [?], Prusy Zachodnie. Towarzyszyli mu: żona Florentina Gruenholz lat 32, dzieci Franziska I lat 3, Franziska II lat 15, jego matka Ernestine Gruenholz z domu Koszkawski lat 59. i jego brat Alexander Gruenholz. Krause, posiada paszport wystawiony przez staro-

21 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 10515C16 – film 6, s. 1-2.

22 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 10115C16 – film 2, s. 3.

stwo Briesen Prusy Zachodnie. Gruenholz posiada zaświadczenie władz Pichfelde, że jest tam, wraz z rodziną na stałe zamieszkały.

Doprowadziłem Krausego i Gruenholza na policję w Grunwaldzie z oskarżeniem o wędrówkę w bandzie. Obydwaj oni podawali, że chcą jechać do Loubau Prusy Zachodnie. By zapobiec dalszemu podróżowaniu całą bandą urządziłem tak, iż Gruenholza jego wozem wysłałem drogą do Treugenu – Marweld, a Kranza do Ludwigsdorf – Seennw.

Hanke

Wachmistrz żandarmerii.²³

7.

Brygada żandarmerii Dystrykt oficerski Olsztyn

Rewir konny Ostróda

4 grudzień 1912

3 grudnia 1912, na targu końskim w Dąbrównie przebywali niżej wymienieni, handlujący końmi Cyganie, nie posiadający wymaganych pozwoleń.

1. Cygański robotnik i handlarz koni Josef Danbrowski z Freystadt Prusy Zachodnie, posiada paszport wystawiony przez starostwo w Rastenburgu 24 czerwca 1912. Podróżuje z rodziną składającą się z żony Cecili, dzieci Ewalda lat 13, Hermana lat 6, Amandy lat 5, Oswalda lat 4, Olla lat 21/2. Stał swoim [...] wozem w Morwalde.

2. Cygański atrysta Ewald Gruenholz z Bastrau, powiat Toruń, Prusy Zachodnie. Posiada paszport wystawiony przez starostwo Toruń 18 lutego 1912. Podróżuje z [początek słowa urwany] rodziną składającą się z żony Friderike Gruenholz i dzieci, Augusta lat 9, Oskara lat 13, Ahilde lat 8 [...]thila lat 8, Magdalene lat 4. Stał swoim wozem w [...]burg. Cel podróży Baihau [?] powiat....

3. Cygański handlarz koni i [...] Fridrich Herzberg z [...]rienthal powiat Rastenburg, posiada paszport wystawiony przez starostwo Rastenburg [...]maja 1912. Podróżuje z rodziną: żoną Am[...] Herzberg i dziećmi Oskarem lat 4, Auguste lat 3 [...] jednym wozem w Marwalde i [...] wóz w Dąbrównie. Cel podróży [...]thal powiat Rastenburg.

4. Cygański handlarz koni Heinrich Krause z Hithzlewicz, powiat Briesen, Prusy Zachodnie, posiada paszport wystawiony przez starostwo Briesen. Podróżuje z rodziną: żona Berta Krause i dzieci Hugo lat 17, Herman lat 15, Emilie lat 6, Josef lat 5, Amin Adalbert 1 i 1/2 roku. Stał swoim wozem w Lechwalde. Cel podróży Rybno powiat Louben Prusy Zachodnie.

5. Cygański artysta Herman Gruenholz z Rehfelde powiat Briesen, Prusy Zachodnie. Nie posiada paszportu i zaświadczenia władz miejscowych [...] jest tam zamieszkały. Podróżuje z rodziną: żona Florentyna Gruenholz, dzieci Franciska I 3 lata, Franciska II 15 lat, matką Ernestine Gruenholz i bratem Alexandrem Gruenholz lat 22. Stał wozem w Zehwalde koło Gilgenburg. Cel podróży Rybno powiat Loubau Prusy Zachodnie. Cyganie Donbrowski, Ewald Gruenholz i Herzberg, którzy wrócili do Morwalde, zostali ponownie skontrolo-

wani przez wachmistrza żandarmerii Neumanna. Heinrich Krause i Herman Gruenholz, którzy stali swymi wozami w Zehwalde zostali skontrolowani przez wachmistrza żandarmerii Driję. Ponieważ żaden z Cyganów nie posiadał pozwolenia na uprawianie wędrownego rzemiosła i nie potrafił w rzetelny sposób określić z czego urzymuje siebie i swoją rodzinę, złożyłem na nich doniesienie do władz policyjnych w Dąbrównie.

Hanke
pieszy wachmistrz żandarmerii

[...] Żandarm Klawns melduje, Piltzner zameldował mi o Cyganach. Stwierdziłem, że dwa wozy zatrzymały się na noc w Rotenburg [...] Jeden z wozów pojechał następnego ranka do Miłomłyna drugi pytał o drogę do [...] Osobiście nie spotkałem Cyganów i dlatego nie mogłem podjąć poszukiwań²⁴.

8.

Starosta powiatu ziemskiego Allenstein

Olsztyn, 15 października 1929

Zwalczanie występków cygańskich.

W ostatnich czasach znaczne rzesze mieszkańców uskarżają się na ogromną uciążliwość niedźwiedników, prowadzących ze sobą większą liczbę niedźwiedzi. Niedźwiedzie są zagrożeniem dla osób postronnych. Czuję się w obowiązku jeszcze raz zwrócić uwagę na wskazania dotyczące zwalczania występków cygańskich, z 17. lutego 1906 r. ich wypełnianie traktować należy jako obowiązujące. Jednocześnie zwracam uwagę, że przepisy ustawy przemysłowej Reichu oferują dostateczne możliwości ograniczenia wędrowek z niedźwiedziami.

Do miejscowych władz policyjnych i żandarmów wiejskich²⁵.

9.

Szef policji bezpieczeństwa

Berlin 8 marzec 1937

a: do urzędu tajnej policji Berlin

b: do kierownictw wszystkich oddziałów policji państwowej i oddziałów policji państwowej.

Dotyczy: Wyciągów z rejestru karnego

Prośby o wyciągi z rejestru karnego dotyczące osób urodzonych na terenach odłączonych do Polski, należy kierować do prokuratury przy Volksgerichtshof Berlin W9 Bellevue Str. 15. Proszę o staranne sprawdzanie czy miejsce urodzenia znajduje się w Niemczech czy też na

24 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 10015C16 – film 1, s. 20-22.

25 Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz, Berlin: Etats-Ministerium 10215C16 – film 3, s. 15.

terenach należących obecnie do Polski. W każdym przypadku należy unikać kierowania prośby o informację z rejestru karnego, do władz polskich.

Jest niewątpliwe, że Cyganie pozostawali pod stałą obserwacją, przede wszystkim żandarmerii, lecz także miejscowej ludności. Wiele dokumentów o tym świadczy (ilustrują to przytoczone tutaj raporty z 1 i 4 grudnia 1912 roku). Większość dokumentów świadczy, że zajmowali się handlem, sztuką cyrkową, prezentowaną zapewne na odwiedzanych jarmarkach. Wędrowali najczęściej wozami. Większość wymienianych w raportach żandarmów nazwisk ma brzmienie niemieckie, są jednak też nazwiska polskie.

Bardzo interesujący jest dokument z 15 października 1929 roku, mówiący o Cyganach niedźwiedznikach. Od schyłku XVIII stulecia do lat 30. XIX wieku działała w Smorgoniach, na terenie dzisiejszej Białorusi, tzw. Akademia Smorgońska – szkoła tresowania niedźwiedzi. Kiedy powstała szkoła niedźwiedzia w Smorgoniach, nie wiemy. Od 1668 roku Smorgonie przeszły na własność Radziwiłłów, lecz dopiero być może Karol Radziwiłł „Panie Kochanku” osadził tutaj Cyganów, oddając szkołę pod zarząd Jana Marcinkiewicza – cygańskiego zwierzchnika z Mira. Kresem Akademii było powstanie listopadowe i konfiskata dóbr smorgońskich przez Rosjan. Akademia niedźwiedzia miała niewątpliwie istotny wpływ na funkcjonowanie Cyganów tego regionu. Była ważnym czynnikiem więzi grupowej, formą legalnego i powszechnie akceptowanego zarobkowania, była też płaszczyzną kontaktów i współpracy z nie-Cyganami. Tresowane w Smorgoniach niedźwiedzie pokazywane były przez wędrownych Cyganów w różnych krajach. Prawdopodobnie także przytoczony tutaj dokument mówi o Cyganach niedźwiedznikach, którzy swojej sztuki nauczyli się w Smorgoniach. Znana jest niemiecka rycina przedstawiająca grupę Cyganów z niedźwiedziem; jest ciekawe, że pokazani tam mężczyźni na głowach mają czapki, tzw. krakuski, zdające się świadczyć o przybyciu tej grupy z ziem polskich. O tym, że nadal po terenach Prus wędrowały grupy Cyganów z Polski, zdaje się pośrednio świadczyć ostatni z cytowanych tutaj dokumentów.

Czas wojny

W momencie wybuchu wojny polityka wobec Cyganów nie była wyraźnie określona. Wydany w czerwcu 1936 roku okólnik Pruskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odwołuje się do znanych z poprzednich wieków sposobów rozwiązania problemu koczującej ludności cygańskiej. Okólnik ów mówi:

wędrujący po kraju Cyganie, utrzymujący się głównie z kradzieży, oszustwa lub żebractwa, są wciąż plagą narzuconą przez obcy lud niemieckiej społeczności. Dlatego poleca się zapobiegać temu złu poprzez wydalenie zagranicznych Cyganów oraz osiedlenie Cyganów krajowych w jednym miejscu, ażeby uniemożliwić im wędrowkę²⁶.

26 Za: K. Smoleń, *Cyganie w KL Auschwitz-Birkenau*, [w:] *Los Cyganów w KL Auschwitz-Birkenau*, Oświęcim: Stowarzyszenie Romów w Polsce, 1994, s. 85.

Opierając się na lokalnych przepisach z lat 20., policja, szczególnie w Bawarii, nasiliła represyjne działania wobec Cyganów. Ustanowiony 14 lipca 1933 roku przepis „O zapobieganiu genetycznemu osłabianiu potomstwa” daje prawo do przymusowej sterylizacji; około 94% tych, którzy poddani zostali zabiegowi, stanowili Cyganie – Roma i Sinti²⁷.

W końcu roku 1938 ustanowione zostało specjalne prawo „O zwalczaniu plagi Cyganów”; mówi ono, że *ostateczna decyzja odnośnie klasyfikacji osoby jako Cygana, mieszańca lub quasi-Cygana należy do Policji Kryminalnej w oparciu o ocenę ekspertów*²⁸. Wybuch wojny zapoczątkował represje masowe; pierwsza fala prześladowań objęła Cyganów z Austrii i Niemiec – tych, których likwidacja została wcześniej odpowiednio przygotowana. Najpierw jednak doszło do masowych aresztowań i deportacji Cyganów z tych krajów na wschód. 17 października 1939 roku na mocy decyzji Himmlera do wszystkich posterunków policji rozesłany został nakaz sporządzenia w ciągu trzech dni spisu Cyganów i zakaz opuszczania przez nich miejsc pobytu, czego także policja miała dopilnować. 21 września 1939 roku zapadła decyzja o deportowaniu wszystkich Cyganów z Wielkich Niemiec, czyli około 30 tys. osób, na tereny Generalnej Guberni.

W styczniu 1943 przybył do Brzezinki pierwszy transport – byli to Cyganie z Prus Wschodnich, których początkowo osadzono w getcie w Białymstoku. W marcu przywieziono kolejne transporty i z tą chwilą utworzony został w Oświęcimiu Zigeunerlager – obóz rodzinny. Osadzano w nim całe rodziny, z dziećmi, ciężarnymi kobietami, ludźmi starymi obu płci. W ciągu krótkiego czasu w obozie cygańskim znalazło się około 12 tys. osób, najliczniejsi byli Cyganie z Polski, ale wśród osadzonych byli Cyganie z całej niemal podbitej Europy – od Francji po Litwę i ZSRR i od Norwegii po Węgry i Bałkany.

1 sierpnia około godz. 20 nastąpił koniec Zigeunerlager. W ciągu kilku godzin około 4 tys. Cyganów – kobiet, dzieci, mężczyzn – zostało zagazowanych i spalonych. Odkopane po wojnie w 1949 roku księgi obozu cygańskiego zawierają nazwiska 20 943 osób, tyłu więc zginęło tutaj na pewno, ilu zaś poza tą ewidencją – nie wiadomo. 1 sierpnia 1944 roku nie zamknął tragedii Cyganów, choć był ostatnią na taką skalę zbrodnią. Ginęli nadal, rozstrzeliwani przez SS i Volkssturm nawet w styczniu 1945 roku.

Lata powojenne – nasilenie procesów asymilacyjnych

Po wojnie wielu Cyganów żyjących w Polsce i innych krajach Europy powróciło do wędrownego życia. Mimo politycznego podporządkowania i wzorowania się na polityce wewnętrznej Związku Radzieckiego gospodarka Polski miała wyraźnie różny charakter; w znacznie większym stopniu była prywatna – wiele małych zakładów w sferze produkcji, a jeszcze więcej

27 B. A. Fisher, *Nie ma dróg prowadzących do Roma: Los Romów pod okupacją nazistowską i powojennych restytucji*, Dialog-Pheniben, nr 2, 1999, s. 32.

28 K. Smoleń, dz. cyt., s. 86.

w sferze usług, stanowiło własność prywatną. Ponieważ także rolnictwo było w przewadze prywatne, a do obróbki ziemi i innych prac nadal używano koni, stąd też wiosenne i jesienne jarmarki w wielu rejonach Polski gromadziły setki gospodarzy kupujących i sprzedających konie; właśnie wiejskie targi i jarmarki wyznaczały szlaki wędrowania i określały rytm przemieszczeń i możliwości zarobkowe. Poza tym większość wędrujących grup zimę spędzała w małych miasteczkach i wsiach, wynajmując na ten czas pomieszczenia, często u znanych sobie (np. z racji wspólnych interesów) gospodarzy²⁹. To odróżniało sytuację w Polsce od tej, jaka panowała w innych krajach Europy Wschodniej, gdzie utworzenie wielkich gospodarstw państwowych czy spółdzielczych zmieniał w istotny sposób związki ekonomiczne Cyganów i miejscowych rolników, a to właśnie mieszkańcy wsi i małych miasteczek byli głównymi partnerami handlowymi, partnerami wymiany usług i głównymi odbiorcami produkcji rzemieślniczej. II wojna światowa gwałtownie przerwała tę względnie ustabilizowaną sytuację. Zmiana granic i powojenne migracje tysięcy osób objęły także Cyganów.

Z dokumentów zawartych w Archiwum Akt Nowych można sądzić, że czasami daleko ważniejsze były inne kwestie niż zajmowanie się Cyganami. Np. pozornie błaha sprawa Mety Herzberg zajmuje Komisję Specjalną, a ściślej jej delegaturę w Szczecinie, wiosną 1947 roku, ponieważ *pędziła potajemnie wódkę-samogon (z buraków półcukrowych)*. Władze sądowe postanowiły ukarać ją skierowaniem do obozu pracy przymusowej na 6 miesięcy oraz wydano *orzeczenie przepadku na rzecz Skarbu Państwa zakwestionowanych u podejrzaney 2 lit. wódki-samogonu, rurek metalowych, wężyka gumowego i chłodni miedzianej*. Nie pomogły pisma (podpisane przez kilka osób, w tym kierownika szkoły) z prośbą o odstąpienie od wykonania kary z uwagi na zły stan zdrowia Herzberg, na to, że była prześladowana przez władze hitlerowskie, że straciła troje dzieci, bimbber zaś pędziła tylko na własny użytek. Nawet oświadczenie leśniczego Lasów Państwowych, że *podejrzana częstowała jego i jego współpracowników wódką własnego wyrobu bezpłatnie, nie pobierając nigdy żadnej opłaty*, nie spowodowało odstąpienia od skierowania jej do obozu pracy³⁰.

Sporo wiadomości o tych pierwszych powojennych latach zawierają dokumenty zachowane w niektórych lokalnych archiwach. Przywołam tylko jeden – z racji miejsca wystawienia i zawartej w nim informacji. Wynika z niego, że wraz z wysiedlanymi z Beskidu Niskiego i Bieszczadów Łemkami także Cyganów przesiedlano. Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Pasłęku informuje pismem z 9 października 1950 roku, że w gminie Wilczęta mieszkają dwie rodziny cygańskie przesiedlone tam w ramach akcji „Wisła”³¹.

Wkrótce po zakończeniu wojny przybyło ze wschodu wiele cygańskich rodzin w ramach przesiedleń ludności polskiej, z obszarów włączonych po wojnie do Związku Radzieckiego. Kolejna akcja przesiedlania ludności polskiej po dojściu do władzy Nikity Chruszczowa i zmia-

29 L. Mróz, badania własne prowadzone na początku lat 60. i w latach 70. XX w.

30 Archiwum Akt Nowych, Warszawa: AAN-Kom.-Spec.-1515 0001, 1515 0004 i nast.

31 WAP Olsztyn, sygn. 262.

nach politycznych, jakie nastąpiły po śmierci Stalina, odbyła się w latach 1957-1958, udało się wówczas opuścić ZSRR wielu rodzinom Chaładytka Roma i Polska Roma; znaczna ich część osiadła na terenach północnego wschodu Polski. Skupiska cygańskie w miastach Warmii i Mazur pochodzą w sporej części z tej właśnie fali migracyjnej. Niektóre określenia grup rodowych pochodzą od nazwy regionu lub miasta, np. Kaliszaki, Galicyjski, zapewne w tym czasie pojawiła się nazwa Warmijski, jednej z subgrup Polska Roma.

Władze Polski zainteresowały się jednak Cyganami wędrowcami; 24 maja 1952 r. Prezydium Rządu podjęło uchwałę „W sprawie pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia”. Raził styl ich życia odbierany jako niezależność, jako unikanie kontroli ze strony państwa. Uznano również, że styl ich życia jest zbyt tradycyjny, anachroniczny i nie odpowiada ideom nowej władzy i jej wizji szczęśliwego państwa i życia. Rozpoczęły się akcje nakłaniania do porzucenia wędrowania i osiedlenia na stałe w słabiej zaludnionych obszarach zachodnich i północnych (pustych, po wysiedleniu ludności niemieckiej)³². Początkiem końca tego dawnego sposobu życia był rok 1964, powszechna rejestracja Cyganów przeprowadzona wczesną wiosną, rankiem, nim tabory wyruszyły w wędrowkę. Miała władzom dostarczyć informacji dotyczącej liczby Cyganów w poszczególnych rejonach. Komisje, jakie w asyście milicjantów przeprowadzały tę akcję, tworzyli pracownicy wydziałów spraw wewnętrznych rad narodowych, towarzyszyli im przedstawiciele władz oświatowych, służby zdrowia, straży pożarnej i inni.

Większość Cyganów żyjących w tym czasie w Polsce wędrowała i ekonomiczne podstawy ich egzystencji wiązały się właśnie z przemieszczaniem. Handel końmi organizował rytm i harmonogram wędrowek, prace kotlarsko-kowalskie także wyznaczały – choć na innej zasadzie – geografie przemieszczeń. Wymuszone osiedlenie zasadniczo podważyło podstawy ekonomiczne, zakłóciło ten rodzaj ekonomicznego związku z regionem i jego mieszkańcami, jaki wytworzył się przez lata wędrowek po określonym obszarze. Nie mniejszym problemem cygańskiej ekonomii stały się zmiany, jakie dokonywały się w Polsce i w innych krajach. Rozwijał się przemysł, zmniejszając popyt na wyroby cygańskich kowali. Jeszcze przez pewien czas znajdowali zajęcie kotlarze, bielący miedziane naczynia dla rzeźni, mleczarni czy wytwórni lodów, ale na przełomie lat 70. i 80. i oni stracili zajęcie. Pozostała wróżba i muzykowanie oraz nowe dziedziny handlu – starociami i samochodami, tekstyliami przywożonymi z zagranicy lub kupowanymi w mieście, a sprzedawanymi we wsiach.

32 Uchwała prezydium Rządu z 24 maja 1952 r. (Nr 452/52) podpisana przez ówczesnego premiera J. Cyrankiewicza.

Stanisławów – powrót do źródeł Duchom moich przodków

MAREK BERNACKI

ur. w 1965 roku; filolog, specjalizujący się w literaturoznawstwie polskim; nauczyciel akademicki związany z Akademią Techniczno-Humanistyczną w Bielsku-Białej. Autor m.in.: „Szlakiem drewnianych świątyń na Podbeskidziu” (Bielsko-Biała 2009), „Świat interpretować – konieczne zadanie. Studia o literaturze polskiej przełomu XX i XXI wieku” (Bielsko-Biała 2014).

*Jeżeli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie.*
(Adam Mickiewicz)

Jesienią 2008 roku wybrałem się w niezwykłą podróż do Stanisławowa – niegdyś trzeciego po Lwowie i Krakowie miasta Galicji. Nie mogłem tu nie przyjechać, w tym mieście późną wiosną 1937 roku urodziła się moja mama! Rodowy gród założony w XVII wieku przez Rewerów-Potockich, położony malowniczo u zbiegu dwóch Bystrzyc: Sołotwińskiej i Nadworniańskiej w bezpośredniej bliskości Karpat Wschodnich, już jako dziecko poznawałem z opowieści i wspomnień rodzinnych. Przez kilkadziesiąt lat obejmujących przełom XIX i XX wieku aż po tragiczne w skutkach wydarzenia II wojny światowej w zgodnej koegzystencji z sąsiadami mówiącymi różnymi językami i wywodzącymi się z różnych narodowości, mieszkali tu moi krewni po kądzieli. Wiele lat później stryj Tadeusz Walkowski (brat mojego dziadka, ojca mamy) – który po 17 września 1939 roku przedostał się przez Rumunię do Anglii, gdzie pracował dla rządu polskiego na wychodźstwie, a po 1945 roku był działaczem polonijnym na emigracji (najpierw w Londynie a następnie w Edmonton, w kanadyjskim stanie Alberta) – wspominał:

Matka moja pochodziła z wiedeńskiej rodziny Marquartów, trzymającej się od wieków urzędów i wojska austriackiego, jak się to wówczas mówiło, kłamki cesarskiej. Po rozbiorach Polski rodzina matki przybyła do Galicji w charakterze oficerów i urzędników i spolonizowała się zupełnie, podobnie jak spokrewniona z nami rodzina de Scharenburg-Leibschang organizująca stacje dylżansów i pocztę na Pokuciu. Ojciec matki brał udział w wojnie austriacko-pruskiej i babka często podkreślała, że żaden Prusak nie przestąpił progu domu obu rodzin. Matka mojego ojca, Albina Skulska, była Ormianką z Kamieńca Podolskiego. Matka była świetną organizatorką imprez narodowych w szkole i w życiu społecznym. Była nauczycielką. Władza biegle niemieckim. Przygotowywała młodzież polską i ukraińską do egzaminów z języka niemieckiego. [...] Dziadek mój Józef Walkowski brał udział w powstaniu [styczniowym – przyp. MB] razem z hr. Dzieduszyckim, dr. Morawskim, ks. Dziubanowskim, proboszczem parafii greckokatolickiej z Gwoźdźca, chłopem Fedorem Łopatniukiem i Żydem Sanio Haspelem. [...] W okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy sąsiedzi odwiedzali się wzajemnie. W domu moich rodziców pierwszy dzień świąt przeznaczony był na uczczenie powstańców i najbliższych. [...] Stosunki między Polakami i Ukraińcami były wzorowe, aż do czasu I wojny światowej. Krewni rodziców Oleśnicy ze Stanisławowa, których matka była Walkowska z domu, a ojciec Ukrainiec, wychowywali córki na patriotki polskie, a synów na patriotów ukraińskich¹.

Charakterystyczną dla Stanisławowa mozaikę etniczną zapamiętał dobrze także Tadeusz Olszański, autor wydanej w Warszawie wspomnieniowej książki „Kresy Kresów. Stanisławów”², urodzony na Pokuciu syn polskiego lekarza, który w wieku 51 lat poślubił o dwadzieścia lat od siebie młodszą Węgierkę:

Moja mama miała być nauczycielką, ukończyła seminarium nauczycielskie, ale została w końcu panią doktorową. Kiedy przyjechała do Stanisławowa, mówiła perfektnie po niemiecku i niezłe po francusku, co jej wystarczyło, aby swobodnie poruszać się w polskim towarzystwie. Paszport miała rumuński, ale przyjechała z Czechosłowacji, bo mieszkała u swego brata Arpada, który był adwokatem w Nagyszallos. [...] Całe to wydarzenie [ślub rodziców – przyp. MB] z 29 kwietnia 1926 roku zostało potwierdzone w dwóch aktach, które dopiero przy pisaniu tych wspomnień wzbudziły moje zdumienie. Cywilny akt zawarcia ślubu, Svedectvo o uzavreti snatku, jest sporządzony na blankiecie w dwóch językach: czeskim i pisanym cyrylicą rusińskim. Metryka kościelna natomiast aż w trzech językach: łacińskim, czeskim i węgierskim. Z takimi papierami oraz rumuńskim paszportem mama przeniosła się do Polski³.

1 T. Walkowski, *Wspomnienia działacza polonijnego*, [w:] *Polish Settlers In Alberta. Polacy w Albercie. Wspomnienia i życiorysy*, red. J. Matejko, Toronto: Polish Alliance Press, 1979, s. 452-453.

2 T. Olszański, *Kresy Kresów. Stanisławów*, Warszawa: Iskry, 2008.

3 Tamże, s. 23, 24.

Dla moich krewnych z rodów Oleśnickich, Walkowskich i Horbowych epizod stanisławowski, najpiękniejszy w ich życiu, definitywnie zamknął się na przełomie 1945 i 1946 roku. Kiedy sowiecki front wschodni „wyzwalał” kolejne miasta Małopolski Wschodniej, część licznej rodziny (w tym moja mama z rodzicami i ciotkami) w niebezpieczny czas wojennej zawieruchy wyruszyła na zachód. Mężczyźni pozostali w mieście, strzegąc dobytku i rodzinnego domu aż do początków 1946 roku, kiedy to z falą repatriantów pod presją gróźb nowej władzy sowieckiej wyjechali z ukochanego miasta. Do wagonu kolejowego podstawionego przez ukraińskiego kolejarza (notabene dawnego ucznia mojego pradziada Adolfa) z bólem serca spakowali dorobek całego życia. Pociąg, którym wyjechali z pięknego secesyjnego stanisławowskiego dworca, po paru godzinach jazdy przejechał most na Sanie, by po kilku kolejnych dłuższych lub krótszych postojach w Leżajsku, Jarosławiu i Łańcucie zatrzymać się na stacji Rzeszów. Tu, w prowincjonalnym przed wojną mieście położonym nad rzeką Wisłok, ze względu na dużą liczbę mieszkańców pochodzenia żydowskiego nazywanym „Mojżeszowem”, cała rodzina połączyła się i postanowiła osiedlić na stałe. Była mroźna zima 1946 roku – pierwsza w nowym miejscu, ale nie ostatnia. Choć od rodzinnego miasta moich krewnych dzieliły zaledwie 3-4 godziny jazdy koleją, nigdy tam już nie mieli powrócić. Do końca życia zachowali jednak w pamięci obrazy szczęśliwej i dramatycznie przerwanej przeszłości.

A zatem 23 września 2008 roku, po 62 latach jako pierwszy z rodu postawiłem stopę na rodzinnej stanisławowskiej ziemi! W imieniu przodków, których wstawiennictwo i opiekę czułem od pierwszych do ostatnich chwil tej podróży, szczęśliwie dotarłem do miejsc bezpowrotnie przez nich utraconych:

Nie ma więc Stanisławowa, jest Iwano-Frankiwsz. Ale w Iwano-Frankiwsku nadal najpiękniejszy jest Stanisławów. To, co dawne. Rynek z ratuszem, który z lotu ptaka ma kształt polskiego przecież Krzyża Walecznych, kościół parafialny zwany farą, w którym Henryk Sienkiewicz w swojej »Trylogii« pochował pułkownika Wołodyjowskiego, kościół ormiański, ulica Sapieżyńska przemianowana na Niezależności, cudownie secesyjny dworzec kolejowy, ulica Trzeciego Maja, dzisiaj Hruszczewskiego, włącznie z peryferyjną kiedyś ulicą Cichą, po której wprawdzie śladu nie ma, ale mam ją w pamięci, jak to wszystko, co było kiedyś miastem mego dzieciństwa. Wszystkie kościoły i kamienice, wszystkie ulice i uliczki śródmieścia aż do secesyjnej perły dworca kolejowego. Jądro miasta na zawsze pozostanie stanisławowskie, ale Stanisławowa już nie ma. Jest Iwano-Frankiwsz⁴.

Jadąc kilka godzin niewygodnym, obskurnym autobusem linii Przemyśl–Czerniowce do stolicy kresowego Pokucia koszmarnymi ukraińskimi drogami, dzięki mocy wyobraźni pobudzanej lekturą ciekawej książki Martina Pollacka „Po Galicji”, odbywałem równolegle o wiele przyjemniejszą, nostalgiczną podróż w czasie:

.....
4 Tamże, s. 5-6.

Pociąg pośpieszny przemierzał sto dwadzieścia kilometrów ze Stryja do Stanisławowa w trzy i pół godziny. Kolejka jechała najpierw na południe przez bagniste niecki w szerokiej dolinie Stryja, mijając kąpielisko Morszyn, znane z leczniczych źródeł gorzkich wód i z kąpieli solankowych oraz borowinowych, mijając Bolechów i Dolinę. Niedaleko Doli tora odbijały na wschód, biegły w dół łagodnie opadającym zboczem u podnóża Karpat i dochodziły do Kałusza nad Łomnicą. [...] Za Kałuszem kolej przekraczała Łomnicę i szerokimi zakolami zbliżała się do miasta okręgowego Stanisławowa, które leży na równinie między Bystrzycą Solotwińską i Nadworniańską. Stanisławów był miastem, jak na warunki galicyjskie, nowoczesnym i pięknym; miał szerokie, brukowane ulice, hotel pierwszej kategorii z windą i światłem elektrycznym, „Union” przy ulicy Sapieżyńskiej, park nazwany imieniem cesarzowej Elżbiety i wiele kościołów, których wieże widać było już z daleka.

Pod względem wielkości Stanisławów był drugim miastem po Lwowie. Jeździła tu już podmiejska kolejka elektryczna [...] Miasteczko wyglądało jak osiedle dla lalek: piękne, kilkupiętrowe, białe domy, zieleńce i ogrody, kwiaty i aleje z drzewami, czysty, duży rynek i bogate wystawy sklepowe; a wieczorami paliły się lampy elektryczne i było jasno jak w dzień, tylko dużo weselej. [...] Mówiono po polsku i niemiecku, po ukraińsku i żydowsku, a wszyscy przydawali sobie ważności, wszyscy tak się krzatali i byli tak podnieceni. Aż o dziesiątej nagle gasły lampy, zgiełk cichł, a linie A i B pustoszały. Wszyscy znikali z ulic⁵.

Jadąc na wschód, miałem przy sobie zaproszenie od pani dr Olgi Ciwkacz na konferencję literaturoznawczą zorganizowaną przez Uniwersytet Przykarpcki im. Wasyła Stefanyka w Iwano-Frankiwsku z okazji 120. rocznicy urodzin barda Huculszczyzny Stanisława Vincenza⁶. Ale w tę wymarzoną podróż „do źródeł” wiozłem ze sobą także kilka starych zdjęć ocalałych z wojennej pożogi, które przed wyjazdem wyjąłem z rodzinnego albumu. To właśnie one tak naprawdę stanowiły żelazny glejt do minionego świata. Na czterech z nich widnieje podobizna pradziada Adolfa Horbowego, nauczyciela w przedwojennym gimnazjum, polskiego patrioty, współtwórcy stanisławowskiego oddziału Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Najstarsza fotografia pochodzi z 1900 roku i wykonana została w atelier L. Hryńkiewicza przy ówczesnej ulicy Lipowej 75. Na rewersie zdjęcia zachowała się dedykacja skreślona starannym pismem mego przodka: *Kochanemu Druhowi w dowód uszanowania i życzliwości ofiaruje Ad. Horbowy. 21. V. 1900.* Na lekko już wyblakłym zdjęciu sprzed przeszło stu lat dwudziestoparoletni Adolf prezentuje się godnie w stroju sokolnickim: na głowie ma czako z ptasim piórkiem, ubrany w kamizelkę, z przerzuconą na prawym ramieniu pelerynką; kciuk prawej ręki trzyma oparty na szerokim skórzanym pasie z grawerowaną kłamrą przytrzymującym bryczesy luźno opadające ku cholewkom wyglancowanych starannie oficerek. Jako tło w atelier widać imitacje antycznych kolumn i drewnianą konsolę. Dwa inne zdjęcia wykonane zostały w pracowni

5 M. Pollack, *Stryj – Stanisławów, niemieckich Szwabów wnuk*, [w:] tegoż, *Po Galicji. O chasydach, Huculach, Polakach i Rusinach. Imaginacyjna podróż po Galicji Wschodniej i Bukowinie, czyli Wyprawa w świat, którego nie ma*, tłum. A. Kopacki, Wołowiec: Czarne, 2007, s. 85-86, 89-90.

6 Podczas konferencji zorganizowanej na Uniwersytecie Przykarpckim w dniach 24-27.09.2008 r. wygłosiłem referat *Stanisław Vincenz – Czesław Miłosz. Kręgi wzajemnej fascynacji i inspiracji*, [w:] *Przegląd Powszechny*, 2009, nr 3. Jako artykuł złożony został do druku w tomie pokonferencyjnym (Stanisławów 2009).

Józefa Edera znajdującej się niegdyś przy ul. Sapieżyńskiej 9 (rok założenia 1861). Na jednym z nich pradziad Adolf zdjęty został w towarzystwie trzech przyjaciół, być może z „Sokoła” lub wojska; na drugim jest już sam – to typowy portret w ujęciu „amerykańskim”, do pasa. U przystojnego i postawnego mężczyzny widać już wysokie czoło, które zbyt szybko przejdzie w ciągu następnych paru lat w łysinę, a także fantazyjnie podkręcone wąsy *à la* marszałek Piłsudski. Adolf ubrany jest w gustowną marynarkę, pod którą widać haftowaną (zapewne w modne wówczas wzory huculskie) kamizelkę, oraz krawat wypuszczony spod sztywnego kołnierzyka wykrochmalonej białej koszuli. Na ostatnim zdjęciu, wykonanym w studiu fotograficznym J. Sandhausa przy przedwojennej ul. Trzeciego Maja zapewne w latach 30. ubiegłego wieku, krawat wyparła gustowna mucha, łysina pradziada jest już widoczna, a wąsy jakby większe, choć starannie pielęgnowane. Taką twarz przodka zachowałem w najdawniejszej swojej pamięci! Jako kilkuletni brzdąc latem 1968 roku przyjechałem z rodzicami do Rzeszowa. Moi krewni mieszkali wtedy w czynszowej kamienicy przy ul. Grunwaldzkiej, nieopodal rzeszowskiego dworca, tłocząc się w dwóch niedużych pokojach. Pradziadek Adolf miał już wtedy prawie 90 lat i choć z trudem poruszał się po mieszkaniu o lasce, był sprawny umysłowo. Bardzo mnie kochał jako jedyne go prawnuka; to od niego dostałem w prezencie urodzinowym drewnianego konika na biegunach, który służył mi wiernie przez kilka następnych lat. W zamian, kiedy z trudem zwlekał się z wysokiego łóżka stojącego w kącie pokoju, podawałem mu kaptcie, a kiedy szurając starczo nogami i podpierając się na huculskiej lasce, dawnej towarzysze wysokogórskich wypraw na Czarnohorę czy Popa Iwana, posuwał się wolno w stronę toalety mieszczącej się na końcu ciemnego korytarza, otwierałem przed nim kolejne drzwi, pilnując, aby bezpiecznie dotarł do celu. Tak właśnie go zapamiętałem: starego, niezdarnego, z ogromną łysiną i białymi wąsami, podpierającego się na lasce i obdarzającego mnie zawsze życzliwym uśmiechem.

Oprócz zdjęć portretowych Adolfa Horbowego wiozłem ze sobą jeszcze dwie inne fotografie. Pojechały ze mną w rodzinne strony, do miejsc swoich narodzin. Wykonane techniką czarno-białą przypominają kolorowy świat szczęśliwej rodzinnej przeszłości. Na jednym z nich autor (prawdopodobnie wujek Sławek, syn Adolfa) utrwalił letniskową willę w Delatynie – jak u Mickiewicza dołem podmurowaną, wybieloną, o drewnianej wyższej kondygnacji, na której znajdowały się cztery pokoje z zadaszonymi werandami wychodzącymi na cztery strony świata. Pradziad Adolf miał ułańską fantazję i bardzo kochał czworo swoich dzieci oraz żonę Helenę, która mu je powiła. Zanim się pobrali, przez kilka lat prowadzili ożywioną korespondencję na ilustrowanych bogato secesyjnych kartkach-odkrytkach, popularnych na przełomie XIX i XX wieku⁷. Ten domek był prezentem dla ukochanej rodziny. Przyjeżdżali tu zwłaszcza latem, na wakacyjny wypoczynek. Helena Horbowy z domu Oleśnicka, która była

7 Zbiór tych kartek przechowuję w kilku rodzinnych albumach. Z dawnych czasów zachowało się także sporych rozmiarów zdjęcie ślubne Adolfa i Heleny wykonane z zakładzie Józefa Edera przy ul. Sapieżyńskiej 5. Mój pradziad stoi w czarnym fraku, ciemne włosy ma zaczesane do tyłu, postawione na brylantynie, wąsy starannie przycięte i lekko podwinięte na szpiczastych końcach; przystojny i postawny mężczyzna wyprostowany jak struna, ręce założył na plecy i dumnie spogląda w przyszłość. Helena, szczuplejsza i drobna, w białej ślubnej sukni zapiętej aż po szyję, siedzi na foteliku, ręce trzyma złożone grzecznie na podolku i z nadzieją spogląda w tym samym kierunku co mąż – w świetlaną przyszłość, w którą właśnie wybierają się razem.

nauczycielką i prowadziła w Stanisławowie pensję z internatem, rezydowała wraz z mężem na dole, gdzie znajdowała się sypialnia, kuchnia i salon. Góra natomiast przeznaczona była dla dzieci, każde z nich miało tam swój własny kącik. Zapamiętałem wierszyk, który często recytowała mi moja babcia, będący ilustracją do przechowywanego przez nią rodzinnego zdjęcia: „Lala – Myszka – Sławek – Zbyska”. Na fotografii – czwórka kochającego się rodzeństwa, ustawionego w strojach pensjonarskich przed obiektywem aparatu wedle starszeństwa: Zbysia (w przyszłości Zbigniewa Horbowy, ceniona farmaceutka po studiach we Lwowie) była najstarsza; po niej na świat przyszedł Julian – jedyny syn Adolfa i Heleny, podobnie jak jego starsza siostra, ukończył studia medyczne (w Warszawie) i po wojnie pracował jako farmaceuta we Wrocławiu, dokąd przeniósł się wraz ze swoją ukochaną żoną Zofią (nazywaliśmy go wujkiem Sławkiem). Trzecia w kolejności to Maria, zwana pieśczołliwie przez rodzeństwo „Myszką” (i tak już zostało, wszyscy nazywaliśmy ją później „ciocią Myszką”) – z powodu bardzo silnych migren nie ukończyła rozpoczętej na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie romanistyki. Po zaliczeniu specjalistycznych kursów jeszcze przed wybuchem II wojny światowej rozpoczęła pracę w Powszechnej Kasie Oszczędności, co zapewniło jej sporą niezależność finansową. Urodziwa i bardzo kobieca, w młodym wieku doznała gwałtownego zawodu miłosego (obiektem jej westchnień, a następnie długoletniej sercowej zapaści był przystojny student medycyny Józek Homme z Wadowic⁸), co sprawiło, że oddalała z kwitkiem kolejnych adoratorów i w efekcie nigdy nie wyszła za mąż. Mimo to dzięki swej zaradności nie traciła nigdy ducha i wręcz kipiała energią: grała w tenisa, pływała, robiła zdjęcia; zwiedziła też niemal całą Europę. Do dziś przechowuję pamiątki po jej licznych wояażach: przedwojenne klisze i zdjęcia, widokówki i foldery z miejsc, które odwiedzała wraz z przyjaciółmi; wśród tych bibelotów zachowały się także przedwojenne duńskie monety „oere” – o dość sporych rozmiarach, pokryte brązową patyną, z charakterystyczną dziurką wytłoczoną pośrodku. Zbysia, Julek, Myszka – byli obywatelami *la belle époque*, urodzeni na przełomie XIX i XX wieku należeli jeszcze do szczęśliwego świata wierzącego w postęp i dobro człowieka, świata, który pogrążyć się miał w odmętach mrocznej XX-wiecznej historii, podobnie jak „Tytanik”, symbol tamtej epoki, 15 kwietnia 1912 roku pogrążył się niespodziewanie w odmętach oceanu:

*Około pierwszej w nocy lekki zgrzyt, jakby otarcie się o szkło.
Ale żadnego wstrząsu. Zatrzymano maszyny. Cisza.
Noc mroźna i pogodna, gwiazdy błyszczą,
Tafla morza gładka, niby jezioro oliwy.
Po tym spotkaniu z niedużą górą lodową
Pokład zaczyna przechylać się do przodu,
Wielu z tych, którzy już spali, nie zdążyło się ubrać. [...]
Następnie przyspieszenie. Pierwszy z czterech kominów parowca
Znika pod wodą, rufa unosi się,*

.....
8 Notabene, państwa Homme, właścicieli znanej przedwojennej drogerii, rodziców Józka, wspominał papież Jan Paweł II podczas sentymentalnej podróży w przeszłość w czerwcu 1999 r.

Oblepiona ludźmi, ster niby katedra
 Wynurzona z głębi morza, trwa w powietrzu,
 Kolumna czarnego dymu bucha z wnętrza,
 I wszystko zanurza się, miękko połknięte,
 Z podwodnym ni to jękiem, ni to grzmotem. [...]

*Czego się przestraszyli? Skąd to „aaa” w gazetach, komisje, dochodzenia, uliczne ballady, broszury i groźnie-sentymentalna legenda? „Tytanik”, koniec ery? Czy dlatego, że nie ma już poczucia bezpieczeństwa? Że nic nas nie chroni, ani pieniądź, ani przebieranie się co wieczór do obiadu, ani zapach cygar, ani Postęp? Ani obyczaj, ani grzeczna i oddana służba, ani greka i łacina w szkole, ani prawo, ani kościoły, ani nauka, nic. A czy kiedykolwiek coś chroniło? Bezimienna i bezlitosna, czy mogła być odwrócona fatalność? O ludzkości cywilizowana! O zaklęcia, o amulety!*⁹

Najmłodsza z czworga rodzeństwa, Stefania zwana przez ojca „Lalą” (i bardzo przez niego hołubiona, bo przecież „najmłodsza to najśłodsza”), przyszła na świat w roku katastrofy „Tytanika”. Jako jedyna z siostr wyszła za mąż i miała udane małżeństwo – jego owocem była moja mama urodzona na dwa lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. To ona, dotkliwie doświadczona przez obie XX-wieczne apokalipsy, przez rewolucję i nowy ustrój wprowadzony w Polsce po 1945 roku, była moją kochaną „babcią Lalą”, do której jako dziecko, a później już jako student, tak chętnie jeździłem w odwiedziny do Rzeszowa. Choć z wykształcenia polonistka (egzaminę zdawała w latach 30. XX wieku u Juliusza Kleinera i Witolda Taszyckiego, a ten ostatni zaproponował jej nawet asystenturę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i pisanie doktoratu, czego nie przyjęła), po wojnie „przebranżowiła się” i pracowała jako księgowa w jednym z dużych socjalistycznych przedsiębiorstw specjalizujących się w produkcji artykułów chemicznych. Do końca życia, wychowana na Sienkiewiczza i Kraskewskim, połykała stopy książek i była niekwestionowaną mistrzynią w rozwiązywaniu krzyżówek (zwłaszcza tych najtrudniejszych, drukowanych w „Przekroju”, który wraz z dziadkiem Mieciem całe lata prenumerowali i namiętnie czytali obok innych „inteligentkich” tytułów, takich jak „Polityka”, „Poznaj świat” czy „Kobieta i Życie”). W głębokiej starości, już po śmierci męża i rodzeństwa, Stefania Walkowska przyjechała do Bielska, by zamieszkać w domu córki. Rezydując w domu moich rodziców, stała się, dzięki swej niezwyklej pamięci i niespotykanej elokwencji, prawdziwą rodzinną arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty. Lubiałem przebywać w jej pokoiku „na górcie” i słuchać niekończących się opowieści o Stanisławowie, Lwowie i Delatynie, o wydarzeniach z okresu szczęśliwej młodości, który u schyłku życia znów stał się jej azylem i rajem, w który wstępowała, tracąc stopniowo pamięć, a później siły vitalne... Zmarła w sierpniu 2006 roku, po Miłoszu, którego była rówieśniczką, i Papieżu, którego do końca życia podziwiała, śledząc w telewizji Jego ostatnie pielgrzymki i walkę z postępującą chorobą Parkinsona. Niestety, nie zdążyła już wysłuchać moich opowieści o wypra-

9 Cz. Miłosz, *Tytanik* (1912), [w:] tegoż, *Kroniki*, Kraków: Znak, 1988, s. 42-44.

wach na Kresy do ukochanych miast swojej młodości, w których zapewne krąży teraz jej duch... Jadąc rozklekotanym autobusem, gdzieś między Mościskami a Lwowem, wpatruję się w to czarno-białe zdjęcie, znak nieistniejącego świata: na pierwszym planie willa z pokojami na poddaszu, które służyły nie tylko rodzinie, ale i letnikom przyjeżdżającym na Huculszczyznę z odległych zakątków Polski; poniżej górnych pokoi z werandami widoczny drewniany ganek z pnącym dzikiego wina oplatającego budynek od frontu; nieco dalej sad z drzewami owocowymi, krzakami porzeczek i agrestu, grządkami, na których sadzono dynie, poziomki i truskawki, z przylegającym doń kortem tenisowym. Na horyzoncie – łagodnie opadające wzgórza, po którym wspinał się, widoczny z okien willi, tor c.k. kolei prowadzącej ze Stanisławowa ku granicy węgierskiej:

Jadąc przez zalesioną wyżynę, która stanowiła dział wód między Bystrycą, czyli dopływem uchodzącego do Morza Czarnego Dniestru a wpływającym do Dunaju Prutem, pociąg docierał do pierwszej w dolinie Prutu stacji – Delatyn. Przed wybudowaniem kolei był tam tylko niepozorny rynek z obskurnymi drewnianymi domami i błotnistymi załkami, przy nim dwa żydowskie zajazdy, każdy z jednym pokojem gościnnym, oraz jedyna „atrakcja” na placu: dębowy słup, przy którym w dawniejszych czasach mocowano solidną drewnianą klatkę. Wystawiano w niej na widok publiczny, przed doprowadzeniem na szubienicę, schwytanych w górach huculskich rozbójników i brygantów – dla duchowego pokrzepienia i ku przestrodze uczciwych chrześcijan. Około 1900 roku Delatyn stał się chętnie odwiedzanym letniskiem z miłą dla oka zabudową willową i zakładem kąpieli solankowych¹⁰.

Nie wiem, czy domek wybudowany przez mojego pradziada w Delatynie nadal tam stoi. Czy przetrwał wojenną pożogę i socjalistyczne porządki nowych gospodarzy? Według niesprawdzonych informacji po wojnie miało się w nim znajdować przedszkole (*dietskij sadok*), niewykluczone więc, że willa ocalała...

Z dawnych czasów zachowało się jeszcze jedno zdjęcie, które wiozłem ze sobą w podróż do źródeł: cztery młode, zgrabne panny w strojach kąpielowych obowiązujących w latach przedwojennych, długo przed erą bikini, siedzą nad Prutem pośród kamieni rozgrzanych letnim słońcem. Wśród nich jest Stefania Horbówna, moja przyszła „babcia Lala” – uczesana w stylu „lata dwudzieste, lata trzydzieste”, odziana w „przyzwoity” dwuczęściowy strój, uśmiecha się zalotnie do obiektywu, który być może ustawił na brzegu rzeki jej narzeczony Mietek Walkowski – młodszy brat pułkownika Tadeusza Walkowskiego, który został po wojnie działaczem emigracyjnym w Kanadzie, i nieszczęsnego Władka, który wraz ze stryjem Edmundem Horbowym został aresztowany we wrześniu 1939 roku. Obaj zginęli w Katyniu zamordowani strzałem w potylicę, a miejsce ich pochówku nie jest znane¹¹:

¹⁰ M. Pollack, *Po Galicji*, dz. cyt., s. 97-98.

¹¹ Pamięci Edmunda Horbowego i Władysława Walkowskiego poświęciłem tekst *Kismet, czyli przeznaczenie* (o książce W. Mularczyka *Katyn post mortem*), [w:] *Świat i Słowo*, 2007, nr 2, s. 311.

*Tylko guziki nieugięte
przetrwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jedyne pomniki na ich grobie
są aby świadczyć Bóg policzy
i ulituje się nad nimi
lecz jak zmartwychwstać mają ciałem
kiedy są lepką cząstką ziemi...*¹²

Zimą, korzystając z dobrodziejstw linii kolejowej łączącej Pokucie z Huculszczyzną, moi krewni wraz z przyjaciółmi wybierali się ze Stanisławowa w góry, na przykład do Worochty – na narty lub kulig. Po drodze pociąg przejeżdżał przez słynny wiadukt w Jaremczu. Niestety, to prawdziwe cacko polskiej myśli konstrukcyjnej XIX wieku nie przetrwało wojennej zawieruchy, prawdziwie nie został po nim kamień na kamieniu¹³. Trwa już tylko w pamięci tych, którzy go widzieli i utrwaliili w piśmie. Przytaczam poniżej dwa, nieco rozbieżne, historyczne świadectwa:

*Odcinek Stanisławów – Maramaros-Szighet na Węgrzech był najpiękniejszą w całej Galicji linią górską i szczytowym osiągnięciem austro-węgierskiej sztuki inżynierskiej: kamienny wiadukt koło Jaremcza niemal trzydziestometrowej wysokości, rozpięty na sześćdziesięciu pięciu metrach nad rwącym Prutem, długo był najwspanialszą budowlą tego rodzaju w Europie*¹⁴.

*Pociąg cały czas piął się doliną Prutu pod górę. Właśnie ta rzeka rozdzielała pasmo Gorganów od Czarnohory. Od Dory zaczynały się tunele i wysokie wiadukty nad Prutem. Wytyczona i zbudowana na przełomie XIX i XX wieku przez polskich inżynierów trasa kolejowa ze Stanisławowa do Worochty była absolutnym arcydziełem budowy szlaków kolejowych nie tylko jak na owe czasy i służy po dziś dzień. Wysoki na 50 metrów wiadukt nad Prutem koło wodospadu w Jaremczu zbudowany według projektu profesora Stanisława Kosińskiego nie miał sobie równych w Europie, bo łuk jednego z przęseł miał aż 65 metrów rozpiętości! Takie wiadukty widzi się dziś tylko w Alpach i na Sycylii, ale zbudowano je dopiero w okresie autostrad, w drugiej połowie minionego stulecia. To my byliśmy pierwsi i wyprzedziliśmy epokę*¹⁵.

12 Z. Herbert, *Guziki* (fragment), [w:] tegoż, 89 wierszy, wybór i układ aut., Kraków: a5, 2008, s. 24.

13 Tadeusz Olszański tak opisał ostateczną zagładę tego obiektu: „Oddziały Wojska Polskiego wycofując się we wrześniu 1939 roku przez Jaremcze na Węgry oszczędziły słynny wiadukt, ale w czerwcu 1941 Armia Czerwona nie miała już litości i wysadziła go w powietrze. A potem, w latach pięćdziesiątych, z zupełnie niezrozumiałych powodów kilkakrotnie wysadzano wysoki próg skalny wodospadu w Jaremczu i Prut zaczął spływać jak po rynnie z kilkoma kaskadami. Po wspaniałym cudzie natury, jakim był wodospad w Jaremczu, śladu nie zostało. A i wiaduktu nie odbudowano. Przerzucono natomiast drewniany mostek nad Prutem, w miejscu gdzie był wodospad, a na brzegu urządzono huculskie targowisko”. (T. Olszański, *Po Galicji*, dz. cyt., s. 85).

14 Tamże, s. 98.

15 T. Olszański, *Kresy Kresów Stanisławów*, dz. cyt., s. 77-78. (Skromną namiastką tego wiaduktu może być most kolejowy w Wiśle-Głębach wzniesiony w latach 30. XX w.

Warto wiedzieć, że słynny wiadukt w Jaremczu (wraz z innymi mostami na Prucie) uwiecznił także Józef Wittlin, autor epickiej „Soli ziemi” wydanej w 1936 roku. Ta niezwykła „epopeja huculska” zawiera opis podróży „do kresu nocy”, jaką odbył główny bohater Piotr Niewiadomski zmobilizowany do c.k. armii i wysłany na front wojny narodów:

Przy pierwszych mostach za Delatynem kolejowa godność Piotra odniosła bolesną ranę. Przestał wierzyć w sprawiedliwość na świecie. Pomimo zapadającej nocy oczom jego ukazał się widok, który u innych wzbudził tylko wesołość. Na dole, u wylotu mostu, stały jakieś dziwaczne, uzbrojone postacie. Gdy wagon zbliżył się do mostu [...] ujrzał Piotr dwóch brodatych Żydów w długich chałatach, przepasanych wojskową kupłą zamiast rytualnego sznurka, który w czasie modlitwy oddziela górną, czystą połowę ciała od nieczystej. [...] Pilnowali mostu na Prucie! A więc taka jest sprawiedliwość na świecie! Jak cesarzowi nie wstyd stawiać cybuchów na straży swych mostów? Tak jakby nie posiadał prawdziwych kolejarzy. [...] Piękna noc zwała się na sztrekę po tym dniu męki i grozy. Piotr zobojętniał na wszystko. Niczego już nie był ciekaw: ani nocy, ani Prutu, ani wodospadów, ani wiaduktów, ani Węgier – wszystko razem z całą koleją mogą diabli wziąć. Czym teraz była kolej? Niewolnikiem wojny, mającym jedno tylko zadanie: dowozić jej ludzki materiał¹⁶.

Zaraz pierwszego dnia pobytu w Stanisławowie (dzięki pani Oldze szczęśliwym trafem zamieszkałem w samym centrum miasta, w przytulnym hoteliku przy Lesi Ukrainki, nieopodal pomnika Mickiewicza) próbowałem odnaleźć miejsce, w którym mieszkali przed wojną moi krewni. Z zapamiętanych faktów wynikało, że ich parterowy domek z niewielkim ogrodem znajdował się przy skrzyżowaniu dawnych ulic Krasińskiego i Króla Jana, w pobliżu dworca kolejowego, skąd moi krewni wyjechali z miasta na zawsze na początku 1946 roku. Ich okupacyjna gehenna, oznaczająca definitywny koniec dawnego świata, rozpoczęła się 20 września 1939 roku, kiedy na ulicach i placach miasta nad Bystrycą niespodziewanie pojawili się żołnierze radzieccy. Ten tragiczny moment wspomina Tadeusz Olszański:

Dziś już wiem dokładnie, że to 17 września wszystko się zawaliło i skończyła się polska niepodległość, a do Stanisławowa w trzy dni później wkroczyła Armia Czerwona. W szarych, wystrzępionych u dołu szynelach do samej ziemi, z bagnetami na sztyk na długich karabinach i z dziwnymi, szmacianymi woreczkami zawiązywanymi na sznurek zamiast wojskowych tornistrów na plecach. Szli godzinami od strony Majzli, przez wiadukt kolejowy, a potem Sapieżyńską przez miasto i ciągnął się za nimi zupełnie obcy, smrodliwy zapach ni to dziegciu, ni kału. Jechały śmieszne, ciągnięte przez koniki wózki na dwóch kółkach z kulomiotem, zwane taczankami, armaty oraz tankietki i ogromne tanki, jakich nigdy przedtem nie widzieliśmy. Entuzjastycznie witała ich na Sapieżyńskiej ukraińska i żydowska ludność, a pod nowoczesnym gmachem poczty odbył się nawet wiec powi-

16 J. Wittlin, *Sól ziemi*, oprac. E. Wiegandt, Wrocław; Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1991, s. 154-155.

talny z mnóstwem czerwonych flag, które nie wiadomo skąd się nagle wzięły. To było straszne, bo w tym wiecu uczestniczyli ludzie, których codziennie widywaliśmy na ulicach, a niektórych nawet znaliśmy i nigdy nie podejrzewalibyśmy, że będą świętować klęskę Polski. Nie mogliśmy uwierzyć i pozamykaliśmy się w domach¹⁷.

Niestety, mimo szczerych chęci nie znalazłem rodzinnego domu Horbowych i Walkowskich. Być może zbyt przejęty misją źle go szukałem, a może tego domu już po prostu nie ma na planie ukraińskiego Iwano-Frankiwska? W zamian postanowiłem odwiedzić najważniejsze świątynie stanisławowskie znajdujące się w śródmieściu, o których tak wiele słyszałem od moich krewnych (na szczęście wszystkie przetrwały zarówno okupację, jak i lata sowieckiej władzy). Pierwsze kroki skierowałem do katedry unickiej, znajdującej się we wnętrzu XVIII-wiecznego pojezuickiego kościoła, który w 1849 roku przeszedł na własność wspólnoty grekokatolickiej. Wziąłem tam udział we wzruszająco pięknej wieczornej liturgii („służbie”), by później w kruchcie pod ikoną Matki Bożej zapalić świeczkę i pomodlić się w intencji śp. Heleny Horbowy, mojej prababki. Ona jedna pozostała w rodzinnej ziemi na zawsze. Zmarła jeszcze przed wybuchem II wojny światowej i została pochowana na starym cmentarzu stanisławowskim. Dowiedziałem się, że ta nekropolia już nie istnieje, została rozjechana przez ciężarówki, walce i koparki w latach 70. ubiegłego stulecia, kiedy sowieccy władze miasta postanowili w tym miejscu wybudować nowoczesne osiedle. Tuż obok świątyni grekokatolickiej, w bezpośredniej bliskości ratusza, który oglądany z lotu ptaka przypomina kształtem polski Krzyż Walecznych, stoi dawna fara katolicka. Ta piękna XVII-wieczna rodowa świątynia założycieli miasta Potockich została wzniesiona niedaleko nieistniejącej już ich pierwotnej siedziby, tuż obok murów obronnych miasta; to właśnie w jej wnętrzu Henryk Sienkiewicz „uśmiercił” pana Wołodyjowskiego. Obecnie kościół ten, gruntownie odnowiony, ale wyłączony od wielu lat z kultu religijnego, pełni rolę miejskiego muzeum sztuki malarskiej, w którym eksponowane są m.in. obrazy o treści sakralnej. Do trzeciej z najważniejszych świątyń dawnego Stanisławowa – barokowej katedry Kościoła obrządku ormiańskiego¹⁸, wybrałem się następnego dnia. Idąc tam wąskimi uliczkami dawnej dzielnicy żydowskiej¹⁹ (w jej miejscu stoi teraz ogromny, nowoczesny budynek zwany białym domem, w którym jeszcze niedawno mieściła się siedziba partii komunistycznej), przypominałem sobie historię cudami słynącego obrazu Matki Bożej Łaskawej, przed którym w chwilach największego zagrożenia modlili się moi krewni. Aż dwukrotnie podczas okupacji niemieckiej miasta (była też okupacja sowiecka i krótki epizod, kiedy od czerwca do sierpnia 1941 roku w Stanisławowie sta-

17 T. Olszański, *Kresy Kresów Stanisławów*, dz. cyt., s. 11-12.

18 Obecnie kościół ten należy do Autokefalicznej Prawosławnej Cerkwi Ukraińskiej.

19 Wizytówką tej dzielnicy była ogromna synagoga zwana Templum, która przetrwała okupacyjną zawieruchę; okaleczony budynek (Sowieci zniszczyli cztery piękne mauretańskie wieżyczki wieńczące jego dach, a we wnętrzu świątyni urządzili bazar) do dziś stoi w samym centrum miasta, przypominając o jego wieloetnicznym i wielowyznaniowym charakterze. Jak pisze Tadeusz Olszański: „Synagogę zaprojektował i zbudował w mauretańsko-renesansowym stylu wybitny architekt wiedeński Wilhelm Stiasny. Stanisławowska synagoga była wierną kopią zbudowanej przez niego synagogi w mieście Palaczka na Węgrzech, uznanej za najpiękniejszą na Zakarpaciu. Ale co najważniejsze, główną ozdobą stanisławowskiej świątyni były cztery narożne wieżyczki z mauretańskimi kopułami w kształcie cebulek, ponoć takie same jak w uznawanej za najpiękniejszą w środkowej Europie synagodze w Budapeszcie. O co zresztą jej projektant, też wiedeński architekt, Ludwig Foerster proce-
sował się ze Stiasnym” (dz. cyt., s. 63).

cjonowały wojska węgierskie, wówczas związane sojuszem z hitlerowskimi Niemcami) kilku z nich, wraz z liczną grupą przedstawicieli polskiej inteligencji: lekarzami, urzędnikami, nauczycielami, zostało zaaresztowanych w budynku gestapo przy ul. Bilińskiego, a później cudem wprost uniknęło śmierci w tym przeznaczonym krwią i cierpieniem tysięcy ludzi miejscu kaźni²⁰. Moi przodkowie zaufali Matce Bożej Łaskawej, a ta odwzajemniła ich głęboką wiarę, opiekując się nimi aż do końca wojny. Według miejscowej legendy na początku XVII wieku Maryja przedstawiona na ikonie (wiernej kopii wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej) zapłakała, wzbudzając święty respekt wśród wyznawców. Od tej pory datował się kult maryjnego wizerunku w Stanisławowie, którego uwieńczeniem stała się koronacja obrazu w maju 1937 roku. Na oczach wielotysięcznej rzeszy pielgrzymów i przedstawicieli polskiego Kościoła z kardynałem Augustem Hlondem na czele dokonał jej arcybiskup obrządku ormiańsko-katolickiego ks. Józef Emil Teodorowicz, wybitny działacz duchowy i polityczny II RP (był m.in. senatorem i członkiem Sejmu Ustawodawczego). O powojennych losach cudownego wizerunku Najświętszej Maryi Panny Łaskawej patronki Stanisławowa, którym z wielką czcią i poświęceniem opiekował się przez lata okupacji i później, w okresie Polski Ludowej, ks. Kazimierz Filipiak, dowiedziałem się z książki Tadeusza Olszańskiego. Obraz cudem wywieziony z miasta po 1945 roku trafił najpierw do Opola, następnie jakiś czas wisiał w prywatnej kaplicy w Tymbarku (rodzinnej miejscowości ks. Filipiaka), by trafić w końcu do kościoła św.św. Apostołów Piotra i Pawła w Gdańsku na Żabim Kruku:

Ksiądz Filipiak odbudował jedną nawę, a obraz umieścił w zakrystii zmienionej tymczasowo w sanktuarium. Mimo tych wszystkich kłopotów zachował pogodę ducha i poczucie humoru, bo kiedy odwiedziłem go w latach siedemdziesiątych, w opowieść o swoich losach mimochodem wtrącił, że tylko jeden Chrystus wie, ile kłopotów miał z jego Matką!²¹

Mój krótki pobyt w Stanisławowie dobiegł końca. I choć spędziłem w nim zaledwie trzy wrześnie dni, to dosłownie od pierwszego kontaktu z tym pięknym miastem poczułem się... jak u siebie w domu! Co więcej, czuję, że wciąż tam przebywam mocą pamięci i wyobraźni, a ci, których z miłością wspominam, są moimi przewodnikami po krainie wspólnej przeszłości. Na pewno tam jeszcze z nimi (i do nich!) powrócę, by spokojnie spenetrować uroczne zakątki ukochanego Miasta: secesyjne ulice i place, śródmiejskie świątynie i muzea, położony na peryferiach park Rewerów-Potockich. Może uda mi się także zaliczyć pętlę huculską i dotrzeć do Delatyna, gdzie niedaleko rwącego nurtu Prutu stała niegdyś (a może nadal stoi?) willa wybudowana przez pradiada Adolfa...

20 Z opowieści moich krewnych zapamiętałem upiorną postać zwyrodnialca Krugera, o którym tak pisze Tadeusz Olszański: „Krugger był szefem Gestapo w Stanisławowie, panem życia i śmierci. Rzadko jednak opuszczał gmach sądu przy ulicy Bilińskiego, gdzie oprócz siedziby Gestapo oraz więzienia znajdowała się jego prywatna rezydencja. Słynął z tego, że z balkonu strzelał ze swego snajperskiego sztucera do pokazujących się w pobliżu ludzi. Cały ten teren był strzeżony, ale jeśli komuś zdarzyło się tam zabłąkać, to musiał mieć dużo szczęścia, aby wyjść żywy. Na miasto Krugger wyjeżdżał tylko samochodem, w obstawie” (T. Olszański, dz. cyt., s. 124-125).

21 Tamże, s. 26.

Tymczasem żegnam się z tobą, Stanisławowie, słowami Mickiewiczowskiego sonetu, bo – choć odnoszą się one do innych utraconych Kresów – najlepiej wyrażają ból czulej pamięci, która zawsze i o każdej porze krąży nad wodami zmałowanego źródła:

*Niemnie, domowa rzeko, gdzież są tamte zdroje,
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?*

*Gdzie miłsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele?
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje?*²²

Marek Bernacki

22 A. Mickiewicz, *Do Niemna*, [w:] tegoż, *Wybór poezyj*, tom II, oprac. Cz. Zgorzelski, Wrocław; Warszawa; Kraków; Gdańsk; Łódź: Zakład Narodowy im. Ossolińskich – wydawnictwo, 1986, s. 59.

Archiwum
Literackie

**ARCHIWUM
LITERACKIE**

Z nad jezior mazurskich Wspomnienie z wycieczki krajo- i ludoznawczej

ALFONS MAŃKOWSKI

(1870-1941) był księdzem, uczonym humanistą, historykiem Kościoła katolickiego. Od początku swojej aktywności naukowej związany był z niezwykle zasłużonym Towarzystwem Naukowym w Toruniu, którym kierował w latach 1923-1939. Pełniąc funkcje duszpasterskie w województwie pomorskim, jednocześnie zajmował się intensywnie badaniami i publicystyką naukową, dzięki czemu został członkiem-korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności. W obszarze jego zainteresowań leżała również historia Warmii oraz życie społeczne w południowych Prusach Wschodnich. Współtworzył Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich w Prusach Wschodnich (1910). W latach 1918-1919 wchodził w skład Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Gdańsku i Powiatowej Rady Ludowej w Lubawie. W 1920 roku uczestniczył w akcji plebiscytowej na terenie Warmii, Mazur i Powiśla. Zginął w obozie koncentracyjnym w Stuttgofie.

*Cudze chwalicie,
Swego nie znacie;
Sami nie wiecie,
Co posiadacie.*

Od niedawna rozbrzmiewa wśród swoich i obcych wołanie: „Więcej znajomości rodzinnych stron!”

Hasło to aż nadto usprawiedliwione znajduje wyraz w usiłowaniach, by podnieść turystykę w okolicach ogółowi mało znanych, a nie pozbawionych bynajmniej uroku piękności romantycznej, [...] w przepisach urzędowych nakazujących ochronę zabytków sztuki swojskiej i przyrody, – niemniej także w żądaniach udogodnień komunikacyjnych.

Dla nas potrzeba tem pilniejsza, bo łączy się z nią jeszcze interes narodowy. Niestety zaznaczyć wypada, że tej potrzeby nie odczuwamy w dostatecznej mierze.

Podróże do Warszawy, Krakowa, Tatr i innych miejscowości i okolic, oraz za granicę powinny być wynikiem potrzeb zdrowotnych i kulturalnych, ale w rzeczywistości są często objawem mody. Jedzie się tam, bo inni tam już byli i o tamtych stronach mówią, więc nie wypada oczywiście nie być tam. Skutkiem takiego postępowania ogromne obszary

Polski historycznej i etnograficznej pozostają całkiem nieznane dla znacznej części wykształconych i zamożnych rodaków odbywających podróże.

[...]

Dla tych, którym czerpanie wiadomości i wzbogacenie wiedzy o kraju i ludzie naszym jest wskazaniem narodowem, pierwszym źródłem informacyjnym jest i powinna być książka; ale i wiadomości książkowe choćby najdokładniejsze nie dają jeszcze należytego obrazu kraju i ludzi, które się poznać pragnie. Ważnem ich uzupełnieniem jest podróżowanie. Dopiero na tle naszych krajobrazów, w zetknięciu się osobistem z ludem i powstałej z nim rozmowie rozumie się duszę jego, jego dążności i wyobrażenia, zakres i istotę idei, w obrębie których odbywa się jego praca myślowa, pobudki działania, głębsze przyczyny stanu jego w teraźniejszości, a co bardzo dla przyszłości jest ważnem, pozna się, o ile ludność jeszcze jest nasza.

Z takich rozważań i przekonań wysnuł się w sierpniu roku ubiegłego zamiar podróży do jezior mazurskich, mnogich i szeroko rozlanych, około których rozsiadła prawie wyłącznie ludność polska.

Droga kolei żelaznej wiedzie na Iławę, Ostródę, Olsztyn i Szczytno ku Rudczanemu, które obrałem za punkt wyjścia. Na dworcu tamtejszym cała rzesza wycieczkowiczów – ile że to niedziela wieczór – wracających do Jańsborka, Żądborka i innych miast. O nocleg kłopotu nie ma, bo obszerne „Kurhaus” tuż przy dworcu.

Pomimo okien otwartych całą noc sen od powiek odbiega w przepalonym przez żar słoneczny budynku, dopiero nad rankiem chłód przyjemny usposabia do orzeźwiającego snu. Ale teraz nie pora odpoczywać; zanosi się znowu na dzień upalny, należy tedy korzystać z chłodu porannego i wybrać się w drogę do doliny rzeki Krutyni, a zamtąd do Wojnowa (Eckertsdorf), gdzie cerkiew Starowierców (Filiponów) i klasztor mniszek urocznie nad brzegiem jeziora położony.

Najwygodniej i najszybciej dotrzeć do celu koleją żelazną. O pospiech wprawdzie chodzi, ale nie o wygodę, pragnę bowiem spotkać się z tubylcami i bliżej ich poznać. Do tego celu nie nadaje się jazda koleją żelazną.

Jedyna droga ku Krutyni (rzece i wsi) to szosa na Uktę, – nudna, pozbawiona urozmaïcenia. Mijam tartaki parowe rudczańskie, do których dążą na kołowcach i pieszo robotnicy. Pozdrawiają tylko po niemiecku „Guten Morgen”, ale akcent i rozmowa między nimi zdradzają, że to nie Niemcy. Nie zatrzymuję ich, chyba że krótkie stawiam, niezbędne pytania, na które uprzejmie otrzymuję polską odpowiedź. Dopiero pół godziny później nastrocza się sposobność do rozmowy dłuższej, mianowicie z zagrodnikiem Cz-wem, Moskałem z Dużych Świgajnow (Schoenfeld). Po ogólnikowych pytaniach o drogę i okoliczne wioski rozmowa schodzi na sprawę nam obydwom bliższą.

„W Wejnowie podobno cerkiew i klasztor Filiponów, chcę je dziś zwiedzić”.

Moskal, wysokiej postawy mężczyzna, lat około 50, o typie najwyraźniej ukazującym pochodzenie rosyjskie, ale usposobienia łagodnego i szczerego, uradował się. „A to pięknie”, mówi akcentem mazurskim, „dziś właśnie święto (nazwał je po rosyjsku), Polacy nazywają je Przemienienie Pańskie i obchodzą 6-go Augusta. O 8-mej godzinie wielkie uroczyste nabożeństwo, potem i o 10-tej, a po południu o 5-tej”.

„Jak to, mnie zachęćcie, abym do cerkwi poszedł, a sami nie idziecie na nabożeństwo?” Pytałem udając zdziwienie i zgorszenie.

Moskal zawstydział się, tłumaczył, że nie będąc zbyt zamożnym idzie na połów ryb, ale zmówił już w domu wszystkie pacierze. I nuż dowodzi, że jest prawowiernym, bo przecież nosi krzyżyk. „Mazurzy się z tego wyśmiewają, gdy widzą krzyżyk, ale to świętość! Choćby kto miał nieszczęście i umarł gdzieś niespodzianie w drodze, a znajdą przy nim taki krzyżyk (to mówiąc wyciągnął z pod koszuli na piersi zawieszony krzyżyk), ten zostanie na cmentarzu uczciwie pochowany. Ja też zarost noszę, my wszyscy ruscy brodę mamy tak, jak Pan Jezus... czy pan widzieli kiedyś Pana Jezusa bez brody na obrazku? Nigdy! Żydzi nawet brody noszą, a my chrześcijanie nie mamy nosić?”

„Iluz Was ruskich tu mieszka?” zapytałem chcąc rozmowie dać inny kierunek.

„Jest nas tu siła, ale dawniej było więcej. Niektórzy się wyprowadzili do Rosyi, młode pokolenie już się nie uczy w szkole po rusku, ani po mazursku...”

„A dawniej się uczyli nawet po rusku?”

„Uczyli, uczyli, sam się jeszcze uczyłem, ale po wojnie francuskiej rząd nakazał tylko po niemiecku uczyć... dzieci już tylko rzadko kiedy umieją po rusku czytać...”

„Czy ruscy się żenią tylko z ruskimi, czy też czasem z polskimi, ewangelickimi dziewczynami?”

„Z ruskimi,... ale czasem też z polskimi” dodał z żalem „z takiego małżeństwa dzieci już ruskie nie są, choć ojcowie ruskimi zostaną”.

„Zkądżeż starowiercy w te strony mazurskie przyszli?”

„Z różnych stron... ojciec mój z rodzicami swymi przyszedł aż z pod Żytomierza, miał 6 lat, gdy tu nastał, inni mówili, że z pod Białegostoku przyszli”.

„To zapewne omyłka, może sprowadzając się tu dotąd przez pewien czas tam się zatrzymali, ale ich ojczyste strony zapewne dalsze, odleglejsze są”.

„Nie wiem, proszę łaski pana, ale tak jedni mówili. Król dał im darmo ziemi, tu się wybudowali; najwięcej mieszka w Wejnowie, potem w Świgajnach, Osiniaku (Fedorwalde), Piotrowie (Peterhain) i Wólce (Dietrichswalde)”.

„Czem się zajmują ruscy?”

„Gospodarzą na roli, albo są robotnikami, albo idą na sady w dalekie strony”.

„Ogrody owocowe dzierżawią?”

„Dzierżawią, jeden z naszych jest aż w Instербургу (Wystruciu). Oni tam dobrze zarabiają, a potem na zimę do domu wracają”.

Ta okoliczność, że „na sady” idą zdaje mi się za tem przemawiać, iż tutejsi rosyjscy osadnicy pochodzą z południowych gubernii cesarstwa, gdzie ogrodnictwo kwitnie, nadto dowodzi silnie zakorzenionego zmysłu kupieckiego, który – jak wiadomo – Rosyanom jest wrodzony.

„W Wejnowie jest świąszczennik (pop)?”

„Jest, panie, i odprawia nabożeństwo”.

„Czy pochodzi ztąd, czy sprowadził się z Rosyi?”

„On tutejszy, tu się urodził, nazywa się Borysewicz, już nie jest młody”.

„Gdzieindziej w tej okolicy cerkwi nie ma?”

„Jest w Świgajnach, ale nie ma tam popa... dawniej był... w Wejnowie jest klasztor z cerkwią, ale tam mają osobnego księdza, nasz tam nie chodzi. Dawniej byli mnichy tam, teraz są zakonnice”.

„Jest tu jeszcze gdzieś męski monaster?”

„Już dawno nie ma... mniszki dawniej były w Pupach”. (Stacya kolei żelaznej na torze szczycieńsko-jańsborskim przed Rudczanem).

Wtem przechodzi koło nas człowiek około 45-letni, ogolony, z kosą na ramieniu. Widać po nim pewien dostatek, niewątpliwie jest to gospodarz. Gdy nas minął, Moskał zbliża się do mnie i tajemniczo szepce do ucha:

„To ksiądz, panie!”

„Ksiądz? To tu księża chodzą z kosą do roboty? Cóż gadacie!”

„Ale to jest ksiądz. On uczy ludzi i nabożeństwo odprawia. On mieszka tu w Świgajnach”.

„Kościół ewangelicki jest przecież w Ukcie”.

„To nie ten z Ukty, on uczy ludzi w gromadkach”.

„Aha, to taki duchowny!” Teraz przypomniałem sobie owo sekciarstwo luterskie uprawiane w „gromadkach” na Mazurach już od lat kilkudziesięciu, wobec którego duchowni luterscy bezsilni. Jeżeli pamięć nie myli, to znany literat mazurski Skowronek na tem tle osnuł powieść z życia mazurskiego... czytałem nagłówek tej powieści gdzieś w jakiejś gazecie.

Pojawienie się przedstawiciela sekciarstwa dało mojemu informatorowi pochop do objawienia swych poglądów nie tylko na sekciarstwo, ale i na wyznanie ewangelickie. Okazało się, że miał do nich niechęć graniczącą z pogardą.

„On mnie chciał nawrócić i pytał się raz, czy ja wiem, dokąd po śmierci przyjdę. Odpowiedziałem: nie wiem, jak mnie Pan Bóg osądzi, jeżeliś godny, to mnie Pan Bóg weźmie do nieba. Wtedy on mówił, że ja bardzo głupi, kiedy tego nie wiem, on wie napewno, że przyjdzie do nieba. Namawiał mnie, że miałem do gromadek przystać. Ale poznał, że to licha wiara i powiedziałem, że ma iść sobie z taką wiarą, nie chcę o niej nic wiedzieć. Od tego czasu dał mi spokój. On mówią, że ich Duch św. oświecił, ale ich uczynki są liche”.

I jał szczegółowo opowiadać, jako jeden z takich samozwańczych predykantów gromadzkich obwiesił się na kłamce drzwi przy kuźni w jednej z pobliskich wsi. „I taki człowiek innych nauczał!” zakończył z oburzeniem.

Ciekawem było opowiadanie Cz. o usiłowaniach luterskich, aby starowiercy porzucili wiarę ojców.

„Raz przyjechał „Haupt-Superintendent” z Królewca, zwołał wszystkich ruskich i mówił tak: Teraz będziemy wszyscy wierzyć tylko w Pana Jezusa, ale nie w Matkę Boską. Ale wszyscy się oburzyli i głośno wołali: Co, my nie mamy wierzyć w Matkę Boską? Cóż to za wiara bez Matki

Boskiej! Nie chcemy takiej wiary! I zaraz wszyscy wyszli z tego zebrania. Panie – mówił, składając ręce – jabym w Matkę Boską, naszą Matkę nie miał wierzyć!”

„W M. B. Częstochowską także wierzyć?”

„Wierzymy, mamy na obrazach!”

Tegoż dnia jeszcze przekonałem się, że i tutejsi osadnicy rosyjscy cześć oddają N. M. P. Jasno-górskiej.

„Czy rząd nie przeszkadza wam w waszych nabożeństwach?”

„Od retencji mamy spokój, nic nie przeszkadza, ale w szkole każe uczyć tylko po niemiecku”.

Moskal dowiedziawszy się, że kapłan katolicki, w szczerości opowiadania nic nie zmienił, ale choć go nie nawracałem, nie mógł się powstrzymać od zaznaczenia, że do śmierci wiernym pozostanie cerkwi greckiej. „Panie” rzekł, „ta nasza wiara jest najpierwsza i najstarsza! Rzymski papa odstąpił od naszej wiary, u nas prawdziwa wiara”.

[...]

Mając czasu na dworcu mały kwadrans rozejrzałem się wśród ludzi na pociąg czekających. Jeden z robotników, rosyjski chłop, blondyn, lat około 40, typem swoim odmiennym zwrócił moją uwagę na siebie. Przypomina rysami pierwszego mojego informatora Cz-wa. Pocóż zgadywać – myślę sobie – kiedy łatwo przekonać się można.

„Ruski jesteście?” pytam obcesowo przystępując doń.

„Ja, ich bin griechisch-katholisch!”

„Mówcie po polsku, kiedy i ja do was po polsku mówię. Dlaczego ze mną po polsku, po mazursku nie mówicie, kiedyście co dopiero z tamtymi kobietami po polsku mówili?”

Dziwny uśmiech zagościł na twarzy jego, jakoby nie wiedział, jak się ma wobec interpelanta zachować. Snadź takiego napomnienia jeszcze nie słyszał.

„Zkąd jesteście?”

„Aus Schoenfeld”.

„Ze Świgajnow” poprawiłem.

„A dokąd jedziecie?”

„Do Żądborga na landraturę, chcę rentę dostać”.

„Kobiety także ze Świgajnow?”

„Ja, jedna to moja żona”.

„Czy ruska?”

„Nie, polska, ewangelicka”.

„A dzieci?”

„Dzieci ewangelickie”.

Prezentowana we fragmentach książka „Z nad jezior mazurskich” powstała na marginesie wszechstronnych zainteresowań Alfonsa Mańkowskiego. Przewodnik – dziś archaiczny w formie – wówczas, na początku XX wieku, wpisywał się w centralny w Europie nurt tzw. ludoznawstwa, reprezentowanego w kulturze polskiej m.in. przez Zygmunta Glogera czy Oskara Kolberga. Poprzez język, związki kulturowe poszukiwano i odkrywano „wspólnotę narodową” ludów często zapomnianych, żyjących na pograniczach i peryferiach dominujących kultur narodowych [red.].

[...]

Zaledwie opuściłem wieś Krutynię, zrównał się ze mną wóz zaprzężony w dwa gburские konie kierowane przez średniego wieku gospodarza. Ten grzecznie uproszony, aby udzielił na wozie gościnności, umieszcza mnie na miechu zboża, choć tylko jedzie do Papierni, tj. folwarku rozparcelowanego, którego częśćkę i on posiada.

Nawiązanie rozmowy nie napotyka na żadne trudności. Wnet wchodzimy w dziedzinę językową i narodową – drażliwą wobec nieznajomości pytającego i wobec samego przedmiotu.

„Przybyłem zwiedzić wasze piękne okolice, rzeki, jeziora, lasy, poznać ludzi, tak jak w moich okolicach po polsku mówiących”.

Na zapytanie odpowiadałem, z kąd przyjeżdżam i uprzedzając go opisując krótko stosunki w moich okolicach panujące.

„Gburzy, gospodarze pewnie wszyscy mazurscy?”

„Jo, wszyscy polscy; czasem koło miasta trafiają się niemieccy, co po polsku nie umieją, ale mało. Zastanowiło mnie kładzenie nacisku na „polskie”, choć dla wysondowania opinii ostrożnie pytałem o „mazurskość”.

„Na zebraniach gminnych u sołtysa więc mówicie po polsku?”

„U wójta?”

„Tak, u wójta.”

„Inaczej nie mówimy.”

„A panowie z folwarków mówią do was po jakiemu?”

„Po polsku, ale młodzi więcej po niemiecku.”

„W kościele jak prawią księża?”

„Po polsku i po niemiecku.”

„Gazety jakie czytacie?”

„„Przyjaciela Ludu” z Królewca, czasem i „Mazura”.”

„Która się lepiej podoba?”

„„Mazur” jakby więcej za nami trzymał.”

„Kalendarze i książki do nabożeństwa też polskie?”

„Jo, polskie, jeno dzieci muszą się uczyć w szkole po niemiecku, dlatego czytają czasem po niemiecku.”

„Ale uczyć je przecież w domu po polsku?”

„Muszą się nauczyć.”

„Dobrze robicie, bo trzeba szanować to, co swoje, to co szanowali ojcowie i praojcowie nasi, nie możemy przecież tego zatracić. Nie wyrządzamy nikomu krzywdy, ale też nie chcemy, żeby nas kto krzywdził, zabierając nam nasz język polski”.

„Panie, polska mowa musi być szanowana, ona nie może wcale zaginać!” odrzekł Mazur stanowczo. „Dzieci nasze muszą tak samo mówić, jak my teraz mówimy”.

Pocieszający to był objaw samowiedzy narodowej. Pytam dalej:

„Gdy były wybory do parlamentu, na kościele głos oddali?”

„Ach welunki?”

„Tak, welunki, wybory.”

„No my głosowali na pana Lewandowskiego z Poznania.”

„Czy nie zakazywali wam tego?”

„Chcieli zakazać, ale my trzymaliśmy się i kartki na niego oddaliśmy. Tak było w naszych stronach. Ale gdzieś indziej jednak na niego nie „welowali” i nie pojechał do Berlina.”

[...]

Wreszcie stanęliśmy koło zagrody gospodarza, który serdecznie na pożegnanie wyraził życzenie szczęśliwej podróży. Zeskoczywszy z woza, na którym się tak niewygodnie, a tak mile siedziałem, idę drogą ku Rosochom (Jaegerwalde) wśród upału ciągle wzmagającego się, aby dotrzeć do Wejnowa. Droga piaszczysta wiedzie wprost na folwark, gdzie się gubi, tak, iż nie wiedzieć, dokąd się zwrócić; wreszcie za nową stodołą jeden z robotników cegielnianych wskazuje drogę ku lasowi, radzi, aby iść „laengs dem Wald entlang”, bo „den Kloster” tam z za drzew już widać. Rzeczywiście widać nad drzewami zabudowania, z pośrodku których sterczy wieża; już też z niej odzywają się jasnym głosem dzwony. Gdy mi się zdawało, że dość długo szedł wzdłuż lasu idę wprost łąką ku polu, by zamtąd przejść do klasztoru, ale leśniczy przy żniwach zajęty zwraca uwagę na odnogę jeziora, niewidoczną, bo za górką leżącą, którą koniecznie okrążyć trzeba. Nie ma rady, trzeba wrócić do brzegu lasu i okrążyć jezioro.

Około godziny 11 i pół stoję przed bramą. Wchodzę. Po lewej stronie mularze budują dom, podobno nowe mieszkanie dla zakonnic. Na prawo domek, z którego wychodzi stary mnich w ciemnym habicie grzecznie witając. Otrzymuję pozwolenie obejrzenia cerkiewki maleńkiej przybudowanej do wysokiej kamienicy mieszczącej mieszkanie przełożonej. U wejścia na ławie leży śpiący mnich. Cerkiewka zamknięta, ale przez szklane drzwi widzi się małą tylko kapliczkę z mnóstwem obrazów śś. Mniszka starszuszka zbliżając się do mnie pokazuje obrazy Matki Boskiej Petrowskiej, Kazańskiej, Częstochowskiej i innych śś., których imiona poszczególne niezupełnie dokładnie jej znane. Mówi dobrze po polsku, bo tutejsza. Opuściwszy cerkiewkę zbliżam się do trzech na dziedzińcu spożywających obiad mnichów. Jeden z nich habitem jasno szarym różniący się od innych osobno jada i od mniszek w usłudze bywa wyróżniany zapewne dlatego, że na wyższym w hierarchii cerkiewnej stoi miejscu; on to bowiem dziś odprawił nabożeństwo w zastępstwie świąszczenika, który w interesach klasztoru wyjechał do Warszawy. Mówi biegle po polsku, bo i on urodzony w Prusiech. Objaśnia, że mniszek jest obecnie 40, braciszków zaś 5, starszusków potrzebnych do prowadzenia gospodarstwa, bo do klasztoru należy około 20 morgów ziemi. Mniszki noszą chustki na głowie, włosy na dół czesane, w połowie czoło poziomo obcięte nożycami. Po polsku niewiele umieją, bo przeważnie pochodzą z Rosji. Wrażenie bynajmniej nie odrażające, nawet dość sympatyczne sprawiają uprzejmością i gościnnością. Z jednego domu, z którego noszą braciszkom potrawy, sychać jakieś śpiewanie monotonne przerywające ciszę panującą naokoło, – to jedna zakonnica „czyta” podczas obiadu innym siostrom żywoty śś.

[...]

Szliśmy przeszło kwadrans drogą piaszczystą w skwarze słonecznym, gdy przewodnik wskazał zagrodę składającą się z domu mieszkalnego w szacholec zbudowanego, stodołki i chlewika z drwalnią, objaśniając, że to probostwo.

[...]

Na derce końskiej na ziemi rozpostartej z poduszką niewyraźnego koloru pod głową leżał w płóciennym ubraniu przepasany czarnym, skórzanym pasem mężczyzna brodaty przeszło 60-letni odwrócony od drzwi. Był to paroch parafii filipońskiej. Na moje pozdrowienie polskie pop podniósł się trochę z posłania sielankowego i wołając: „Idźcie, sam nic nie mam!” ręką daje znak, że nic o mnie wiedzieć nie chce. Lecz niestrudzony mój cicerone i tym razem nie dał za wygraną, czyniąc ostatni rozpaczliwy wysiłek wyjednania mi posłuchania, ukląkł, ręce błagalnie do góry wznosił i całując ziemię, zawołał błagalnie:

„Batjuszka! Batjuszka!”

Jeżeli jeszcze było złudzenie, że prośba może być wysłuchana, to rozwiął je doszczętnie wymowny znak przez starca nogą w powietrzu zrobiony.

Na tem wizyta się skończyła. Teraz wiedziałem, dlaczego karczmarka wejnowska, gdym jej napomknął, że chcę księdza ruskiego odwiedzić, zdziwiona odpowiedziała:

„Na, wenn Sie den sehen, werden Sie gar nicht denken, dass das ein Pfarrer ist!”

Rzeczywiście! w niczem żadnej różnicy między nim a parafianami; koło domu żadnego znaku, że tu mieszka człowiek inteligentniejszy, mający potrzeby kulturalne.

[...]

Przejechaliśmy tymczasem przez wieś gospodarczą Świgajny, gdzie cerkiew podobna do wejnowskiej, niegdyś obsługiwana przez duchownego, obecnie opustoszała dla zmniejszającej się liczby Filiponów. Mijając Małe Świgajny zbliżamy się do Rudczanego. Ale czasu dosyć jeszcze, by wywieść się o przekonaniach narodowych i społecznych tego gorliwego uczestnika w gromadkach.

O politykę niewiele się troszczył. Przed wyborami – jak wszędzie zresztą – agitacja wrzała, bywały zgromadzenia zwoływane przez różnych agitatorów, „ale jeden zawsze gadał na drugiego, każdy chciał, aby na jego kandydata welowali.”

„A wyście komu głos oddali?”

„Na pana landrata, on pisał, że najwięcej się o nas starać będzie.”

„Ale trzeba było głosować na swojego, na Polaka, taki zawsze lepiejby się starał, bo to zawsze swój, a nie obcy.”

„U nas nie zakazują mówić po polsku, my tutaj żadnej krzywdy nie mamy, jeno że w szkole uczą po niemiecku... niejedni welowali na Polaka... niech Pan nie myślą, że się zapieram polskiej mowy...”

„Wierzę wam, bo z pewnością trzymacie polską gazetę.”

„Jo, Przyjaciela Ludu z Królewca.”

„I polski kalendarz macie?”

„Nie, niemiecki, Friedensbote.”

„Niemiecki? Jakto?”

„Jo, oni mówią, że nie mogą po polsku drukować, bo nie mają czasu, oni już drukują po niemiecku i po litewsku.”

„A... to Litwini więcej znaczą niż Mazurzy! Zmówcie się jeno wszyscy i nie zapiszcie Friedensbote, to oni zaraz się nauczą drukować po polsku. Powiedzieliście, że mówcy agitowali po wsiach. Jacy to byli?”

„Jeden był od demokratów.”

„Co? To nawet i oni do was przychodzą? A cóż wam się zdaje o nich, czy oni dobrze życzą ludziom?”

„W Westfalach sztrejkują czasem traktamentniki, bo mają krzywdę, a demokraci ich bronią.”

„Jakie traktamentniki?”

„Te fabrykanty, co we fabrykach robią.”

„Więc niby robotnicy fabryczni!”

„Jo, robotniki.”

„Zkądto tak dokumentnie wiecie, że traktamentniki mają krzywdę?”

„Mój syn jest we Westfalach, to on mi opowiadał, że tam jest siła demokratów, i że oni za ludem mocno stoją.”

Teraz wyjaśniło się, dlaczego tak sprzyja ten gospodarz socyalistom... O ile czasu stało, sprostowałem mylne mniemanie poczcivca o socyalizmie.

[...]

Chcąc jeszcze zdążyć na parowiec, aby odbyć podróż do Leca, trzeba było bezzwłocznie udać się do portu, gdzie czekał statek „Loewentin”. Punktualnie o godz. 2 odbił od brzegu i kanałem płynąc popod most żelazny wtoczył się do jeziora nidzkiego (Niedersee) na przejażdżkę okrężną, śliczną, urozmaiconą lesistemi, wysokimi brzegami i wyzierającymi tu i owdzie domkami wsi przyległych. Okrążamy co chwila lesiste wyspy i półwyspy, co uroczy przedstawia widok. Do połowy jeziora dotarliśmy parowiec nawraca, by o trzy kwadranse na 3-cią być znowu w Rudczanem, przyjąć pasażerów i ruszyć do Leca.

Zajmująca to z wielorakich względów podróż. Lasy otaczają tylko jeziora bezdańskie (pierwsze, które z Rudczanego przepływamy), z niego wjazd malowniczy z szerszej części jego do węższej, podobnej do cieśniny. Tam, gdzie „wody tałteńskie” stykają się za pośrednictwem cieśniny z jeziorem śniardewskim (Spirdingsee), wita nas z dala na prawym brzegu miasteczko Mikołajki. Szkoda, że na to największe w Niemczech jezioro nie wjeżdżamy; kapitan tłumaczy, że nie ma tam wybrzeży obfitujących w piękno przyrody, nie ma nawet miast, bo Arys i Jańsbork dość daleko odległe od brzegu i nieznaczne tylko; bądź co bądź, sam wjazd na szerokie wody z ledwo widzialnymi brzegami, byłby już ponętym dla tych, którzy żądni wrażeń. Za wsią Tałtami odbywa się podróż małemi jeziorami, które są ze sobą połączone kanałami (Masurischer Schifffahrtskanal), krajobraz się zmienia, ale nie pozbawiony uroku. Niektórych – jak utrzymuje kapitan – nudzi podróż wązkimi kanałami, ale są i tacy, którzy dużo już podróżowali po dalekich krajach, a jednakowoż umieją podziwiać i skromniejszą piękność przyrody. I rzeczywiście! Jeżeli majestatycznym jest widok okrętu na rozległym wód obszarze, to niemniej ciekawem jest patrzeć na tenże statek szerokim tułowiem napierający na wody wązkiego, lecz głębokiego kanału. Wśród łąk najczęściej i pastwisk, ale i pól pagórkowatych, niekiedy zalesionych mijamy nowy kościół w Szymonkach nie odznaczający się formami architektonicznymi, natomiast pysznie się przedstawia starożytny kościół Rydzewski z białą

swą ciężką, czworoboczną wieżę u cieśniny łączącej jezioro jagodzińskie z lewentyńskim, jednym z największych na Mazurach. Mrok zapadający krótko po zachodzie słońca bardziej jeszcze nastroja duszę i czyni ją przystępną dla wrażeń w tym uroczym zakątku; długo jeszcze bowiem, chociaż z dala widać światło w porcie leckim, celu podróży naszej, oglądamy się poza siebie, za ginącą w topieli wód wieżę białą, stojącą jakoby na straży u pogranicza dwóch jezior...

O godz. kwadrans na 9-tą po przeszło 6-cio godzinnej jeździe dobijamy do portu, wysiadamy i idziemy ku miastu, które się rozłożyło półkołem nad brzegiem jeziora. Licząc około 7000 mieszkańców zawdzięcza ono rozrost swój i rozkwit wzmoczonej w ostatnich latach turystyce, która z natury rzeczy skierowuje się do okolic nęcących pięknosć przyrody.

Następnego dnia po wygodnym spoczynku przechadzka o godz. 6-tej najpierw na górę tabaczną za fortecą Boyen położoną, z kądem widok na północy na jezioro Mamry. Nasyciwszy oko dowoli ruszam z powrotem do miasta i koło zamku królewskiego, w którym mieszka gubernator fortecy, skręcam ku strzeleckim górcom wzdłuż brzegu jeziora lewentyńskiego na górę „Tafelberg”, u której stóp zwierciadło jeziora a za niem na lewo panorama miasta. Na górze krzyż żelazny, podobny do tego, który margrabina Wielopolska koło Fischhausen nad wybrzeżem sambijskim na cześć św. Wojciecha wystawiła. Na czyją cześć krzyż postawiono, okazuje napis: *Dem ersten deutschen Missionar, welcher fuer Christ Reich in Preussen im Jahre 1109 den Martyrertod starb, dem Edlen Brun von Luerfurt die evangelische Kirche in Loetzen 1910.* Warto było na tę górę się trudzić, nie tylko dla krzyża i panoramy miasta, ale i dla widoku na odległe wybrzeża zwłaszcza na lesiste góry Strzeleckie rozciągające się wzdłuż zachodniego brzegu.

Czas chyżo schodzi, więc zdążam do pociągu, który ma zawieźć mię do Juchy, wsi położonej na torze lecko-leckim (Loetzen-Lyck). Po jeździe trwającej godzinę staję na miejscu. We wsi kościół, którego wspinała wieża przechowała wiernie znamiona stylu gotyckiego, gdy w nim daremnie ich szukasz. Gmach ten niewątpliwie pamięta czasy, gdy się w nim odbywało nabożeństwo katolickie. W środku wsi pomnik, na którym zdala widać napisy. Kobieta przechodząca zapytana, komu postawiony, odpowiada, że tam spoczywa „starszyzna wojskowa”, natomiast dokładne oględziny stwierdzają znany napis: *„Aus diesem Kirchspiel starben fuer Koenig und Vaterland”,* a pod nim nazwiska żołnierzy poległych od r. 1813 do 1871.

[...]

184 Gdyby nie chodziło o nic więcej tylko o szukanie wrażeń wśród piękności przyrody, mógłbym wrócić do Juchy i czekać na pociąg, atoli idzie mi przeciw o spełnienie ważnego zadania podróży: badanie „dokumentów ludzkich”, przekonywanie się, jak i co myślą o naszych sprawach najżywniejszych tutejsi rodacy. Chociaż tedy krajobraz im dalej tem więcej na piękności traci, idę niestrudzenie dalej.

Szczęście jakoś tak nie sprzyja, jak wczoraj, – nie spotykam nikogo zgoła, ni pieszego, ni jeźdnego. Nie ma rady, trzeba wejść do mieszkań ludzkich! Nad drogą gospodarstwo około 50 morgowe, pukam do drzwi domu, nikt się nie odzywa, wchodzi: ni żywej duszy; widocznie

wszyscy na polu. Trzeba iść dalej; do Krzyw dość daleko, kogoś przecież spotkam. Nareszcie chłopak opodał drogi na łączce pasący kilka krów. Idę doń przez pole i witam:

– Dobry dzień!

– Guten Tag!

– Mów tak jak ja mówię; dlaczego po niemiecku mówisz, kiedy ja do ciebie po polsku mówię?

Chłopak nieśmiało spuścił wzrok ku ziemi i kłopotliwie się namyśla.

– Umiesz przecież po polsku?

– Umiem.

– Jak wolisz mówić, po polsku, czy po niemiecku?

– Po niemiecku.

Egzaminuję z niemieckiego. Umie słabo i źle wymawia.

– Jak mówisz pacierz, po polsku, czy po niemiecku?

– Po polsku.

– Jak się modlisz na książce?

– Po niemiecku.

– Dlaczego po niemiecku?

– Po polsku nie mogę czytać, – odpowiada coraz więcej ośmielając się chłopak.

– Ale jesteś przecież Mazur, Polak? – Milczenie. Nie dziwię się. Tylokrotnie weń wmawiano, czym być powinien i czym jest, z kądzień tedy u niego miała się wziąć świadomość tego, czym jest rzeczywiście?

– Gazety czytasz?

– Nie, ale ojciec czyta.

– Jaką gazetę czyta?

– Z Królewca.

– Kalendarz także z Królewca?

– Jo, z Królewca.

– Przysłuchujesz się chętnie, kiedy ojciec czyta? Podoba ci się to?

– Jo, jo, to mi się podoba – odpowiada z wyrazem szczerości na twarzy.

Dzięki Bogu, pomyślałem, że jeszcze jakieś zaciekawienie okazuje dla mowy rodzinnej.

– Czy tu ludzie chodzą na gromadki?

– Chodzą.

– W Juchach?

– Nie, tam nie ma. Ale w Małym Krzywem są.

– W szkole nauczyciel zakazał chodzić na gromadki? – Ksiądz też zakazuje?

– Ksiądz nie zakazuje, nauczyciel też nie zakazuje.

– Ty nie chodzisz?

– Nie. Mój ojciec nie chodzi, to ja też nie chodzę.

Zakończyłem rozmowę dając chłopcu upomnienie, aby szanował mowę ojców.

W Małym Krzywem zwracają na siebie uwagę szczegóły z budownictwa, które uderzyły przyrodnia już w innych wsiach. Najprzód u większego gospodarza wzdłuż drogi wiejskiej

murowany budynek gospodarczy z wielkimi wrotami. Sądzisz, że to murowana stodoła, której wrota prowadzą na klepisko. Mylisz się: to stajnia, wrotami wjazd na podwórze, po obu stronach tego wjazdu, wewnątrz budynku, drzwi kilka do stajni i chlewów. W budownictwie drewnianem interesujące szczegóły w spojeniach szacholca i ozdobach, nawet w murowanych domach między belkami pod gzymsem piękny układ cegieł niewątpliwie przyjęty z odpowiednim zastosowaniem z budowli drzewianych. Nie wiem, czy towarzystwo literackie „Masovia” lub inne pokrewne mu stowarzyszenia tym objawom osobnej kultury mazurskiej poświęciło uwagę i studia, przypuszczam atoli, że tak nie jest; tu mi chodzi tylko o zaznaczenie, że właśnie w t. zw. zapadłych kątach zachowały się swoiste odrębności kulturalne, godne studium znawcy, ale i nieobojętne dla żadnego wrażeń i wiedzy wędrowca.

Wierny swemu przedsięwzięciu, by w bezpośrednim zetknięciu poznać świat pojęć i dążeń Mazurów pruskich pragnę pod różnemi pretekstami nawiązać rozmowę, ale usiłowania nie powiodły się wobec tego, że jedni bardzo pilną byli zajęci robotą, której przerywać nie mogli lub nie chcieli, innych zaś w domu nie było, jeszcze nie wrócili z pola.

[...]

Po kilku ogólnych zapytaniach proszę o wyjaśnienie stosunków językowych w tutejszej okolicy dawniej a dziś. Bezpośrednim pretekstem była okoliczność, że kobieta około 50-letnia do karczmy przysła, aby coś kupić. Mówiła po polsku wtrącając czasem słowo niemieckie, gdy tymczasem karczmarka mówiła po niemiecku.

– Gdyśmy tu nastali przed 26 laty, niceśmy nie mogli zrozumieć, bo wyłącznie mówili tu ludzie po polsku; teraz młodzież umie po niemiecku, starsi także dosyć się już porozumiewają z nami po niemiecku, zresztą i my teraz już rozumiemy ludzi po mazursku mówiących.

– Czy wszyscy mieszkańcy są Mazurzy?

– Wszyscy.

– Czy są i więksi gburzy?

– Są dwaj. W domu mówią jeszcze po mazursku, ale bardzo się skłaniają do niemczyzny.

Czytają przeważnie niemieckie gazety.

– Istnieją tu także „gromadki”?

– Tu nie; one się schodzą w Małym Krzywem.

– Jak się nazywa ich duchowny?

– Nie wiem, bo do nich nie chodzę. W moich rodzinnych stronach koło Tylży były także już „gromadki”, ale i tam na nie nie uczęszczałam.

– Przecież tam Mazurów nie ma, więc zapewne schadzki tam inaczej nazywano?

– Owszem, nazywaliśmy je także gromadkami, – choć to okolice niemieckie.

– Co pani o nich sądzi? Proszę mówić otwarcie, bo do nich nie należę i z dalszych pochodzę stron. Chcę zaspokoić niewinną ciekawość, gdyż tu rozmaite o tych schadzkach głoszą zdania.

– Mąż i ja szczerzy jesteśmy i wierzącymi ewangelikami, ale w gromadki wierzyć nie możemy. Razi nas przesada i nierzetelność.

– Przesada? W czym?

– Pewien gbur w naszej wsi wydawał córkę za mąż. Cała rodzina wiernie oddana sprawie „gromadek”, więc odbywały się długie modlitwy, podawano tylko postne potrawy, nie częstowano żadnymi napojami alkoholowymi, nawet piwa nie było... nie myśl pan, że nam chodziło wtedy

o zarobek, dodała, spostrzegłszy lekki uśmiech na mojej twarzy, – oniby od nas na wesele nie byli nic kupili.

– Jeżeli wiara im to nakazuje, czemużby tego nie mieli czynić? Nikomu to nie szkodzi.

– Prawda, że nie szkodzi gorliwość, choć ją za przesadę uważamy. Ale zachodzą rzeczy bardzo szkodliwe... Mieliśmy robotnika, gorliwego uczestnika gromadek, który przed jedzeniem i po niem długo na klęczkach się modlił, ale kradł drzewo, gdzie dopadł. Robiliśmy wyrzuty, groziliśmy prokuratorem, – on odpowiedział, że pan Bóg dla wszystkich każe rosnąć drzewom. Ale myśmy to drzewo kupili za własne pieniądze, więc ono nasze! – To obojętne, odpowiedział, kupiliście, boście mieli na to, ubogi człowiek na to nie ma, więc musi brać, z kąd dostanie... Gdyby to tylko wyjątek! Ale takich przykładów było tu więcej. Był tu młynarz, gorliwy sekciarz, człowiek nadzwyczajnie pobożny; myśleliśmy, że on rzetelny, ale przekonaliśmy się, że niedoważał mąki, a jeżeli waga się zgadzała, to mąka była zmieszana z piaskiem... Co mi po takiej pobożności, kiedy nie ma rzetelności!

[...]

Chłodny wietrzyk wiał już od rana, chmury coraz to gęściej żeglowały po przestworzu niebieskim; teraz, około godziny pierwszej widnokrąg się ściemnił, zbliża się ulewa z zachodu i już padają pierwsze ciężkie krople. Szczęściem nadbiega powózka jednokonna, której woźnica zabiera mię ze sobą; ale nie chroni mię to od przemoknięcia, bo właśnie gdy stajemy przed karczmą w Jusze, deszcz ustaje i niebo ukazuje pogodne oblicze.

Po godzinnej jeździe koleją żelazną przybywam do miasta Leca. Ulicami Dworcową i Królewiecką zdążam przez rynek do portu „Wendehafen” (nazwanego od nawracania parowców), z kąd ma się odbyć dalsza podróż parowcem do Węgoborka (Angerburg). Statek „Ernst” właśnie nadpływa z tamtąd, nawraca i zabiera kilku podróżnych. Jedziemy najprzód kanałem łączącym jeziora dargańskie i lewentyńskie, następnie dostajemy się na jezioro dargańskie, nad którym W. Steinort, stara siedziba hr. Lehndorffów z dawnym parkiem i zamkiem. Mijamy na jeziorze „Mamry” kilka wysp, z których największa, cała wysokopiennym lasem pokryta, Upałty latem zaludnia się letnikami i wycieczkowiczami pragnącymi używać zaciszy wiejskiej. Szkoda, że niebo zachmurzone nie pozwala w całej pełni chłonać wrażenia i ślicznymi widokami się rozkoszować; ale i tak widać, że warto w tem ustroniu uroczem przebywać. Po dwu godzinach jazdy zbliżamy się do miasta Węgoborka położonego nad rzeką Angerapem, nie u ujścia jego do jeziora, lecz wyżej pół mili. Parowiec płynie w górę rzeki, której koryto kręte i wązowate jest pogłębione. Interesujący to widok parowca większych rozmiarów wąską rzeką płynącego, – widok ciekawszy jeszcze, gdy znacznie obszerniejszy statek „Löwentin” w innej porze dnia wązowcami liniami dobija do miasta.

187

Zaledwie stanęliśmy w porcie, gdy rzęsy deszcz kazał szukać schronienia w hotelu. Niestety ulewa godzinami trwa, na pogodę w następnym dniu nie zanosi się, drogi zamykły i o wycieczce pieszej na razie myśleć nie można...

Postanowiłem tedy rzec się dalszego kontynuowania podróży, która i tak na kilka tylko dni była obliczona, ale nie wyrzekać się bynajmniej ponownej na Mazury wycieczki, aby inne jeszcze miasta i okolice poznać. W słotny dzień odbyła się podróż powrotna na Rastembork,

Korsze, Olsztyn i Iławę. W zadumie myśl ustawicznie wracała do zdarzeń ostatnich dwu dni; im dłużej trwała refleksya, tem bardziej umacniało się przeświadczenie, że się przyjemne i bardzo pożyteczne wśród rodaków spędziło chwile.

Alfons Mańkowski

Przedruk za: Ks. Alfons Mańkowski, „Z nad jezior mazurskich. Wspomnienie z wycieczki krajo- i ludoznawczej”.

Skreślił Ks. Alfons Mańkowski, Poznań 1912. Nakładem i drukiem „Pracy” Sp. z o. p.

Pisownia i interpunkcja zgodne z oryginałem.

**IV FORUM
OTWARTEGO
REGIONALIZMU**

**CZAS
PRZEKRACZANIA
GRANIC**

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”

Drodzy Przyjaciele!

Przyjaciele są jak ciche anioły, które podnoszą, kiedy nasze skrzydła zapominają jak latać. Świadomość, iż ta piękna metafora de Saint-Exupéry'ego nigdy nie musiała być w odniesieniu do Was stosowana w praktyce, która napawa radością i nadzieją. Fascynacja regionem Warmii i Mazur oraz potrzebą własnego wkładu w przemiany demokratyzującej się Polski pozwoliła Wam nie tylko rozwinąć skrzydła, ale również wyznaczyć trajektorię lotu przekraczającą wszelkie granice i wzbić się ponad codzienne i przyziemne wyobrażenia. Wyprzedziliście czas i zbudowaliście ścieżki oraz pomosty pozwalające na swobodne przemieszczanie się wielobarwnego świata idei, ludzi różnych regionów, środowisk, narodów. Chcę z okazji jubileuszu „Borussii” podziękować m.in. za: przekonanie wielu, iż przeszłość była nienormalna, lecz mimo wszystko ludzki duch jest silniejszy niż jakakolwiek ideologia. To słowa Winfrieda Lipschera. Uznanie za Czesławem Miłoszem, że nie można używać pojęcia Europa, nie odnosząc się do bliskiego kulturowo regionu i kształtowania wspólnoty żywych i umarłych Prusów, Niemców, Polaków, Warmiaków, Mazurów, Rosjan, Litwinów, Europejczyków. To cytat za Kazimierzem Brakonieckim. Chciałabym też podziękować za dostrzeżenie bogactwa w różnorodności i podjęcie próby zbudowania w Europie Środkowej takiego dachu nad głową, który nie przysłoni nieba [Krzysztof Czyżewski]. Za pomysłne przemierzanie przestrzeni między lokalnością a uniwersum oraz za włączenie się własnym głosem w tworzenie nowego społeczeństwa obywatelskiego. Tak powiedział Robert Traba. Pozwoliłam się samozwańczo określić przyjacielem „Borussii”, chociaż osobiście znam tylko kilkoro z Was. Usprawiedliwia mnie wyłącznie to, że czuję duchowe i intelektualne pokrewieństwo z ludźmi Stowarzyszenia. Proszę przyjąć serdeczne gratulacje oraz życzenia energii, pomysłów, odwagi i fantazji do dalszego wysiłku. Oby nie poszedł on nigdy na marne, a Wasze dzieło niech znajdzie godnych kontynuatorów.

Z przyjaźnią
Anna Wolff-Powęska

Poznań, 15 lipca 2016 roku

*Szanowni Borussianie,
Koleżanki i Koledzy,
Drodzy Przyjaciele,*

perypetie zdrowotne, które ciągle mnie osłabiają, nie pozwalają mi uczestniczyć w Waszym Świącie, spotkać się ze wszystkimi, wziąć udziału w debatach, weselić z Wami. Zapewniam jednak, że choć nieobecność jest moim smutkiem, to umysłem i sercem jestem z „Borussią”, raduję się Jubileuszem, wspominam dzieła i spotkania, wyglądam lepszej przyszłości.

Zapewne nie będzie nam łatwo, ale też nigdy łatwo nie było, może z wyjątkiem czasu entuzjastycznych początków. Chcę jednak stanowczo powiedzieć, że dzieło „Borussii” nie minęło i nie minie, potwierdziło ono już swoją owocność, wylegitymizowało swoją trwałość. Bliska nam wszystkim kultura polska, z całą swoją historyczną głębią i złożonością, ze wszystkimi splotami wielowyznaniowymi i wieloetnicznymi, z lokalną żywnością oraz krajowymi i europejskimi dopełnieniami, ma w działaniach i dorobku „Borussii” swój model nieomal idealny. Nie pomyłę się zapewne, gdy oznajmię, że chcielibyśmy widzieć cały nasz kraj pokryty siecią takich Stowarzyszeń, nie tylko go widzieć, ale i w nim żyć. Z czego wynika, że „Borussia” ma przed sobą przyszłość tak rozległą, jak rozległe są nasze wspólne pragnienia i marzenia.

Zatem: „Sto lat!”

Andrzej Mencwel

Przyborowie, 15 lipca 2016 r.

Czas przekraczania granic czyli o drodze do Europy etycznych ojczyzn

Szanowni Państwo,

Drodzy borussianie i przyjaciele „Borussii”,

prawdziwą bohaterką dzisiejszego wieczoru jest ta oto książka – „Czas przekraczania granic. Antologia Borussii 1990-2015”. Zawiera się w niej opowieść o ideach, działaniach i ludziach, którzy przed 26 laty wymyślili sobie, że chcą tworzyć i opowiadać Polskę, Warmię i Mazury, Europę inaczej. Nie przeciw komuś, nie walcząc, ale aktywnie, twórczo i skutecznie działając w różnych wymiarach kulturalnej rzeczywistości. Żadna opowieść zawarta między dwiema okładkami książki ani nie zamyka, ani nie wyczerpuje tematu. Po napisaniu konspektu, zakończeniu wyboru konkretnych tekstów doszliśmy do wniosku, że moglibyśmy napisać kolejną i jeszcze jedną antologię, a temat wielorakiej aktywności „Borussii” nie byłby wyczerpany. Dlatego dziś zaprosiliśmy Państwa, by choć na chwilę zatrzymać się i spojrzeć na zmieniającą się „Borussię” i przemiany w Polsce, by dopowiedzieć sobie to, czego mogło zabraknąć albo wymaga uzupełnienia w tej już opublikowanej opowieści.

Zanim poprowadzę rozmowę z naszymi gośćmi i gospodarzami, pozwólcie na dwie wprowadzające refleksje, dopowiedzenia tytułu i sensu naszego spotkania.

Zacznę przekornie, nawiązując do tytułu naszego spotkania: Co znaczy czas przekraczania granic? Nie jest to z pewnością przesłanie za likwidacją wszystkich granic, bo to tak, jakby chcieć likwidacji stereotypów, narodowych identyfikacji itp. Wszystkie one były, są i będą, bo taką konstrukcję ma ludzka psychika: chcemy być inni, chcemy tworzyć własną osobowość na tyle wyraźnie, żeby inni nas szanowali, lubili, żebyśmy my sami mogli się pozytywnie akceptować, również z naszymi wadami, w otoczeniu, którym przyszło nam żyć. Podobnie jest z grupami, niezależnie od tego, jak je zdefiniujemy, czy to jako grupę rówieśniczą, zawodową, narodową czy też... jako „Borussię”. Żeby zaistnieć w konkretnym miejscu i czasie (czytaj: w Olsztynie, w roku 1990), w świecie podzielonych wpływów i interesów, musieliśmy się zdefiniować, czyli stworzyć taką granicę, która pozwoliłaby jasno wyznaczyć przestrzeń naszej grupowej identyfikacji, różnej od innych idei, wyrażanych przez istniejące już stowarzyszenia i organizacje. Sedno borussiańskiej identyfikacji wyznaczyły „Manifest”, idee Atlantydy Północy, otwartego regionalizmu, kulturowej sukcesji. Bez doświadczenia granicy własnej tożsamości groziłoby nam niebezpieczeństwo utraty formy, braku realnej egzystencji; nie stalibyśmy się suwerenną grupą twórców i animatorów kultury, widoczną z czasem nie tylko na mapie regionu, lecz również Polski i Europy.

Włoski pisarz Claudio Magris trafnie spuentował jednak, że każda granica wiąże się zarówno z potrzebą pewności, ale i poczuciem zagubienia. Zagubienie automatycznie produkuje niepewność, a granica przekształca się w kordon, mur, za którym wzrasta ideologia „jedyna”, „słuszną” i „sprawiedliwą”. Tak, poprzez zamykanie się w obrębie hermetycznej granicy tworzy się społeczeństwo antagonistyczne, skoncentrowane na wykluczaniu i symbolicznej przemocy.

Pozytywnie rozumiane granice, wyrażane przez podkreślanie różnorodności, tak naprawdę konstytuują demokratycznie zdefiniowaną rzeczywistość egzystencjalną i kulturową. **Jest więc granica koniecznością, i warunkiem jednocześnie prowadzenia jakiegokolwiek DIALOGU.** Tytułowe „przekraczanie granic” w takim wypadku polega na podmiotowym traktowaniu partnerów sporu. Zachowując własną tożsamość, warto przekraczać granice po to, by budować społeczeństwo permanentnego dialogu, którego celem jest nie wykluczanie, lecz konsensus społeczny.

Zakładając w 1990 roku „Borussię” – i to jest druga, ostatnia refleksja – przekroczyliśmy granicę własnego indywidualizmu, by stworzyć wspólnotę ludzi, myśli i działania. Właśnie przekonanie do działania wspólnotowego, wiara w jego sens jest dla mnie, z perspektywy ponad ćwierćwiecza, być może przekroczeniem najważniejszej granicy – tej, która znajduje się w naszych głowach. Odziedziczone po minionych doświadczeniach przyzwyczajenie, że wszystko dzieje się poza nami albo bez nas, odbierało chęć do takiego działania. Jak to się stało, że wówczas miałem silne przekonanie, że warto, nie wiem. Nie wiem też, jak udało się ducha wspólnotowego obudzić w tak skrajnym indywidualiście, jak Kazik Brakoniecki. Faktem jest jedno: Znalazła się grupa osób, która posiadała wspólny potencjał innego pisania Polski i mógł on znaleźć realizację właśnie w „Borussii”.

Równocześnie do powstania i dojrzewania „Borussii” otwierały się granice Unii Europejskiej, ale dla nas na początku przekraczanie granic miało przede wszystkim znaczenie symboliczne. Szukaliśmy „powrotu Polski do Europy etycznych ojczyzn”. Chcieliśmy „stworzyć niezależny, elitarny ośrodek inicjatyw społecznych i kulturalnych”. Chcieliśmy „budować nową wiedzę, nową kulturę i kształtować nowe postawy” proobywatelskie i sąsiedzkie. Nie bez powodu też pierwszy numer „Borussii” otwierał oświeceniowy, Kantowski manifest „Do wiecznego pokoju”. Dopiero później zaczęło się realne otwieranie na inne światy: rodzimych Warmiaków, Mazurów, kultury regionalne i sąsiedzkie wspólnoty narodowe. Na koniec pozostało aktualne do dzisiaj pytanie o nasze relacje do pamięci miejsca w konfrontacji z pamięcią rodzinną, przywiezioną na Warmię i Mazury z różnych zakątków Polski, z emigracji. Czy realna granica, która dzieli obie pamięci, pozwoli po ponad 70 latach stworzyć taki efekt synergii, który pozwoli nam wyzwolić się z homofobicznych zachowań wobec innych? Moja odpowiedź na tak postawione pytanie jest warunkowa: Tak, ale tylko wówczas, gdy **pozbędziemy się obsesji tożsamości, głównie narodowych** i ich pozornej konieczności obrony w imię jakichś wymyślonych wyższych interesów. W „Borussii” odnalazłem praktyczny sposób wychodzenia z pułapki przymusu tożsamościowego. Polega on na ciągłej wędrówce (w moim/naszym rodzinnym wypadku w bardzo realnym wymiarze trwającej już 22 lata) i spotkaniach, w których odnaleźć można nie wroga czy przeciwnika, ale wzbogacającą inność. Nasze konferencje czy warsztaty nie bez powodu nazywaliśmy właśnie „spotkaniami”, bo oprócz istotnych tematów do omówienia chodziło właśnie o poznawanie innych: Białorusinów, Niemców, Litwinów, Ukraińców, Żydów, Rosjan, Francuzów, ludzi starszej i młodszej generacji, różnej orientacji płciowej, innych poglądów i zapatrywań politycznych.

Jaką następną granicę powinna/mogłaby przekroczyć „Borussia” w najbliższej przyszłości? Moim zdaniem jest to granica rozumienia polityki i stosunku do niej w życiu publicznym. Arystotelesowska interpretacja polityki czyni ją bliską czy wręcz tożsamą z postawą obywatelską. Od tej definicji dzieli nas już tylko krok do tego wszystkiego, co przez ostatnie ćwierć wieku robiła „Borussia”. Myślę, że nadszedł czas, by borussiańskie wartości kultury przełożyć na praktykę obywatelskiego zaangażowania w życie polityczne. Najbliższą szansę stwarzają wybory samorządowe. Skoro głosimy zasady otwartego regionalizmu, dlaczego nie miałyby one stać się osnową politycznego programu samorządowego?! Zrobmy to, rozpoczynając już dziś pracę nad manifestem dobrych praktyk samorządowego działania!

Robert Traba
Olsztyn, 15 lipca 2016

DYSKUSJA

Robert Traba

Na jednym oddechu przeczytałem mój okolicznościowy wykład, ale wydawało mi się, że jestem państwu winny jeszcze drobne wyjaśnienie. Ponieważ zaprosiliśmy państwa dzisiaj do snucia opowieści, chciałem zacząć od POCZĄTKU, bo każda opowieść musi mieć początek. A początkiem były pierwsze spotkania przyszłych borussian, mniej więcej późną wiosną/latem roku 1990. Chciałem zacząć od ciebie, Kaziku, żebyś odpowiedział, jak ty, skrajny indywidualista, zaangażowałeś się we „wspólnotę” z czasem nazwaną „Borussią”? Wówczas Kazik był już dobrze rozpoznawalnym poetą w Polsce. Mielśmy jedną wspólną przeszłość. Mianowicie w 1982 roku Kazik był starszym bibliotekarzem ze stażem, a ja młodszym bibliotekarzem rozpoczynającym pracę, w Ośrodku Badań Naukowych. W 1989 roku wyjechałem na pierwsze zagraniczne stypendium i wróciłem z pomysłem stworzenia nowego środowiska ludzi, którzy wykreują nowy język opowieści o miejscu, pobudzą interesujące inicjatywy. Byłeś jedną z pierwszych osób, którą chciałem pozyskać do tego pomysłu. Przyszedłem do ciebie i ty powiedziałeś bez wahania „tak”. Dlaczego?

Kazimierz Brakoniecki

Przede wszystkim muszę powiedzieć, że w tamtych czasach Robert miał frywolny francuski wąsik, a ja dużych wąsów się bałem [śmiech], bo mój ojciec miał taki groźny wąs dyktatorów. Robert przyszedł do pracy w Ośrodku Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie po studiach historycznych nad antykiem na UMK w Toruniu. Był to początek ogromnej zmiany w życiu Roberta, który wrócił na Warmię nie z przymusu, lecz wyboru, chociaż naukowych bodźców do kontynuacji dalszych studiów nad starożytnością tutaj nie było.

Szczęście w życiu polega na tym, żeby wykorzystać ten jeden, może przypadkowy, moment, który wyznacza później dalsze koleje losu. Przeznaczenie, los, a czasami zwykły dowcipny lub smutny przypadek sprawia, że życie toczy się zupełnie innym torem. Za pierwszym razem, gdy spotkałem się z prof. Anną Wolff-Powęską, powiedziała mniej więcej tak: *A ja sobie wyobrażałam, że pan jest barczysty i ma siwą brodę* [śmiech na sali]. A ja mówię: *Dlaczego? No bo pisze pan takie humanistyczne manifesty i eseje, które pasują do takiej postaci!* Taka wi docznie powaga biła z tego, co wówczas głosiliśmy, i takie było zapotrzebowanie historyczne

w okresie wielkiej przemiany w Europie Środkowo-Wschodniej. Tak naprawdę, jeśli chodzi o mnie, to z przyczyn niezależnych ode mnie spóźniłem się o 10 lat na „Borussię”. Moje pokolenie – urodziłem się w 1952 roku – w zasadzie powinno było w 1980-1981 roku podjąć to, co udało się w 1990 roku. Szok stanu wojennego moje pokolenie po prostu dotkliwie pobił mentalnie i fizycznie. Mnie udało się dotrwać w twórczym stanie do Jesieni Ludów dzięki wielu czynnikom, o których pisałem tu i ówdzie. W 1976 roku natomiast jako jeden z nielicznych obroniłem na Uniwersytecie Warszawskim pracę magisterską o Czesławie Miłoszu (wówczas autorze „wyklętym”), wcześniej przez lata pilnie studiując prasę międzywojenną, literaturę międzywojenną, karmiąc się tamtą kreatywnością. Nie jestem bezkrytycznym fanem międzywojnia, zauważyłem jednak, jak dużo wtedy powstawało różnych stowarzyszeń i jak bardzo dużo było ciekawej prasy i intrygujących jednostek twórczych na prowincji. Zainteresowały mnie szczególnie „Żagary” Czesława Miłosza. Wiedziałem, że w Toruniu, Warszawie w PRL-u powstawały różne tzw. Neożagary. Oczywiście były to przejawy pewnego nawiązywania do tradycji zabronionej, ale i autentyczne próby tworzenia pokoleniowej niezależności. Literatura nie tyle miała służyć budowaniu jednolitej opinii polityczno-publicznej, ile miała szczerze wyrażać to, co wynikało z burzliwego kontaktu indywidualności z „mrocznym stołem” rzeczywistości codziennej. Bo „Żagary” to był bunt i tak sobie właśnie wyobrażałem, że prędzej czy później takie zbuntowane i pokoleniowe „Żagary” gdzieś założę. Pewne starania w tym kierunku poczyniliśmy, tworząc jako studenci polonistyki własne piśmko „Efemeryda” z inspiracji Henryka Skwarczyńskiego (od lat na emigracji).

Jednak jak wróciłem latem 1977 roku do Olsztyna, nie odnalazłem tutaj ani takiego środowiska, ani inspiracji. Dopiero po latach powstała sprzyjająca aura oraz ponownie podniosło głowę pokolenie mniej więcej urodzone w latach 50., które chciało świadomie kontynuować wolną od doraźnych zobowiązań politycznych pracę kulturotwórczą w konkretnym miejscu i czasie. Był to moment, w którym to, co indywidualne, a więc w moim rozumieniu również i poetyckie, mogło się przełożyć na to, co społeczne, na to, co kulturowo jest potrzebne. Takie rzeczy bardzo rzadko wydarzają się w dużej (i małej) historii. Pojawiają się filomaci, filareci, pokolenie powstania listopadowego, pokolenie legionów, II wojny, pokolenie „Solidarności” i wreszcie (generalnie z jej ideami związane) **pokolenie, nazwijmy tak, kulturowej zmiany demokratycznej** w Olsztynie, w Sejnach, Szczecinie, Poznaniu, Rzeszowie, Gdańsku, Lublinie. To był ten moment, o którym zawsze mówiliśmy, że centrum nie tyle ginie, ile traci na znaczeniu (depolityzacja i decentralizacja kultury), a to, co jest dookoła, nabiera znaczenia. Pojawia się ponownie idea demokracji regionalnej, obywatelskiej. To są rzeczy bardzo wrażliwe, delikatne i nigdy niezakończone.

Marząc o „swoich Żagarach”, w których oryginalnie opowiem o sobie i swoim pokoleniu urodzonym po II wojnie światowej jako o autonomicznym podmiocie historii (zbuntowanym przeciwko wizji świata zamkniętego), przechodziłem w latach 70. i 80. silną metamorfozę poetycką. Wychodziłem od wierszy zmetaforizowanych, bo cierpiałem na brak poczucia realności świata (obsesja i opresja), na brak odpowiednich narzędzi poznawczych (uciekałem

w metafizykę) oraz na brak poczucia jakiegokolwiek wpływu na rzeczywistość zewnętrzną, która mnie dotkliwie upokarzała. Od 1985 roku zacząłem pisać rozrachunkowo-wizyjne poematy o rodzinie w wieku XX i nagle to, co zwiedzałem tutaj, co m.in. widziałem na Warmii i Mazurach – w moich stronach rodzinnych od 1945 roku – zaczęło się przekładać na próbę poetyckiego rozumienia wielkiej i małej pamięci-historii. Zaczęły także w końcu zachodzić stopniowe, a następnie skokowe zmiany polityczne i kulturowe w Polsce. Tak więc gdy pojawiła się szansa borussiańska w 1990 roku, byłem gotowy na uczestnictwo w Zmianie. Dziwne to, ale byłem gotowy jednocześnie i poetycko (jak okno w domu, które się nareszcie na świat otwiera), i politycznie (społeczno-prywatny dom, który był zamknięty na obrzydliwy świat, teraz ma drzwi i okna otwarte bez obaw; ktoś wychodzi z niego bez obaw, z nadzieją na nowe horyzonty, na przekraczanie granic).

Bardzo dobrze, że się w takim momencie „Borussia” pojawiła. Oczywiście dalej mogłem pisać swoje wiersze, chociaż tym razem już inne, ale po raz pierwszy (a jestem typem raczej samotnym) potrzebowałem wspólnoty, z którą też po raz pierwszy w dużym stopniu mógłbym się porozumieć w sposób wolny, szczery i rozumny. Na szczęście w czasach próby i przełomu pojawiają się indywidualności, które umieją skrzyknąć wokół siebie innych, nie naruszając ich autonomii. Przynajmniej do czasu. To historyk sztuki Andrzej Rzepiółuch, mieszkający na tym samym co ja osiedlu Jaroty, pierwszy mnie poinformował o tym znaczącym pomysle Roberta Traby. Zdecydowałem się szybko go odwiedzić w Ośrodku Badań Naukowych, gdzie Robert pracował biurko w biurko z historykiem-regionalistą Grzegorzem Jasińskim, który w tym krótkim czasie był obok Roberta osobą numer dwa w raczkującym stowarzyszeniu (to on poddał pod dyskusję nazwę „Borussia”, która została przegłosowana, a i Robert, i ja głosowaliśmy przeciw lub wstrzymaliśmy się! Bo my optowaliśmy za „Wspólnotą Kulturową”, ale... nie potrafiłmy ustalić głównej nazwy, którą by zaaprobowali wszyscy z tej naszej inteligenckiej grupki aktywistów; wygrała więc „Borussia”, w Polsce kojarzona z nazwą klubu sportowego albo z pruskowschodnim szowinizmem!). Mieliśmy świadomość, że przed nami działało (i to nieźle jak na tamte czasy!), powstałe na fali popaździernikowej, olsztyńskie stowarzyszenie „Pojezierze”, ale my po raz pierwszy decydowaliśmy o wszystkim samodzielnie bez tzw. czapki, nie mając żadnego wsparcia z zewnątrz. To było działanie w pełni oddolne i pasjonackie w odpowiednim nareszcie momencie. Tak właśnie powstają partie, sekty, szkoły filozoficzne. Osobiście zaprosiłem do naszej piętnastki bliskich mi poetów: Alicję Bykowską-Salczyńską, Zbyszka Chojnowskiego, bo chciałem stworzyć silny krąg literacki w „Borussii” zdominowanej przez historyków-regionalistów. Konkretyzacji tej „żagarowskiej” wizji poetyckiej (manifestacja warmińsko-mazurskiej poezji regionalno-universalnej) kręgu borussiańskiego poświęciłem jeden z pierwszych zeszytów naszego kreującego nowe wartości i nazwiska czasopisma, co przyjęto bardzo pozytywnie.

Robert Traba

Tak jak Kazik wybuchł swoim zaangażowaniem na początku, tak szybko się wypalił i po 2 latach, gdy wracałem z Wrocławia w euforii zakończenia doktoratu, Kazik napisał mi list:

Robert, ja już nie mogę, bardzo Ci dziękuję, wszystko było wspaniale, a ja rezygnuję! Wtedy zrobiłem pielgrzymkę do Kazika do BWA i wypaliłem frazę: Gdyby Jerzy Giedroyc po 2 latach przerwał wydawanie paryskiej „Kultury”, to dzisiaj byśmy ją odkurzali z archiwalnego kurzu i byśmy pisali o niej mało znaczące przyczynki. Długie, aktywne trwanie jest wartości! Nie wiem, jak to odebrałeś, ale wróciłeś. I tak już później było stale. Myśmy się praktycznie, proszę państwa, co rok rozwiązywali, bo już nie mieliśmy siły. I znowu następowała jakaś kumulacja energii, przychodzili nowi ludzie, nowe inspiracje...

My wybuchliśmy swoimi indywidualnościami w 1991 roku. Zjechała się cała Polska do Olsztyna. Mówię to bez przesady, bo chyba nigdy później nie pojawiło się tylu relacji z naszego spotkania jak w roku '91, kiedy zrobiliśmy konferencję pod tytułem „Prusy Wschodnie – dziedzictwo i nowa tożsamość”. Pojawiły się też zarzuty, że jesteśmy filogermańscy, prawie zdrajcy... A my chcieliśmy się zdefiniować i opowiedzieć inną interpretację miejsca, skąd jesteśmy. Zaczęliśmy od krytycznej opowieści o sobie, o przyjeździe na Warmię i Mazury naszych rodziców, o odejściu Niemców, Mazurów, Warmiaków. I to wywołało ogromne poruszenie. W Niemczech wpisano nas szybko w „ideologię Heimatu”, co było zupełnie sprzeczne z tym, cośmy myśleli. Ale ta ocena niemiecka tej pierwszej konferencji i jej echo bardzo mocno zaważyło na sposobie postrzegania wielu spraw. Andreas, ty prawie od początku towarzyszyłeś „Borussii” z zewnątrz. Chodzi mi o początek postrzegania „Borussii”, ale z zewnątrz. Nagle gdzieś tutaj w Polsce mówi się o rzeczach, o których dotychczas nie można było mówić.

Andreas Lawaty

Tak, Robertcie drogi. Prusy są trochę moim przeznaczeniem, więc ja też przez ich pryzmat patrzę na sprawę „Borussii”, chociaż z pewnością inaczej niż niemieckie społeczeństwo. Pracowałem wtedy w niemieckim Instytucie Kultury Polskiej w Darmstadt. Byłem współpracownikiem Karla Dedeciusa, a to że w ogóle tam się dostałem, zawdzięczam poniekąd Prusom, dlatego że napisałem pracę doktorską w '81 roku na temat końca państwa pruskiego z perspektywy polskiej. I tak się złożyło, że prezydentką Instytutu w Darmstadt była Marion hrabina Dönhoff. Była zachwycona faktem, że ktoś zajął się takim tematem. Z kolei pojęcie „Borussia” jako niemieckiemu studentowi historii Europy Środkowo-Wschodniej czy Wschodniej, uczniowi profesora Klausa Zernacka, nie było dla mnie skojarzeniem pozytywnym. „Borussia” to kwintesencja takiego samochwalnego (*Borussische Geschichtsschreibung*) – i z perspektywy historii Niemiec jedno ze źródeł – rosnącego nacjonalizmu. Bardzo krytycznie patrzyliśmy więc na wszystko, co się wiązało z przymiotnikiem *borussisch*. Ja nie mówię o piłce nożnej, bo na tym się nie znałem...

Robert Traba

Może dlatego właśnie szybko przyczepiły się do nas „związki wypędzonych”?

Andreas Lawaty

Ja nie miałem bliskich stosunków ze Związkiem Wypędzonych, ale obserwowałem to, co się

działo w latach 80. Ich perspektywa – taka roszczeniowa, cierpiętnicza, że tylko oni są ofiarami, podkreślanie historycznego prawa do dawnych terytoriów niemieckich – była mi zupełnie obca. Dla mnie powstanie „Borussii” było rewolucyjne. Myśmy wręcz tęsknili za inną, dialogiczną narracją. Mówię teraz „my” w sensie liberalnych formacji intelektualnych w Niemczech. Tęskniliśmy za możliwością jakiejś normalnej rozmowy o historii tych terytoriów, w kontekście również historii stosunków polsko-niemieckich i teraz nagle, przez wasze teksty, działania odezwał się głos, który otwiera się na historię całego regionu. Niemieckie słowo *Landesgeschichte* jest bardzo zamknięte, a wy mówiliście o wieloperspektywiczności patrzenia na region. *Landesgeschichte* jest czymś bardzo zawężonym w porównaniu do pojęcia *Regionalegeschichte* (historia regionu). I otwarcie się na tę historię regionu jako pewną formę regionalizmu otwartego umożliwiło w ogóle kontakt. Pamiętam, że we wczesnych latach 90. na konferencjach organizowanych przez różne związki ziomkowskie brało udział coraz więcej polskich referentów. Mówiło się wtedy na temat innej kontekstualizacji historycznej, inter-pretacji tego, co się po niemiecku nazywa *Vertreibung*. Sam fakt, że takie debaty się toczyły, otwierało możliwość dialogu, wymiany informacji. Pamiętam to jako element otwarcia, umożliwienia dialogu, a dopiero później nastąpiły pewne nowe zwroty.

Robert Traba

Do tego przejdziemy, ale drugim otwarciem było dla nas szokujące otwarcie na Rosję i nie ukrywam, że naszym, Wacku, pierwszym drogowskazem w kontaktach z Rosją byłeś ty, albo szerzej może, nawet twoja rodzina, osoba Kazimierza Ławrynowicza, wybitnego matematyka, który napisał znakomitą, humanistyczną biografię królewieckiego astronoma Fryderyka Wilhelma Bessela. Nasza wyprawa do obwodu kaliningradzkiego była wyprawą w zaświaty, to jest tylko 90 km, i nagle trafiliśmy na coś, o czym pojęcia nie mieliśmy, jak to wygląda.

Wacław Radziwinowicz

To była jedna z większych przygód w życiu, moim osobistym i rodzinnym. Właśnie kontakt z Kaliningradem. To się ciągnęło bardzo długo, zaczęło się jeszcze przed powstaniem „Borussii”, bo to były lata 70., nawet początek lat 70., kiedy Kaliningrad był taką zabita zupełnie, straszną sowiecką prowincją i kompletnie zamkniętą. Granicy właściwie nie było, przejść granicznych nie było. Mój osobisty kontakt był taki, że jak pracowałem, chyba w '75 czy '76, w chłodni składowej w Olsztynie, to po nocach ładowaliśmy tusze wieprzowe, półtusze na ciężarówce czeskie i rano te ciężarówce wyjeżdżały, a kierowcy nam dopiero wówczas mówili: *A my do Kaliningradu jedziemy*. Granicy nie było, oni jechali, bo im granicę otwierali. Mój ojciec, który pracował jako kustosz w Muzeum Warmii i Mazur, „zmontował” jakąś wycieczkę i pojechalśmy do Kaliningradu. Stamtąd przywiózł znajomości, przyjaźnie z dwiema osobami: z Kazimierzem Ławrynowiczem – z pochodzenia Polak, z Wileńszczyzny – oraz z takim Wielkorusem aż z Syberii, najdalszej Syberii Władimirem Taranowem. I ci dwaj ludzie, młodzi, pełni werwy raptem zjawili się u nas. To było bardzo trudne, bo musieli dostawać przepustki na wyjazd, jechać przez Wilno, ale chłopaki mieli parę i sobie poradzili. Najpierw było takie bardzo wzruszające spotkanie, bo moja babcia, Rosjanka, po raz pierwszy od opuszczenia ojczy-

zny w '39 roku spotkała ludzi stamtąd. Miłe spotkanie i bardzo, bardzo wzruszające. Taranow był astrofizykiem, a Ławrynowicz matematykiem. Niby takie umysły ścisłe, ale najbardziej zainteresowały ich stare mapy Prus. Ojciec zbierał topograficzne mapy niemieckie. Wzięli kalkę techniczną i zaczęli kopiować te mapy. O co chodzi? A oni mówią: *Bo tu są jeszcze gospodarstwa pojedyncze, a tam na pewno są jeszcze stare jabłonie. I my już będziemy wiedzieli, dokąd jechać, żeby te jabłka zbierać.* To mi się wydawało wtedy bardzo śmieszne, bo obaj już doktorzy nauk i w ogóle świetnie wykształceni, a zajmują się zbieraniem jabłek. Jeszcze nie bardzo wiedziałem, jakie są problemy wyżywienia w Związku Radzieckim, jaka jest kultura przeżycia w trudnych warunkach. I też nie bardzo wiedziałem, co to znaczy pojęcie *sztiedie-siatniki*. To najlepsze pokolenie, moim zdaniem, w ogóle w historii Rosji – ludzie radzieckich, dobrze wykształconych, wysoce moralnych i takich ciekawych świata. Nie mówię, że oni jacyś otwarci, prozachodni czy coś takiego, ale w nich była niesamowita ciekawość świata.

Robert Traba

Wiesz, to jest bardzo ciekawe, bo przez długi czas naszym jedynym partnerem był Klub Krajewiedow, czyli Klub Krajoznawczy, którego członkami byli głównie ludzie generacji Kazimierza Ławrynowicza, czyli tej, o której mówisz. Mieliśmy z nimi lepszy kontakt niż z młodszą generacją, która miała jakieś kompleksy imperialno-historyczne. Ta nić pierwszego kontaktu rozwinęła się.

Wacław Radziwinowicz

Tak, bo oni byli niezwykle ciekawi świata. Może niekoniecznie sympatyzowali Polsce, może niekoniecznie sympatyzowali porządkom zachodnim, ale byli ciekawi, jak tam jest, jak to naprawdę wygląda. I tak szperając w piwnicy, gdzie trzymaliśmy jakieś różne zbiory, Kazik Ławrynowicz trafił na album z Königsberga. Wtedy odkrył swoje miasto. Miasto, w którym żył bardzo długo, a którego nie znał i zobaczył, jak ono wyglądało, jak było urządzone. Potem już w ogóle nie chciał niczego oglądać, tylko siedział w bibliotece w muzeum i zaczął pisać najpierw różne broszurki, w których opowiadał ludziom urodzonym w Kaliningradzie o tym, jakie jest ich miasto, skąd ono się wzięło. A potem jego praca zaowocowała bardzo dobrą książką o Albertynie, którą wydał też i w Niemczech. To właśnie było takie przełamanie i odkrywanie siebie nawzajem poprzez historię miejsca.

Robert Traba

Chciałbym jeszcze przeskoczyć do jednej rzeczy, która z perspektywy „Borussii” i twojej miała znaczenie, mianowicie w Olsztynie trafialiśmy na różne oceny. Bardzo szybko nas wmontowano w prosty schemat polsko-niemiecki. Ty na początku lat 90. zaczynałeś redagować regionalne wydanie „Gazety Wyborczej”. Czy pamiętasz, jak nas postrzegaliście? Czy byliśmy dla ciebie jako „Borussia” widoczni?

Wacław Radziwinowicz

Nie wiem, to było takie dosyć proste przesłanie, bo jakby nie patrzeć, „Gazeta Wyborcza” jest

jednak pewną formacją, która wspiera na przykład spojrzenie nienacjonalistyczne, otwarte na innych. Nam było bardzo po drodze. Tylko przez przypadek tak wyszło, że nie stałem się członkiem „Borussii”, bo kiedy zakładaliście stowarzyszenie na początku lat 90., ja podróżowałem po świecie. Byłem dosyć daleko stąd, ale później sporo uwagi poświęcaliśmy „Borussii”, dużo pisała na ten temat zmarły niedawno Tadeusz Szyłłejko. Właściwie to on powinien tu być, bo na ten temat miałyby więcej do powiedzenia niż ja.

Robert Traba

Krzysztofie, „z intelektualnej Polski” pierwszy nas zauważył Tadeusz Chrzanowski. Ikona polskiej historii sztuki, profesor, publicysta „Tygodnika Powszechnego”. Ale to od was, z sejneńskiego „Pogranicza”, dostaliśmy nieoczekiwany impuls. Wyście wcześniej nas zobaczyli niż my was. Pamiętam pierwszy numer „Krasnogrudy”, w którym Krzysztof Czyżewski wstawił mapę Europy, na której ważnym punktem była „Borussia”. Wyście zupełnie inną drogę przeszli. Powiedziałbym, proszę państwa, że „Borussia” i „Krasnogruda” to są dwie opowieści o dążeniu do tego samego, ale zupełnie inaczej. My musieliśmy wyrosnąć z własnego środowiska, co nie jest łatwe, a wyście przyszli, jakbyście złądowni „znikąd” w małych Sejnach i stworzyliście niezwykle zjawisko.

Krzysztof Czyżewski

Dużo nas od początku łączyło. Nawet sobie nie zdawałem sprawy, że obaj z Kazikiem pisaliśmy pracę magisterską o Miłoszu. Również inspiracje lat 70. i 80. były podobne. A potem było to, co nazwał Kazik „takim odpowiednim momentem”, czyli otwarciem nowej Polski na przełomie lat 80. i 90., kiedy nam się wydawało, że w Polsce będą powstawać same takie „Pogranicza” i wspólnoty kulturowe, jak „Borussia”. Był to czas, w którym wszystko szło szeroką falą. Ten czas po prostu wyzwalał potrzebę budowania nowej instytucji, nowych działań, nowego języka itd. Tworząc „Krasnogrudę”, chcieliśmy po prostu budować, naszkicować mapę tych ośrodków, z którymi się czuliśmy mocno związani. Nawet nie zdawałem sobie przez jakiś czas sprawy z tego, że to miało jakąś siłę, która zatrzęsa centrum. Pamiętam takie spotkanie, Rady Kultury przy Lechu Wałęsie, gdzie spotkałem się z Marią Janion. Popatrzyła na mnie z lekkiem i powiedziała: *Ale wy sobie tam za dużo na tych prowincjach pozwalacie. Kto będzie bronił kanonu?*

Robert Traba

Co jej wtedy powiedziałeś?

Krzysztof Czyżewski

Żeśmy planowali jakiś progres kultury i nam się wydawało, że demokracja to jest decentralizacja, że demokracja to jest pójście w stronę małych wspólnot, regionów i budowania takiego wielogłosu z ludźmi czy do ludzi, że musi się pojawić bardzo silny gest, również kulturowy. Takie podejście wyniosłem z kultury alternatywnej, z tego czasu, kiedy w Gardzienicach prowadziliśmy różne wyprawy do ludzi. Ale wówczas to była enklawa wobec starszych ludzi,

k którzy zachowali tradycję, pamięć, rytuały, natomiast nie obchodził nas ani kontekst społeczny młodych, ani polityka itd. Pójście w takim wymiarze do ludzi wtedy, w latach 70. i 80., było przyjęciem daru, na który nie odpowiadaliśmy często, bo kultura nie miała takiej formy odpowiedzi. Kończyliśmy na jakichś festiwalach, gdzieś daleko, rzadko do tych ludzi potem wracaliśmy, by kontynuować pracę, która się zaczęła. Nam również ten moment roku '89 i stworzenie „Pogranicza” był bliski temu, jak wy działaliście i też jak się nazwaliście. Mnie się bardzo podoba ta nazwa: Wspólnota Kulturowa. Była też Wspólnota Mazurska. Nie wiem, czy pamiętacie? Ona przecież dla mnie była częścią „Borussii” [śmiech]. Pierwsze wspólne spotkanie o granicach zrobiliśmy we współpracy ze Wspólnotą Mazurską.

Robert Traba

Chodzi, proszę państwa, o największe nasze wspólne przedsięwzięcie. W roku '94 spotkaliśmy się na najstarszym trójstyku granic w Polsce, niedaleko Gołdapi. Wspomógł nas dzisiejszy wiceprezydent Olsztyna, ówczesny wiceburmistrz Gołdapi, Jarosław Słoma. Sto pięćdziesiąt osób z całej Polski, Rosji, Niemiec, USA, nawet zespół ludowy z Litwy i... niesamowity moment, kiedy wymyśliliśmy, że my tę granicę polsko-rosyjską po prostu realnie przekroczymy. Był ambasador Kaszlew, gubernator Obwodu Kaliningradzkiego FR, inni wysocy urzędnicy. Pech chciał, że nasz pomysł chcieliśmy zrealizować 17 września. Nie było w tym żadnych aluzji, czysta pragmatyka [śmiech]. No i zrobił się z tego straszny skandal. Oskarżenia o prowokację itp. Spotkania takiego formatu w historii naszych konferencji już potem nie było.

Krzysztof Czyżewski

No widzisz... Ale ja chcę jeszcze powrócić do wspólnotowości w sensie, o jakim mówił Andreas, czyli o historycznym odczytaniu regionu, który był wydrążany ze wspólnotowości poprzez wąskie kategorie tożsamościowe, jakie były potem naklejane na te nasze stare mapy obejmujące wcześniej jakąś całość. Potem stawały się coraz bardziej wybiórcze, coraz bardziej ideologiczne. Rozwijaliśmy więc pracę nad pamięcią, żeby przywrócić wspólnotowość, objąć całość. Dzisiaj odradzanie po totalitaryzmie, po Zagładzie, po komunizmie etosu wspólnotowości i szukanie dla tej pracy formy kulturowej, języka, pracy edukacyjnej itd. jest największym wyzwaniem. **Staliśmy się na nowo takimi laboratoriami zupełnie nowych form kreatywności, dlatego że kultura nasza staje się – również na łamach „Gazety Wyborczej” – wydarzeniową, festiwalową, promocyjną. Ona nie ma siły tworzenia wspólnotowości.** Ona jest gdzieś mocno odseparowana od ludzi. Mówisz, żeśmy przyjechali z zewnątrz. To prawda, ale z takim wielkim głodem, żeby oddać ludziom głos. Po paru latach pobytu w Sejnach przestaliśmy być teatrem. Przestaliśmy ze sceny mówić do ludzi, co im potrzeba. To oni zaczęli mówić nam, jak mamy znaleźć formę czy sposób pracy, żeby ich opowieść zaczęła pracować, zaczęła być żywa na nowo. To nas postawiło zupełnie w absolutnie innej sytuacji.

Robert Traba

Po tym pierwszym momencie, kiedy zaistnieliśmy publicznie, kiedy ukształtowały się pierwsze

zarysy naszej granicy, naszej idei działania, przyszedł czas na praktykę, na tworzenie nowych form kulturowej obecności, obecności w społeczeństwie. Wzmocnieniem dla „Borussii” w ’94 roku było niewątpliwie przyjsie lwony Liżewskiej, która się stała wkrótce filarem i wulkanem aktywności. Włączyła się bardzo mocno w projekty renowacji cmentarzy na Warmii i Mazurach, nadając im nowy wymiar. Zajęła się sprawami młodzieżowymi, a później wykreowała ważny nurt „Borussii”: dziedzictwo kulturowe. Ale wróćmy do roku ’94.

Iwona Liżewska

Na początku lat 90. dopiero kończyłam studia, zaczynałam pracę zawodową. Nie znałam wówczas „Borussii” ani olsztyńskiego środowiska humanistycznego. Przewijała się gdzieś obok mnie nazwa, w tle były różne wydarzenia, ale zaczęło się – jak to często bywa – przypadkowo. Wiosną 1994 roku Wiktor Knercer, z którym pracowaliśmy razem w urzędzie konserwatorskim, zapytał mnie, czy mogłabym razem z nim współorganizować międzynarodowy obóz konserwatorski, gdzie młodzież miała porządkować cmentarze z I wojny światowej. Miała to być kontynuacja projektu rozpoczętego już rok wcześniej w Drwęcku. I tak to się zaczęło. W bibliotece OBN-u, gdzie Robert wówczas miał dyżury, spotykaliśmy się we czwórkę: Robert Traba, Wiktor Knercer, Klemens Baranowski i ja. To było jak skok na głęboką wodę, świetni ludzie, ciekawy pomysł, inne spojrzenie i wyzwanie organizacyjne. Ani się obejrzałam, a już jesienią zostałam skarbnikiem zarządu i zanurzyłam się w „Borussii” po czubek głowy. Wtedy, na samym początku, zafascynowali mnie ludzie. Później borussiańska filozofia, którą odczytałam jako próbę zmierzenia się z historią – uniwersalną i własną. Próbę opowieści o miejscu, które przez fakt urodzenia uważamy za własne, z którym nie łączy nas historia ani rodzinna, ani ojczysta, przez co jawi się jako obce, a które zdążyliśmy już pokochać.

Robert Traba

Nie wiem, czy państwo sobie wyobrażają, że my się spotykaliśmy co wtorek po pracy. Był taki wtorek co tydzień i ludzie przychodzili, żeby podyskutować. Tak się tworzyła „Borussia”, autentyczność naszych relacji i pomysłów. To była nasza praktyczna forma wspólnotowości poprzez dialog, ale też zażarte spory czy wręcz kłótnie. Wtedy jednak powstawały najciekawsze projekty. Tak, ale przerwałam ci. Przepraszam...

Iwona Liżewska

I proszę jeszcze pamiętać, że na to wszystko mieliśmy, znajdowaliśmy czas i energię poza etatową pracą zawodową. Robert przed chwilą powiedział, że weszłam jak wulkan i szybko stałam się filarem „Borussii”. Z mojego punktu widzenia to również była obecność totalna (z punktu widzenia mojej rodziny również, co nie zawsze było dla nich łatwe). Po pierwszym obozie konserwatorskim przyszły następne projekty młodzieżowe, „Wyspa Dzieci” (pierwsze w Łynie, bodajże w 1995 roku), międzynarodowe warsztaty dla studentów o przełamywaniu stereotypów (Wałpusz 1996, Żywy 1998) i kolejne. Aktywność młodzieży była wówczas tak wielka, że przy „Borussii” afiliowała się młodzieżówka – Wspólnota Młodzieży dla Europy, w której pierwsze skrzypce grali wolontariusz z Niemiec Mariusz Kolloch oraz Michał Knercer.

Zaczęła się praca w redakcji pisma, która nieprzerwanie trwa do dzisiaj, wielkie doświadczenie wydawnicze (przez dwa lata prowadziłam wydawnictwo „Borussii”)... Ale wiesz, Robercie, zaczynam się czuć jak na wieczorze wspominkowym.

Robert Traba

Tworzymy opowieść, której nie ma. Powiem ci, co wydaje mi się niezwykle. Czy państwo sobie zdają sprawę, że my do dzisiaj nie mamy „opowieści o sobie” i opowieści o miejscu – Olsztynie, regionie itp. Przez 70 lat nie stworzyliśmy takiej wspólnej opowieści, w której byśmy opowiedzieli wszystkim. Wszystkich z ich losami, nie pojedyncze osoby, ale z tą różnorodnością osób. Właśnie dlatego chciałem zacząć naszą opowieść „o sobie”. Spytałem wprost: Co, z własnej perspektywy, wniosłaś nowego do „Borussii”? Ja pamiętam na przykład seminarium, już w 2000 roku, kiedy zaczęliśmy mówić o „nowym życiu pod starymi dachami”. To się stało jednym ze schlagwortów naszej działalności.

Iwona Liżewska

Odpowiedź jest trudna, bo łatwo można przekroczyć granicę nieskromności. Myślę jednak, że poza wszelkimi korzyściami pragmatycznymi, które niosła ze sobą moja obecność w „Borussii”, w istotny przyczyniłam się do poszerzenia działań związanych z dziedzictwem i krajobrazem kulturowym. Już wtedy, w latach 90., mówiliśmy o *czytaniu krajobrazu*, o zrozumieniu historii poprzez odczytywanie jego materialnych świadectw, w końcu o konieczności ochrony w całym jego bogactwie i różnorodności. Było kilka ważnych spotkań czy konferencji (na przykład „Klimaty Warmii”), jednak takim spektakularnym przedsięwzięciem był rozpoczęty konferencją w Sorkwicach w roku 2000 projekt „Nowe życie pod starymi dachami”. Projekt, który miał z jednej strony służyć nauce czytania krajobrazu, odczytywania i zrozumienia znaków, które nas otaczają, z drugiej miał pomóc wypracować sposoby/metody adaptowania tych znaków, tych świadectw do współczesności. Zarówno w sensie praktycznym, codziennym, jak też emocjonalnym czy intelektualnym. Na projekt składały się konferencja, praktyki studenckie, warsztaty dla wszystkich zainteresowanych problematyką, cykl artykułów w „Gazecie Olsztyńskiej”, konkurs na najlepiej zachowaną historyczną wieś, wystawa o krajobrazie, a wreszcie seria wydawnicza pod tym samym tytułem. Po 2007 roku nastąpiła pewna przerwa, ale uważam to zadanie za nadal otwarte...

Dla mnie ważne natomiast jest pytanie, co „Borussia” dała mnie samej. I pozwolisz, że w dalszej części odpowiem na to pytanie. Po pierwsze miałam możliwość, okazję poznać fantastycznych ludzi, zarówno tych znajdujących się bezpośrednio w borussiańskim kręgu, jak i tych, z którymi łączyły nas działania, projekty, kontakty. Niektórzy z nich są obecni dzisiaj na sali. Po drugie w „Borussii” mogłam działać z pasją, w bogactwie i różnorodności poglądów i osobowości, we wspólnocie. Po czwarte i kolejne, śmiem twierdzić, że to był mój drugi uniwersytet, ani lepszy, ani gorszy niż te akademickie, ale dotyczący życia, taki gdzie idea była silnie spleciona z praktyką działania. Tak jak Robert powiedział – spotykaliśmy się co tydzień. Były to oficjalne posiedzenia zarządu, protokolowane, ale jak gorące były te dyskusje,

ile tam było emocji, ile ostrych racji i argumentów! Z tego wykuwały się nasze pomysły, idee. To było dla mnie fantastyczne miejsce, środowisko, do którego można było ze swoimi pomysłami, ideami, zapatrywaniem po prostu przyjść, rzucić pomysł i chęć realizacji, i je realizować.

I jeszcze jedno. „Borussia” nie przetrwałaby, śmiem twierdzić, gdyby nie to otwarte, interdyscyplinarne działanie. Uważam, że to zasługa Roberta. Zawsze doceniał i podkreślał wielostronność naszych działań. Sam historyk, wytrawny badacz i profesor, doceniał każdy filar, na którym ta działalność się opierała. Pismo i wydawnictwa, projekty młodzieżowe, wolontariat, konferencje i działalność badawczą, wreszcie Dom Mendelsohna. I nie podlizuję ci się, Robertcie. Ja to powtarzam od lat. To moim zdaniem jest fenomen trwania „Borussii”... Gdyby „Borussia” nie miała tak szerokiej formuły, w pewnym momencie wyczerpałaby się i nie byłoby skąd czerpać energii. Energii nowych pomysłów.

Robert Traba

Tak, to były czasy pionierskie, które miały swoją niepowtarzalną atmosferę. Dziękuję. Wreszcie jednak przyszedł taki moment, że doszła kolejna generacja, około 2000, 2001 roku. Przede wszystkim Ewa Romanowska i Beata Samojłowicz. Mocno zaczęliśmy rozwijać działalność w kierunku sąsiadów na Wschodzie. To była kontynuacja i rozwinięcie nowych pomysłów. Nie zapominajmy, że od początku silną stroną „Borussii” były projekty edukacyjne realizowane wspólnie z naszymi sąsiadami, które zaowocowały m.in. serią i tzw. tematów, dialogów z sąsiadami: Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami, Rosjanami, Żydami. Nową energię wniosła, dziś nieobecna, Iwona NDiaye, uznana tłumaczka z rosyjskiego, nasz wydawca, która po krótkim kryzysie dźwignęła znowu wydawnictwo na szczyt naszych możliwości. Osoba o niezwykłym zapale do pracy i zaangażowaniu.

Ewa Romanowska

Do „Borussii” trafiłam wczesną jesienią 2000 roku razem z Beatą Samojłowicz. Złożyło się na to kilka rzeczy. Miejsce, skąd pochodzę, i znajdujący się kilkanaście kilometrów od niego tajemniczy, przez lata niedostępny obwód kaliningradzki, zetknięcie się w czasie studiów filologicznych z panią Julią Janukowicz – lektorką języka rosyjskiego, która współpracowała z „Borussią” i opowiadała nam, swoim studentom, o borussiańskich obozach młodzieżowych, na których ludzie z najróżniejszych miejsc Europy robią coś wspólnie. Wcześniej doświadczałam takiej wspólnoty jedynie daleko od Polski. Pewnego razu spontanicznie z inicjatywy Beaty zaszłyśmy do biura „Borussii”. Powitano nas z otwartymi rękoma. To nie jest sytuacja, która zdarza się na co dzień. Tak się zaczęło, stałam się coraz częstszym gościem w „Borussii”. Z czasem okazało się, że „Borussia” to zjawisko dużo szersze i głębsze, niż sobie wyobrażałam. Wciągnęła mnie niemal od pierwszego dnia, stwarzając przestrzeń do sensownego działania.

Przed naszą dyskusją, obawiając się, że zadasz mi takie pytanie, zastanawiałam się nad tym, co dała mi „Borussia”. Okazało się, że potrafię na nie z łatwością odpowiedzieć – klucz do zrozumienia otaczającego mnie świata. Miałam różne doświadczenia bardzo typowe dla miesz-

kańców naszego regionu – pierwsze lata życia spędzone w poniemieckim domu, wśród starych mebli pamiętających przedwojennych mieszkańców; wyniesiony z domu mit Wileńszczyzny – raju utraconego, codziennego, zwykłego, pięknego życia w Oszmianie czy Smorgoniach; towarzyszącą mi od najwcześniejszych lat życia opowieść o II wojnie światowej, pracy przymusowej, łagrach; kolegów ze szkolnej klasy przezywanych Niemcami czy Ukraińcami. To były rozrzucone w nieładzie fragmenty puzzli, które dopiero po zanurzeniu się w borussiański świat ułożyły się w spójny obraz.

Robert Traba

Tak i same wniosłyście przede wszystkim projekt Study Tours to Poland i... no i wiele innych, również literackich pomysłów. Do dzisiaj słyszę, że antologia literatury białoruskiej „Białoruś: kraina otoczona wysokimi górami” Małgorzaty Buchalik była klasykiem również na Białorusi, gdzie wiele z naszych tekstów było prohibitami. Mówię o tym, bo na początku bardzo łatwo nas wciśnięto w kontekst: Polacy, Niemcy, Mazurzy, Warmiacy. Tymczasem chodziło nam o zdefiniowanie siebie w całej paletce różnorodności kulturowych świata, w którym żyliśmy.

Później z Kornelią, Beata, Marią Ziółkowską i Kamilą Gojło stworzyłyście Fundację „Borussia”, która dzisiaj jest głównym rdzeniem aktywności.

Chyba wyczerpaliśmy dziś limit na opowieść o przeszłości. Gdzie jesteśmy dzisiaj? Czego chcemy? Czy to, co zaczęliśmy wtedy, nie stało się dziś tylko jakąś formą idealizmu i przesłania dla wąskich środowisk intelektualnych? Krzysztof Czyżewski przed trzema laty, gdy obchodziliśmy pięćdziesiątkę czasopisma „Borussia”, z entuzjazmem mówił: *MY JESTEŚMY wi-doczni!* Dzisiaj, Krzysztofie, też byś tak powiedział?

Krzysztof Czyżewski

Wtedy wiedziałem, co nas czeka. Pamiętam takie spotkanie, które nazwaliśmy „czytaniem Polski na nowo”. Przyjechali ludzie z różnych regionów i dziwili się nam, że mówimy o kryzysie wielokulturowości, i że tą Bośnią i byłą Jugosławią tak się przejmujemy. A dla nas był to wyznacznik spojrzenia na Europę jutra. Nie na marginalny konflikt europejski gdzieś na Bałkanach, lecz na to, co nas w Europie czeka. I że to wszystko będzie u nas i będziemy musieli ponieść konsekwencje tego, że nie jesteśmy przygotowani, że źle inwestujemy itd. Ja naprawdę zacząłem krytykować multi-kulti wiele lat wcześniej niż minister Błaszczak. Nie, nie z innego, tylko właśnie z tego powodu, że była to polityka wspierania różnorodności, a o wspólnocie zapomniano. Zapominano o tym, że trzeba inwestować w całość, a nie w pojedyncze, osobne, różniące się głosy. Widzieliśmy przecież to bardzo, bardzo wcześniej, świadomi, że będzie to pogłębiało podziały, że będą musiały rodzić się nowe granice. Bardzo silne. Nasza postawa, nasza praktyka dzisiaj wchodzi w taką fazę, że ci, którzy myślą o twardych rozwiązaniach europejskiego bezpieczeństwa, rozwoju, kryzysu, nie mogą pominąć też pracy, którą my dzisiaj prowadzimy. Mogli to robić 10 lat temu, mogli lekceważyć, ignorować znaczenie kultury, edukacji itd. Mogli twierdzić, że ważna jest tylko Europa eko-

nomii, Europa rozwoju gospodarczego, natomiast nie jest ważna Europa jako projekt kulturowy. Nie jest ważna albo w dużej mierze może być marginalizowana, bo ona nie decyduje o życiu. Dzisiaj ktoś, kto tak mówi, w moim przekonaniu coraz bardziej będzie się musiał zmierzyć z tym, że problemu, który staje na naszym progu, nie da się rozwiązać narzędziami twardymi. To już nie są konflikty między państwami. To nie są konflikty czy wojny, które toczą się między dużymi organizmami narodowymi. To są konflikty kulturowe, które przenikają do wewnątrz społeczności i społeczeństw. To są granice, które nie są granicami państw narodowych, ale są granicami wewnętrznych wspólnot.

Robert Traba

To zawieśmy na moment rozmowę, bo to jest bardzo ciekawa teza. Pytanie do wszystkich: Czy to nie jest tak, że jest już trochę za późno na nasze nowe zaistnienie? Jeżeli popatrzymy na fakty, to mamy w Europie około 50 partii populistycznych, których rdzeniem programu politycznego jest nacjonalizm. Jeżeli popatrzymy na mozaikę partii rządzących, to mamy 1/3 krajów europejskich, w których rządzą lewicowi bądź prawicowi populiści z bardzo mocnym programem narodowym. Ty mówisz, że teraz czujesz się silniejszy, a ja mam wrażenie, że być może na nowoczesną refleksję o narodzie jest teraz za późno. Zlekceważono problem zarówno z punktu widzenia lewicowego, jak i neoliberalnego. A my nie potrafiliśmy poradzić sobie z tym, czym jest we współczesnej Europie naród już w latach 70., kiedy ideologicznie skazany został na śmierć w przestrzeni publicznej. A może to jest właśnie istota problemu?

Kazimierz Brakoniecki

Nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Po raz kolejny sytuacja na świecie i w kraju jest bardzo żywa i zmienna. Jestem pesymistą historiozoficznym (takim nieortodoksyjnym wyznawcą filozofii melancholijno-sceptycznej Ciorana), ale i człowiekiem nieustannie ponawianego egzystencjalnego doświadczenia (nie tylko poprzez literaturę). To sprzeczność, ale bardzo twórcza. Sytuacja kryzysowa nie zwalnia nikogo, nawet pesymisty historiozoficznego, od nieustającej pracy woli, charakteru w celu zrozumienia i naprawy tej gwałtownie irracjonalizującej nasze życie w rzeczywistości polityczno-cywilizacyjnej. Wydaje mi się, że nie można żadnej zwłaszcza teraz sytuacji politycznej, kulturowej i cywilizacyjnej rozważać osobno, jako coś co można w izolowaniu od innych problemów, konfliktów rozwiązać lokalnie i mentalnie na zasadzie: Ja jestem moralnie czysty, wierzę w swojego Pana Boga, w swoją Partię, więc zajmę się swoim przydomowym czy narodowym ogródkiem. Niestety świat jest znowu cały zespolony i irracjonalny. Nie dopuszczaliśmy przez jakiś czas myśli, że ten w końcu odzyskany wolny świat może stać się irracjonalny, że historia jest irracjonalna. Cieszyliśmy się i demokracją, i rosnącym dobrobytem. Mieliliśmy Cel i to niesklamany: otwarte społeczeństwo, otwarte granice, demokratyczna i pokojowa Europa. Świat chyba zawsze jest nie do końca pojmowalny. Jak sam człowiek. Jakie nowe narzędzia musimy zdobyć, aby zrozumieć, dlaczego zwycięstwo dobra nad złem wymyka się stale i teraz ponownie nam, ludziom myślącym, z rąk? Tak, po raz kolejny wiemy, że kultura może być bezbronna wobec interwencji cynizmu politycznego i religianckiego. Wbrew pozorom nie mamy autentycznie odważnej

cywilnie woli do poznania tego nowo-starego irracjonalizmu, który przywołuje stare demony religijno-plemiennie-populistyczne. Są takie okresy historyczne i to cykliczne, które cechują się upadkiem dotychczasowych norm, wartości, systemów politycznych. Barbarzyńcy są wśród nas i w nas samych. Komunizm, hitleryzm i inne tego typu totalitaryzmy były świadomie powołanymi przez konkretnych ludzi społeczno-politycznymi ruchami opartymi na ideologii sterującej irracjonalizmem mas. Obecnie irracjonalizm jest chyba uczuciem i postawą bardziej globalną i niesterowalną.

Ale zostawię te szybkie przemyślenia i wrócę do nagrody paryskiej „Kultury”, którą za redagowanie „Borussii” odbierałem w grudniu 1997 roku bodajże w gabinecie samego Redaktora Jerzego Giedroycia. Zapytał mnie wprost, dlaczego skoro jesteśmy tacy sprawni intelektualnie i organizacyjnie, nie chcemy na Warmii Mazurach założyć partii politycznej. Macie środowisko, macie kadry. Już minęło 7 lat i w ogóle trzeba ten ruch w jakiś sposób bardziej społecznie zakorzenić, i ruszyć do ataku. Trzeba przeobrazić Polskę prowincjonalną i centralną w imię nowej kultury otwarcia na małą i dużą Europę solidarności itd. Odpowiedziałem, że jesteśmy tutaj biednymi inteligencikami bez żadnego realnego wpływu. Ja sam jestem tylko poetą pracującym. Próbuje, ale to straszna praca na ugorze. Powinny to robić partie polityczne, a nie inteligenckie kręgi w regionie przez tyle lat wydiedziczonym, prowizorycznym, osadniczym. Może kiedyś, ale nie teraz. Może na Śląsku, gdzie jest lepsza tożsamość lokalna, uniwersytety, przemysł i w ogóle...

I tak dzięki wielu naszym wieloaspektowym i nowatorskim działaniom, których ty, Robercie, Iwona, Kornelia, Ewa, Beata, Wiktor jesteście symbolami, szczególnie w domenie odzyskiwania kulturowego dziedzictwa, nasze stowarzyszenie i fundacja po 25 latach wypełniło swoją rolę, ale nie przekształciło się w masowy, zorganizowany ruch „regionalno-wyzwoleńczy”. No i dobrze. Bo przecież nie musiało. Można obliczyć konkretne zyski, straty, ale pozytywne przeważają. Zresztą trudno nam o obiektywny stosunek do tego, co stanowiło nasze drugie życie. Czasami myślę, że rzeczywiście w stosownym czasie i miejscu stworzyliśmy fikcję inteligentną i dla inteligencji, i to wszystko. A teraz pobawimy się w taki mniej lub bardziej alternatywny, ale opatrzony dom kultury otwartej „Borussia”. Bez wspólnoty i odwagi ideowej. Bez marzeń o przeobrażaniu rzeczywistości. Ale to nie takie proste. Czasami nie wiemy, co tak naprawdę zmieni tę rzeczywistość. Dobre wiersze czy złe wybory. Tak czy owak od polityki nie uciekniemy. Nie uciekniemy też od potrzeby wielkiego marzenia. I dobrze. Nie wiem, czy jako borussianie, a na pewno jako obywatele. Ja w każdym razie mam pewne wątpliwości co do idei bezpośredniego uczestnictwa politycznego „Borussii”, ale to nie ja będę w nadchodzących latach decydował o losie „Borussii”, chociaż na pewno prywatnie i czynnie będę brał udział w kolejnym odzyskiwaniu Polski europejskiej, demokratycznej, nowoczesnej.

Iwona Liżewska

Nie wiem, Kazimierzu, czy potrafisz ogarnąć twój zwerbalizowany strumień podświadomości. Odniosę się do kwestii angażowania się „Borussii” w działania polityczne lub quasi-polityczne

(tylko nie wiem, co to drugie miałoby znaczyć). Moim zdaniem byłaby to wielka klęska organizacji pozarządowych. System demokratyczny polega na tym, że każdy ma swoje miejsce i zadania. Jest miejsce na działania polityczne/miejsce dla partii politycznych. Jest też miejsce na działalność trzeciego sektora, działalność **organizacji pozarządowych**, czyli tych, które walczą o uniwersalne wartości, niezależnie od bieżącego zapotrzebowania politycznego. Co nie oznacza oczywiście, że te dwa światy są od siebie niezależne. Wręcz przeciwnie, są na siebie narażone. Problem tkwi jednak nie w zakresie działań, lecz w formach zależności. Afiliując się do polityki, przestajemy być niezależni od politycznych uwarunkowań. Jeśli „Borussia” afiliuje się do jakiegokolwiek partii politycznej czy nawet klubu, to się w zgodzie pożegnamy. Stanowczo sprzeciwiam się temu, żebyśmy uwiarygodniali swoją marką jakąkolwiek partię polityczną. Jeśli chcemy wpływać na naszą rzeczywistość, na sprawy kultury czy sytuacji organizacji pozarządowych, to jako trzeci sektor organizujemy się w sieć. Uważam, że od dawna już trwa kryzys organizacji pozarządowych, spowodowany czasami realizacją egoistycznych interesów samych organizacji, często jednak wynikający z tego, że od 25 lat działamy w warunkach wiecznej partyzantki, co było do przyjęcia w latach 90., ale nie powinno trwać tak długo. Brak mechanizmów pozwalających organizacjom na istnienie i działalność w perspektywie długiego trwania. Powinniśmy działać wspólnie, po to żeby wzmocnić pozycję i możliwości skutecznego działania trzeciego sektora, bo niezależnie od wszystkich mankamentów i patologii, które w tym obszarze funkcjonują, w tym sektorze tkwi siła i potencjał do budowania społeczeństwa obywatelskiego, które wciąż musimy budować. Bo to, co osiągnęliśmy przez ostatnie ćwierćwiecze, nie tylko dalekie jest od doskonałości, ale efekty są niewspółmierne do włożonych wysiłków i czasu. Ba, mam nawet smutne przekonanie, że w ciągu ostatnich lat nastąpił regres w stosunku do lat 90. XX wieku.

Robert Traba

Moim zdaniem jedno drugiego nie wyklucza, ale prawda jest też taka, że jeżeli przypomnieć sobie państwo, ile istnieje dzisiaj organizacji, które powstały w '89/90 roku, ile przetrwało 25-26 lat, to idę o zakład z każdym, że zliczycie ich może na palcach dwóch rąk. One zniknęły. Wyczerpała się siła sprawcza, która je uruchomiła i nie zostały stworzone państwowe warunki ich dalszego zaistnienia dla dobra państwa jako obywatelskiej wartości, a nie dla tego czy innego rządu.

Wacław Radziwinowicz

Ja mam trochę inne doświadczenie, w tych sprawach, bo obserwowałem przez długi czas sytuację w Polsce z oddali. Jakoś nawet przywykłem do rzeczywistości, w której już jest pozamiatane, w której już się tak stało, że takie stowarzyszenia jak „Borussia” musiałbym opisać w swoich broszurach czy książkach w stylu: „agent z zagranicy” równa się szpieg. Myślę, że to jest nie kwestia jakichś podwórek poszczególnych partii politycznych, stowarzyszeń, grup itd. Przechodzimy, co jest naturalne, w fazę bardzo trudnego egzaminu: egzaminu społeczeństwa obywatelskiego. Rosjanie go przegrali. Dali się ograć w sposób zupełnie prosty. Uważam, że tą drogą, którą poszedł Putin, poszło również tzw. społeczeństwo obywatel-

skie w Rosji. Dali się ograć. Jeszcze pamiętam sprzed kilku lat sceny pogromów pod moimi oknami w Moskwie i to się raptem skończyło. Został skonsolidowany, jak mówi Putin, wielonacjonalny naród radziecki. Rosyjski, przepraszam... Zostało to scementowane w sposób bardzo prosty: oblężona twierdza, naokoło wrogowie i gwarantem tego, że nas nie zniszczą, jest nie grupa, nie społeczność, ale bardzo silne państwo. To ma ogromną tradycję w Rosji. Jest to świetny patent na to, w jaki sposób można iluzorycznie zapewnić bezpieczeństwo i pokój. I przed takim wariantem trzeba się bronić. Są stowarzyszenia, są wspólnoty, które się organizują, ale są też i partie, które niekoniecznie muszą wykorzystywać takich ludzi jak wy. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że jesteśmy w sytuacji nie tragicznej i beznadziejnej, ale w sytuacji bardzo ciężkiego egzaminu. Rosjanie go nie zdali. A my? Zobaczmy...

Chciałem jeszcze dodać dwa słowa, bo zapomniałem to od razu powiedzieć. Jeżdżę teraz sporo po Polsce i spotykam się również z ludźmi od polityki. Widzę, że oni oczekują i szukają... szukają idei. Szukają czegoś, co można byłoby łatwo, na pewno łatwo, bo każdy idzie na łatwiznę, przekuć w jakieś hasło, w jakąś ideę czy jakiś sposób przemówienia do ludzi, zaangażowania ich w coś. Nawet jest głód jakichś celnych fraz, jakichś celnych powiedzeń, hasel, jakbyśmy tego nie nazwali. No to kto mógłby generować takie rzeczy, jeśli nie wy?

Krzysztof Czyżewski

Chcę jeszcze powrócić do pytania Roberta, żebyśmy sobie uzmysłowili tę sytuację dzisiaj, po 25 latach naszych różnych doświadczeń. Wracam do tego spotkania na granicy, o którym żeśmy tutaj wspominali, był na nim Donald Tusk... Pamiętacie? Ja już wtedy pamiętałem naszą rozmowę o tym, że są jakieś bardzo poważne sprawy, którymi polityka, stowarzyszenia powinny się zajmować, a które decydują o naszym życiu. Bardzo pragmatyczne i rozwiązywalne twardymi narzędziami; sprawa szeroko rozumianej kultury mieści się w tym nurcie. Tak że to jest sprawa poboczna. Dzisiaj miałbym dużo więcej siły w rozmowie z Donaldem Tuskiem, niż miałem 10 lat temu. On wtedy nas mógł lekceważyć, zwłaszcza po wyborach w Polsce, kiedy został szefem rządu. Już jako nasz premier powiedział wówczas, że demokracja to jest to, żeby zapewnić ciepłą wodę w kranie. Ale powtórzył to, co filozof Richard Rorty powiedział, że demokracja dotyczy rozwiązywania codziennych spraw tu i teraz. I na to Agnes Heller mu odpowiedziała, że w taki sposób zabijamy w ogóle istotę demokracji. Jeżeli demokracja przestaje być debatą o wartościach, to przestaje być w ogóle demokracją. Wracamy do tego na nowo. Co się stało? Jaki jest powód rosnącego populizmu czy dominacji nacjonalizmu, o którym mówisz, Robercie? Między innymi to, że życie nie znosi próżni. To znaczy, jeżeli my się, mówię teraz o MY w sensie liberałów, ludzi za otwartością itd., wycofujemy z debaty o wartościach, wycofujemy z rozstrzygania czy zaangażowania w kulturę itd., to monopol przejmuje skrajnie prawicowa strona. I jesteśmy dzisiaj tego świadkami. Mnie to nie zaskakuje. Dla mnie to jest naturalna, realna konsekwencja tego, co od wielu lat już widziałem. Mam poczucie, że zaczynamy dorastać do świadomości, że ten dramat, o którym mówi też Kazik, rzeczywistości, w której zaczynamy żyć, i kryzysu, jest nie do rozwiązania, nie do uchwycenia. Nie da się już rozwiązać wojny kulturowej, mówiąc o narodach, granicach, państwach

narodowych itd. bez udziału czy rozwoju kultury i debaty o wartościach. Ileż ja razy słuchałem: *Ale wy jesteście jacyś oderwani od rzeczywistości*. I to mi mówili ludzie z urzędów centralnych. Uczyli mnie, co jest praktyką i co jest realnością. Dzisiaj mogę z nimi inaczej rozmawiać. Byłem niedawno na Konwencji Zielonych w Utrechcie, tematem były granice, zaprosili mnie jako spikera. I nagle się dowiaduję, że ich sposobem na rozwiązanie kryzysu migracyjnego i migrantów jest m.in. przywieziony z Berlina projekt zbudowania mostu. Jest już otwarty projekt, będzie biliony euro kosztował, bo to będzie najnowsza technologia. Największe osiągnięcie cywilizacji europejskiej. Materialny most między Afryką i Europą. Czy bylibyśmy w stanie zorganizować podobne fundusze, podobną energię na budowanie niewidzialnych mostów, które są realnym spoiwem wspólnot? Nie inżynieryjnym, technologicznym wysiłkiem, lecz wysiłkiem kulturowym, edukacyjnym, pracy organicznej itd. Czy potrafilibyśmy zainwestować w to taką samą siłę polityczną, gospodarczą? Miałem poczucie, że oni przynajmniej czują, o czym mówię, o moście w Mostarze... Pamiętacie państwo symboliczny most zerwany podczas wojny w Jugosławii. Społeczność międzynarodowa go odbudowała. Teraz jest objęty patronatem UNESCO. Most jest wspaniały, uroczystość otwarcia była tak licznie nawiedzona przez społeczność międzynarodową, że nie było miejsca dla miejscowych, żeby mogli w niej uczestniczyć. Musieli to oglądać w telewizji, ale jeżeli się kogokolwiek w Mostarze spyta, czy most został odbudowany, każdy powie: NIE. Nie ma i nie mamy dalej instrumentów czy narzędzi, żeby wspierać jego społeczne budowanie. Mówię o czymś bardzo pragmatycznym, bardzo racjonalnym i wszyscy, którzy to pomijają, stają się w jakiś sposób irracjonalistami, bujającymi w obłokach. Twierdzenie, że technologia, inżynieria ułatwią nam sprawę, jest dzisiaj już dużo bardziej narażone na krytykę niż kiedykolwiek przedtem. Mówię o tym, jako o czymś, co wzmacnia takie działania, jakie „Borussia” prowadzi w dzisiejszym świecie.

Robert Traba

Czy w dalszym ciągu uważacie, że przestrzeń między tym, co robi „Borussia”, Sejny, inne organizacje pozarządowe, a polityką, jest przestrzenią podzieloną murem bez przełożenia tego, co mówimy, na praktykę? Ja w dalszym ciągu odwołuję się do idealistycznej definicji polityki. Mówię o pewnym etosie polityki. Jeżeli się godzimy na demokrację reprezentatywną, jeżeli się godzimy na pewne mechanizmy społecznego funkcjonowania, to musimy się godzić również na politykę jako podstawowe narzędzie uprawiania demokracji. Zwróćcie państwo uwagę, że wszystkie partie populistyczne w Europie, które zdobywają coraz większą popularność, definiują się jako „pozasystemowe”. Jeżeli my będziemy ciągle mówić „be” na politykę, to nie przełożymy naszych działań na praktykę. Jeżeli odpuścimy ten fragment rzeczywistości, to odbieramy sobie sami nasze należne miejsce w przestrzeni publicznej i oddajemy je komuś innemu.

Andreas Lawaty

Jestem zaniepokojony słowami Krzysztofa. Mówiłeś, że stałeś się krytykiem multi-kulti. Widzę to trochę w takim kontekście. „Borussia” i inne tego rodzaju organizacje są przykładem stworzenia formy, w której multi-kulti funkcjonuje w danym regionie, ale tylko w kontekście hi-

storycznym. To znaczy tych obcych, o których my mówimy, już nie ma? Są groby, są pomniki, są różne ślady. A gdyby ci obcy byli dalej, ci Niemcy, ci Żydzi, ktokolwiek. Nagle sytuacja zmieniłaby się kompletnie i powstałby problem, który mamy w wielu krajach. Nie wszystkich, ale w wielu krajach Europy mamy ogromną, nagłą liczbę obcych wśród nas. I mamy wielokulturowe społeczeństwa. A ta idea, że to się właściwie wszystko samo rozwiąże, jest dość naiwna... To jest trochę jak liberalizm ekonomiczny. Wszystko załatwi „magiczna ręka rynku”. Okazuje się, że nie za bardzo. Nie każdy może wierzyć w swoje i robić swoje, myśleć swoje i jakoś się pogodzimy. Bo wielu pilnuje swoich tradycji, ale wyznaje sprzeczne z naszymi wartości. Przez to dochodzi do konfliktów. Mówiłeś, Krzysztofie, o twardych i miękkich narzędziach. Czy nie byłoby bardzo ważnym i pożytecznym, takim miękkim narzędziem stworzenie formuły, modelu wielokulturowości funkcjonującej? Bo wielokulturowość jest faktem. Używa się tego samego języka, tych samych znaków, ale te słowa i znaki znaczą bardzo różne rzeczy. Co to znaczy wspólnotowość? Nacjonalizm też jest wspólnotowością. To jest po prostu dokładne wyznaczenie granic, kto należy do wspólnoty, a kto nie. Jak ktoś zgrzeszy przeciwko wspólnotocie, to zostaje ze wspólnoty wykluczony. Jak stworzyć taką wspólnotowość, która umożliwiłaby ludziom różnych kręgów i tradycji kulturalnych być jej częścią? Dlaczego nie może powstać wspólnotowość regionalna, która te wszystkie kulturalne odcienie uwzględni?

Krzysztof Czyżewski

Andreasie, ja chcę tylko powiedzieć, że mój odwieczny krytycyzm wobec multi-kulti polega na tym, że nie mogliśmy się pogodzić z powierzchownym rozumieniem tego zjawiska. Zwłaszcza na pograniczu. Nie mogliśmy się pogodzić z urzędnikami, programami europejskimi, którzy mówili, że mamy pieniądze na wielokulturowość, ale nie dla pogranicza. A na pograniczu mamy po prostu wszystko. Jeżeli mówiliśmy o wielokulturowym regionie, to mówiliśmy nie tylko o regionie, który ma wiele mniejszości czy kultur, lecz mówiliśmy o regionie, który ma wspólną kulturę, a złożoną historię. Dzisiaj z tym jest dużo trudniej i ta powierzchowność, czy – jak chcecie – festiwal różnych narodowości, to jest obecnie duży problem w Europie. Pracowałem kiedyś w Europejskiej Fundacji Kultury, 80% budżetów kulturowych w Europie idzie na festiwale. Takie, w których i my bardzo łatwo i chętnie oklaskujemy Romów na scenie. Ale czy będziemy chcieli ich mieć za sąsiadów? To już jest inne pytanie, inny problem, na jego rozwiązanie tych środków już nie ma. To wszystko, o czym mówię, nie jest antypolityczne, ja się nie obrażam na politykę, ale rozumiem ją w duchu Hannah Arendt. I buntuję się, jeśli i ją po prostu degradujemy, odrzucamy. Myślę, że ważne jest to, co lwona mówiła, broniąc tożsamości organizacji pozarządowej. To nie znaczy, że się nie współpracuje z polityką, prawda? Czy nie jest się głosem w tym w tym dyskursie? Chodzi jednak o różną tożsamość. Byłbym jak najdalszy od takiego eskapizmu politycznego, uważam, że nasza praca od początku była polityczna. Doświadczaliśmy różnych kontaktów czy styków z polityką, bo tego się nie dało uniknąć. To nie my wchodziliśmy do polityki, tylko na naszą opowieść, którą budowaliśmy, reagowali politycy. Przykładem jest Jedwabne i wydana przez „Pogranicze” książka Jana Tomasza Grossa. Sprawa ta stała się i pozostaje ciągle sprawą polityczną. Nie da się rozdzielić polityki od ważnych spraw tożsamościowych, w których my chcemy

uczestniczyć. Pozostaje pytanie: Mamy milczeć tylko dlatego, że ktoś upolitycznia jakąś sprawę? Czy mamy budować alternatywny język jakiejś warstwy kulturowej, do której polityka się odnosi? Słowem, czy nie jest tak, że jesteśmy skazani na politykę?

Iwona Liżewska

W Kętrzynie przed pięciu laty Wojtek Darski rzucił propozycję: Ruszmy się, idźmy do polityki.

Robert Traba

Tak, to prawda, tylko... Wszystko ma swój kontekst. Myślę, że zmienia się rzeczywistość i między rzuceniem hasła a umocowaniem go w konkretnym kontekście i pokazaniem jego realnej drogi rozwinięcia w praktykę – to są dwie różne rzeczy. Nie chciałbym po prostu, żebyśmy ciągle byli obiektem rozgrywki politycznej, bez podmiotowej roli w tym procesie. Jeżeli nie staniemy się podmiotem i nie będziemy kształtować polityki, to szansa powodzenia naszej pracy będzie coraz mniejsza.

Krzysztof Czyżewski

Ja nie mam poczucia, że polityka nad nami wygrywa.

Robert Traba

Przepraszam, że mówię brutalną rzecz: Jesteśmy skazani na formę finansowania państwowego, które dzieli, reglamentuje dobra zgodnie z politycznymi wyobrażeniami tych, którzy rządzą. My funkcjonujemy przez 25 lat, więc nie musimy się przekonywać, ile pracy, wysiłku kosztowała nas niezależność. Ta praca w większej części miała społeczny charakter, nie była płatna. Mówiliśmy kiedyś o tym, ale teraz to nie jest czas, żeby się tym chwalić. Jak długo jednak tak można? Ile znajdziesz w masowym wymiarze takich fenomenów? Kazik, chcesz do tego coś dodać?

Kazimierz Brakoniecki

Tak, tylko chcę dodać jedną rzecz. Nasza rozmowa jest jednak bardzo oderwana od rzeczywistości społeczno-politycznej, w której żyjemy w Polsce i w Europie. My nie uświadamiamy sobie, że jesteśmy poddawani coraz większym siłom rozpadu i dysfunkcyjnym różnym tendencjom, które są w Europie i w Polsce. Ja jednocześnie jestem patriotą polskim i europejskim. Dla mnie jest to jedna sprawa, dlatego czasami mówię, że jesteśmy Kosmopolakami. Nie kosmopolitami, tylko Kosmopolakami. Myślenie takie, jakie tutaj przeprowadziliśmy, oczywiście jest bardzo piękne i słuszne, ale ono odzwierciedla stan myślenia sprzed 20 czy 10 lat. Sytuacja, w której żyjemy, jest diametralnie różna, dlatego zgadzam się z Robertem. Musimy znaleźć, jeżeli chcemy nie utracić demokracji obywatelskiej, zupełnie inne formy działania. Miło jest odnowić kapliczkę i potem modlić się codziennie do niej, jak zwłaszcza to jest tylko rytuał. Mamy większe, o wiele większe problemy od zastanego dziedzictwa kulturowego, od sterowanej pamięci historycznej, bo pamięć historyczną wprowadza nam ideologiczno-wyznaniowe państwo, które ma świetny program, ma za sobą Kościół, coraz węższą

pod względem rozumienia świata edukację. To ono będzie wprowadzało, a nie my, takie, a nie inne zrozumienie przeszłości-przyszłości.

Czyli musimy zająć się demokracją, musimy się zająć państwem. Państwo to my, obywatele, którzy tracą poczucie swojej cudownej i nieustająco gubionej obywatelskości. Chociaż to powinno się zmienić. Liczę nie tyle na „Borussię”, ponieważ ideowo „Borussia” to jest sprawa chyba zamknięta, ile na wszelkie formy oporu kulturowego i społecznego na wszelkich poziomach organizacji odważnych ludzi dobrej woli i otwartej głowy w celu zbudowania skutecznej bariery fundamentalizmowi i fanatyzmowi zdobywającemu stopniowo pogubione serca i umysły wielu ludzi.

Jarosław Słoma

Szanowni państwo, chciałbym powiedzieć, że „Borussia” i borussianie to w mojej ocenie najważniejsze wydarzenie intelektualne Warmii i Mazur od '45 roku. Natomiast odnosząc się do tej dyskusji, połączyłem ją z dowcipem, który w końcu lat 80. przedstawiał witrynę biura podróży na Zachodzie z plakatem: *Odwiedź Związek Radziecki, zanim Związek Radziecki odwiedzi Ciebie*. To jest mniej więcej ta sama dyskusja o tym, czy polityka jest daleko, czy blisko. Zaczynamy żyć w czasach, kiedy wszystko jest polityczne i „Borussia” staje na pierwszej linii frontu, a dlaczego? Zwiastun mieliśmy wiosną w Olsztynie, kiedy zjawił się tutaj jeden z funkcjonariuszy frontu ideologicznego płynącego z Torunia. Kiedy powiedział jasno, że jest jeden słuszny patriotyzm, państwowy. Patriotyzmy regionalne, jakieś tam inicjatywy regionalne, to jest podjudzanie przez Europę, po to żeby osłabić patriotyzm polski. W obecnej rzeczywistości nie unikniemy polityki i „Borussia” też nie ucieknie przed polityką. Jednak bez sensu moim zdaniem byłoby przekształcanie „Borussii” w ruch polityczny. W obecnej polityce organizacje pozarządowe są tylko wtedy słuszne, jeśli są uległe albo wykonują tę politykę, którą chce realizować partia rządząca. Warto odnieść się do zapisów projektu konstytucji PiS-u. Nie ma miejsca na funkcjonowanie podmiotów niezależnych od władzy, a jak będą funkcjonowały, to nie dostaną pieniędzy. Sprawa jest jasna, oczywista i już praktykowana. W moim przekonaniu mamy zobowiązania do aktywnej postawy, bo to właśnie tu powstał manifest Kantowski „Do wiecznego pokoju” (Zum ewigen Frieden), propagujący ideę zjednoczonej Europy. W moim przekonaniu rola takich środowisk jak „Borussia” polegać powinna na dawaniu świadectwa, ale to jest bardzo trudne. [oklaski]

Robert Traba

Do dawania świadectwa potrzebne są dwie strony. Pokaż na naszych spotkaniach ludzi poza tobą, którzy reprezentują samorząd, politykę, którzy chcieliby rozmawiać i którzy są chętni do tej rozmowy. My rozmawiamy też między sobą. Popatrzcie, kto jest odbiorcą tego, o czym mówimy? Telewizja znika, jak robi spot na początek. Prasa bywa... czasami. Píše jednak głównie o tym, co jest sensacją w regionie, i sprzedaje przeważnie interesujących gości z medialnego mainstreamu. A tak naprawdę wykreowanie społecznie ważnego tematu nikogo nie interesuje. Ciągle, mam wrażenie, że jednak kręcimy się bardzo mocno w sobie i mój apel

o polityczność ma oczywiście trochę przekorny charakter. Zdradzę coś: Ja też nie lubię polityki. Ale po 25 latach mam dosyć prosić na przykład marszałka województwa o wydanie kanonu kulturowego Warmii i Mazur, który jest próbą pokazania, jak można budować opowieść o regionie. My znowu będziemy narzekać za chwilę na jakiegoś Niemca, na jakiegoś Rosjanina czy kogoś, kto nam stworzy opowieść, bo my sami nie jesteśmy z siebie w stanie tego wygenerować. Dlatego mój apel o polityczność jest takim wołaniem o to, żebyśmy byli podmiotowi w grze społecznej.

Anna Wasilewska

Przyszłam na dzisiejsze Forum z własnej, nieprzymuszonej woli i właściwie przyszłam jako Wasilewska, a nie posłanka do Sejmu, nie zapowiadając swojej obecności, dlatego że chciałam posłuchać autorytetów. Długo w regionie, w mieście pracowałam na rzecz kultury i dlatego gratuluję i bardzo dziękuję za to, że powstała „Borussia”, że działa już 26 lat i proszę was, abyście dalej zostali sobą i robili to, co robicie. To jest niepowtarzalne i ma ogromną wartość. Jedno, co mnie trochę niepokoi, to to, że wokół w „Borussii”, na wszystkich chyba spotkaniach, jest mało ludzi młodych. Powinniśmy o nich zabiegać, o to, żeby więcej młodych przychodziło. Żeby można im było tę wiedzę i to, co państwo zrobiliście, przekazywać. W tej chwili jestem w polityce, ale przychodzę do was, żeby chwycić dobrą energię. Przychodziłam i będę przychodziła. Wspieram tyle, ile mogę „Borussię” i życzę jeszcze raz wszystkiego, wszystkiego najlepszego i gratuluję, i jeszcze raz proszę: Nie róbcie z „Borussii” partii politycznej!

Robert Traba

To nie tak! To nie tak, zupełnie się nie rozumiemy.

Wiesław Skrobot

Przysłuchuję się tej dyskusji i wypowiedziom panelistów, i przypominała mi się pewna koncepcja. Swego czasu mówiło się: zapiszę się do PZPR-u, rozwalę ten cały system od środka, przejdę na drugą stronę pewnego mechanizmu. Ta irracjonalność, o której tutaj mówi Kazik, jakby cały czas gdzieś nad wszystkim krąży. Polityczność jest potrzebna, bo w tej chwili innej możliwości oddziaływania nie ma. Natomiast tworzenie partii na bazie tego zjawiska niezwykle, jakim jest „Borussia”, może doprowadzić właśnie do jego stłamszenia, do dewaluacji. Także ta elitarność, intelektualność jest tym, czego powinniśmy się trzymać. Jest naszą siłą, która pozwoli nam przetrwać, ale nie przetrwać biernie, lecz dynamicznie, aktywnie. Troszkę uczestniczę w różnych forach, które są związane z muzealnictwem. Jestem też członkiem Rady Programowej Narodowego Instytutu Muzealnictwa i widzę, jakie jest codzienne doświadczenie i praktyka na płaszczyźnie współpracy władzy i organizacji, które próbują poradzić sobie ze społecznym otwarciem muzeów i wszelkiego rodzaju centrów czy też instytucji kultury pamięci. Jest to naprawdę czasami na pograniczu pewnego poniżenia i dlatego bardzo bym sobie życzył i bardzo bym chciał – może mało aktywny, ale jednak od początku wierny ideałom „Borussii” członek – aby ta „Borussia” dalej była taką, jaką jest.

Tomasz Kopoczyński

Jestem pełen uznania dla kolegi Kazimierza Brakonieckiego, który jest znakomitym faceitem, i jestem pełen uznania dla jego idealizmu, natomiast myślę, że zajęcie się polityką nie ma żadnego sensu. Układ polityczny jest tak zabetonowany, że to jest zawracanie głowy. Możemy sobie tak poopowiadać, że oczywiście ci ludzie z tego żyją. My nie możemy, oni najczęściej nic nie potrafią. Nie obrażam pani [do posłanki Anny Wasilewskiej]. Pani była i w zarządzie, ale jak ktoś jest 20 lat parlamentarzystą, to do czego się nadaje? Tylko do przecinania wstęg i do uśmiechania się. Zdjęcie, pokręcić się koło premiera tego czy tamtego. Na świecie widać symptomy niezgody na układ polityczny, który istnieje od roku '45. Moim zdaniem i sukces PiS-u, i Brexit, i to, że być może wygra Donald Trump, to wszystko jest swego rodzaju dowodem na pewną chęć zmiany. Nie chcę przeceniać ruchu Podemos, nie chcę przeceniać Syrizey, ale jest pewne oczekiwanie na zmianę. Nie wystarcza już mówienie o tym, że jesteśmy Zieloną Wyspą, że jest ciepła woda w kranie, że PKB pozytywne. No i co z tego, że jest pozytywne PKB? No i co z tego, że wynosi ono +3,5. No i co z tego, skoro marnie się żyje? W Holandii PKB wynosi -1, a żyje się dobrze. Czy państwa zdaniem motywuje kogoś do zostania w Polsce to, że PKB wynosi +3,5? To nie ma żadnego znaczenia i proszę nie traktować tego jako sympatii za tymi czy za tamtymi. Bardzo miłe jest to, o czym mówi kolega Brakoniecki, ale niestety nieosiągalne. Bardzo miłe jest o tym mówić, myśleć, weźmy, zrobimy. Robert Traba będzie liderem. Wystartuje na prezydenta Olsztyna, marszałka województwa, prezydenta Polski. Niech Robert zostanie. Robert, ja na ciebie i tak zagłosuję. Tylko że to nie ma żadnych szans powodzenia.

Robert Traba

W dalszym ciągu będę się upierał przy tym, że mnie nie rozumiecie. I to jest problem. Nie mój problem...

Klemens Baranowski

Robert jest człowiekiem sukcesu. Jak postanowi zostać premierem, to zostanie, a „Borussia” nie powinna być partią. To jest moja puenta.

Janusz Kijowski

„Borussia” to inteligencja. Zobaczcie, jak jest nas mało. Myślę, że skoro jest nas mało, to musimy bardzo mierzyć słowa. Strasznie gadatliwi jesteście państwo. Bardzo łatwo jest powiedzieć coś, co obraca się przeciwko nam. Ja bym chciał żyć w państwie, w którym premier czy rząd zajmuje się ciepłą wodą w kranie, a nie wpiernicza się w moje uczucia religijne, w to, co lubię, w moją estetykę, w nauczanie młodzieży, w kulturę, w to, jakie sztuki teatry wystawiają. Bardzo bym chciał, żeby władza ustawodawcza robiła jak najlepsze prawo, a nad nią żeby były trybunały, które ją ograniczają, stosując normalne normy konstytucyjne. A jak my zaczniemy mówić, że ciepła woda w kranie jest do dupy, to już jesteśmy gdzieś po drugiej stronie. Gdzieś bardzo blisko tej władzy, przeciwko której tak się strasznie nabzdyczyłem. Pamiętam dokładnie, co się stało ze świetnym rządem Mazowieckiego, o grubej kresce.

Żeby zjednoczyć, żeby właśnie kreować wspólnotę obywatelską, nie narodową, żeby ludzi, którzy gdzieś się zachachnęli w tym systemie, aktywizować do pracy na rzecz wspólnego dobra. Wspólnota obywatelska czy społeczeństwo obywatelskie jest podstawową tkanką, na której może rodzić się demokracja. Wartości są sprowadzone do pewnych archetypicznych, judeochrześcijańskich zasad, które wszyscy rozumiemy. Nawet do zasad, które są bazowe, które trudno zdefiniować, na przykład takie jak szacunek. To jest walka o to, żeby nie szargać wartości, żeby ich nie pomijać, żeby ich nie deprecjonować, a bardzo łatwo to zrobić, jeżeli się za dużo mówi.

Urszula Madeja-Kulecka

Były minister spraw zagranicznych Estonii powiedział kiedyś takie zdanie, że marzy mu się, aby Estonia była nudnym krajem, no i wygrał. Jest prezydentem. Też byłoby cudownie, gdybyśmy żyli właśnie w kraju nie tak dynamicznie, prawda? Działającym jak w tej chwili. Może dobrze by było, gdyby Polska była po prostu nudna. Gdzie ludzie byłiby mądrzy, skromni, niepoddający się demagogii.

Krzysztof Czyżewski

Mówiłem o tym, że przysłowiowa ciepła woda w kranie okazała się niewystarczająca jako program polityczny. Okazało się, że ludzie mają jeszcze inne potrzeby i że rzucając głos do urny, nie będą się tylko kierowali wyborem pragmatycznym. Są inne, rzeczywiste wymiary naszego życia, które decydują o tym, jak odnajdujemy się w demokracji. Ale ja nie sprowadzałbym Polaków tylko do tego. Myślę, że Waślaw tutaj zwrócił uwagę, mówiąc, że ludzie potrzebują idei, że wielkim problemem jest dzisiaj to, że nie ma silnej alternatywy dla języka skrajnie nacjonalistycznego, że mnóstwo słów się wytarło. Tak jak niestety wytarło się słowo multi-kulti. Ja też rozumiem, czego powinniśmy bronić. Natomiast nie odmawiamy sobie prawa do krytycyzmu wtedy, kiedy coś jest sztuczne, prawda? Czy w dużej mierze odbiega od rzeczywistości i tylko to tutaj starałem się powiedzieć. Żeby nie stracić tego bardzo przecież europejskiego ducha krytycyzmu. Myślę, że lęki, o których mówił Robert, Kazik, to takie niewystarczalności „Borussii” w tej rzeczywistości, która wydaje się biec innym torem, niż byśmy na to pracowali. Otóż obawiałbym się takiej sytuacji, że zbyt wielką wagę przywiązaliśmy do tego, co nazywam wielką liczbą i dużym wymiarem polityki czy zmaganiem się z rzeczywistością. Mam takie poczucie i coraz więcej o tym myślę, że stoimy wobec jakiejś ciemnej fali, jakiejś dużej siły, która narasta. Wszyscy to czujemy. Nie tylko w Europie, również na świecie. Jakaś prawda tkwi w opowieści, że Goliata nigdy nie pokona się drugim wielkim Goliatem, bo jego pokonuje Dawid. To bierze siłę z małego, z indywidualnego czy z mniejszej liczby. Kiedy przyjechał do nas, do „Pogranicza” Claudio Magris i przez parę dni przypatrywał się naszej pracy, w którymś momencie powiedział: *Wiesz, jest coś bardzo żydowskiego w tym, co robicie, ale nie dlatego że interesujecie się Żydami, tylko że wierzycie, że w małym miasteczku można zbudować centrum świata.* Po 25 latach praktyk mojego życia jestem przekonany, że opór istnieje w wielu małych centrach, co oznacza, że naszą siłą może być wielokrotność i wielość niewielkich centrów. Nie myślimy o rozrastaniu i dodawaniu do

wielkiej liczby, prawda? Myślmy o tym, żeby ich było dużo blisko życia, blisko ludzi, blisko rzeczywistości. Nie starajmy się uciec w panikę, która skazuje nas na taki wybór – albo masz wielką siłę, jesteś Goliatem, albo jesteś przegrany, czyli na straconej pozycji.

Kazimierz Brakoniecki

Jest to bardzo pocieszające i krzepkie, w zasadzie wszyscy to robimy bez względu na to, co mówimy. Nas zawsze cechował właśnie taki pozytywistyczny romantyzm. I to jest bardzo dobra cecha. Ona oczywiście kształtowała się od końca XIX wieku. Chociażby ruch spółdzielczy. No i sama „Solidarność”. Łączenie sprzeczności jest pewną wyższą umiejętnością niż tylko obcowanie z jedną stroną partii, poglądu, światopoglądu: nie unikać bolączek życia i znaleźć narzędzie odpowiednie do poznania tego, co powoduje, że świadomie chcemy pracować i żyć swoim życiem w tym właśnie miejscu. Nie możemy się bać rzeczywistości. Musimy być odważni. To konkretne miejsce, rzeczywiście, ono nie jest sercem świata ani nie ocali świata, ale może stać tym naszym wybranym miejscem, które rozświetli nas samych z tymi, z którymi jesteśmy tutaj. To jest może niewiele. Ja to w poezji robię. Poezja to łączenie sprzeczności, łączenie konkretnego z abstrakcją, pragmatyki z romantyzmem i „Borussia” jest symbolem czegoś takiego. Takiej nieskończonej pracy wewnętrznej i zewnętrznej bez nadziei na pozytywne rozstrzygnięcie całościowe. Ale z imieniem braterstwa i otwarcia na kondycję człowieka. Słowo i czyn tym bardziej w naszych czasach muszą być tożsame.

Wacław Radziwinowicz

Nie podzielam pańskiego pesymizmu, że to, o czym pan mówił, nas samo zaleje. Mamy mechanizmy obronne, których oni [Rosjanie] nie mieli. Oni mają u siebie niesamowity aparat, perfekcyjnie działający, dyktujący ludziom sens świata i to, co się dzieje wokół nas. To przepięknie u nich działa, jest znakomite, perfekcyjnie działa. My czegoś takiego nie mamy i to jest też oparte o tradycję. To działa nie od lat 20, ale od kilku wieków, że wielka maszyna pracuje na to, żeby narzucić sens i historię, i wszystko inne, a i nawet potrafi dzisiaj powiedzieć Rosjanom, że *my tak naprawdę jesteśmy wikingami, a więc sukces drużyny Islandii na Euro to jest nasz sukces*. Słowo honoru, oni tak mówią i to przyjmują. Codziennie oglądam polski dziennik TV i zaraz potem rosyjski dziennik TV. Mówią to samo bardzo podobnie, ale jakże gorzej. Mówiąc po prostu: to są cieniasy. Jednak mamy inną tradycję, jesteśmy sceptyczni, jesteśmy samodzielni i mamy się rzeczywiście na czym oprzeć. Mówię, że zdajemy test. Co będzie, jeśli go nie zdamy?

219

Wolfgang Niklaus

Chciałem trochę, odnosząc się aktualnej polityki, zaprotestować, bo myślę, że nie można Jarosława Kaczyńskiego porównywać z Putinem. Partie żyją dzięki waszym głosom. Tutaj właśnie popieram Krzysztofa, też uważam, że mamy pewną możliwość wpłynięcia na politykę w sensie środków, które się udało nam wypracować: po prostu pracy edukacyjnej, pracy kulturalnej... Nie tylko przecież w Polsce, jak wszyscy słusznie zauważyli, strasznie się dzieje. Nie należy się bać. Są jakieś organizacje samorządowe, inne zajmujące się kulturą, którym się

udało, odniosły sukces. Tam działają zdolni ludzie, ale problem tkwi w tym, jak to przenieść na poziom, powiedziałbym, codziennego życia. Fajnie, że jest jakaś instytucja, która działa inaczej niż oficjalna, która pokazuje, że można inaczej prowadzić edukację kulturalną niż tak, jak to jest robione w oficjalnych instytucjach edukacyjnych i kulturalnych, że może iść innym torem. Wydaje mi się, że tu jest kluczowy punkt, po prostu za mało jest takich dobrych działań edukacyjnych i kulturalnych. Dlaczego za mało? No bo tego samorządowe instytucje nie są w stanie robić w całym kraju non stop.

Robert Traba

Proszę państwa, rzeczywiście przedostatnia puenta... rodzinna – Krzysztof R. Traba.

Krzysztof R. Traba

Tak, chciałem tylko powiedzieć, że właściwie nie ma tu nikogo w moim wieku. Po prostu zacząłem się zastanawiać... Jak państwo myślicie nad przyszłościowym działaniem, to warto wziąć pod uwagę perspektywę ludzi w moim wieku. Tych ludzi, którzy mogliby dalej ciągnąć wasze pomysły. Nie chcę mówić w imieniu całej generacji, bo nie mogę, ale... Wydaje mi się, że jest różnica generacyjna, ja na przykład mam dużo większy sceptycyzm do wielkich idei, ogromnych narracji i dlatego podobało mi się to, co powiedziała pani Romanowska, że „Borussia” jest przestrzenią dyskusji i działań kulturalnych, które się tworzy od dołu i nie musi za tym stać jakaś metanarracja, metaidea, żeby wejść w politykę. Ja też chciałbym działać trochę w przestrzeni kulturalnej czy artystycznej. Mnie bardziej interesuje robienie czegoś właśnie w małej przestrzeni i niewchodzenie w jakieś gigantyczne debaty polityczne. I wydaje mi się, że nie jest to tylko moje poczucie, ale też bardzo wielu osób. Jesteśmy wychowani w 100% w wolnej Polsce. Rzeczywistość jest bardziej zatowarowana. Każdy żyje tak trochę dla siebie i brakuje (nie potrzeba) tej wspólnotowości, której wy doświadczyliście. Wydaje mi się, że w moim pokoleniu inaczej po prostu działamy. Sławoj Żiżek mówi, że teraz jest powrót wielkich metafizycznych narracji. Nie zgadzam się. Ja bym nie chciał w takie określenie wchodzić, tylko robić coś drobnymi, małymi krokami i w moim lokalnym otoczeniu. Im mniej jest w nas, tym więcej dajemy światu na zewnątrz. Wiele osób mojej generacji oczekuje mniej romantyczno-pozytywistycznego myślenia, a więcej może pragmatyzmu codzienności...

Robert Traba

220

Dziękuję bardzo Krzysztofowi za tę perspektywę. Zanim powiem swoją puentę, chciałem przede wszystkim podziękować za każdy głos. Jak zwykle udało nam się, mimo różnic, rozmawiać. Dzisiaj w Polsce zdarza się rzadko, by na jednej scenie spotykały się różne poglądy niewykluczające się wzajemnie. Czasami myślę, że może się gdzieś mijaliśmy, bo i my wszyscy jesteśmy, Krzysztofie [Czyżewski], używając twojej metafory, *jesteśmy małymi Dawidami*. Sens tej metafory zmierza do tego, że w końcu Dawid jednak wygrał z Goliatem. I o to chodzi chyba nam obu. Problemem jest, jakim sposobem prowadzić nierówny spór. Krzysztof [Traba] mówi o różnicach pokoleniowych, o tworzeniu nisz, a nie metanarracji. Słusznie, tyle że sam odbijasz się od krytyki Żiżka, a więc od mainstreamowego filozofa lewicy. W gruncie rzeczy

robisz to, co my przed 25 laty praktykując hasło „myśl uniwersalnie, działaj lokalnie”. Tyle że nam po 25 latach chciałoby się wyjść z naszej niszy i chciałoby się, żeby tego procesu nie zaczynać od początku. Udało nam się przełożyć nasze idee na drugą generację. Czy uda się taki mechanizm transmisyjny stworzyć między nami? Mimo różnic jestem umiarkowanym optymistą. Specjalnie prowokuję państwa polityką. Chciałbym tworzyć alternatywny język opowieści o nas, o Polsce. Język, który nie wyklucza. Nie stworzyliśmy języka opowieści, żeby był alternatywą wobec jego brutalizacji, nonszalanckiej ignorancji w sprawach narodowych. Zwróćcie państwo uwagę na antologię [„Czas przekraczania granic. Antologia Borussii 1990-2015”] i te hasła w leksykonie „Borussii”, które inaczej próbują definiować rzeczywistość. Od tego może warto byłoby zaczynać.

Scena samorządowa jest przestrzenią, gdzie mogą wchodzić ugrupowania nie tylko z politycznego establishmentu. Mnie chodzi o to, że zanim zaczniemy rozmawiać o pieniądzach, politycznych rozgrywkach, szansach i możliwościach, powinniśmy stworzyć manifest, wizję przemian regionalnych z naszej perspektywy. Zawsze w praktyce „Borussii” była najpierw idea, potem znajdowaliśmy ludzi, a później martwiliśmy się o zdobycie pieniędzy. W jednej z gazet na początku 2016 roku znalazłem Konstytucję Rzeczypospolitej. Nagle zauważyliśmy, jaka jest ona ważna. Przypomniały mi się zajęcia, jakie przez kilka lat prowadziłem na Uniwersytecie Warszawskim. Przez 4 lata tłumaczyłem, co to jest naród, nacjonalizm w Europie Środkowej itd. Zaczynałem je od sakramentalnego pytania: *Proszę powiedzieć, jak zdefiniowany jest w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej naród*. Naród w konstytucji? Najczęściej odpowiadało mi wzruszenie ramion. W konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej naród jest zdefiniowany jako: *MY – naród, wszyscy obywatele Rzeczypospolitej*. „Wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”, proszę państwa, i to jest klucz. Od tego powinniśmy zacząć edukację. Wielkim osiągnięciem było stworzenie konstytucji w roku 1997. Tylko że zapomnieliśmy, że jej zasad NIE TYLKO TRZEBA PRZESTRZEGAĆ, ALE CIĄGŁE CZYNIĆ WIDOCZNE PUBLICZNIE. Polsce jest potrzeby permanentny program edukacji obywatelskiej. Nauczać, ucząc się też od innych – to jest proces, który nie ma końca. Bardzo banalnie nazwałem taki system ośrodkami kształcenia obywatelskiego. Zapomnieliśmy o pięknej polskiej tradycji wyrosłej na grundtvigowskich szkołach ludowych [„szkoły dla życia” Grundtviga]. To była przedwojenna tradycja uniwersytetów ludowych. Przez 25 lat nie stworzyliśmy poza działaniami organizacji pozarządowych takiej formy obywatelskiego kształcenia. Możemy wypracować wspólnie program takich szkół, żeby one zaczęły działać. Potrzebujemy do tego pieniędzy oczywiście. I nie pieniędzy państwowych, zależnych od tego czy tamtego rządu. One się muszą stworzyć jako inicjatywa obywatelska. I – proszę państwa tą puentą-wezwaniem chciałem zakończyć IV Forum Otwartego Regionalizmu.

Biogramy:

Klemens Baranowski, członek Stowarzyszenia WK „Borussia”; fizyk, filozof; Warmiak.

Kazimierz Brakoniecki, poeta, współredaktor „Borussii”.

Krzysztof Czyżewski, praktyk idei, pisarz, reżyser i animator działań międzykulturowych; współtwórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach.

Tomasz Kopoczyński, adwokat, konsul honorowy Wielkiego Księstwa Luksemburga; aktywny uczestnik życia społecznego i kulturalnego, członek Stowarzyszenia WK „Borussia”.

Janusz Kijowski, reżyser, dyrektor Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Andreas Lawaty, niemiecki historyk i sławista.

Iwona Liżewska, historyk sztuki, członkini Stowarzyszenia WK „Borussia”; inicjatorka działań na rzecz ochrony krajobrazu kulturowego.

Urszula Madeja-Kulecka, architektka, studiowała na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej; od ukończenia studiów pracuje i mieszka w Olsztynie.

Wolfgang Niklaus, dyrektor artystyczny Scholi Teatru Węgajty, autor projektu Międzynarodowe Spotkania Dramat i Liturgia.

Wacław Radziwinowicz, dziennikarz prasowy, publicysta i reportażysta; do grudnia 2015 roku. stały korespondent „Gazety Wyborczej” w Rosji; pochodzi z Olsztyna i mieszka w Olsztynie.

Ewa Romanowska, filolożka rosyjska, politolożka, członkini zarządu Fundacji „Borussia”, skarbnik Stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa „Borussia”; zajmuje się współpracą transgraniczną, kieruje programem Study Tours to Poland.

Wiesław Skrobot, historyk sztuki, wykładowca Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; współpracuje ponadto z Polsko-Niemieckim Instytutem Badawczym w Słubicach; pochodzi z Ostródy.

Jarosław Słoma, wiceprezydent Olsztyna, czołowy polityk PO w regionie.

Krzysztof R. Traba, arabista; pracuje dla PAI Interpress.

Robert Traba, historyk, współredaktor „Borussii”.

Anna Wasilewska, pedagog, samorządowiec i polityk; posłanka PO w olsztyńskim okręgu wyborczym.

Otwarty regionalizm a pułapki refleksji alternatywnej

HUBERT ORŁOWSKI

ur. w 1937 roku na Warmii w Podlegach koło Gietrzwałdu; germanista, znawca literatury i kultury niemieckiej oraz procesów modernizacji III Rzeszy; emerytowany profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu; członek rzeczywisty PAN; honorowy członek „Borussii”; przez dwie kadencje był członkiem Rady Programowej Fundacji „Borussia” oraz członkiem Rady Redakcyjnej pisma; wspiera „Borussię” od początku; tu opublikował: „»Polnische Wirtschaft«. Nowoczesny niemiecki dyskurs o Polsce” (1998), „Rzecz o dobrach symbolicznych. Gietrzwałd 1877” (2005), „Za górami, za lasami... O niemieckiej literaturze Prus Wschodnich 1863-1945” (2003), „Warmia z oddali. Odpominania” (2000); „Polnische Wirtschaft” otrzymała nagrodę KLIO w 1998 roku.

„Otwarty regionalizm dla Warmii i Mazur. O stanowieniu rzeczywistości społecznej” – tak zatytułowałem moje ubiegłoroczne wystąpienie w „Borussii”. Los nie pozwolił mi na przyjazd na olsztyńskie spotkanie. Udało mi się wtedy przekonać Kornelię Kurowską, by wyraziła zgodę na z pozoru drobny retusz tytułu: W miejsce „na Warmii i Mazurach” zaproponowałem „dla Warmii i Mazur”. Czy warto było wtedy kruszyć kopię o taki kosmetyczny szczegół? Sądzę, że tak, a to z uwagi na uczciwość intelektualną, która właśnie w stanowieniu tożsamości grupowej – a z taką próbą mamy w „Borussii” do czynienia – wypatrzyć sensu swoich możliwości i uprawnień.

Zaproszę państwa w niezbyt bezpieczną podróż podług założeń tzw. historii alternatywnej. Przez znaczną część historyków nie jest ona wprawdzie kochaną subdyscypliną królowej nauk humanistycznych, ale jako NIE-historyk mogę sobie na taką właśnie perspektywę względnie bezpiecznie pozwolić.

Dla klarowności mojej gry myślowej rozpocznę związłym przypomnieniem też Alexandra Demandta, jednego z najczęściej przywoływanych współtwórców historii alternatywnej, autora publikacji z zakresu metanarracji historycznej, w tym przełożonego na

polski tomu „Historia niebyła. Co by było, gdyby...?” (1999). Rozważania te spotykały się nie tylko z akceptacją, ale i ze sprzeciwem wychodzącym z założenia, iż historia to nauka empiryczna, natomiast kreślenie alternatyw przystoi wyłącznie naukom dedukcyjnym. Ja natomiast pieszczę się nadzieją, że przychylicie się państwo do mojej opcji, według której myślenie kontryfakcyjne jest nie tylko domeną fantazji pisarzy i publicystów, ale również poligonem rozważań dla alternatywnych konstrukcji przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Tylko tyle, a może aż tyle o atutach refleksji kontryfakcyjnej. Po to m.in., by zastanowić się nad ich dydaktyczną przydatnością. Puentującą refleksją nad wagą perspektywy Alexandra Demandta podzielę się na koniec moich uwag; tu zaś odniosę się jedynie do kilku stanowień z wyższego pułapu uogólnień.

Przypadek i prawidłowość jako kategorie mają różne gradacje. Najbardziej pojemną ze znanych mi definicję przypadku przytaczam za filozofem Herbertem Hörzem. Otóż według niego

*przypadek stanowi obiektywną relację między nieskończonymi właściwościami obiektu, procesu lub też indywiduum (grupy), oraz nieskończonymi relacjami zróżnicowanych wydarzeń, która nie wywodzi się z istotnych wewnętrznych uwarunkowań tych względem siebie odniesionych składników*¹.

Demandt argumentuje, iż hipotezy na temat nieurzeczywistnionych możliwości mogą uzyskać intersubiektywnie uprawomocnienie. Twierdzi również, iż to, co historycznie możliwe, jest tym, o czym jesteśmy w stanie niesprzecznie pomyśleć, co mogło się niegdyś przytrafić. Z tym że z różnym prawdopodobieństwem. Wiadomo: *nie zrealizowane historyczne możliwości mają wyraźnie różne stopnie prawdopodobieństwa*².

Pomysłów założycielskich na zagospodarowanie terminu, nazwy, szyldu, kategorii czy też ligatury o nazwie Warmia i Mazury jest zadziwiająco dużo. Z reguły konstruowane one bywają albo dla legitymizujących aspiracji politycznych, albo na potrzeby samorządowego dowartościowania, albo wreszcie z myślą „załapania się” na sponsoring unijny z finansowaniem regionalnych potrzeb w tle. Zbitka, pojęcie-zakłęcie WiM (Warmia i Mazury), którym dla wygody posługiwać się będę, przybrało cechy kategorii obrotowej; w zależności od orientacji podpowiada hasła zgoła przeciwstawne. Temu pomysłowi o statusie patchworku współczesna polityka unijna, jak mało któremu, wydaje się służyć.

224

Na początek kluczowe pytanie o usytuowanie WiM na osi wydarzeń przełomowych, na osi dat wiążących dla dziejów Europy. Daty, niby paciorki różańca pamięci, jakoś dziwnie uwielbiane przez cech historyków pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, nie mrugają do nas jakoś porozumiewawczo dla rozpoznania WiM w obszarze Wielkiej Historii. Świątujemy od

1 H. Hörz, *Zufall, eine philosophische Untersuchung. Schriften zur Philosophie und ihrer Geschichte*, Bd. 24. Berlin: Akad.-Verl., 1980, s. 84 [tłum. HO].

2 A. Demandt, *Historia niebyła. Co by było, gdyby...?*, tłum. M. Skalska, Warszawa: PIW, 1999, s. 58.

kilku lat, i świętować zapewne jeszcze będziemy przez kilka następnych, bardziej lub mniej okrągłe daty kluczowych dla naszego kontynentu (i świata) przełomów. Czy WiM – zapytam retorycznie – nie znalazły się aby poza tą mainstreamową refleksją? Księgarnie całego świata wypełniają stopy monografii o końcu epoki napoleońskiej w 1812 roku, o kongresie wiedeńskim 1815 roku, o wojnie krymskiej lat 1854-1856, o wybuchu I wojny światowej oraz o zakończeniu II. O jednym wyjątku wspomnieć należy, mianowicie o bitwie tannenberskiej, która jakoś „haczy” o kompleks WiM, ale z mizernym przełożeniem na refleksję o naszej własnej kondycji. Wszak bitwa tannenberska mieści się w narracji całkiem innej.

Do arki Noego tożsamościowej pamięci WiM zabierzemy zatem z dziejów powszechnych niewiele sztonów kulturowych, sztonów pamięci zbiorowej.

A może jednak nie jest aż tak źle, może słuszność jest po stronie „ojców założycieli” „Borussii”, którzy przed ćwierćwieczem zaproponowali jakościowe poszerzenie „małej ojczyzny”, macierzy borussiańskiej znaczy się, o znaczące sąsiednie regiony?!

Ale połączenia regionów i wielkiej Europy, zaścianka i metropolii, to nie jest pocieszenie, którego potrzebują załężnieni Europejczycy [...]. Ten smutny mariaż – jak pisze w „Europejskim alfabecie” Markus Gauß – europejskiego, oświeconego regionalisty z ksenofobicznym regionalistą prowincjusze może się stać tylko „całkowitym okropieństwem”. W pełni się zgadzamy z przekornością i ironią austriackiego pisarza. Alternatywą wobec „Europy regionów” i terytorialnych separatyzmów jest otwarty regionalizm. Żaden kraj w Europie nie przeżył w XX wieku tak mocno podwójnego zjawiska: przesunięcia granic (utruty dawnych i uzyskania nowych terytoriów) oraz utraty i wymiany ludności jednocześnie. Staliśmy się kulturowymi sukcesorami regionów, od setek lat wyłączonych z polskiej państwowości. By Polskę opowiedzieć współcześnie, powinniśmy łączyć centralny kanon kulturowy z doświadczeniami zróżnicowanych opowieści regionów. Sensem otwartego regionalizmu nie jest ani antymodernistyczna ideologia, ani dążenie do jakichś form autonomii i odrębności. Otwarty regionalizm definiuje się poprzez aktywną postawę obywateli wobec miejsca. Wyraża się ona w dialogu między tradycją miejsca i pamięcią komunikacyjną, odziedziczoną po naszych najbliższych w procesie migracji XX wieku. Wychodząc od kanonu kultury polskiej i własnej pamięci biograficznej, otwarty regionalizm preferuje aktywne kształtowanie tożsamości tak, by jej centralnym odniesieniem było poszanowanie inności. Powstał poprzez doświadczanie realiów ziem zachodnich i północnych Polski, ale może być również praktyczny w stosowaniu w innych regionach Polski i Europy. Oś pojęć, które definiują otwarty regionalizm, wyznaczają kulturowa sukcesja, polifonia pamięci i czytanie krajobrazu kulturowego [rt].

Czas przekraczania granic. Antologia Borussii 1990-2015, red. I. Liżewska, K. Brakoniecki, R. Traba, Olsztyn: Borussia; Warszawa: Narodowe Centrum Kultury, 2015, s. 605.

Nie sądzę, bym musiał przypominać w nieprzyzwoitym skrócie formuł, haseł czy słów kluczy kanonu fundacyjnego „Borussii”. Spróbuję natomiast dopowiedzieć kilka słów do definicyjnej oferty regionalizmu otwartego, odwołując się do konceptu Roberta Traby. Na łamach „Pomeranii” odnotowana została trzy lata temu rozmowa, w której autor określił swoje oczekiwania wobec otwartego regionalizmu m.in. poprzez zdefiniowanie wobec niego naszych powinności:

otwarty regionalizm zwracał się ku przyszłości, postulował odnajdowanie siebie w świecie poprzez otwartość i jednocześnie identyfikację z miejscem, w wymiarze lokalnym i regionalnym; poprzez interaktywne spotkanie pamięci rodzinnej z zastanym dziedzictwem „nie naszym”. [...] Otwarty regionalizm – odwołując się do dziedzictwa kulturowego miejsca, w którym mieszkamy, naszej prywatnej, małej ojczyzny – skierowany jest ku przyszłości. Poprzez konkretne inicjatywy pragniemy uczestniczyć w tworzeniu jednoczącej się Europy, Europy etnicznych ojczyzn, w konstruowaniu przyszłości regionalnej litewskiej, polskiej i rosyjskiej i – równolegle – europejskiej. Ta idea wynikała z potrzeby lokalnego działania i kształtowania uniwersalnego, humanistycznego myślenia o świecie, budowania nowej regionalnej tożsamości. [...] Otwarty regionalizm nie jest jedynie propozycją dla Ziemi Zachodnich i Północnych współczesnej Polski, choć właśnie z konfrontacji z ich rzeczywistością wyrósł. Ze względu na wielki transfer ludności ze wschodu na zachód po 1945 rozwinął się tu ze szczególną ostrością od pierwszych lat powojennych autentyczny proces nadawania nowych sensów „ziemi nieznajomej”. Najpierw był on wpisany w wielki projekt ideologiczny PRL, po '89 odżył w warunkach państwa demokratycznego. Jego wyrazem jest nadal poszukiwanie tożsamości miejsca na przecięciu „nie naszego” dziedzictwa kulturowego z pamięcią komunikatywną większości mieszkańców, sięgającą np. dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Nic dziwnego więc, że mamy do czynienia z tak dużym zapotrzebowaniem na regionalny dyskurs tożsamościowy³.

Zapis ten doprasza się kilku wyjaśnień czy dopowiedzeń, a może nawet pytań i wykładni w rodzaju „co autor miał na myśli”. Najpierw jednak o pewnikach, stanowiących w tym definicyjnym ujęciu fundament pojęcia otwarty regionalizm...

Projekt zwraca się

1. „ku przyszłości” oraz „z potrzeby lokalnego działania i kształtowania uniwersalnego, humanistycznego myślenia o świecie”,
2. skłania do tożsamościowego „odnajdywania się” w świecie oraz postuluje
3. spotkanie „pamięci rodzinnej z zastanym dziedzictwem kulturowym »nie naszym«”, a więc – według wszelkich reguł prawdopodobieństwa – niemieckim. Zatem – najogólniej rzecz ujmując – podejmuje (czy też kontynuuje) „autentyczny proces nadawania nowych sensów »ziemi nieznajomej«”.

³ Rozmowa z prof. Robertem Trabą, dyrektorem Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie, Pomerania, 2013, nr 4.

Problematyczny wydaje się jeden pewnik, mianowicie założenie, iż większość mieszkańców WiM dysponuje *pamięcią komunikatywną* [...] *dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej*. Sądzę – nikogo nie urażając – że tak nie jest: ani w odniesieniu do pamięci Kresów, ani Atlantydy Północy.

Teraz słowo o regionalizmie. Odwołując się do współczesnego polskiego stanu badań, socjolog Jacek Poniedziałek definiuje „Regionalizm na Warmii i Mazurach” (2011) opisowo, a właściwie przeglądowo. Regionalizm jest według niego ruchem społecznym, opartym na regionalnej kulturze, historii, a także na

konkretnych potrzebach i aspiracjach mieszkańców [...]. Wiąże się z poszukiwaniem przez zbiorowość terytorialną wewnątrz jakiegoś państwa własnej tożsamości, która może być warunkowana różnorodnymi czynnikami, np. religijnymi, etnicznymi, ekonomicznymi czy kulturalnymi [...]. Tak rozumiany regionalizm przejawia się przede wszystkim w poczuciu odrębności, pozytywnej ocenie lokalnego systemu wartości, podtrzymywaniu miejscowej kultury [...].

Szersza definicja określa regionalizmem ruchy społeczne, które dążą do

zwiększenia samodzielności swego regionu, jak również ruchy kulturalne walczące o umocnienie jego kulturowej tożsamości. [...] Współcześnie przyjmuje się, że regionalizm należy podzielić na „stary” i „nowy”. W starym regionalizmie nacisk kładziono na kulturę determinowaną przez czynniki o charakterze obiektywnym. [...] W nowym regionalizmie nieco inaczej konstruuje się ideologię i praktykę działania. [...] Warto wspomnieć, że nowy regionalizm, zwany niekiedy neoregionalizmem, cechuje się kulturalizmem, czyli intencjonalnym i świadomym tworzeniem tożsamości⁴.

Obawiam się, że całego szeregu „wymogów”, wymienionych przez Jacka Poniedziałka za innymi badaczami, nie da się odnaleźć w borussiańsko zdefiniowanym regionalizmie WiM!

Do tego definiującego kręgu dorzucę jeszcze jedną ofertę, pomieszczoną w rozprawce Izabeli Skórzyńskiej i Anny Wachowiak. Autorki porównawczego projektu badawczego „Region otwarty w kontekście sporu o pamięć polskich ziem zachodnich i północnych” (2011) podkreślają wyraźnie charakter stanowienia pojęcia regionalizm otwarty:

W idei regionalizmu otwartego, za którym stoją takie modele aktualizacji przeszłości (konstrukcje pamięci), jak transnarodowy czy genius loci, mieści się także w sposób konieczny reaktualizacja polskiej myśli zachodniej jako zwrot ku tradycji dysponowania pamięcią i historią regionalną także przez państwo i naród. Wynika to z przyjęcia założenia o swobod-

4 J. Poniedziałek, *Regionalizm na Warmii i Mazurach*, Studia Regionalne i Lokalne, nr 4(46)/2011, s. 53n.

nym przepływie dóbr i informacji, jako podstawie kształtowania zbiorowych odniesień do przeszłości na ziemiach północnych i zachodnich Polski rozumianych przez nas jako regiony otwarte, gdzie do głosu dochodzą zarówno oddolne obywatelskie inicjatywy aktualizowania przeszłości regionalnej jako przeszłości wielokulturowej, jak i kształtowana przez państwo i jego instytucje nowa polityka historyczna ukierunkowana na odnowę ducha polskości na tych obszarach. Zderzenie tych dwóch porządków kształtowania historii/pamięci ziem północnych i zachodnich, zwłaszcza zaś publiczna debata na temat tożsamości ich mieszkańców, wpisują się w szeroko pojętą politykę historyczną⁵.

Otwarcie wyznam, iż z postulatami polityki historycznej mam poważny kłopot. Powracam na naszą domenę, na borussiańską. Fundamenty filozofii Borussii „fundowali”, inaczej mówiąc, stanowili Kazimierz Brakoniecki i Robert Traba. Polszczyna dopuszcza jeszcze jeden, bliższy mojej wyobraźni i bodaj bardziej adekwatny sens pojęcia stanowić. Mam na myśli formułę „stanowić coś”, a nie „stanowić o”. Konkludując zatem: Stanowić możemy, stanowić chcemy czy też powinniśmy regionalizm otwarty. O tym za chwilę.

Najpierw o materii, która służyła i służyć będzie za budulec tożsamości regionalnej. Pytanie o przeszłość jest zawsze pytaniem o wybór: o wybór znaków, znaczeń, wartości. Przypomnę wielkiego uczonego Maxa Webera refleksję o statusie pojęcia kultury.

Z punktu widzenia człowieka „kultura” jest skończonym wycinkiem bezsensownej nieskończoności wydarzeń świata, któremu nadajemy sens i znaczenie. Jest nim również wtedy, gdy człowiek deklaruje się być śmiertelnym wrogiem jakiejś konkretnej kultury⁶.

Zatem również koncept regionalizmu otwartego to nic innego jak nadawanie sensu, nadawanie znaczenia; takim, a nie innym elementom przeszłości, takim, a nie innym domenom kultury. Wybieramy sobie wykładnie, które nam – mówiąc kolokwialnie – „pasują”. Dobieramy takie domeny, których kapitał kulturowy – w rozumieniu Pierre’a Bourdieu – pozwala na możliwie bezkolizyjną czy niesprzeczną konstrukcję „naszego” kapitału symbolicznego. (Nasuwa mi się w tym momencie myśl, iż „kapitał” ten, że taki „kapitał”, może mieć dużo wspólnego z oryginalnym pomysłem filozofki Barbary Skargi na status pojęcia „mojość”). W skrajnych przypadkach wybór ten może przybrać, oraz przybiera, postać polityki historycznej. Z różnym rezultatem, dodam. Rozumowanie to odnosi się odpowiednio również do racji przed chwilą wyłożonych. Czym dysponuje koncept Atlantydy Północy, co może on zaoferować na potrzeby projektu otwartego regionalizmu? Z patchworku tego wyłowić się da niemało.

5 I. Skórzyńska, A. Wachowiak, *Region otwarty w kontekście sporu o pamięć polskich ziem zachodnich i północnych*, *Sensus Historiae*, vol. V (2011/4), s. 80.

6 M. Weber, *„Obiektywność” poznania społeczno-naukowego i społeczno-politycznego*, [w:] tenże, *Racjonalność, władza, odczarowanie*, wybór, wstęp, tłum. M. Hołona, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 2004, s. 163.

Za przodków w linii prostej, acz nie etnicznie czy genealogicznie, mamy na WiM w pierwszej linii Prusów. Czy można, czy należy, czy da się ten zabieg kulturowego przyswojenia zrealizować? Hołubimy tzw. baby pruskie, gładząc owe kamienne cuda dość protekcyjnie. Jedną z ostatnich akcji „Borussii”, mianowicie poszukiwanie „miejsz pamięci” czy symboli WiM, nie zakończyła się najszcześliwiej dla tej staropruskiej płyty naszej pamięci. Na szczęście zachowało się relatywnie sporo staropruskich nazw topograficznych, w tym i moich rodzinnych Polecken, a dzisiaj Podlejk z 1364 roku, co pochwaliłem w mojej książeczce „Warmia z oddali”.

A co z Prusami, kolejnym pokładem współstanowiącym nasz regionalizm? Jeszcze rok temu twierdziłem: Z dziedzictwem Zakonu Najświętszej Marii Panny, czyli krzyżackim, też już sobie jakoś poradziliśmy. Bojowy język Henryka Sienkiewicza słabnie z roku na rok, zaś Wspólna Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa radzi naszym uczniom coraz dobitniej, by doceniać cywilizacyjną moc i architektoniczne piękno architektury zakonnej. Dziś natomiast zmuszony jestem dodać: Nadciągająca reforma programów szkolnych, i nie tylko przedmiotu „historia”, zmienia gwałtownie – w blasku słoneczka polityki historycznej – naszą orientację na konfrontację polsko-krzyżacką.

Im bliżej współczesności – tym większe kłopoty. Władztwo Prus pofryderycjańskich, postrzegane zwłaszcza przez pryzmat „żelaznego kanclerza” i spuściznę „kulturkampfu”, nie pozwala na dialogową korespondencję z obowiązującą narracją narodową. Mam nadzieję, że zrealizowany kilka miesięcy temu w „mojej” serii wydawniczej Poznańska Biblioteka Niemiecka potężny tom dwu znakomitych badaczy (Andreas Ławatye'go i Hansa-Jürgena Bömelburga) pt. „Prusy – mity i rzeczywistości”, dalej: polskie wydanie najnowszej monografii Heinza Schillinga o Marcinie Lutrze i protestantyzmie (w teŹe Bibliotece), jak również monografia Dariusza Łukasiewicza „Sarmatyzm i Prusy na przełomie XVIII i XIX wieku” (2016) stanowić mogą drobną korektę wspomnianej narracji niechby w obszarze przeszłości technologiczno-cywilizacyjnej. Nijak to się jednak ma do nadciągającego tsunami reform edukacyjnych.

Im bliżej współczesności, tym trudniej, wiadomo: konflikty „czasów weimarskich” i ich propagandowa oprawa, polityka i antropologia „wschodniopruskości”, tak przekonująco przybliżona przez Roberta Trabę we „Wschodniopruskości”, i wreszcie mroki okupacji. Pojawiające się po ponad siedemdziesięciu latach od końca II wojny światowej próby podolania tym kłopotom spod znaku polityki historycznej mocno kuleją.

By zamknąć ten dyskurs pamięci, wspomnę nasze polskie wielkie „potykacze pamięci” z ostatnich lat, wielkie dosłownie i w przenośni, te w skali narodowej. Przywołam muzea budowane i wybudowane w ostatnich latach: Powstania Warszawskiego, II Wojny Światowej oraz „Solidarności”, oraz te pomniejsze i najmniejsze, rozrzucone po całym kraju: zarówno pomniki żołnierzy UPA, jak i wyklętych. Przypomnę wreszcie pomysły zarówno niezrealizowane, jak i niegdyś realizowane, dziś jednak medialnie i politycznie skutecznie przemilczane: nieistniejący pomnik ponadstutysięcznej rzeszy ofiar rzezi wołyńskiej, pomniki poległych pod

Lenino i na Wale Pomorskim. Dopiero postrzeganie tego polskiego kosmosu memorialnego jako całości, również w kategoriach porównywalnego kapitału symbolicznego, daje do myślenia o funkcjonowaniu naszych wielkich „tektonicznych płyt” pamięci zbiorowej, sterowanych – niestety – dyrektywami skonfliktowanych podmiotów polityki historycznej. Zderzenia owych iście „kalifornijskich płyt” pamięci mogą prowadzić do niewyobrażalnych spustoszeń w pamięci zbiorowej.

Czy aby zbiorowej? Jerzy Jedlicki, ostatni z żyjących uczonych wielkiej warszawskiej szkoły historii idei, tak dywagował przed kilku laty na temat pamięci zbiorowej:

Pamięć zbiorowa? Nie ma zbiorowej pamięci. Pamięć jest zawsze i tylko indywidualna, czego nie zmienia fakt, iż niektóre jej treści mogą być wspólne wielu jednostkom i że istnieją – jak pisał francuski socjolog Maurice Halbwachs – „społeczne ramy pamięci”.

Jedlicki sformułował był na kilka lat przed Janem Assmannem tezę o „redagowaniu własnych biografii”, swoście potwierdzając tezę Pierre’a Bourdieu o „autobiograficznej iluzji”. Uczony zamyka swą refleksję następującą konkluzją:

Pamięci ludzkie nie dodają się do siebie, nie tworzą jakiejś zbiorowej sumy, lecz nader często wiodą ze sobą zacięty spór. [...] to, czego się doznaje i co się utrwała w pamięci, zależy nie tylko od osobistej sytuacji świadka zdarzeń i jego punktu obserwacyjnego, ale także od jego wyposażenia mentalnego. [...] Zwłaszcza w momentach dziejowych przesileń dokonują się, jak wiadomo, radykalne zmiany perspektywy historycznej, a wraz z nią mogą się zmieniać całe wątki autobiograficznych narracji⁷.

W tym zatem, w zderzeniu *autobiograficznych iluzji* oraz *redakcji własnych biografii* w ramach *społecznych ram pamięci*, w ich zderzeniu z *radykalnymi zmianami perspektywy historycznej* doszukiwałbym się zarówno szans, jak i zagrożeń dla kreowania tożsamości regionalnej, dla jej становienia.

W obszarze empirii prowadzono w ostatnich latach, tak sędzę, badania zasługujące na uwagę. Mogę się oczywiście mylić oraz mogę nie być dostatecznie zorientowany w miąższu badań na skrzyżowaniu nauk socjologicznych, historycznych i antropologii kulturowej, ale takie prace jak „Społeczne tworzenie ojczyzn” (2002) Wojciecha Łukowskiego czy Jacka Poniedziałka „Postmigracyjne tworzenie tożsamości regionalnej” (2011) zbliżyły nas niewątpliwie do kwestii tu dociekanych. Pojawiają się kolejne studia. Klasa umysłowa Warmii i Mazur tworzy na potrzeby tożsamości regionalnej WiM! Krzysztofa Worobca i Iwony Liżewskiej tom nie pozwala zapomnieć o „Alejach przydrożnych” (2009), podobnie jak Iwony Liżewskiej albumy-poradniki o budownictwie nie tylko wiejskim. W pierwszym roczniku pomysłowego „Etckiego

Przeglądu Historycznego” natknąłem się na oryginalne studium przypadku, mianowicie na Stefana Marcinkiewicza diagnozę „przestrzeni społecznej powojennego Elku”. Studium to autor nieprzypadkowo zatytułował „Od migracji do modernizacji”. Autorski duet Michała Olszewskiego i Rafała Żytyńca zaproponował „Spacerownik po mieście” (Elk 2012). Prac zatem przybywa.

Wymienione oraz pominięte tu tomy zasługują na słowo dopowiedzenia. W tym kontekście, i nie tylko w tym, znaczenia nabiera kategoria przestrzeni regionalnej. Amerykański antropolog Edward T. Hall promuje w swym traktacie „Ukryty wymiar” (1978) poznawczą wartość *przestrzeni społecznej i indywidualnej oraz jej postrzeganie przez człowieka*. Znacząco wcześniej, bo w już 1938 roku, głosił Florian Znaniecki w swym kapitalnym studium „Socjologiczne podstawy ekologii ludzkiej”: W życiu społecznym

*mamy do czynienia z wartościowaniem przestrzeni przez jednostki i zbiorowości ludzkie, przy czym wartościowanie to ma bezpośredni wpływ na przestrzenne zachowania społeczeństwa*⁸.

Zmierzając do zamknięcia moich refleksji, powracam więc do formułowanej już wcześniej kwestii metafizycznego statusu tytułowej kategorii, jak i do prakseologicznych wskazań mających z niej wynikać. Oto tylko niektóre, ale istotne zapytania o prakseologiczną stronę tego statusu, no i wreszcie o realizowalność samej oferty:

1. Jakie perspektywy otwiera dla Warmii i Mazur przełożenie idei czy też ideologii regionalizmu otwartego na praktykę? Na myśli mam oczywiście perspektywy realizacji.
2. Kto, jaki podmiot, miałby legitymizować oraz realizować koncept regionalizmu otwartego: Klasa polityczna szczebla samorządowego? Instytucje i podmioty szczebla regionalnego? Środowiska twórcze? Wspólnoty kulturowe?
3. Do jakich zasobów podmioty, innymi słowy „sprawcy” i kreatorzy, mieliby się odwoływać, z jakich zasobów korzystać, z jakich zaś nie?
4. Jak dalece podmioty transnarodowe, kreujące politycznie nową tożsamość w postnarodowej Europie (w UE), zainteresowane są „w dopieszczaniu” regionalnych tożsamości kulturowych?

Na niektóre pytania odpowiem sobie sam, na niektóre zaś nie znajduję odpowiedzi. Nie sądzę, by państwa jako podmioty były zainteresowane otwartym regionalizmem ani by były w stanie prowadzić aktywną politykę w tym kierunku; zakres ich działań dotyczy przecież innej materii. Co innego podmioty samorządowe szczebla regionalnego. Ale czy stać je na taką tożsamościową politykę? Trudno o bardziej rozbłątaną mieszaninę znaków kulturowych, mogących nas poprowadzić ku klarownie pojętemu polu kulturowemu. Jak to brzmi w błyskotliwym koncepcie Pierre’a Bourdieu?! – Pole jest

8 A. Wallis, *Słowo wstępne*, [w:] E. T. Hall, *Ukryty wymiar*, tłum. T. Hołówka, Warszawa: PIW, 1978, s. 13.

*ustrukturuowanym systemem sił obiektywnych, relacyjną konfiguracją, wyposażoną w specyficzną siłę ciężenia (gravité), zdolną do narzucania swej wagi wszystkim przedmiotom i osobom w polu tym się znajdującym*⁹.

Przed laty pozwoliłem sobie na uszczypliwą uwagę pod adresem współczesnego zagospodarowywania dziedzictwa WiM:

*Warmia jawi się niby cywilizacyjno-kulturowy legoland, jako jeszcze jeden twór ponowoczesnej gry przy wykorzystaniu wyselekcjonowanych elementów, powstały w procesie swegoistego zagospodarowania dziedzictwa*¹⁰.

Podczas Europejskich Dni Dziedzictwa, realizowanych pod niecodziennym hasłem „Ludzie gościńca. Wędrowcy, pielgrzymi, tułacze”, medytując w Lidzbarku Warmińskim nad „warmińskim wędrowaniem, światowaniem... mimo granic”, podzieliłem się pomysłem na regionalizm otwarty, choć samego terminu nie przywołałem. Centralny wątek tego postulatu sformułowałem wtedy następująco:

Właśnie w tym proponuję upatrywać specyfikę tej krainy, tego regionu. Wskaźnikiem byłaby kategoria mobilności w przestrzeni o ruchomych granicach, w spleceniu wyznań, kultur, języków. To czasoprzestrzeń stanowi w tym przypadku w najwyższym stopniu matrycę wyobraźni.

Dlaczego by nie definiować mobilności jako przestrzeni społecznej, jako biotopu, w którym „sąsiadujemy”, w którym światujemy? Sąsiedztwo jest przecież również kategorią antropologiczną, z tym że w przypadku Warmii niezwykle bogatą, różnorodną i zmienną. (W mniejszym zapewne stopniu dotyczy to Mazur). Kiedy skądś powracamy albo dokądś przybywamy, musimy liczyć się z tym, iż natkniemy się na zmiany, na „obcość”, na „obcych”. Błyskotliwy socjolog kultury Georg Simmel pisał w eseju „Obcy” na przełomie minionych wieków:

*Jeżeli wędrowanie jako brak związku z wszelkim konkretnym punktem przestrzeni jest pojęciowym przeciwieństwem trwałego przywiązania do danego, konkretnego punktu, to socjologiczna forma „obcości” stanowi w pewnej mierze syntezę obydwu tych określeń. Zjawisko to ujawnia, że stosunek do przestrzeni jest, z jednej strony, warunkiem, z drugiej zaś – symbolem stosunku do człowieka...*¹¹

9 Loï J. D. Wacquant, *Wprowadzenie*, [w:] P. Bourdieu oraz Loï J. D. Wacquant, *Zaproszenie do socjologii refleksyjnej*, tłum. A. Sawisz, Warszawa: Oficyna Naukowa, 2001, s. 21.

10 H. Orłowski, *Kapitał kulturowy versus kapitał symboliczny. O Warmii z południa jako malej ojczyźnie*, [w:] Borussia. Kultura. Historia. Literatura, 2000/2001, nr 23, s. 51.

11 G. Simmel, *Most i drzwi. Wybór esejów*, tłum. M. Łukasiewicz, Warszawa: Oficyna Naukowa, 2006, s. 204. Zob. również H. Orłowski, *Mimo granic: warmińskie wędrowanie, światowanie, rozmyślanie...*, [w:] *Słowa i metody. Księga dedykowana profesorowi Jerzemu Świąchowi*, A. Kocharczyk, A. Niewiadomski, B. Wróblewski, Lublin: UMCS, 2009, s. 439-449.

Zatem – dodam – to nie przypadek, że jeden z kluczowych mitów kultury śródziemnomorskiej, mit Odyseusza, dotyczy nie zasiedzenia, ale wędrowania.

I tak z wolna przechodzę do zapowiedzanego wcześniej nawiązania do refleksji nad perspektywą Alexandra Demandta, uczonego, który rozważa, ba!, który pośrednio kontestuje (marksiowskie?) prawo konieczności historycznej, a więc zasadę finalistycznego postrzegania procesów historycznych. Powtórzę więc za Demandtem: *Historia to pole możliwości*¹². A jeśli tak, to dywagowanie nad potencjalnymi, ale niezrealizowanymi sposobnościami jest uprawnionym sposobem postępowania (dodam: nie tylko) historyka. Demandt podkreśla to jeszcze dobitniej:

*Tak jak niemożliwe jest wyeliminowanie fantazji historycznej (koniecznej do ustalenia minionych wydarzeń) z profesjonalnej nauki o dziejach, tak i nauka o dziejach nie zawsze osiąga w swoich ustaleniach pewność (której uzyskanie jest oczywiście prawdziwie [faktycznie?] niemożliwe dopiero w badaniach nad historią nie urzeczywistnioną)*¹³.

W odniesieniu do naszego regionu wyeliminowanie przywołanej fantazji stanowiłoby niepokojące zubożenie, jeśli nie podważenie samego dyskursu „wschodniopruskości”. Nic, absolutnie nic nie zapowiadało wyłonienia z przysłowiowych mroków przeszłości fenomenu WiM w obecnym kształcie. Czas nie pozwala na sięganie po pełnię rozchełstanych dziejów naszego regionu. Ograniczę się więc do dwu momentów, w których niby na rozstajach dróg historycznych losy tej krainy mogły potoczyć się całkiem odmiennie.

Pierwszym z przykładów niech będzie Związek Pruski (Preussischer Bund). O jego miejscu i roli na ziemiach mojej „małej ojczyzny” napisano wiele. XV wiek dał Rzeczypospolitej wielką szansę wsparcia Związku nie tylko w jego zabiegach o wyrwanie się spod władztwa Zakonu, ale i stworzenia unii z ziemiami zakonnymi czy niechby tylko z istotną ich częścią. Kazimierz Jagiellończyk zaprzepaścił tę jedyną szansę mimo ogromnego wkładu finansowego ze strony Związku w tym kierunku oraz mimo korzystnych kolei wojny trzynastoletniej. Dlaczego? Po co?

Na obcesowe pytanie „co by było, gdyby...” odpowiem sceptykom tej optymistycznej, skierowanej ku przeszłości wizji, konkluzją autorstwa Niklasa Luhmanna z jego wielkiej syntezy „Systemy społeczne”. Otóż najznakomitszy obok Habermasa myśliciel niemiecki czasów powojennych wprowadza do nauk humanistycznych kategorię kontyngencji, poszerzając refleksję o możliwość zaistnienia fenomenu przypadkowości. Nie należy zapominać o wieloznaczności tego pojęcia, i to nie tylko z racji odniesienia do kilku dyscyplin badawczych. Richarda Rorty’ego wariant pojęciowy bywa tłumaczony na „przygodność”, no i wtedy nabiera ono innych odcieni znaczeniowych. Odpowiedź Luhmanna brzmi:

12 A. Demandt, dz. cyt., s. 131.

13 Tamże, s. 76.

Kontyngentne jest coś, co nie jest ani konieczne, ani niemożliwe, a więc coś, co takie, jakie jest (było, będzie), może być, ale też [jest] możliwe w inny sposób. Pojęcie to oznacza zatem to, co dane (doświadczone, oczekiwane, pomyślane, wyobrażone) ze względu na możliwe innobyte [Anderssein]; oznacza [ono] przedmioty w horyzoncie możliwych modyfikacji¹⁴.

Zaletą oferty Luhmanna jest przewietrzanie naszej zatęchłej wyobraźni pod kątem bynajmniej nie nieprawdopodobnych możliwości „innobyta”. Przywołam kolejny, drugi zatem przypadek, również wielce prawdopodobny, choć zarazem nader niekorzystny dla naszej „Atlantydy Północy”. Mowa o bliższych nam czasach, o roku 1945 i o geopolitycznych następstwach II wojny światowej. Bez trudu można sobie wyobrazić poszerzenie włości o nazwie kalininogradskaja oblast’ aż po Allenstein-Olsztyn, po Elbing-Elbląg, ba, a może nawet aż po Deutsch Eylau, czyli Iławę. Dodam: O „argumenty historyczne” na potrzeby na przykład ostatniego z wymienionych miast nietrudno; wszak w czasie wojny siedmioletniej w Iławie stacjonowały oddziały armii rosyjskiej, i to przez blisko pięć lat (1758-1762)! Znając wyobraźnię i apetyt Jossifa Wissarionowicza, byłoby to wielce prawdopodobne. I co wtedy?! Co na to ówczesni alianci i podobno wielcy przyjaciele? Ano nic; postąpiliby podobnie jak przy targowaniu się o bieg granicy na Nysie. Przy takim toku zdarzeń prawdopodobieństwo naszych borussiańskich spotkań oraz debat w Olsztynie równe byłoby niewątpliwie zeru.

Moje z pewnością irytujące dociekania – cóż nam bowiem po przeszłości, która nie powróci ani w tym, co dobre, ani w tym, co mniej dobre – mają na celu jedno: uzmysłowienia sobie, iż bytujemy – *hic et nunc* – z mocy trwania historii, takiej czy siakiej, ale zawsze przecież historii. I pamiętać musimy – i tu po raz ostatni przywołam Demandta – że

nawet gdy przyznajemy przyszłości prawo do osądzania przeszłości, nawet wtedy nie powinniśmy przecież awansować teraźniejszości do rangi absolutnej przyszłości i traktować jej jako koniec dziejów. Nasz czas jest nie tylko przyszłością naszej przeszłości, ale i przeszłością naszej przyszłości. Także to, co nadchodzi, powinno być oglądane oczami rozumu¹⁵.

Z tą konkluzją Demandta, jak sądzę, nie sposób się nie zgodzić.

Hubert Orłowski

14 N. Luhmann, *Systemy społeczne. Zarys ogólnej teorii*, tłum. M. Kaczmarczyk, Kraków: Zakład Wydawniczy Nomos, 2007, s. 104 [wyróżnienie HO].

15 A. Demandt, dz. cyt., s. 173.

ROZMOWA
BORUSSII

Ambasador

Nasze relacje na początku były zaskakująco asymetryczne. Zanim Jerzy Bahr stał się wybitnym, podziwianym dyplomata, to On pierwszy już w 1991 roku odkrył „Borussię”. Naszym wspólnym miejscem fascynacji był Królewiec, dawna kraina między dolną Wisłą a Niemnem. Los sprawił, że właśnie w Kaliningradzie rozpoczął Jerzy Bahr swoją dyplomatyczną karierę, tworząc tu pierwszą polską placówkę konsularną i obejmując funkcję konsula generalnego w roku 1992. Nie raz otrzymywaliśmy od Niego sygnały wsparcia i uznania dla naszej działalności. Osobiście jednak spotkaliśmy się dopiero w roku 2000, gdy przyjechałem z wizytą studyjną do Kijowa, gdzie Jerzy Bahr piastował funkcję polskiego ambasadora na Ukrainie. Potem wymienialiśmy się korespondencją, intensywniejszą od czasu, gdy w 2006 roku zostałem dyrektorem Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. W dramatycznym liście do przyjaciół wysłanym z Krakowa w marcu 2009 roku poinformował o stanie swojego zdrowia:

Mam nadzieję, że najgorsze już za mną. [...] Rosja staje się jeszcze bardziej skomplikowana, zgęszczają się jej barwy. Na tym tle pobudzająco działają wyjazdy w teren, w różne regiony tego ogromnego kraju. [...] Jeśli zdrowie dopisze, będę te wyjazdy kontynuował. [...] Wierzę, że jeszcze kiedyś porozmawiamy.

Mieliśmy szczęście rozmawiać wielokrotnie. Miał świadomość nieodwracalności lekarskiej diagnozy, lecz jednocześnie wyczuwało się wolę życia i walki z przeciwnościami losu. Po powrocie z Moskwy i zakończeniu ponad 20-letniej służby dyplomatycznej nasze kontakty stały się najintensywniejsze, głównie dzięki temu, że obaj zasiadaliśmy w Radzie Programowej Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie. Częstsze spotkania, wspólne rozmowy, wyprawy studyjne na Śląsk, Rugię, Słowację odkrywały nowe oblicze Jerzego Bahra: intelektualisty, wędrowca, filozofa polityki mocno osadzonego w etyce i wartościach chrześcijańskich, które łączył z ideą zjednoczonej Europy.

237

Bezpośrednim impulsem publikowanej rozmowy stała się informacja, że królewiecka kolekcja Ambasadora ma zostać przekazana Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Spotkaliśmy się w Jego domu w Maszkowie pod Krakowem 19 sierpnia 2014 roku. Większość czasu spędziliśmy w „Bahroku”, gdzie zgromadził swoje zbiory, głównie z różnych krajów dawnego Związku Radzieckiego, w tym królewieckie osobliwości. Były wśród nich cymelia i zwyczajne artefakty królewiecko-kaliningradzkiej rzeczywistości. W całości (i tylko w całości) układały się nie tyle

w salę muzealną, lecz w „królewiecki gabinet” odzwierciedlający przeszłość miasta/regionu przefiltrowaną przez osobistą fascynację jednego z najwybitniejszych polskich dyplomatów. Umówiliśmy się, że opublikujemy naszą rozmowę w przededniu przekazania eksponatów do Olsztyna. Decyzja dyrekcji Muzeum się odwlekała... Podczas ostatniego naszego spotkania w Krakowie, w czerwcu 2016 roku, Jerzy Bahr coraz bardziej wątpił, że dojdzie do finalizacji jego marzenia o stworzeniu małej ekspozycji jego eksponatów w Olsztynie...

Jerzy Bahr zmarł 25 lipca 2016 roku. Wraz z nim – jak powiedział Paweł Kowal – zamknęła się ważna karta historii polskiej dyplomacji. Odszedł dyplomata, wybitny znawca Europy Wschodniej, o rzadko spotykanej przenikliwości politycznej. W Olsztynie pozostanie w pamięci dodatkowo jako koneser historii wschodnich Prus, miłośnik Królewca i przyjaciel „Borussii”.

Robert Traba

2 października 2016



Robert Traba, Elżbieta Traba i Jerzy Bahr przed Bahrakiem.

z każdego możliwego materiału, bo każdy da się przekształcić jeśli nie od razu w sztukę, to przynajmniej w jej zapowiedź. W miarę upływu czasu, coraz bardziej doceniamy Przyrodę, bogactwo jej form i odcieni. To naturalne.

Trudno myśleć teraz o letnim urlopie, ledwie powróciwszy z dłuższego – przymusowego. Dlatego, niech to zostanie przestrzeń, którą należy rozsądnie zagospodarować. Być może wówczas, albo w dającym się przewidzieć czasie, spotkam się z kimś z Was. A na razie, przekazuję te słowa pamięci i serdeczności w nadziei, że przyniosą Wam uśmiech na twarzy,

P.S. Z powodów pryncypialnych wybrałem w biografii

Pełną „Historię. Przekształcenia „i z „Historii” –

– „Dyskursy historyczne” „poetyckie”.

Kolejny raz, uderzam się w piersi, jak
mówię, bliskie są nasze potrzeby na (i) na tych,
co nas otaczają; wprost jakbyśmy, jakbyśmy wychodzili
na swoje własne i oferowali zupę, która te same
elementy zawiera, które Pełna Historia przekształca
przeobraża. Wierzę, że jeszcze kiedyś porozmawiamy...

Z pozdrowieniami,
nieścisłym albowi

Kraków/Moskwa, w marcu 2009





W „królewieckim” gabinecie Jerzego Baha.

Wschód potrzebuje modernizacji

**Z Jerzym Bahrem rozmawiają
Elżbieta Traba i Robert Traba**

Robert Traba

Zacznę od tego, od czego nie chciałem zacząć, czyli od krótkiej refleksji. Po ponadgodzinnym zwiedzaniu Pana domu objawił mi się Pan Ambasador jako człowiek wrażliwy z wszechstronną wiedzą, autoironiczny, z dużą empatią wobec innych. Pana stosunek do Wschodu odbieram jako refleksyjno-nostalgiczny i trochę smutny. Czy rzeczywiście tak jest, że przeważa smutek w Pana spojrzeniu na Wschód Europy? Jak daleko od smutku do nostalgii?

Jerzy Bahr

Ja bym tego tak nie ujął. Wschód i ta część Europy jest dla mnie miejscem refleksji i z racji tego, co tu się działo, uruchamia w człowieku współczucie. Bólu tam było zbyt dużo. To, co doświadczamy ostatnio [2014], pokazuje, że książka z tym bólem nie została zamknięta. To jedna strona i rzeczywiście można powiedzieć, że smutek dominuje w tym spojrzeniu, ale z drugiej strony każde spotkanie z ludźmi tam to czysta literatura, czysta sztuka. To oznacza, że przestrzeń wschodnia jest nieprawdopodobnie bogata. Możemy oczywiście postawić akcent na tej smutnej stronie, ale to jest bezdenna studnia poznania. Ten świat mnie fascynuje, ale nie widzę w sobie nostalgii. Oczywiście, że mnie interesuje prawda o przeszłości i korzystam ze współczesnych opracowań dających taką wiedzę. Wtedy więcej rozumiem siebie i mniej jest miejsca na nostalgię. Nigdy nie patrzyłem na tereny nazywane w Polsce Kresami nostalgicznie. Zawsze chciałem prawdy o nich i to prawdy wielostronnej. Z jednej strony była to wiedza o Wołyniu, a z drugiej, żeby się Polak nauczył, że było coś takiego, jak „Znaj Lasze, po San nasze” [hasło Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej głoszące „Polacy za San”]. Dopiero jak się wie jedno i drugie, to łatwiej to wszystko zrozumieć.

241

Robert Traba

Czy mógłby Pan, wychodząc z fascynacji tą częścią Europy, opisać to, co dzieje się obecnie na Wschodzie?

Jerzy Bahr

Ten świat na wschód od Polski potrzebuje gigantycznej modernizacji. Oczywiście to zadanie na pokolenia. Ona jest potrzebna i powinna objąć wszystkie dziedziny życia. Polska może się tu przydać. Polacy lepiej lub gorzej przechodzili i przechodzą taką transformację indywidualnie i jako zbiorowość.

Robert Traba

Co to znaczy modernizacja? Czy to nie prowadzi do zaniku tego, czym Wschód nas tak fascynuje? Czy ta modernizacja nie jest po prostu dopasowaniem się do Zachodu?

Jerzy Bahr

To pytanie można postawić tak samo Polakom, którzy teraz doświadczają modernizacji. Nie sądzę, że musi to oznaczać bezrefleksyjne podążanie za Zachodem. Jestem socjologiem z wykształcenia i zajmowałem się polityką, ale tworzenie wszechstronnej, filozoficznej oprawy wymaga uporządkowania. Mnie interesuje prosta rzecz: Jaki jest program budowy dróg na Ukrainie? Z naszego doświadczenia wiemy, co znaczy zmienić ten stan, jaki to jest koszt, ile to trwa i jakie towarzyszą temu dramaty ludzkie. Takie wyzwanie stoi przed Ukrainą. Za pobudowanymi drogami pójść inne zmiany, które zawsze następowały.

Robert Traba

Jestem z kolei historykiem. Patrzę na modernizacje w tej części Europy z perspektywy dłuższego trwania. Kojarzą mi się one z rozwojem, ale jednocześnie z podporządkowaniem. Pierwsza to reforma Piotra I, druga Katarzyny II, a trzecia to leninowski NEP, który miał modernizować bolszewicką Rosję. To modernizowanie nie kończyło się dobrze z polskiej czy szerzej nierosyjskiej perspektywy.

Jerzy Bahr

W zrozumieniu obecnej sytuacji nie można się kierować tylko obrazami z przeszłości. Mam pełną świadomość, że jesteśmy świadkami długiego procesu modernizacji, który nagle uległ gwałtownemu przyspieszeniu. Nikt tak nie przyspieszył tego procesu, jak zagrożenie rosyjskie, również w sensie świadomościowym – poczucia własnej ukraińskości. Nie zrobili tego Anglicy ze swoją największą flotą w XIX wieku ani nikt inny. Jeżeli jednak modernizacja przybierze formę globalizacji, no to będzie pewne podobieństwo do sytuacji w Polsce obecnie. My sami czujemy, że nie opłaca się być takimi jak wszyscy inni w Europie, to samo będzie na Ukrainie. Będzie epoka udawania Zachodu, po czym nastąpi epoka dobierania tego, co jest potrzebne i niezbędne, by być w Europie rozpoznawalnym w swojej inności. Przypomina mi się scena z dzienników Gombrowicza, kiedy szlachcic idzie przez sad i próbuje śliwek. Jedne zjada, drugie wypłuka. On był w swoim sadzie i brał, co mu pasowało. Wyobrażam sobie przyszłą Ukrainę jako taki sad, gdzie po okresie udawania Zachodu będą Ukraińcy w stanie wybiórczo traktować wzorce płynące z Zachodu. To jest zadanie dla elit, bo cała reszta kieruje się inną zasadą – *panem et circenses*. I na tę działalność elit, na dia-

log społeczny, na tworzenie wzorców pozytywnych zachowań społecznych jest na Ukrainie miejsce. My z tego obecnie nie korzystamy, bo wpadliśmy w spiralę wzajemnej wrogości. Znaleźliśmy się w sytuacji historycznej bardzo dziwnej, która powoduje to, że nawet Polak nie może się porozumieć z Polakiem. Może jest to cena transformacji, ale na koniec trzeba powiedzieć, że to jest mój naród, moja zbiorowość i jakakolwiek by ona była ze swoimi nawet strasznymi cechami, to ja się nigdy jej nie wyrzeknę i mam nadzieję, że ona mnie też nie. To nie znaczy, że mam się zachowywać jak dziecko i opowiadać, że Polacy w swej tysiącletniej historii na nikogo nie napadali albo nikomu żadnej krzywdy nie zrobili, a tylko inni byli naszymi ciemniejszymi. To jest bardzo bliskie myśleniu za naszą wschodnią granicą. Rosjanie są przekonani, że cały świat jest przeciwko nim, a oni są jedynymi nosicielami rzekomych wartości. To jest coraz bardziej tragiczne.

Robert Traba

Dwa wątki się nam otworzyły, jeden ukraińsko-rosyjski, jeden polski, a dzisiaj mamy koniec sierpnia 2014 roku. Czy jest Pan w stanie z perspektywy socjologa i dyplomaty wyobrazić sobie scenariusz kolejnych kilku miesięcy rozwoju wypadków na Ukrainie?

Jerzy Bahr

Jeżeli mamy sięgać do generalnych przyczyn, to brutalnie mówiąc, winni sytuacji na Ukrainie jesteśmy my, wszyscy, czyli Europa. Nie zadaliśmy sobie trudu stworzenia własnej pozytywnej ideologii, która ugruntowałaby wizję Unii Europejskiej na dziś i na jutro. Być może, że ten nagły krach Związku Sowieckiego spowodował, że my też nie byliśmy przygotowani na taki rozwój wypadków, tak jak skorzystaliśmy w 1918 i w 1989 roku. Uwierzyliśmy, że wystarczy jeden wstrząs – 1989 rok – i że wszystko już dalej załatwi się samo, bo upadła potęga Związku Radzieckiego. Pierwszy problem polegał na tym, żeby Europa Wschodnia się wyzwoliła, ale następnie zechciała być częścią politycznego programu Europy, kształtowanego na zachodzie po 1945 roku. Ten proces udał się w dużym stopniu. Gdybym był jednak dzisiaj Serbem albo Czarnogórcem, to powiedziałbym, że nie udał się do końca. Chodzi o to, że nie wypracowaliśmy w ramach Unii Europejskiej czegoś w rodzaju dziesięciu politycznych przykazań. Do dzisiaj niespełnionym przesłaniem pozostaje, że niezbędnym warunkiem integracji europejskiej w nowej, rozszerzonej formule jest przemodelowanie systemu wartości i wiedzy na tyle, żeby każdy Europejczyk na Zachodzie znał Wschód, a ten, który jest na Wschodzie, żeby rozumiał Zachód, ale także aby się uczył Wschodu, który razem z nim stał się częścią niepodzielonej murem Europy.

Robert Traba

Jako socjolog uważa Pan, że istnieje taka potrzeba, ale czy istnieją podmioty i instrumenty polityczne, które mogłyby Pana przesłanie wypełnić treścią i praktyką działania?

Jerzy Bahr

Nie wiem, czy są takie podmioty. Wiem, że to istotny mankament. Nie jest powiedziane, że

za wiedzą automatycznie nastąpi pozytywny rozwój, ale jest to pewien fundamentalny punkt wyjścia. Równocześnie dokonały się takie procesy w Europie, które rozbudzają irracjonalny strach przed obcością. **Ktoś, kto się boi, zamyka się.** Tak się też dzieje z narodami. **W tej chwili nie wiedząc, jaki będzie nasz wspólny europejski los, wybraliśmy drogę odwrotu od idei europejskiej, chowając się w naszości: polskości, węgierskości, czeskości itd.** Okazuje się, że mając obiektywnie większe możliwości poznania się, rezygnujemy z tego i zaczynamy zamykać się na zasadzie *klein aber mein*. To jest oczywiście droga donikąd. Równocześnie istnieją inne zjawiska, które mogą być przyszłością Europy. Zaliczam do nich przede wszystkim demokratyczne, proeuropejskie ruchy obywatelskie.

W efekcie braku ogólnoeuropejskiej „ideologii” oraz rosnącego symptomu strachu i zamykania się powstaje pewna, bardzo dziwna, mam nadzieję, że tylko czasowa, próżnia. Ja niezależnie od tego, jak śmiertelnym jestem wrogiem naruszania obecnych granic w Europie, a szczególnie w Europie Środkowej i Wschodniej nie wykluczam sytuacji, że nasz sąsiad coś ze swojego terytorium straci, a nawet jeśli nie straci w sensie formalnym, to straci go w sensie faktycznym. Bo nawet jeśliby Ukraińcy opanowali Donieck i Ługańsk militarnie, to pozostaje pytanie, przy pomocy jakich środków zaprowadzą ten rodzaj ładu wewnętrznego, który po pierwsze skłoni miejscową ludność prorosyjską, żeby być prokijowską, po drugie, że nie będzie działalności dywersyjnej, która na tej przestrzeni jest niesłychanie łatwa i w nieskończony sposób może być rozwijana. Jestem przekonany, że wariantów rozwiązań, które powstały na Kremlu, jest bardzo dużo, np. wariant nowego Naddniestrza, czyli takiego parapaństwa, które powstało w wyniku parawojny. Kilka miesięcy to za krótki czas, żeby się dużo zmieniło... Z punktu widzenia faktycznego będzie to raczej przestrzeń-magma, dzikie kresy bis, z otwartym pytaniem, co dalej z tym zrobić? Kluczowa jest pozycja Rosji i stosunek do niej Unii Europejskiej...

Robert Traba

Nie jest tak, że pozycja Rosji, jej ekspansjonizm polityczny jest możliwy dlatego, że po europejskiej stronie nie ma realnego oponenta? Unia nie wypracowała strategii politycznej wobec Rosji, bo w zasadniczych problemach jest rozbita, jak np. w energetyce. Europa Środkowa nie tworzy żadnej wartości przez Grupę Wyszehradzką, Trójkąt Weimarski nie istnieje jako siła polityczna. Unia Śródziemnomorska, projekt francuski, zajmuje się zupełnie inną przestrzenią geograficzną. Wielka Brytania jest outsiderem, który chce być wręcz samodzielny. Okazuje się, że w ten sposób powstaje pustka, która wręcz wzmacnia siłę Rosji.

Jerzy Bahr

Ma Pan rację, Rosja stała się niebezpiecznym sąsiadem. Problem polega na tym, że myślenie rosyjskie o sobie jako nośniku wartości jest zwykłą aberracją. Nowym aspektem jest to, że Rosjanie złamali prawo międzynarodowe. To jest coś zupełnie przerażającego, dlatego że prawo międzynarodowe zapewniło w wielu miejscach świata pokój. To, co się obecnie dzieje, jest kompletną nonszalancją, prowadzeniem wojny w zupełnie inny sposób, nowymi środkami.

Elżbieta Traba

Pan powiedział, że to Rosja pomogła przebudzić się ukraińskości, ale z drugiej strony podkreśla Pan, że rosyjska polityka zagraniczna jest bardzo precyzyjna, tam każdy scenariusz wydarzeń jest opracowany. Oni nie mają dwóch scenariuszy, oni mają ich piętnaście...

Jerzy Bahr

Pamiętam kryzys cypryjski w 1974 roku, gdy Turcy weszli na Cypr. Okazało się potem, że Rosjanie dysponowali kilkudziesięcioma wariantami, wszystkie możliwości typu: Turcy zostają, Turków się wyprze, wejdą Grecy, wejdą Amerykanie, nikt nie wejdzie, wejdzie ONZ. Nowość dzisiejszej sytuacji polega na tym, że decyzje podejmuje jeden człowiek, który obiecał swojemu narodowi, że to będzie restauracja terytorium, które Rosja straciła.

Elżbieta Traba

Jeszcze raz wróć do tego, co Pan powiedział, panie Ambasadorko, bo jeśli mówimy, że dzięki Rosji budzi się ukraińskość, to czy uważa Pan, że ci, którzy popierają Rosję, nie są Ukraińcami?

Jerzy Bahr

Myślę, że nie. Zawsze mówiłem, że każde 5 lat istnienia Ukrainy umacnia Ukraińców niezależnie od tego, kto sprawuje tam władzę. Natomiast faktem jest, że żaden z rządów przez dwadzieścia kilka lat nie zajmował się rzetelnie wschodem Ukrainy. Wschód Ukrainy był dzieckiem Związku Sowieckiego, z ludźmi, którzy się tam znaleźli, z rodzajem działalności, typem produkcji itd. Nagle się okazało, że oddano to w pakt „królewietom”, którzy dzisiaj nazywają się oligarchami. Wszystko to razem jakoś funkcjonowało. Nie było sygnałów oporu, bo ci ludzie byli produktem sowietyzacji. Ale żaden patriotyzm ukraiński się w nich nie rodził i nikt o to nie zadbał. Proszę zobaczyć, jak inaczej postępowali Rosjanie, gdy stworzyli w pustce demograficznej obwód kaliningradzki.

Robert Traba

To może przejdźmy do wątku kaliningradzkiego...

Jerzy Bahr

Obwód kaliningradzki jest żartem historii, ale żartem, który ma cechy trwałości. W każdym razie nie ma cech mniejszej trwałości niż każdy z nas w tej części Europy. Elementem trwałości dzisiaj jest to, że to jest inny kawałek Rosji otoczony Unią Europejską i w jakimś sensie są to już trochę inni ludzie. Kiedyś było to bardziej wyraziste. Dzisiaj tego nie widać, dlatego że ci ludzie podlegają takiej samej szalonej propagandzie, jakiej podlegają w Rosji. W najgłębszym interesie Polaków, w najgłębszym interesie Litwinów, w najgłębszym interesie państw bałtyckich i skandynawskich jest, by nienawiść, która może być w tym miejscu, zneutralizować na tyle, na ile się da.

Robert Traba

Ale czy nie przeszkadza temu ich własna polityka historyczna? Pamiętam w Kaliningradzie w latach 90. wiszące w rosyjskich urzędach mapy wschodniopruskich ziem z granicami Niemiec z 1937 roku. W Polsce to by się nie zdarzyło. Ta wrażliwość, czyli odróżnianie teraźniejszości od kontekstów historycznych, jest bardzo ważna. Pan siłą rzeczy, będąc wielbicielem historii ziem między dolną Wisłą a Niemnem, jest aktorem tej opowieści, bo Pan nam przypomina to dziedzictwo. Jesteśmy w przededniu bardzo ważnej chwili, kiedy zbiory olśtyńskiego muzeum wzbogacą się o kolekcję, którą Pan przez dziesięciolecia gromadził.

Ile my możemy włączyć w nie naszego dziedzictwa, np. Prus, do naszej opowieści o Polsce, o sobie na Warmii i Mazurach, na Pomorzu? Czy rzeczywiście barbarzyństwem jest tylko to, że na naszych oczach giną pałace, dwory? Czy może to jest tak, że jest to nieubłagalny wyrok historii? Bo my nie znamy przecież historii Lehndorffów, Dohnów, ona nie jest nasza. Jedynym pasem transmisyjnym jest przypominanie tej przeszłości poprzez rzeczy. Ale czy one staną się dla nas „ciepłe” w opowieści o Polsce, jak te, które kojarzą nam się z Radziwiłłami, z Potockimi? Rozpocząłem dyskusję o tym w 1990 roku. Po 25 latach ciągle się zastanawiam, czy to dziedzictwo może stać się naszym dziedzictwem? Być może na zawsze będzie obce: doklejone, adaptowane i z tego powodu wypierane z naszej pamięci?

Jerzy Bahr

To jest ogromny problem. Ogromną wartością stał się fakt, że dzięki Panu i ludziom podobnym do Pana ta problematyka znalazła się w takim zakresie, tak różnorodnie i tak głęboko w przestrzeni „Polski intelektualnej” i jest najzwyczajniej w świecie faktem społecznym, nawet jeśli obecnie trochę przycichła. Twierdzę, że każdy naród jest zdolny – i potwierdza to doświadczenie ostatnich 25 lat – przerobić w sobie pozytywnie duże pokłady tzw. obcego dziedzictwa kulturowego. W Polsce pod tym względem wykonaliśmy dużą pracę intelektualną i chyba nikt w tej części Europy nie zrobił tego, co my z tą konsekwentną chęcią wychodzenia ku innemu. Przypominanie sobie, że jesteśmy „skądś”, tak jak w moim wypadku z Węgier, a dokładniej Siedmiogrodu, to każdy to potrafi. W warunkach wolności to jest łatwe. Dzisiaj jednak być „wielbicielem bez zobowiązań” takich wielokulturowych korzeni staje się nic nieznaczącym frazesem. To jest zdecydowanie za mało. Co można zrobić więcej? Jak i ile można wchłonąć obcości do własnej, narodowej kultury? Nie umiem na te pytania odpowiedzieć. Inne są grupowe mentalności, doświadczenia albo to, co można nazwać osią polskości i osią niemieckości. Trzeba to sobie uzmysławiać i wiedzieć, że tak jest, ale z drugiej strony trzeba sobie zadać proste pytanie: co ja z tego mogę mieć jako Polak, co mi się może przydać pozytywnego w bagażu mojej tożsamości? Jeżeli Polacy lubią historię i lubią zabytki, to najlepsze, co można zrobić, to nie przeszkadzać ich odbudowywać, wszystko jedno, czy zbudowane zostały pierwotnie przez Polaków, czy Prusaków. Jeżeli nam to wyjdzie, to ilość może przejść w jakość...

Robert Traba

...tzn. nastąpi proces, który nazywam sukcesją kulturową. Jan Józef Lipski sformułował tezę, że jesteśmy depozytariuszami niemieckiego dziedzictwa, a ja twierdzę, że dla mojego pokolenia nie jest to sformułowanie adekwatne. Bo depozyt jest zawsze tymczasowy, a ja chcę, żeby nie „moje ślady” przeszłości stały się częścią mojej identyfikacji z miejscem: Jestem w miejscu, w którym mnie nie było, ale jestem sukcesorem pewnych dóbr, które poprzednia kultura zostawiła, również niematerialnych, i tworzę z nich nową wartość. Ja chcę, żeby ona była moja. O domu, który jest nazywany poniemieckim, przynajmniej, kto był jego twórcą, ale jednocześnie nadaję mu nowy sens, bo mam do tego prawo jako nowy obywatel tego miejsca.

Jerzy Bahr

W moim myśleniu jest też ten element polityczny, który wynika z drogi życiowej. Każdy, kto zajmuje się polityką, w pewnym sensie jest dzieckiem pewnych mitów. Moim mitem jest to, że w tej części Europy naród polski jest tą zbiorowością, która jest w stanie ponieść ciężar tego wyzwania, o którym mówimy. To ja tutaj jestem gospodarzem, jestem coraz mocniejszy, moja moc to jest także mój spokój, a ten spokój **to spokój sumienia. Spokoju sumienia nigdy nie osiągnę, jeżeli nie dojdę do prawdy, jak było, a równocześnie do odwagi, żeby wziąć odpowiedzialność za to, co sam zrobiłem innym.**

Robert Traba

Jest Pan optymistą, mówiąc, że wynika to z cech naszego narodu. Powiedziałbym, że ci, którzy tak myślą, są ciągle mniejszością.

Jerzy Bahr

Ma Pan rację, ale z drugiej strony tak się lokując, wierząc w swój naród i uważając, że to jest jedna z jego misji, wyzwalamy się z fobii, poczucia niższości itp. Wydawało się po 1945 roku, że Warszawa nigdy się nie odbuduje, potem, że nie zacznie oddychać normalnie jak inne wielkie europejskie miasta. A tu się okazuje dzisiaj, że stała się punktem przyciągania dla wielu ludzi jako pewna wartość, która przyciąga nie dlatego, że tam można pracę znaleźć. Po prostu jest to fajne miasto. To jest nasze miasto, które z takiej zapaści wydobyliśmy. Myślę, że my możemy też atrakcyjnie wpleść w polską i europejską opowieść prawdę o tej części Polski, kawałku dawnych Prus. **Nie tylko zniszczyliśmy część krajobrazu kulturowego po 1945, ale włożyliśmy ogromny wysiłek, żeby zachować i przyswoić spuściznę Polski zachodniej, dawnych Niemiec wschodnich, kulturze ogólnopolskiej. Chodzi o to, by docenić wysiłek generacji pionierów i ich następców, ich zaangażowane życie dla dobra wspólnego i ich pracę, która pozytywnie zmieniała oblicza miast.** Proszę spojrzeć dziś na Olsztyn, Wrocław, Zieloną Górę, Koszalin... To są piękne miasta, które nie świecą jedynie blaskiem dawnej świetności. Stąd też, tak na marginesie, zależało mi, żeby moje królewieckie zbiory oddać Olsztynowi. To jest taki fragment sąsiedzkiego, zupełnie innego miasta i jego skomplikowanej historii.

Robert Traba

Spuentujmy może zawartość pana zbiorów.

Jerzy Bahr

Mam pełną świadomość, że w tym wszystkim, co zebrałem, nie ma konsekwencji i fachowości muzealnika opartych na współczesnych normach muzealnictwa. To jest zbiór nieprofesjonalisty, kogoś, kto pokochał miasto, które jest fragmentem polsko-rosyjskiego sąsiedztwa, z niemieckim dziedzictwem w tle. Chciałbym swoimi zbiorami zainspirować do refleksji nad sąsiedztwem. Wszystko jedno, czy jestem Polakiem z Mazur, czy spod Krakowa, czy Rosjaninem, który pierwszą część dnia spędził w Biedronce, a potem znalazł czas, żeby skoczyć do muzeum. Chodzi o to, żeby każdy z nas miał możliwość zainteresowania się innością i jej recepcją, np. po to, żeby uwrażliwić przypadkowego Rosjanina czy Polaka na potrzebę ratowania naszego wspólnego, europejskiego dziedzictwa. Nieprzypadkowo sami nazwaliście przestrzeń dawnych Prus Wschodnich Atlantydą Północy. Zdajemy sobie sprawę z „sił sejsmicznych”, które zniszczyły tę Atlantydę. Nie ma szans na to, by ją uratować. Możemy natomiast zachować ją w pamięci, nadać jej wartość symboliczną. Jeżeli tej symbolice poświęcimy trochę czasu, jeżeli wydobędziemy nawet drobne rzeczy i w jakiś sposób ułożymy, nie tylko tak, by radowały oko, ale po to, by pobudzały naszą wyobraźnię, to możemy wzbogacić naszą własną tożsamość. Ten pokój królewiecki niech będzie taką miniojczyzną dla wszystkich, którzy by chcieli w sobie taką uniwersalną ojczyznę miejsc zaginionych odnaleźć i kultywować dla rozumienia innych. To będzie dla mnie wystarczająca satysfakcja, jeżeli znalazłby się ktoś, kto to będzie robił. Wiem, że są tacy ludzie, spotkałem ich.

...co miesiąc przeznaczałem część zarobionych pieniędzy na zakupy antykwareczne dotyczące Królewca. Mam niezły zbiór artefaktów: książek, map, przedmiotów związanych z historią miasta – wszystko podzielone na szafy narodowe, czyli pokazujące, jak widzieli Królewiec i były Prusy Wschodnie Niemcy, Rosjanie, Litwini i Polacy.

[Ambasador. Z ambasadorem Jerzym Bahrem rozmawia Jerzy Sadecki,
Warszawa: Agora, 2013, s. 119]

Robert Traba

Tak naprawdę to będzie taki Królograd, ponieważ to, co dla Pana było osobiście ważne, jest projekcją indywidualnych poszukiwań sensu przemijania i trwania przeszłości w naszej pamięci. Dlatego znajdujemy w kolekcji sztuczne kwiaty w dość kiczowatej ramie, grafikę Igora Isajewa czy autentyczne XVIII-wieczne krzesło. W tym melanzu, tylko na pozór przypadkowym, odnaleźć można istotę poszukiwania sensu dziedziczenia przeszłości. Pan tak naprawdę nie tworzy salonu królewieckiego, tylko właśnie salon Królogradu, gdzie autentyzm dawnego Królewca/Königsbergu miesza się z rzeczywistością kaliningradzką i pamięcią kali-

ningradczyków. W tym jest głęboki sens, ponieważ przeszłość nie zastyga, przeszłość żyje również dzisiaj poprzez nasze interpretacje i takie opowieści materialnych artefaktów, które Pan zgromadził. Tym gabinetem Królogrodu stworzył Pan własną, autorską interpretację przeszłości miejsca. W nim się zawiera i przeszłość niemiecka, i litewska, i polska, ale też dzisiejszość kaliningradzka czy rosyjska z elementami polskimi w tle, bo przecież mieszka w Kaliningradzie kilkutyśięczna społeczność polska. Pana zbiory stają się fragmentem opowieści, permanentnej transmisji przeszłości do współczesności.

Jerzy Bahr

Po tym, co Pan powiedział, muszę stwierdzić, że czuję się tak jak u Moliera, który stwierdził, że całe życie prozą mówił. Cieszę się, że tak Pan interpretuje moje spontaniczne wysiłki udokumentowania części historii Królewca. Z całą radością przeniósłbym się na ten rodzaj ekspresji, przesunąłbym swoje wyobrażenia na wehikuł Pańskiej wiedzy, Pana konkluzji wyłożonych we „Wschodniopruskości”, które mi pomagały zrozumieć to miejsce. Pan to nazwał mój salon Królogradem... Ciekawe. Jeżeli staliśmy się rzeczywiście gospodarzami nie swojego miejsca, to znaczy, że to, co robiliśmy, miało głęboki sens, nie tylko dla naszego rozumienia przeszłości, lecz również dla poczucia bezpieczeństwa. Człowiek, który jest dobrym gospodarzem, sam bezpieczeństwo tworzy i sam jest dzieckiem tego bezpieczeństwa.

Robert Traba

Dlatego pierwsza generacja musiała spolszczyć obcą jej przestrzeń, uczyć się gospodarzyć depozytem, a dopiero druga i trzecia generacja mogła mówić o kulturowej sukcesji.

Jerzy Bahr

Jeżeli spojrzymy na ten proces z perspektywy historii migracji, to zawsze jest tak, że pierwsza generacja walczy o przeżycie, druga chce zapomnieć dawną ojczyznę, a dopiero trzecia przypomina sobie o swoich korzeniach. Chcę Państwa zapewnić, że w Kaliningradzie jest trochę inaczej. Poczucie, że żyje się na ruchomym piasku i nie ma się pod sobą żadnych trwalszych podstaw, jest w okręgu kaliningradzkim jeszcze dziś bardzo wyraźnie odczuwalne. Jeden wypełni tę pustkę pseudoprawdą na temat pseudo-Słowian, którzy tam byli od „zawsze”, i poczuje się lepiej. Drugi wypełni to naiwnym wywieszaniem rewizjonistycznych map – nawiązując do tego, co Pan widział w urzędach. Ale są też tacy, którzy szukają, zbierają, próbują zrozumieć, a nie ideologizować. Do nich bym również adresował mój zbiór osobliwości.

249

Robert Traba

Ja bym chciał, żeby dialog polsko-rosyjski w wymiarze kaliningradzko-olsztyńskim wreszcie był bardziej symetryczny. Oczekiwałbym równowagi w obecności polskiej kultury w Kaliningradzie w takim chociażby stopniu, jak „Borussia” przez lata była promotorką prozy, literatury, sztuki rosyjskiej w Olsztynie.

Jerzy Bahr

Wasze doświadczenie, że to jest *one way street*, jest niestety odpryskiem czegoś poważniejszego. Zajmując się Europą Środkową, o której nie zdążyliśmy tutaj powiedzieć, zauważam, jak bardzo nieaktywna jest mniejszość rosyjska w sensie kulturalnym, proeuropejskim. Niech Pan porówna nauczycieli polskich szkół na Litwie i nauczycieli rosyjskich szkół na Litwie i stopień ich zorganizowania, świadomości. Rosja lansuje mit wspólnoty Słowian. Mnie się bardzo podoba wspólnota słowiańska i odczuwam ją szczególnie, gdy możemy się razem napić (śmiech). O wiele łatwiej jest mówić o wspólnocie słowiańskiej niż opracować nowe prawo dotyczące małego biznesu, np. na Ukrainie. Rosjanie mówią o *ruskom mirie*. To samo mówią Rosjanie łotewscy. Problem nie polega na rodzaju ideologicznego ekspansjonizmu przy zupełnym pomijaniu realnej współpracy sąsiedzkiej i rozwiązywaniu problemów socjalnych. Siłą rzeczy wracamy jeszcze raz do mojej początkowej tezy: Wschód Europy potrzebuje modernizacji zarówno w wymiarze gospodarczym, jak i kulturowym. Dopiero wówczas nasze relacje będą mogły być rzeczywiście partnerskie.

[fot. z archiwum Elżbiety Traby i Roberta Traby]

A black and white photograph of a person reading a book in a library. The person is wearing a striped shirt and a watch, and is holding the book open. The background shows bookshelves filled with books. The word "RECENZJE" is overlaid in the center of the image.

RECENZJE

Widnoksiąg

Boualem Sansal, 2084. Koniec świata, tłum. Lilla Teodorowska,
Katowice: Sonia Draga, 2016

Boualem Sansal (1949), algierski pisarz, napisał bardzo potrzebną powieść (dystopię) o mrocznej przyszłości ludzkości całkowicie zdominowanej przez religijne państwo totalitarne (wszystko wskazuje, że neoislamskie), które po wielu wojnach, pokonaniu państw północnych (europejskich) zawładnęło planetą, stając się absolutnym hegemonem ludzkich ciał, umysłów i dusz. Ideę tej hegemonii streszcza najważniejsze hasło: *Yolah jest wielki, a Abi jest jego Wyśłannikiem*. W „Gkabulu” natomiast (świętej księdze) napisano:

Nie jest dana człowiekowi wiedza o tym, czym jest Zło, a czym Dobro, ma on wiedzieć, że Yolah i Abi działają dla jego szczęścia.

Yolah to nowe imię Boga, a Abi, wiadomo – Wyśłannik i Namiestnik.

Nie byłoby tej powieści, gdyby nie jej narzucający się czytelnikowi pierwowzór: „Rok 1984” Orwella. Podobieństwo to uwidacznia się na każdym kroku, ale i autorowi nie zależało na jego ukrywaniu. Mamy na przykład podobne pomysły na prezentację świata i jego składników, np. nowomowa (*Wojna to pokój; Wolność to niewola*), hierarchiczna struktura społeczeństwa: *Aparat i lud stanowią JEDNO, tak jak Yolah i Abi stanowią JEDNO*. Zresztą rok 1984 pojawia się jako zachowana i znacząca data w kartuszu portalu sanatorium. Dawne dzieje zostały zapomniane i skasowane, panuje szczęśliwa teraźniejszość. Język też został wymieniony i dostosowany do nowych reguł (*abilang*): *zmusza do obowiązk i bezwzględnej posłuszeństwa*.

253

Bohaterem jest skromny urzędnik Ati, który po długim okresie spędzonym w sanatorium wraca do stolicy państwa Abistan, rządzonego przez aparat Sprawiedliwego Braterstwa powołany do życia przez Wyśłannika Abiego. Podczas żmudnej wędrówki powrotnej, która trwała ponad rok (państwo zwykłych ludzi nie rozpieszcza, wręcz odwrotnie, funduje im nędzną egzystencję,

kontrolując i indoktrynując nieustannie), Ati spotyka urzędnika Nasa, który powracał z prac wykopaliskowych *na tajnym na razie stanowisku archeologicznym, które pewnego dnia miało stać się słynnym miejscem pielgrzymkowym*. To spotkanie stało się zwrotnym momentem w życiu Atiego oraz początkiem podstawowej intrygi powieściowej. Ati wraca do swojej dzielnicy w Qodsabadzie, zaczyna pracę na skromnym stanowisku w urzędzie miejskim, poddany jest przesłuchaniu i jako zaakceptowany wyznawca bierze pilny udział we wszystkich religijnych manifestacjach, mimo iż dostrzega aktywność tajnej i jawnej policji, donosicieli, dowiaduje się o kolejnych publicznych, pokazowych egzekucjach.

W międzyczasie poznaje, pochodzącego z wybitnie zasłużonej rodziny, urzędnika o imieniu Koa, z którym nawiązuje silną więź emocjonalno-intelektualną. Wspólnie zastanawiają się nad panującym ustrojem, podważać zaczynają potajemnie jego zasady, w końcu decydują się na nielegalne odwiedziny w getcie ludzi pozbawionych praw (orwellowska dzielnica proli). Wreszcie, co graniczy z bohaterstwem, udają się do centrum stolicy – w momencie kiedy odkryte miasteczko stało się kolejnym cudownym propagandowym miejscem *schronienia Abiego* – w poszukiwaniu archeologa Nasy, który miałby im powiedzieć prawdę o tym znalezisku (wątpili, że to był kolejny „cud”, ale dziedzictwo pokonanej w pomroce dziejów wrogiej cywilizacji). W tym momencie powieść nabiera rozpędu, staje się ciekawsza fabularnie oraz mniej przeładowana odautorskimi komentarzami i opisami. Bohaterowie docierają z trudem do skrywanego za murami tajemnego serca stolicy, gdzie zaraz dostają się w ręce tajemniczych osób, które przekazują im wiadomość, że Nasa nie żyje. W wyniku nieprzewidzianych wydarzeń Koa ginie, a Ati przejęty zostaje przez przedstawicieli jednego z walczących o władzę klanów, gdyż okazuje się, że w tej monolitycznej religijno-politycznej despotii też toczy się skryta przed oczami niewolników ostra wojna o wpływy.

Jak wytłumaczył Atisowi kolejny protagonista Toz, odkrycie miasteczka doprowadziło do niepokojących ustaleń, a mianowicie,

że zamieszkiwała je wspólnota, która wypróbowała sposób życia i sprawowania rządów opartych na wolnej woli jednostki. Dla wielu z nas było to niezrozumiałe. Nie rozumieliśmy, jak można funkcjonować bez organizacji skupionej wokół przywódcy, religii oraz wojska. Ta historia ukazuje dramat Abistanu...

Przygotowany raport podzielił Sprawiedliwe Braterstwo i wywołał konflikt w jego łonie. O wynikach toczącej się wojny już się nie dowiadujemy. Wygląda na to, że zbierane przez wysoko postawionego w hierarchii Toza elitarne, ukryte przed pospółstwem muzeum XX wieku jednak powstanie. Tak czy owak Abistan „pozostanie Abistanem” jako państwo totalitarne i wymagające absolutnego posłuszeństwa od swoich niewolników-wyznawców, opierając swoje istnienie na sile jedynej religii, ideologii, dzięki manipulacjom, ślepym posłuszeństwie mas, kłamstwom. Ati natomiast (*Życie na tym świecie jest dla mnie skończone, mam nadzieję rozpocząć nowe, po drugiej stronie*), skoro fascynował się fantomową granicą między Abista-

nem a potencjalnym (nieznanym, ale czy istniejącym w ogóle?) obcym państwem, łaskawie zrzucony został daleko w pogranicznych górach w celu jej odnalezienia: słuch o nim zaginął.

Powieść dzieli się na dwie części: jedna to pobyt w sanatorium bohatera, przeładowana teoretycznymi opisami oraz odnarratorskimi komentarzami, które nijak się mają do poziomu intelektualno-świadomościowego bohatera (stąd niewiarygodna jest jego „przemiana” z fanatyka czy biernego obywatela w człowieka o krytycznym umyśle podejrzewającego manipulację i oszustwa ze strony wszechmogącego państwa wyznaniowego); druga natomiast to ciekawie rozwijająca się akcja związana z wyprawą do centrum stolicy w celu poznania „prawdy” o odkryciu archeologicznym. Tutaj fabuła interesująco przyspiesza dla dobra czytelnika coraz bardziej pilnie śledzącego perypetie duchowe dwóch bohaterów. Jednak nie okazują się one dostatecznie uwiarygodnione przez relacjonowane wydarzenia. Zdaje mi się, że w ogóle autor za dużo stosował odnarratorskich komentarzy, objaśnień opisów, nie potrafiąc odpowiednio powiązać odniesień ideologicznych z opisywanymi faktami oraz odpowiednio intrygująco na poziomie świata przedstawionego wszystkie te elementy kompozycyjne powiązać w zajmującą i nieszablonową całość.

Powieść ta jako dokonanie poznawcze, jako właśnie pełna ostrzeżeń dystopia jest na pewno osiągnięciem czysto intelektualno-dydaktycznym – mimo że zupełnie uzależnionym w sferze ideowej oraz przedstawieniowej od „Roku 1984” Orwella. Natomiast jako dzieło literackie raczej rozczarowuje, nie jest dokonaniem wybitnym, aczkolwiek w intencjach swoich istotnym i potrzebnym. Książce brakuje właściwego przekaznika literackiego poruszanych koncepcji ideowych. Niewiarygodnie ukazana została sfera psychologiczno-intelektualna bohaterów, którzy swoje śledztwo podejrzeń rozpoczęli bez odpowiednich uzasadnień charakterologicznych i faktograficznych. Odnarratorskie komentarze „wyszły z ram” przyjętej konwencji realistycznej. Określić je by można jako zbyt „uczone”, a może lepiej: po prostu konwencjonalne, jakby żywcem wzięte z klisz światopoglądowych, niewnoszące nic nowego do rozumienia tego typu zamkniętego świata (nowa religia, nowomowa, jasne, ale czegoś tu brakuje, chyba „pazura pisarskiego”). O wiele lepiej by się czytało tę interesującą w sumie powieść, gdyby autor umieścił punkt widzenia i osądu w głowie – rozwijającego swoją obudzoną przez konkretne wydarzenia samoświadomość – bohatera. W ten sposób uniknąłby nierealistycznych w stosunku do poziomu bohatera komentarzy, a siła ekspresji byłaby o wiele silniejsza. Sama deklaratorywność i paraboliczność to za mało, aby wstrząsnąć czytelnikiem, który ma w pamięci doskonalszą pod każdym względem pasjonującą powieść Orwella.

Emmanuel Carrère, *Królestwo*, tłum. Krystyna Arustowicz,
Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2016; oryginalne wydanie francuskie, 2014

Emmanuel Carrère (1957) jest cenionym i nagradzanym francuskim pisarzem, dziennikarzem, scenarzystą (debiut powieściowy w 1983 roku), twórcą filmowym (debiut filmowy w 1986 roku), który za „Limonowa” otrzymał Prix Renaudot w 2011 roku. Syn wybitnej sowietolożki, apologetki Putina, członkini Akademii Francuskiej Hélène Carrère d’Encausse. W swojej pierwszej autobiograficznej powieści „Un roman russe” (2007) Carrère opowiedział o rosyjskich przodkach swojej matki, w tym o jej ojcu, Gruzinie Georges’u Zouvabichvilim, który w 1944 roku został rozstrzelany przez francuską partyzantkę za kolaborację z Niemcami. Ujawnienie tej rodzinnej tajemnicy dotkliwie dotknęło matkę autora. Ale właśnie taki stał się, na szczęście dla czytelników, Emmanuel Carrère: bardzo szczery, momentami ekshibicjonistyczny, mieszający fikcję literacką z autobiografią, esej z reportażem, wyznanie intymne z obiektywnymi faktami. „Limonow”, moim zdaniem najlepsza książka w jego bogatym dorobku, jest właśnie taki: to pasjonująca opowieść z wątkami oczywiście osobistymi oparta na faktach o kontrowersyjnym pisarzu rosyjskim, twórcy Partii Narodowo-Bolszewickiej, a o wiele wcześniej sowieckim dysydencie, zdeklasowanym emigrancie w USA, modnym literacie w latach 80. w Paryżu.

Metoda pracy Carrère’a, który osobiście poznał swojego bohatera i wielokrotnie jeździł do Rosji (zna język rosyjski, co jest rzadkością w świecie francuskich intelektualistów, nawet tych „zakochanych” w ruskim Słowianinie), ugruntowana została już podczas pisania książki „L’Adversaire” (2000) o aferze niejakiego Romanda (fałszywego lekarza, który zabił całą swoją rodzinę, zanim ujawniona została prawda o jego kłamstwie). Metoda ta, określana przez niektórych krytyków jako „autofiction” (autofikcja), polega na umiejętnym łączeniu „śledztwa” reporterskiego z własnym punktem widzenia na daną sprawę, akcję, dramat, wydarzenie. Lubię taki sposób pisania – jednocześnie obiektywny i osobisty, fikcyjny i niefikcyjny, faktograficzny i wyobrażeniowy; jest to coś w rodzaju osobiście traktowanej literatury z pogranicza beletrystyki i reportażu literackiego, silnie angażującej się w opisywanie perypetii ludzi na fundamencie świetnie przygotowanych badań szczegółowych o bohaterze i jego epoce. Wydaje mi się, że wzorami dla Carrère’a musieli być Capote i Mailer, wielcy twórcy amerykańskiej „powieści dokumentalnej”. Z powodu silnego u francuskiego pisarza wątku wyznawczo-autobiograficznego (ekshibicjonistycznego) w jego ostatnich utworach znajdują podobieństwo do kontrowersyjnego pisarstwa Andrzeja Żuławskiego.

Carrère nie otrzymał nagrody Goncourtów za „Le Royaume” (Królestwo) z powodu nadmiernego zdaniem kapituły narcyzmu zawartego w powieści. Mnie to nie przeszkadza, a wręcz podobna się taka szczerza (nieunikająca „złych” opowieści o samym sobie), konfrontowana z rzeczywistością podmiotowość, nawet jeśli relacjonowane są sprawy mocno intymne, czysto prywatne: takie sprawdzanie na sobie samym (i na rodzinie!) mocy tego, o czym się pisze.

To jest mój pierwszy wspólny punkt z autorem. Zresztą Carrère tłumaczy ten zabieg jasno: w takim razie skrytykować trzeba dzieła Montaigne'a, Rousseau czy św. Augustyna! Mocny strzał! Tak więc „Królestwo” jest bardzo osobistą opowieścią dokumentalno-autobiograficzną albo: autobiograficzno-historycznym reportażem literackim, albo jeszcze lepiej: autobiograficzno-historyczno-eseistyczno-dokumentalnym wyznaniem, w którym autor przedstawia swój punkt widzenia na powstanie chrześcijaństwa, podkreślając jednocześnie historię swojej własnej nim fascynacji. Nazywa to „śledztwem”, a samo tytułowe Królestwo jest po prostu Bożym Królestwem.

„Królestwo” we Francji osiągnęło status bestsellera, otrzymując m.in. nagrodę dziennika „Le Monde”. Wywołało przy tym prawdziwą dyskusję o manierze pisarskiej, o samym temacie (ideowe chrześcijaństwo we Francji niewiele ma wspólnego z narodowym katolicyzmem). Zapamiętajmy: wydarzyło się to w rozwiniętej intelektualnie i kulturowo laickiej Francji. W Polsce – w każdym razie w pół roku po ukazaniu się tej grubej, erudycyjnej, opartej na osobistych objawieniach książce – nic takiego nie zaszło, właściwie cisza, a dzieło to powinno być studiowane i przez ortodoksyjnie wierzących chrześcijan katolickich, jak i przez agnostyków postkatolickich czy nawet niewierzących: jest fascynującym, aczkolwiek mimo wszystko momentami zbyt długim, zapisem autentycznej metafizycznej przygody, która trafić się może każdemu myślącemu człowiekowi podchodzącemu do spraw tradycji religijnej poważnie.

Jako że sam latami, a wywodzę się z żarliwej katolickiej rodziny (przynajmniej ze strony matki i jej rodziców; natomiast od strony ojca mazowieckich, może i jaćwieskich, chłopów przekaz był inny i mniej uczuciowy: ksiądz proboszcz jest niezbędny w życiu jak każdy inny tradycyjny i stały symbol związany ze wspólnotą, np. jak coroczne żniwa), poszukiwałem prawdy o chrześcijaństwie (apogeum przypadło na przełom lat 70. i 80, kiedy zdecydowałem się w końcu wziąć ślub kościelny i ochrzcić synów); odchodziłem i wracałem do wiary przodków, poszukiwałem jej wprawdzie w nieortodoksyjnym, coraz bardziej heretyckim katolicyzmie, w surowym protestantyzmie, a następnie w judaizmie, hinduizmie i buddyzmie. Na koniec długoletnich boję odrzuciłem pojęcie Boga teistycznego (osobowego), a nawet w ogóle zrezygnowałem z religijnej koncepcji stwórcy i życia tych trzech monoteizmów wyrosłych z hebrajskiej Tory (judaizmu, chrześcijaństwa, islamu). Muszę wyznać rzecz dla mnie bardzo osobistą i osobiłą (a pisałem o tym chociażby w „Zeszytach Jedyne”) : przez lata, nawet wtedy kiedy zdecydowanie odrzucałem zmartwychwstanie Jezusa i inne dogmaty katolicko-chrześcijańskie, kiedy Jezus przestał być dla mnie Bogiem, a stał się symbolem buntownika duchowego, symbolem Syna walczącego z Ojcem (a raczej Jednostki z Systemem: pamiętajmy, to były schyłkowe lata endeckiego komunizmu), niezrozumiałego heretyka, ale i dobroczyńcy ludzkości, wręcz Nadczłowieka (wpływ lektur Nietzschego), w wariacki sposób utożsamiałem się z jego Losem, gorzej: sam uważałem się za (proroka) Jezusa w... Poezji. Było, minęło, ale rana pozostała na czole jak u Kaina...

W każdym razie fascynacja chrześcijaństwem u Carrère'a wzbudziła moją sympatię. To punkt drugi i najważniejszy nas łączący: dlatego lektura tej książki stała się dla mnie tak bardzo intymnym doświadczeniem. Nostalgicznym? W pewnym sensie tak. Ale uwaga: nigdy, w odróżnieniu od francuskiego autora, nie wpadłem w neurasteniczną nabożność, codzienne bieganie na msze, na wielootygodniowe przygotowywanie się do przyjęcia komunii. Ja nie potrafiłem i nie chciałem powrócić do ortodoksji katolickiej i nie miałem z tego powodu wyrzutów sumienia, nie czułem się grzeszny ani wybrany. W jego chrześcijaństwie, a to jest początek jego autopowieści, sporo pojawiało się tego typu mentalnych pragnień, zabiegów, a gdybym był bezczelny, to bym powiedział, że Carrère zainteresował się katolicyzmem (raczej chrześcijaństwem) tylko dlatego, że przeżywał uwiąd sił twórczych, że chciał napisać ponownie „znakomitą” powieść, co mu długo nie wychodziło, że tak samo jak poddawał się psychoanalizie i medytacji transcendentalnej, tak i wziął się za praktykowanie religii katolickiej z intencją zbudowania sobie „pomnika duchowego” na wzór np. św. Augustyna. Tak myślę i znajduję w jego dziele na to dowody, chociaż moje argumenty nie wyjaśniają w pełni jego autentycznego dramatu i zaangażowania. Dlatego uważam, że zabiegi autora są szczerze i zasługują na uznanie.

Głównymi bohaterami „Królestwa” poza samym autorem-narratorem są święci Paweł i Łukasz. W części pierwszej dowiadujemy się o kryzysie duchowym narratora i stopniowym zanurzaniu się w świat wiary; od części drugiej autor, prezentujący się już jako wyleczony z fundamentalizmu religijnego sceptyk czy agnostyk, jako osoba poszukująca i otwarta, pozbawiona wcześniejszej wiary, wszczyna własne (choć oparte na szczegółowych badaniach poprzedników) śledztwo o początkach chrześcijaństwa. Sam Jezus nie jest istotny, gdyż zdaniem Carrère'a, jak i wielu innych badaczy, to Saul z Tarsu (późniejszy Paweł) stał się twórcą chrześcijaństwa, założycielem religii uniwersalnej, a nie kolejnej (efemerycznej) sekty judaistycznej symbolizowanej imionami apostołów Jakuba czy nawet samego Piotra, którzy poznali (raczej srogiego, a nie miłosiernego) Nauczyciela-Mesjasza. Piotr okazał się wrogiem Pawła, który odrzucał obrzezanie, szerzył dobrą nowinę w środowisku gojów, no i w ogóle był podejrzany jako wywrotowy autsajder.

Narrator jako wywiadowca wyrusza w drogę, która czytelnika poprowadzi do śmierci w Rzymie Piotra i Pawła, do okresu powstawania Ewangelii oraz Dziejów Apostolskich pióra Łukasza, który był jedynym nie-Semita w tym wyśmienitym gronie. Stykamy się z Józefem Flawiuszem, dziełami XIX-wiecznego wielkiego znawcy chrześcijaństwa i judaizmu Renana, który z Boga Jezusa uczynił po raz pierwszy otwarcie w kulturze Zachodu prawdziwego Syna Człowieczego (czyli Człowieka-proroka, a nie Syna Bożego), zapoznajemy się z historią Judei, ówczesnego Rzymu, zagładą Jerozolimy – jest to opowieść wielce dramatyczna i wciągająca. Nie wykracza ona jednak poza dostępną wiedzę, którą może zdobyć każdy z poszukujących prawdy o chrześcijaństwie (przynajmniej w języku francuskim i polskim). Myślę, że tym, co wzmacnia artystycznie i poznawczo, to solidnie podbudowane faktami oraz własną żywą myślą literacko-dokumentalne dzieło, jest udane połączenie historyczno-eseistycznej dykcji

z silnymi elementami czysto literackimi (powieściowymi), czyli z jasnym przekazem odautorskim typu: uwaga! skoro nie wiem i nikt nie wie, co się zdarzyło w tym momencie z protagonistami, to idę na całość i przedstawiam własny punkt widzenia (czyli zmyślam). To kolejny strzał w dziesiątkę. Bo brakuje nam nie tyle dogmatycznych interpretacji, ile wartościowych, autentycznych świadectw intelektualno-duchowych, które wcale nie muszą się kończyć hymnem samouwielbienia z powodu znalezienia „pozytywnego rozwiązania tajemnicy istnienia”, ideologicznym chwyceniem Pana Boga za nogi (za rogi?). Świetne są też paralele pomiędzy hellenizmem (ówczesnym globalizmem) a naszymi czasami, jak i porównywanie zachowań założycieli religii do XX-wiecznych twórców totalitarnych religii partyjnych oraz ideologicznych (Paweł, Lenin, Trocki itp.).

To prywatne „śledztwo duszoznawcze” autora „Królestwa” czerpie swoją inspirację z prologu Ewangelii Łukasza, który pisze o tym, że:

Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach [...]. Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać po kolei...

W tłumaczeniu Romana Brandstaettera brzmi to tak:

*Postanowiłem i ja,
Po dokładnym zbadaniu
Wszystkiego
Od podstaw,
Opisać zdarzenia w kolejnym porządku...*

Zachęcam wszystkich śledzących meandry ludzkiego umysłu do lektury tej naprawdę wartościowej powieści autobiograficznej. Od lat jestem „szczerym anty/ateistą” (mimo że mistycznym, bo zachowuję – przynajmniej w Poezji – doświadczenie tajemnicy życia, świadomości, kosmosu). Akceptuję jednak chętnie fakt, że autor-narrator nie opowiedział się za definitywnym rozstrzygnięciem wiary-niewiary i egzystencjalny wybór pozostawił otwarty. I tak w duchowym „śledztwie” odautorskim: pokrętnym, przerywanym dygresjami, porównaniami, anegdotami (nie zawsze trafionymi zwierzeniami, jak te o upodobaniu do pornografii, ale szczerść zobowiązuje!) – pada w końcu przekonanie, że w tym wszystkim nie wiedza, badanie, lecz miłość jest najważniejsza. Oto „dobra nowina” Emmanuela (po hebrajsku „Bóg jest z nami”) Carrère’a.

W tym samym mniej więcej czasie podczytywałem interesującą książkę Erica Weinera „Poznam sympatycznego Boga”, w której amerykański autor pochodzenia żydowskiego błyskotliwie opowiada o swoich poszukiwaniach miłego i odpowiadającego jego temperamentowi Boga. W ośmiu rozdziałach doświadcza nauk m.in. sufizmu, buddyzmu, szamanizmu, judaizmu, aby uświadomić sobie, że wszystko jest dozwolone, chociaż nie wszystko mądre i rzeczy-

wiste, że prawdziwa religia wzmacnia poczucie dobrego, szlachetnego, konkretnego życia. Podobnie w „Królestwie” pada to sformułowanie, które wiele lat temu znalazłem w orientальnym poradniku duchowym: że samsara i nirwana stanowią jedno, trzeba mieć tylko szeroko otwarte oczy ciała i umysłu. Tylko świadome życie tutaj jest nadprzyrodzone.

W literaturze francuskiej XIX stulecia znajduję wybitnego pisarza, niegdyś naturalistę, który wślawił się trylogią „nawrócenia” na katolicyzm. Joris-Karl Huysmans (1848-1907), bo o niego chodzi, powodował się w dużym stopniu poczuciem estetyki w wyborze katolicyzmu (liturgia, architektura, język, mistyka, zakony), a swojego kontrowersyjnego bohatera Durtala budował w dużym stopniu z elementów autobiograficznych. Carrère przekazał opis swojego doświadczenia egzystencjalnego, w którym jest wejście i odejście od katolicyzmu. Huysmans wybrał świadomie „piękny” obrządek katolicki i przy nim zdecydowanie pozostał. Coś mi się jednak zdaje, że autor „Królestwa” nie zakończył definitywnie rozliczania się z miłości-nienawiści do religii chrześcijańskiej. Może będzie autobiografia jakby ponowne „En route” (W drodze), a następnie ostatnia część trylogii duchowej zatytułowana na przykład „Je crois” (Wierzę)? Na pewno będzie to dobra literatura, jeśli głęboka i szczerza.

Pozostaje kilka drobiazgów odnoszących się do wydania polskiego: książkę dobrze przetłumaczono, to cieszy, chociaż mam kilka drobnych uwag. Na początku powieści autor często udaje się do „szaletu” w górach. Cóż, nie chodzi o ubikację, ale o chatkę górską. Tłumaczka zawierzyła swojej pamięci albo niepamięci, bo chyba jest młodą osobą. Szalet w Polsce i języku jest po prostu publiczną ubikacją. Szkoda też, że nie sprawdzono przekładu Ewangelii św. Tomasza, te opublikowane, według (chyba?) przekładu autora na francuski, fragmenty są niestety nietrafne. Warto byłoby sprawdzić, bo to bardzo znana ewangelia apokryficzna. Nie tylko przeze mnie ulubiona. Ponadto na s. 437 pojawia się wzmianka o wspomnianym przez Tacyta bretońskim wodzu Kalgakusie. Oczywiście nie było nigdy żadnego bretońskiego wodza o tym imieniu, a błąd powstał z tego, że w języku francuskim nie ma różnicy w zapisie Brytanii (wyspiarskiej) i Bretanii (Mniejszej, kontynentalnej, armorykańskiej leżącej w dzisiejszej Francji, do której emigrowali Brytowie-Brytoni, późniejsi Bretończycy; we francuskim to „Bretagne” w każdym przypadku!). Otóż chodzi o celtyckiego Bryta Calgacusa/Kalgakusa (albo inaczej: Brytona) walczącego z Rzymem pod koniec I wieku n.e. Trafiło się też kilka potknięć językowych, mimo że w opracowaniu książki brał udział kiluosobowy zespół redakcyjny (w tym trzy korektorki): na przykład „wszech czasów” pisze się osobno; wydaje się (np. patrz s. 176), że starożytne miasto Tesaloniki (obecnie Saloniki w Grecji) pisane jest w języku polskim w liczbie mnogiej, a nie pojedynczej: Paweł nie udał się więc do „Tesaloniki”, lecz do Tesalonik!

Jean-Louis Vullierme, *Lustro Zachodu. Nazizm i cywilizacja zachodnia*, tłum. Maria Żurowska, Warszawa: W.A.B., 2016; oryginalne wydanie francuskie, 2014

Jean-Louis Vullierme (1955) jest francuskim filozofem i prawnikiem. Udowadnia w swojej nader ciekawej książce, pisanej bardzo osobiście (co bardzo mi się podoba), że nazizm (lepiej może: faszyzm, albo w tym przypadku hitleryzm) nie był jakąś aberracją, ale jedną z dróg rozwoju cywilizacji zachodniej, tak jak komunizm zresztą, do którego autor również czyni pewne (może zbyt nieliczne) porównania i dygresje (co jest zrozumiałe i konieczne).

Moją pierwszą poważną lekturą na temat niemieckiego konserwatyzmu, nacjonalizmu, faszyzmu był „Kryzys ideologii niemieckiej. Rodowód intelektualny Trzeciej Rzeszy” George’a L. Mosse’a (polskie wydanie w 1972 roku). Mogę tę monografię z czystym sercem polecić młodszym pokoleniom (tym szczególnie prawniczym) do refleksji. Francuski badacz zamierzył sobie

jedynie wskazać zło, którego jesteśmy co najmniej „zdrowymi nosicielami”. Niniejsza publikacja podejmuje walkę nie o wykluczenie nazizmu, który zakończył życie w roku 1945, lecz o rozpoznanie teraz i wyrwanie z korzeniami w przyszłości tego, co go spowodowało.

Jeżeli jestem przekonany, że przytoczone fakty z historii nie tylko XX stulecia i interpretacje z nimi związane – które ukazały, że:

nazizm pod wieloma względami był [...] wysuniętym przyczółkiem zachodniej cywilizacji, formą szczególnie anempatyczną (jego zwolennicy powiedzieliby „męską”), pozbawioną słabości i uczuciowości,

takie jak np. judeofobia, rzeź Indian, niewolnictwo (nie tylko czarnych), kolonializm, rasizm, eksterminacyjne walki Anglików i Niemców w południowej Afryce, eugenika – były już badane i komentowane przez rzesze wybitnych specjalistów (w tym polskich, jak Ryszka, Orłowski, Grünberg), to tym dobitniej chciałbym podkreślić wyjątkowy ton moralny tej publikacji, jej ostrzeżenie przed powtórką nihilistycznej historii nienawiści, wojny i ludobójstwa. Niestety, coraz bardziej ten apel jest aktualny...

Sądzę, że w monografii tej nie najcenniejsza jest lista faktów, drobiazgowo i wzorowo analizy teoretyczne, lecz kluczowe dla zrozumienia atrakcyjności prezentowanego Zła nastawienie na wywołanie wstrząsu moralnego oraz metafizycznego wstydu (katharsis) u czytelnika. W moim przypadku to się powiodło. I za to dziękuję autorowi. Za tę wiwisekcję, którą określić można jako śledzenie „nazizmu” (a bardziej generalizująco: pokus faszystowskich czy w ogóle totalitarnych) w nas samych, co zaczyna się łagodnie jako brak empatii w stosunku do innych, jako zgoda na rosnący autorytaryzm, nacjonalizm, jako rosnąca tolerancja dla coraz bardziej restrykcyjnych ustaw prawnych (państwo stanu wyjątkowego) itd. Skąd my to znamy?

W części pierwszej zatytułowanej „Ideologia eksterminacji” mamy rozdziały odnoszące się m.in. do problematyki rasizmu, eugeniki, nacjonalizmu, kolonializmu, propagandy, historycyzmu (absolutne i antagonizujące rzeczywistość nastawienie na absolutnie traktowany cel, spełnienie, mesjasza, Nowe Jerusaleem, III Rzeszę, komunizm itp.), militarystykę i autorytaryzm, populizm i biurokrację. W o wiele krótszej części drugiej „Zerwanie z ideologią eksterminacji” znaleźć można wartościowe rozważania o oporze, odpowiedzialności i wychodzeniu z opresji „imperium zła” (rasizmu i nacjonalizmu przykładowo), które symbolizuje pojęcie empatii (w antagonizmie do „anempatii”):

Empatia pozwala zrozumieć motywację tych, z którymi łączą nas wzajemne relacje, a także rozwiązać pewne dzielące nas trudności.

W sumie chodzi o naukę nieantagonistycznego myślenia i wzmocnienie poczucia odpowiedzialności, bo *każdy z nas musi z siebie wyrzucić to, co w nim jest jeszcze wspólne z nazizmem* (dodałbym: faszyzmem brunatnym, czerwonym i czarnym: wszelkimi pokusami totalitarnymi, w tym religijnymi).

Autor kończy swoje wywody wyznaniem (trudnej) wiary w człowieka, charakteryzuje swój optymizm emocjonalny, woła o nowy humanizm, o nową podmiotowość człowieka silnego swoją wiedzą o swoich słabościach, człowieka szlachetnego i świadomego, otwartego na świat uczuć, który praktykuje odpowiedzialne, konstruktywne życie.

Poza tym bardzo istotne dla zrozumienia i pogłębienia lektury są liczne, przydatne przypisy. Rzecz charakterystyczna: niepokojąco koherentnie wypadły liczne cytaty z pism i przemówień Hitlera.

Przekład bardzo dobry.

Stefan Knapp, Kwadratowe słońce,

Olsztyn: Aeroklub Warmińsko-Mazurski, 2016, wydanie II poprawione

Nie mogę sobie odmówić krótkiego omówienia autobiografii Stefana Knappa (właściwie Knapa: ur. w 1921 w Biłgoraju, zm. w 1996 w Londynie), pilota frontowego, emigracyjnego artysty plastyka, który w 1973 roku podarował nowo zbudowanemu olsztyńskiemu planetarium przepiękną reliefową kompozycję ścienną z emaliowanych blach stalowych. Właśnie w tym gatunku się specjalizował i odniósł wymierne sukcesy. Z okazji okrągłej rocznicy śmierci jednego z bardziej znanych i zasłużonych na emigracji polskich malarzy i rzeźbiarzy gromadka olsztyniaków, zgrupowana wokół miejscowego aeroklubu oraz klubu seniorów lotnictwa, postanowiła uczcić to święto ponowną publikacją pisanej po angielsku i opubli-

kowej w Londynie w 1956 roku autobiografii Knappa oraz odsłonięciem tablicy pamiątkowej w atrium Planetarium i BWA dzięki wsparciu Urzędu Miasta Olsztyna. Przyczyniłem się do tych obchodów, opracowując na nowo tłumaczenie wspomnień, które pokazują dramatyczne losy młodego człowieka uwięzionego w szponach terroru sowieckiego (pobyty w więzieniach i łagrze w okolicach Archangielska), ocalenie i opuszczenie Sowietów z armią Andersa, kurs lotniczy w Wielkiej Brytanii, służbę na froncie pod koniec II wojny światowej i następnie pierwsze lata stawania się świadomym artystą.

Jego świadectwo pobytu w totalitarnym, bezwzględnym Kraju Rad-Raju Krat nie dorównuje świadectwu intelektualnemu, faktograficznemu, charakterologicznemu Beaty Obertyńskiej, Aleksandra Wata, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy Barbary Skargi (autor na to był zbyt młody, niewykształcony i niedoświadczony), ale w równym stopniu poraża autentycznym doświadczeniem osobistym i historycznym. Ten młody i zaskoczony tym, co się z nim stało, człowiek wykazuje hart ducha, ale i zadziwiające umiejętności dostosowania się czy wykorzystania szczególnie trudnych sytuacji, aby przeżyć (i to godnie).

Drugą wartościową warstwą (tej czasami „łotrzykowskiej”) autobiografii są opisy ujawniania się w młodym człowieku samorodnego talentu artystycznego oraz mocnej osobowości twórczej. Pasja sztuki pomogła byłemu więźniowi łagru sowieckiego, młodzieńkiemu kombatan-towi wojennemu nie stracić siły woli i sensu życia po zakończonej wojnie, kiedy tysiące młodych, zdemobilizowanych Polaków – porzuconych przez brytyjskiego alianta – znalazło się w traumatycznych, degradujących ich status sytuacjach życiowych. Na pokazanym w czasie uroczystości filmie widziałem ekspresyjne obrazy, jakie Stefan Knapp malował, przywołując lata łagrowe. Dopiero po wyrzuceniu z siebie tych wizji, traum i malarzkiego świadectwa przyszły czasy na rozwijanie sztuki pasującej do zachodniej współczesności, chodzi tu m.in. o oryginalne i docenione malarstwo reliefowe na emalii.

Świetnie się czyta te wspomnienia i coraz bardziej podziwia się ich autora. Są mi one tym bardziej bliskie, że mój wujek Eugeniusz Sokółski, starszy strzelec Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego, oraz jego wujek Marcelli Kozłowski, żołnierz armii gen. Andersa, wyszli ze Związku Sowieckiego tą samą trasą przez Persję i Palestynę. Do Szkocji dotarli inaczej niż Stefan Knapp, bo wokół Afryki na pokładzie „Queen Mary” przez Nowy Jork. Eugeniusz, brat mojej matki, która pozostała niestety w ZSRR wraz z resztą rodziny, zginął jako żołnierz komandos. Marcelli, brat mojej babci Tosi, przeżył i pozostał w Londynie na emigracji, utrzymując się przez wiele lat jako majster na budowach. Ostatni raz go widziałem w 1968 roku. Młodszy brat babci Tosi Antoni Kozłowski natomiast przeszedł szlak bojowy od Lenino do Berlina w szeregach armii gen. Berlinga. O, polskie losy.

**Jerzy Pietrkiewicz, *Na szali losu. Autobiografia*, tłum. Alicja Skarbińska-Zielińska,
Warszawa: Iskry, 2016**

Zajmująca autobiografia poety, powieściopisarza, profesora Uniwersytetu Londyńskiego, który przed II wojną światową zdążył się wslawić jako obiecujący i młody nacjonalistyczny poeta z kręgu „Prosto z Mostu” Stanisława Piaseckiego oraz jako jeden z najwybitniejszych poetów-autentystów (mimo że luźno właściwie związany z kręgiem „Okolicy Poetów” Stanisława Czernika). Poeta, rocznik 1915, pochodził z wiejskiej, ale nieubogiej rodziny mieszkającej na historycznej ziemi dobrzyńskiej. Wslawił się poematami i wierszami o silnych inspiracjach regionalnych, chłopskich, katolickich, rodzinnych. Przyjaźń czy przymierze z rodzinną ziemią, z matczyną, symbolika ojca, matki, domu rodzinnego, to były najważniejsze słowa-kluce-obsesje tej stosunkowo komunikatywnej poezji o silnym ładunku emocjonalnym i mitotwórczym, wynikającym z utożsamiania się autora-bohatera lirycznego z tym, co dla niego bliskie, konkretne, szczerze przeżyte, ale i irracjonalne. Był wówczas jeszcze co najmniej jeden chłopski poeta, który (moim zdaniem głębiej i ciekawiej poetycko) wyrażał lęki i nadzieje pierwszego chłopskiego pokolenia odrodzonej II Rzeczypospolitej. Chodzi mi o natchnionego podówczas światem i życiem dookolnym Stanisława Piętaka. Ci dwaj mieli szansę na stworzenie polskiej wersji poetyki ekspresjonistyczno-lirycznej Dylana Thomasa. Rzecz w tym, że wielka historia im to uniemożliwiła, Pietrkiewicz rzeczywiście był mocno prawicowo-mistyczno-plemienny, ale przecież udał się na wojenną i powojenną emigrację (nie zrywając kontaktów – na poziomie realnym i fantazjotwórczym – z utraconą ojczyzną). Inna rzecz, że w latach 30. minionego stulecia nie brakowało w Europie takich wzniosłych i natchnionych filozofów i literatów optujących za wielkością poszczególnych narodów wybranych (patrz np. Emil Cioran w Rumunii).

W autobiografii Pietrkiewicz nie zajmuje się analizą światopoglądową tamtych przedwojennych, trudnych (sieroctwo) i płodnych poetycko lat, podkreślając, że to wszystko było szaleństwo epoki i młodziutkiego, kochającego odrodzoną ojczyznę serca. Ja mu chcę wierzyć. Nie rezygnował w tych opisach trudnej i szczęśliwej mimo wszystko młodości z tworzenia osobliwej aury mityzacyjnej wokół swojego dzieciństwa, pochodzenia, krewnych, rodziców, domu. To widocznie był jeden wielki i może najważniejszy temat biograficzno-literacki tego płodnego i godnego podziwu twórcy, który na emigracji londyńskiej nie załamał się i wziął się za nieustanne szlifowanie swoich zdolności intelektualnych i literackich. Po wierszach przeszedł na pisanie powieści w języku angielskim (w 1953 roku wydał „The Knotted Cord”), które okrzyknięto bestsellerami, zabrał się z sukcesem za tłumaczenie poezji polskiej i angielskiej (wslawił się m.in. przekładami utworów Karola Wojtyły).

Niestety nie znam ani oryginałów, ani przekładów polskich powieści Pietrkiewicza (dla Anglików swoje niewymawialne nazwisko zmienił na Peterkiewicz), ale od lat obcuje z jego poezją (posiadając np. „Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne” wydane w 1965 roku

przez Instytut Literacki w Paryżu), ale ta pasjonująca, choć niewyczerpująca wszystkich wątków biograficznych, autobiografia nie tylko pokazuje silny charakter i moc trwania jej autora, ale wzbudza u czytelnika natychmiastową ochotę na zapoznanie się z jego (nadal zbyt słabo jak po mnie samym widać) bogatą twórczością literacką.

Kazimierz Brakoniecki

Stan rzeczy

Henryk Waniek, *Jak Johannes Kepler, jadąc do Żagania na Śląsku, zahaczył o księżyc*,

Kotórz Mały: Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej; Opole: Silesia Progress, 2015

Alan Sasinowski, *Szczerzy facet*, Szczecin: Forma, 2016

Jacek Ingłot, *Polska 2.0*, Warszawa: W.A.B., 2016

„*Jak Johannes Kepler, jadąc do Żagania na Śląsku, zahaczył o księżyc*” Henryka Wańka to powieść, której lektura zmusza do pytania o język oryginału. Bohater utworu, nim opowie o wizycie, jaką go zaszczycił Johannes Kepler, żyjący na przełomie XVI i XVII wieku niemiecki matematyk, astronom i astrolog, człowiek zatem poważny i w naukach postać wybitna, opowiada o procesie kształcenia, jakiemu był się poddał, uczęszczając na zajęcia niedawno otwartego uniwersytetu w Grazu, uczelni podłej raczej kondycji. Spisana jest ta opowieść w lekko archaizowanej polszczyźnie z wrzucanymi od czasu do czasu latynizmami i germanizmami, dialogi w tymże języku, wszakże już sama rozmowa z Keplerem musiała być chyba prowadzona po niemiecku, a ponieważ sam utwór przeznaczony jest dla polskiego czytelnika, przeto należy przypuszczać, że relacja narratora to tłumaczenie, a nie dosłowne przytoczenie jej przebiegu. Piszę o tym, gdyż ważny wydaje się lingwistyczny wymiar tej opowieści – udało się Wańkowi wykreować swego rodzaju przestrzeń translingwistyczną, co w obszarze dolnośląskim wydaje się historycznie uzasadnione, w dodatku – że przywołam tę ciekawostkę – w pobliżu, a mianowicie w Zgorzelcu, pomieszkiwał w tym samym czasie (i umarł) szewc Jakub Böhme, niemiecki mistyk wierzący w to, że poezja przybliży nas do utraconego za sprawą grzechu pierworodnego *lingua adamica*.

Nauki pobierane w Arcyksiążęcym Karolińskim Uniwersytecie uzupełniał nasz bohater w bardziej otwartym na nowinki świata gronie:

Byłem już bakałarzem [...], a brakującą wiedzę zamierzałem zdobyć w piwiarni Pod Wiankiem, gdzie skupiała się odważnie myśląca postępową młodzież. Wielki był magnetyzm naszych przekonań, szukających świata rewolucyjne zmiany.

Ale, jak można się łatwo domyślić, ów bystry młodzian żadnej kariery nie zrobił i w krótkich abcugach powędrował do rodzinnego domu, dość mocno podupadłego, co sprawiło, że osiadł w pewnym odeń oddaleniu, pograżając się w lekturze książ uczonej, acz, jak dowodzi to jego relacja, nie do końca dlań zrozumiałych. To nie znaczy wszakże, że poszukiwania, jakim się oddawał, pozbawione były sensu, a nade wszystko wymiaru duchowego.

Zetknąwszy się z pismami Keplera, który wraz z towarzyszącymi mu osobami kwaterował w jego siedzibie, odczuwa ich kostywność i przyziemność:

Zatrzasnąłem książkę z hukiem! Lubię cudowną moc tego dźwięku – relacjonuje spoglądając przez okno. – [...] Obraz był zamarły, jakby to ktoś namalował. Oto co sprawiłem zatraskując księgę – świat się zatrzymał. [...] Zamknięcie książki w taki sposób i dźwięk, jaki to daje, sprawia, że cała rzeczywistość nieruchomieje.

To jeden ze sposobów zaklinania czasu. Dzieje się to wtedy, gdy się korzysta z wiedzy w sposób szczególny: bo cała ta wiedza Keplera była sucha i martwa. Taka wiedza nie daje wglądu w istotę świata, w szczególności w istotę Czasu. Dopiero przez kontakt z duchowością – cokolwiek przez nią pojmować – pozwala wydostać się poza doraźność. Taki kontakt zdarzył się bohaterowi opowieści, gdy usłyszał: *Jestem stróżem ginącego słowa. Więc ja pomogę tobie, ty pomożesz Keplerowi, a z kolei Kepler będzie pomocny mnie.* I Hynko – takie bowiem imię nosi narrator pierwszej części książki – nie do końca świadom tego, co czyni, staje się przewodnikiem Keplera w jego rzeczywistej wyprawie lunarnej, z której relację zdaje w ostatniej części sam fizyk.

Otwiera się przed czytelnikiem świat trudnej do racjonalnego relacjonowania osobliwości: uderza przy tym realność wizji i zarazem niezdolność rozumu do sprostania doświadczeniu:

Skoro dzieje się tak – relacjonuje Kepler – to znaczy, że w powietrzu są jakieś czary, może nawet diabeł, choć skądinąd wiem dobrze, że magii, czarów i diablów nie ma. Takie rzeczy zdarzają się tylko we śnie.

Realne miesza się z nierealnym, uwolnione zostaje to, co w umyśle dalekie jest od realności, a co jednak stanowi niezbywalny składnik – często tłumiony – ludzkiego doświadczenia egzystencjalnego. Dla Hynka, człowieka w istocie nieuczonego, to nakładanie się na siebie różnych rze-

czywistości, ich wzajemne przenikanie nie tyle jest oczywistością, co czymś przyjmowanym z dobrodziejstwem inwentarza, dla Keplera natomiast owa *podróż lunarna* stanowi wyzwanie, któremu usiłuje sprostać, zdając sobie sprawę z daremności swych wysiłków, lecz zarazem pozostając przy prawdzie relacji o doświadczeniu, którego nie pojmuje, lecz wiem, że jednym z jego źródeł jest *genius loci* Dolnego Śląska, czyli tajemnej Silandii nasyczonej mistycyzmem.

„**Szczery facet**” Alana Sasinowskiego to czwarta już powieść tego autora uporczywie opisuującego realia polskiej współczesności, tym razem skupiona na kwestiach obyczajowych. Bohater utworu, Kamil, jest dziennikarzem niepewnym swego i siebie. Opowieść zaczyna się od banalnej dość sceny zdrady małżeńskiej – ale też banalnie ma być w całej tej narracji, gdyż Kamil jest banalnym bohaterem, sytuacje, w jakich się znajduje, też są banalne. Dramatyzm egzystencji sprowadzony zostaje do rozwiązywania banalnych problemów. I gdy rzecz czytałem, naszło mnie wspomnienie sprzed pół wieku, gdy przez prasę (jeszcze wówczas zajmującą się kulturą w ogólności, w szczególności zaś literaturą) przetoczyła się dyskusja pod kryptonimem „mały realizm”. Od tego czasu zmieniły się, oczywiście, realia, ale nie zmieniły się problemy codzienności: zdrady małżeńskie jak były zdradami małżeńskimi, tak nimi pozostały, a rozgrywki w pracy jak były, tak są nadal – albo się jest po stronie szefa, albo się popiera tego, kto się na jego miejsce szykuje. Tak też jest w utworze Sasinowskiego: *nihil novi*.

Pytaniem zasadniczym jest w tych okolicznościach nie kwestia dotycząca tego, o czym się pisze, ale jak. W końcu „Effi Briest” czy „Anna Karenina” też są opowieściami o zdradzie małżeńskiej, ale nie za to je cenimy, lecz przede wszystkim za sposób opowiadania. Wiem – bezzasadnie podnoszę poprzeczkę, próbując zestawiać autora „Szczerego faceta” z takimi tuzami jak Fontane czy Tolstoj. Ale trudno – te punkty odniesienia istnieją. I w tym kontekście mam do Sasinowskiego – jako do autora „Rupiecia” – pretensje: zbyt słabe jest tło, na którym toczy się opowieść o losach Kamila. Przy czym nie chodzi mi o sprawy „wagi społeczno-politycznej”, lecz o zdolność bardziej przekonującego opisu środowiska, w jakim rozgrywa się akcja. Sasinowski ograniczył się do pospiesznego i dość powierzchownego szkicu, w którym na plan pierwszy wybijają się okoliczności erotyczno-seksualne, skądinąd (jak zwykle) zajmujące, wszelako dość skutecznie redukujące osobowości postaci w nich występujące.

Sam tytuł – przypomnę: „Szczery facet” – interpretowałbym na dwa sposoby, po pierwsze jako określenie faceta mówiącego w swoim mniemaniu prawdę, po drugie zaś jako ukazanie bohatera jako prawdziwego faceta w tym rozumieniu, w jakim mówi się, że coś jest szczerzo-złote. Byłby to zatem facet wzorcowy. Takim wszakże Kamil nie jest. Nie mówi też prawdy, lecz zdaje sobie sprawę z tego, że bierze udział w grze, w której role zostały rozdane i na której przebieg nie ma żadnego wpływu (tu zresztą warto zwrócić uwagę na rozpisany na głosy fragment „spektaklu” opowiadanego przez jedną z postaci powieści). Nic nie jest autentyczne,

wszystko jest powtarzaniem wyćwiczonych gestów i wyuczonych kwestii. Wszystko jest doskonale przewidywalne. Przy tym w wypadku Kamila – w odróżnieniu od większości otaczających go osób – sprawa jest o tyle bardziej skomplikowana, że zdaje on sobie sprawę z tego stanu rzeczy. Kamil wie, że nie ma w tej grze ruchu, ale też uważa, że nie ma w tym grzechu.

Postaci utworu, choć w większości naszkicowane zostały skrótowo, szybką kreską, są jednocześnie dość barwne i różnicowane, by napięcia i inne relacje między nimi mogły, za sprawą swej dynamiki, przykuć uwagę czytelnika. Zarazem jednak zbyt dyskretnie, a nawet skrycie ujawniana jest ich cecha wspólna, jaką jest poczucie prowincjonalizmu, a tym samym niezdolność ukazania ważnego dla nich punktu odniesienia – „wielkiego świata”, do którego tęsknią, a którego nie umieją sobie u siebie wykreować. I w gruncie rzeczy taka postawa wobec „prowincjonalności” jest dokładnym odbiciem postawy dotyczącej małżeństwa:

Można się natyrać nad związkiem, można przegadywać problemy tak intensywnie, że pozasychają gardła, można wypracować takie formy wzajemnej komunikacji, że partnerzy zaczną dosłownie czytać w swoich myślach, wszystko to będzie serdeczne, nowoczesne i chwalebne ze społecznego, terapeutycznego, a także metafizycznego punktu widzenia, wszystko tołoży się na dobre, bardzo dobre, dojrzałe małżeństwo, ale co, jeśli zrobisz to wszystko, a i tak będziesz miał poczucie, że wirujesz w pustkę? Że udajesz?

Na to pytanie, rzecz jasna, nie ma dobrej odpowiedzi. Ale jedno przynajmniej wydaje się ważne: to, że zostało sformułowane. Ale problem się komplikuje: tego pytania nie zadaje sobie sam bohater, lecz dyktuje mu je narrator powieści i to on będzie miał ostatnie zdanie w całym utworze.

„Polska 2.0”, piąta powieść Jacka Inglota, właściwie dyptyk, którego część pierwsza zatytułowana została „Wojna dronów”, wprowadza nas, u boku głównego bohatera, czarnoskórego polskiego żołnierza Aleksandra M'Beki, w sam środek toczącej się w Europie A.D. 2037 wojny. Żołnierz, otoczony przez wrogie siły tureckie, w pierwszej części, osaczony w bunkrze, przepowiada sobie treść rozprawy Adama Tarkowskiego „Jagiellonia 2.0” traktującej przede wszystkim o szansach wybicia się Polski nie tylko na niepodległość, lecz nade wszystko na mocarstwo. Sprawą kluczową dla Tarkowskiego jest pokonanie Rosji, nie po to wszakże, by pomścić doznane krzywdy, lecz by ją uleczyć z imperialnych zapędów i wprowadzić w przestrzeń cywilizacji zachodniej, nauczyć procedur demokratycznych i tolerancji – temu poświęca się, stając na czele wyszehradzkiej koalicji polski dyktator Sidorski kierujący się zasadą Tarkowskiego:

Tarkowski na pytanie, co Polacy powinni zrobić teraz, w obliczu odradzającego się na wschodzie wrogiego im imperium, odpowiadał zwięźle: „Zbudujcie własne! Bo żeby wygrać, trzeba zasiąść do gry”.

Po śmierci Sidorskiego 5 maja 2035 roku dochodzi do zawiązania wrogiej Wyszehradowi koalicji turecko-niemieckiej (*Polska Sidorskiego wyrosła ponad niemieckie oczekiwania*).

M'Beka, uwięziony w atakowanym przez Turków bunkrze, ma czas na przypomnienie sobie nie tylko treści nauk Tarkowskiego (jeśliby tu szukać analogicznej postaci w realu, można by mu przydać ksywkę Giedroyc 2.0), ale także biegu spraw politycznych i wojskowych, które go doprowadziły do sytuacji oznaczającej konieczność oddania życia za kraj, w którym jego ojciec był co prawda tylko uchodźcą, lecz dla naszego bohatera jest ojczyzną, która, zważywszy barwę jego skóry, a zatem niemożność ukrycia „niepolskiego” rodowodu, co bywa przedmiotem nie zawsze życzliwych komentarzy, stwarza mu problemy tożsamościowe. Zarazem jednak fakt ten pozwala mu na zachowanie dystansu i być może lepsze pojmowanie zamysłu dyktatora Sidorskiego zmierzającego do *uratowania Polski przed Polakami*.

Ale przecież niekoniecznie taki „pozytywny” scenariusz można Polsce napisać, o czym przekonuje lektura części drugiej zatytułowanej „Burza planetarna”. W ten gorszy i dość ponury obraz wprowadza nas bohater drugiej części dyptyku Inglota, Tadeusz Lewandowski, reporter reżimowej propagandówki wysłany do Polski 2 zainstalowanej przez zbiegłego z kraju multimiliardera na przyznanym naszemu krajowi obszarze dna oceanicznego. Multimiliarder zbiegiem powieściowych okoliczności nazywa się Adam Tarkowski i ściąga do swojego władztwa emigrantów, przede wszystkim wysoko wykwalifikowanych naukowców oraz intelektualistów. Ta podmorska utopia (aż się prosi o grę fałszywymi etymologiami) jest – w odróżnieniu od dyktatury Sidorskiego (tu zresztą też pojawia się Sidorski: jako następcą Tarkowskiego) – krainą liberalnej demokracji. Przemierzając z Lewandowskim ów świat wyjęty niemal z opowieści o kapitanie Nemo (nawiązań i aluzji literackich starczy tu na dobrą pracę magisterską, może nawet na więcej – daje to czytelnikowi sporo uciechy), dowiadujemy się jednocześnie wiele o upadłej pod rządami stetryczalnych doktrynerów o orientacji narodowokatolickiej Polsce kontynentalnej: jest umiERALNIA dla „nadterminowych”, którym nie da się płacić emerytur, ale nie można ich też uśmiercać, są niezłe napisane sceny batalistyczne, w których reżim (są to w końcu lata 30. XXI wieku) nie waha się użyć przeciw protestującym studentom bojowych F-16.

270

Zaletą tej prozy poświęconej kreacji nieodległej w końcu przyszłości jest jej świetne zakorzenienie w realiach nam współczesnych i otrzymujemy w gruncie rzeczy dość miazdzącą diagnozę istniejącego stanu spraw polskich: bądź – by kraj uratować przed Polakami – należy tu wprowadzić mniej lub bardziej oświeconą dyktaturę, bądź zwiewać z Polski, zanim nastąpi kolaps spowodowany przez narodowych fundamentalistów katolickich. *Tertium non datur?* Być może jednak jest wyjście. Czytamy w posłowie:

Dla każdego myślącego Polaka jest oczywiste, że jego kraj stoi przed olbrzymim wyzwaniem cywilizacyjnym, być może największym w swojej historii, i od tego, jak na nie zareaguje, zależą jego dalsze losy.

To akurat prawda. Ten powieściowy dyptyk, skażony wszelkimi wadami tego, co Witkacy (przypomnijmy przy okazji jego „Pożegnanie jesieni”) określał mianem „powieści-worka”, ma w swym (i autora) zamiarze być dzwonkiem alarmowym. Obawiam się, że słabo słyszalnym, a szkoda – cóż, czasy publicznych dyskusji o literaturze to już zamierzchła, zapomniana i bezpowrotna przeszłość.

Leszek Szaruga

Literatura polska i narracje polskiego Okcydentu

**Joanna Szydłowska, *Narracje pojałtańskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945-1989)*,
Olsztyn: Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, 2013**

W 2013 roku ukazała się monografia Joanny Szydłowskiej „Narracje pojałtańskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945-1989)”. To liczące 554 strony *opus magnum* olsztyńskiej literaturoznawczyni stanowi znakomite podsumowanie dotychczasowych zainteresowań badawczych autorki. Jest to udokumentowane obfitą i różnorodną bazą źródłową interdyscyplinarne studium, które podejmuje kwestię jednego z najważniejszych mitów fundacyjnych PRL, zawartych w literaturze narracji o ziemiach przyłączonych do Polski po 1945 roku, określanych jako „Ziemie Odzyskane” i „Ziemie Zachodnie i Północne”.

Książka Joanny Szydłowskiej składa się z sześciu rozdziałów. W rozdziale pierwszym zarysowana zostaje metodologia pracy, oparta w głównej mierze na kategorii pogranicza w perspektywie socjologicznej. Kategoria pogranicza zostaje wyodrębniona w trzech wymiarach: przestrzennym, rozumianym jako *obszar, terytorium znajdujące się przy granicy lub daleko od centrum*; społeczno-kulturowym, ujmowanym jako *usytuowany w przestrzeni kontakt społeczno-kulturowy między dwoma lub więcej narodami, grupami etnicznymi oraz osobowościowo-kulturowym jako sytuacja psychologiczna profilująca określony typ człowieka pogranicza* (s. 33). W rozdziale tym autorka precyzuje również zawarte w tytule książki pojęcie „pojałtańskiego Okcydentu”. Punktem wyjścia jest tutaj krytyczna analiza pojęcia „Ziemie Odzyskane”, którym po 1945 roku określano ziemie przyłączone do Polski w wyniku konferencji w Jałcie i Poczdamie.

We współczesnym dyskursie naukowym panuje polaryzacja stanowisk wobec akceptowalności (funkcjonalności) terminu „Ziemie Odzyskane”, który bywa dziś opatrywany cudzysłowem bądź poprzedzany skrótem „tzw.” (s. 49)

– konstatuje Szydłowska. W celu wyjścia z impasu terminologicznego oraz ponieważ w dyskursie tym nie powiodła się również adaptacja terminu „Kresy Zachodnie”, olsztyńska literaturoznawczyni proponuje użycie jako alternatywy pojęcia „Okcydentu”. W refleksji humanistycznej pojęcie to jest według Szydłowskiej

kategorią opisowo-geograficzną, ale także kulturowo-cywilizacyjną, polityczną, ekonomiczną, aksjologiczną. Zazwyczaj jest definiowane przez konfrontację antyetycznych wartości przypisywanych pojęciom: Orient–Okcydent (Wschód–Zachód), a niesymetryczność tych relacji wyraża wykluczenie z narracji lub/i deprecjacja Wschodu oraz poznawcze uprzywilejowanie i waloryzacja elementów cywilizacji Zachodu. Z geografii wypada łączyć nazwę pospolitą (strona świata pisana małą literą: wschód-zachód) i nazwę własną (pisana wielką literą jako całość obszaru społeczno-kulturowego, geograficzno-politycznego: Wschód–Zachód / Orient–Okcydent). To drugie znaczenie – zwyczajowo odnoszące się do państw europejskich na zachodzie kontynentu (i do Ameryki) – pragniemy przenieść na wewnętrzne realia Polski w granicach z 1945 r. i nazwać nim polskie nabytki terytorialne kosztem Niemiec. (s. 54-55)

Precyzując zaproponowane przez siebie pojęcie, autorka stwierdza następnie, że

polski Okcydent nie jest przypadkową konstrukcją regionów, ale spójnym, młodym – zaledwie siedemdziesięcioletnim tworem demograficznym, socjologicznym, politycznym, kulturowym i mentalnym. To określony projekt kultury i ideologii, mający własny mit fundacyjny, określoną historię i epistemologię, specyficzną estetykę i system aksjonormatywny. [...] Polski pojałtański Okcydent [...] jest konstrukcją niesamodzielną, zrelacjonowaną asymetrycznie wobec centralnych ośrodków władzy. Jest tych ośrodków projekcją: silnie zmetaforyzowaną i zestereotypizowaną, narzuconą zawłaszczanym poznawczo (politycznie, kulturowo, lingwistycznie) przestrzeniom. To wiedza wyprodukowana w centrach decyzyjnych, budująca i reprodukująca relacje o charakterze wertykalnym (sytuacje zależnościowe). (s. 55-56)

Przedmiotem zainteresowania Szydłowskiej są uwarunkowania kulturowej percepcji tak zdefiniowanego Okcydentu oraz ich literackie reprezentacje (s. 55). Te ostatnie Szydłowska umieszcza w kontekście literatury pogranicza, przy czym kryterium decydującym o przypisaniu danego dzieła do tego gatunku jest temat, a nie związek autora z daną przestrzenią. Za najważniejszą cechę literatury pogranicza autorka uznaje ponadto *konceptualizację problematyki pogranicza jako przestrzeni/sytuacji sąsiedztwa i wymiany kulturowej* (s. 65). W odniesieniu do badanej przez siebie literatury polskiego Okcydentu olsztyńska badaczka zastrzega jednakże słusznie, że w latach 1945-1989 nie może być mowy o istnieniu literatury pogranicza w zdefiniowanym powyżej znaczeniu, ponieważ *nie była to literatura swobodnie czerpiąca z dorobku wielu kultur, języków i wartości; nie budowała jej siła różnicy* (s. 68).

Rozdział drugi monografii Joanny Szydłowskiej poświęcony jest statusowi polskiego Okcydentu w kontekście cenzury i propagandy. Na początku autorka dokonuje charakterystyki różnych aspektów (gospodarczego, historycznego, politycznego i społeczno-kulturalnego) mitu fundacyjnego polskiego Okcydentu, którym była wypracowana jeszcze w okresie przedwojennym w kręgach poznańskiej endecji ideologia powrotu na „prastare ziemie piastowskie”. Kreacja tego mitu odbywała się w ramach szeroko zakrojonej polityki pamięci przy współudziale wielu instytucji, takich jak Ministerstwo Ziem Odzyskanych, Polski Związek Zachodni, Zachodnia Agencja Prasowa, Towarzystwo Przyjaciół Warmiaków i Mazurów, instytuty naukowe, wydawnictwa i środowiska akademickie, Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich i Stowarzyszenie Wisła-Odra. Szydłowska opisuje pokrótce rolę każdego z nich, wskazując równocześnie na ich ograniczoną autonomię, głęboką ideologizację i obecny w każdym czasie aksjomat *niepodważalnego związku pojałtańskiego Okcydentu z pozostałym terytorium kraju oraz polskości ludności miejscowej* (s. 79). Integralną częścią, a właściwie przedłużeniem sfery instytucjonalnej mitu założycielskiego polskiego Okcydentu były media pamięci, które wykorzystywała kreująca go polityka pamięci, a więc: literatura, prasa, kroniki filmowe i film. Zanim jednak propagowane przez nie treści dotarły do odbiorców, musiały przejść przez instytucję istniejącej w PRL cenzury. O ile działalność wspomnianych wcześniej instytucji zajmujących się propagowaniem piastowskiej ideologii „Ziem Odzyskanych” jest już w miarę znana z wcześniejszych opracowań na ten temat, to dokonana przez Szydłowską analiza mechanizmów cenzurowania jej treści propagandowych jest niewątpliwie jednym z atutów, który stanowi o wyjątkowości tego studium na tle dotychczasowych publikacji. Treści związane z rolą ziem poniemieckich w polityce wewnętrznej i międzynarodowej państwa polskiego podlegały szczególnemu nadzorowi cenzury. Według Szydłowskiej tematyka ta nie występuje jednak w zaleceniach cenzorskich suwerennie, lecz wpisuje się w szersze obszary problemowe, takie jak relacje polsko-niemieckie, strategiczny wymiar pogranicza polsko-niemieckiego oraz polityka pamięci historycznej wobec dziedzictwa kultury niemieckiej. I tak w odniesieniu do ingerencji cenzury w publikacjach periodycznych autorka wyróżnia:

- a) neurozę pogranicza, panującą w nich ze względu na kontekst relacji polsko-niemieckich. *Elementem wyróżniającym tych przestrzeni był charakter strategiczny (sens militarny, gospodarczy), wzmocniony konfrontacyjnością sytuacji zimnowojennej* (s. 87).
- b) sekularyzację przestrzeni: *Efekt zeświecczenia pojałtańskiego pogranicza polsko-niemieckiego najprościej osiągnąć poprzez usuwanie fragmentów dokumentujących obecność obiektów sakralnych (zwłaszcza ewangelickich)* (s. 88).
- c) aksjologizację temporalną: *W warstwie perswazyjnej ingerowanych tekstów systematycznie kwestionowano niedostateczną krytykę czasów niemieckiej obecności na ziemiach włączonych w 1945 r. do Polski. W konfrontacji „wczoraj i dziś” pozytywna waloryzacja jednoznacznie musiała być przypisana współczesności (realia polskie i socjalistyczne)* (s. 88).
- d) *ad vocem* propagandy zachodnioniemieckiej: *W tym sensie zadanie cenzorów polegało na eliminacji treści, które potencjalnie mogły dostarczyć „żeru dla propagandy antypolskiej” / „argumentów dla rewizjonistów”* (s. 89).

- e) ZSRR: *Rewersem konfrontatywnych deklaracji wobec Niemiec Zachodnich było manifestowanie solidaryzmu ze Związkiem Radzieckim* (s. 90).
- f) wysiedleńcy w funkcjach „repatriantów”: *marginalizacja terminu repatriacja/repatriant, zamiast: wysiedlenie/ wysiedleniec, przesiedlenie/przesiedleniec; marginalizacja terminu „Kresy Wschodnie”; marginalizowanie doświadczenia wykorzenienia i forsowanie optymistycznych wersji zakorzenienia nowych mieszkańców na nowych ziemiach* (s. 91-92).
- g) etnos ukraiński: *Tematyka ukraińska należała do najbardziej newralgicznych kwestii dyskursu publicznego [...] dążono do minimalizacji i neutralizacji ostrości konfliktów, w których uczestniczyli wydziedziczeni z ojcowizny i poddani polityce asymilacyjnej Ukraińcy* (s. 92).
- h) Warmiacy i Mazurzy: *troska, by nie powstało wrażenie [...] autonomizacji etnosu warmińskiego czy mazurskiego („widmo separatyzmu”), a wręcz przeciwnie – artykulacja tez o przynależności Mazurów i Warmiaków do polskiej kultury i polskiego narodu [...]; brak akceptacji dla wyrażania ambiwalentnej postawy światopoglądowej reprezentantów grup pogranicza (uczestnictwo w kulturze polskiej i niemieckiej); ingerencje w sferę języka („błędy i wypaczenia” polityki polskiej wobec Mazurów i Warmiaków)* (s. 92-93).
- i) wyjazdy miejscowej ludności do Niemiec: *Władzom chodziło oczywiście o pożądaną diagnozę zjawiska (dyskwalifikacja podmiotów decyzyjnych, motywacyjny wpływ propagandy rewizjonistycznej, aprioryzacja podtekstów ekonomicznych, minimalizacja ilościowa* (s. 95).
- j) dziedzictwo poniemieckie na ziemiach przyłączonych, które pozostawało jedną z najbardziej drażliwych kwestii.

Cenzura ingerowała naturalnie również w dzieła tworzone przez pisarzy, którzy zajmowali się tematem „Ziem Odzyskanych”. Na przykładzie Olsztyńskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Szydłowska pokazuje, że funkcję kontrolną pełniła również Podstawowa Organizacja Partyjna przy oddziale ZLP. W omawianym rozdziale autorka podejmuje również kwestię propagandy wobec pojałtańskiego Okcydentu, której głównym celem było *akcentowanie polityki faktów dokonanych i utrwalanie przekonania o słuszności decyzji podjętych w Jałcie* (s. 109). Ważną rolę w propagowaniu wiedzy o polskim Okcydencie odgrywały ponadto Tygodnie Ziem Odzyskanych oraz turystyka i krajoznawstwo, które po 1945 roku *ożywiały emocjami geopolityczną mapę pojałtańskiej Polski* (s. 124). Rozdział poświęcony cenzurze i propagandzie zamyka analiza obecności tematu w dokumencie i filmie fabularnym.

W trzecim rozdziale swojego studium Joanna Szydłowska przechodzi do właściwego tematu swoich dociekań, czyli polskiego Okcydentu jako tematu literackiego. Za istotne wyróżniki tej literatury autorka uznaje: wątpliwość czerpania z doświadczeń literackich sprzed 1945 roku, dyskurs między paradygmatem orientacji ludowej a predylekcją do jej zakwestionowania oraz aprioryzację misji ideowej ze szkodą dla rewelatorstwa estetycznego (s. 147). Szydłowska proponuje ponadto następującą periodyzację dziejów tematu:

1945-1948 – *okres fundacyjny i „absorpcyjny”*

1949-1955 – *okres regresu*

1956-1970 – okres kreatywnej „reanimacji”
 1970-1989 – okres wygaszania tematu
 po 1989 – okres renesansu i reorientacji
 (s. 150)

W dalszej części rozdziału autorka dokonuje szczegółowej charakterystyki każdego z tych okresów, poświęcając słusznie sporo uwagi *najbardziej spektakularnemu projektowi organizacyjnemu i konceptualizacyjnemu zorientowanemu na wygenerowanie nowej refleksji wokół problematyki Ziem Zachodnich i Północnych* (s. 185), jakim były zjazdy pisarzy ziem zachodnich i północnych. Szydłowska wyodrębnia trzy fundamentalne funkcje tych spotkań: polityczną, kulturotwórczą i integracyjną (s. 187).

Czwarty rozdział książki Szydłowskiej poświęcony jest geografii środowisk literackich polskiego Okcydentu. Autorka omawia tworzenie się ośrodków życia literackiego w poszczególnych miastach Ziem Zachodnich i Północnych (Katowice, Poznań, Przesieka/Jelenia Góra, Wrocław, Szczecin, Opole, Zielona Góra i Gorzów Wielkopolski, Koszalin i Słupsk), szczególną uwagę poświęcając przy tym środowisku literackiemu Olsztyna. Następnie autorka dokonuje analizy recepcji tematu Warmii i Mazur w ogólnopolskich periodykach literackich: „Twórczości”, „Po-ezji” i „Roczniku Literackim”. Konkluzją rozważań tej części pracy jest stwierdzenie, że

literackie środowiska polskiego Okcydentu były małe i nie odgrywały znaczącej roli na mapie polskiej kultury. Ich cechą szczególną była duża mobilność i zmienność składu: to środowiska formujące się niejednokrotnie w całkowitej próżni kulturowej, w 1945 r. zagospodarowane przez przybyszy. Najważniejszą cechą polaryzującą charakter środowisk literackich pojałtańskiego Okcydentu była obecność tzw. pisarzy miejscowych, dystrybutorów oryginalnych treści kulturowych związanych z małą ojczyzną (s. 307).

Również ogólnopolskie periodyki literackie w niesatysfakcjonujący sposób dostrzegały i odnosiły się do literackiego dorobku środowiska Warmii i Mazur.

Tym niemniej – jak zauważa Szydłowska – większość tekstów przywołanych przez ogólnopolskie periodyki, ujrzana w dynamice procesu historycznoliterackiego powojennej Polski, potwierdzała swoją wartość artystyczną i udowadniała możliwość emancypacji z kategorii literatury regionalnej. (s. 308)

Bardzo interesujące są dwa ostatnie rozdziały książki Szydłowskiej, w których zajmuje się czasoprzestrzenią oraz człowiekiem okcydentalnego pogranicza. Czasoprzestrzeń polskiego Okcydentu Szydłowska rozpatruje w kontekście retoryki granicy i jej topografii. W literaturze zorientowanej na opis pogranicza warmińsko-mazurskiego po 1945 roku stwierdza obecność toposu *Ultima Thule*, który jest synonimem krańca świata, wyspiarskości i enklawowości. Ten motyw przestrzenny sytuuje obserwowany obszar w oddaleniu od centrum, poprzez co zy-

skuje on status prowincji lub peryferii. Wspomniany topos realizowany był w literaturze warmińsko-mazurskiej w dwojaki sposób:

Peryferyjna lokacja mogła być bowiem przekleństwem lub błogosławieństwem. Stąd pragmatyka dwóch alteracyjnych figur: loci amoeni i loci horridi. Pierwsza obejmowała zwykle świat natury, druga realizowała się w porządku społecznym i kulturowym (odczucie cywilizacyjnego wykluczenia, paternalizm wobec znaków kulturowej i etnicznej inności, kompleksy wobec centrum. Jest to więc poniekąd kolejne rozpięcie napięcia: natura-kultura. (s. 322)

Przestrzeń pojałtańskiego Okcydentu jest zarazem metaprzestrzenią przygody. Topos ten wyrósł na fali zainteresowania Warmią i Mazurami w latach 50. Szydłowska wskazuje na jego niebagatelne walory użytkowe:

był szansą uchylenia się od dotykania spraw kontrowersyjnych – to po pierwsze, po drugie – wprowadził krajobrazy mazurskie i warmińskie do świadomości Polaków, przydając im trwałych cech wakacyjnego raj. W rzeczywistości jednak repetytywność wątków i scenarii zaprocentowała ich trywializację i stereotypizację. Elementem constans literackich projekcji Warmii i Mazur stał się landszaft turystyczno-rekreacyjny pejzażu. (s. 329)

W omawianej przestrzeni znalazło się również miejsce na projekty estetyczno-kontemplacyjne, których patronem był Konstanty Ildefons Gałczyński. Związek przestrzeni z tożsamością uwidacznia się według Szydłowskiej w obecnej w literaturze warmińsko-mazurskiej ornamentyce Północy (na przykład kraina Nod Erwina Kruka), związku przestrzeni ze skrajnym klimatem, nierozpoznawalności (hermetyczności) doświadczenia pogranicza oraz metaforyzacji przestrzeni okcydentalnych (metafory o charakterze apokaliptycznym, metafora ziemi obiecanej, metafora będącej synonimem dostatku Kanady, metaforyka Dzikiego Zachodu czy Wielkiego Magazynu). Na przestrzeń okcydentalną składa się również społeczne i kulturowe budowanie Miejsca. Tutaj literatura musiała zmierzyć się z zaistniałą w 1945 roku dekompozycją przestrzeni, która była konsekwencją ewakuacji, działań wojennych i pierwszych trudnych miesięcy funkcjonowania polskiej administracji (*Świat Okcydentu w pierwszych dniach i miesiącach to świat wyludniony, niestabilny i niebezpieczny. [...] Warmińsko-mazurskie pogranicze jawi się [...] jako przestrzeń defensywna, złupiona, oskalpowana, skrzywdzona*, s. 361). Ogromne wyzwanie dla różnych wspólnot kulturowych zamieszkujących polski pojałtański Okcydent (wypędzeni z Kresów, mieszkańcy kresów niemieckich, mniejszości etniczne i wyznaniowe) stanowił ponadto krajobraz kulturowy. Jak słusznie zauważa Szydłowska,

Rok 1945 zreorientował procedury i zakres transmisji dziedzictwa kulturowego ziem nowego okcydentalnego pogranicza w zakresie elementów kultury materialnej, wzorów zachowań i ideologii. Jedną z najbardziej znamienitych różnic było rozbitcie związku

między kulturą materialną (materialne wytwory kultury) a kulturą duchową (wzory zachowań), co stanowiło konsekwencję transferów ludnościowych. (s. 362)

To, w jaki sposób opisywana była palimpsestowość krajobrazu kulturowego Warmii i Mazur, warunkowane było proveniencją bohatera. I tak w przypadku rzadko portretowanej grupy wysiedleńców z Niemiec mamy do czynienia z osieroceniem tkanki materialnej i ocaleniem wzorów zachowań. W przypadku reprezentantów wspólnot natywnych pozostanie w przestrzeni dawnej małej ojczyzny oznacza wykluczenie z porządku kultury niemieckiej i włączenie w życie kultury polskiej z zachowaniem przywiązania do tożsamości regionalnej. Jeśli chodzi o przybyszów na tereny pojałtańskiego Okcydentu (osadnicy, wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, Ukraińcy), to jest to grupa najżywiej odczuwająca obcość otaczającej ją przestrzeni, a co za tym idzie, najbardziej aktywna w przekształcaniu zastanego krajobrazu kulturowego poprzez jego „odniemczanie” i przymusową polonizację. Inne opisywane przez Szydłowską na podstawie analizy literatury powstałej na Warmii i Mazurach sposoby radzenia sobie z obcością zastanego krajobrazu kulturowego to jego deantropizacja, ekskluzja porządku architektonicznego, (re)strukturyzacja przestrzeni poprzez retorykę rzeczy, egzorcyzmowanie przestrzeni, transfery mentalne i „miejsca poruszone” (czyli przenoszenie pamięci miejsc opuszczonych na nowe krajobrazy, które pełni funkcje konsolacyjne oraz poznawczo-adaptacyjne, a finalnie ma sprzyjać oswojeniu i zaakceptowaniu nowych pejzaży) oraz modyfikacje przestrzeni natywnych poprzez ustanowienie w przestrzeni publicznej nowych miejsc dysponujących wiedzą i władzą i nadanie nowych sensów uniwersaliom przestrzennym (droga, dworzec, wzgórze, cmentarze, drzewo, dom, dzwonnica).

Ostatni rozdział poświęcony jest tożsamości człowieka pogranicza pojałtańskiego Okcydentu. Szydłowska podejmuje analizę literackich konstrukcji tożsamościowych wspomnianych powyżej trzech grup zamieszkujących północ i zachód Polski po 1945 roku. Największym potencjałem inności dysponowały wspólnoty natywne Warmiaków i Mazurów. Od samego początku grupie tej narzucono jednakże pojęcia absolutyzujące polskie identyfikacje tożsamościowe (określenia: „autochtoni”, „Polacy”, „polska ludność rodzima”), co Szydłowska uznaje za przejaw przemocy symbolicznej ze strony centrum oraz zwykłą manipulację i *element dyskursu „produkującego rzeczywistość”: postulowaną, manichejską, pozbawioną odcieni szarości właściwych dla życiorysów na pograniczach* (s. 414). Literatura podejmująca temat ludności natywnej podlegała jednakże ostrej kontroli cenzury. Odnosiło się to nawet do najbardziej wyważonych przekazów, które uchylały się od kontrowersji i studziły temperaturę konfliktów rozgrywających się w przestrzeniach okcydentalnych (na przykład proza Eugeniusza Pauksztzy). W literackich opisach Warmiaków i Mazurów autorka odnotowuje strategię heroizacji, polegającą na utrwalaniu wizerunków osób wybitnych, zaangażowanych w okresie międzywojennym w przedsięwzięcia ruchu polskiego. Narracje te dokumentowały *polskie identyfikacje narodowe Warmiaków i Mazurów „w czasach niewoli” [...] popularyzowały pamięć o dramatycznych konsekwencjach tych wyborów, demonstrowały postawy nieposzlakowane moralnie oraz były zorientowane na epistemologiczne oswojenie inności/obcości człowieka*

pogranicza. Było to tworzenie semiozy dla zrozumienia Innego, a perspektywicznie – wypowiedzenia się Innego (s. 415). Literatura pojałtańskiego Okcydentu nie potrafiła sobie jednakże porażać z jedną z pierwszych ikon inności, którą był fakt służby ludności warmińskiej i mazurskiej w szeregach Wehrmachtu. Według Szydłowskiej temat był

stygmatyzowany politycznie, w literaturze pojawiał się jedynie w nieistotnych inkrustacjach. Nie oddano głosu podmiotowi, nie okazano empatii wobec jego wyborów, nie zadano o jego psychiczny portret. (s. 418)

Profil człowieka wywodzącego się z warmińsko-mazurskiego pogranicza wyrażany był ponadto często przez kreację bohaterów w sytuacji adolescencji, pisarze podejmowali wobec nich również wiele przedsięwzięć o charakterze socjalizacyjnym i kulturalizacyjnym, które zorientowane były na wygenerowanie postaw *akceptacji dla polskości, poczucia związku z polską kulturą i tradycją* (s. 422), co było jednym z priorytetów polityki (re)polonizacyjnej państwa polskiego. W konsekwencji tego młody bohater miejscowego pochodzenia *bywa szczególnie podatny na manipulacje. Jest to motywowane kompleksami (inności, często niższości) definiowanymi w sferze etnicznej, lingwistycznej, edukacyjnej* (s. 428). W literaturze warmińsko-mazurskiej Szydłowska odnotowuje również strategię wiktymizacji kondycji Mazurów i Warmiaków, której korzenie tkwią w opresjach i dyskryminacji wpisanych w powojenne losy tejże ludności. W odniesieniu do etnosu literatura ta

nie zapisała spektakularnych konwersji narodowościowych reprezentantów wspólnot natiwnych, nie nakreśliła galerii portretów dynamicznych. Przyczyn szukać trzeba w zawłaszczaniu dyskursu natiwnych Inných, których głos limitowano. (s. 434)

Opis literackich kreacji ludności miejscowego pochodzenia uzupełnia podrozdział o inności definiowanej z perspektywy płci. Jest to zarazem próba przynajmniej częściowego wypełnienia luki, jaka istnieje do tej pory w badaniach nad etnicznością w Polsce. Autorka stawia tezę, że literatura lat 1945-1989 nie pozostawiła wielu portretów kobiet pochodzenia mazurskiego i warmińskiego. Wskutek tego *opowiedziana przez mężczyzn kobieta i etniczna inność nie zdobyła więc pełnej artystycznej autonomii* (s. 441). Przyczyny tkwią według Szydłowskiej w komunistycznym micie równouprawnienia płci, niwelacji odrębności tematów i wzorców odczuwania oraz w micie wyrównania różnic kulturowych. Przyczyną wykluczenia tego tematu była również nieobecność pisarek miejscowego pochodzenia. W analizowanych przez siebie przykładach literackich Szydłowska odnotowuje przykłady kobiet stygmatyzowanych fizyczną i psychiczną innością, uprzedmiotowienie kobiety i definiowanie jej przez płęć, którego radykalną formą jest sytuacja przemocy seksualnej (problem ten funkcjonował w literaturze omawianego okresu jedynie marginalnie).

Ważnym podmiotem tworzącej się narracji o świecie okcydentalnym byli egzulanci z prywatnych ojczyzn. Byli oni podmiotami pojałtańskich transferów ludnościowych, które miały

zainicjować nowy rozdział w historii zastanych przestrzeni. Szydłowska analizuje obecność tej grupy mieszkańców polskiego Okcydentu w powieści migracyjnej oraz ich projekty adaptacyjne, które miały na celu wypracowanie procedur aneksji miejsc i przestrzeni. W nawiązaniu do teorii przejścia Arnolda van Gennepa badaczka wyróżnia trzy okresy w porządku czasu historycznego, określającego zachowania wysiedleńców: 1. fazę separacji, *która trwała od kilku miesięcy do kilku lat, przy zamykającej cenzurze 1949 r.*; 2. fazę liminalną, *która przypadała na początek lat 50.*, oraz 3. fazę agregacji, *której czynnikiem inicjalnym były wydarzenia Października 1956 r.* (s. 456). Jako cechy charakterystyczne fazy separacji autorka podaje odcięcie od znanych form egzystencji, zawieszenie dotychczasowych ról społecznych, rozchwianie w sferze aksjonormatywnej i tymczasowość. Faza liminalna charakteryzuje się brakiem przynależności przybyszy zarówno do starych, jak i nowych struktur społecznych, utrzymującym się brakiem poczucia bezpieczeństwa i tymczasowością. Wyróżnikami fazy agregacji jest z kolei otwarcie migrantów na nowe formy egzystencji, na konkurencyjne wzory i wartości. Podczas tej fazy na okcydentalnym pograniczu rozpoczynają się pierwsze gruntowne remonty, będące wyrazem pogodzenia się z geopolityką powojennej Europy. Szydłowska opisuje również różnorodność projektów tożsamościowych wysiedleńców, wskazując na początkowe procedury ochrony swojskości i wynikającą z nich niechęć do jakichkolwiek kontaktów interkulturowych. Ich późniejsze relacje ze wspólnotą natywną oscylowały wokół trzech postaw modelowych: empatycznej, koncyliacyjnej i postawy przekroczenia negatywnych etnostereotypów. Autorka zwraca również uwagę na praktyki artykulacyjne bohaterów powieści migracyjnej, które aspirują do *odświeżenia konwencji (poetyka groteskowego przerysowania, nadużywanie patosu, żonglerka stereotypami, świadomość konwencjonalności języka opisu)* (s. 495).

Ostatnie dwa podrozdziały omawianego tutaj rozdziału Szydłowska poświęca milczeniu względnie nieobecności Innego w literaturze pojałtańskiego Okcydentu: Niemcom i Ukraincom. W odniesieniu do Niemców autorka konstatuje:

Mit fundacyjny polskiego Okcydentu opierał się na radykalnym wykluczeniu Niemców z polskiej rzeczywistości (wysiedlenia i akcja weryfikacyjna). Tak więc Niemcy w literaturze o Ziemiach Zachodnich w latach 1945-1989 obecni byli rzadko. Najczęściej pojawiali się jako niezatomizowana gromada, jedynie sporadycznie – jako pojedyncze postaci. (s. 474)

Na podstawie badanych tekstów autorka wyodrębnia trzy moduły prezentacji niemieckich Innych w literaturze polskiego Okcydentu:

1. rekompensacyjny, który *odpowiadał na polskie doświadczenie traumy wojny i okupacji, aprioryzował antynomię moralnie nieskazitelných Polaków i złych Niemców* (s. 475);
2. ideologiczny – pojawił się po powstaniu NRD, które *wymogło spolaryzowanie opinii wobec bezalternatywnie dotąd złych Niemców i zaprocentowało pojawieniem się mniej radykalnych wizerunków (wyłącznie Niemców z NRD!)* (s. 478).
3. antropologiczny, który *wpisuje niemiecką obecność wyłącznie w realia sprzed 1945 r., a inność przedstawia za pomocą kategorii wiązanych z ruchem wolnomularskim* (s. 479).

Swoje rozważania o obecności Niemców w literaturze pojałtańskiego Okcydentu Szydłowska zamyka kilkoma uwagami z perspektywy płci. Oglądany w ten sposób niemiecki Obcy pozwala na wysunięcie tezy, że

w sensie ilościowym dominowały sylwetki kobiet, zawsze w funkcji zależnościowej od męskiego/polskiego suwerena [...]. Asymetryczny dyskurs przewidywał dla nich funkcje służących w polskich domach [...]. Ikona Inności Niemki konotowała uprzedmiotowienie i pogardę [...], nierzadko odwoływała się do stereotypów seksualnych. Niemkom przypisywano epatowanie seksualnością, uległość seksualną, a nawet rozwiązłość. (s. 480)

Omawiany tutaj rozdział zamykają rozważania na temat nieobecnych w prozie badanego okresu Ukraińców, którym nie tylko nie przyznawano prawa głosu, *ale odmawiano uczestnictwa w świecie przedstawionym pojałtańskiego pogranicza* (s. 481).

Podsumowując: monografia Joanny Szydłowskiej ma charakter prekursorski, jest szeroko zarysowaną i od dawna potrzebną panoramą literackich narracji o polskich „Ziemiach Odzyskanych”/Ziemiach Zachodnich i Północnych. Jest zarazem kluczem do zrozumienia opartych na dyskursie wykluczenia i zawłaszczania mechanizmów polityki pamięci w latach 1945-1989, która posługiwała się literaturą jako jednym z najważniejszych mediów kreujących piastowski mit założycielski PRL. Wieloperspektywiczna i interdyscyplinarna metodologia, wykraczająca daleko poza warsztat badawczy literaturoznawcy, jest dalszym atutem tej pracy. Poprzez umiejętne połączenie różnorodnych koncepcji oferowanych przez współczesną humanistykę (socjologiczne i literaturoznawcze badania nad pograniczem, tożsamością zbiorową i indywidualną, krajobrazem kulturowym i płcią, refleksja historiograficzna i antropologiczna) autorce udało się wypracować elementy scalające o charakterze perspektywy ogólnej, co wyraźnie odróżnia studium Szydłowskiej od podobnych opracowań, które najczęściej ograniczały się do pozytywistycznego zreferowania faktów literackich zaistniałych w regionie po 1945 roku. Kwestią otwartą pozostaje, na ile przyjmie się w badaniach czy też w ogólnie stosowanym nazewnictwie zaproponowana przez Szydłowską terminologia okcydentalna. Jak na razie wywodzący się z dyskursu historiograficznego termin „Ziemie Zachodnie i Północne” wydaje się w dalszym ciągu dominujący. Wiele podjętych przez badaczkę wątków (relacja Obcy/Inny, perspektywa płci) domaga się zdecydowanie dalszych dopowiedzeń, które uwzględniłyby specyfikę innych regionów poza Warmią i Mazurami.



NAGRODA IM. KARLA DEDECIUSA

KANDYDACI DO NAGRODY IM. KARLA DEDECIUSA mogą być zgłaszani przez wydawnictwa, autorów, przedstawicieli z branży i z grona zainteresowanej publiczności. Możliwe są również własne zgłoszenia tłumaczy.

Zgłoszenia powinny zawierać:

- krótki życiorys;
- wykaz publikacji;
- wybrane fragmenty dorobku translatorskiego (ok. 20 stron tłumaczenia i oryginału).

OSTATECZNY TERMIN SKŁADANIA ZGŁOSZEŃ UPŁYWA 13 STYCZNIA 2017 R.

Adres do korespondencji:
Deutsches Polen-Institut
Karl-Dedecius-Preis
Residenzschloss, Marktplatz 15
D-64283 Darmstadt
Niemcy

Zgłoszenia można wysłać też elektronicznie na adres: kaluza@dpi-da.de
Więcej informacji na stronie: www.karl-dedecius-preis.de

NAGRODA nosząca imię nestora niemieckich tłumaczy literatury polskiej oraz zasłużonego pośrednika między Polską a Niemcami Karla Dedeciusa (1921-2016) **zostanie przyznana 9 czerwca 2017 roku w Krakowie.**

LAUREACI – tłumacz(ka) polski(a) i tłumacz(ka) niemiecki(a) – zostaną wyróżnieni za wybitne osiągnięcia translatorskie, a tym samym za pracę na rzecz porozumienia między Polakami i Niemcami. Laureatów nagrody (każda w wysokości 10 tys. euro) proponuje niezależna polsko-niemiecka kapituła.

WYNIKI KONKURSU zostaną ogłoszone w maju 2017 roku.
Funkcję sekretariatu nagrody pełni Deutsches Polen-Institut w Darmstadt.
Współorganizatorem konkursu jest fundacja „Archiwum Literackie Karla Dedeciusa” na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą.

Dr Andrzej Kaluża

